CZESŁAWA
DŁUGOSZEK

Jeśli będziemy jak kamienie

Reportaże z Objazdy i okolic

Wszystkim, którzy tu przyszli,
tym, którzy stąd odeszli.

Czesława Długoszek

Jeśli będziemy jak kamienie

(Reportaże z Objazdy i okolic)

Słupsk 2018

Wydawca
Starostwo Powiatowe w Słupsku

Sfinansowano ze środków Gminy Ustka
i społeczności miejscowośći Objazda

Redaktor
Zbigniew Babiarz-Zych

Tekst
Czesława Długoszek

Opracowanie graficzne i skład
Artur Wróblewski

Autorzy zdjęć
Roman Zub, Jan Maziejuk, Maciej Jastrzębski,
zdjęcia autorskie, domowe archiwum

Nakład: 350 egz.

Wydanie I
(Nie do sprzedaży)

Copyright by Czesława Długoszek

ISBN 978-83-60228-80-7

Słupsk 2018

Brzegu morza w Dębinie strzeże umocowana do starego dębu maleńka kapliczka Matki Bożej Ostrobramskiej. Ta, co „w Ostrej świeci Bramie", trwa niezłomnie nad stromym urwiskiem - równie samotna w lecie, kiedy mijają ją tłumy plażowiczów, jak w straszne zimowe noce, gdy wyje sztormowy wiatr, a u stóp klifu rozbijają się z hukiem białe od pian fale. Patronka polskiego Wilna i opiekunka litewskiego chrześcijaństwa przywędrowała na Pomorze, podobnie jak wierni jej wyznawcy jako „repatriantka". Ale Polacy ze wschodnich Kresów nigdy swej ojczyzny nie porzucili - nie mogli się więc repatriować. To Polska, w następstwie katastrofy II wojny światowej i układów zawartych przez zwycięskie mocarstwa, cofnęła się jak morze, pozostawiając ich na obcym już brzegu.

Sześćdziesięcioletni Adolf Matulis opuszcza swój dom, wioząc rodzinę w nieznane. Wiara Julii w moc Opatrzności była ich siłą: „Adolfik, nie my sami, patrz wszyscy jedziemy, zostać nie można, toż my Polacy, a Polska tu się skończyła" - opisuje wyjazd swych dziadków z Zaberezia pod Pińskiem na Ziemie Zachodnie pani Czesława Długoszek, autorka niezwykle cennej książki o dziejach gminnej niegdyś wsi Objazda w pow. słupskim i formowaniu się żyjącej w niej dziś społeczności. - „Przepadł gdzieś tamten czas. Tylko miarowy stukot kół kołysze repatriantów do snu o dawnym Polesiu..." Ten obraz nie kojarzy się z powrotem - lecz z wypędzeniem. Wśród rzesz owych wypędzonych - a może uchodźców? - była też Madonna Ostrobramska.

W ówczesnej Wobesde nad jeziorem Gardno przesiedleńcy zza Buga zamieszkali wraz z niedawnymi robotnikami przymusowymi zatrudnionymi u miejscowych bauerów, osadnikami z łomżyńskiego, z których wielu miało za sobą lata spędzone na zesłaniu na Syberię, rozbitkami z pacyfikowanej przez Niemców Zamojszczyzny i wiejską biedotą z Kieleckiego i Małopolski - tych z kolei można by uznać za emigrantów ekonomicznych. Pomorskie krajobrazy, domy, dobra nieznanej cywilizacji tchnęły obcością, a sprzęty domowe - cudzym zapachem. „Wrastaliśmy w tę ziemię powoli i niepewnie. Ciągle słyszało się pogłoski o powrocie Niemców, o tym, że trzeba będzie uciekać. Może dlatego poczucie tymczasowości na długo zawładnęło naszym życiem" - wspomina Maria Cieślik, jedna z ostatnich osób, które pamiętają pionierskie lata w Objeździe.

W niedługim jednak czasie w poniemieckiej kuźni zaczął pracę młody kowal z Kielecczyzny, ruszył młyn - wiatrak uruchomiony przez młynarza spod Łomży, otwarto kilka sklepów spożywczych. Wielkim świętem był początek nauki w szkole a także przybycie pierwszego proboszcza - został nim jeden z najwybitniejszych polskich kapłanów XX w., ks. Jan Zieja, działacz społeczny, pisarz i publicysta, kapelan Szarych Szeregów, AK i BCh, powstaniec warszawski, współzałożyciel KOR-u. W swej pomorskiej parafii założył Uniwersytet Ludowy. W dziedzinie kultury ożywioną działalność podjął niestrudzony organizator chórów i zespołów muzycznych, bibliotekarz i kronikarz Objazdy, Roman Zub.

Nie była to ziemia obiecana. Entuzjazm pierwszych lat powojennych szybko przeminął. Nadeszły czasy, gdy zbytnia przedsiębiorczość stała się podejrzana, a wspominanie przeszłości mogło okazać się niebezpieczne. Mieszkańcy Objazdy niewiele wiedzą o trudnych dziejach swych przodków - wojennych i okupacyjnych dramatach, utracie najbliższych, tułaczce po bezkresach Syberii czy niewolniczej pracy w III Rzeszy. A wiedza ta, do niedawna nieopisana i nieopowiedziana, to jeden z warunków powstania lokalnej społeczności z prawdziwego zdarzenia, złączonej nie tylko życiowymi interesami, ale także świadomością wspólnych lub odmiennych korzeni - uważa Czesława Długoszek.

Poetka, polonistka, miłośniczka historii, długoletnia nauczycielka i dyrektorka miejscowej szkoły podjęła się trudu przywrócenia Objeździe zbiorowej pamięci i osadzenia jej we współczesności. „Jeśli będziemy jak kamienie. Reportaże z Objazdy i okolic" jest owocem wielkiej pracy i pasji, ogromnej, encyklopedycznej wiedzy o lokalnych faktach i sprawach, erudycji i talentu literackiego. To zbiór poruszających dokumentów - spisanych przez pierwszych osadników wspomnień, opracowanych przez autorkę lub relacje z rozmów z nimi przeprowadzonych - oraz kilkadziesiąt niewielkich reportaży, łączących poetyckie impresje z publicystyką i faktograficzną sumiennością.

Mama autorki opuszczając wieś pod Pińskiem, zabrała z sobą symbol Polesia, łapcie wyplecione z lipowego łyka. Dla najstarszych osadników to relikwia, przypominająca o utraconym na wschodzie raju - ziemi brzóz, bezkresnych bagien, lasów pełnych grzybów i dobrych na każdą chorobę czarnych jagód. Dla młodych, rekwizyt z krainy fantasy. Ale także - problem. Zdaniem Czesławy Długoszek trauma wypędzenia była i jest nie tylko dla repatriantów pierwszego pokolenia, ale także ich dzieci i wnuków kluczową kwestią w poszukiwaniu własnej tożsamości.

Grzegorz Łyś, Warszawa

OD AUTORKI

Książka „Jeśli będziemy jak kamienie. Reportaże z Objazdy i okolic" powstała z tekstów pisanych bądź opracowanych redakcyjnie na przestrzeni kilku lat i publikowanych w dwumiesięczniku „Powiat Słupski" oraz w Internecie na blogu „objazdowy.bloog.pl". Wydawnictwo zwarte rządzi się własnymi prawami, dlatego niektóre teksty trzeba było przeredagować i, w związku z upływem czasu, uzupełnić. Aby uatrakcyjnić i podnieść wartość dokumentarną publikacji, włączono do niej dokumenty i fotografie z domowego archiwum, które powstawało przy współudziale mieszkańców Objazdy oraz skany z publikacji zewnętrznych, opisanych w podanych w zakończeniu „Źródłach i inspiracjach".

Nieocenioną pozycją, z którą wiąże się niniejsze wydawnictwo, jest niepublikowana dotąd „Kronika Objazdy" Romana Zuba, dostępna w rękopisie znajdującym się w Gminnej Bibliotece Publicznej w Objeździe bądź zdigitalizowanym przez mieszkańca Objazdy, Emila Raczyńskiego, formacie. Zapiski i fotografie z „Kroniki Objazdy", a także „Pamiętników" i pozostających w rękopisie - w domowym archiwum - zeszytach Romana Zuba - były inspiracją lub koniecznym uzupełnieniem reportaży. Z zeszytów, w niemal niezmienionej formie, została zredagowana historia braci Uchaczów z Krasnobrodu, przyjaciół Romana Zuba, która otrzymała tytuł „Miała matka trzech synów".

Odrębne miejsce zajmują niezwykłe historie zapisane przez mieszkańców Objazdy przybyłych z Podgórza w Łomżyńskiem - Marii Henryki Cieślik i Aleksandra Kalisty. Otrzymane od nich teksty zostały zapisane w niemal niezmienionej formie, z zachowaniem pierwszoosobowej narracji i charakterystycznych cech indywidualnego stylu.

„Bardzo cenne wydają mi się wspomnienia pana Aleksandra Kalisty. Każdy skrawek takich pisemnych świadectw polskiego losu powinien być przez nas przechowywany niemal jak relikwia. Nigdy nie wiadomo, kiedy i z jakich powodów ktoś zechce po nie sięgnąć: może historyk, może wnuk... Może kiedyś weźmie je do ręki ktoś, kogo też z Ojczyzny wygnano, i znajdzie wówczas jakieś pokrzepienie, że nie on pierwszy i nie ostatni, i że można nawet w najgorszym przetrzymać... Mam ogromny szacunek do takich świadectw" - napisał Kazimierz Nowosielski, profesor Uniwersytetu Gdańskiego.

Nie sposób opowiedzieć losy wszystkich i chyba nie ma takiej potrzeby, bo przecież we wszystkich historiach jest jedno zdarzenie wspólne, od którego zaczynało się nowe życie. Nasi dziadkowie lub rodzice skądś tu przybyli, dotyczy to mieszkańców Objazdy, Dębiny, Rowów, Poddąbia, Wytowna i okolicznych miejscowości. Przybyli na Ziemie Odzyskane, pozostawiając gdzieś domy, mogiły, wspomnienia. I jeszcze jeden fakt nas łączy - wspólnie tworzymy historię własną i historię naszych miejscowości. Wszystko od nas zależy. O tym opowiadają reportaże.

Książka „Jeśli będziemy jak kamienie. Reportaże z Objazdy i okolicy" powstała zatem wspólnym wysiłkiem, również finansowym, mieszkańców Objazdy i z wspólnej potrzeby zapisania i udokumentowania przeszłości. Dziękuję wszystkim za zaufanie, którym zostałam obdarzona. Dziękuję za przekazane dokumenty, fotografie, rękopisy, opowiedziane wspomnienia. Pieczołowicie je zachowam, być może będą zaczynem nadmorskiej izby pamięci, o której powstanie zabiegam od lat.

***

Serdecznie dziękuję Pani Iwonie Danucie Startek z Biłgoraja za wnikliwy, profesjonalny esej krytyczno-literacki pod tytułem „Objazda jako forma życia duchowego", który został zamieszczony w niniejszej publikacji jako „Posłowie".

Dziękuję Panu Grzegorzowi Łysiowi z Warszawy za życzliwy tekst krytyczny zatytułowany „Na zachód od Edenu", który zamieszczamy jako profesjonalny wstęp do książki.

Składam podziękowania Panu Maciejowi Jastrzębskiemu, reporterowi Polskiego Radia z Moskwy, który odpowiedział na moją prośbę i przesłał mi do wykorzystania zdjęcia ze swojej wyprawy śladami polskich zesłańców na Syberię.

Bardzo dziękuję Panu Zbigniewowi Babiarzowi-Zychowi za cenne rady, cierpliwość i wszelką pomoc przy tworzeniu książki „Jeśli będziemy jak kamienie".

Dziękuję wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób wspierali mnie w składaniu z okruchów ich opowieści, zdjęć, wspomnień obrazu naszego czasu i miejsca - Objazdy i jej okolic z lat 1945-2017.

Czesława Długoszek, Objazda, grudzień 2017 r.

Kamień milowy i inne związki

Nie pamiętam autora ani dokładnej frazy. Kiedyś w „Poezji", w numerze poświęconym twórczości dla dzieci, był taki wierszyk, którym Iza Purtak z Objazdy w latach dziewięćdziesiątych wygrała konkurs recytatorski w Domu Kultury w Ustce:

„kamyku, grzeczny
jak Piotruś gdy zaśnie,
czemu jesteś taki właśnie?"

Kamienie. Zimne, twarde i obojętne - zawsze fascynowały geologów i gemmologów, może właśnie dlatego, że mimo wymienionych cech są kruche i delikatne, o czym najlepiej wiedzą kamieniarze i jubilerzy. Na Pomorzu, ze względu na powszechność występowania, kamień był popularnym materiałem budowlanym. Służył do stawiania fundamentów, parkanów, a nawet całych budowli, takich jak kościół w Rowach. Każdy ma własną historię zapisaną w ułożeniu słoi, żył, skamielin. Może właśnie tajemnica zaklętego czasu, niedostępna dla laika, spowodowała, że kamień stał się metaforą, symbolem, chętnie wykorzystywanym w języku potocznym i literackim. Posługujemy się frazeologizmami: trafiła kosa na kamień, jak kamień w wodę, zimny jak głaz, spadł mi kamień z serca, jak kamień u szyi, kamień węgielny, kamień obrazy, toczący się kamień nie porasta mchem, kamień na kamieniu nie zostanie, kamień filozoficzny, serce jak kamień, głaz, pięść, czy przysłowie: „ciężki kamień młyński, jeszcze cięższy stan małżeński".

Nad morzem w Dębinie.

Z metaforycznych znaczeń związków wyrazowych z kamieniem chętnie korzystają pisarze, stąd: „Kamień na kamieniu" (Wiesław Myśliwski), „Kamienie na szaniec" (Aleksander Kamiński), „Rozmowa z kamieniem" (Wisława Szymborska) i inne.

Każdy region, ba - miejscowość, ma własny kamień, owiany legendami, symboliką, nieprzeniknioną tajemnicą. Na jeziorze Gardno turystów wabi Wyspa Kamienna, skąd diabły brały budulec na swój kościół i gdzie piraci z Rowokołu zakopywali skarby. Niestety, Kamienna Wyspa jest niedostępna, obejmuje ją ochrona rezerwatowa ze względu na gniazdujące tu m.in. łabędzie nieme, rybitwy pospolite, trzcinniczki, brzęczki, bąki i mewy srebrzyste.

W Gardnie Wielkiej atrakcją jest olbrzymi głaz narzutowy, zwany Diabelskim Kamieniem. Miejscowa legenda wiąże go z budową w ciągu jednej nocy kościoła na Kamiennej Wyspie. Niestety, kogut zapiał i diabeł upuścił głaz w trzcinach na południowym brzegu jeziora. Gardnianie zbudowali tu kładkę, by każdy, kto ciekaw, mógł dotknąć olbrzyma. Geolog z pewnością inaczej tłumaczyłby jego obecność na brzegu jeziora. Jednak legenda ma własną moc, rozpala wyobraźnię, dlatego Diabelski Kamień i w nazwie, i popularności nie ma sobie równych.

W Rowach powstał kościół z kamieni. Też budował go diabeł, ale rowianie w porę się zorientowali i... „poczekali, aż majster, ogromny głaz, który sam podniósł, na murze położy. Wtedy sołtys wystąpił i oznajmił wolę wiejskiej gromady. Majster ma ze wsi odejść, bo kościół zbudują sami. Wtedy ten tak się zdenerwował, że ze złości rogi mu z czarnych kędziorów wyszły i ogon z portek wysunął. Machnął nim, aż kamienie pofrunęły aż na jezioro. Zaszumiało, zahuczało i rybacy z Rowów zostali sami. Na ścianie budowanego kościoła od południowej strony ujrzeli głaz osmalony niby ogniem piekielnym".

W Dębinie na wysoki klif kamienie znoszą plażowicze i usypują z nich kopiec pod drzewem z ołtarzykiem Matki Bożej Ostrobramskiej. Wierzą, że kamień zaniesiony Matce będzie symbolicznym uwolnieniem się od trosk. Nikt nie przyniósł tu olbrzymich głazów, które w czasie odpływu odsłania morze. Może troski nie są aż tak wielkie, a może decydują względy techniczne. Kiedy wzmaga się wiatr, a morze huczy i fale rozbijają się o wysoki klif, plaża w Dębinie pokrywa się kamieniami. Tylko głazy pozostają niewzruszone, nawet sztorm im nie podoła. Później, kiedy fale ucichną, pod wysokim klifem porosłym starymi bukami, kamienie tworzą szaniec, a morze cofa się, odsłaniając biały piasek plaży. Procesy brzegowe trwają nieustannie. Strome klify podciosywane przez fale

osypują się, wymyte ze zniszczonego zbocza kamienie tworzą naturalną ochronę zbocza, na jakiś czas. Unoszony przez wiatr piasek z plaży tworzy kolejne warstwy wydm. Co roku kształt plaży jest inny, jakby wciąż trwało dzieło tworzenia.

Droga plażą z Dębiny do Poddąbia zajmuje zwykle około czterdzieści minut i daje możliwość oddechu morskim powietrzem i nasycenia oczu widokami wysokiego klifu. Kiedy wzmaga się wiatr, fale, choć niewysokie, podmywają klif. Huczą stare buki u góry i morze w dole. Jest romantycznie pięknie, jak na obrazach Wiliama Turnera, angielskiego malarza słynącego z romantycznych morskich pejzaży. Przy dobrej pogodzie pojawiają się tu współcześni bracia Ikara, paralotniarze, dosiadający swych glajtów, zwanych też parapentami. Nowy, niewiele ponad pięćdziesięcioletni sport, który narodził się w 1978, kiedy to trzej śmiałkowie z Francji: J-C. Betemps, A. Bohn i G. Bosson spłynęli na odległość 100 metrów z góry Pointe du Pertuiset na jednym szybującym skrzydle, zyskuje coraz więcej zwolenników. W Polsce „Świadectwo kwalifikacji pilota paralotni" posiada ponad półtora tysiąca osób, a sport staje się coraz modniejszy. Co o tym decyduje? Odwieczne marzenie o skrzydłach? Potrzeba spojrzenia z góry? Pragnienie zmierzenia się ze sobą i własnymi emocjami? Z pewnością lot nad urwistym morskim brzegiem mieści się w romantycznej formule i jest wygodniejszy niż przedzieranie się przez zwały kamieni, o które rozbija się morze.

Czasem zaglądają tu szperacze z saperkami i nadzieją na okazy bursztynu. Zbieranie bursztynu na plaży jest całkowicie legalne. Nielegalne jest natomiast wydobywanie go za pomocą metod hydraulicznych, czyli z wykorzystaniem pomp wodnych. Większe okazy kruszcu to prawdziwa rzadkość, co innego kamienie, tych tu dostatek.

Na wysokości Poddąbia wędrowca czeka krótkie spotkanie z historią. Fale obmywają resztki torpedowca, który ugrzązł na mieliźnie w latach czterdziestych. W 1946 roku przechylony, tkwiący na brzegu wrak, sfotografował Roman Zub, pierwszy powojenny kronikarz tej okolicy. Jarosław Malinowski, wydawca periodyku „Okręty Wojenne" jest przekonany, „że pod koniec wojny utkwił tu jeden z duńskich torpedowców klasy „Dragen" lub „Glenten". Są też inne wersje historii wraku, łączące go z ściąganiem łupów wojennych przez Rosjan. Jeszcze inni podają, że to trałowiec, który rozbił się w kolizji. Jednym słowem, jesteśmy świadkami narodzin legendy. Pewne jest tylko miejsce, inne fakty, to z biegiem czasu - kwestia wyobraźni.

Poddąbskie głazy.

Niedaleko stąd do miejsca, gdzie leżą słynne poddąbskie głazy. Znajdują się w lesie, przy drodze do Dębiny. Legenda mówi, że to zatopione dzwony kościoła w Rowach, które jakiś bogacz chciał przenieść do Wytowna. Transportowano je furmankami nocą leśną drogą. Gdy przekraczały granicę parafii, stoczyły się z wozów i zamieniły w kamienie. Odtąd w czasie sztormu słychać je z wysokiego klifu w Poddąbiu. Później dzwonnicę w Rowach postawiono obok kościoła i wyposażono w nowe dzwony. Inne podania mówią, że dwa głazy kryją szczątki Gotów, którzy przybijali tu na początku naszej ery. Nawet gdyby, to z pewnością głazy nie przypłynęły na ich łodziach, ponieważ kamień na Pomorzu był naturalną spuścizną po kształtowaniu się linii brzegowej lądu.

Od dawna kamień wyznaczał granicę przestrzeni. Od czasów Imperium Rzymskiego znane jest pojęcie kamienia milowego jako oznaczenia drogi, a wszyscy jesteśmy wędrowcami w wyznaczonych granicach czasu i przestrzeni. Niech zatem będą kamienie, niech kuszą tajemnicą i zachęcają do poznawania historii, a słowa niech będą dobre jak Piotruś, gdy zaśnie..., niech nie ranią, a inspirują, ponieważ słuszne jest zdanie poetki z Biłgoraja - Iwony Danuty Startek: „jeśli będziemy jak kamienie/ nieporuszone w nurcie rzeki/ nie znajdziemy się nigdy/ nie spotkamy na wąskiej ścieżce czasu".

To i owo z miejscowej historii

W STARYCH DOKUMENTACH

W starych dokumentach Objazda nazywana była villa Obesda, Wobasdo (1281), Wobesde (1678). Etymologia nazwy miejscowości jest przejrzysta. „Wiele w Polsce nazw o postaci Ujazd. Noszą je miejscowości powstałe na obszarze, któremu zakreślono granice przez objazd, w chwili kiedy obdarowany obejmował darowiznę (mutacje słowotwórcze Ujazdu to Objazd, Objazda, Ujazdek, Ujazdowo, Ujazdów, Ujazdówek, Ujeździec)" - tak pochodzenie kulturowej nazwy miejscowości wyjaśnia prof. Jan Miodek. Jest w Polsce jeszcze jedna Objazda, miejscowość - w powiecie namysłowskim.

Po raz pierwszy osada „villa Obesda" została wymieniona w dokumencie wystawionym w roku 1281 przez księcia gdańskiego Mściwoja II dla klasztoru norbertanów w Białobokach, dzisiejszej dzielnicy Trzebiatowa. Książę Mściwój II nie szczędził zakonowi darowizn w dobrach ziemskich i dziesięcinach, ponieważ upodobał sobie mniszkę Sulkę (Sulisławę), którą uwiódł i zabrał do Gdańska, gdzie prawdopodobnie zawarł z nią swoje trzecie małżeństwo. Sprowadzenie mniszek do Słupska miało znaczenie polityczne, służyło umacnianiu Kościoła w kasztelanii słupskiej. Historię księcia, który sprowadził mniszki norbertanki do Słupska, opisał prof. Andrzej Czarnik w książce „Gardna Wielka".

Zmiany, jakie zaszły w Kościele wyniku reformacji, odbiły się na prawach własności. W roku 1523 wieś należała do rycerza Bartłomieja Czarnowa, pisanego także jako Żarnow (Bartholomeus Czarnow tho Wobesd).

W 1717 roku jako właściciel wymieniany jest von Natzmer, o czym wzmiankuje Pagel, ale informacje o związkach Natzmerów z Objazdą pochodzą z początku XVII wieku. Prof. Zygmunt Szultka rodowi Natzmerów poświęcił ciekawe studium: „Natzmerowie - z badań nad zróżnicowaniem politycznym, ekonomicznym i kulturowym przygranicznej szlachty pomorskiej pierwszej połowy XVI wieku" drukowane w 2013 roku w „Słupskich Studiach Historycznych" 19, 33-46. Ród Natzmerów do wysokich godności wprowadził Heinrich von Natzmer, powołany do służby urzędniczej przez księcia Bogusława X. Uzyskał wówczas prawo zapewniające

w przyszłości przejęcie Objazdy koło Rowów po wygaśnięciu męskiej linii rodu Żarnów, co stało się faktem w roku 1618.

Ponadto w Wojewódzkim Urzędzie Ochrony Zabytków w Gdańsku - Delegatura w Słupsku znajduje się karta ewidencyjna zabytku z Lęborka, świadczącego o obecności Antoniego Natzmera w Objeździe w roku 1625. Na południowej ścianie prezbiterium kościoła pod wezwaniem św. Jakuba Apostoła w Lęborku znajdują się dwie wapienne płyty nagrobne z 1629 roku spięte klamrami, z napisem: „Tu spoczywają czterej młodzieńcy, zmarli godnie synowie zacnego i szlachetnego ojca Antoniego Natzmera, starosty słupskiego i sławieńskiego, obecnie starosty lęborskiego, dziedzica Gutzmin i Wobesd, zrodzeni z Nikolainy z Wejherów". Czterej młodzieńcy, synowie Antoniusa i Nikolainy Natzmerów to: Nikolaus (1614), Ernestus (1618) - obaj urodzeni w Gutzmin (Chocimino), Antoninus - urodzony w 1623 roku i Martinus urodzony w 1625 roku w Objeździe.

Z kolei biblioteka Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku przechowuje dzieło „Pommerches Wappenbuch" wydane w Szczecinie w 1843 roku, w którym pomieszczone zostały wizerunki 519 herbów rodów pomorskich, wśród nich herby znamienitych rodów: Żarnow, Natzmerów, Bandemerów - kolejnych właścicieli majątku Objazda.

W roku 1780 wieś, w której tylko starsi mieszkańcy mówili jeszcze po kaszubsku, przejął major Jakob Georg von Bandemer, pruski junkier, należący do szlacheckiej klasy społecznej, korzeniami sięgającej końca okresu panowania Krzyżaków w Prusach. W II połowie XV wieku Prusy krzyżackie były wyludnione i zubożone wojną trzynastoletnią. Wobec pustej kasy zakonu niemieckim dowódcom zamiast pieniędzy początkowo dawano pod zastaw ziemię, która z czasem przechodziła na własność. Tak narodziły się największe wschodniopruskie rody junkierskie.

Inaczej ród Bandemerów przedstawia legenda. Stało się tak, że dwóch małych chłopców morze wyrzuciło na brzeg w Rowach. Rybacy przygarnęli małych rozbitków, ale nie potrafili okiełznać ich pirackiej natury. Gdy chłopcy dorośli, na Rowokole założyli piracki gniazdo i stamtąd łupili przepływające statki. Nazywano ich „bande meer", stąd - według legendy - nazwisko rodu.

Około roku 1820 roku Objazda stała się własnością Karla von Schlieffena, rezydującego w Berlinie i gospodarującego majątkiem przez pełnomocnika. Następnie majątek Wobesde kupił za 42 tysiące talarów hrabia von Krockow, a w 1838 wieś została własnością wysokiego urzędnika państwowego Eugena Kutschera. Majątek

pozostał w rękach rodu Kutcherów do 1945 roku i stał się prawdziwym centrum gospodarczym okolicy.

Do wsi Objazda należał folwark Marłowo (Masłowo) oraz tzw. Glinnik i młyn wodny w Bałamątku (Alte Mühle). Niestety, młyn przestał pracować ze względu na niski poziom wody w rzeczce, a 75 hektarową działkę młynarza w 1847 roku rozparcelowano między chłopów. We wsi (Alte Mühle) było wówczas łącznie 25 gospodarstw. W tym czasie mówiono już wyłącznie po niemiecku - odnotowuje Ludwig Wilhelm Brüggemann, niemiecki pastor, autor opisu Prowincji Pomorskiej.

Do majątku należał duży obszar Objejskich Łąk, które w latach trzydziestych zmeliorowano, a od około 1925 roku planowo eksploatowano jako torfowiska. W Objeździe powstał powiatowy zakład wydobycia torfu (Kreistorfwerk). Był to cenny materiał opałowy, który transportowano lokalną kolejką po specjalnie wybudowanej od dworca w Objeździe bocznicy. Linia kolejowa (Stolper Kreisbahn) funkcjonowała od 6 grudnia 1913 roku do marca 1945 roku. Wkroczenie wojsk radzieckich było początkiem dewastacji linii. Pozostały jedynie nasypy, którymi obecnie przebiega trasa rowerowa zwana potocznie „szlakiem zwiniętych torów". Ślady dawnej stacji kolejowej można odnaleźć na wysokości przecięcia drogi Objazda - Rowy i dawnego nasypu kolejowego w Bałamątku.

Rozeta na kominie gorzelni w Objeździe.

Torf i jego kopanie znane było na terenie wokół jeziora Gardno od XVII wieku. Na pamiątkę do dziś Skansen w Klukach organizuje corocznie „Czarne wesele".

Od 1869 roku w majątku funkcjonowała gorzelnia. Nad krajobrazem wsi górował jej wysoki murowany komin. Przerabiano tu nadwyżki zbóż, ziemniaków, buraków. Gorzelnia funkcjonowała przez wiele powojennych lat, nad halą produkcyjną znajdowało się mieszkanie kierownika. Gorzelnia została zamknięta ok. roku 1989 - w czasie likwidacji PGR. W roku 2005 nowy prywatny właściciel rozpoczął częściową rozbiórkę i przebudowę obiektu, zaniechaną po krótkim czasie. Okazały obiekt niszczeje, potężny komin pozostał, ale jaki będzie jego los?

Ostatnią panią Wobesde była Käte Kutscher z domu von Ehlert. Jej symboliczny nagrobek znajduje się na przykościelnym lapidarium rodu Kutscherów na wprost pałacu. Obecni właściciele wykorzystują budynki gospodarcze w zmienionej funkcji, a pałac ciągle czeka na restaurację.

STARY DWÓR I PAŁAC

Zbudowany w końcu XIX wieku przez Ernesta Kutschera neoklasycystyczny pałacyk był siedzibą rodu do 1945 roku. Przedwojenna pocztówka i współczesna fotografia.

Stary drewniany dwór spłonął ostatecznie 3 listopada 1882 roku. W majątku Kutscherów pierwszy pożar wybuchł 11 czerwca 1874 r. i był pośrednią przyczyną śmierci trzy miesiące później, we wrześniu tego samego roku, Eugena Kutschera, właściciela majątku przez 36 lat i urzędnika powiatowego w Słupsku. W latach 1895-1897 jego syn Ernst wybudował nowy budynek mieszkalny.

Pałac czy dwór był w każdej niemal wsi Hinterpommern lub inaczej Tylnego Pomorza, a współcześnie rzecz ujmując - Pomorza Zachodniego. Po zgonie Bogusława XIV, wuja Ernesta Bogusława księcia de Croy, którego sarkofag znajduje się w Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku, także Słupsk wyniszczony wojną, kontrybucjami, zarazami, pobytem wojsk szwedzkich i pruskich szukał swej szansy. Dopiero w końcu XVII wieku, po ustabilizowaniu sytuacji polityczno-gospodarczej w okolicy zaczęły powstawać pierwsze bogate siedziby szlacheckie. W architekturze pomorskiej tego czasu dominowały wpływy szwedzkie i holenderskie z charakterystycznymi zwartymi bryłami budynków o kopertowej konstrukcji dachów. Jako przykład posłużyć może pałac w Warcinie koło Słupska z 1664 roku, rozbudowany po ponad stu latach, i później na przełomie XIX i XX wieku. Zadbany, dobrze utrzymany, został wizytówką ziemi słupskiej, dlatego widnieje jako logo strony internetowej powiatu słupskiego. Dziś wzorowo utrzymany pałac i park jest siedzibą zespołu szkół leśnych.

W wieku XVIII i do ostatniej ćwierci XIX w., po zwycięstwie Prus nad Francją, na Pomorzu powstają okazałe rezydencje z rozległymi parkami na wzór francuski, pomiędzy dziedzińcem a ogrodem. Wokół dziedzińca sadowiono budynki gospodarcze o wyszukanej formie architektonicznej. Natomiast ogrody rozwinęły się w parki krajobrazowe. W II połowie XIX wieku dzięki dobrej sytuacji gospodarczej w Niemczech, a także dzięki polityce subsydiowania wielkiej niemieckiej własności ziemskiej w ramach Kulturkampfu, powstały liczne, choć niewielkie dwory na Pomorzu Środkowym i Zachodnim. Świadectwem tamtego czasu są między innymi pałace w Gąbinie, Lubuczewie i okolicznych wsiach. Ostatnim przedwojennym właścicielem majątku w Lubuczewie był Eberhard von Braunschweig. Znano go jako antyfaszystę, za co był szykanowany i wielokrotnie aresztowany. Ostatni raz po zamachu 20 lipca 1944 roku. Dlatego nie bał się wkroczenia Rosjan. Czekał na nich w domu. Pijani sołdaci rozstrzelali go wraz z żoną i najbliższymi. Stanisław Szpilewski w opracowaniu tekstowym do albumu Jana Maziejuka „Pałace i dwory ziemi słupskiej" napisał: „przeprowadzony z konieczności w skrócie, przegląd wybranych rezydencji znajdujących się w powiecie słupskim potwierdza nie tylko skomplikowaną historię tych ziem i ich powiązania kulturowe z Europą, ale również indywidualne tragedie wielu ludzi mieszkających tu przed laty".

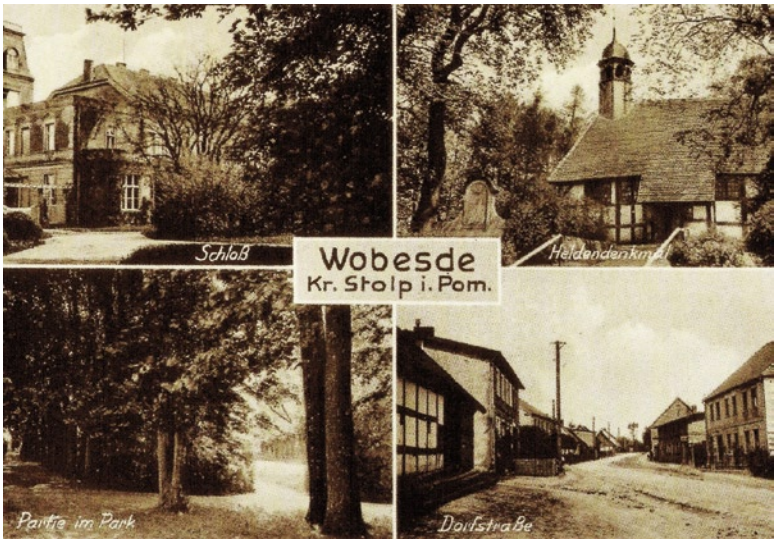

Czterodzielna przedwojenna pocztówka z Objazdy ze zdjęciami dworu, kościoła, parku i głównej ulicy.

Ernest Kutscher w roku 1897 zakończył budowę istniejącego do dziś w Objeździe pałacu z cegły, otynkowanego, na kamiennym fundamencie, pokrytego naczółkowym dachem. Od północy bryłę pałacu zamyka trzykondygnacyjna wieża nakryta ściętym

czterospadowym dachem. Północne wejście wyposażono w drewniane schody z pięknymi tralkami, a widok z wieży obejmuje cały majątek. Neoklasycystyczny pałac znajduje się na terenie ponadhektarowego parku z rzadkimi okazami drzew, a obok posadowiono okazałe zabudowania gospodarcze. Po wojnie były w nim biura i mieszkania pracowników miejscowego PGR. Od lat 60. do 1993 roku pałac zajmowała szkoła podstawowa, w parku odbywały się zabawy i wiejskie uroczystości (dożynki), dzieci grały w piłkę, dorośli spacerowali. Obecnie pałac i park są własnością prywatną, niedostępną dla mieszkańców wsi. Nowi właściciele wykorzystują budynki gospodarcze w zmienionej funkcji, a pałac ciągle czeka na restaurację.

WIEŚ I GOSPODA

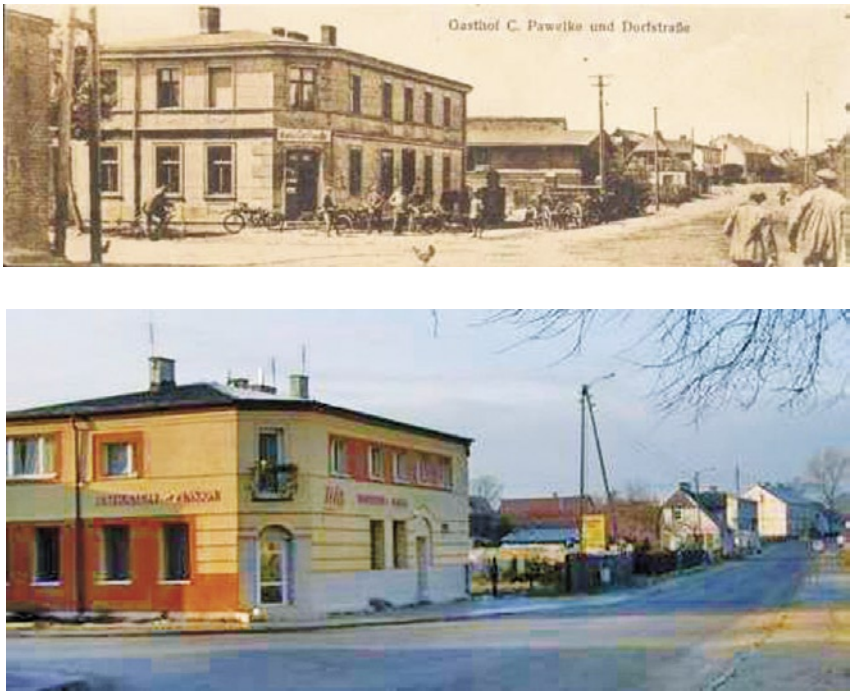

Objazda, gospoda dawniej i dziś.

Wieś ma charakter ulicówki. Przy głównej ulicy funkcjonowała gospoda, której ostatnim właścicielem - jak podaje Karl-Heinz Pagel w opracowaniu „Der Landkreis Stolp in Pommern" - był Carl Pawelke. Budynek pozostał w niezmienionym kształcie. Z pewnością zatrzymywał się tu jadący do Rowów Max Pechstein (1881-1955), malarz z Berlina, który w latach 1927-1933 urządzał w Rowach plenery malarskie. Jego prace są artystycznym dokumentem swego czasu nadmorskiej miejscowości.

Przez wiele lat, już w okresie powojennym, w narożnym budynku w centrum wsi mieściły się sklepy - spożywczy na parterze i tekstylny na piętrze. W latach 50. - 70. ubiegłego stulecia w sali widowiskowej przy czynnej gospodzie odbywały się seanse filmowe kina objazdowego, zabawy wiejskie i uroczystości państwowe. Dziś pensjonat jest własnością prywatną i funkcjonował tylko w sezonie letnim, w ostatnim czasie zaprzestano i tej działalności. Duża sala widowiskowa od dawna nie jest wykorzystywana.

KOŚCIÓŁ

Najcenniejszym zabytkiem Objazdy, a także regionu, jest umiejscowiony w środku wsi na wzgórzu malowniczy kościółek z pruskiego muru, czyli szkieletowej konstrukcji wypełnionej murem z cegły - charakterystycznej dla pomorskiego budownictwa. (Szczegółowa historia kościoła znajduje się w kolejnych rozdziałach.) Od 1590 roku - podaje Pagel - kościół w Objeździe był filią Rowów. Na początku XX wieku planowano przeniesienie parafii do Objazdy z uwagi na centralne położenie wsi, uruchomienie urzędu pocztowego i dworca kolejowego. Jednak do realizacji decyzji władz kościelnych z 1921 roku nie doszło z powodu kosztów związanych z budową plebanii. W 1925 roku tylko ośmioro mieszkańców deklarowało katolicyzm, należeli do parafii katolickiej w Słupsku. Przed wojną w kościele w Objeździe nabożeństwa odbywały się w porządku ewangelickim.

WIATRAKI

Pierwsza znana pisemna wzmianka o istniejącym wiatraku na dzisiejszych ziemiach polskich pochodzi z 1289 roku. Jest to zapis książąt pomorskich na rzecz szczecińskich cysterek, w którym wymieniony jest istniejący już wiatrak. Z 1271 roku pochodzi zaś zezwolenie na budowę młynów poruszanych powietrzem wydane klasztorowi w Białobokach przez księcia Wacława z Rugii. We wsi Objazda tuż po wojnie działały dwa młyny, podobnie jak w okresie przedwojennym, kiedy młynarzami byli Heinrich Damaschke i Witwe Lietzke. Do lat 60. ubiegłego wieku przetrwał i służył mieszkańcom Objazdy młyn drewniany typu holenderskiego. Ostatnim młynarzem i jego właścicielem był Wilhelm Wieliczko. „Holender" był młynem, którego skrzydła napędzane były siłą wiatru. Ruchoma kopuła umożliwiała ustawienie śmigieł odpowiednio do kierunku wiatru. Młyny wiatraczne powstawały masowo w XIX wieku, kiedy zastępowano nimi młyny wodne. Pod koniec wieku było ich

około sześć tysięcy, najwięcej w Wielkopolsce i na Pomorzu. Niemal każda wieś pomorska miała co najmniej jeden wiatrak. Najwięcej było ich między Ustką a Darłowem. Były oznaką postępu i dumą wsi. Drugi wiatrak w Objeździe typu paltrak (obracał się cały młyn osadzony na fundamencie) funkcjonował przy linii kolejowej na Bałamątku. Ostatnim młynarzem był Tomasz Zaczek, który zajmował się także wypiekiem chleba. Obecnie wśród żarnowców na wzniesieniu za wsią można znaleźć kamień z dawnych fundamentów młynów i piekarni.

KUŹNIA

Stara kuźnia w Objeździe pod numerem 65.

Stara przedwojenna kuźnia działała do 1963 roku. Carl Pagel wymienia dwóch kowali okresu przedwojennego, niejakiego Krause i Carla Marza. We wrześniu 1945 roku przybył do Objazdy wraz z dwa tygodnie wcześniej poślubioną w Kieleckiem żoną Józef Kubała - kowal. Zawodu nauczył się w kuźni ojca. Wokół małego, z czerwonej cegły budyneczku kuźni w Objeździe ruch był duży. Kowal naprawiał maszyny rolnicze, podkuwał konie, wykonywał drobne ozdoby kowalskie. Pierworodny syn urodził się w Objeździe w maju 1946 roku. Niestety, nikt nie przejął spuścizny zawodowej pana Józefa. Budynek istnieje do dziś, jest własnością prywatną spadkobierców ostatniego kowala.

Na cmentarzu komunalnym w Objeździe pozostały kamienie nagrobne i resztki ogrodzenia mogił.

Na wzniesieniu na wprost kościoła, po przeciwnej stronie drogi przecinającej wieś - „ulicówkę", założony został prawdopodobnie w XIX wieku, dziś ma status cmentarza komunalnego pod opieką Urzędu Gminy w Ustce. Z okresu przedwojennego do dzisiaj zachowała się jedna mogiła, której granice wytycza ozdobna barierka z lanego żeliwa oraz jedyny żeliwny krzyż, którego pierwotne miejsce posadowienia jest nieznane. Krzyż upamiętnia Carla Welke zmarłego w sierpniu 1876 r. i jego żonę Karoline z domu Duske, która zmarła w lipcu 1918 roku. Na obrzeżu znaleźć można kamienie z dawnymi żałobnymi sentencjami.

Jeszcze na przełomie lat 80/90 XX w. znajdowały się tu żeliwne krzyże nagrobne. Dziś spotkać można pojedyncze kamienie z tabliczkami nagrobnymi. Czas założenia cmentarza najlepiej określają wysokie świerki, wyznaczające jego kształt. Zacierają się ślady przeszłości. Czas i wymogi

Na cmentarzu w Objeździe

po dawnych nagrobkach nie ma śladu
po krzyżach żeliwnych
blizny zielenią zarosły
jedynie w kącie
wśród bzowych chaszczy
kamienie się modlą
Was Gott tut das ist wohlgetan

zamknięta w bryle dusza anioła
skrzydła zwinęła
szare jak miniony czas
tylko ta łza na policzku
dlaczego nie spadła
w niepamięć poza granice
Twojej woli Panie
gdzie kamień się modli
hier ruhet in Gott

płomyki rudych liści
sypią się szelestem
w klepsydrze zdarzeń
łzy anielskie
bądź wola Twoja Panie
jak kamień

nowego życia nie są sentymentalne. Warto ocalić pamiątki dawnych lat - znaki historii i memento, że nic nie jest wieczne. Kamienie cmentarne, stare nagrobki, fotografie przeniosły ponad czasem zapisane kiedyś zdarzenia. Od nas zależy czy potrafimy je odczytać i włączyć w tworzoną wspólnotową świadomość.

Pogrzeb rocznej Halinki Zamościkówny w marcu 1952 roku.

WSZYSTKO OD POCZĄTKU

W czasie wojennej zawieruchy wszystko się zmieniło, a powojenny porządek wyznaczały przede wszystkim nowe granice państw ustanowione układem jałtańskim. Objazda, wieś w powiecie słupskim, województwie gdańskim (M.P. z 1945 r. Nr 29, poz. 77), następnie od czerwca 1946 roku w szczecińskim i następnie koszalińskim, administracyjną przynależność zmieniała wiele razy. Pierwszymi mieszkańcami wsi byli ci, którzy zdecydowali się zostać, jak na przykład Gustaw Schulz z rodziną oraz Polacy, którzy w czasie wojny przebywali tu na robotach przymusowych, następnie młodzi Niemcy, których gorące uczucia były silniejsze niż obawa przed nową rzeczywistością. Przez jakiś czas mieszkali często razem - ci którzy sposobili się do wyjazdu i ci, którzy gdzieś na Kresach lub Podlasiu musieli opuścić swe domy. Wkrótce wieś zaludniła się na nowo. Przybywali osadnicy wojskowi, uchodźcy zza

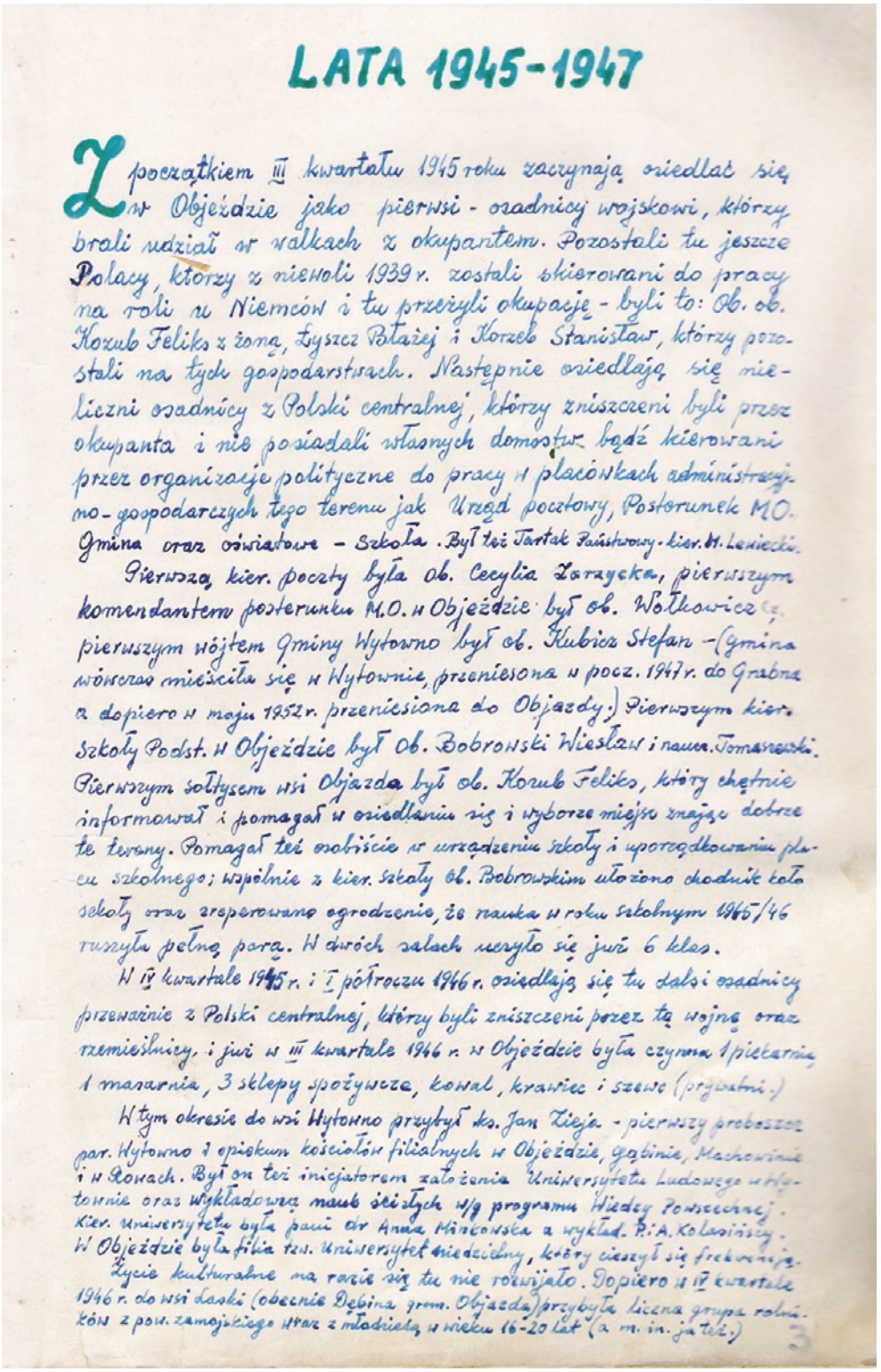

LATA 1945-1947

Z początkiem III kwartału 1945 roku zaczynają osiedlać się w Objeździe jako pierwsi - osadnicy wojskowi, którzy brali udział w walkach z okupantem. Pozostali tu jeszcze Polacy, którzy z niewoli 1939 r. zostali skierowani do pracy na roli u Niemców i tu przeżyli okupację - byli to: Ob. ob. Kozub Feliks z żoną, Tyszer Bolesław i Korzeb Stanisław, którzy pozostali na tych gospodarstwach. Następnie osiedlają się nieliczni osadnicy z Polski centralnej, którzy zniszczeni byli przez okupanta i nie posiadali własnych domostw bądź kierowani przez organizacje polityczne do pracy w placówkach administracyjno-gospodarczych tego terenu jak Urząd pocztowy, Posterunek MO. Gmina oraz oświatowe - Szkoła. Był też Tartak Państwowy - kier. M. Leniecki.

Pierwszą kier. poczty była ob. Cecylia Zarzycka, pierwszym komendantem posterunku M.O. w Objeździe był ob. Wołkowicz (?), pierwszym wójtem Gminy Wytowno był ob. Kubicz Stefan - (Gmina wówczas mieściła się w Wytownie, przeniesiona w pocz. 1947 r. do Grabna a dopiero w maju 1952 r. przeniesiona do Objazdy.) Pierwszym kier. Szkoły Podst. w Objeździe był Ob. Bobrowski Wiesław i nauczyciel Tomaszewski. Pierwszym sołtysem wsi Objazda był ob. Kozub Feliks, który chętnie informował i pomagał w osiedlaniu się i wyborze miejsc znając dobrze te tereny. Pomagał też osobiście w urządzeniu szkoły i uporządkowaniu placu szkolnego; wspólnie z kier. szkoły ob. Bobrowskim ułożono chodnik koło szkoły oraz zreperowano ogrodzenie, że nauka w roku szkolnym 1945/46 ruszyła pełną parą. W dwóch salach uczyło się już 6 klas.

W IV kwartale 1945 r. i I półroczu 1946 r. osiedlają się tu dalsi osadnicy przeważnie z Polski centralnej, którzy byli zniszczeni przez tą wojnę oraz rzemieślnicy, i już w III kwartale 1946 r. w Objeździe była czynna 1 piekarnia, 1 masarnia, 3 sklepy spożywcze, kowal, krawiec i szewc (prywatni).

W tym okresie do wsi Wytowno przybył ks. Jan Zieja - pierwszy proboszcz par. Wytowno i opiekun kościołów filialnych w Objeździe, Gąbinie, Machowinie i w Rowach. Był on też inicjatorem założenia Uniwersytetu Ludowego w Wytownie oraz wykładowcą nauk ścisłych w/g programu Wiedzy Powszechnej. Kier. Uniwersytetu była pani dr Anna Mirkowska a wykład. P. i A. Kolasińscy. W Objeździe była filia tzw. Uniwersytet niedzielny, który cieszył się frekwencją.

Życie kulturalne na razie się tu nie rozwijało. Dopiero w IV kwartale 1946 r. do wsi daski (obecnie Dębina gmina Objazda) przybyła liczna grupa rolników z pow. zamojskiego wraz z młodzieżą w wieku 16-20 lat (a m. in. ja też.)

3

Zapisana odręcznym pismem pierwsza kartka „Kroniki Objazdy" Romana Zuba.

Buga i ci, którym ciasno było w rodzinnym domu. Już w latem 1945 roku przybywali pierwsi: spod Bydgoszczy, z Kielecczyzny i innych stron.

Roman Zub, świetny kronikarz Objazdy, zapisał starannym odręcznym pismem: „Lata 1945-1947. Z początkiem III kwartału 1945 roku zaczynają osiedlać się w Objeździe jako pierwsi - osadnicy wojskowi, którzy brali udział w walkach z okupantem. Pozostali tu jeszcze Polacy, którzy z niewoli 1939 zostali skierowani do pracy na roli u Niemców i tu przeżyli okupację -byli to: ob.,ob. Kozub Feliks z żoną, Łyszcz Błażej i Korzeb Stanisław, którzy pozostali na tych gospodarstwach. Następnie osiedlają się nieliczni osadnicy z Polski centralnej, którzy zniszczeni byli przez okupanta i nie posiadali własnych domostw bądź kierowani przez organizacje polityczne do pracy w placówkach administracyjno - gospodarczych tego terenu, jak Urząd Pocztowy, Posterunek MO, Gmina oraz oświatowe - szkoła. Był też - Tartak Państwowy, kier. M. Lewiecki.

Pierwszą kier. poczty była ob. Cecylia Zarzycka, pierwszym komendantem posterunku MO w Objeździe był ob. Wołkowicz Cz., pierwszym wójtem gminy Wytowno był ob. Kubicz Stefan - (Gmina mieściła się w Wytownie, przeniesiona w pocz. 1947 roku do Grabna, a dopiero w maju 1952 r. przeniesiona do Objazdy). Pierwszym kier. Szkoły Podst. w Objeździe był ob. Bobrowski Wiesław i naucz. Tomaszewski.

Pierwszym sołtysem wsi Objazda był ob. Kozub Feliks, który chętnie informował i pomagał w osiedlaniu się i wyborze miejsc znając dobrze te tereny. Pomagał też osobiście w urządzeniu szkoły i uporządkowaniu placu szkolnego; wspólnie z kier. szkoły ob. Bobrowskim ułożono chodnik koło szkoły i zreperowano ogrodzenie, że nauka w roku szkolnym 1945/46 ruszyła pełną parą. W dwóch salach uczyło się już 6 klas. W IV kwartale 1945 r. i pierwszym półroczu 1946 r. osiedlają się tu dalsi osadnicy, przeważnie z Polski centralnej, którzy byli zniszczeni przez tą wojnę i rzemieślnicy, i już w III kwartale 1946 roku w Objeździe była czynna 1 piekarnia, 1 masarnia, 3 sklepy spożywcze, kowal, krawiec i szewc (prywatni).

W tym okresie do wsi Wytowno przybył ks. Jan Zieja - pierwszy proboszcz parafii Wytowno i opiekun kościołów filialnych w Objeździe, Gabinie, Machowinie i Rowach. Był też inicjatorem założenia Uniwersytetu Ludowego w Wytownie oraz wykładowcą nauk ścisłych w-g programu wiedzy powszechnej. Kier. Uniwersytetu była pani dr Anna Minkowska a wykład. P. i A. Kolasińscy. W Objeździe była filia, tzw. Uniwersytet Niedzielny, który cieszył się frekwencją.

Życie kulturalne na razie się tu nie rozwijało. Dopiero w IV kwartale 1946 r. do wsi Laski (obecnie Dębina grom. Objazda) przybyła liczna grupa rolników z pow. zamojskiego wraz z młodzieżą w wieku 16 - 20 lat (m.in. ja też)."

Dodajmy dla uzupełnienia: sklepy spożywcze mieściły się w budynkach o dzisiejszej numeracji: 70 (u pana Antoniego Szuberta) i na parterze dzisiejszego budynku po byłej gospodzie, gdzie przez wiele lat sprzedawała pani Irena Jaroszewska. Krawiectwem ciężkim trudnili się pan Jan Brzywca (nr domu 71) i pan Stanisław Zamościk, panie szyły u pani Gertrudy Duszyńskiej lub u pani Leokadii Chedowej. Masarnia mieściła się naprzeciw poczty, w okazałym budynku, gdzie mieszkali państwo Józef i Julia Leśkowie. Na poczcie kolejno urzędowali, pełniąc funkcję naczelnika poczty, wymieniona w „Kronice Objazdy" pani Cecylia Zarzycka, następnie pan Jan Waszkiewicz i jego żona Anna, a później pani Barbara Szczasiuk. Szewstwem trudnił się pan Henryk Nielepkiewicz. Jednym słowem, wieś była przygotowana do roli ośrodka gromadzkiego życia. Gromada Objazda została utworzona na mocy uchwały nr 43/54 WRN w Koszalinie 5 października 1954 roku. Wieloletnim przewodniczącym GRN był pan Tadeusz Jaroszewski. Objazda jako wieś gromadzka istniała do końca 1972 roku, a od stycznia 1973 utworzono gminę Objazda, którą zniesiono 1 lipca 1976 roku.

PÓJDŹ DZIECIĘ..., CZYLI HISTORIA SZKOŁY

Pierwsze wzmianki o szkole w Objeździe pojawiają się w zapiskach z 1707 roku. W tym czasie urzędnik kościelny Paweł Kotz, mieszkający obok kościoła, udzielał się jako nauczyciel w szkole niedzielnej. Około 1760 roku szkoła była wizytowana, co odnotowano w kronice i co potwierdza informację, że budynek w centrum wsi służył w latach 1786-1852 jako szkoła, która w 1819 roku liczyła 28 dzieci, a do 1864 roku liczba uczniów wzrosła do 120. W związku z tym stało się oczywiste, że rozszerzenie budynku szkoły jest konieczne. W 1852 roku powstał nowy budynek, a w lecie 1886 roku działka szkolna została powiększona o około 50 arów darowanych przez właścicieli majątku Wobesde, Kutcherów. Dwa lata po wielkim pożarze, w roku 1884 we wsi wybuchła epidemia dyfterytu. Jej skutki odnotował ówczesny nauczyciel Heinrich Steinke. Zaraza zabrała czterdzieścioro dzieci, w tym dwóch synów nauczyciela. Heinrich Steinke na polecenie starostwa zamknął szkołę na czas kwarantanny.

Pierwszy budynek szkolny wybudowano najprawdopodobniej w 1786, ale już w 1852 roku potrzebny był nowy, większy. Ostatni szkolny budynek posadowiony obok kościoła powstał w 1931 roku i był prawdziwą ozdobą wsi. Masywny, przedzielony korytarzem na dwie części, w jednej mieścił mieszkanie nauczyciela, w drugiej dwie szkolne klasy.

Jednym z najbardziej znanych nauczycieli był Theodor Scharnofske, który pracował w szkole 35 lat. Kiedy zmarł w wieku 71 lat, cała wiejska społeczność podczas pogrzebu 23 lutego 1930 roku stała przy trumnie, aby się z nim pożegnać. Od 1924 roku w szkole pracował też Paweł Scharnofske, a od 1928 Karl Maska. Był też nauczyciel znany tylko z imienia, Thomas. W 1932 w trzystopniowej szkole uczyło się 119 uczniów w trzech klasach pod opieką dwóch nauczycieli.

Pocztówka z Objazdy z roku 1942 przedstawia obóz Służby Pracy Rzeszy 3/41 „Heinrich v. Stephan", sklep kolonialny Paula Reenhaka i obozową kantynę.

W okresie Rzeszy w szkolnym budynku znajdował się „Departament 3/41"„Standort", czyli Służba Pracy Rzeszy (niem. Reichsarbeitsdienst, w skrócie RAD). Była to organizacja przystosowania obywatelskiego i wojskowego młodzieży w III Rzeszy według pomysłu Konstatntina Hierla. Organizacja kształtowała „postawę młodzieży wobec państwa poprzez pracę". Początkowo do organizacji wstępowali ochotnicy, od 1935 roku wprowadzono zarządzenie

o obowiązku sześciomiesięcznej pracy na rzecz państwa, któremu podlegali mężczyźni w wieku od 18 do 25 lat, a od 4 września 1939 roku także kobiety.

W 1945 roku nie wszyscy mieszkańcy wsi byli ewakuowani przed nacierającymi Rosjanami. Niektórzy wyjeżdżali na własną rękę.

PO WOJNIE

Po wojnie szkoła była w każdej, nawet najmniejszej wsi. W Rowach, Dębinie, Machowinku, Wytownie, Gardnie Wielkiej, Objeździe i wielu innych wioseczkach ziemi słupskiej. Roman Zub zanotował w „Kronice Objazdy" nazwisko pierwszego kierownika szkoły w Objeździe, Wiesława Bobrowskiego, zdemobilizowanego żołnierza oraz nauczyciela Tomaszewskiego. Nazwiska ludzi organizujących oświatę na Ziemiach Odzyskanych giną wobec naporu drapieżnej współczesności, której wyznacznikiem jest likwidacja małych „nierentownych" szkół. Liczy się rachunek ekonomiczny, jakieś doraźne krótkowzroczne interesy. Ginie to, co szkoła wnosiła do lokalnej społeczności. W Machowinku starsi mieszkańcy pamiętają Zofię Moj, w Gąbinie Bronisława Tomaszewskiego, w Dębinie Stanisława Powałkę i Zdzisława Gruszczyńskiego, w Wytownie Pawła Kolasińskiego, w Gardnie Wielkiej...

Wokół szkoły integrowała się wiejska społeczność. Spoiwem była przyszłość dzieci, ale również chęć wzajemnego poznania się, wspólnego działania. Zabawy taneczne z przeznaczeniem dochodu na cele szkolne, praca na rzecz szkoły, wycieczki, przedstawienia to działania integrujące całą wiejską społeczność bez względu na wykształcenie, pochodzenie, status ekonomiczny. W publikacjach omawiających tamten czas historyczny podkreśla się szczególną rolę szkoły w tworzeniu spójnej społeczności. „Integrację ziem przyznanych Polsce po II wojnie światowej z resztą kraju zamierzano osiągnąć m.in. przez zorganizowanie i rozbudowanie na tych terenach gęstej sieci polskich szkół, bibliotek, czytelni, teatrów, instytucji i placówek kulturalnych. Doceniano integracyjną i kulturotwórczą rolę placówek oświatowych i nauczycieli, którzy zachęcali uczniów i komitety rodzicielskie do pomocy w organizowaniu otwartych dla mieszkańców uroczystości, akademii, festynów, zabaw z okazji różnorodnych świąt" - pisze Barbara Techmańska w publikacji „Młodzież musi wrosnąć w te ziemie". „Wielką zasługą nauczycieli był stosunkowo szybki rozwój szkolnictwa na Ziemiach Zachodnich i Północnych - do 1946 szkoła powszechna objęła na tych terenach

ponad 0,5 mln dzieci, przyczyniając się do stabilizacji, adaptacji i integracji napływowej ludności" - podaje hasło „Oświata" w „Encyklopedii" PWN.

Oczywiste, oświata i kultura w tamtych trudnych czasach stawały się jednocześnie narzędziem indoktrynacji, odnotujmy ten fakt, by wyprzedzić zarzuty. Niemniej, cel główny został osiągnięty. Właściwie wystarczyło jedno pokolenie, by upowszechnić wiedzę, rozbudzić aspiracje i dać szansę nauki młodzieży wiejskiej i robotniczej. W roku 1957 studia wyższe podejmowało tylko około 20 proc. młodzieży z chłopskim rodowodem. Na jakość kształcenia, przygotowanie do dalszej nauki wpływ miały środowisko domowe, szczególnie aspiracje rodziców, oraz szkoła z jej kadrą nauczycielską. Mimo to zdolni uczniowie pokonywali rozliczne przeszkody i podejmowali naukę w szkołach średnich i wyższych. W 1968 roku peerelowskie władze wprowadziły punkty za pochodzenie społeczne, by ułatwić młodzieży robotniczej i chłopskiej dostanie się na studia. Skutki tego kroku, zamierzonego jako kara dla zbuntowanej inteligencji po wydarzeniach marca 1968 roku, okazały się wbrew pozorom niekoniecznie negatywne. Decyzja do dziś budzi kontrowersje, wciąż powracają podszyte emocjami dyskusje o politycznym aspekcie decyzji Władysława Gomułki.

Szkolne zdjęcie z roku 1956 lub 1957 z nauczycielką Ireną Kuropatwą wykonane na szkolnym podwórku obok kościoła.

Wiejskie szkoły, jak cała oświata, podlegały kolejnym reformom, w tej kwestii nic się nie zmieniło. Dlatego życzenia obecnego dyrektora szkoły w Objeździe, Jacka Goreńskiego, kierowane do nauczycieli: „byśmy umieli przyjąć i przeżyć kolejne reformy", były jak najbardziej na czasie. Tak przecież musi być, szkoła się zmienia, bo zmienia się świat wokół. Przykład szkoły w Objeździe ilustruje ten fakt dokładnie. Poniemiecki budynek przetrwał wojnę i o nim pisze Roman Zub w „Kronice Objazdy". Chodziłam do tej szkoły. Pamiętam zielone szkolne ławki z dziurą na kałamarz i wgłębieniem na obsadkę oraz czarną, smarowaną jakimś olejem podłogę. Obok był kościół i przykościelny cmentarz, który z upodobaniem odwiedzali przerośnięci uczniowie starszych klas, by potem opowiadać nam czarne, niesamowite opowieści. Panie nauczycielki były miłe i uczyły wszystkiego - od polskiego po rysunki. Z roku na rok budynek stawał się za ciasny, niewygodny, nieprzystosowany do zmieniających się czasów. Nauka odbywała się w kilku innych miejscach, między innymi w domu pod obecnym numerem 1. Wreszcie szkołę przeniesiono do starego pałacu. Problemy nie zniknęły, a raczej ich przybywało. Dopiero desperackie wysiłki całej wiejskiej społeczności, wiara w kroplę, która drąży skałę, nękanie tzw. wyższych szczebli i zapach nowych czasów, to wszystko sprawiło, że w 1993 roku Objazda doczekała się szkoły, której nie wstydziłoby się nawet duże miasto. Społecznym Komitetem Budowy Szkoły kierowali kolejno: p. Bogusław Huczyński - dyrektor szkoły w latach 1984-1986, p. Czesław Wąwoźniak (1986-1988), p. Teresa Pokorska (1988-1992), p. Zdzisław Lesiecki. Nauczyciele opodatkowali się na rzecz budowy szkoły, lokalna społeczność zbierała fundusze na konieczny wówczas „wkład społeczny", inicjatywie sprzyjał wójt gminy Ustka pan Tomasz Wszółkowski.

Od ponad dwudziestu lat szkoła wciąż jest piękna, z pełnowymiarową salą gimnastyczną, położona w cichej okolicy. Niektórzy zastanawiają się, dlaczego oddalona jest od wsi o kilkaset metrów, a to żywa pamiątka tamtego okresu. W planach była rozbudowa pegeerowskiego osiedla mieszkaniowego, również nadleśnictwo planowało budowę mieszkań pracowniczych przy uliczce prowadzącej do szkoły. Wszystkie plany spełzły na niczym. PGR się rozpadł, nadleśnictwo przyjęło nowe zasady. Tylko szkoła powstała. Najważniejsze było spowodować świadomość, że nowa, bezpieczna i wygodna szkoła jest potrzebna. Później - tak jak z każdym dziełem - idzie trochę siłą rozpędu. Trzeba było zacząć. I włączyć do tego wszystkich.

Pan Jerzy Kuźmiński (zm. 2017) pracował w szkole jako woźny - niezastąpiony w każdej sytuacji.

Jedno wspomnienie z tego okresu jest plastyczne jak plakat. Rozpoczęły się prace ziemne przy budowie szkoły. Spycharka zerwała kabel telekomunikacyjny. Ówczesny dyrektor PGR pan Czesław Wąwoźniak, który był w komitecie budowy, stwierdził, że dalej trzeba kopać ręcznie. Zmobilizowani mieszkańcy z łopatami poszli na plac budowy. Najpierw szła Renia Brzywcy - przewodnicząca Komitetu Rodzicielskiego. Jerzy Kuźmiński sceptycznie podchodził do sprawy. Nie wierzył, że jego nienarodzony syn doczeka nowej szkoły. Mylił się. Paweł uczył się w nowej szkole, a pan Jurek znalazł w niej pracę.

Nowa szkoła stanowi przedmiot mojej osobistej dumy. W latach 1980-1991 pełniłam funkcje zastępcy dyrektora lub dyrektora szkoły i robiłam wszystko, by powstał budynek szkolny odpowiadający potrzebom naszej społeczności. Kolejni gospodarze dbają o nią jak o swój dom. Stała się miejscem nauki dla dzieci i gimnazjalistów z okolicznych miejscowości. Nie znaczy to, że nie ma nic do zrobienia. Potrzebne są chodniki, bezpieczne ścieżki do szkoły, bo nie wszyscy są dowożeni. Nie może być tak, że dzieciaki uciekają w pole przed samochodami.

Mniej szczęścia miały inne miejscowości. Nie mają szkoły Rowy, Dębina, Machowinko, Machowino, Gardna Wielka. W Gąbinie i Wytownie szkoły prowadzą nie samorządy, a osoby fizyczne, nauczycielki, które podjęły się trudnego zadania nie tylko dla obrony miejsca pracy. Rozumiały, że szkoła potrzebna jest wsi. Szczególnie tej małej, w której przemiany ustrojowe doprowadziły do dezintegracji społecznej, ekonomicznej, kulturowej. Tylko patrzący krótkowzrocznie w likwidacji szkół widzą korzyść ekonomiczną. W dłuższej perspektywie brak ośrodka, jaki spełnia we wsi szkoła, spowoduje rozpad dawnych więzi społecznych, kulturowych, wymieranie wsi. Młodzi będą szukać miejsc, gdzie bliżej do szkoły, gdzie dzieci znajdą dla siebie przyjazną przestrzeń.

Szkoła w Wytownie istniała 68 lat, wydając 1500 absolwentów. Od 1 września 2012 roku przestała być placówką samorządową,

a jej dalszego prowadzenia podjęła się Krystyna Konieczna. Na podobnych zasadach funkcjonuje szkoła podstawowa w Gąbinie prowadzona przez Marię Weiwer. Nie ostała się szkoła w Gardnie Wielkiej mimo wysiłków jej długoletniej i oddanej dyrektorki, pani Małgorzaty Ziółkowskiej. Dzieci i młodzież gimnazjalna dojeżdżają do Smołdzina. W szkolnym budynku próbowano zainstalować sekcje GOK, niestety, bez powodzenia.

***

Jakie są wsie bez szkoły? Smutne, puste, bez perspektyw. Zamknięcie wiejskiej szkoły bezpowrotnie niszczy społeczne relacje budowane wokół niej przez lata. Przeciętych administracyjną decyzją więzi społecznych nie da się odtworzyć. Szkoły były na ziemiach zasiedlonych po II wojnie kotwicami kulturowymi, ośrodkami tworzenia więzi społecznych i związków z małą ojczyzną. W chwili obecnej we wsiach, w których nie odbudowały się zniszczone transformacją ekonomiczną i ustrojową więzi, rola szkoły powinna wzrosnąć. W niej, w odpowiednich warunkach lokalowych, dzięki odpowiedniemu wyposażeniu, powinna się odbywać promocja edukacji przez całe życie (języki, obsługa komputera, zajęcia sportowe, edukacja medyczna, itp.). Powinno stać się oczywiste, że wszystkie zasoby wiejskiej szkoły mają służyć lokalnej społeczności. Aby tak się stało, konieczne są zmiany ustawowe. Takie postulaty wynikały z odbytej w 2011 roku debaty „Szanse edukacyjne na obszarach wiejskich".

W tym miejscu po raz kolejny warto przypomnieć o regionalnych izbach pamięci organizowanych w szkołach, o celowości zbierania i eksponowania pamiątek kultury materialnej jako istotnego elementu edukacji regionalnej. Pokaźny zbiór pamiątek zgromadziła pani Zorza Sędzicka, polonistka i dyrektor Szkoły Podstawowej w Objeździe w latach 1991-2009. Ich stała ekspozycja mogłaby stanowić atrakcję turystyczną gminy.

Raz na cztery lata mieszkańcy wsi mają szansę wyboru nowych władz samorządowych. Wybieramy nie tylko naszych przedstawicieli, czyli radnych różnych szczebli samorządu. Wybieramy przede wszystkim drogi rozwoju, wśród których edukacja zawsze była najważniejsza. Zbyt często zapominamy, że „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie".

W październiku 2016 roku szkoła w Objeździe świętowała jubileusz siedemdziesięciolecia, zorganizowany staraniem dyrektora Jacka Goreńskiego i nauczycieli, głównie pań Doroty Spychał

i Wiesławy Kuźmińskiej. Podczas uroczystości padła sugestia nadania szkole imienia. Zabrałam głos i przypomniałem sylwetkę księdza Ziei, który po zakończeniu wojny trafił do Słupska. W latach 1945-1949 wypełniał różne funkcje kościelne w tamtejszych parafiach, aktywnie włączając się również w działalność charytatywną i społeczną. Był pierwszym proboszczem parafii Wytowno, do której należała Objazda. Z jego inicjatywy w Objeździe powstała filia Uniwersytetu Ludowego. Mógłby stać się patronem ZSS Samorządowych w Objeździe.

Kolejni kierownicy i dyrektorzy szkoły w Objeździe: Wiesław Bobrowski, Janina Kujel, Stanisław Wałęga, Leon Lisiecki, Lubomir Winnicki, Zdzisław Gruszczyński, Kazimierz Rybak (1971-1973), Bogdan Żabiński (1973-1978), Eugeniusz Derkacz (1978-1980), Zenon Król (1980-1984), Bogdan Huczyński (1984-1986), Czesława Długoszek (1986-1991), Zorza Sędzicka (1991-2009).

Funkcję zastępcy gminnego dyrektora szkół przez wiele lat pełniły panie: Janina Woźniak i Czesława Długoszek. Przez krótki okres szkołą kierowała pani Bogusława Baranowska.

WSPOMNIENIE O MARII TOKARSKIEJ, NAUCZYCIELCE Z OBJAZDY

Pamiętamy zwykle ostatnie spotkanie. Albo obrazy, migawki z życia. Fragmenty, bo nawet najbliżsi niewiele o nas wiedzą. Może gdyby pozbierać te kawałki, okruchy, dałoby się ułożyć coś, co byłoby dowodem osobistym, świadectwem, że byliśmy nie tylko cząstką w obrazie świata, ale wręcz przeciwnie - światem całym - dla tych, których kochaliśmy i którzy nas kochali.

Maria Tokarska (1935-1996), nauczycielka z Objazdy.

Obraz przedostatni. Lipcowe przedpołudnie. W ogródku po wschodniej stronie domu Kasia schylając się plewi grządkę z ostróżkami. Wysokie kwiaty wyrastają poza ogrodzenie. Po drugiej stronie płotu, oparta ręką o zieloną ramę przęsła, stoi Pani Maria. Dawno jej nie widziałam, bo już nie pracuje. Wydaje się szczuplejsza i bledsza. Podchodzę bliżej, pozdrawiam. Obie panie uśmiechają się, rozmawiamy, chwalimy piękną pogodę. Nie narzeka, nie skarży się, mimo to odczuwam niepokój, bo duże oczy pani Marii przeczą uśmiechowi. Widzę w nich za piątą zasłoną z miłości do córki, obawy o Ewę, czułości do wnuczki Pauli, myślenia o latach

przeżytych z mężem, przyjemności rozmowy w letnie przedpołudnie - smutek pożegnania, o którym nie mówi.

Obraz ostatni. Początek września. Dzieci wracają ze szkoły. Idę z Brygidą odwiedzić Panią Marię. Jest poważnie chora, nie wstaje. Sama nie wierzy, że to tak szybko.

-Wydaje mi się, że gdybym wstała i wyszła z tego pokoju, to choroba zostałaby tu, a ja byłabym zdrowa - mówi. - Ale nie mam siły wstać - dodaje ciszej.

Prosi nas, byśmy nie lekceważyły własnego zdrowia. Choroba nie jest wstydliwym stanem, trzeba przełamać obawy i poddać się leczeniu. Byle w porę. - Ja się spóźniłam - dodaje ze smutkiem. Umawiamy się na następne spotkanie za kilka dni. Kilka dni to może być wieczność. Tak się stało.

Obraz najwcześniejszy. Jestem w czwartej klasie. Pierwszy września 1957 roku. Nowa wychowawczyni - pani Maria Tokarska. A przecież niedawno na przerwach w „Czerwoną różyczkę" bawiła się z nami pani Suchorowska. Ach tak! Wyszła za mąż za tego przystojnego pana, który też niedawno zamieszkał w Objeździe. Takie wydarzenie odmienia nie tylko nazwisko. Młoda mężatka z radością wchodzi do klasy, ale nie pobłaża spóźnialskim. Dostałam i ja „łapy" za niepunktualne przychodzenie na lekcje. Poskutkowało. Do dziś staram się nie spóźniać i cenię ludzi punktualnych.

Po latach. Zauroczona szkołą, postawami ludzi ją tworzących, idę w ich ślady. Najpierw liceum pedagogiczne, studia polonistyczne, pierwsza praca daleko od domu, by się sprawdzić, wreszcie powrót do Objazdy. Moje pierwsze spotkanie z gronem pedagogicznym, w skład którego wchodzą moje dawne nauczycielki, było wyzwaniem nie lada. Ale to właśnie dzięki ich życzliwości i pobłażliwości poradziłam sobie bez trudu. Zrozumiałam istotę bycia nauczycielem, gdy pewnego razu Pani Maria poprosiła mnie po lekcjach do klasy. Był tam trzecioklasista Krzyś Borysiewicz. Usiadłam w ławce. Chłopiec stanął przy tablicy i wykonywał ćwiczenia podane przez nauczycielkę. Pani Maria jaśniała z dumy, że jej uczeń tak dobrze sobie radzi. Nie ma w pracy nauczycielskiej lepszej zapłaty niż pomyślność uczniów. Krzyś wyrósł na Krzysztofa, jest nauczycielem.

Kilka obrazów spośród wielu, które pozostały w pamięci, niech będzie podziękowaniem za możliwość spotkania. Najważniejsze zostanie niewypowiedziane wskutek ułomności języka. W pamięci mieszkańców pozostało wielu nauczycieli, którzy odeszli na zawsze lub po prostu zmienili miejsce pracy. Ich nazwiska zostały zapisane na szkolnych świadectwach, a sylwetki na pamiątkowych zdjęciach.

Lipowe łapcie

Niesie się wśród brzeziny śpiewne wołanie: „Renia, Renia! - Chwaroba z tą działczyną. Gdzież ona, toż czas już. Wszyscy na miejscu, tylko ona gdzieś przepadła". I znów: „Renia, Renia!" A dziewczyna - zdyszana - wskakuje do wagonu. Ostatni raz przebiegała ulubione zakątki, żegnała brzozy i rozległe łęgi. Miarowy stukot kół pociągu towarowego, którym jechali po nowe życie, oddalał rytmicznie lata przeżyte w Zabereziu pod Pińskiem. Wzięli stąd tyle, ile można było pomieścić na niewielkiej przestrzeni kawałka wagonu. Przede wszystkim troje dorastających dzieci: Wikcię, Renię i ukochanego, bo najmłodszego „synoczka" Jasia. Chociaż i to do ostatniej chwili nie było pewne. Młodszą z sióstr, Renię, upatrzył sobie wszechwładny „predsiedatiel". Jakżeby jemu śmiał ktoś odmówić panny. Spodobała mu się jasnowłosa dziewczyna. Widywał ją, bo przez dwa ostatnie wojenne lata uczyła dzieci w oddalonej o cztery kilometry Czamli. Nauczyciele przepadli gdzieś w wojennej zawierusze. Renia skończyła siedem klas, odbyła krótki kurs nauczycielski w Łohiszinie i „eto chwatit", by zająć się najmłodszymi. „Ot, a jak predsiedatiel uprze się? Może jemu nie tyle o naszu doczeńku hałubeczku idzie, co o honor?" - zastanawia się głośno Julia Matulisowa. „Pewnie machnąłby na nią rukoj, gdyby my zostali. A tak uparł się i już. Adolfik, co robić?" - pyta milczącego męża. Zostać tu, gdzie nowe porządki? Jadą wszyscy swoi z obawy przed tym, co niesie nowa władza: butna i bezwzględna. Dlatego tyle trzeba zachodu, ukłonów, usłużnych słów, by mogli ruszyć razem. Niepewni do ostatniej chwili drżeli o los „doczki" i swój. Czworo dzieci pozostało tam, gdzie już nie słychać stukotu wagonów. Zabrała je poleska bieda, zły los, a może dobry „Boh". Ich mogiły porośnie trawa, ale w sercu zawsze dla nich miejsca pod dostatkiem. Zamężna Antola i jej maleństwo,

Julia i Adolf Matulisowie przed domem w Usypisku.

czternastoletnia Franciszka, mała Janeczka i Ludwiś - wspomnienia o nich są pewniejsze niż nieznany los.

Trzy razy w Zabereziu krzyż stawiali, by drogę dobrą do nowego wybłagać i za każdym razem znajdowali rankiem krzyż ścięty. „Kab ich chwaroba!" - złości się Julia Matulisowa. Jak tu ruszyć w drogę bez błogosławieństwa? Jeszcze raz robią krzyż. Matulisowa z lnu białego, przędzionego w nić cieniutką, tka na krosnach ręcznik ofiarny. Zawieszają go nad ranem na krzyżu. Z daleka widać napis: „Maryjo, módl się za nami". Nie wiadomo czego przelękli się tamci, ale krzyża nie ruszyli. Już wszystko gotowe do drogi. Całą rodziną siadają we własnej, choć starej chacie. Sposobili się przed wojną do stawiania nowej, drzewa naskładali ile trzeba, ale widać kto inny pisze plany. A teraz: z Bogiem, czas w drogę.

W jednym z nimi wagonie jadą Oleś, Broniś i Michaś Matulisowie z rodzinami. Dla młodych i dzieci ten rejwach podróżny jest jak rodzinne spotkanie, nieważne - weselne czy pogrzebowe. Tylko zasępione twarze dorosłych powstrzymują ich przed wybuchami głośnego śmiechu. To ostatni transport. Dwa tygodnie wcześniej wyjechała Mania Piotrowska z domu Kuncewiczówna, siostrzenica Julii Matulisowej. Zatrzymała się w Biernatowie pod Krzyżem, jakiś dom znalazła w Przyłękach. Matulisowie mają nadzieję, że i dla nich znajdzie się tam miejsce. Wagony załadowali w Małkowiczach. Dobytek zwozili furmankami i wąskotorówką. Wszystko trzeba jakoś urządzić, bo droga daleka. Adolf i Julia mogą zabrać konika, który przybłąkał się wtedy - we wrześniu, dwie krowy, „loszku z parsiukami", pięć owiec, trochę kur i „husi". No i karmę na drogę. Dużo tego nie ma, bo to już przednówek. Po drodze na popasach trzeba będzie sierpem czy kosą użąć świeżej zieleniny, toż to maj już i krowy ryczą do pastwisk. Jechali dwa majowe tygodnie 1946 roku. Najpierw z Małkowicz do Łuninca, i dalej bocznymi traktami do Brześcia, później już przez nieznaną ziemię, która miała być ich domem. Długo jednak nie czuli się tu jak u siebie, a każda noc kryła niepewność. Zbyt wiele

Lipowe łapcie, tkane na domowych krosnach prześcieradło i wełniana narzuta - kresowe skarby.

było śladów obcego życia, cudzych starań, trosk i radości. Walizki stały gotowe do drogi. Przez wiele lat.

Matulisowie wojenne lata przeżyli na uboczu wielkich wydarzeń. Adolf w 1939 roku był dobrze po pięćdziesiątce, a męskiego potomka w wieku poborowym nie mieli. Zabiegali głównie o byt codzienny i o to by nikogo nie „ukrzywdzić". O tym, że to wojenny czas zaświadczały ciągnące pińskim traktem wojska - raz rosyjskie, później niemieckie i znów rosyjskie. Raz po raz w codzienność wbijały się złowrogie wieści. Żyli tak jak się chodzi na palcach. Ostrożnie. Julia Matulisowa kierowała się w codziennym postępowaniu prostą zasadą:„rzuć za siebie, znajdziesz przed sobą". Solidarność z potrzebującymi nie była tylko na zły czas - była podstawową zasadą. Dziel się nie tym, czego ci zbywa, ale oddaj lepszą połowę swego. Teraz wojna upomniała się o swoją daninę. Sześćdziesięcioletni Adolf Matulis opuszcza swój dom, wiozący rodzinę w nieznane. Wiara Julii w moc Opatrzności była ich siłą: „Adolfik, nie my sami, patrz wszyscy jedziemy, nijak zostać nie było można, toż my Polacy, a Polska tu się skończyła." Słabe to było dla niego pocieszenie.

Maleńką wieś położoną wśród lasów i bagien Polesia kochali jak życie, bo była ich życiem. Mimo ubóstwa żyli szczęśliwie. Mieli kawałek wykarczowanej przez siebie ziemi, na której rodziło się proso, gryka i „kartoszki". Brali dzierżawę od pana Wacława Zawadzkiego, który rzadko tu bywał, chociaż w okolicy Bobryka i Małej Płotnicy miał piękny dom i rozległe dobra. Bydło pasali w lasach, gdzie trawy było pod dostatkiem. Trudno tam było chodzić w butach, bo na trzęsawisku szybko przemakały, więc najwygodniej było na bosaka albo w łapciach. Robili je z lipowego łyka, związywali rzemykami, a kiedy namokły, chroniły skórę stóp przed ostrą jak uderzenie batem turzycą. Tylko najzręczniejsi potrafili zrobić trwałe i wygodne lipowe buty. Ostatnią parę, właśnie co wyplecioną, Renia wzięła w daleką drogę. W nowym miejscu okazały się nieużyteczne, co nie znaczy, że niepotrzebne. Po latach pokazywała je swoim dzieciom, później wnukom, ucząc je szacunku dla przeszłości i odporności wobec pokus wielkiego świata. Żeby historia nie była zbyt rzewna, przypomniała wierszyk:

„Jestem biedny fornalik, nie mam nic swojego,
Jedne łapcie na nogach z łyka lipowego.
Gdybym ja miał konie, to bym nimi jeździł.
Pański dwór bym kupił i nie żyłbym w biedzie.
Skoro nie mam nic swojego, to sześć dni pracuję,
A w niedzielę wieczorem wszystko przetańcuję".

W Zabereziu podmokłe łąki kosili dla siana, które zwozili dopiero po przymrozkach. Bieda, gdy kto przespał dogodny czas albo zima się spóźniła. A gdy mróz ścinał trzęsawiska, kończyli sianokosy. We dnie i w nocy przy świetle księżyca wyciągali na płozach kopy siana na trakt, by zwieźć je do obejścia. Nie narzekali, bo była to okazja do wspólnych zabaw, śpiewów, żartów. Inaczej bydło ryczało z głodu i trzeba było szukać innych sposobów ratunku.

Lasy Polesia były prawdziwym bogactwem tej ziemi. Dorośli i dzieci przez całe lato zbierali i suszyli czarne jagody, grzyby, orzechy, po które jesienią przyjeżdżał furmanką stary Żyd Icko, przywożąc sól, mydło, cukier bądź świeży grosz. Szczególnie ceniono suszone jagody za ich właściwości lecznicze. Były pierwszym lekarstwem, nawet wtedy, gdy wybuchła epidemia czerwonki. Dopiero kiedy śmierć zabrała pierwsze ofiary, Adolf Matulis zwątpił w medykamenty żonki i kolejne chore dziecko zawiózł furmanką do szpitala w Pohoście, którym kierowała starsza już, polska lekarka o złotym sercu. Mimo to wiara w leczniczą moc jagód przetrwała i w nowym domu Julia Matulisowa miała zawsze spory zapas suszu i nalewki z czarnych jagód.

Wakacje były szczególnym czasem dla dzieci. Co roku 84. Pułk Ochrony Pogranicza z Pińska organizował w Zabereziu półkolonie. Przychodziły chętnie, bo wyjątkowo smakował im biały chleb ze smalcem i rarytas - kakao. Renia Matulisianka nie mogła przeboleć, że z racji obowiązku pasienia krów rzadko udawało się jej spróbować wojskowych specjałów. A potem wszystko przepadło. Zostały chodzące samopas po łęgach konie. Nie było szkoły i wakacyjnych smakołyków. Później znajomy Olka Matulisa, pan Kałłaur, zorganizował naukę. W Zabereziu dzieci uczyła Bronia, córka Olka, w ich chacie, Renia była w Czamli, a w Bobryku Ola. Ważne, że dzieci choć trochę miały pojęcie o szkole. Ale w letni czas, kto wyrósł z niańczenia młodszego rodzeństwa, szedł do pasionki albo w pole z sierpem do żęcia, albo do lasu. Praca stała się dla nich nie ciężarem, a błogosławieństwem, bo niosła radość i satysfakcję. Nawet później, gdy na nowej ziemi trzeba było zaczynać życie od nowa. Od nowa oswajać horyzont, za którym zostało umiłowane miejsce na ziemi.

Przepadł gdzieś tamten czas. Tylko miarowy stukot kół kołysze repatriantów do snu o dawnym Polesiu. Matulisowie znaleźli nowy dom w Usypisku koło Kocienia Wielkiego (niem. Gross Kotten). Ich córki powychodziły za mąż za niedawnych żołnierzy, których domy i rodziny pozostały za zamkniętą granicą, wyjechały i gospodarowały w nadmorskiej wsi pod Ustką. Wnuki rozpierzchły

się po świecie nie zawsze mając świadomość własnych korzeni. Bo był taki czas, że lepiej było nie chwalić się zabugowskim pochodzeniem. Tylko stare lipowe łapcie są materialnym świadectwem tamtych czasów. To moja jedyna materialna scheda po dziadkach.

Poleska opowieść

Moja tęsknota dwuskrzydła
wyrosła ze snutych z rzadka opowieści
o dawnym życiu
zapomnianym
i trosk codziennych
wśród obcych ścian i sprzętów.
Pamięta wiejskie baby
ustrojone bezwstydnie w halki jedwabne.
Teraz nikogo czyj rodowód znaczony biedą.
Pamięć dziwne przybiera kształty,
najłatwiej odziać ją w cudze słowa
jak w suknię,
a ta nigdy dobrze leżeć nie będzie.

Zmurszeją szmaty i mury. Czas
twarze obmyje z pyłu prawd i kłamstw.
Dopiero wnuki w dżinsach, z dyplomami,
smak chleba tej ziemi przyjmą za swój.

Osadnicy

spadli w tę ziemię z pyłem wojennym
nadzy wyrwani z miejsc ukochanych
na kresach
odziani aktem nadania spisem inwentarza
w którym stół i krzesła obcym zapachem
świadczyły o prawie niewłasności.
on w wytartym mundurze ona w kusej sukience
z posagiem rozstań ran win niezawinionych
składali szczęście z cichych rozmów
niepewności walizek gotowych do drogi
rąk po zmierzch zanurzonych w ziemi
szumem pasieki i ciepłem chleba obłaskawiali
miejsce dla ptaków i dzieci z siebie zrodzonych.

Moja matka

Jak ręcznik ofiarny
za pamięć Antoli, Frani, Ludwisia,
rozciągnięty miedzy czasem tamtym i tym,
rajem dzieciństwa, a obcą ziemia obiecaną,
szuka ciągle miejsca dla swych wspomnień.

Buduje ze słów śpiewnie ulotnych,
imion niemodnych, zdrobnień domowych,
skrawków odległych zdarzeń i strzępów pieśni
dom dla swych myśli i tęsknot na długie noce bezsenne.
Wplata pracowicie w dzisiejszy krajobraz
fragmenty dawnej ojczyzny spod Pińska.

Jak opowiedzieć Kresy?

Julia Matulis urodzona w Płotnicy Małej na Polesiu, pochowana na cmentarzu w Objeździe.

Urodziła się w poniedziałek 10 lipca 1899 roku w Małej Płotnicy na Polesiu z rodziców Józefa i Emilii Pawłowskich. Lato tego roku było mokre, a gazety donosiły o skutkach opadów: „Kraków, 10 lipca. Wisła pod Krakowem i okolicy przybiera w sposób zastraszający. (...) Pola św. Katarzyny przy Skałce, obsiane żytem, owsem, i kartoflami znajdują się pod wodą, tak samo gęsiarnia żydowska na Grzegórzki, niemniej nowy tor kolejowy." Poranne wydanie „Słowa Polskiego" wychodzącego we Lwowie od 1895 roku przynosiło wiadomości z Wiednia, Lublany, Belgradu, Budapesztu i innych interesujących miejsc. Dzień później, czyli 11 lipca 1899 roku w Turynie w Palazzo Bricherasia podpisano akt założycielski znanej nam firmy, która w 1900 roku rozpoczęła produkcję pojazdów pod marką „Fiat".

O maleńkiej wsi Mała Płotnica próżno szukać informacji w dawnych gazetach. Pocieszyć się trzeba „Słownikiem geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich" (t. VIII, str. 322), który tak opisuje wieś: „Mała Płotnica - wieś i dobra - powiat piński, na tak zwanym Zahorodziu, w 1 okręgu policyjnym pohostskim; gmina Dobrosławka, o jedną milę od stacji pocztowej Bobryk, na trakcie nieświeżsko - pińskim. Wieś ma 22 osady pełnonadziałowe (domy) i 67 mieszkańców; dobra, dość dawna własność Zawadzkich, 4100 dziesięcin ziemi. Miejscowość odosobniona, poleska, grunta lekkie. Tutejsza huta szklana wyrabia rocznie około 4600 kóp szkła prostego z dochodem rocznym do 1.000 rs".

W innym miejscu znajduję informację: „Płotnica Mała, wieś i kolonia, gmina Dobrosławka, powiat Pińsk, sąd pokoju Łohiszyn, sąd okręgowy Pińsk. 657 mieszkańców. Stacja kolejowa (17 km) Małkowicze, poczta, telefon i telegraf Pińsk, jedna cerkiew grecko-katolicka obrządku wschodniego."

W okresie międzywojennym Mała Płotnica była majątkiem ziemskim stanowiącym własność Wacława Zawadzkiego. Majątek był rozległy, tutejsi z okolicznych wsi i przysiółków, jak najczęściej określali się mieszkańcy Polesia, brali od pana Zawadzkiego dzierżawę,

którą opłacali funtami suszonych jagód, żurawiny i grzybów, czasem pracą w lesie. Majątek obejmował rozległe obszary bagienne i podmokłe łąki z bogatymi obszarami leśnymi. Gdy brakowało ziemi, ubodzy dzierżawcy karczowali niewielkie leśne zagony i obsiewali je, najczęściej prosem. Ziemia dla ubogiego Poleszuka była największą świętością, czczoną zaraz po krzyżu, o czym świadczy życzenie:

„Budź zdarów jak wadă
Budź bahăty jak ziemla"

Mała Julia Pawłowska urodziła się w ziemlance w przysiółku należącym do Małej Płotnicy. W relacjach Oskara Kolberga używane są nazwy: barak, ziemlanka, loch, a Alfred Gauda, współczesny etnograf i etnolog, wskazuje na dwa typy ziemianek mieszkalnych: jamowe i wnękowe. Najubożsi często korzystali z takiej formy rozwiązania problemu mieszkaniowego, kierując się wyborem własnej przestrzeni nawet w ciasnej ziemnej jamie lepszym niż znoszenie zależności osobistej w przeludnionej chacie rodziców czy w wynajętej u bogatego chłopa izbie.

Odległe czasy powracają w ocalałych dokumentach i wydobywanych pytaniami nieostrych obrazach w pamięci mojej matki. Pamięta, biegała z matką Julią z Zaberezia do Płotnicy drogą przez las, do babci Emilii i dziadka Józefa złożonego chorobą.

Przez wysoki próg wchodziło się do izby, gdzie główne miejsce zajmował piec, na którego przedniej wystawie paliły się drwa, na piecu derka i poduchy, koło pieca lawa, ceber, na półkach zawieszonych na bielonej ścianie garnki, w głębi ziemlanki kołowrotek i krosna, niewielkie z sześćdziesięciocentymetrowym bidłem; pod ścianami z maleńkimi, wysoko umieszczonymi, okienkami stały proste ławy, na których spali domownicy. W głębi pod obrazem Matki Bożej stała dzieża chlebna, szanowna, oddana w Bożą opiekę.

Ledwo pamięta imiona sióstr swojej matki Julii: Elżbiety, oddanej na służbę, mieszkającej w Hancewiczach, Jadwini, która zmarła w straszliwych męczarniach w porodzie bliźniąt, Agnieszki, zwanej Aginią, po mężu Kuncewiczowej i najmłodszej, Malwiny, tę pamięta jako pannę w kapeluszu, która przyjeżdżała do siostry Julii z miasta. Niewiele o nich wie, niewiele pamięta, to nie jej pokolenie. Może nie o wszystkim wypada mówić, może jako dziecko nie rozumiała, o czym mówią, a odczytywała tylko emocje? Wszyscy mieszkali w pobliżu, nikt nie opuszczał rodzinnych stron. Jednak drogi dorosłych dziewcząt się rozchodziły, szły za mąż i szły za mężami i własnymi rodzinami.

Julia w dzieciństwie i młodości nie nauczyła się czytać i pisać. Nie było gdzie, nie było kiedy. Ważniejsze były praktyczne umiejętności: uprawa lnu, strzyżenie owiec, przędzenie, tkanie na krosnach, szycie, haftowanie, wyplatanie łapci z lipowego łyka, pieczenie chleba, praca w polu, troska o inwentarz i wiele innych zwyczajnych zajęć, od których zależało życie i przeżycie.

Wyszła za mąż, kiedy jej „hałubczyk", Adolfik ukochany, wrócił ranny z wojny. I światowej straszliwej wojny, która tu trwała długo i podzieliła Polesie. Dopiero18 marca 1921 został ostatecznie podpisany traktat pokojowy między Polską, Rosyjską SRR i Ukraińską SRR. Granica Polski na wschodzie została ustalona na linii Zbrucza i Dźwiny obejmując po stronie polskiej zachodnią część Wołynia i Polesia z Brześciem, Pińskiem i Łuckiem.

Adolf był trzynaście lat starszy, pochodził z rodziny, w której twardą ręką pięcioma synami rządziła matka, znana w okolicy „babka" Maciejcza, czyli żona Macieja Matulisa. Nie była zadowolona z wyboru syna, ale on jej nie pytał, miał swoje lata, okrzepł na wojnie, wiele zrozumiał i dokonał wyboru. Adolf i Julia zamieszkali w Zabereziu, niedaleko, w dworskim czworaku, gdzie mieszkali już bracia Adolfa ze swoimi rodzinami.

Dni wypełniała praca, w chacie stanęła kołyska, rodziły się dzieci - dziewczynki - Antola, Wiktoria, Regina, Franciszka, Wanda, Ludwiczek, który żył tylko pół roku, Janeczka i Jaś, najmłodszy, wyczekany męski potomek. Nie było bogato, ale nie głodowali. W zimowe wieczory krewni zbierali się w chacie gościnnej Julii. Kobiety przędły lub darły pierze, czasem chata wybuchała raz śmiechem, raz śpiewem. Mężczyźni grali a karty, a w piecu dochodziły pieczone „kartoszki". Gotowe gospodyni wysypywała do misy na stole, obok stawiała kiszoną kapustę okraszoną tłuczonym siemieniem lnu, każdy brał ręką i kartofle, i kapustę. Niczego więcej nie trzeba.

Młoda Polska dotarła do Zaberezia razem z nauczycielką Rozalią Ptakówną z Warszawy. Była to szkoła o trzech oddziałach z jednym nauczycielem. W izbie szkolnej obok krzyża wisiały portrety Józefa Piłsudskiego i Ignacego Mościckiego, lekcje prowadzone w języku polskim, rozpoczynały się modlitwą. Katechizmu uczył Antoni Matulis w swoim domu lub latem pod krzyżem na skraju wsi. W szkole powszechnej, w której pierwszych liter uczyły się dzieci Julii i Adolfa Matulisów półkolonie organizował co roku 84. Pułk Ochrony Pogranicza z Pińska. Dzieci dostawały biały chleb ze smalcem i kakao, których smak i wyjątkowość pamięta Renia, dziś moja mama i rozmówczyni. Nic nie mówi o bibliotece, ale jej istnienie z pięćset dziewiętnastoma pozycjami według stanu na rok 1937

odnotowuje publikacja pod redakcją Barbary Bieńkowskiej „Biblioteki na Wschodnich Ziemiach Rzeczypospolitej" (Poznań 1998).

Pamięta jednak, że dalszą naukę pobierała w Płotnicy, gdzie była szkoła siedmioklasowa, kwaterując zimą u ciotki Agini Kuncewiczowej.

Niedługi był czas spokoju. Raz po raz docierały do Zaberezia niebezpieczne słowa, zarówno z zachodu, jak i wschodu. Adolf Matulis przestrzegał żonę, by była ostrożna w rozmowach z sąsiadami, by nikt nie wiedział, o czym rozmawiają w domu ze swoimi. Byli bowiem tacy, którzy sprzyjali nowinkom zza wschodniej granicy.

I stało się! 9 września niemieckie samoloty nadleciały na Pińsk. Trakt z Brześcia do Pińska wypełniali uchodźcy, głównie z Warszawy, w nadziei schronienia przed Niemcami. Do Julii i Adolfa Matulisów zapukała Rozalia Ptakówna z koleżanką. Muszą się schronić, przeczekać jakiś czas, bo sowieci przekroczyli wschodnią granicę. - Proszę bardzo, znajdzie się siennik. Zjecie to co my. - Nie były długo w jednoizbowej chacie pełnej dzieci.

A codzienność miała swoje prawa. Nakarmić dzieci, obrządzić bydło, „parsiuki" dopatrzyć, siano zwieźć z bagnistych łąk, bo zamarzło. Zima 1939/1940 zaczęła się w połowie grudnia i była najsurowsza w ciągu wojennych lat.

Nieszczęścia idą parami, do wojennej tragedii doszła rodzinna. Przyszła nieproszona, ze względu na objawy nazywano ją krwawą biegunką. Nauka zwie ją dyzenterią, córką nędzy, niskiego poziomu higieny i braku wiedzy, co można jeść, a czego się wystrzegać. Podczas II wojny dziesiątkowała zamkniętych w gettach w Łodzi i Warszawie - wiosną 1942 roku codziennie zapadało na nią i umierało nawet po 500 osób. W domu Matulisów zabrała pięcioro dzieci. Zmarła zamężna Antola i jej dziecko, Frania, Janeczka, Wandzia. Sąsiedzi pomagali zbić trumny, na trumienne suknie Julia przeznaczyła swoją sukienkę ślubną, pieczołowicie przechowywaną. Wieźli trumienki na cmentarz w Terebeniu bez księdza, który przyjeżdżał raz w miesiącu i któremu za ceremonię pogrzebową trzeba było zapłacić. Modlili się sami stawiając drewniany krzyż na mogiłce. Chorowała też Renia, ale ją uratowano w szpitalu w Pińsku.

Smutno i pusto zrobiło się w domu. Dochodziły coraz straszniejsze wiadomości. W Płotnicy Małej zmordowano Aginię i Kostka Kuncewiczów, siostrę Juli i jej męża. Ocalała mała Mania, która schowała się pod łóżkiem. Nie wykryto sprawców, ale miejscowi mieli swoje podejrzenia. Dawni sąsiedzi powiązani często rodzinne z mieszkającymi tu Ukraińcami unikają siebie. Antola, która wyszła za młodego Prokopczuka - była na cenzurowanym u teściowej.

Odwiedziłam stary cmentarz w Terebeniu, niestety tylko wirtualnie. Jest tam symboliczny dzwon poświęcony rodzinie Matulisów z roku 1887, nagrobki Aleksandra, Jana, Bronisława Matulisów, obok nagrobki zacnej rodziny Skirmunttów, Kuncewiczów, Pawłowskich.

Wszystko trzeba było zostawić, tak zdecydowali Franklin Delano Roosevelt, Winston Churchill i Józef Stalin w dniach 4-11 lutego 1945 roku na konferencji w pałacu Potockich w Liwadii pod Jałtą na Krymie. Polska utraciła Kresy z Pińskiem i Lwowem. Spakowali dobytek, przygotowali się do podróży. Adolf jeszcze raz poszedł na cmentarz do Terebenia, żeby na mogile dzieci postawić mocny dębowy krzyż. Julia utkała ofiarny ręcznik, wyhaftowała akt strzelisty: „Maryjo módl się za nami", który zawiesili na wiejskim krzyżu, tam, gdzie dzieci uczyły się religii. Furmanką dowieźli dobytek do stacji w Małkowiczach. Rozpoczęli wielką podróż. Sylwester Chęciński w znanej powszechnie filmowej trylogii „Sami swoi" humorem rozbija traumę wypędzenia. Dla wielu repatriantów pierwszego pokolenia i ich dzieci i wnuków ten temat pozostanie kluczowym w poszukiwaniu tożsamości.

Matulisowie dotarli do Biernatowa. Osiedlili się ostatecznie w kolonii Usypisko pod Kocieniem Wielkim koło Trzcianki. Przyjechali tu niemal wszyscy z Zaberezia, Płotnicy Małej. Budowali od nowa swój świat. Julia nauczyła się czytać. Od tej pory jej ulubioną lekturą był modlitewnik. Córki Adolfa i Julii - Regina i Wiktoria wyszły za mąż, na gospodarstwie pozostał syn Jan. Ożenił się, zajął z rodziną jedną część domu, oni mieszkali w drugiej. Cieszyli się wnukami, czasem kobiety spierały się, ale Adolf potrafił je pojednać. Kiedy w 1970 roku Janek zmarł nagle osierociwszy troje dzieci, był to cios nie tylko dla młodej żony. Dla Adolfa było w tym coś niepojętego, że znów los zakpił. Nie mógł przeboleć straty. Zmarł dwa lata później. Został pochowany w Trzciance, obok syna. Synowa z dziećmi wyjechała do miasta, Julia została sama. Nie było wyjścia. Znów przeprowadzka. Tym razem do Objazdy, gdzie mieszkały córki. Zmarła w 1986 roku i została pochowana na miejscowym cmentarzu. Jakiś czas później ekshumowano z Trzcianki jej syna Jana i męża Adolfa. Spoczywają teraz razem w jednej mogile w miejscu, którego istnienia nie przeczuwali.

***

Dostałam niedawno książkę „Kresy Rzeczpospolitej. Wielki mit Polaków. Dzieje wschodnich rubieży, okoliczności ich utraty i narodzin narodowej legendy", w której Przemysław Czapliński

w artykule „Kresowe narracje" pisze: „Wielka narracja kresowa opierała się na figurze misji cywilizacyjnej niesionej ludziom zapóźnionym kulturowo bądź na figurze demokratycznego współistnienia. Dekonstrukcja tej narracji nie zmierza ku zniszczeniu kresowego mitu, lecz ku odkryciu jego schowanych podstaw. (...) Te nowe, bardziej nasze Kresy, trzeba odtąd opowiadać ze strony „pana" i „chama", posiadacza i posiadanego, człowieka wolnego i zniewolonego - kimkolwiek by był. A opowiadając, trzeba pytać o warunki wytwarzające i odbierające wolność. Chodzi więc o narracje, które zasług i męczeństwa nikomu nie odbiorą, lecz zarazem uwzględnią struktury panowania. Bez takich opowieści Kresy tym bardziej będziemy tracić, im bardziej będziemy je we wzniosłej wersji chcieli zatrzymać."

Po publikacji tekstu „Jak opowiedzieć Kresy?" w „Powiecie Słupskim", nr 11-12/2016, dostałam wzruszający list od pani Anety z Zielonej Góry, której rodzina pochodzi z Małej Płotnicy. Autorka listu szuka informacji o rodzinie i miejscowości. W liście napisała: „Przesyłam Pani kilka zdjęć z Małej Płotnicy. (...) Jeżeli ma Pani ochotę, może je Pani zatrzymać (...). Co do fotografii, to na pierwszej jest raczej szkoła. (...) Myślę tak, ponieważ w dużym powiększeniu widać tam tabliczkę, a na niej niewyraźny napis, który w moim mniemaniu brzmi: „Szkoła Powszechna". Odnośnie drugiej fotografii, to nie wiem na pewno, czy jest tam na niej nauczyciel. Tak powiedziała mi moja ciocia, ale ona też nie jest tego pewna. Ale sądzę, że ubiór mógłby na to wskazywać. Ten człowiek nie jest ubrany jak pospolity mieszkaniec wsi, jest w garniturze. A może to pan Zawadzki, właściciel Małej Płotnicy? Niestety nie wiem..."

Moja wiedza o tamtych stronach opiera się tylko na rodzinnych wspomnieniach, dlatego zdjęcia przesłane przez panią Anetę dołączam jako ciekawe uzupełnienie i świadectwo wspólnych poszukiwań.

Z Podgórza do Objazdy

Henryka Maria Cieślik z domu Grabowska jako kilkunastoletnia dziewczynka zamieszkała w Objeździe.

Nazywam się Henryka Maria Cieślik z domu Grabowska. Moje serce jak na dziecięcym rysunku ma dwie części, jedna należy do przeszłości, trudnego czasu wojny, dzieciństwa w Łomży i Warszawie. Drugą oddałam ziemi słupskiej i Objeździe, gdzie przeżyłam szczęśliwe, choć niełatwe dorosłe życie. Maj 1945 roku wybuchł kwiatami i radością. Rozpoczęła się wielka wędrówka: powroty i wyjazdy, poszukiwania miejsca do życia i rabunki, rozboje, napady. Na cmentarzu w Łomży w całej alei leżą młodzi ludzie, którzy zginęli w bratobójczych walkach, już po zakończeniu wojny. Nikt nie był pewny następnego dnia. Dawne i nowe zadry nie pozwalały spokojnie żyć. Trzydzieści trzy rodziny w lutym 1940 roku wywieziono na Syberię, wielu zostało tam na zawsze. Którzy wrócili, zastali ruiny swoich domów. Cóż było robić! Szesnastego sierpnia 1945 roku grupa jedenastu ojców rodzin z Podgórza koło Łomży podjęła decyzję wyjazdu na Ziemie Odzyskane. Byliśmy wśród nich, moi rodzice i ja, dwunastoletnia dziewczynka. Pociągiem wypełnionym do ostatniego miejsca tak, że jechaliśmy na węglarce, chcieliśmy dojechać z nimi tylko do Warszawy, naszego przedwojennego miejsca zamieszkania. Kiedy wreszcie pociąg dowlókł się na warszawski dworzec, zostałam na nim z tobołami, a rodzice poszli szukać kuzynów i jakiegoś kąta na mieszkanie. Okazało się, że ciocia mieszka w małej piwnicy pod gruzowiskiem. Wujek zginął w powstaniu. Wokół gruzy, trzeba było być w desperacji, by tu zostać. Wrócili na dworzec, gdzie podgórzanie jeszcze czekali na połączenie do Gdańska. Nie myśląc wiele, tatuś kupił bilety i ruszyliśmy z nimi. Pociąg towarowy przyjechał prawie o zmroku. Tłok, ścisk, przepychanki. Pan Zaczek cieszył się, że jako najszczuplejszemu obcy pomogli wejść oknem. Dopiero później spostrzegł, że kieszonka spodni jest rozcięta i nie ma portfela. Pocieszaliśmy go trochę, ale było to ostrzeżenie dla wszystkich. Naszej grupie udało się wsiąść

do jednego wagonu, nie było ławek, więc siedzieliśmy na tobołkach. Pociąg wlókł się, sapał, dudnił. W otwartych drzwiach przybity był poprzeczny drążek, z którego korzystaliśmy przy załatwianiu wstydliwych potrzeb. Nie było innej możliwości. Kolo południa dotarliśmy do Gdyni. Pociąg stanął. Ogłoszono, że przerwa w podróży potrwa kilka godzin, można korzystać z toalet, dostać wodę do mycia oraz chleb i zupę. Mamusia z bańką i wiadrem poszła na dworzec. W punkcie Czerwonego Krzyża dostała zaopatrzenie dla wszystkich. Zupa smakowała nam, chociaż ziemniaki były przeźroczyste. Był czas, więc mężczyźni poszli obejrzeć miasto, a ja z mamą pilnowałyśmy bagaży. W dalszą drogę ruszyliśmy późnym wieczorem, a nad ranem byliśmy w Słupsku. Dworzec, ulice i domy prawie nie miały śladów wojny. Na dworcu działał punkt PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny), jego pracownicy zaprowadzili nas do dawnych budynków wojskowych nad Słupią, gdzie dziś mieści się szkoła policji, wówczas milicji. Zajęliśmy kilka prycz, dostaliśmy kawę i zupę. W pobliżu czynne były piekarnie i sklepy. Miasto żyło i nam wracała nadzieja. Każdego ranka mężczyźni wychodzili do okolicznych wsi w poszukiwaniu wolnych gospodarstw dla jedenastu rodzin, bo chcieliśmy zamieszkać w jednej miejscowości. Z PUR-u dostawali adresy, wychodzili rano, wracali wieczorem i przynosili torby owoców. Opowiadali, że niektóre drogi obsadzone są drzewami owocowymi i o tym, że okolica jest piękna, ale niebogata. Mamusia pilnowała bagaży, a ja chodziłam po Słupsku. Byłam świadkiem ekshumacji grobów w parku przy ulicy Partyzantów. Któregoś dnia siedziałam nad Słupią. Bawiłam się pierścionkiem zrobionym ze śruby przez kuzynów. Rysunek oczka był bardzo schematyczny i tylko ja wiedziałam, że to znak orła. Myślałam o nich, naszych wędrówkach z i do Podgórza, o ucieczce przed Niemcami, później żołnierzami rosyjskimi. Myślałam o tym, jakie życie czeka nas na nowej ziemi, gdzie tyle obcych śladów, grobów w przypadkowych miejscach, ale i piękna urodzajnego lata. Wstałam, zdjęłam z palca pierścionek. Wierzyłam, choć miałam niespełna trzynaście lat, że ta ziemia do nas należy. Wyprostowana odśpiewałam: „Jeszcze Polska nie zginęła…" Pierścionek rzuciłam do Słupi. Na dobrą wróżbę, na szczęście. Tego dnia ojcowie dostali adres wsi oddalonej od Słupska o 22 kilometry nieco w bok od Ustki. Wieś nazywała się Wobezde. Wrócili z postanowieniem: koniec naszej wędrówki. Zamieszkamy w Wobezde. Od rana dorośli załatwiali meldunki, przydziały i inne formalności. Kiedy wieczorem konnym wozem przyjechał Feliks Kozub, sołtys wsi Wobezde, byliśmy spakowani i gotowi do drogi. Załadunku bagaży i podróży do wsi pilnował milicjant Śmietana.

Zabrali mnie wozem, bo byłam w tej grupie jedynym dzieckiem. Nim następnego dnia pieszo dotarli do wsi rodzice i pozostali, zdążyłam zaprzyjaźnić się z żoną sołtysa, która spodziewała się dziecka, obejść wieś i poznać jeszcze kilku nowych właścicieli gospodarstw. Byli to ci, którzy w Wobezde pracowali w czasie wojny, tak jak Błażej Łyszcz. Również sołtys Kozub pracował jako robotnik przymusowy i pozostał w dużym gospodarstwie. Teraz z życzliwością i z racji urzędu pomagał przybywającym. Dziesiątego września 1945 roku byliśmy zameldowani i staliśmy się mieszkańcami wsi Wobezde w powiecie słupskim. W domach, które miały do nas należeć, mieszkały jeszcze niemieckie rodziny, z którymi żyliśmy pod jednym dachem do końca 1946 roku, kiedy rozpoczęła się akcja przesiedleńcza. Nasze gospodarstwo było niewielkie, miało pięć hektarów ziemi, ale skarbem były trzy krowy i klacz ze źrebięciem w dużej oborze ze stodołą. Naszym domem była połowa bliźniaka z pokoikiem na pięterku. Na razie na dole w dwu pokojach z kuchnią mieszkała liczna niemiecka rodzina Wittenbergów - siedemdziesięciodwuletni gospodarz Jerych i jego dwie córki: Gerda i zamężna Irma Burchard z dziećmi Fredim (15 lat) i Urzulą (11 lat). Mąż Irmy był szeregowcem w armii Paulusa, od dawna nic o nim nie wiedziała. Zajęliśmy pokój na górze. Razem pracowaliśmy w polu i obejściu, nawet przez jakiś czas wspólnie gotowaliśmy i jedliśmy. Nie było między nami niezgody. My dzieci bawiłyśmy się razem, uczyliśmy się języków, poznawaliśmy swoje zwyczaje, nawet modlitwy.

W październiku mamusia pojechała do Podgórza, żeby zakończyć prace w polu. Za przywiezione pieniądze rodzice kupili trzy prosiaki. W tym czasie konie zachorowały na parch i chociaż leczono je w Kobylnicy, w końcu padły. Żeby kupić nowego, niezbędnego w gospodarstwie, tato oddał krowę i świnkę. W tym czasie we wsi robiono nowe pomiary geodezyjne i mapy. W mieszkaniach polskich rodzin kwaterowali żołnierze, także i u nas zakwaterowano jednego. Nocował w pokoju z rodzicami, ja schodziłam spać na dół. Irma wypytywała mnie wtedy o nasze życie w czasie wojny. Starałam się opowiedzieć, tak jak umiałam, o niezawinionych niedolach Polaków i Żydów, którzy żyli z nami po sąsiedzku, tam pod Łomżą. Im się wydawało, że to oni tylko się bronili. Pod koniec 1946 roku przyszła wiadomość od męża Irmy, że został zwolniony. Chciał, żeby rodzina przyjechała do niego w okolice Berlina. Załatwili formalności i wyjeżdżali. Pożegnanie było smutne. Rozumieliśmy, że zostawiają całe swoje życie, ale i my musieliśmy zostawić swoje. Nie mieli do nas żalu. Tatuś odwiózł ich na dworzec, wrócił wieczorem. Dom nagle zrobił się duży i pusty. Wyjeżdżały i inne rodziny

niemieckie, ale niektórzy, jak na przykład Gustaw Schulz, przyjął polskie obywatelstwo i pozostał. Wyjechał później, w 1957 roku. Zdarzyło się, że Niemki wychodziły za mąż za Polaków i też pozostawały. Teraz mieszkamy obok siebie w przyjaźni.

W majątku opuszczonym przez niemieckich właścicieli i w gorzelni byli jeszcze Rosjanie, ale we wsi był już posterunek MO i poczta. Początkowo w maleńkim szachulcowym kościółku położonym na wzniesieniu w centrum wsi nabożeństwa odprawiał ewangelicki pastor z Weitenhagen (dziś: Wytowno), ale w Ustce byli już księża katoliccy, którzy zadbali, byśmy mogli uczestniczyć w niedzielnej mszy. Niebawem w Wytownie powstała parafia (3 kwietnia 1946 roku), z nieznanym nam wówczas, ale życzliwym proboszczem. Chodził pieszo, chętnie rozmawiał z dziećmi, opowiadał nam o ziemiach, na które przybyliśmy. Nazywał się Jan Zieja. Wiele lat później poznaliśmy jego niezwykłą historię. My byliśmy wdzięczni, że wziął nas w opiekę w najtrudniejszym czasie i pokazał, że z Bożą pomocą można pokonać wszystkie trudności. Przybywało do Wobesde osadników, coraz więcej było dzieci. Siedemnastego stycznia 1946 roku rozpoczęła się nauka w szkole. Pierwszymi nauczycielami byli Wiesław Bobrowski i Marian Tomaszewski. Wracali z oflagu, gdzie przeżyli wojnę, teraz w PUR w Słupsku dostali przydział do szkoły w Objeździe. Wiesław Bobrowski kierował szkołą przez kilka lat, a w nieodległym Gąbinie kierownikiem został brat Mariana Tomaszewskiego, Bronisław. Szkoła w Objeździe rozwijała się, przybywało dzieci i przyszła nowa, pochodząca spod Wilna, nauczycielka Janina Kujel. Trudno było ustalić, kto w której klasie powinien się uczyć. Mnie najpierw zapisano do klasy czwartej, po dwóch tygodniach przeniesiono do piątej, którą ukończyłam w pół roku. Od szóstej uczyłam się normalnym trybem. Dzięki staraniom księdza Ziei powstał Uniwersytet Ludowy działający do połowy 1948 roku. Wykładowcami byli nauczyciele z Objazdy i ks. Zieja. W tym czasie nasze wsie dostały nowe polsko brzmiące nazwy, zatem Wobezde stała się Objazdą, Alte Mühle to Bałamątek, zamiast Schönwalde - Dębina.

Nastał rok powrotów, przyjazdów, wyjazdów. Opuszczały wieś rodziny niemieckie, przybywali ciągle nowi, teraz także osadnicy wojskowi, którzy po demobilizacji mogli rozpocząć cywilne życie. W kwietniu 1946 roku przybyli z zsyłki podgórzanie, poszukujący swych rodzin. Zauważyłam ich pierwsza bawiąc się na szkolnym boisku, pierwsza też umiałam im wskazać drogę do nowego domu w Objeździe. Pieszo, zakurzeni, wycieńczeni wrócili żona, córka i dwaj synowie pana Kalisty, rodzice i bracia Zygmunta Cieślika,

Kołodziejscy, którzy za ukrywanie żydowskiej rodziny osadzeni byli w niemieckim obozie karnym. Pod koniec tego samego roku przyjechała duża grupa osadników z Zamojszczyzny, zajmując całą sąsiednią wioskę Dębinę. Był wśród nich niezwykle utalentowany młody mężczyzna Roman Zub. W ciągu kilku lat stał się prawdziwym animatorem życia kulturalnego regionu. Zorganizował chór, teatr amatorski, świetlicę, później zespół mandolinistów. Przede wszystkim poznawaliśmy się, w zajęciach uczestniczyli młodzi i starsi z Objazdy i Dębiny. Organizowaliśmy przedstawienia i występy chóru w okolicznych wsiach i kościołach, ale także w Słupsku, nawet na Festiwalu Młodzieży w Szczecinie w 1948 roku. Roman Zub był naszym przewodnikiem i przyjacielem. Po wojennych cierpieniach zachłannie smakowaliśmy życie. Uczyliśmy się, bawili, zawiązywały się przyjaźnie i miłości. Do 1948 roku ksiądz Zieja pobłogosławił kilku ślubującym sobie parom, między innymi Stanisławie Zaczkównie i Aleksandrowi Kaliście, ochrzcił kilkoro urodzonych w Objeździe dzieci. Wydawało się, że wszystko złe minęło bezpowrotnie. Niestety, byli jednak i tacy, którzy szukali łatwego chleba. Trzeba było swego bacznie pilnować przed szabrownikami. Zdarzało się, że kobiety z dziećmi uciekały, a mężczyźni biegli na ratunek napadniętym przez bandytów sąsiadom. Milicjanci niewiele pomagali. Na pierwszych powojennych dożynkach urządzonych w 1947 roku w podworskim parku śpiewaliśmy przyśpiewki, wśród nich taką:

„A milicja dobrze broni
Ginie krowa i pięć koni
Kto przybiegnie zamelduje
Milicja nie urzęduje.”

W 1948 roku chłopcy ze wsi dostali powołania do wojska, a dziewczęta dorastały i czekały na swoje sympatie. Wracali po dwóch latach dojrzalsi, z zawodem zdobytym w wojsku, nadszedł więc czas na zakładanie rodzin. Na Boże Narodzenie 1950 roku ślubowali sobie Ela Kalista i Mietek Cieślik, oboje z Podgórza. W marcu 1951 roku złote obrączki połączyły mnie i Józka Cieślika, a w kwietniu pobrali się Hela Kowalewska i Józek Obrocki, oboje zza Buga. Wszyscy byliśmy na

Mała Marysia Grabowska i synek państwa Pryżyńskich.

równych prawach. Żniwa, sianokosy, wykopki to był gorący czas, pracowaliśmy od świtu do zmierzchu, pomagając sobie po sąsiedzku. Obok siebie w cichej rywalizacji gospodarzyli rolnicy indywidualni i PGR, który miał lepsze maszyny i większą przychylność władzy. Później przyszedł czas na spółdzielnie produkcyjne, był nawet pomysł na taką w Objeździe, ale spalił na panewce. Wrastaliśmy w tę ziemię powoli i niepewnie. Ciągle słyszało się pogłoski o powrocie Niemców, o tym, że trzeba będzie uciekać. Może dlatego poczucie tymczasowości na długo zawładnęło naszym życiem. Dzięki Bogu, obawy bladły z czasem, ustępując miejsca pewności, że jesteśmy u siebie. Przeżyłam w Objeździe piękne chwile młodzieńczych wzruszeń i miłości. Urodziły się nasze dzieci i doświadczyłam smutku wdowieństwa. Teraz wnuki wchodzą w dorosłe życie. Nie bez obaw, ale z nadzieją patrzę na ich świat i wspominam minione lata. Chciałabym, by wiedziały jaka była nasza droga na słupską ziemię.

ŁOMŻA MEGO DZIECIŃSTWA

Nasza rodzina pochodzi z okolic Łomży: mamusia, Kazimiera z domu Ciszewska, z Podgórza, a tatuś, Henryk Grabowski, ze Strąkowej Góry. Obie rodziny miały chłopskie korzenie. Rodzice poznali się w 1928 roku w Łomży u sióstr szarytek, gdzie oboje pracowali w domu opieki, także jakiś czas po ślubie, a kiedy przyszłam na świat w czerwcu 1933 roku, gdy rodzice pracowali, mną zajmowały się siostry szarytki. Po pewnym czasie wyprowadziliśmy się na ulicę 3 Maja. Tatuś pracował wtedy przy pracach komunalnych: latem przy robotach kanalizacyjnych, zimą przy wyrębie drzewa w lasach Jednaczewa. Dorywczo pracował u szarytek i u państwa Pryżyńskich, jako ogrodnik. Gdy wyjeżdżali na wczasy, rodzice opiekowali się ich domem i ogrodem. Przez wiele lat państwo Pryżyńscy darzyli moich rodziców szczególnym zaufaniem. Pani Pryżyńska była skarbniczką działającego w Łomży stowarzyszenia pomagającego biednym i wielodzietnym rodzinom. Nie mogła sama zbierać pieniędzy wśród bogatych sponsorów, powierzała to zadanie mojej mamusi. Często z nią chodziłam. Mama wpisywała otrzymane kwoty na listę przy nazwiskach ofiarodawców, a potem wszystko oddawała pani Pryżyńskiej. Widziałam, jak żyli i mieszkali bogaci ludzie. Często urządzano bale myśliwskie lub z okazji świąt narodowych, na których bawiła się szlachta z Łomży i okolic. Mamusia zawsze tam pracowała. Dlatego, mimo że nie pracowała zawodowo, miała dużo zajęć. Dziergała na drutach modne wówczas bluzeczki,

a zamówień było bez liku. Później przywożono z jakiejś firmy w Warszawie duże walizki pełne metalowych kółeczek i nici, z których robiła guziki do bielizny pościelowej. Odbierano je raz w miesiącu za odpowiednią zapłatą. Gdy podrosłam, chodziłam z mamusią do prasowania bielizny i odzieży do bogatszych domów. Tatuś w poniedziałek wyjeżdżał do pracy do lasów jednaczewskich, wracał w sobotę wieczorem z koszem jajek, wiejskim serem, mlekiem i innymi smakołykami. Rodzice ciężko pracowali, ale żyliśmy szczęśliwie i niczego nam nie brakowało. Miałam krótkie, ale szczęśliwe dzieciństwo. Do czerwca 1939 roku chodziłam do przedszkola u szarytek w Łomży. W kwietniu 1939 roku tatuś otrzymał pracę w Warszawie, a w czerwcu mama ze mną dołączyła do niego. Kiedy wracam myślami do tamtych czasów, widzę moja ukochaną Łomżę, a słowa same cisną się na usta:

„Łomża, moja ukochana Łomża,
Te wąskie uliczki i te kamieniczki.
I Narew, co płynie przez łąki w dolinie.
To nigdy niezapomniany mój świat."

Łomża i okolice to świat mego beztroskiego dzieciństwa. Często jeździliśmy na wieś, do Podgórza, gdzie mieszkały dwie siostry mamusi. W gospodarstwie było dużo pracy, ale były tam dzieci, miałam się z kim bawić. Rodzice przyjaźnili się też z gajowym i jego żoną z Pniewskiego Boru. Czułam się tu jak w bajce. Szukałam w lesie Czerwonego Kapturka, Jasia i Małgosi, Baby Jagi. Był to mój zaczarowany świat. Wtedy nie wiedziałam, że za kilka lat tu wrócę i przeżyję najstraszniejszy czas w swoim życiu.

W WARSZAWIE W ROKU 1939 i 1940.

Syn państwa Pryżyńskich z Łomży budował w Warszawie przy ulicy Sułkowskiego dwupiętrowy dom. Za domem aż do Wisły ciągnął się duży obszar ziemi, był to teren pod przyszły park. Tatuś był tu zatrudniony jako magazynier i dozorca budowy. Obok budowany był dom pani ministrowej Julii Świtalskiej, a po drugiej stronie ulicy stały piękne wille wyższych oficerów i urzędników. Właśnie ukończono stan surowy domu pana Pryżyńskiego, przygotowano jedno mieszkanie dla nas, bo początkowo ja z mamą mieszkałyśmy u siostry taty, cioci Jani Podgórskiej na ulicy Jagiellońskiej 29. Tatuś mieszkał tam, gdzie pracował, na Żoliborzu. Na budowie robotnicy zabezpieczali dom, zabijali deskami okna, cała

budowa została szczelnie ogrodzona wysokim płotem. Ludzie mówili o wojnie, Hitlerze, Niemcach. Niewiele z tego rozumiałam, ale strach odczuwało się na każdym kroku. Któregoś dnia tatuś otrzymał powołanie do wojska: 29 sierpnia powinien stawić się w jednostce w Łomży. Na dworcu mama i ciocia płakały, a dwie panie stojące obok przekonywały nas, że powinnyśmy się wstydzić tego płaczu, powinnyśmy być dumne z zaszczytu obrony ojczyzny. Mamusia tylko powiedziała coś brzydkiego, a tatuś wziął mnie na ręce i obiecał, że jeżeli, to tylko zabłąkana kula go trafi, inaczej się nie da. Cały czas, kiedy tatusia nie było, a mamusia i ciocia płakały, że nie mamy od niego wiadomości, ja mówiłam, że tatuś żyje, bo ta kula ciągle się błąka.

Zaczęły się naloty. Samoloty z czarnymi swastykami na skrzydłach huczały nad miastem, wokół od bomb paliły się domy, a my z mamą same w dużym niewykończonym domu. Zeszłyśmy do piwnicy, tatuś mówił, że dom jest mocny i będziemy bezpieczne. Całą noc przesiedziałyśmy same, na drugą poszłyśmy do zamieszkałej kamienicy przy Krasińskiego. Było tu bardzo dużo ludzi, piwnice były zajęte, więc siedziałyśmy na schodach pierwszego piętra. Rano wróciłyśmy do siebie, a wieczorem mamusia związała tobołki i ruszyłyśmy do cioci na Pragę. Koło mostu zatrzymali nas żołnierze i kazali wracać. Mówili, że na Żoliborzu jest jak u Pana Boga za piecem. Mamusia wahała się. Nagle słyszymy wołanie: „Kaziu, Marysiu, my idziemy do was. Bomba uderzyła w róg kamienicy, nie mamy już domu!" Ciocia z wujkiem nieśli na plecach toboły, wróciliśmy razem na Żoliborz. Do piwnicy nanosiliśmy siana, które latem tatuś skosił wokół domu i złożył w kopę. Wymościłyśmy legowiska, z mieszkania znieśliśmy potrzebne rzeczy i te które chcieliśmy ocalić. Spaliśmy w piwnicy, a gotowaliśmy w domu w kuchni. Po południu przyjechali kuzyni Rakowscy z Piekiełka, gdyż tam rozpętała się strzelanina. Przed wojną były tam zakłady wojskowe, w których pracowali ciocia i dwaj wujkowie. Później przyszło jeszcze kilka rodzin z Czarneckiego. Tam też były naloty i ciągle strzelano, chyba z powodu Cytadeli i mostu. W piwnicy zrobiło się ciasno, z gotowaniem też były kłopoty, bo kuchnia była jedna. Wodę trzeba było nosić z hydrantu. W dzień wszyscy rozchodzili się do swoich domów, żeby pilnować mienia, a wieczorem przychodzili, przynosząc różne wiadomości.

Pewnego dnia wpadł sąsiad i mówi: „Ludzie, to koniec. Niemcy są w Warszawie, a wojsko w Cytadeli rozdaje żywność. Idźcie tam, trzeba przynieść, co się da, bo będzie głód." Niektórzy poszli do swoich domów, kobiety pobiegły do Cytadeli. Kuzyn Wacek

Rakowski i ja czekaliśmy w domu. Nareszcie mamusia i ciocie wróciły. Przyniosły czarny wojskowy chleb, kawę z cukrem w kostkach, kaszę, mąkę, suchary. Kilka dni nie jedliśmy chleba, więc kiedy mamusia ułamała i dała nam po kawałku, bardzo nam smakował. Kostki kawy z cukrem były jak cukierki.

Nazajutrz w Cytadeli nie było już wojska. Warszawę zajęli Niemcy. Ludzie bali się wychodzić z domów, ale żyć trzeba było. Nasza piwnica opustoszała - ci, co mieli jeszcze domy, wrócili do siebie, kuzyni Rakowscy wyjechali do Rutek, wujostwo Podgórscy zostali, bo nie mieli domu. Na szczęście! Wujek pracował w ministerstwie oświaty. Gdy Niemcy ogłosili, żeby wszyscy pracownicy zgłosili się ponownie do pracy, aby dostać kartki na żywność i pieniądze, wujek o tym nie wiedział, bo mieszkał u nas. Później się dowiedział, że ci, którzy im uwierzyli, zostali aresztowani i słuch o nich zaginął. On ocalał przez przypadek. Jakiś czas później znalazł mieszkanie na Nowolipkach i tam z ciocią zamieszkali.

Czuliśmy się w miarę bezpiecznie. Dom był ogrodzony wysokim płotem, okna zabite deskami, frontowe drzwi zamknięte i nikt tamtędy nie chodził. Z zewnątrz wyglądało, że dom nie jest zamieszkany. Wchodziliśmy od ulicy Krasińskiego ścieżką przez inne budowy i wysoką skarpę. Wodę nosiliśmy z Wisły. Któregoś dnia, kiedy z mamą i ciocią wracałyśmy z wodą, z bocznej ulicy wyszło dwóch niemieckich żołnierzy. Jeden trzymał pudełko, takie od butów, i obaj coś jedli. Jeden do nas mówił, idąc na naszą stronę ulicy. Nawet ciocia, która trochę rozumiała, ze strachu była sparaliżowana. Niemiec podszedł, podał mi pudełko i pogłaskał po głowie. Później ciocia powiedziała: on też ma taką córeczkę, o jasnych włosach, dawno jej nie widział. Wzięli po jednym ciastku z pudełka i odeszli. Wróciłyśmy do domu. Bałyśmy się jeść te ciastka, ciocia odważyła się pierwsza, więc i my spróbowałyśmy. Ciastka były bardzo smaczne i nic się nam nie stało. Głód dokuczał mieszkańcom Warszawy. Na placach, skwerach leżały zabite konie; byli tacy, którzy wycinali kawały mięsa i zabierali do domu. Opowiadano, że Niemcy rozrzucają zatrutą żywność i zabawki, które wybuchają w ręku. Czy tak było, wolałam nie sprawdzać.

Pod koniec września było ładnie i ciepło, bawiłam się na podwórku. Nagle usłyszałam wybuch i uderzenie w policzek. Upadłam przestraszona, obok spadł kawałek mięsa. Przybiegły najpierw ciocia, a za nią mamusia. Na policzku miałam krew, choć nie było rany, a w miejscu, gdzie się bawiłam leżała dziecięca dłoń z dwoma palcami. Zaczęłam krzyczeć. Przybiegł sąsiad i powiedział,

że w pobliżu wybuchł niewypał, zginęli chłopcy, jeden od razu, drugiego też prawdopodobnie nie udało się uratować. Chodzili po domach i prosili o coś do jedzenia, znaleźli niewypał i zaczęli przy nim majstrować. Ich ojciec był na wojnie, a matka leżała chora. Wkoło działy się straszne rzeczy. Kto nie musiał, nie wychodził z domu.

Zbliżała się zima, było coraz gorzej, nie było pracy ani pieniędzy. Mamusia znów prała i prasowała u obcych. Całe szczęście, że były ziemniaki i warzywa, które rodzice przezornie posadzili wiosną na skopanej przez tatusia części podwórka. W piwnicy było dużo desek, więc było czym palić w piecu. Państwo Pryżyńscy wrócili z tułaczki i trochę płacili za pilnowanie domu. Nadchodziła smutna Wielkanoc 1940 roku. O tatusiu nie miałyśmy żadnych wiadomości. Mamusia upiekła placki na sodzie. Urosły wysokie, ale nie były najsmaczniejsze. Świąteczne śniadanie zjadłyśmy z ciocią i wujkiem, którzy po południu poszli do siebie, a mamusia ze mną wybierała się do kościoła. Już miałyśmy wychodzić, kiedy rozległ się łomot do drzwi. To ciocia krzyczała: „Kaziu, chodźcie, Heniek wrócił!". Wybiegamy z domu, nikogo nie ma. „Jak możesz tak żartować" - powiedziała mamusia. A ciocia nie mogła tchu złapać, tylko ręką pokazała. Szedł tam wujek i prowadził jakiegoś zarośniętego mężczyznę. Poznałam tatusia, kiedy wymówił moje imię. Ze szczęścia płakaliśmy wszyscy.

Teraz życie toczyło się lepiej. Wiosną rodzice skopali całe podwórko, posadzili ziemniaki - malutkie i jeszcze krojone, żeby starczyło na całe poletko. Nocą ktoś je wybrał, więc trzeba było sadzić jeszcze raz, ale mamusia się nie gniewała, bo - mówiła - zrobił to ktoś bardzo głodny. Tatuś pracował przy odgruzowywaniu, zarabiał niewiele, ale były kartki, można było kupić gorzki chleb i marmoladę z buraków. Rozpoczął się szmugiel, którego mimo strachu próbowali wszyscy. W piątki mamusia z sąsiadką chodziły do podwarszawskich wiosek, sprzedawały odzież i kupowały żywność. Tatuś jeździł dalej za Warszawę, przywoził mięso, drób, czasem wielkie bochny chleba, a raz nawet żywego koguta. Cześć żywności trzeba było na bazarze sprzedać, żeby kupić odzież na wymianę. Niemcy czuli się coraz pewniej. Zamknęli część miasta, ogrodzili murem i tam osiedlili Żydów. Przez pewien czas przez getto jeździł tramwaj, do którego w bramie na oba pomosty wsiadali żandarmi i pilnowali, by nikt nie wyglądał i nie wyrzucił paczki. Widziałam, jak wynędzniali ludzie z przepaskami z Gwiazdą Dawida przemykali ulicami. Czasem widać było trupy przykryte gazetami. Potem tramwaj jeździł innymi ulicami.

We wrześniu 1940 roku poszłam do pierwszej klasy. Szkoła mieściła się niedaleko kościoła św. Stanisława Kostki, ale zaraz budynek zajęli Niemcy, a nas przeniesiono do prywatnej willi. Lekcje religii w dalszym ciągu pobieraliśmy na chórze kościoła. Do szkoły szliśmy przez podwórka. Nikt, kto nie musiał, nie wchodził na ulicę z obawy przed żandarmami, których ciężarowe samochody często stały przed bramami kamienic. Do szkoły od czasu do czasu przychodzili niemieccy lekarze i polskie pielęgniarki, robili nam badania, dostawaliśmy zastrzyki w rękę. Razem z nauczycielkami chodziliśmy do łaźni na wspólną kąpiel, w tym czasie odzież zabierano do dezynfekcji. Wtedy pierwszy raz widziałam nagą dorosłą kobietę. Odbywało się to kilka razy w roku. Po kąpieli wracaliśmy do domów. Zimą więcej chorowałam, niż się uczyłam, ale zdałam do drugiej klasy. Latem szkoła zorganizowała nam półkolonie na działkach, bawiliśmy się w parku i najważniejsze - dostawaliśmy obiady. Jakiś czas później przyjechał pan Bogdan Pryżyński, właściciel domu, z trzema obcymi. Poprosili tatusia i wyszli. Kiedy obejrzeli dokładnie cały budynek i odjechali, rodzice długo rozmawiali, a ja nie mogłam im przeszkadzać. Zaraz potem mamusia spakowała nasze rzeczy i wyjechałyśmy z Warszawy, a tatuś został sam.

Do granicy między Rzeszą a Gubernią jechałyśmy w towarzystwie naszej znajomej z dwutygodniowym dzieckiem. Kolejka dalej nie jeździła, a granica była pilnie strzeżona przez patrole niemieckie i zasieki z drutów. We wsi granicznej było dużo ludzi, to warszawiacy próbowali dostać się do swoich rodzin w Rzeszy. Musieliśmy przenocować u gospodarza na podłodze. Rano mama kupiła mleko, którym popiłyśmy chleb zabrany z domu i ruszyłyśmy na granicę. Niestety, wartownicy zawracali nas trzykrotnie. Trzeciego dnia wcześnie rano pomógł nam gospodarz pędzący krowy na pastwisko tuż obok zasieków. Ukrył nas między bydłem, nakrył workami tak doszłyśmy do drutów, które z Bożą pomocą pokonałyśmy. Szłyśmy jeszcze kilka dni, nocując w stodołach, zaopatrując się w żywność w mijanych wsiach. W Śniadowie zatrzymałyśmy się u teściowej naszej towarzyszki podróży. Następnego dnia we dwie z mamą ruszyłyśmy dalej. Do Konarzyc podwiózł nas jakiś woźnica, a po noclegu dotarłyśmy do celu. W Podgórzu najpierw zatrzymałyśmy się u cioci Rogowskiej, później u cioci Sokołowskiej. Kilka mórg ziemi mamusi, które dotychczas uprawiały siostry, teraz było podstawą naszego utrzymania. Mamusia kilka razy wyprawiała się do Warszawy, by zabrać z domu, co się da. Ostatnim razem rodzice wrócili oboje, znów byliśmy razem i znów niedaleko Łomży.

W PNIEWSKIM LESIE

Wojenny czas był surowym nauczycielem, więc choć byłam dzieckiem, dużo rozumiałam. Byliśmy zameldowani w Warszawie (Gubernia), a tu była Rzesza. Brak meldunku to był naprawdę kłopot. Bez meldunku trudno było o pracę, a tym bez pracy i meldunku groziła wywózka na przymusowe roboty. Dopóki trwały żniwa, rodzice pracowali u rolników za żyto i ziemniaki, bo pieniędzy nikt nie miał. Dzięki dobrym ludziom udało się uzyskać meldunek, wtedy tatuś dostał pracę jako pomocnik gajowego w pniewskim lesie i zamieszkaliśmy w gajówce. Przed wojną pniewski las należał do rozległego i bogatego w ziemię, łąki i lasy majątku rodziny Jabłońskich. Jeden z braci, Jerzy Jabłoński, poseł na Sejm II RP, mieszkał w Pniewie i zarządzał majątkiem, drugi był naukowcem w Warszawie. Wakacje spędzał w leśniczówce, pięknym modrzewiowym dworku z dużym tarasem. Obok w dwurodzinnym domu mieszkał gajowy, znajomy rodziców. Lubiłam to baśniowe miejsce. Gdy przyszli Niemcy, Jabłońscy musieli zostawić wszystko i ukrywali się w Warszawie. Gajowego Rosjanie wywieźli na Sybir w lutym 1940 roku wraz z trzydziestoma trzema rodzinami z Podgórza. Teraz majątkiem zarządzał Polak wyznaczony i kontrolowany przez Niemców. Leśniczym został Hans Welk, zamieszkał w drewnianym dworku z gospodynią panią Sokołowską i praktykantem Waldemarem Rawą z Jednaczewa. Żona i syn leśniczego Welka zostali w Prusach, gdzie mieli duże gospodarstwo i przyjeżdżali tylko na święta. Gajowym był Kuczewski, były powstaniec, uczestnik wojny 1920 roku, inwalida wojenny. W niedługim czasie zachorował i zmarł, wdowa po nim po kilku miesiącach wyszła za Wyrzykowskiego z Wyrzyk i zamieszkała u męża. Zostaliśmy w gajówce sami. Tęskniłam za opowieściami pana Kuczewskiego o dawnych czasach. Kupiliśmy krowę i prosiaki, kilka kur i króliki dostaliśmy od rodziny z Podgórza. Tatuś uprawiał trzy hektary ziemi należącej do leśniczówki. Zboże było dla koni, ale i dla nas trochę zostawało. Zdawało się, że świat stanął na nogi. Wokół leśniczówki było pięknie. Od szosy prowadziła obsadzona kwiatami w gazonach alejka, przed wejściem rozwidlała się i otaczała duży klomb w formie skarpy, obsadzonej szlachetnymi krzewami i wrzosem. W środku stała altana z brzozowego drzewa. Nieopodal, wokół głębokiej na trzydzieści sześć kręgów zadaszonej studni, z dużym kołem do wyciągania wody, stały ławeczki. Wkoło rosły modrzewie, a ja mogłam tam siedzieć i patrzeć godzinami.

Wojenny czas nie pozwalał o sobie zapomnieć. Któregoś dnia pan Welk poprosił tatę, by znalazł krawca. Tatuś powiedział, że zna takiego, ale jest Żydem i mieszka w łomżyńskim getcie. Po paru dniach Welk kazał jechać tatusiowi do Łomży, gdzie czekał już krawiec z żoną, córką Doną, moją rówieśnicą i maszyną do szycia. Zamieszkali u nas w jednym pokoju. Krawiec szył leśniczemu mundury, płaszcz, futro dla żony, kostiumy i inne rzeczy. Gotowali u nas z produktów przyniesionych z leśniczówki przez panią Sokołowską. Po jakimś czasie musieli jednak wrócić do Łomży na spis żydowskich rodzin, ale zostawili maszynę, bo byli pewni, że wrócą.

Tymczasem zaczęło się piekło. Co kilka nocy budzili nas pukaniem wymęczeni, wystraszeni ludzie. Prosili o wypoczynek w czasie dnia, by następnej nocy mogli odejść. Tatuś przygotował w piwnicy pod stodołą wymoszczoną sianem kryjówkę, a ja domyślałam się, dlaczego mama gotuje tak dużo zupy. Rodzice bali się, ale nie mieli sumienia odmówić. Najczęściej przybysze szli dalej na Białystok, by przedostać się do Rosji. Pewnej nocy przyszło dwoje młodych. Ona była ciężarna i zmęczona. Poprosili, by kobieta mogła zostać na czas, kiedy mąż znajdzie bezpieczne miejsce u rodziny pod Białymstokiem. Kobieta została, a kiedy Welk o nią zapytał, mamusia powiedziała, że jest bratanicą taty ze Strękowa, u nas czeka na rozwiązanie, bo stąd bliżej do szpitala w Łomży. Welk tylko się uśmiechnął, ale nie uwierzył. Powiedział, że kolorem włosów jest wprawdzie podobna do taty, ale wygląda na Żydówkę. Upłynęło kilka dni, jej mąż nie wracał, przyszli natomiast jej krewni i z nimi odeszła.

Wkrótce kazano rolnikom przyjechać wozami do Łomży, tam w otoczeniu żandarmów i wojska musieli podjechać pod getto. Ładowano rodziny żydowskie, po kilka na jeden wóz i jechali w kierunku Zambrowa. W pobliżu Podgórza, przy drodze do Giełczyna czekały budy żandarmerii. Spędzili ludzi na pole i ładowali na ciężarówki: młodych oddzielnie, starych, słabych i dzieci oddzielnie. Płacz, krzyk, szarpanie i bicie matek broniących dzieci! Piekło na ziemi. Budy odjeżdżały albo w stronę Białegostoku, albo w stronę Giełczyniaka (uroczysko w kompleksie leśnym Czerwony Bór). Wracały puste i znów ładowano. Pod wieczór, gdy już było po wszystkim, wozaków puszczono do domów.

Tego dnia wujek woził obornik, a mamusia i Józia Sawicka roztrząsały go na polu pod Giełczyniakiem. Usłyszały warkot samochodów, po chwili zobaczyły ciężarówkę z żandarmami i budę pełną ludzi, których pilnowali uzbrojeni żandarmi. Stały jak sparaliżowane. Ktoś z samochodu krzyknął: „Powiedzcie mamie,

powiedzcie mamie." Po głosie poznały Zygmunta Bąkowskiego, kuzyna z Podgórza, którego aresztowano i słuch o nim zaginął. Upadły w bruzdę przy porośniętej krzakami i dzikimi gruszami miedzy i leżały bez ruchu, by nie było ich widać z drogi. Słyszały strzały i budy wracające z ludźmi. Trwało to do wieczora. O zmroku, kiedy odjechali Niemcy, przyszedł wujek. Razem poszli obejrzeć miejsce, gdzie zatrzymywały się budy. Kilka kroków od drogi ziemia była świeżo skopana, a takich miejsc było kilka. Wujek wsadził w ziemię widły, ale wyczuł opór. Oznaczyli miejsce, a następnego dnia wiedzieli o tym odpowiedni ludzie z Łomży. Tak Niemcy zlikwidowali łomżyńskie getto. Skończyły się nocne wędrówki Żydów. Tylko coraz niosła się po okolicy wstrząsająca wieść: tam i tam złapano i zastrzelono kogoś, kto im pomagał. Nikt już nikomu nie wierzył i jeden bał się drugiego.

Jakiś czas potem wieczorem przyszedł krawiec z Doną, ten, który u nas mieszkał. Udało się im uciec z getta jeszcze przed likwidacją. Najpierw ukrywali się w lesie, później u pewnych ludzi. Prosił, żeby oddać maszynę do szycia, mógłby trochę zarabiać, ale pani Sokołowska zabrała maszynę zaraz po ich odejściu. Zmartwił się. Jednak za radą rodziców zdecydował się pójść do Welka. Najpierw wysłali mnie, niby z pytaniem o tatusia. Nikogo obcego nie było, więc poszli obaj. Krawiec dostał swoją maszynę, na wóz załadowano dużo żywności i tatuś odwiózł ich, ale tylko na krzyżówkę, dalej krawiec nie chciał. Wolał, by nikt nie wiedział, gdzie się ukrywa. Później się dowiedziałam, że ukrywali się w Podgórzu, u biednych ludzi. Zginęli, chcę w to wierzyć, przypadkiem, w czasie innej obławy.

Pewnej nocy znów rozległo się pukanie. To dwaj przerażeni młodzieńcy przyszli z żądaniem, by zaprowadzić ich do Welka. Przyszli od, pożal się Boże, działacza podziemia. A rzecz tak się miała: Nocą do domu, gdzie przez szparę sączyło się światło, zapukały dwie żydowskie pary. Prosili o pomoc, ale trafili na pędzenie bimbru. Prócz gospodarza było tam trzech podrostków. Gospodarz i jego bratanek, patrioci, tacy co to „bij Żyda za ukrzyżowanie Chrystusa", wpuścili ich, a potem bili czym popadło. Gdy pobici nie mogli skonać, wysłali po Welka z pistoletem, żeby ich dobił. Wzburzony bezczelnością Niemiec krzyczał, wyzywał po polsku i po niemiecku: „Wy głupcy, nie rozumiecie, że Hitler zrobi z wami, co piekarz z chlebem: Żydami rozczynią, a wami przyczynią". Wypędził ich. Nie wiadomo, czy pobici sami skonali, czy oprawcy ich dobili. Wrzucili ich na wóz, wywieźli pod las na miejsce zwane „wysorowisko", i tam na burcie zakopali. Miejscowi znają to miejsce do dziś.

Zeznanie Marii

Zeznaje Maria C. z miejscowości O.

Kiedy czas był młodszy o siedemdziesiąt lat,
wśród bydła, przykryta jutowym workiem,
w jakiejś wsi przekroczyłam granicę
między Rzeszą a Gubernią.

Pod miastem Ł. gdzie ostatecznie
rozwiązywano problem żydowski
słyszałam warczące ciężarówki i strzały.
Las giełczyński pokrywał się świeżymi bliznami,
a noc czaiła się pod oknami, ostrożnie pukając.

Tam w polu Dona ze szmacianą kukiełką -
z powodu maszyny do szycia ojca Żyda -
na pękniętej tablicy dekalogu, piątego przykazania
wyjętego tylko na jakiś czas - jak mi mówiono -
później było po wojnie i wszyscy o niej zapomnieli.

A ona wciąż biegnie przez pole
do granicy rachunku sumienia
na wyblakłym świstku pamięci.

* * *

W leśniczówce u Hansa Welka szefowie łomżyńskiego starostwa, żandarmi i gestapo urządzali suto zakrapiane polowania, po czym odjeżdżali. Któregoś dnia było inaczej. Przyjechali gestapowcy, jeździli gazikiem po lesie, a kiedy odjechali, Welk przyszedł do nas, chwilę rozmawiał z ojcem i odszedł. Tatuś natychmiast ruszył konno do Pniewa i Rowów, a mamusia pieszo do Podgórza. Zawiadomili robotników leśnych i kogo się dało, by nikt nazajutrz nie wchodził do lasu. O świcie następnego dnia Welk, Sokołowska i Rawa przyszli po rodziców. Zostałam sama z przykazaniem, że nie mogę ruszyć się z domu, póki nie wrócą. Nasza gajówka stała jakieś dwieście metrów od szosy Łomża-Białystok. Kawałkiem było pole, rósł las, ale z domu było widać szosę. Ukryli się w krzakach i obserwowali. Najpierw jechał gazik, za nim duża buda i trzeci samochód pełen żandarmów. Wjechali z szosy w leśny gościniec z Pniewa do Podgórza, jakieś dwieście, trzysta metrów za naszymi

zabudowaniami. Samochody się zatrzymały. Po chwili padły strzały: dwanaście, cisza i jeszcze jeden. Samochody odjechały w takim samym porządku. Welk ze swoimi i rodzice poszli w to miejsce. Gościniec był piaszczysty, więc widać było ślady kół i butów. Zdawali sobie sprawę, co zaszło, ale nie widać było nigdzie świeżej ziemi. Wtedy tatusiowi dziwny wydał się las, którego przedtem nie było. Podeszli i zaczęli wyciągać powtykane drzewka. Pod nimi w świeżej ziemi leżały zwłoki. Zaraz Rawa pojechał do Łomży, by zawiadomić kogo trzeba. Przerażony Welk wrócił do domu. Tatuś poszedł niby cechować drzewa, naciął na nich kilka krzyżyków, ale głównie obserwował okolicę. Przed wieczorem przyjechała starsza pani z Łomży. Zapalili znicz, przybili święty obrazek. Rawa przywiózł wieści: wykonano egzekucję na pracownikach łomżyńskiego sądu. Oburzenie ludności sięgało zenitu. Oskarżano się, że nikt nie powiadomił partyzantów, którzy nie dopuściliby do tej zbrodni. A przecież tatuś zrobił to, co mógł zrobić. Ludzie wiedzieli, że Niemcy coś szykują.

Od tych wydarzeń Welk obawiał się partyzantów. Okna i drzwi leśniczówki były zabezpieczone podwójnymi okiennicami, ale bał się, że w takiej twierdzy spłonie żywcem. Nocami grał w karty, kazał przychodzić mojemu ojcu i Rawie. Pewnego wieczoru od strony szosy usłyszeli turkot wozu i jakieś glosy. Byli pewni, że to żandarmi z Puchał jadą dokończyć wieczór u Welka. Tatuś i Rawa uciekli przez taras. Rawa pobiegł do lasu, a tato do domu. Kazał nam skryć się w życie obok. W alejce słychać było klątwy po polsku. Welk pewnie zorientował się, że to partyzanci, wziął automat, granaty i wszedł w las. Tatuś i Rawa nie mieli broni, na tyle Welk im nie ufał. Słyszeliśmy strzały i krzyki, bieganie. Było ciemno. Po chwili przybysze wycofali się na szosę w kierunku Pniewa i wszystko ucichło. Przyjechała natomiast zawiadomiona przez Welka żandarmeria. Przesłuchali Rawę i tatusia, ale Welk dał im alibi, więc zostali zwolnieni. Następnego dnia we wsi mówiono o dwóch rannych partyzantach. Jechali z okolic Śniadowa, gdzie rozbili niemiecki pociąg z żywnością na wschodni front. Wracając na rauszu pomylili drogę, pomyłkowo wjechali do leśniczówki, wycofać się na wąskiej drodze było trudno. Od tego zdarzenia dniem baliśmy się Niemców, nocą partyzantów, ale kolejne dni mijały.

Jesienią Welk wyjechał do domu do Prus. Wtedy którejś nocy usłyszeliśmy łomot do drzwi i krzyki. Tatuś w bieliźnie otworzył. Dwaj młodzi mężczyźni o nic nie pytając bili go, czym popadło: wyciorem, kolbą. Upadł na kufer, krew tryskała z pleców. Mamusia krzyczała, próbowała go bronić, ale wyprowadzili ją do kuchni.

Ja z łóżka patrzyłam na wszystko i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wszedł dowódca z innymi, krzyknął do bijących, żeby odeszli, mówił coś do tatusia. Kiedy posadzili go na skrzyni, powiedział tylko: „Nie jest prawdą, co mi zarzucacie. Nie mam i nie miałem broni, leżałem w życie. Wszystkie wiadomości przekazywałem ludziom, z którymi miałem kontakt, oni to potwierdzą". Kazali wynosić nasze rzeczy, dwaj partyzanci wyprowadzili tatusia i położyli na wyniesionej pościeli. Przeszukali jeszcze całe mieszkanie, znaleźli skrytkę z dokumentami, przejrzeli i oddali. Podpalili gajówkę i kazali powiedzieć żandarmom, że to zrobili ruskie. Nim odjechali, mamusia zalała ogień, ale paliła się stodoła z naszymi czterema świnkami i obora. Łuna sięgała nieba. Ktoś zdążył wypuścić krowę i konie. Wkrótce przybiegli ludzie z Rowów i Podgórza, przyjechała żandarmeria z Puchał i Łomży. Szukali śladów, przesłuchiwali Rawę, Sokołowską i mamusię, którzy zgodnie mówili, że napastnicy zaciągali z ruska. Kazali sołtysowi podstawić wóz, zawieźli tatusia do szpitala w Łomży. Mnie z mamą i naszymi rzeczami znajomi przewieźli do cioci Popiołkowej do Podgórza. Nazajutrz mamusię wezwano do pewnego mieszkania w Łomży, gdzie kilku mężczyzn wyjaśniało, co zaszło. Mówili, że wprowadzono ich w błąd co do poprzedniego zdarzenia i żeby już się nie bać. Zadbali też o tatusia, przynosili miód, mięso, wynagrodzili lekarzy. Tatuś wyzdrowiał i kazano mu pracować jak dotychczas.

Obawy nas nie opuszczały. Wystarczyła nierozważna skarga któregoś sąsiada, a partyzanci pojawiali się nocą i bez sądu, bez wyjaśnień bili lub zabijali. Rodzice mieli powiązania z ludźmi podziemia, ale z ostrożności nikt się z tym nie obnosił. Życie toczyło się dwiema warstwami, zwykłą, z codziennymi czynnościami i tą tajemną, ukrytą przed Niemcami, a często i przed swoimi

Po pożarze na leśniczówkę zaadaptowano nowy budynek szkoły w Podgórzu. U góry zamieszkał Welk, na dole my i Sosańscy, którzy przyjechali z rzeszowskiego, gdzie bandy UPA wydały na leśniczego Sosańskiego wyrok śmierci. Mieli dwoje dzieci, spodziewali się trzeciego.

BOŻE NARODZENIE

Przed Bożym Narodzeniem Welk powiedział mamusi, żeby zaprosiła jego żonę i syna do nas na Wigilię. Chcieliby poznać nas i zwyczaje Polaków. Urządziliśmy wszystko pięknie. Choinka stała wystrojona w łańcuchy i aniołki z bibułki, jabłuszka i ciasteczka, na czubku lśniła gwiazdka z pozłotka ze świeczką w środku. Potrawy

były postne, ale tradycyjnie: dwanaście. Niemka była zachwycona, dzieliła się z nami opłatkiem. Tatuś zaczął: „Bóg się rodzi", a dalej śpiewaliśmy razem. Na pierwszy dzień Bożego Narodzenia zaprosili nas do leśniczówki. Dostałam talerz słodyczy, mamusia i Sokołowska jedwabne pończochy, a tatuś kilka paczek papierosów. Potem był obiad i różne rozmowy. Leśniczy był tłumaczem. Z ich synem Wolfgangiem porozumiałam się szybko. Trochę na migi, kilka słów po polsku znał od robotnika Polaka z Rowów, którego Wolfgang polubił. Do zabawy wystarczyło. Kiedy wyjechali, Welk był zadowolony. Jego żona zmieniła zdanie o Polakach, których uważała za nieokrzesanych. Przyjeżdżali później kilkakrotnie. Z Wolfgangiem włóczyliśmy się po lesie, unikał ludzi, bał się. Kiedy wyjeżdżał, dostawałam kartkę: „meine liebe Maruśka". Potem pisał robotnik Polak, a on kończył: „deine Wolfgang". Wtedy pojęłam, że wśród tego piekła są wściekłe hitlerowskie psy i normalni Niemcy, a może był to tylko czar tej jedynej w roku nocy.

WESELE LODZI WIŚNIEWSKIEJ

Był już rok 1943, wiosna. Nadchodziły wieści, że Niemcy, bici na wschodzie przez Rosjan, się cofają. A u nas w maju, w Zielone Święta, wydawała się za mąż Lodzia Wiśniewska, której rodziców w czterdziestym wywieźli na Sybir. Zaprzyjaźniłam się z nią przy gotowaniu kapuśniaku dla chłopców z lasu, wśród których był jej brat Czesiek. Teraz ukrywał się przed Niemcami. Mieszkaliśmy już w Podgórzu, gdzie po pożarze na leśniczówkę zaadaptowano nowy budynek szkoły, położony w środku wsi przy szosie z Łomży do Zambrowa. U góry zamieszkał Welk, ale właśnie wyjechał do domu do Prus, na dole my i Sosańscy, którzy przyjechali z rzeszowskiego. Był ślub Lodzi i obiad weselny, na którym byłam z rodzicami. Przyszliśmy właśnie do domu na wieczorny obrządek. Później rodzice szli na weselną zabawę, ja miałam zostać w domu. Nie w smak mi to było. Obrażona siedziałam na łóżku w pokoju. Mamusia w oborze doiła krowy, tatuś z Sosańskim rozmawiali w kuchni, dołączył do nich kowal Jarota z flaszką i synem, po chwili pani Sosańska z dziećmi i sąsiadka Kamińska. Popijali i zakąszali plackiem drożdżowym, który tato położył na stole. Czekali na mamusię. Usłyszeli głośne pukanie, Jarota, siedzący najbliżej drzwi, krzyknął: „Proszę," i dodał: „właźta, lezieta jak banda". Drzwi otworzyły się z hukiem, wpadło kilku ludzi z bronią. Złapali Jarotę za barki i od razu pałą po plecach. Nadaremnie próbował się tłumaczyć. Widziałam z pokoju, co się dzieje, otworzyłam okno, przełożyłam nogi i...

poczułam czyjąś rękę na karku. Wysoki mężczyzną z bronią trzymał mnie za kark nad ziemią: „Mała, ty dokąd, dawaj z powrotem". Miałam jedenaście lat, ale byłam drobna. Krzyczałam, że ja do mamusi, do obory, doi krowy. Zaprowadził mnie do dziewczyny, która była z nimi, kazał pilnować i oddać mamie. Po chwili byłam z mamusią, która właśnie wchodziła do domu, za nami widziałam chłopców i dziewczęta z Podgórza prowadzonych parami przez partyzantów z bronią. Weszli do domu, wszystkim kazano położyć się na podłodze. Mamusi znów nie było, ale mleko stało na kuchni. Okazało się, że obie z Sosańską musiały pokazać mieszkanie Welka na górze. Kiedy wróciły, Sosańską z dziećmi posadzili na łóżku w kuchni, ja siedziałam przy tatusiu na podłodze. Najpierw kolejno przepytywali, czy komuś wydają się znajomymi. Rozpoczęli swoje sądy. Pierwszy ucierpiał Sosański uderzony kilka razy gumową pałką. W jego obronie ktoś się odezwał, zaczęły się krzyki, obrońca ucichł i wsunął się pod łóżko. Nikogo nie wypuszczali, nawet za potrzebą. Kobieta na łóżku nie wytrzymała, wszystko spłynęło na tego, który się tam wczołgał. Krzyczeli jeszcze chwilę, zabronili wychodzić do rana i poszli. Zmoczony wyszedł spod łóżka, inni też zaczęli wstawać. Wtedy znów z hukiem otworzyły się drzwi, wszyscy padli, a oni kazali stanąć pod ścianą w kuchni. Wprowadzili czterech chłopców. Zaczęło się przesłuchiwanie i bicie. Chłopcy tłumaczyli się, że idąc szosą zobaczyli ludzi w niemieckich mundurach z psem, nie mieli szans na ucieczkę. A że byli junakami z obozu w Szepietowie, postanowili powiedzieć, że idą na przepustkę do domów. Nie wiedzieli, że to przebrani partyzanci. Teraz przyznali się, że są uciekinierami, że szli do domów z zamiarem dołączenia do partyzantów. Przesłuchujący nie uwierzyli. Bito ich strasznie. Mama i Sosańska zarzuciły nam dzieciom chustki na głowy, byśmy tego nie widziały. Zrobili swoje siejąc przerażenie i poszli, zabierając motocykl Rawy, akordeon Sosańskiego i deresze Welka. Mama i Sosańska darły prześcieradła i opatrywały pobitych. Znów otworzyły się drzwi. To jeden z chłopców, który niezauważony wyskoczył przez okno, teraz nas uwolnił. Przyjechali żandarmi, wśród nich byli Ukraińcy. Przesłuchiwali, szukali, ale nikogo nie znaleźli. Nie wiedzieć czemu, zabrali obrońcę Sosańskiego, J.W. podobno przeżył obóz w Prusach, ale zmarł po uwolnieniu. Po kilku dniach przyjechali ojcowie pobitych, chcieli wiedzieć, kto skrzywdził ich synów. Też niczego się nie dowiedzieli. Wrócił Welk. Dostał nowe konie, a Rawa i Sosański nie odzyskali niczego. Wesele Lodzi obyło się bez tańców. Niemcy dostali cięgi pod Stalingradem, wracała nadzieja na normalne życie.

Tymczasem w czerwcu wraz z innymi dziećmi chodziłam na nauki przed Pierwszą Komunią Świętą. We wsi przechodziliśmy na prawą stronę szosy i poboczem szliśmy lub jechaliśmy rowem dziewięć kilometrów do Łomży. Szosą jechały niemieckie samochody z wojskiem lub cywilami. Cieszyliśmy się, że uciekają do Prus. Komunia była skromna i połączona z bierzmowaniem. Miałam białą, zrobioną na drutach, sukienkę. Dobrze, że skończyły się codzienne wędrówki do Łomży, bo samochodów i wozów z uciekinierami było coraz więcej.

ŻANDARM RADKE Z PUCHAŁ

Postrachem okolicy był Radke, zwany Radko, bo przechwalał się: „Nie będę nazywał się Radko, jak nie zostawię Polaków rzadko". Rodzinę miał w Łodzi, nim przyszli Niemcy był sierżantem w polskim wojsku w Zambrowie. Potem został niemieckim żandarmem. Pierwszą jego ofiarą był Janek Bąkowski. Po dwóch latach robót przymusowych w Niemczech przyjechał na urlop. Wieczorem przechodził przez podwórka do sąsiadów. Żandarm zabił go z pistoletu dla zabawy. Kolejną jego ofiarą był Czesiek Wiśniewski, który ukrywał się przed Niemcami. Został skazany na więzienie za zabicie wieprzka na święta. Żandarmi przyszli w pierwszy dzień Wielkanocy. Nie miał szans na ucieczkę, schował się pod siennik na łóżku, żona z córeczką położyły się na nim, przykryły pierzyną. Otworzyła siostra. Wpadli, wyrzucili żonę z dzieckiem. Radke serią z automatu przejechał po łóżku, po czym kazał zdjąć siennik. Zawołali sąsiadów, kazali wykopać dół w ogrodzie, zawinąć ciało w kapę i zakopać. Przeszukali mieszkanie, ale nic nie znaleźli i odeszli. Następnego dnia za zgodą księdza pochowano Cześka w trumnie na cmentarzu w Łomży. Miał osiemnaście dziur po kulach. Radke zamordował czterech chłopców, którym udało się uciec z Niemiec z robot. Byli blisko domu, ale zmęczeni. Zatrzymali się w Podgórzu u Archackich. Jedli posiłek, kiedy wpadli żandarmi zwabieni światłem w szparze okna. Wyłamali drzwi, wtedy wszyscy padli na ziemię. Zaczęli chłopaków przesłuchiwać. Tłumaczyli się, że jadą z Prus na urlop. Wyprowadzili ich na drogę, kazali uciekać. Wtedy Radke zabił ich serią z automatu. Padli na skarpie po przeciwnej stronie drogi. Tam ludziom z sąsiednich domów kazali ich zakopać. Następnego dnia ktoś zawiadomił rodziny. Przyjechali spod Zambrowa z trumnami. Trudno sobie wyobrazić rozpacz bliskich. Grób na skarpie był jeszcze po wojnie, a szkolne dzieci stawiały tam kwiaty.

Do leśniczego znów przyjechali żandarmi, krótko z nim rozmawiali, i znów mamusia dostała polecenie, w którym i ja miałam uczestniczyć. Dostałam polecenie, by pójść do szkółki leśnej do tatusia. Pracował tam z ludźmi odrabiającymi szarwark. Gdyby w drodze zaczepili mnie żandarmi, miałam powiedzieć: „Meine papa arbeitet in Wald, ich habe Essen". Trochę się bałam, ale byłam dumna, że mam do wykonania ważne zadanie. Póki szłam przez wieś, było dobrze, powtarzałam co chwila niemieckie zdanie. W lesie bałam się, a gdy skręcałam w ścieżkę do szkółki, zobaczyłam gazik z trzema żandarmami. Jeden zawołał: „Gdzie idziesz, mała?" Automatycznie wyrecytowałam: „Meine papa..." Zaczęli się śmiać, a do mnie dotarło, że pytali po polsku. Po chwili byłam w szkółce, powiedziałam tatusiowi, że przysyła mnie Welk z wiadomością, by nikt nie opuszczał szkółki aż do jego przyjazdu. Nie trwało to długo. Przyjechał, robotnicy poszli do domów i my mogliśmy wrócić.

Nazajutrz przyszedł Strzemiński, nauczyciel z Pniew, z którym tatuś kontaktował się w ważnych sprawach. Niemcy gdzieś w lesie zabili Dąbrowskiego z Pniew. Kiedy weszli Niemcy, wstąpił do tzw. czarnej policji w Puchałach. W krótkim czasie uciekł do lasu, zabierając broń i mundur. Żandarmi nie darowali mu tego. Teraz tatuś i Strzemiński szukali jego grobu. Jak zawsze doprowadziły ich ślady samochodu. Po drugiej stronie drogi, gdzie wcześniej rozstrzelano pracowników sądu, w otwartym dole leżał młody Dąbrowski, w polskim wojskowym mundurze, butach, z pasem. Zdjęli pas, z kieszeni zabrali osobiste drobiazgi, by oddać rodzinie. Wtedy usłyszeli samochód. Schowali się w zarośla. To żandarmi przywieźli dwóch mężczyzn, wyglądających jak więźniowie. O coś pytali, padały odpowiedzi, ale ukryci tego nie słyszeli. Wtedy następni z gazika na rozkaz zasypali grób i wszyscy odjechali. Wieczorem Strzemiński powiadomił rodzinę. Nocą zabrano zabitego i pochowano na cmentarzu w Puchałach. Rodzice i kilka dni wcześniej poślubiona młoda żona Dąbrowskiego przeżyli. Po kilku miesiącach urodził się jego syn.

ROK 1944 i 1945.

Nadal mieszkaliśmy w szkole przy szosie. Widzieliśmy samochody z żołnierzami i wozy uciekających Ukraińców. Bali się tak samo jak my i byli zupełnie inni od tych, którzy przyjeżdżali

z Niemcami na obławy. Jechali całymi rodzinami, z dobytkiem, nocowali w stodołach lub pod gołym niebem i jechali dalej. Spieszyli się. Za nimi przyszli Niemcy, zajęli szkołę, gdzie urządzili polową piekarnię dla wojska, a my znów szukaliśmy mieszkania u znajomych. Przyjęli nas Kotarowie. Niemcy przywieźli też ludzi, którzy rozkopywali zbiorowe mogiły w okolicy, prawdopodobnie na ludzkie szczątki lali benzynę i palili. Łuny, dym i swąd widzieliśmy i czuliśmy kilka dni.

Potem przyszli inni. Zabrali mamusię do kopania okopów pod Zambrowem, później bliżej, kolo Wygody, w końcu większą liczbą ludzi kopali rów przeciwczołgowy pod Podgórzem. Zbliżał się wschodni front, gospodarze wiedzieli, jak się przygotować. Tatuś i pan (Izydor) Kotara urządzili świniobicie. Mięso dobrze nasolili i w beczkach zakopali w stodole, ale nie było już czasu, by przerzucić tam słomę. Musieliśmy opuścić dom i uciekać za Narew do Prus. Podgórzanie ładowali na wozy dobytek, bydło wiązali do wozów i jechali. Zatrzymaliśmy się najpierw w Giełczynie u Geszterowiczów. Obszerne zabudowania były puste, bo właścicieli wywieziono na Sybir. Były z nami siostry mamy z rodzinami. W niedzielę ciocia Janina z dziećmi usnęła w cieniu wozu, starsze dziewczynki spały w stodole, wujek gdzieś wyszedł. Niespodziewanie rozległ się huk. Za stodołą rozerwał się pocisk, drugi na środku podwórza, przy wozie. Ciocia i dwuletnia Jadzia zginęły od razu, ośmioletni Henio był ciężko ranny, tylko czteroletni Ludwiś ocalał. Był jeszcze jeden wybuch, w polu, gdzie uciekali przerażeni ludzie. Zginęło dziewięć osób, kilkanaście było rannych. Nie było pomocy, lekarza, opatrunków. Henio umierał przy ojcu i klęczących przy nim siostrach, Irce i Zosi, pod kopką żyta. Wokół byli ludzie, była święcona woda, świeca i krzyżyk, nie było ratunku. Mężczyźni wykopali grób, złożyli ciała owinięte w płachty i zakopali. Wetknęli w ziemię naprędce zbity krzyż, a nas popędzono do Łomży. Później mówiono, ze to Rosjanie źle obliczyli pole ostrzału. Nikt się nie tłumaczył, a zginęli niewinni.

Zapędzono nas do Starej Łomży. Zatrzymaliśmy się u znajomych. W dużym ogrodzie między wzniesieniami stał stóg. Przespaliśmy tam noc, później tatuś przygotował ziemiankę przykrytą trawą lub sianem dla bydła i koni. Spaliśmy w niej nocą, a za dnia mężczyźni chowali się przed Niemcami. Któregoś dnia przyszli i strasząc grantami wyprowadzili mężczyzn, wśród nich i tatę. Odtąd nocą przebywali pod strażą w stodole, a w dzień kopali okopy. Zostałyśmy same. Wiedzieliśmy, że popędzą nas dalej. Mamusia z Kłosińską piekły chleb na podróż. Zdążyły właśnie wsadzić

bochny do pieca, gdy pojawili się Niemcy, kazali zaprzęgać i jechać. „Schnell, herrausfahren!" - krzyczeli. Wcześniej zabrali nam krowę, nasze rzeczy leżały na wozie Kotarów, więc ruszyliśmy natychmiast. Kiedy w Łomży dojeżdżaliśmy do mostu na Narwi, ktoś otworzył bramę, przejechaliśmy przez jakieś podwórko i zatrzymaliśmy się za murem kościoła szarytek. Bramę zamknięto. Inni pojechali dalej. Nie wiem, kto zorganizował ucieczkę. Kiedy wszystko ucichło, mamusia i Kłosińska wróciły po chleb. Szły przez pola, ale przed wieczorem wróciły. Spiekł się za bardzo, ale smakował wybornie. Wozy stały na klasztornym polu, mienia pilnowali mężczyźni, a kobiety z dziećmi siedziały w piwnicach sąsiednich domów. Rankiem następnego dnia Niemcy zakładali ładunki wybuchowe w domach na linii Narwi. Przyszli i do naszej piwnicy. Byli na rauszu, dostali wódkę i zapomnieli o Bożym świecie. A świtem kolejnego dnia zza Łomży odezwały się katiusze. Kule jak rozpalone żagwie przelatywały nad nami za Narew. Wybiegliśmy z piwnic w pole, ale nie było gdzie się schować. Mamusia złapała mnie za rękę i wciągnęła do jakiegoś okopu. Leżałyśmy, o dziwo, wśród pierzyn i poduch. Po chwili ucichło wszystko. Mamusia wyjrzała. Biegła w naszym kierunku kobieta z dzieckiem, córka znajomych, krzycząc: „Niemców nie ma, są już Rosjanie". Śpieszyliśmy do wozów, by wracać do Podgórza. Na szosie mijaliśmy czołgi, działa, rosyjskich żołnierzy. Pozdrawialiśmy się, nikt nas nie zatrzymywał. We wsi nie było dużych zniszczeń, więcej było drobnych kradzieży. Od razu było wiadomo, kto co zabrał, toteż wiedzieliśmy do kogo zwrócić się po swoje. W stodole ktoś przerzucił słomę, szukał beczek z mięsem i się rozczarował. Pod słomą czekały na nas. Wykopano je, a kobiety obsuszyły mięso. Teraz przyszli Rosjanie i kazali nam opuścić wieś i jechać pod Zambrów ze względu na front. Tym razem jechałyśmy z siostrą mamusi, jej mężem i synami: Tomkiem i Gienkiem, od których dostałam zrobiony ze śruby pierścionek z wygrawerowanym orłem. Dojechaliśmy do Brzeźnicy, ale było tam tylu wysiedleńców, że spaliśmy pod wozem. Wróciliśmy i znów nas wygoniono. Tym razem pojechaliśmy w góry pod Czerwony Bór. Tam wykopaliśmy ziemianki i w nich mieszkaliśmy, a jako że pierwszy w taki sposób zamieszkał Jan Mazguła z rodziną, ziemiankową osadę nazwaliśmy Mazgułowo. Kończyło się lato. Zboże sypało się z kłosów, więc kto mógł, kosił i przywoził do Mazgułowa. Przywieziono też kierat i cepy, a nawet małą młocarnię. Mamusia pomagała innym, w ten sposób zarobiła dwa worki żyta i zmełła je w żarnach. Jednocześnie kopano kartofle, jak kto mógł. Mamusia musiała czekać, aż rolnicy wykopią i zwiozą

swoje. Kopała, zsypywała w małe kopczyki, później ktoś pomógł je zwieźć, część jednak ktoś zabrał. Jesień mijała, tatusia jeszcze nie było, nie miałyśmy żadnych wiadomości. Miałyśmy mąkę, suchary, mięso i ziemniaki. Miałyśmy też nadzieję, że wojna się skończy. Na Boże Narodzenie mamusia upiekła cztery blachy chleba. Ze zmarzniętych buraków przyniesionych z dworskiego pola w Pniewie kobiety uwarzyły syrop. Słodziliśmy nim kawę z upalonego zboża lub polewaliśmy chleb. Ciocia Rogowska miała trochę pszennej maki, upiekła cieniutki placek, pokropiła święconą wodą i tym łamaliśmy się w Wigilię. Mijały krótkie świąteczne dni. Spokój zniknął, kiedy rosyjscy żołnierze przyszli do nas po śladach na śniegu. Najpierw niektórzy z nimi handlowali, później rozzuchwaleni próbowali rabować. Zaskoczył ich krzyk kobiet i natarcie uzbrojonych w widły i siekiery mężczyzn. Następnego dnia ktoś poszedł na skargę do dowództwa. Odbyła się identyfikacja, ale nikogo nie wskazano. Tak zakończyła się nasza wojna. Wreszcie pozwolono nam wracać do Podgórza. W niektórych domach kwaterowali żołnierze, inne rozebrali na opał. Zamieszkaliśmy w kuchni u Jadwigi i Kazika Jarotów w osiem osób, obok w pokoju kwaterowali zwiadowcy: lejtnant i jego adiutant. Kobiety zatrudniono w wojskowej pralni urządzonej w opuszczonym domu Sawickich. Szefem pralni był „starszyna Muchin", który wyznaczył mamusię na starszą praczkę, ponieważ rozpoznała i wiedziała jak korzystać z wyżymaczki. Nieraz śmieliśmy się, że był to pierwszy i jedyny jej awans. Pracowało jedenaście kobiet, dostawały chleb, konserwy, cukier w kostkach, ale potrafiły też swoim sposobem przynieść do domu mydło i wojskową bieliznę. Kilka razy przyjechało wojskowe kino i teatr dla wojska. Pozwolono przyjść dzieciom. Niektóre pierwszy raz widziały takie dziwy. Tak było do połowy stycznia. Siódmego stycznia 1945 roku wojsko poszło za Narew do Prus, za frontem pojechała pralnia starszyny Muchina. Z Prus wracali Polacy z obozów i robót przymusowych. Wracali też ukraińscy uciekinierzy, nie doczekawszy się „Samostijnej Ukrajiny". Rosjanie pędzili, często przy pomocy młodych wracających do domów, stada pięknych krów rasy holenderskiej. Odpoczywali w Podgórzu, bydło przetrzymując w stodołach. Jak zawsze niektórym udało się kupić za bimber cielę lub wołowinę. Po kilkunastu tygodniach wojsko opuściło wieś i zaczął się czas porządków i remontów. Ciocia Rogowska wróciła do siebie, dostałyśmy w jej domu jeden pokoik i czekałyśmy na tatusia, o którym w dalszym ciągu nic nie wiedziałyśmy. Czynne były już niektóre urzędy, a rolnicy wyjechali na pola. Tatuś wrócił na początku kwietnia razem ze Stanisławem Kłosińskim i Piotrem Zaczkiem.

Byli wywiezieni do kopania okopów w okolice Gdańska. Wrócili wymęczeni, zawszeni i brudni, jednak wrócili!

Tatuś pracował trochę w grupie budowlanej kuzyna przy odbudowie domów, mamusia gospodarzyła na swojej ziemi, ale czekaliśmy na możliwość powrotu do Warszawy. Maj wybuchł kwiatami i radością. Rozpoczęła się wielka wędrówka: powroty i wyjazdy, poszukiwania miejsca do życia i rabunki, rozboje, napady. Na cmentarzu w Łomży w całej alei leżą młodzi ludzie, którzy zginęli w bratobójczych walkach, już po zakończeniu wojny. Nikt nie był pewny następnego dnia. Grupa jedenastu rodzin z Podgórza szesnastego sierpnia 1945 roku podjęła decyzję wyjazdu na Ziemie Odzyskane. Byliśmy wśród nich.

Droga

dzwoniły fajerki
jak koła wielkiego wozu
z dyszlem na zachód

kamień drżał na kamieniu

wciąż trwa żywa pamięć
na starej fotografii dym z komina
układa się w rysunek tęsknoty

popiołem codzienności
zasypujemy drogę powrotną
a byle powiew odsłania blizny
po starym domu

Fotografia ze zbiorów Jana Maziejuka.

Sybiriada

(WSPOMNIENIA MĘŻA, JÓZEFA CIEŚLIKA,
SPISAŁA HENRYKA MARIA CIEŚLIK)

Często wspominaliśmy czasy wojny. Nieraz cale noce Józek opowiadał mi losy swoje i swojej rodziny na zesłaniu w ZSRR. Zaczęło się nocą 10 lutego 1940 roku. - Nagle rozległ się łomot - opowiadał. Drzwi wypadły, a do mieszkania wpadli sołdaty z bronią w ręku. Wrzeszczeli: „Ubierać się, pakować i wychodzić na dwór". Miałem trzynaście lat, mój młodszy brat Michał niecałe sześć. Matka nie miała czasu nas uspokajać. Pakowała do worków, co było pod ręką. Ojca wyprowadzono na dwór. Jeden z sołdatów podszedł do mamy i powiedział, żeby brała pościel, ciepłe ubrania i dużo jedzenia, bo jedziemy daleko. Niewiele mamie pomogliśmy, byliśmy sparaliżowani strachem. Pakunki wynieśliśmy przed dom, tam załadowaliśmy na wóz, sami siedliśmy na toboły i powieziono nas w kierunku szkoły. Tam byli już ludzie z okolicznych wiosek i z drugiej strony Podgórza. Podjeżdżały wozy, na które wsiadali ludzie i cała karawana ruszyła do Łomży. Była czwarta nad ranem, ciemno. Wóz za wozem, otoczeni sołdatami, dojechaliśmy na dworzec. Stał tam pociąg towarowy złożony z wielu wagonów. Wszystkie z pryczami, ale bez słomy, po obu stronach, na końcu piecyk, tak zwana „koza" oraz dziura w podłodze służąca za toaletę. Wpędzono nas do środka po kilkanaście rodzin. Z samego Podgórza były trzydzieści dwie. Pociąg stał dwie i pół doby, a ludzi ciągle dowożono.

Józef Cieślik z Podgórza jako chłopiec został wywieziony na Syberię. Po wojnie zamieszkał w Objeździe.

Kiedy pociąg był załadowany, lokomotywa ruszyła. Ludzie płakali, wyglądali przez szpary w ścianach, żegnali rodzinne strony. Jechaliśmy w nieznane. Na tobołkach siedzieliśmy, spaliśmy i jedliśmy to, co zdążyły matki ze sobą zabrać. Do granicy jechaliśmy polskim pociągiem, a na granicy czekał już inny, jeszcze dłuższy, z większymi wagonami i szerszym rozstawem kół. Tu po raz pierwszy dostaliśmy chleb i gorącą wodę.

Zima 1940 roku była bardzo mroźna. Woda i żywność zamarzały. Po przekroczeniu granicy było jeszcze mroźniej i wietrzniej. W wagonach były małe dzieci i starsi. Im było najtrudniej. Leżeli na narach, opatuleni we wszystko, co ze sobą zabrali. Nie było nawet garści słomy. Aby coś ugotować, trzeba było walczyć o piecyk, bo kto pierwszy, ten lepszy.

Krajobraz się zmieniał. Ogromne lasy. Żadnych miast ani wsi, czasem w dali widać było wśród śniegów baraki, ludzi przy wyrębie drzewa ubranych w łachmany i łapcie.

Wreszcie dowieźli nas do jakiejś stacji wśród tajgi i śniegów. To stacja rozjazdowa Buraczycha w obłasti archangielskiej. Popędzili nas do innego pociągu i powieźli do Soługi. Jednych wysadzili po kilku kilometrach, innych dalej, a nas wysadzono aż w piątym kwartale, tzw. piątym uczastku.

Osiedlono nas w drewnianych barakach, każda rodzina dostała jedne nary. W sali było dwanaście rodzin. Kuchnia ogólna. Dostawaliśmy jedzenie, ale trzeba było za nie płacić. Porcje były głodowe, a zarobki bardzo małe. Nieraz udało się mamie coś kupić lub zdobyć, ugotowała to w piecyku grzewczym w baraku. Opał przynosiliśmy z tajgi. Baraków było kilka, a każdy był obsadzony ludźmi z jednego transportu. Cały czas byliśmy razem z rodziną Julianny Kalistowej, którą wywieziono z sześciorgiem dzieci i teściem.

Wszystkim przydzielono pracę. Niektórzy pracowali w tajdze przy wyrębie drzewa. Inni wozami wywozili je na stację kolejową, ładowali na wagony, które gdzieś odjeżdżały. Kobiety obcinały gałęzie i paliły. Dzieci zostawały w barakach pod opieką starców i rodzeństwa. Miałem niecałe czternaście lat, więc najpierw robiłem, co mi kazano, później jeździłem z innymi wozem po drzewo. Dopóki sowieci byli w Polsce, moja siostra Regina Makowska, która była mężatką, dlatego uniknęła wywózki z naszą rodziną, przysłała nam kilka paczek. Była w nich słonina, cebula i czosnek, o to najczęściej prosiliśmy. Dostałem kurzej ślepoty. Po zachodzie słońca nic nie widziałem, ale i tak musiałem pracować. Wsadzano mnie na wóz, a konie szły za innymi i tak jeździłem aż do wschodu. Potem przykuliło mi nogi i nie mogłem ich wyprostować. Zęby zaczęły mi się ruszać. Po wielkich staraniach rodziców zawieziono mnie pociągiem do miasteczka Niandoma i tam leczono. Tak naprawdę uratowały mnie paczki od siostry. Jadłem czosnek i cebulę. To pokonało szkorbut. U pani Kalistowej zmarły obie córeczki i teść.

Przyszło lato - bardzo ciepłe, choć krótkie. Wszystko wkoło kwitło, zazieleniły się łąki. Zaczęły się sianokosy, więc ludzie mieli inną pracę. Całe brygady wyjeżdżały w tajgę. Tam kosili, suszyli,

grabili i zwozili siano. Inni dalej ścinali drzewa i wszystko znów jechało gdzieś do Rosji. Kobiety zbierały owoce leśne, których było bardzo dużo i przynosiły głodnym dzieciom. Grzybów było tak dużo, ze nie można było ich przebrać. Starzy i małe dzieci gaśli jak świeczki. Nawet pochować ich porządnie nie było można, bo była tu wielka zmarzlina. Nawet latem trudno było wykopać głęboki dół. Najgorzej było zimą, kiedy watahy dzikich psów i niedźwiedzie wykopywały ciała. Zima 1941 roku przerażała nas wszystkich. Dobrze wiedzieliśmy, że wielu z nas nigdy nie wróci do domów, rodzin i kraju. Nadal trwały prace przy budowie kolei, która biegła w stepy i lasy Syberii. Paczki z domu już nie przychodziły, bo Niemcy wypędzili sowietów z Polski. Cierpieliśmy z głodu i zimna.

W sierpniu 1941 roku zatliła się iskierka nadziei. Dotarła do nas wiadomość, że generał Władysław Sikorski zawarł umowę ze Stalinem. Wkrótce przyjechali jacyś przedstawiciele rządu i powiedzieli nam, że jesteśmy wolni, możemy jechać w inne rejony ZSRR. Do Polski nie możemy wrócić, bo są tam Niemcy. Nie mieliśmy wielkiego wyboru, więc wywieziono nas do Uzbekistanu. Znów jazda w wagonach towarowych. Potem barkami przez Jezioro Aralskie, Syr-darią do Taszkientu, a stamtąd do okolicznych kołchozów. Tam dostaliśmy lepianki i pracę. Poczuliśmy się lepiej, bo było przynajmniej ciepło. Pracowaliśmy w kołchozie. Mężczyźni przy uprawie ryżu, dżugary (sorgo) i innych uprawach. Kobiety zrywały i sortowały bawełnę. Rosły tu różne owoce, bardzo smaczne i słodkie. Dostaliśmy od kołchozu pięć kóz, więc mieliśmy mleko. Rodzina Kalistów też tu była, ale bez Olka, który w drodze gdzieś się zgubił, więc mieliśmy przyjaciół, z którymi wzajemnie się wspieraliśmy. Był z nami ksiądz, zatrudniony jako stróż kołchozowego ogrodu. Chodził dokoła ogrodzenia, a polskie dzieci rwały owoce i nosiły do domów. Ksiądz modlił się, aby ich nikt nie złapał.

Byliśmy zdziwieni tym, co zobaczyliśmy. Inny kraj, inni ludzie, inne zwyczaje. Uzbecy byli życzliwi Polakom. Nienawidzili Rosjan. Często mama z małym Michałem i pani Kalistowa też z synkiem Michałem chodziły po uzbeckich osadach, prosząc o żywność, bo na początku nic nie mieliśmy. Zawsze serdecznie je przyjmowali i dawali, co mieli, choć i oni mieli niewiele. Zwyczaje też mieli inne. Mężczyźni mieli po kilka żon. Kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy uzbeckie wesele, byliśmy w szoku. Pan młody był starcem, a panna młoda dwunastoletnią dziewczynką. Ślub też był dziwny. Na środku polany paliło się ognisko, a panna młoda przeskakiwała przez nie, aby wypalić wszystkie grzechy. Później pili jakiś alkohol i jedli, tańczyli. Jeszcze bardziej zadziwił nas pogrzeb. Zmarłego owinięto białym płótnem

i położono na narach. Żona przygotowała przyjęcie. Ludzie przychodzili do domu, mężczyźni brali żonę zmarłego do tańca, kobiety płakały lub lamentowały. Wszyscy jedli i pili alkohol. Potem wzięli nosze ze zmarłym i biegali różnymi dróżkami przez pola, aby zmarły zapomniał drogę do domu i nigdy nie wrócił. Na cmentarzu była przygotowana lepianka. Włożono do niej jedzenie i napoje, potem wsunięto zmarłego i zalepiono dziurę. Po pochówku wracali do swych zajęć.

W pobliżu naszej chaty była szkoła, więc początkowo tam pilnowałem porządku i sprzątałem. Potem zostałem gońcem i jeździłem na osiołku do Zjednoczenia. Woziłem tam raporty i sprawozdania z kołchozu.

Potem Polski Czerwony Krzyż zorganizował domy dziecka dla polskich dzieci. Zabrano tam wszystkie polskie dzieci. Dostawały jedzenie i tam spały. Opiekunami byli Polacy, a polscy nauczyciele uczyli je jak w normalnej szkole. Zaczęto wyjeżdżać razem z wojskiem generała Andersa do Iranu i dalej przez Indie, Afrykę do Anglii. Myśmy zwlekali. Rodzice nie bez trudu odebrali swoje dzieci z domu dziecka. Bali się, że je stracą. Czekaliśmy na swoją kolejkę wyjazdu, aż tu nagle okazało się, że Rosjanie zamknęli granicę. Musieliśmy zostać. Dochodziły do nas wieści, że Niemcy uciekają, Rosja i Ukraina są już wolne, a front zbliża się do Polski. Pewnego dnia zawitali do nas jacyś ludzie, mówili, że są Polakami i organizują powrót do kraju. Spisali wszystkich i po dwóch latach przeżytych w Uzbekistanie przewieziono nas na Ukrainę w okolice Zaporoża. Tam umieszczono nas w kołchozie imienia Żdanowa. Znów praca w kołchozie. Inna kultura, inne zwyczaje. Mogliśmy tu żyć tak, jak żyli Ukraińcy. Razem pracowaliśmy w polu i nasze matki płakały razem z Ukrainkami po ich synach, którzy ginęli na froncie. Zaprzyjaźniliśmy się z rodziną Seroczyńskich. Byli z pochodzenia Polakami, którzy tu żyli jeszcze przed pierwszą wojną światową. Seroczyński był mechanikiem, jeździł traktorami i kombajnami. Wziął mnie za pomocnika, a ja tak polubiłem tę pracę, że stała się celem mojego życia. Pola były tam olbrzymie, ciągnęły się kilometrami. Kiedy oraliśmy, musieliśmy stawiać tyczki z wiązkami słomy, bo inaczej nie było widać końca. Jeździłem też na kombajnie. Było to coś nowego, czego u nas wtedy jeszcze nie było. Nieraz udało się schować worek pszenicy w polu pod słomą, potem przynieść do domu. Nieraz kobiety pracujące przy wialniach czyszczących zboże przyniosły do domu parę kilo zboża w specjalnie uszytych torbach schowanych pod spódnicą. Dzieci też nie próżnowały, znosiły różne owoce i warzywa. Były tam ogromne pola arbuzów, więc często przynosiły je do domów. Na Ukrainie przebywaliśmy około dwóch lat. Byli z nami Kalistowie i inni Polacy z Podgórza i okolic.

Coraz częściej dochodziły do nas wiadomości, że armia radziecka pędzi Niemców na zachód. Nareszcie budziły się nadzieje, że wkrótce wrócimy do Polski do swoich rodzin i domów. Nadszedł dzień, kiedy spisano już nas, wojennych wędrowców, na stacjach podstawiono wagony, zwieziono wszystkich, którzy przetrwali i przeżyli ten trudny czas. Ruszyliśmy w drogę powrotną. Ta podróż była inna, bo mieliśmy co jeść, a świadomość, że wracamy, napawała nas wielką radością. W kwietniu 1946 roku przekroczyliśmy polską granicę, a po kilku dniach wróciliśmy na swoją ziemię, do swoich rodzin i domów. Ale nie było nic - ni bydła, ni zboża, ni koni. Brat Zygmunt, który był na robotach przymusowych w Niemczech, wrócił po wojnie do Podgórza, następnie razem z innymi wyjechał do Słupska i we wsi Wobezde (Objazda) zajął gospodarstwo. Przyjechał po nas i zabrał do siebie do Objazdy. Zostaliśmy w Słupskiem na stałe. Przyjechały tu jeszcze inne rodziny z Podgórza, których dobytek przepadł w czasie wojny. Olek Kalista oczekując na powrót ojca z niewoli u Niemców też tu zajął gospodarstwo, później dojechała jego rodzina. Przyjechali Kołodziejscy, Czesław, jego córki Stefania i Anna, z którymi byliśmy w Kazachstanie, a których dom w Podgórzu był w ruinie. Po jakimś czasie przyjechały dzieci - Jasia i Stasiek - pana Jasińskiego, który był wywieziony do Niemiec, a żona z trójką dzieci była wywieziona na Sybir, gdzie zmarła. Dziećmi zaopiekowali się Polacy, razem z wojskiem Andersa przez Azję, Afrykę i Anglię wróciły do Polski. Zaczynało się nowe życie.

Zapisałam w skrócie to, o czym opowiadał mój mąż Józef Cieślik. Gdybym chciała opowiedzieć o wszystkim, trzeba by było tyle czasu, ile trwało nasze wspólne życie, bo pamięć o tamtym czasie była ciągle obecna w rodzinnych rozmowach.

Złamany krzyż na opuszczonym cmentarzu pod Osiekami Słupskimi.

(Pod Osiekami Słupskimi)

Na grzbiecie czworobok świerków
wciąż straż trzyma i buki płoną,
choć rozpacz i gniew spłynęły pochyłym czasem,
a winy wybielały obmyte w leniwej strudze.

Jesień tu wlazła w porzucony cmentarz.
Zapadłym dołem niepamięci,
roztrzaskanym krzyżem, ramionami bluszczu
pełznie obcy czas - wieczny odpoczynek.

Ukradkiem przemyka sarna,
ptak spłoszony niebo otwiera,
pies z podkulonym ogonem się łasi
do duchów odrzuconej przeszłości.

Obłaskawiam obecnością, światłem znicza,
ziemię i nietrwałość istnienia -
jasnowłosą fräulein zhańbioną*
wojennym szałem przerażonego sołdata.

*Śródpolną die Frühmesse** jesienną -*
znak pokoju wśród ścierniska -
do nieba wznosi Anioł Pański,
aktem strzelistym kiełkująca ozimina

** fräulein - panna, panienka*
*** die Frühmesse - msza poranna*

Aleksander Kalista: Przyszedł czas nieprzewidziany

Aleksander Kalista dożył sędziwego wieku, doczekawszy się czwórki dzieci, jedenaściorga wnucząt i prawnuków. Był rolnikiem. Mieszkał w Bałamątku, w sołectwie Objazda. Gdy przyszedł czas, gospodarstwo przekazał państwu w zamian za skromną rolniczą emeryturę, w latach dziewięćdziesiątych wzbogaconą dodatkiem dla sybiraków. Pod koniec życia spisał wspomnienia, by na nowo przyjrzeć się swemu losowi. Odszedł, ale opowieść zapisana długopisem w szkolnym zeszycie w kratkę pozostała.

CZĘŚĆ I: ALEKSANDER KALISTA OPOWIADA O ŻYCIU W PODGÓRZU PO WYBUCHU WOJNY

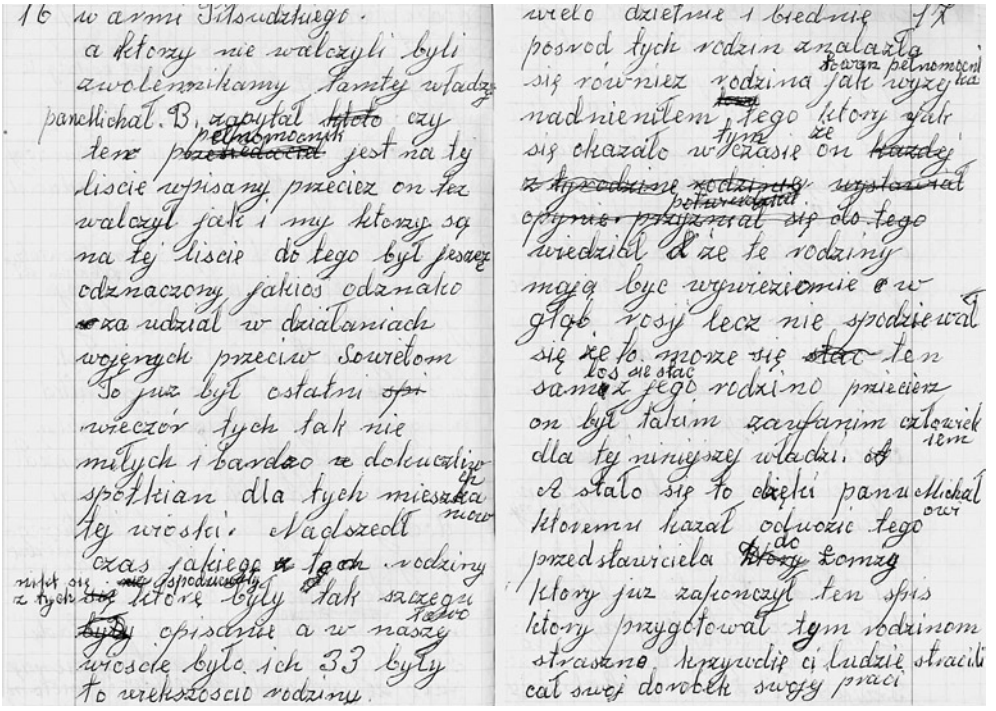

Rękopis wspomnień Aleksandra Kalisty.

Działo się we wsi Podgórze w gminie Kupiski, w powiecie łomżyńskim, województwie białostockim. Pierwszego września 1939 roku rankiem, jak się obudziłem, usłyszałem bardzo głośny warkot.

Nie domyśliłem się, co się dzieje. Jak wyszedłem na podwórze, zobaczyłem lecące samoloty. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, że to samoloty niemieckie. Zapytałem ojca, co się dzieje. Odpowiedział mi, że to są samoloty niemieckie, bombardują nasze miasta. Niemcy wydali nam, znaczy Polsce, wojnę. Tego dnia i przez następne dni było duże zamieszanie w całej wsi. Ludzie byli zastraszeni, bo było widać w okolicy pożary. Matki i żony, których synowie i mężowie byli powołani do wojska, bardzo rozpaczały, tym bardziej, jak się dowiedziały, że z naszej wioski został zabity w Zambrowie ojciec trojga dzieci, który stał na warcie przy bramie głównej koszarów.

W tych dniach zamieszania doszło dla matek dodatkowe zmartwienie. Sołtys otrzymał z gminy zarządzenie, żeby każdemu chłopcu w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat wypisano zaświadczenie, w którym ma być imię i nazwisko, data urodzenia, imię ojca, imię matki, miejsce zamieszkania, pieczątka i podpis sołtysa. Zaniepokoiło to rodziców, którzy mieli w takim wieku dzieci. Po bardzo krótkim czasie wszystko się wyjaśniło. Gdy wkroczyli już niemieccy żołnierze, zaraz „na powitanie" zarządzili zbiórkę wszystkich mężczyzn od osiemnastego roku życia, a jednocześnie ci, którzy nie byli powołani do naszej armii, mieli się stawić na plac szkolny. Nie wiem jak brzmiało to zarządzenie, mówili tylko, że jeżeli się ktoś nie stawi na tę zbiórkę, będzie podlegał karze jako dezerter. Nie wiem, ilu się stawiło tych mężczyzn, wiadomo mi tylko, że prawie wszystkich młodych chłopców zabrano do niewoli. Wszystkich, którzy się stawili na tę zbiórkę, ustawiono w czwórki, otoczono kordonem i popędzono w stronę Łomży. Nie pomagał płacz żon i matek. Po paru dniach widać było, jak wojska niemieckie się wycofują. Zaświadczenia, które były wydawane przez sołtysa, okazały się często niezbędne. Przy każdej kontroli przez Niemców były traktowane jako dowód osobisty.

Z każdym dniem pojawiały się nowe, nieprzyjemne, wprost zastraszające i uciążliwe wiadomości. Nie pamiętam, który to był dzień września, szybko rozeszła się nowa bardzo zła wiadomość, a mianowicie, że tego dnia Niemcy pędzili bardzo dużo naszych żołnierzy do niewoli. Było słychać straszliwy płacz kobiet, które poszły do tej trasy, którą byli pędzeni nasi żołnierze. Tego dnia Niemcy już pokazali, jak traktują Polaków. Nie pozwolili podać żołnierzom kromki chleba ani wody do picia. Nie wolno było pod żadnym względem zbliżyć się do zmęczonych i wygłodzonych żołnierzy. Tak zaczął się wrzesień 1939 roku. Po pewnym czasie niemieckie wojska z naszych terenów się wycofały. O ile pamiętam, to około dwa tygodnie nie było żadnych wojsk ani żadnej obcej władzy. Jedynie my - małolaty - jak paśliśmy krowy, blisko lasu spotykaliśmy małe

grupki naszych żołnierzy, którzy często prosili, żeby dostarczyć im żywności, oni zapłacą każdą cenę i by nie rozgłaszać, że się spotykamy. To było nam surowo zakazane, a jednocześnie były umówione miejsca w lesie na spotkania z dostarczaną żywnością. Nie trwało to długo. Nie pamiętam, ile razy ja uczestniczyłem w tych spotkaniach - cztery czy więcej. Pamiętam, że za każdą dostarczoną żywność mieliśmy zapłacone.

Po niespełna dwóch tygodniach to bezkrólewie się skończyło. Pewnego popołudnia usłyszeliśmy silny warkot. Od Zambrowa w kierunku Łomży nadjeżdżały sowieckie czołgi. Po wkroczeniu Sowietów na nasze tereny, my małolaty spotkań z naszymi żołnierzami już nie mieliśmy. Nie wiem, jaki los ich spotkał. Gdy przyszli Sowieci często organizowano zebrana, na które z każdej rodziny musiała się stawić przynajmniej jedna osoba dorosła. Siano na nich propagandę, że wojska sowieckie przyszły nam z pomocą, wyzwolili nas spod niemieckiej niewoli. Dadzą nam dobrobyt taki, jaki panuje w Związku Radzieckim. Na stanowisko sołtysa mianował sam siebie sąsiad, który prawdopodobnie należał do komunistów. Znalazło się jeszcze wielu innych, którzy byli na usługach okupanta, a przecież mieszkali w jednej wiosce. Nasza wiejska władza zaczęła „umilać" życie rodzinom, których ojcowie, bracia w czasie I wojny światowej i wojny 1920 roku walczyli przeciw bolszewikom. Zaraz po wkroczeniu Niemców, a potem Sowietów, pojawiły się braki podstawowych produktów żywnościowych. Na produkty te wprowadzono reglamentację. Moja mama była traktowana jako żona wroga, dlatego że ojciec walczył przy boku marszałka Piłsudskiego w pierwszej wojnie światowej. Jak mi wiadomo, nie ona jedna się znalazła w takiej sytuacji. Żeby otrzymać cokolwiek z przydziałów, woziłem drewno opałowe z lasu na stację kolejową do Łomży. Za każdy taki kurs otrzymywałem jedną czwartą litra nafty, 10 rubli oraz bon na kupno soli lub cukru. Pomimo to mama często słyszała słowa: „Idź, niech sprzeda albo da ci Piłsudski". Nie tylko nasza rodzina była tak traktowana. W naszej wiosce większość tak traktowano, ale niektóre rodziny spotkał gorszy los.

Pod koniec roku 1939 i na początku 1940 zaczęto bardzo często organizować wiejskie zebrania, na których siano kłamliwą propagandę. Nikt się temu nie sprzeciwiał z dorosłych i osób w wieku średnim, ponieważ wszyscy byli zastraszani, że zostaną wpisani na listę jako przeciwni władzy sowieckiej. Na każdym zebraniu był przedstawiciel w mundurze sowieckim. Jak się okazało, było to jedno kłamstwo. Nie chodziło o to, by zyskać zaufanie pośród mieszkańców wioski, lecz żeby wykryć tych, którzy otrzymali ziemię od

państwa polskiego. I za co? Czy za to, że walczyli przeciw bolszewikom, czy na innych uprzywilejowaniach i w jakich wielkościach? Zaczęto robić dokładne spisy. Niektórzy faktycznie w tamtych latach walczyli przeciw bolszewikom. W większości były to rodziny małorolne lub pracownicze, które w pierwszej kolejności mogły ziemię kupić od państwa. Nie wiem, na jaki długi czas dla tych rodzin był to jednak środek utrzymania.

Spisy robiono bardzo szczegółowo. Dokładnie musiała być podana data urodzenia każdego członka rodziny, imię i nazwisko. Te rodziny, których mężowie walczyli przeciw bolszewikom, były podkreślane czerwonym ołówkiem. To zawsze powtarzała mama. Kiedy zakończone zostały te zebrania, pełnomocnik naszej wioski nakazał furmanką odwieźć przedstawiciela, który je przeprowadzał. W czasie podróży do Łomży, człowiek, który odwoził urzędnika i znał ruski język, nawiązał z nim rozmowę. Zapytał, do czego mają służyć te szczegółowe spisy. Prawdopodobnie miał się dowiedzieć, że ujęto w nich bardzo niebezpiecznych ludzi dla władzy sowieckiej, którzy otrzymali ziemię za to, że walczyli przeciw Sowietom w armii Piłsudskiego. A ci, którzy walczyli, byli zwolennikami tamtej władzy. Ów człowiek zapytał, czy pełnomocnik jest na tej liście? Bo on też walczył przeciwko bolszewikom. Do tego był jeszcze odznaczony.

W naszej wiosce były trzydzieści trzy rodziny - w większości wielodzietne i biedne. Pośród nich była również rodzina tow. pełnomocnika, która choć się tego nie spodziewała, została też wywieziona w głąb Rosji. Ludzie stracili cały dorobek swojej pracy, zmuszeni byli zostawić swoją ziemię rodzinną i ojczystą.

Przyszedł rok 1940, 10 lutego. Rano niesamowity hałas, dużo żołnierzy sowieckich. Po nas również przyjechało czterech. Dwóch weszło do mieszkania. Zapędzili nas do jednego pomieszczenia, zrewidowali wszystkich i mieszkanie. Zapowiedzieli, żeby nikt się nie ważył uciekać. Kazano nam się ubierać i pakować: odzież, pościel, żywność. Wszystko mieliśmy ładować na furmankę. Powiedzieli, że to będzie nam potrzebne, bo już tu nie wrócimy. Mama płakała, lecz jeden żołnierz powiedział: „Nie płacz, to ci nie pomoże, to wszystko winien twój mąż. On był bandytą w czasie wojny. Walczył przeciw Sowietom. To bandyta". Ja wykorzystałem moment nieuwagi i ukryłem się w zabudowaniu. Na swoje nieszczęście. Za karę musiałem cały czas stać przy furmance pod nadzorem jednego z żołnierzy, który wcześniej stał w korytarzu. Po załadunku rzeczy wyprowadzono dziadka, usadzono go na furmance oraz mamę z młodszym rodzeństwem. Oprócz mnie były jeszcze trzy siostry i dwóch braci. Ojca zabrano wcześniej do niewoli niemieckiej. Mama

zaczęła płakać, krzyknęła tylko w stronę sąsiadów: „Do widzenia, do zobaczenia!" A do inwentarza: „Żegnajcie!"

Naszą rodzinę wieziono na stację kolejową do Łomży. Ja musiałem iść pieszo. Tutaj musieliśmy się załadować do wagonu. Były w nim już trzy inne rodziny z naszej wioski, wcześnie rano zabrane i przywiezione do budynku szkolnego, gdzie był punkt zbiorczy. Były rodziny Cieślików, Kotarów i Gałązków. Ludzie mówili, że pełnomocnik przyznał potem, że wiedział, że rodziny będą wywiezione w głąb Rosji. Nie ostrzegł żadnej z rodzin i nie spodziewał się, że i on dołączy do tej grupy. W każdym wagonie były trzy piętra prycz po obu stronach. Pośrodku stał piec żelazny, przy nim leżała niewielka ilość węgla do opału. Po drugiej stronie wejścia był wycięty dość duży otwór w podłodze. Służył za ogólną ubikację. Tego dnia więcej rodzin nie przywieziono. Następnego dołączono jeszcze dwie albo trzy. Nie były to rodziny tylko rolnicze - również policjantów, służby więziennej, leśników. Trzeciego dnia nie było słychać hałasu, za to było słychać sprawdzanie podwozia wagonów i szykowanie pociągu do odjazdu.

CZĘŚĆ II: ALEKSANDER KALISTA OPOWIADA O PODRÓŻY W NIEZNANE

Podpięto lokomotywę. Każdy poczuł wstrząs w wagonie. Podano sygnał i transport ruszył. W naszym wagonie słychać było jeden płacz. Po jakimś czasie - śmiertelna cisza. Ktoś zaproponował, żeby śpiewać pieśni do Matki Bożej oraz do Pana Jezusa. Odmawiano na głos różaniec. Wieźli nas do granicy wschodniej, gdzie czekały na nas inne wagony, „umeblowane", też jak te w Łomży w trzypiętrowe prycze. Były dwukrotnie większe. Przez cały czas podróży byliśmy pilnie strzeżeni, tu przy przeładunku byliśmy jeszcze bardziej pilnowani, nie wiem, czy to było wojsko, czy NKWD. Na stacji Małodeczno każda rodzina zmuszona była swój majątek przenieść do wagonu. Było nas o połowę więcej. Po krótkim czasie strażnik zażądał, żeby podać, ile osób się znajduje w wagonie. Nie chciał listy imiennej. Po godzinie wrócił i wytłumaczył po rusku, żeby trzej mężczyźni wzięli jakieś naczynia na przegotowaną wodę i worki na chleb, który był przydzielony na każdą osobę. Ale woda była cenniejsza od chleba, bo każdy miał coś do pożywienia, a wody było brak. Gdy mężczyźni wrócili z zaopatrzeniem, zamknięto drzwi wagonu. Gdzie nas wiozą, nikt nie wiedział.

Wieziono nas przeważnie nocami. Często stawiano nasz transport na bocznicy. Bywały miejsca, na których leżał śnieg. Blaszanym

kubkiem lub innym małym blaszanym naczyniem, które można było opuszczać na sznurku pomiędzy otworami w kratach w okienkach wagonu czerpano śnieg, z którego po roztopieniu można było uzyskać małą ilość wody. Po kilkakrotnym takim zaczerpnięciu nieraz dało się uzyskać nawet szklankę wody. Kiedy brakło wody do picia, słychać było nieustanny płacz. W naszym wagonie znajdowały się z maleństwami trzy matki, w tym moja. Najmłodsza siostra miała niepełne pięć miesięcy. Podczas podróży otrzymywaliśmy przegotowaną wodę i czarny chleb ze dwa razy. Zupę otrzymaliśmy dwa lub trzy razy. To nie zaspokajało głodu i pragnienia. Bardzo odczuwały głód dzieci karmione piersią.

Znaleźliśmy się w okolicach Archangielska.

Przez długi czas nikt nawet nie obmył rąk, nie mówiąc o obmyciu twarzy czy zmianie bielizny. Dowieźli nas do stacji Buraczycha. Tam transport rozpięto. Jedne wagony skierowano w kierunku Niandomy. Naszą część skierowano w innym kierunku, do miejscowości Soługa, gdzie wagony zostały odpięte. Po dwudziestu czterech dniach podróży otwarto drzwi wagonu. Wszyscy ujrzeliśmy światło dzienne. Był 6 marca 1940 roku. Oznajmiono nam, że dalej już nie pojedziemy. Tu będzie teraz nasze stałe miejsce zamieszkania.

CZEŚĆ III: ALEKSANDER KALISTA OPOWIADA O ŻYCIU W SOŁUDZE

Baraki stały na małym pagórku. Było ich dziesięć albo dwanaście - w różnych rozmiarach. To było nasze miejsce zamieszkania przez półtora roku. Powiedziano nam, żeby nikt nie próbował ucieczki, bo jeszcze nikomu ta próba się nie udała. Takie było ogólne powitanie. Tych, którzy sami nie mogli się poruszać, zaczęto dowozić do baraków. Jednocześnie podwożono nasze rzeczy. Nie pamiętam, ile godzin trwał rozładunek. Pamiętam, że jak zapadł zmrok, byliśmy w baraku na ogólnej sali. Każda rodzina zajęła swoje

Elżbieta Cieślik z domu Kalista jako dziecko przeżyła gehennę zesłania na Syberię. W 2017 roku odwiedziła rodzinne Podgórze, gdzie 10 lutego odsłonięto Pomnik Pamięci Ofiar Sybiru.

miejsce, dla każdej rodziny stały zbite z desek prycze. Późnym wieczorem powiedziano nam, że można w kuchni kupić zupę i zjeść w stołówce. Chleb można też kupić w tak zwanej kooperatywie. Ale ilości były ograniczone. Z tych „dobrodziejstw" nie wszyscy skorzystali, bo ludzie byli bardzo wyczerpani podróżą. Rano przyszła powitać nas cała osiedlowa władza. Od nowa spisywano każdą rodzinę, trzeba było podać adres zamieszkania w Polsce, ustalono kolejność korzystania z łaźni i dezynfekcji odzieży. Jednocześnie sporządzono listę każdej rodziny dla sklepu - służyła do zakupów. Już od tego dnia można było iść i wykupić swój przydział chleba. Porcja była jednakowa dla wszystkich niepracujących - po dwieście gram dziennie. Zupy można było kupić, ile kto chciał, jak stać było zapłacić. Jak już zakończono te wszystkie spisy, zaczęto nas angażować do pracy. W pierwszych dniach zapraszano ochotników. Z każdym dniem żądano więcej osób. Jedna grupa odśnieżała pryzmy drewna przygotowywane do załadunku na wagony, inna zrzucała śnieg z dachów baraków. Za każdy dzień pracy płacono wieczorem po dwa lub trzy ruble. Tym, którzy pracowali, zwiększono rację chleba z 200 do 400 lub 600 gram. Każdego wieczoru byliśmy ściśle sprawdzani. Ale pobłażliwość zaczęła się kończyć i zaczynały się dni rygoru, coraz ostrzejszego. Zaczęto sprawdzać czy wszyscy, którzy są zdolni do pracy, pracują, jeśli nie - czy posiadają zwolnienie lekarskie. Jeśli niepracujący nie posiadał zwolnienia lub opieki nad małymi dziećmi, był pozbawiony racji żywnościowej. Praca była już inna. Jedna grupa ścinała drzewa, inna wykonywała zrywkę końmi. Jeszcze inni palili gałęzie. Tę pracę wykonywały przeważnie kobiety i dziewczęta. Kobiety, które miały małe dzieci, pracowały na terenie osiedla jako pomoc kuchenna, w łaźni lub piekarni. Były też zatrudniane przy sprzątaniu mieszkań kadry, paleniu w piecu w ośrodku. Sześć, a może więcej rodzin w pierwszych dniach przydzielono do budowy linii kolejowej. Przygotowywali teren pod tę linię. Jednocześnie budowano barak oraz kopano studnię. Zamiast cembrowin kładziono bale w kwadrat. Przygotowywano też stemple pod przepust pod torem kolejowym. Na odcinku, który budowali Polacy, znajdowały się dwa drewniane przepusty. Do ich budowy nie użyto żadnej mechanizacji. W końcu maja, jak już stopniał śnieg, ruszyła praca całą siłą. Zaczęto usuwać pnie, żeby można było położyć prowizoryczny tor, dowozić ziemię i formować nasyp. Wszelkie prace były nadal wykonane ręcznie. Jak podstawiono wagony do załadunku drewna i nie zdążono załadować go w czasie dnia, ładowano nocą. Ludzie pracowali dwadzieścia cztery godziny bez przerwy. Nie wolno było wrócić

do baraku. Sprawdzano, czy ktoś się nie ukrył. Ci, którzy pracowali na kolei, nie byli zmuszani do pracy przy załadunku wagonów. Pozostali byli jednakowo traktowani. Stosowano jednakowy rygor wobec wszystkich. Nie wolno było się nigdzie oddalać bez pozwolenia.

Pewnego wieczoru przy sprawdzaniu obecności był obecny komendant. Po sprawdzeniu list zwrócił się do obecnych na sali tymi słowami: „Was tu przywieziono po to, żebyście tu pracowali dopóki starczy wam sił. Tak czy inaczej, każdy tu skończy swój żywot, czyli: „zdies was prywiezli, zdies budiesz rabotat, zdies padochniesz kak sobaka." Tak nam powiedział na dobranoc. Do tego nazwał nas bandytami. Mówiono, że w naszym kraju panowała straszna bieda, ludzie masowo umierali z głodu i dlatego dobrowolnie przyjechaliśmy tu do pracy.

W książce Stefanii Sokołowskiej-Satanowskiej „Mroźny smak głodu", wydanej w Łomży w 1999 r. przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej czytam o zdarzeniu, którego Olek Kalista z Podgórza był bohaterem, którego tak wspomina autorka: „Po południu przyszło do nas dwóch znajomych chłopaków. Byli z Polski, z tej samej miejscowości co my, czyli z Podgórza. Olek Galanek, który później zmarł w Rosji i Olek Kalista. Mieszkali w „Piątce", szli do nas piechotą pięć kilometrów. Gdy dowiedzieli się, że nie mamy chleba i siedzimy głodni, postanowili nam pomóc. Mieli przy sobie kilka rubli, jeden z nich poszedł, wykupił nasz przydział i przyniósł do baraku. Zjedliśmy, popiliśmy gorącą wodą... To była nasza Wielkanoc 1940 roku".

Pierwszego maja 1940 roku dali nam dzień wolny. Pozwolono na świetlicy urządzić zabawę. Rzucono hasło: kto tylko posiada świąteczną odzież oraz obuwie niech się ubierze i idzie na świetlicę. Ci, którzy posiadają instrument grający niech się zorganizują i idą pograć. Każdy mógł uczestniczyć w imprezie. Dzień ten stał się wielkim zaskoczeniem, bo nasza młodzież miała ładne stroje, pięknie się bawiła, orkiestra też pięknie grała. Teraz pojawiła się inna wersja o Polakach, że przyjechali kułacy, bogacze...

Po paru tygodniach nie było możliwe nie przyjść do pracy lub nie okazać zwolnienia lekarskiego. W takiej sytuacji trzeba było być przygotowanym na brak czegokolwiek do jedzenia. Zamykano do aresztu, gdzie nie było nawet na czym usiąść. Do tego było ciemno. Wprowadzono normy, które bardzo trudno było wykonać. Nikt nie był już do syta najedzony. Każdy swoją rację chleba, gdyby nie musiał dzielić, zjadłby zaraz wieczorem. Na wykupienie racji nie każda rodzina miała pieniądze. Starano się nie wyzbywać odzieży. Okazało się to słuszne, bo pozwolono nam pisać listy i każdy dawał

do zrozumienia, w jakich warunkach się znajdujemy. Pozwolono wysyłać nam pieniądze i paczki żywnościowe. To był wielki ratunek. Jeżeli ktoś nie otrzymał paczki, to zawsze skorzystał od sąsiadów, bo jedni drugim pomagali.

Koniec 1940 roku i początek 1941 znaczył się chorobami. Ludzie masowo chorowali na cyngę, krwawą biegunkę, odmrożenia rąk, nóg, twarzy. Wygłodzenie i niedożywienie wyniszczająco działały na organizm. W 1941 roku w naszej rodzinie zmarły trzy osoby: dwie młodsze siostry i dziadek. Z każdym miesiącem choroby się nasilały. Ja też zachorowałem na kurzą ślepotę i na cyngę, tak silnie, że nie mogłem chodzić. Lewą nogę miałem bardzo podkurczoną. Nie mogłem na niej stanąć, ponieważ była dużo krótsza. Zawieziono mnie do szpitala w Niandomie, gdzie byłem dwa tygodnie, a leczenie polegało na smarowaniu nogi maścią i zjadaniu dużej ilości cebuli oraz kapusty. Po dwóch tygodniach wypisano mnie i odesłano z powrotem na miejsce pobytu. Mama, dwóch młodszych braci i siostra byli bardzo zadowoleni, że chociaż o lasce, szedłem na swoich nogach. Maść pomagała i noga zaczęła dochodzić do normalności, toteż niebawem musiałem wracać do pracy. Razem z innymi przygotowywałem drewno do obróbki piłą tarczową. W pewnej chwili, gdy się schyliłem, zauważyłem, że krew poleciała mi z nosa i ust. Gdy odzyskałem przytomność byłem już w baraku. Nie wiem, co się stało. Po paru dniach musiałem iść z powrotem do pracy, bo otrzymywałem najmniejszą rację chleba i nie było za co go wykupić. Było bardzo ciężko, bo prócz braku żywności, nie mieliśmy odzieży. Jedynym ratunkiem było szycie z worków, bo w każdej rodzinie kilka się znalazło. Kto mógł szył i łatał odzież. Garnitury, ładne suknie dawno sprzedano, a kupowali je za marne grosze Rosjanie, którzy nas pilnowali. Każda rodzina sprzedawała co mogła, bo każdy był osłabiony z niedożywienia. Brakowało sił do pracy i wyrabiania normy. Jeżeli rodzina nie miała już nic do sprzedania, to była skazana na najgorsze. Dlatego nie było takiej rodziny, w której by ktoś nie umarł. W niektórych wymarła połowa ludzi. Rodziny o słabym zdrowiu przenoszono do jednego baraku. Było to największą tragedią. Szerzyły się zaraźliwe choroby z powodu brudu, pasożytów i szczurów. Te ostatnie nawet w dzień potrafiły chorych ludzi ugryźć, a nocą swobodnie spacerowały po barakach. Nie było przeciw nim żadnych środków.

Jak dotarła wiadomość, że Niemcy wypowiedzieli wojnę bolszewikom, zabłysła iskierka nadziei. Po jakimś czasie przyjechał enkawudzista w stopniu oficera i oficjalnie ogłosił, że Niemcy wydali bolszewikom wojnę. Jesteśmy wolni, bo tworzy się rząd polski!

Wszyscy zostaną zwolnieni z łagrów i miejsc odosobnienia. Otrzymamy zaświadczenia i możemy wyjeżdżać, ale nie do Polski, bo tam są Niemcy. Możemy wybrać miejscowość w Rosji i tu się osiedlić! Był sierpień. Każdy w wieku powyżej lat szesnastu musiał osobiście się zgłosić po to zaświadczenie. Przy jego wydawaniu próbowano nam wmówić, że zwielokrotnią się zarobki, zmieni się nasze traktowanie, bo jesteśmy wolnymi obywatelami. Na te obietnice nikt nie dał się nabrać, dlatego zastosowano inny sposób. Żądano, by każdy podał nazwę miejscowości, w której chce się osiedlić. Ale przecież nikt nie posiadał mapy Związku Radzieckiego. Nie stwarzano takich utrudnień tylko tym rodzinom, które nie były już produktywne. Chociaż znaleźli się tacy, którzy pomagali określić miejsce wyjazdu. Z naszego osiedla większość wybrała miejscowości o nazwach Niemcze, Powołże i Urbań. Ale pojawiły się następne utrudnienia. Rodziny, które były wyznaczone w pierwszej kolejności, powiadomiono, że muszą przygotować pieniądze na wykup biletów. Nikt się nie spodziewał, że to będzie wielki koszt. Ludzie ostatki lepszej odzieży musieli sprzedać, żeby zdobyć pieniądze na ich wykup.

W końcu przyszedł dzień wyjazdu. Był to dzień radości i żalu, gdy zaczęliśmy się żegnać z tymi, którzy zostawali. Pomimo spełnienia wszystkich wymogów wyznaczone do wyjazdów miejscowości okazały się nieosiągalne ze względu na toczące się działania wojenne. Tak przynajmniej nam tłumaczono, wykup biletów okazał się jednym oszustwem i wykorzystaniem biednych ludzi.

„Przesiedlenia Polaków z Archangielska na Ukrainę i Powołże w 1944 r." (opracowanie na podstawie wygłoszonego referatu - dr Przemysław Nagel): „Spośród antypolskich represji Związku Sowieckiego w czasie II wojny światowej największe rozmiary osiągnęły deportacje. Cztery największe deportacje zostały przeprowadzone w latach 1940-1941. W ich wyniku setki tysięcy Polaków znalazło się w bardzo różnych częściach Związku Radzieckiego. Najwięcej obywateli polskich, bo ponad 56 tysięcy, deportowano do obwodu archangielskiego, znajdującego się na północy europejskiej części ZSRR. Warunki klimatyczne i materialne w obwodzie archangielskim były bardzo trudne. Dlatego, kiedy tylko nadarzyła się taka sposobność, duża część zesłańców opuściła te tereny."

CZĘŚĆ IV: ALEKSANDER KALISTA OPOWIADA O SWEJ DRODZE DO POLSKIEGO WOJSKA - EPIZOD PIERWSZY

Z osiedla w Sołudze odwieziono nas na stację (nie pamiętam jej nazwy), tam załadowano do wagonów osobowych i pozwolono dojechać do następnej stacji, gdzie kazano wysiadać. Znajdował się

tam punkt zbiorczy. Podstawiono bydlęce wagony i kazano się do nich ładować. Nie pamiętam też nazwy tej stacji, ale pamiętam, że za okazaniem zaświadczeń (z obozu w Sołudze) otrzymaliśmy chleb i przegotowaną wodę. Na dokumencie odnotowano datę i ilość pobranej wody oraz chleba. Staliśmy na bocznicy całą dobę i nikt nie wiedział, kiedy ruszymy. Ruszyliśmy następnego dnia. Nikt nie sprawdzał czy są wszyscy, czy nie. Po dwóch godzinach jazdy znów cały transport postawiono na bocznicy. W pobliżu znajdowały się pola uprawne z ziemniakami, kapustą, warzywami. Kto mógł, biegł na pole, żeby zdobyć coś do jedzenia. Ludzie brali wszystko. Pracownicy zrobili alarm. Po krótkim czasie przypięto parowóz i transport ruszył dalej. Ja nie zdążyłem dobiec, bo miałem lewą nogę jeszcze niewyleczoną. Poszedłem do zawiadowcy dowiedzieć się, w jakim kierunku odjechał mój pociąg. Podałem numer transportu i otrzymałem informację, że następny osobowy w tym kierunku będzie na drugi dzień. Zaraz zapytałem pracownika przy obsłudze, kiedy odjedzie pociąg towarowy. Pokazał, który szykuje się do odjazdu i gdzie mogę usiąść. Pociąg ruszył, a ja po krótkim czasie usnąłem w wagonie wśród jakichś opakowań. Nie wiem, ile stacji przejechałem, jak się przebudziłem, pociąg stał. Wyszedłem z wagonu i udałem się w kierunku stacji osobowej. Szedłem na skróty i jakoś udało mi się dotrzeć na dworzec kolejowy, gdzie było dużo ludzi. Jak się okazało, byli to emigranci, którzy uciekali przed frontem, przeważnie Żydzi. Poszedłem do dyżurnego ruchu i zapytałem, czy mój transport przejeżdżał przez tę stację. Spojrzał w zeszyt i odpowiedział, że przejeżdżał, ale został skierowany w innym kierunku. Do miejscowości, do których miał się udać, nie wolno kierować już transportów. Zażądał ode mnie dowodu osobistego. Pokazałem mu zaświadczenie, które posiadałem. Popatrzył na mnie i zapytał: „Ty Polak? Byłeś na Sybirze? Jesteś na pewno głodny!" Zaraz dał mi chleba i wytłumaczył, że transporty z polskimi ludźmi są kierowane przeważnie na południe, a transport z numerem, który mu podałem został skierowany w kierunku Kujbyszewa.

(W 1935 roku nazwę Samara zmieniono na Kujbyszew. Podczas wojny w mieście tym znalazło się szereg instytucji ewakuowanych z zagrożonej nadejściem wojsk niemieckich Moskwy, a miasto tymczasowo pełniło niektóre funkcje stolicy ZSRR. W mieście znalazły się między innymi placówki dyplomatyczne, w tym polska ambasada. Ambasadorem polskim w ZSRR (w czasach II wojny światowej) został prof. Stanisław Kot, który niebawem przybył do Kujbyszewa (siedziba ambasady polskiej), organizując wszechstronną pomoc dla Polaków. Polacy masowo udawali się w rejon Kujbyszewa, gdzie tworzyła się Armia Polska).

Podziękowałem dyżurnemu za wszystko, jednocześnie powiedziałem, że nie mam pieniędzy i nie zapłacę za chleb, którym mnie poczęstował. Odpowiedział, że nie żąda zapłaty i dodał, że ludzie, którzy czekają na transport, też jadą w tym kierunku. Zacząłem z kimś rozmowę, do której włączyły się jeszcze dwie osoby. Okazało się, że to była sześcioosobowa rodzina żydowska z Ukrainy. Prosili mnie, żebym im pomógł się załadować do pociągu osobowego, za zapłatą. Pomogłem i miałem już za co kupić chleb na następny dzień. Jednocześnie tym pociągiem dojechałem do Kujbyszewa. Tam również poszedłem na stację do zawiadowcy zapytać o mój transport, czy przejeżdżał. Usłyszałem, że nie przejeżdżał z takim numerem. Pomyślałem: „Co mam robić? Jechać z powrotem, czy ruszać na przód?" Nie wiem, czy ktoś mi podpowiedział, ale zdecydowałem, że jadę do miasta Buzułuk.

(Wczesnym rankiem 11 grudnia 1941 roku na dworcu w Buzułuku wysiadł z pociągu gen. Władysław Sikorski, witany przez generała Andersa, oficerów, kompanię honorową i mieszkańców.)

W BUZUŁUKU

Na stacji zacząłem się rozglądać, gdzie kupić kawałek chleba, bo byłem bardzo głodny. Był bufet. Podano mi talerz zupy i kromkę chleba, ale zabrakło mi pieniędzy do zapłacenia. Zostałem za to wyzwany od nierobów i włóczęgów. Byłem rozgoryczony. Stałem z boku. W pewnym momencie zauważyłem polskiego żołnierza.

- Polak? - zapytałem.
- Tak, Polak - usłyszałem.
- A ty kto?
- Jestem Polakiem - odpowiedziałem.

Odeszliśmy na stronę, sprawdził moje zaświadczenie i zaprowadził mnie do budynku, w którym mieściła się duża sala. W drugim pomieszczeniu była kancelaria. Spisano moje dane osobowe i zostałem wpisany na listę poborowych. Pokazano, gdzie mogę się umyć. Z każdym dniem przybywało poborowych. Mieliśmy całodzienne wyżywienie, a spanie w sali na podłodze. Pomimo wszystko dowiadywałem się na dworcu, czy nie przyszedł transport z moją rodziną. Pewnego dnia spotkałem sąsiada, z którym mieszkaliśmy w Sołudze. Powiedział, że moja mama, dwóch braci i siostra są zdrowi. Wszyscy, którzy byli zwolnieni, całą grupą trzymają się razem. To była dla mnie ważna wiadomość. Poszliśmy na stację do transportu. Niestety, już go nie zastaliśmy. Odjechał. Jak

mi powiedział, byli skierowani do Taszkientu. Przy pożegnaniu przekazałem serdeczne pozdrowienia dla mamy i rodzeństwa, prosiłem o przekazanie wiadomości, że jestem cały i zdrowy i jestem zarejestrowany do polskiego wojska. Wróciłem do swoich nowych kolegów na salę. Tu dowiedziałem się, że mamy przygotować się do łaźni. Każdy ma zabrać odzież, jaką tylko posiada. Brzmiało to jako surowy rozkaz. Po łaźni dano nam świeżą słomę, co można było uznać za luksus. Po dwóch tygodniach szef zrobił zbiórkę, wyczytał każdego z nazwiska i ogłosił, że wyjeżdżamy. Nie powiedział dokąd. Po obiedzie nie wróciliśmy na salę, czwórkami poszliśmy na stację, gdzie czekały wagony. Załadowano nas, pożegnaliśmy miasto i stację Buzułuk.

PODRÓŻ PO AMUDARII W REJON GURLEN W UZBEKISTANIE

Ruszyliśmy w kierunku Kymiele i Taszkientu. Taszkient pamiętam, bo otrzymaliśmy tu suchy prowiant na dwie doby. Podróż koleją po krótkim czasie się skończyła, dotarliśmy do stacji końcowej - ostatniej, która łączyła się z przystanią statków rzecznych Czardzou nad rzeką Amudaria. Tu nas wyładowano. Było tu bardzo dużo polskich rodzin i wielu zarejestrowanych do wojska. Spotkałem stryja z rodziną. Opowiedział mi, że po naszym wyjeździe z Soługi przyjechała tam delegacja wojskowa z porozumieniem polsko-sowieckim i zażądała podstawienia wagonów na wszystkich osiedlach w takiej ilości osób, żeby wszystkie rodziny mogły się załadować. Mogli zostać tylko ci, którzy wyrazili na to zgodę. Musieli podpisać jakieś specjalne oświadczenie. Nikt jednak nie chciał zostać. Następnego dnia spotkałem byłych sąsiadów, którzy jako pierwsza grupa otrzymali zezwolenie na wyjazd. Niestety, mojej rodziny nie spotkałem, ani nikogo z rodzin, z którymi razem wyjeżdżaliśmy. Znowu nie wiedzieliśmy, gdzie nas powiozą. Podstawiono trzy rzeczne duże barki i kazano się ładować. Wszyscy razem. Rodziny i samotni, i ci, którzy nie byli jeszcze zarejestrowani do wojska. Po całodziennym załadunku, podpłynął holownik, podpiął te barki, podał sygnał i ruszyliśmy. Tak nas włóczyli przez dziewięć dni. W końcu transport dobił do lądu. Kto mógł, wyszedł, bo w pobliżu były pola uprawne. Wszyscy rzucili się na te pola! Były na nich arbuzy, dynie, marchew. Można wyobrazić sobie, co się tam działo! Zniknęło wszystko, dużo zniszczono. Natychmiast podano sygnał i po paru minutach zostaliśmy odholowani na środek rzeki. Tam nas zacumowali, a holownik popłynął na przystań. Po dwóch

godzinach holownik wrócił i przypłynęło nim trzech milicjantów. Mieli wyjaśnić skandal ze zniszczeniem upraw. Sporządzili protokół strat. W czasie dalszej podróży barki nie dobijały już do brzegu. Przy każdym postoju zostawiano nas na środku wody, a żywność dostarczano holownikiem. Był to tylko chleb i przegotowana woda lub herbata. Porcja chleba nie mogła ważyć więcej jak 20 dag, wody lub herbaty było pół litra. To była dzienna porcja na osobę. Podróż barkami trwała osiem dni, dziewiątego doholowano nas do brzegu, gdzie czekała obstawa milicji. Byli też pracownicy kołchozowi, którzy przyjechali furmankami zaprzężonymi w jednego konia lub osiołka. Rozwieziono nas po kołchozach w okolicy miasta Gurlen. Wcześniejsza rejestracja na poborowych stała się nieważna i nieprzydatna. Każdy był zmuszony iść do pracy, żeby otrzymać pożywienie. Był duży problem z uzyskaniem jakiejkolwiek informacji, bo nikt nie znał języka uzbeckiego. W kołchozie było zaledwie dwóch Uzbeków, którzy rozumieli po rosyjsku. Kołchoz był podzielony na cztery brygady. Każda miała swoje mieszkania, w których nas zakwaterowano. Gdzie było dużo pomieszczeń, jedna rodzina miała wydzielone jedno pomieszczenie. Osoby samotne miały wyznaczone kilkuosobowe kwatery. Zamieszkałem z rodziną stryja, bo swojej rodziny nie odnalazłem. Po rozmieszczeniu wszystkich rodzin zorganizowano zebranie i spisano, kto z jakiej jest rodziny, w której pracuje brygadzie. Potem zrobiono listę ludzi zdolnych do pracy oraz niezdolnych. Na tej podstawie było wydawane zboże: ziarno kukurydzy, ryżu, dżugary. Zboże to trzeba było przerobić na mąkę i kaszę: dżugarę na mąkę, ryż na kaszę, kukurydzę różnie - na kaszę i częściowo na mąkę. Wszystko trzeba było przerobić ręcznie. Dżugarę zemleć w żarnach, by powstała mąka na chleb i kluski, ale trzeba było zalać wrzątkiem przed spożyciem. Kukurydzę przesiewano ręcznie przez sito. Ziarno ryżu obrabiało się w specjalnej ręcznej stępie. To wszystko kosztowało wiele mozolnej pracy. Zboża wydawano w wydzielonych ilościach. Żarna, stępa czy piec, w którym wypiekano tak zwane lepioszki - były udostępniane. My, Polacy mogliśmy utworzyć swoją brygadę. Brygadzista, który był Polakiem, uzgadniał z dwoma Uzbekami, którzy rozumieli po rosyjsku, jaką pracę będziemy wykonywać. Mieszkałem z rodziną stryja i z nimi pracowałem. Stryjenka nie pracowała, zajmowała się trojgiem dzieci. Znów zachorowałem na kurzą ślepotę. Byłem bardzo osłabiony, ale musiałem pracować. Po jakimś czasie zatrucie samo ustąpiło i ślepota też.

Pracowaliśmy przy pogłębianiu głównego kanału, który służył do nawadniania pól uprawnych. Ponieważ był to martwy sezon,

śluzy na rzece Amudaria były zamknięte. Kanał był suchy. Prace były uciążliwe, trzeba było nosidłami wynosić ziemię na wał, który umacniano przed zalaniem pól. Brygadzista każdemu musiał wymierzyć działkę w metrach kubicznych. Każdą rodzinę musiał zanotować i wykazać ile osób pracowało danego dnia, czy wykonano normę. Po pewnym czasie ogłosił, żeby na placu, gdzie mieściło się biuro i magazyn zebrali się wszyscy Polacy. Powiedział, że ma pewną sprawę do wyjaśnienia. Każdy był ciekawy, co za sprawa. Brygadzista przywitał wszystkich i oznajmił, że nazywa się Gorajski. Jest zawodowym żołnierzem w stopniu porucznika i przedstawicielem wszystkich Polaków, którzy w tym kołchozie się znaleźli. Oznajmił jeszcze, że nasze polskie władze, pod które podlegamy, znajdują się w mieście Gurlen. Żądają od niego, żeby sporządził dokładne listy z danymi osób znajdujących się w kołchozie. Każda rodzina i osoby samotne mają dostarczyć w terminie dwóch dni: imię i nazwisko, datę urodzenia, miejsce zamieszkania przed wywózką lub aresztowaniem w Polsce. On ma to wszystko dostarczyć do rejonu, do władz. Od tego dnia mieliśmy swojego przedstawiciela w kołchozie, a jednocześnie łącznika z władzą polską w rejonie Gurlen. Ja z tej wiadomości skorzystałem i opowiedziałem, w jaki sposób i kiedy odłączyłem się od rodziny. Brygadzista wysłuchał mnie i obiecał, że da znać, kiedy pójdzie razem ze mną do polskiego urzędu. Kiedy tam dotarliśmy, wyjaśnił swoim przełożonym, w jakiej sprawie przyszedłem. Okazało się, że w dokumentach biura moja rodzina nie istniała. Obiecali mi, że jeżeli z jakiegoś rejonu przyjdzie wiadomość, to mnie powiadomią.

Kiedy skończyły się prace przy czyszczeniu kanału, zaczęły się polowe - przygotowanie do wysiewu bawełny, ryżu, pszenicy, dżugary i kukurydzy. Była wiosna 1942 roku. Pewnego dnia brygadzista podał nam wiadomość, że tworzy się Polska Armia na terenach ZSRR. Wszyscy mężczyźni urodzeni w 1923 roku i ci, których w 1939 roku objęła mobilizacja, a znajdują się na terenie Związku Radzieckiego, będą powołani na komisję w swoich rejonach. Nie dotyczy to narodowości białoruskiej i ukraińskiej, a w przypadku młodych chłopców - również rodzin mieszanych. Mężczyźni, którzy ujawnili swoją narodowość, na komisji byli odrzucani, ja też zostałem odrzucony, bo byłem za młody o rok. Porucznik Gorajski przed wejściem na salę wytłumaczył mi, żebym się nie przyznał, że jestem urodzony w 1924 roku, lecz podał 1922 rok. Po przebadaniu przez lekarzy nie stwierdzono u mnie kalectwa, jedynie brak minimalnej wagi i skierowano do komisji dla sprawdzenia danych osobowych. Tam okazało się, że nie zgadza się data urodzenia. Zapytano, która

jest prawidłowa. Odpowiedziałem, że ta, która jest zapisana. Zapytano, dlaczego kłamię, że urodziłem się w 1922 roku. - Dlatego, że chcę pójść do wojska razem ze stryjem - odpowiedziałem. Spytano stryja i ten potwierdził, że urodziłem się w 1924 roku. Zapadał decyzja, że zostaję do następnego roku.

CZĘŚĆ V: ALEKSANDER KALISTA OPOWIADA O POBYCIE W MIEŚCIE GURLEN I NUKUS ORAZ O PANI LUDZIE

Powołani do wojska mężczyźni odjechali. Było ich dwudziestu, wśród nich mój stryj. Ci, co zostali, musieli nadal pracować. Coraz trudniej było się porozumiewać. Uzbecy, którzy znali rosyjski, nie nadążali, by każdemu wskazać pracę. Pod każde zboże trzeba było inaczej przygotować pole, każde wymagało innego nawodnienia. Było mi źle, nie miałem za co wykupić chleba. Zostawiłem rodzinę stryja i przeniosłem się do miasta Gurlen. Zostałem przyjęty do pracy w zakładzie zbożowym. Miałem otrzymać zapłatę dopiero po dwóch tygodniach. Nikogo nie interesowało, za co mam żyć, gdzie mieszkać. Jeden z pracowników zaciekawił się, kim jestem, skąd przychodzę i gdzie mieszkam. Powiedziałem, że uciekłem z kołchozu, pieniądze za sprzedaną koszulę się skończyły i nie mam już żadnych środków do życia. Zapytał, co dziś jadłem, czy mam kartki chlebowe. Odpowiedziałem, że mam karki, ale nie mam pieniędzy na ich wykupienie. Natychmiast sięgnął do kieszeni, wyjął niewielką sumę i powiedział, że to pożyczka. Jak zarobię to oddam. W czasie przerwy mam iść i wykupić chleb, zjeść jakąś zupę w jadłodajni. Kiedy wróciłem, zaproponował mi nocleg w swojej kwaterze. Bez żadnych wahań się zgodziłem. Tego samego dnia po godzinach pracy ten sam człowiek zapytał mnie, czy chcę zarobić parę rubli? Chętnie się zgodziłem. Poszliśmy do pracy do prywatnej restauracji. Rąbaliśmy drewno na opał w kuchni. Dostaliśmy piłę, dwie siekiery, posiłek z dwóch dań i chleb - bez zapłaty. Dla mnie było to nie do pomyślenia. Po pracy dano nam kolację i mój opiekun wziął zaliczkę. Nie wiem ile. Byłem i tak zadowolony z tego, co mnie spotkało. Kiedy wyszliśmy, dał mi dziesięć rubli i powiedział, że długu nie muszę oddawać. Ale jutro idziemy znowu do tej pracy! Powiedział, że mogę zamieszkać z nim, chociaż nie ma wygód. Jak się okazało razem z nim mieszkało już trzech mężczyzn, ja byłem piąty. Przedstawiliśmy się sobie z imienia i nazwiska. Następnego dnia my dwaj razem poszliśmy na śniadanie i do pracy. Nie byłem już głodny. Staliśmy się przyjaciółmi. On był starszy wiekiem,

powiedział, że ma trzydzieści pięć lat, ale mam się zwracać do niego po imieniu. Następnego dnia, kiedy poszliśmy rąbać drewno, dowiedzieliśmy się, że dopóki będziemy pracować, będziemy otrzymywać dwa bezpłatne posiłki. Praca była ciężka, ale żołądek nie odczuwał głodu. Pracowaliśmy tydzień i dostałem jeszcze parę rubli. Poczułem się lepiej, przestałem cierpieć z głodu. Mogłem dokupić coś poza reglamentacją.

Któregoś ranka przyszli do nas milicjanci. Było ich trzech, powiedzieli wszystkim, że jesteśmy aresztowani. Zabrali nas na komisariat i każdego oddzielnie przesłuchali. Podejrzewano nas o kradzież na rodzinie ukraińskich Żydów. Sprawcami okazali się trzej Uzbecy, u których poszkodowani rozpoznali ubranka swoich dzieci. Zwolniono nas po trzech dniach, nakazano wracać do kołchozu, każdy do tego, z którego przybył. Zabroniono nam mieszkać w mieście, bo nie byliśmy zameldowani w żadnym urzędzie rosyjskim ani polskim. Zwolniono nas natychmiast z pracy, ale każdy otrzymał zapłatę za przepracowany czas. Ja otrzymałem za dwa tygodnie. Nie było wyboru, musiałem to miasto pożegnać. Po namyśle ruszyliśmy w drogę, znów w nieznane. Po trzech dniach dotarliśmy do miasta Nukus. Zauważył nas człowiek, który zaproponował pracę przy rozbiórce starej szkoły. Będzie nam płacił, ale nie dostaniemy kartek na chleb. Możemy spać u niego. Szukaliśmy jednak pracy, gdzie będziemy zarejestrowani, żeby otrzymać kartki. Znaleźliśmy, ale każdy w innym zakładzie. Mój kolega w piekarni, a ja w restauracji, przy rąbaniu drewna. Otrzymałem kartki na chleb i miałem zapewnioną dwa razy bezpłatnie zupę. Nocować mogłem w pomieszczeniu, które miał do dyspozycji stróż nocny. Zarobek mój wynosił sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie. Po dwóch miesiącach dostałem popłatniejszą pracę. Dano mi wóz na dwóch kołach, osła i uprząż. Dowoziłem wodę i inne produkty do kuchni, ale nie miałem wolnych niedziel, chyba że nawoziłem wody, to wieczorem miałem wolne. Mój kolega też pracował. Spotykaliśmy się każdego dnia, nadal szukaliśmy mieszkania. Któregoś dnia obejrzeliśmy mieszkanie niezbyt daleko od naszego miejsca pracy. Opłata nie była wygórowana: pięć kilogramów chleba albo gotówka na chleb po cenie czarnorynkowej. Płaciliśmy chlebem kupionym z przydziału. Janek dawał kartki, a ja płaciłem. Było dość łagodnie do chwili popsucia się stosunków między rządem polskim a Stalinem. Kiedy Stalin zażądał polskiej armii do obrony Stalingradu, generał Anders miał prawdopodobnie odpowiedzieć, że jego armia jeszcze nie wyszkolona, żeby pójść na pierwszą linię ognia.

Fotografia resztek baraku zesłańców w Sołudze wykonana przez Macieja Jastrzębskiego, reportera Polskiego Radia z Moskwy.

Od tego czasu, tym którzy pozostali na terenach Związku Radzieckiego, bardzo się pogorszyło. Przestano się liczyć z urzędami polskimi, jakie powstały. Zaczęły się aresztowania na tle politycznym. Przymuszano wszystkich, żeby przyjmować paszporty ZSRR, przynajmniej na okres trzech lat i krótszy do tak zwanego „udostawierenia", czyli zaświadczenia tożsamości. Nasza ludność w żadnym wypadku nie chciała się na to zgodzić. Z tego powodu powstało zamieszanie i zaczęły się aresztowania. Zarzucano nam, że jesteśmy wrogo nastawieni do władzy. Po wyjaśnieniu tej decyzji między władzami polskimi i radzieckimi w mieście doszło do porozumienia. Każdy Polak musiał mieć zaświadczenie tymczasowe, które służyło jako dowód tożsamości. Wyjaśnił to nam polski przedstawiciel, żołnierz w stopniu kapitana. Nazywał się Maj. Wyjaśnił wszystkim, że każdy może przyjąć to zaświadczenie bez żadnych wahań, prócz tych, którzy złożyli przysięgę wojskową. Oni muszą ten problem przemyśleć. Jednocześnie dał do zrozumienia tymi słowami: „Ja przysięgę składałem i tego nie mogę zrobić, złamałbym przysięgę, którą składałem". Przemawiał przez mikrofon. Te słowa każdemu dały do myślenia nad tak poważną sprawą. Niektórzy poszli do obozu karnego, a przysięgi nie złamali. Ogólnie wszystko zostało załagodzone, wystarczyło przyjąć taki dokument, wtedy

nie przymuszali, żeby to był paszport. Zaświadczenie trzeba było jednak przedłużać w biurze paszportów na dalsze trzy albo sześć miesięcy. Byliśmy więcej prześladowani, ale trzeba było się z tym pogodzić i przypomnieć sobie, że jesteśmy niewolnikami i wrogami Związku Radzieckiego.

NKWD zaczęło wzywać Polaków i zmuszać do odbierania rosyjskich paszportów. Kto odmówił za pierwszym razem, dawali dwa tygodnie do namysłu. Kto natomiast zdecydował się przyjąć obywatelstwo, zgłaszał się i w określonym czasie otrzymywał paszport. Szedł wolny do domu. Pozostali byli zmuszani do pakowania swoich rzeczy i z workiem na plecach musieli iść do NKWD, drugiej szansy nie dawali, od razu zamykali do więzienia.

(Stefania Sokołowska - Satanowska: „Mroźny smak głodu", Łomża, 1999.)

Przy każdej pracy byliśmy szykanowani. Często słyszeliśmy: „wy Polaczki wredziciele". Nawet Uzbecy inaczej nie mówili tylko „urs", to znaczy zły człowiek. Ja w tym czasie znów zacząłem chorować. Nie poszedłem do lekarza i nie byłem kilka dni w pracy. Jak wróciłem, zażądano ode mnie zwolnienia lekarskiego. Nie miałem żadnego usprawiedliwienia i kierowniczka restauracji powiedziała, że musi moją sprawę skierować do sądu pracy i to zrobiła, ale z pracy mnie nie zwolniła. Chociaż nie czułem się dobrze, musiałem pracować. Nie dostałem zwolnienia, bo nie miałem temperatury. Po kilku dniach otrzymałem wezwanie do sądu. Stawiłem się i czekałem na korytarzu. I nie wiem, co się stało, jak się obudziłem, to byłem w szpitalu. Okazało się, że jestem chory na malarię. Po wyjściu ze szpitala musiałem w określone dni zgłaszać się na kontrole. Miałem specjalne upoważnienie wydane przez lekarza, a w przychodni potwierdzali, że się zgłaszałem. Po wyjściu ze szpitala nie pracowałem w żadnym zakładzie, tylko pracowałem w tym szpitalu z mężczyzną, który przeprowadzał drobne remonty. On mnie wynajął prywatnie do pomocy i płacił za każdy dzień. Kiedy już otrzymałem zaświadczenie, że nie wymagam dalszego leczenia, poprosiłem, żeby mnie zatrudnił na stałe. Również tego dnia magazynier zapytała mego pracodawcę, czy pozwoli, żebym ja pojechał z nią po chleb i inne produkty żywnościowe. Ja się zgodziłem, nie czekając na zgodę mego kierownika. W czasie drogi opowiedziałem magazynierce o swojej sytuacji: braku stałej pracy, leczeniu malarii. Zapytała, czy chciałbym pracować jako furman w szpitalu. Po powrocie rozładowałem kupione produkty, wyprzągłem konia i zaprowadziłem do stajni. Magazynierka jeszcze raz zapytała mnie, czy chcę pracować? Mam się zdecydować, bo od jutra będzie dużo pracy. Zapytała jak

się nazywam i sama się przedstawiła: „Ludmiła, dla ciebie ciocia Luda". Nie pozwoliła mi odejść bez kolacji. Weszliśmy do kuchni, przedstawiła mnie kucharkom i powiedziała szefowej, że od jutra będę pracował jako fornal, jestem Polakiem. Poprosiła dla mnie o całodzienne wyżywienie. Następny dzień zacząłem od zaprzęgnięcia konia i wożenia wody. Jeszcze nikogo poza portierem nie było w pracy. Dopiero kiedy wróciłem z wodą, widziałem, jak magazynierka wydaje kucharkom produkty. Zawołała mnie na śniadanie. Pani Luda pokazała mi, gdzie jest koniczyna dla konia. Po śniadaniu pojechaliśmy po zaopatrzenie, a później, kiedy odprowadziłem konia na pastwisko, poczęstowała mnie osłodzoną herbatą i poszliśmy do biura. Zostałem formalnie zatrudniony za sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie i dodatkowo dwadzieścia rubli za opiekę nad koniem. Wyżywienie nie wchodziło w moje uposażenie. Zgodziłem się na te warunki, tym bardziej, że wyżywienie miałem załatwione. Moim szefem był ordynator i pani Luda. Nikt inny nie mógł wyznaczać mi pracy. W pierwszych dniach było ciężko. Koń był niedożywiony, a pracy przy szpitalu - dużo. Pracowałem z nim i sam go karmiłem. Po dwóch tygodniach pani Luda zapytała mnie, czy jestem zadowolony z pracy? Powiedziała, że personel mnie chwali. Ucieszyły mnie te słowa. Ja też miałem być za co wdzięczny, bo przez cały czas przebywania w Związku Radzieckim nie miałem tyle pożywienia, co tutaj. Po raz pierwszy swoją kartkę na chleb mogłem oddać innym. Po trzech miesiącach wezwał mnie ordynator. Wszedłem do gabinetu i powiedziałem: „Dzień dobry", on popatrzył na mnie zdziwiony, wtedy dodałem: „Zdrastwujcie". Odpowiedział i kazał mi usiąść. Wypytywał, czy jestem z rodziną, czy samotny, gdzie mieszkam? Powiedział, że mogę mieszkać na terenie szpitala w małym pomieszczeniu obok portierni. Pani Luda zaraz zabrała mnie do magazynu, gdzie dostałem komplet pościeli, łóżko, taboret i szafkę. Pościel miałem zmieniać sam raz w tygodniu. Szpital też miał ze mnie pożytek, bo byłem do dyspozycji w porze nocnej. Kilka razy przewoziłem chorych nocną do miasta Urgencz. Jeździłem również po chorego do Urgencz, żeby przywieźć go do Nukus, za co dodatkowo mi płacono.

Nie było mi źle. Cieszyłem się zaufaniem personelu szpitala. Pani Luda nie nazywała mnie inaczej, jak: „synu", kiedy to mówiła, w jej oczach widziałem łzy. Wyjaśniła, że jej mąż zginął na wojnie dwa lata temu, a jedyny syn po półrocznym przeszkoleniu poszedł na front i zginął w wieku dwudziestu jeden lat. Po tej rozmowie ja też zapłakałem. Przyszła mi myśl, że moja mama również mnie opłakuje, bo nie wie, co się ze mną dzieje. A w czasie tych ohydnych podróży tyle ludzi zmarło...

Każdego dnia mogłem się wykąpać, miałem czystą, choć używaną, bieliznę. Wszystko dzięki pani Ludzie. Nie pamiętam, w jakiej sprawie wszedłem do biura, była w nim pani Luda i powiedziałem: „zdrastwujcie". Odpowiedzieli ze śmiechem, a pani Luda zaraz zapytała, dlaczego nie mówię „dzień dobry"? Zapytała też, czy mam zaproszenie na bal do spółdzielni gastronomicznej? Odpowiedziałem, że i tak nie pójdę, bo pracują tam sami Żydzi. Nie wiedziałem, że w biurze pracowała Żydówka. Po paru dniach pani Luda powiedziała mi, że ma złą nowinę. Będę miał rozprawę przed sadem, bo Dora doniosła, że oczerniam ich narodowość. Stawiłem się na rozprawę z dwoma świadkami pochodzenia żydowskiego, urodzonymi i mieszkającymi przed wojną w Polsce. Wytłumaczyli, że słowo „żyd" nie jest złośliwe ani oczerniające, nie jest też wyzwiskiem. Żydzi w Polsce nazywani byli Izraelitami! Po tym wyjaśnieniu zostałem uniewinniony. Pani Luda czekała na mnie niecierpliwie, bo czuła się winna. Gdyby nie zapytała o ten bal, nie byłoby tej sytuacji.

CZĘŚĆ VI: ALEKSANDER KALISTA OPOWIADA O PODRÓŻY DO WOJSKA, WOJNIE I POWROCIE DO DOMU

Po ponownym porozumieniu Wasilewskiej i Berlinga ze Stalinem doszło w 1943 roku do ponownej mobilizacji. Powstawała Armia Polska, z tym że tym razem nie było żadnych ograniczeń w pochodzeniu - każdy obywatel Polski zdolny do służby był powoływany. Ja i moich dwóch kolegów nadal zostaliśmy odroczeni z powodu zdrowia. Nie zorientowaliśmy się, że była to celowa robota NKWD. Po roku, na początku maja otrzymaliśmy wezwanie do stawienia się na komisję. Komisja odbyła się pobieżnie i każdy z nas otrzymał kartę poboru oraz powiadomienie o wypłacie w ciągu trzech dni należnych poborów. Pani Luda była bardzo niezadowolona, że mnie nie będzie. Powiedziała, że jestem jeszcze młody i nie muszę iść zaglądać śmierci w oczy. Ordynator powiedział, że gdyby wiedział o komisji, to byłbym ponownie odroczony, a po skończonej wojnie mógłbym wrócić do Polski. Ostatniego dnia przed odjazdem wykonałem swoją pracę i pożegnałem się ze wszystkimi. Odebrałem pobory. Z kuchni otrzymałem paczkę żywnościową. Pani Luda wyszła ze mną za bramę i pożegnała mnie całując w czoło, słowami: „Niech cię Pan Bóg i Matka Boża mają w swej opiece". Pierwszy raz w czasie pobytu w Rosji usłyszałem takie słowa.

Jeszcze tego dnia we trzech zgłosiliśmy się do wojenkomatu, gdzie otrzymaliśmy rozkaz wyjazdu oraz bilety na przejazd

statkiem rzecznym i morskim oraz koleją do punktu zbiorczego w miejscowości Sumy na Ukrainie. Wydano nam równocześnie talony żywnościowe na czas podróży, która miała trwać dziesięć dni. Po otrzymaniu dokumentów poszliśmy na przystań, gdzie stał statek rzeczny, który miał wyznaczoną trasę do przystani w Aralsku. Tam przesiedliśmy się na pociąg. Podróż koleją była uciążliwa, trzeba się było przesiadać, czasami na połączenie czekaliśmy całą dobę. Dziewiątego dnia dotarliśmy do punktu zbiorczego w Sumach, a następnego ponownie stanęliśmy przed komisją lekarską. Każdego z nas przydzielono do innej formacji. Pożegnaliśmy się i nigdy się już nie spotkaliśmy. Ja zostałem przydzielony do formacji zmechanizowanej i musiałem przejść przeszkolenie prowadzone w języku rosyjskim. Trwało od maja do października 1944 roku. Byłem przydzielony do 3. Szkolnego Pułku Mechanizacji Wojskowej. W październiku przeniesiono mnie z drużyną do 27. Pułku Artylerii Samobieżnej. Moja załoga liczyła cztery osoby - dwóch Rosjan i dwóch Polaków. Jedynie oficerowie polityczni, wychowawcy, byli Polakami. Musieliśmy też poznać przełożonych w stopniu oficerskim z baterii i oficerów sztabowych. Po tej ceremonii uruchomiono maszyny i urządzono nam sprawdzian z posiadanej wiedzy i umiejętności. Od tego dnia byliśmy żołnierzami liniowymi i w pogotowiu bojowym. Stancję mieliśmy w lesie w Lubelskiem, około trzech kilometrów ode wsi Leśniczówka koła Chełma. Tu czekaliśmy na

Po lewej Aleksander Kalista w mundurze.

II Armia sforsowała Nysę Łużycką, a następnie walczyła w rejonie Drezna i Budziszyna, ponosząc wysokie ofiary. Swój szlak bojowy zakończyła w maju w Czechosłowacji.

rozkaz wymarszu na pierwszą linię frontu. Trwało to od października 1944 do początku kwietnia 1945 roku. Moja pierwsza walka z nieprzyjacielem zaczęła się 16 kwietnia przy forsowaniu Odry i Nysy Łużyckiej. Byliśmy przygotowani do walki o Drezno, ale nie uczestniczyliśmy w tej bitwie. O godzinie siódmej rano 9 maja 1945 roku przyszła widomość, że Niemcy podpisali akt kapitulacji. To była wielka radość. Pomyślałem, że może naprawdę skończy się ta tułaczka. Jednak tak się nie stało. Jeszcze tego dnia po południu otrzymaliśmy rozkaz do boju i ruszyliśmy w niewiadome. Okazało się, że do Pragi czeskiej.

Rodzeństwo Kalistowie po wojnie: Aleksander, Elżbieta, Michał, Tadeusz.

Na polskich terenach witano nas w Kaliszu. Pamiętam całe masy kwiatów. W majątku, w pobliżu Kalisza byliśmy przez dwa dni, później przeniesiono nas do Kamienia Pomorskiego. Po dwóch czy trzech dobach wróciliśmy znów do Kalisza z powodu remontu maszyn, ale żadnego remontu nie było. Kiedy już nas załadowano z maszynami na stacji kolejowej w Kaliszu, nie pamiętam ile dni i nocy koczowaliśmy na platformach kolejowych, aż wreszcie dotarliśmy do Modlina, miejsca stałego stacjonowania jednostki. Po raz drugi pomyślałem, że skończyłem swoją tułaczkę i służbę wojskową. Ale tak się znowu nie stało. Zdążyłem tylko się wykąpać i parę

nocy przespać, bo oddelegowano nas na tereny zachodnie do spisów. Nasz grupa składała się z oficera i trzech żołnierzy. Robiliśmy spisy, przeważnie na wsiach, domów mieszkalnych i zabudowań gospodarczych. Wyszczególnialiśmy gospodarstwa zamieszkałe i wolne. Były to tereny obecnego województwa zachodniopomorskiego. Sporządzaliśmy spisy w czterech gminach, w dwóch egzemplarzach, jeden zostawał u nas, drugi oddawaliśmy naszemu dowódcy. Gdy na stację wjechał transport z przesiedlaną ludnością z terenów wschodnich, to byliśmy powiadamiani i kierowaliśmy całe rodziny do poszczególnych wiosek. Trwało to od sierpnia do listopada 1945 roku. Po powrocie do jednostki, w połowie grudnia otrzymałem urlop. Po sześciu latach mogłem pojechać do domu, do rodziny. Zastałem tylko ojca. Mama z młodszym rodzeństwem jeszcze nie wróciła z Rosji. Powitanie było serdeczne. Opowiadaliśmy swoje losy, lecz na wszystkie opowiadania nie starczyło czasu, bo 28 grudnia musiałem być ponownie w jednostce. W lutym 1946 roku wyszedł rozkaz Roli Żymierskiego o demobilizacji. Obejmował żołnierzy, którzy służyli w wojsku ponad trzy lata lub byli urodzeni przed rokiem 1919. Nie kwalifikowałem się do żadnej z tych grup, ale bardzo chciałem iść do cywila. Przy pomocy ojca chrzestnego, który był w dobrych stosunkach z wójtem naszej gminy, udało mi się zdobyć zaświadczenie z odpowiednią datą urodzenia. Wójt podpisał je i opieczętował w każdym rogu, mówiąc: „Mnogo pieczaci, będzie dobre". Po trzech dniach otrzymałem książeczkę rezerwisty. Szóstego marca wróciłem do Podgórza. Data ta szczególnie utkwiła mi w pamięci. Kiedy wszedłem do domu dziadka, zobaczyłem na wprost siebie siedzącą moją mamę. Nie widziałem jej od ponad czterech i pół roku, nie wiedziałem nawet czy żyje. To był dzień wielkiego szczęścia. Po niespełna miesiącu całą rodziną ruszyliśmy na Ziemie Odzyskane, gdzie mieszkamy do dziś.

16 lutego 2017 roku w Podgórzu odbyła się uroczystość odsłonięcia Pomnika Sybiraków w obecności pani Anny Marii Anders. Aleksander Kalista nie dożył tego czasu. O przeżyciach wywiezionych nocą 10 lutego 1940 roku podgórzan opowiadał jego młodszy kuzyn, Roman Kalista. Organizatorzy uroczystości zwrócili się do córki Aleksandra Kalisty, pani Krystyny Kostki z Objazdy z prośbą o fragmenty jego wspomnień.

Rówieśnicy Niepodległej

Adam Turek
(1918-1989)

Józef Turek
(1918-1945)

W Plebańcach lato 1918 dopalało się pastuszymi ogniskami. Pieczone kartofle smakowały wybornie, teraz można było ich zjeść do syta. W wojennych czasach 1915-1918 co rusz walczyły tu wojska rosyjskie i niemieckie, a wycofując się, grabiły wszystko, co możliwe. Z niedalekiego Brasławia i dalekiego Wilna dochodziły to straszne, to radosne wieści. W lipcu zabito cara i jego rodzinę, rozpadało się carstwo, kończyła się wojna, a nadzieje na Niepodległą były coraz pewniejsze. Opowieści o bohaterze tych dni, Józefie Piłsudskim, urodzonym na tej ziemi, docierały nawet do pastuszych ognisk, przy których po cichu prowadzono rozmowy o rodzącej się w chaosie Rzeczpospolitej.

W domu Kazimierza Turka oczekiwano rozwiązania brzemiennej Julii z domu Karotko, córki Stanisława, żony gospodarza, niemłodej już, bo dwudziestoośmioletniej pierworódki. Wreszcie 10 września 1918 roku powiła szczęśliwie dwóch bliźniaczych chłopców: Adama i Józefa. Zycie toczyło się teraz w nadziei na szczęście synów i rodzącej się Polski. W drewnianym domu, otoczonym wiśniowym sadem, obok dwóch kołysek poczesne miejsce zajmowały krosna i kołowrotek, przy których gospodyni spędzała dużo czasu. Ze lnu tkała prześcieradła, ręczniki i płótna, z wełny narzuty, z resztek chodniki. Lubiła piękne wzory i dokładną robotę. Pola było niewiele, uprawiano len, grykę, zboża i kartofle. W obejściu były dwie krowy, kilka „parsiuków" i owce. Okoliczne jeziora Drywiaty i Cno dawały obfitość ryb. Obaj chłopcy, gdy tylko podrośli, popisywali się przed ojcem zręcznością w rzucie ościeniem. Spokojny, rozważny Józef często przegrywał ze zręcznością i siłą Adama. Wiosną, jak prawie wszyscy mieszkańcy Plebańców i okolicznych wsi, zbierali sok z brzozy i pili go z apetytem. Po latach Adam próbował zbierać sok dla swojej rodziny, ale nie smakował jak tamten, spod Brasławia. Podobni jak dwie krople wody różnili się charakterami i temperamentem, ale obaj byli zdolni i wiedza

przychodziła im łatwo. Młoda ojczyzna dawała możliwości nauki, chociaż Polska stawiała tu pierwsze kroki niepewnie jak bracia bliźniacy - jej rówieśnicy, ale kiedy w 1920 roku Brasław został stolicą powiatu w województwie wileńskim w granicach Rzeczpospolitej Polskiej, zmiany na lepsze zachodziły bardzo szybko. Starosta brasławski Żelisław Januszkiewicz okazał się sprawnym i rozsądnym gospodarzem, więc szkoły rosły razem z bliźniakami i dla nich. Obaj ukończyli terminowo siedem klas szkoły powszechnej, ale na dalszą naukę rodziców nie było stać. Przez jakiś czas chłopcy pomagali w niewielkim gospodarstwie. Z roku na rok w domu robiło się ciasno. Siostry bliźniaczki urodzone w 1925 roku podrosły już, ale straszna choroba zabrała Manię, Annę pozbawiła słuchu. Braci, dzięki Bogu, choroba ominęła. Młodzieńcy spędzali czas na czytaniu, łowieniu ryb, ale Adam coraz częściej próbował samogonu, pędzono go w prawie każdym domu. Z kolegami biesiadował nieraz do rana, ku utrapieniu matki, przejętej losem Anny. - Jaka przyszłość pisana jest dla moich dzieci? - zastanawiała się w bezsenne noce. Mąż nie włączał się zbytnio w domowe zajęcia, czuł się coraz gorzej, narzekał od dawna na zdrowie. Sława wojska, szacunek dla munduru, opowieści o oficerskim życiu przedstawiane przez Bandrowskiego, Nałkowską może nie bezpośrednio, ale w jakimś stopniu tworzyły etos żołnierskiego życia. To była gwarancja na wyrwanie się z małej wioski Plebańce w wielki świat i nadzieja na lepsze, ciekawe życie.

W marcu 1939 roku Adam Turek pożegnał się z kolegami i bratem, siostrą i rodzicami. Wyjechał z domu w Plebańcach do Warszawy, do szkoły podoficerskiej. Miasto, nowi znajomi, obowiązki i żołnierskie życie były nie lada wyzwaniem dla przybysza z dalekich kresów. Wprawdzie jego polszczyzna była poprawna, ale obawy chłopaka z dalekiej prowincji działały jak hamulec. Tam wszystko było znajome, proste, był najlepszy wśród rówieśników, darzyli go respektem, nawet brat Józef liczył się z jego opinią. Tu nic nie było proste, byli lepsi od niego i trzeba było im dorównać. Ambicja była jego sojuszniczką. Szkolenia odbywały się pospiesznie, bo wieści ze świata nie były pomyślne. Wprawdzie dowódcy zapewniali o pokojowych sojuszach, nowoczesnym uzbrojeniu i wyszkoleniu wojska, ale nic nie było pewne.

1 września 1939 roku zastał go w Warszawie. Miał stopień kaprala, został dowódcą działka p/lot. Czterech żołnierzy i on, często zdani na własny rozsądek, próbowali bronić polskiego nieba w nierównej walce. Obok miasto waliło się w gruzy, ginęli koledzy i cywile, nadzieja ginęła razem z nimi. Walki zakończyły się szybko. Już 6 września oddziały niemieckich czołgów wjechały do Góry Kalwarii, gdzie założono obóz jeniecki, a na mieszkańców

nałożono kontrybucję. Rozpoczęła się niemiecka okupacja. Do kapitulacji Warszawy przetrwali cudem unikając śmierci od bomb i artyleryjskiego ostrzału. Zawdzięczał to być może MB Ostrobramskiej, której obraz wisiał w domu w Plebańcach i przed którym modlił się będąc dzieckiem, a teraz matka zanosiła modły o jego ocalenie. Po kapitulacji został jeńcem w obozie w Górze Kalwarii. Niemieckie porządki jeszcze nie okrzepły i to była szansa dla jeńców. Po latach Adam Turek opowiadał córkom o bohaterskiej postawie mieszkańców Góry Kalwarii, którzy narażając własne życie przerzucali przez druty kartofle i brukiew. To pozwalało przetrwać, bo w obozie głód był pierwszym doświadczeniem. Trzeba się było ratować. Pod koniec października Adam wykazał się nie lada zręcznością i uciekł z obozu. Na Boże Narodzenie dotarł do domu.

Chłopcy z Plebańców, ok. roku 1943. Za parę miesięcy ruszą na front.

Wojna obronna zakończona. Tam wyrwał się spod łapy Niemców, tu trafił pod opiekę Rosjan. Trzeba było jakoś na nowo organizować życie, warszawskie doświadczenia ostudziły w nim zapał do wojowania. W drodze z obozu jenieckiego do Plebańców widział wiele okropności, nie miał ochoty na nic. Próbował innego zajęcia. Do łotewskiej granicy było blisko, sól potrzebna każdemu, a na Łotwie płacono za nią złotem. Zbierał więc carskie „świnki", małe ruble nazywane tak, bo miały wartość utuczonego prosięcia; przecież kiedyś będzie po wojnie.

„Po wojnie" nie mogło być bez bliźniaków spod Brasławia. Obaj, Adam i Józef, we wrześniu 1944 zostali powołani do formującej się II Armii. Z Plebańców z trzydziestu dziewięciu domów mieszkalnych, poszło na wojnę dziewięciu chłopców. Adam Turek, choć już nigdy nie wrócił do rodzinnej wsi, pamiętał ich wszystkich. Pamiętał, bo przeżył tylko on i Czesiek Szałapak, który wybrał zagranicę. Adam niósł przez całe życie ciężar śmierci kolegów, chociaż nie mógł ich uratować. Miał żal do losu, że musiał żyć samotnie, bez wspomnień, które umarły wraz z towarzyszami młodości. Julia Turkowa została w Plebańcach sama, z niesłyszącą Anną. Czekała

cierpliwie na frontowe listy. Przechowywała w tajemnicy schowane monety synów. Wydawało się, że to gwarancja ich powrotu.

Adam dostał przydział do 12. kompanii Obserwacyjno-Meldunkowej. Józef został szeregowcem 25. pułku piechoty. Bracia szli z frontem walcząc o ojczyznę, której kształtu nikt nie znał. Nieśli ją w sercu, tak wychowani zostali w domu i w szkole, bo Polska była świętością dla tych, którzy długo na nią czekali. Józef we frontowym liście do brata, przygnębiony wiadomością o śmierci kuzyna Grzegorza, pisał: „Może da Bóg, że wojna niezadługo się skończy i będziemy mogli się spotkać znowu w swym domu rodzinnym. Walczyć z Niemcami jest naszym obowiązkiem wobec Ojczyzny".

Wyprzedziliśmy nieco fakty. To był ostatni list Józefa, który zginął 3 maja 1945 roku pod Cammerau. Został pochowany na obcej ziemi i nikt z bliskich na jego mogile nie zapalił lampki. Spełnił obowiązek wobec ojczyzny, ale matkę, brata i siostrę pozostawił w nieustającym smutku.

Adam Turek rzadko wracał do wojennych wspomnień, a jeżeli to się zdarzyło, opowiadał tylko o brawurowych, zupełnie niepatetycznych zdarzeniach. Po walkach o Łódź na przykład wraz z kolegami urządzili sobie kolację w opuszczonym niemieckim bogatym domu. Zamiast zmywać porcelanową zastawę, wraz z obrusem wyrzucali ją przez okno, a na stole stawiali nową. W czasie walk w Poznaniu, niedaleko Cytadeli został rozbity bank. Banknoty fruwały niesione z wiatrem, a oni się śmiali, bo na cóż im były dolary. Za rogiem czaiła się śmierć i to był przeciwnik, z którym trzeba się było liczyć. Forsowanie Nysy potraktowali poważnie, warto było pomyśleć o przyszłości, bo wojna naprawdę mogła się niebawem skończyć. Może uda się przeżyć? Jego wojowanie trwało 8 miesięcy i 12 dni. Do 8 maja 1945 roku. Ale nie został zdemobilizowany. Wraz z 80. pułkiem Artylerii Ciężkiej, który powstał we wrześniu 1945 roku po rozformowaniu 5. Pomorskiej Brygady Pancernej stacjonował w Biedrusku pod Poznaniem. Dopiero w marcu 1946 roku został zdemobilizowany. Proponowano mu pozostanie w wojsku, jednak dawne marzenia o karierze wojskowej przegrały z wojennym doświadczeniem. Postanowił żyć z dala od zgiełku, w zgodzie z ziemią, którą zawsze znał i kochał. Na powrót do domu w Plebańcach było za późno, mimo że tęsknił i żal było mu matki opłakującej Józefa. Wiedział, że jeżeli tam pojedzie, nie będzie mógł wrócić do Polski. Jako osadnik wojskowy najpierw osiedlił się w Kocieniu Wielkim pod Trzcianką. Samotnie mieszkał w dużym domu, ziemia czekała na pracowite ręce, więc użyźniał ją obornikiem wożonym taczką. Innych narzędzi nie miał, ale nie narzekał.

Był pokój, wiosna i nadzieja. Pod koniec maja obok osiedliła się repatriancka rodzina spod Pińska. Spodobała mu się młodziutka dziewczyna, Renia, która w listopadzie została jego żoną i już razem przenieśli się pod Ustkę, gdzie niedawno zamieszkali jego „plemieńcy" zza Buga, kuzynka Janka ze Strusta, z mężem Wilhelmem Wieliczko, który był młynarzem, cioteczny brat Stanisław Zamościk, z zawodu krawiec i inni. Jego majątek stanowiły wówczas: ostatni list Józefa, spłowiały żołnierski mundur, kilka wojennych medali, w tym Medal za Warszawę, upór i zaciętość, że wreszcie trzeba zacząć żyć. Matka nie mogła przyjechać. Nie dostała zgody na wyjazd. Na wschodzie władza radziecka wprowadzała swoje porządki. Sam z rodziną - w lutym 1948 roku urodziła się pierwsza córka - też nie był pewien dalszego losu, żyli ze spakowanymi walizkami, trudno było poczuć się jak na swoim w domu i obejściu, gdzie żywe były ślady obcych ludzi. Poczucie tymczasowości długo towarzyszyło jego rówieśnikom, których wojenne losy zawiodły w dalekie od rodzinnego domu strony. O jego ślubie matka wiedziała z listów, a wnuczki widziała na fotografii. Zmarła nagle na atak serca w czerwcu 1956 roku. Adam nie mógł pojechać na pogrzeb, a głuchoniemą Annę, której miał dać opiekę, po roku starań przez ambasadę w Warszawie, odebrał z granicy w Brześciu. Anna przywiozła obraz Ostrobramskiej i kilka „świnek" ukrytych zmyślnie w gotowanych na podróż jajkach i wydrążonym obcasie buta.

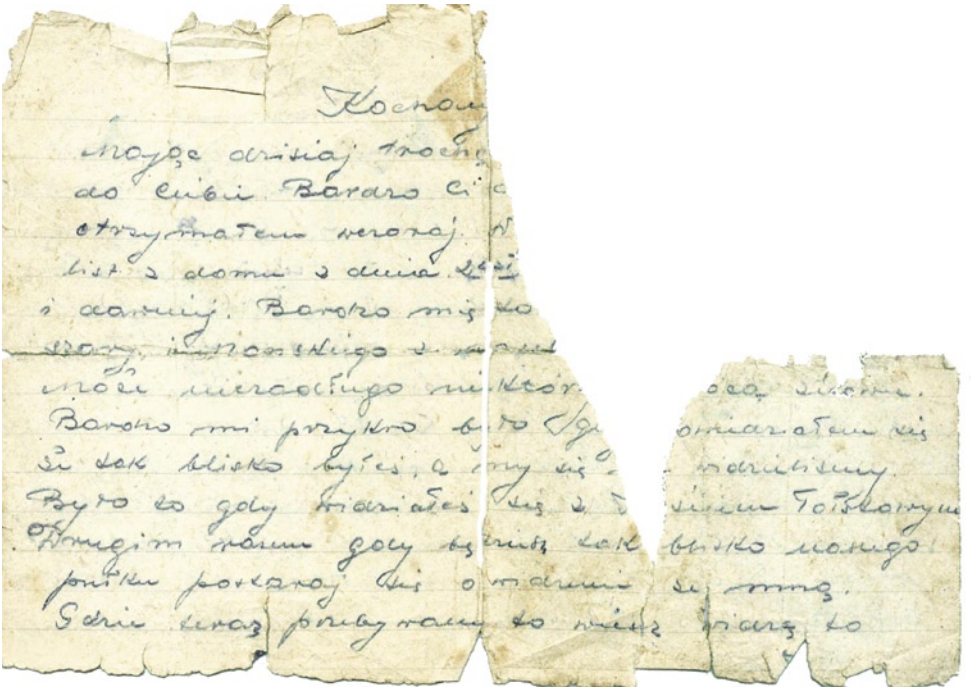

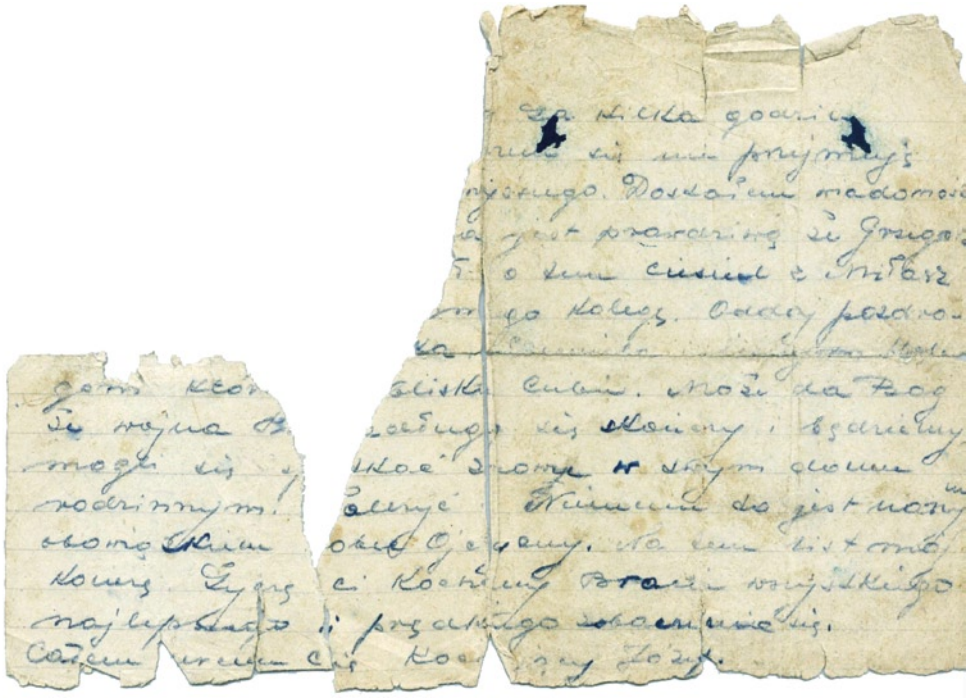

Ostatni list Józefa - przechowywany przez brata Adama.

„Księga poległych na polu chwały 1943-1945", opracowali: Leszek Lewandowicz i inni; wstępem opatrzył Juliusz Malczewski; konsultacja naukowa: Włodzimierz Wołoszyn. Source: Lewandowski Leszek. Wojskowy Instytut Historyczny, Warszawa 1974r.

TUREK JÓZEF s. Kazimierza, ur. 1918 r. w m. Plebańce, rej. Brasław, szer. 25 pp, poległ 3 V 1945 w m. Commerau (NRD). CAW, III-127/56, s.32

TUREK GRZEGORZ s. Sebastiana, ur. 1925 r. w m. Plebańce, rej. Brasław, szer. 29 pp, poległ 16 IV 1945 r. nad Nysą. CAW, III-127/56, s. 269.

***

Poskładane po latach fragmenty wspomnień Adama Turka są świadectwem losu pokolenia, a jego biografia wpleciona w historię kraju jest dowodem drogi, jaką przeszli rówieśnicy II Rzeczpospolitej. Wielu z nich dorosło tylko po to, by oddać życie w wojnie, której nie chcieli. Dostali w zamian ojczyznę bez ojcowizny.

Babka Julia z Plebańców

kłaniam ci się babko
znana z wyblakłej fotografii
i zmurszałych ze starości listów
w krótkich zdaniach twego syna
a mojego ojca
więcej było żalu
o poległych pod Commerau braci
wojennych blizn
i niegojących się ran
niż wspomnień domowych

poznaję cię jednak babko
opłakująca córki i męża
w zniekształconym słowie
skażonym prątkami gruźlicy

scalam nasz koślawy dom
rozsypany jałtańskim wyrokiem
między Plebańcami i Wobesde

sens nadaję twoim łzom
szukam uzasadnień samotnej śmierci
na własnej obcej ziemi

kłaniam ci się babko Julio
idę na mnie czas

Anna

Zadzwonił telefon, rozmówca się przedstawił nazwiskiem znanym z historii Kresów wileńskich. Osobiście go nie znałam, ba, nie wiedziałam o jego istnieniu! Zaskoczona poprosiłam o przełożenie rozmowy lub, jeśli to możliwe, o kontakt mailowy. Tak się zaczęło. Rodzinę ojca poznałam na nowo z jego relacji, wiedział więcej niż ja.

Ojciec (rocznik 1918) nie żyje od ponad dwudziestu lat, jednak wciąż z nami jest Anna, jego młodsza siostra, ale to zupełnie inna historia. Opowiem ją, by wyjaśnić, dlaczego przekazane przez rozmówcę z pociągu informacje muszę przyjąć z dobrodziejstwem.

Najpierw Plebańce, niewielka wieś w pobliżu Brasławia w dawnym polskim województwie wileńskim. Tuż przed wojną mieszkały w niej cztery rodziny Turków: Kazimierza, Sebastiana, Bonifacego i Antoniego. W dokumentach kościoła NMP Królowej Jezior w Brasławiu odnajduję spisaną po polsku „Alfabetyczną listę wiernych 1883-1933", gdzie pod datą 1883 roku widnieje nazwisko Kazimierza Turka, mojego nieznanego dziadka. Ożenił się z Julią Korotko, córką Stanisława, urodzoną w 1890 roku. Z tego związku w 1918 roku urodzili się bliźniaczy bracia Adam i Józef. Józef zginął pod Cammerau, o czym informuje „Księga poległych na Polu Chwały:" - *Turek Józef, s. Kazimierza, ur. 1918 r. w m. Plebańce, rej. Brasław, szer. 25 pp, poległ 3 V 1945 w m. Commerau (NRD). CAW, III-127/56, s. 32.*

Anna Turek z wnuczką brata, Magdaleną.

Adam przeżył wojnę, ale zdemobilizowany w 1946 roku, nie wrócił do rodzinnej wsi, bo nie było tam Polski, mimo że w Plebańcach czekała na niego matka z młodszą siostrą Anną. Najpierw jako osadnik wojskowy objął gospodarstwo w Kocieniu Wielkim, gdzie poznał dziewczynę, z którą się ożenił, następnie przeniósł się do Objazdy, bo tu zamieszkali repatrianci, „plemiency" z okolic

Brasławia. Był rolnikiem. Z matką utrzymywał kontakt listowny, wysyłał zdjęcia kolejnych córek. Szans na spotkanie nie było, granica na Bugu była nie do przekroczenia. W 1956 roku przyszła stamtąd wiadomość o śmierci matki. „Sama pracowała w polu. Pewnego razu orała ziemię, z przemęczenia upadła, dostała krwotoku i tak zakończyła swój ziemski żywot." - śmierć Julii Turek opisuje mój nowy znajomy, którego rodzina pochodzi z Plebańców.

W Plebańcach. Anna z matką Julią Turek i kuzynką.

Anna, dorosła, ale głuchoniema siostra, została tam sama. Po wielu staraniach w 1957 roku brat Adam odebrał ją na granicy w Brześciu. Plebańce pozostały mityczną krainą z pięknymi jeziorami, niedostępnym rajem wspomnień.

Anna zamieszkała z nami, w pokoiku „na górce". Uczyliśmy się jej języka, z czasem rozmawialiśmy z nią na każdy temat, wiedzieliśmy, że jej głuchota i zniekształcona mowa jest wynikiem przebytej we wczesnym dzieciństwie choroby.

Pracowała w gospodarstwie brata, świetnie radziła sobie z końmi. Zimą robiła na drutach swetry dla rodziny i znajomych. W sobotę szła do strumienia po wodę do mycia włosów. Dbała o nie, świadoma, że bujne, czarne dodają urody. O włosy dbała, kiedy ma dziewięćdziesiąt jeden lat. Nigdy nie pozwoliła, by mówić do niej ciociu. Nigdy nie wyszła za mąż, chociaż zdarzali się konkurenci ujęci jej urodą i pracowitością. Była dla nas Anną, po prostu. Wszystko było proste, Anna była naszą siostrą, wcześniej siostromatką. Kochała nas, a my ją.

Tymczasem... W uporządkowany świat wspomnień budowany ze skąpych ojcowskich opowieści wszedł nowy znajomy, przynosząc zaskakujące wieści. Zaskakujące, ale bardzo prawdopodobne i wyjaśniające - na przykład - medyczne zagadki. W mailowym liście mój nowy znajomy napisał: „Ośmieliłem się napisać do Pani kilka słów dotyczących Plebańców. Jestem wnukiem Konstantego

Chodźki, którego gospodarstwo graniczyło z ziemią Kazimierza Turka - dziadka Pani."

Wnuk Konstantego Chodźki podaje datę śmierci mojego dziadka: „Kazimierz Turek zmarł na gruźlicę między rokiem 1930-1933 (jak Salcia chodziła jeszcze do szkoły powszechnej); Marysia I zmarła na gruźlicę a Anna zachorowała na zapalenie opon mózgowych i stąd te wszystkie powikłania".

Być może tak było. Zatem dziadek zmarł w wieku 47 lub 50 lat. Młodo. Pozostawił żonę i dzieci, i zagrożenie śmiertelną chorobą. Marysia, to Mania, którą Anna często wspominała, a mój ojciec o tym milczał.

„W domu Kazimierza Turka mieszkała jego matka Justyna - bardzo wiekowa kobieta. Zawsze odmawiała Litanię do Wszystkich Świętych w ten sposób, że mówiła np. Święty Antoni, przedłuż mi życie, Święty Franciszku - daj mi dłużej pożyć itd." - pisze znajomy nieco żartobliwie. - „Dom Kazimierza Turka był niezbyt okazały i już przed wojną zaczęto stawiać podwaliny nowego domu. Ciocia pamięta szkielet budowli, który w przyszłości miał być domem „na całą okolicę". Kiedy przyszli Rosjanie, budowa została wstrzymana. Na gospodarstwie nie było komu tego dopilnować. Cały szkielet powoli stał się łupem sąsiadów lub też nieznanych nikomu ludzi (złodziei)."

„Jeśli się nie mylę, to Pani ojciec miał jeszcze dwie siostry, a mianowicie: Franciszkę i Marysię drugą (o tym samym imieniu, co jej zmarła wcześniej siostra), która chodziła do jednej klasy z moją drugą ciocią Wandą (też żyjącą). Przez trzy lata uczyły się w szkole powszechnej w Jackowszczyźnie, a później kończyły siedmiolatkę w Brasławiu. Marysia, (która uczyła się z moją ciocią Wandą) też chorowała w młodości na gruźlicę. Czasami skarżyła się Wandzie, że mama jej nie chce leczyć i żałuje pieniędzy na lekarzy. Marysia zmarła, kiedy już chodziła z Wandą do szkoły siedmioklasowej w Brasławiu. Taki sam los spotkał wcześniej jej siostrę Franciszkę."

Jeśli chodzi o Annę, to Ciocia opowiadała, jak kiedyś razem z Marysią wzięły Anię do szkoły w Jackowszczyźnie. Nauczycielka posadziła ją w ławce, dała jej kredki i ta bardzo dumna z siebie nawet ładnie rysowała. Z Wandą porozumiewała się gestami i bełkotem, który był trochę zrozumiały. Kiedyś Wanda opowiadała Annie, że jak dorośnie to dostanie białą suknię z welonem i pójdzie z nim do ślubu ze swoim narzeczonym. Anna to wszystko rozumiała i bardzo śmiała się wtedy z tego."

„Kiedy Anna została sama, zaopiekowała się nią rodzina Sebastiana Turka". Prawdopodobne. Syn Sebastiana Turka zginął nad

Nysą. Rodziny połączyła żałoba po śmierci synów. Anna w Plebańcach została sama, mimo opieki krewnych. Brat czynił starania o jej przyjazd do Polski.

„Ciocia będąc kiedyś w Brasławiu dowiedziała się od moich dziadków, jak wyglądało przygotowanie Anny do podróży do Polski. Sebastian ponoć wydrążył w obcasie buta Ani otwór, do którego schowano świnki i w taki sposób dotarły one do Polski."

Nie sposób było porozmawiać z Anną o zawiłościach medycznych czy historycznych. Minęło od tamtego czasu tyle lat! Jedynie w badaniach medycznych wciąż obecne były ślady przebytej choroby.

Anna odeszła 15 grudnia 2016 roku. Pochowaliśmy ją na cmentarzu w Objeździe w grobie brata.

W Plebańcach. Samotna Anna przy trumnie matki.

16 kwietnia nad Nysą. Grzegorz Turek

PERSPEKTYWA HISTORYCZNA

10. Dywizja Piechoty zwana „Sudecką" została sformowania w końcu 1944 roku w Rzeszowie i do końca wojny działała pod dowództwem 2. Armii, w jej skład wchodził między innymi, szczególnie mnie interesujący - z uwagi na bohatera tego tekstu - Grzegorza Turka - 29. pułk piechoty. Sztandar dywizja otrzymała 14 stycznia 1945 roku w Rzeszowie. Był z płótna. Na czerwonej stronie wyhaftowano napis „Za naszą i Waszą wolność" - 10. Dywizja Wojska Polskiego, a między napisami wyhaftowany orzeł. Na odwrotnej białej stronie widniał obraz Matki Bożej Częstochowskiej i nad nim napis: „Bóg, Honor, Ojczyzna".

W styczniu 1945 Dywizja przeszła do Katowic, pełniąc częścią sił służbę wartowniczą w Kielcach, Krakowie, Oświęcimiu i na Górnym Śląsku. Następnie przeszła w rejon Puszczy Barlineckiej. Dowodził nią od 5 marca do 16 kwietnia 1945 roku - płk Dymitr Dubienko, zdjęty ze stanowiska ze niekompetencję i brak zrozumienia czekającego dywizję zadania. Od 17 kwietnia 1945 do 13 stycznia 1946 roku dowodzenie przejął płk Aleksander Struc.

Zgodnie z rozkazem dowódcy 2. Armii WP jednostki polskie przegrupowały się w nocy z 14 na 15 kwietnia. 10. Dywizja Piechoty zajęła pozycję na prawym skrzydle 2. Armii. Szesnastego kwietnia, w poniedziałek, o godzinie 4:15 pod Rothenburgiem zagrzmiała salwa „katiusz." Rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie przed forsowaniem Nysy.

29. pułk piechoty walczył o zdobycie przyczółku na Nysie, bił się w lasach Muskauer Forst nad Szprewą w rejonie Nelkenberg i Spreefurt. - 10. Dywizja Piechoty zajęła odcinek od Młotów do rejonu jednego kilometra na południe od Bucze, dalej 29. Pułk piechoty do Sanic. Po zdobyciu pierwszej transzei musiał wycofać się na wschodni brzeg rzeki, tracąc 89 poległych, 94 rannych i 20 zaginionych. W okresie od 11 kwietnia do 3 maja 1945 roku dywizja straciła 518 poległych, 356 zaginionych, 1767 rannych.

Gdzieś tam 16 kwietnia 1945 roku, w poniedziałek, dwa tygodnie po Wielkanocy poległ dwudziestoletni Grzegorz Turek,

syn Sebastiana z Plebańc. „Księga poległych" nie precyzuje miejsca śmierci ani pochówku.

Przyczyną niepowodzenia w forsowaniu rzeki były: brak dostatecznego rozpoznania, błędy w dowodzeniu i przygotowaniu dywizji, jak i obiektywne - nacierała na szerokim, bo aż dwudziestokilometrowym odcinku frontu, w trudnym terenie, wykonując oddzielne uderzenie, a nie dysponowała żadnym wsparciem czy wzmocnieniem ze strony armii. W tej sytuacji szybki sukces był raczej niemożliwy. Dla Grzegorza świat przestał istnieć, czas się zatrzymał, kolejne dni walk nie należały do niego. Pozostał nad Nysą na zawsze.

Na stronie internetowej odnalazłam informację o miejscu pochówku i fotografię żołnierskiego grobu Grzegorza Turka na Centralnym Cmentarzu 2. Armii Wojska Polskiego w Zgorzelcu. Dziękuję autorowi Tomaszowi Bogielowi za wykonanie alfabetycznego spisu kwater i zdjęć tabliczek imiennych, za zdjęcia cmentarza z lat 2002-2009 i udostępnienie materiału na stronie internetowej.

Wśród mogił poległych kilkadziesiąt oznaczono znakiem NN lub tylko znakiem dywizji. Grzegorz miał szczęście?

Na cmentarzu wojskowym w Zgorzelcu spoczywa 3420 poległych żołnierzy polskich, którzy zginęli wiosną 1945 roku w czasie forsowania Nysy Łużyckiej, w drodze na Drezno i pod czeski Melnik. Nie ma wśród nich Józefa Turka, poległego 3 maja pod Cammerau. Gdzie jest jego mogiła?

Żołnierska mogiła Grzegorza Turka na Centralnym Cmentarzu 2. Armii Wojska Polskiego w Zgorzelcu.

W rocznicę operacji łużyckiej każdego roku 16 kwietnia na Centralnym Cmentarzu 2. Armii Wojska Polskiego w Zgorzelcu odbywają się upamiętniające uroczystości organizowane przez władze miasta. W poprzednich latach w obchodach 69. rocznicy forsowania Nysy Łużyckiej uczestniczył Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski, w 70. rocznicę, uczestniczyli w nich między innymi Grzegorz Schetyna jako minister spraw zagranicznych i przedstawiciele Sejmu i Senatu. Uroczystości 71. rocznicy forsowania Nysy Łużyckiej w roku 2016 odbędą się 16 kwietnia (sobota) o godz. 12:00. Organizatorzy nie wymieniają oficjalnych gości. Informacje o uroczystości podają media regionalne.

PERSPEKTYWA OSOBISTA. LIST KUZYNA LOLKA, CZYLI LEONARDA TURKA

„We wrześniu 1944 roku Adam i Józef oraz siedmiu innych chłopców z Plebańców, zostali powołani do formującej się 2 Armii. W tym miejscu chciałbym wspomnieć o okolicznościach, które poprzedziły to wydarzenie. Armia Czerwona (...) zarządziła mobilizację mężczyzn, pod bezwzględnym rygorem. W konwoju pieszym doszliśmy do Nowej Wilejki (koło Wilna), skąd towarowymi wagonami wywieziono nas w głąb Rosji, do miejscowości Władimir nad rzeką Klaźmą, gdzie próbowano szkolić, ale były to ciężkie roboty przy budowie ziemianek do zamieszkania. Głód, brud z jednoczesną dyskryminacją polskości. Nie godziliśmy się na przyjęcie rosyjskiego umundurowania, stąd dokonano tego w brutalny sposób. Tylko dzięki patriotycznemu oporowi nie zostaliśmy wcieleni do Armii Czerwonej. Już wtedy wiedzieliśmy o tworzeniu polskich jednostek i to było jednym z dodatkowych bodźców przetrwania.

We wrześniu 1944 roku wykończeni fizycznie i moralnie, zostaliśmy przetransportowani w podobny sposób jak poprzednio do Polski, do wsi Dojlidy koło Białegostoku. Tu otrzymaliśmy polskie mundury, był to zapasowy 6 pułk piechoty. Czas do wczesnej wiosny 1945 roku upływał pod znakiem intensywnego szkolenia wojskowego. O ile pamiętam byli tam wszyscy znajomi z Plebańców. Tam ciężko zachorowałem i przez to nie znalazłem się w pierwszej fazie rozdziału do poszczególnych jednostek frontowych. W tych warunkach ostatni raz, niestety, widziałem się z Józefem i Grzegorzem."

Z frontowego listu Józefa do brata Adama: „Za kilka godzin ruszamy (...) się nie przejmuję (...) najwyższego. Dostałem wiadomość, że Grzegorz (...) o tym mnie Miłosz (...) Może da Bóg, że wojna niedługo się skończy i będziemy mogli się (...) znowu w swym domu rodzinnym. Walczyć z Niemcami jest naszym obowiązkiem wobec Ojczyzny. Na tym list mój kończę. Życzę Ci, Kochany Bracie, wszystkiego najlepszego i prędkiego spotkania się (...)"

PO PRZECIWNEJ STRONIE

Franz Schulz: „Dziennik Gorlitz - Zgorzelec 1945-1946" (Górlitzer Tagebuch 1945/1946, Wurzburg 1975 r.). Miejsce wydarzeń: kościół parafialny pw. św. Bonifacego w Görlitz-Ost.: „Według sprawozdawczości wojskowej front znajduje się na linii Sommerfeld (kierunek Berlin!), Żory, Bolesławiec, Złotoryja. Faktycznie jest on dużo dalej. Wrzawa wojenna jest w odległości słuchu, szacujemy

ją na około 20 km, tj. koło Lubania, ewentualnie Pieńska (16 km). Przepełniony Gorlitz czeka na nakaz ewakuacji. Każdy o tym wie, ale nikt nie wie, dokąd pójść. Ulice są zatłoczone. Pociągi mogą zabrać tylko małą liczbę pasażerów - prawie bez bagażu. Los kobiet oczekujących potomstwa i matek z niemowlętami jest przerażający. Ucieczka prowadzi ich prawdopodobnie do śmierci (ziąb, brak mleka), ale nacierające wojska radzieckie nie pozostawiają wyboru. Blade i wycieńczone ze strachu stoją przede mną i proszą: „Proszę księdza, proszę pomóc, proszę niech nam ksiądz poradzi!" Zamustrowano także i starszych panów do Volkssturmu (obrona cywilna). Państwowi urzędnicy nie cieszą się najmniejszym zaufaniem. Kościół zostaje ostatnią deską ratunku. Gdyby można było czynić teraz cuda w zakresie udzielenia pomocy!

Wczoraj wieczorem pocieszyli się mieszkańcy Gorlitz radosną wiadomością, nadaną przez sprawozdawczość wojskową: natarcie między Żorami i Bolesławcem odepchnięte. Dzisiaj rano otrzymuję o godz. 6.45 w zakrystii wiadomość, że obowiązkowa zbiórka wszystkich kobiet i dzieci wschodniej części miasta w celu ewakuacji jest o godz. 9.00 na placu Fryderyka. (...) Pochówek świętych naczyń i szat liturgicznych. Nad Dreznem ogień, jak gdyby świat się kończył. Wojenna wrzawa w zasięgu słuchu. Chaotyczne nakazy ewakuacji, wyprzedaż, terror, egzekucje, samoloty szturmowe, przedśmiertny strach - odmawiamy Drogę Krzyżową. Zabezpieczamy naczynia święte i wartościowe przedmioty, umieszczając je w korytarzach grzewczych i piwnicy naszego kościoła. To przypomina nam „złożenie do grobu".

KOMENTARZE INTERNAUTÓW

Marian Borodzicz: „Dziękuję INTERII za Pamięć o Żołnierzach 1. i 2. Armii Wojska Polskiego. Dziękuję za Pamięć o dniu 16 kwietnia 1945 roku. Mój zmarły Ojciec był ranny podczas forsowania Nysy Łużyckiej w Toporowie. Wieczna Pamięć i Chwała Żołnierzom Ludowego Wojska Polskiego."

Miroslaw Pawłoś, Chełm: „Chwała bohaterom Ludowego Wojska Polskiego, o których teraz się nie pamięta podczas uroczystości państwowych oraz zapomina się o tak ważnych bitwach stoczonych od Lenino do Berlina."

Gość ze Szczecina: „Chylę moją siwą głowę przed tymi poległymi polskimi żołnierzami. Bohaterom wszystkich bitew czy to na Westerplatte, pod Narwikiem, Tobrukiem, nad Anglią, pod Lenino, Monte Cassino, Arnhem, forsowaniem Wisły pod Dęblinem, bitwy o Kołobrzeg i Wał Pomorski, forsowaniem Odry pod Kostrzynem

i Siekierkami, forsowaniem Nysy Łużyckiej, bitwy o Budziszyn i Drezno, zdobywaniem Berlina i Bramy Brandenburskiej - wszystkim Bohaterom jest należna równa cześć i chwała za straconą młodość i przelaną krew dla Ojczyzny i Wolności następnych pokoleń Narodu! Dziękuję Władzom i Mieszkańcom Zgorzelca za dbanie o tą nekropolię godną Bohaterów tamtych czasów."

REFLEKSJA OSOBISTA

W kuferku po sztućcach mam kilka przyznanych memu ojcu odznaczeń, którymi Ojczyzna dziękowała swym żołnierzom za udział w walkach. Ojczyzna bywa chimeryczna. Owe blaszki nic nikogo nie obchodzą, bo peerelowskie honory raczej należy schować. Polegli nad Nysą, pod Commerau i wielu miejscach bitew coraz mniej kogokolwiek obchodzą. Nastał czas nowych bohaterów. Nie to, żebym miała za złe czczenie pamięci wszystkich po drugiej stronie życia. Powtórzę słowa Internauty ze Szczecina: „wszystkim Bohaterom jest należna równa cześć i chwała za straconą młodość i przelaną krew dla Ojczyzny i Wolności następnych pokoleń Narodu!"

Odznaczenia „Medal za Warszawę", „Medal za Odrę, Nysę, Bałtyk", „Medal za udział w walkach o Berlin" i inne kombatanckie odznaczenia stały się nic nieznaczącymi blaszkami.

Co nas łączy, a co dzieli?

W przepastnej starej szufladzie odnalazłam zapomniany i nikomu już niepotrzebny formularz spisowy wypełniony w październiku 1946 roku przez zdemobilizowanego, bez prawa powrotu do rodzinnego domu, żołnierza. Na drugiej stronie formularza „posiadacz" wpisał ruchomości przejęte w poniemieckim gospodarstwie: dwie szafy, dwa stoły, cztery krzesła, jedna kanapę, jeden kredens, dwa łóżka, jedna szafka z lustrem.

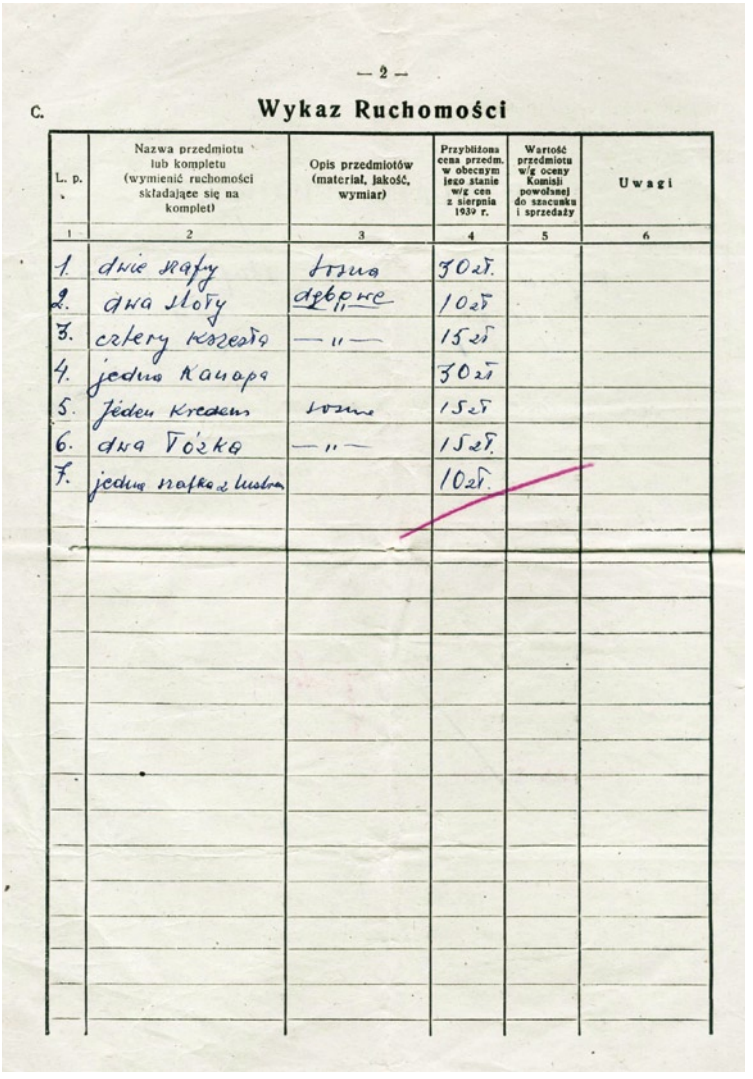

— 2 —

C. **Wykaz Ruchomości**

L. p.	Nazwa przedmiotu lub kompletu (wymienić ruchomości składające się na komplet)	Opis przedmiotów (materiał, jakość, wymiar)	Przybliżona cena przedm. w obecnym jego stanie w/g cen z sierpnia 1939 r.	Wartość przedmiotu w/g oceny Komisji powołanej do szacunku i sprzedaży	Uwagi
1	2	3	4	5	6
1.	dwie szafy	drzwi	30 zł.		
2.	dwa stoły	dębowe	10 zł		
3.	cztery krzesła	— " —	15 zł		
4.	jedna kanapa		30 zł		
5.	jeden kredens	drzwi	15 zł		
6.	dwa łóżka	— " —	15 zł.		
7.	jedna szafka z lustrem		10 zł.		

Formularz „Wykaz ruchomości" wypełniał osadnik wojskowy przejmujący poniemieckie gospodarstwo. Wszystkie „ruchomości" były spisane i wycenione.

Wszystko wycenione na 125 zł. Dokument został urzędowo opieczętowany, podpisany przez członków komisji wyceniającej. To wiano, którym Polska Ludowa obdarzyła swego niedawnego żołnierza, zabrawszy mu, decyzją zawartych ponad polskimi interesami układów z Teheranu i Jałty, możliwość powrotu do domu rodzinnego w Plebańcach koło Brasławia w województwie wileńskim. To tylko na marginesie, ale wzmianka wydaje się konieczna i znacząca. Janusz L. Wiśniewski w „Bikini" przypomina ten fakt i przyczyny jego utajnienia przed światem: w 1944 roku w Stanach zbliżały się wybory, a Roosevelt liczył na glosy licznej w USA Polonii.

„Z punktu widzenia prawa międzynarodowego umowa jałtańska jest nieprawomocna. Było to tymczasowe porozumienie między aliantami na temat tego, co jest potrzebne, by jak najszybciej wygrać wojnę. Roosevelt i Churchill sądzili, że po jej zakończeniu zostanie zorganizowana specjalna konferencja tak jak po I wojnie światowej. Że wszystkie konflikty, kwestie sporne dopiero wtedy zostaną przedyskutowane i rozstrzygnięte. Uwieńczeniem tego powojennego spotkania miał być oficjalny traktat pokojowy, zgodny z międzynarodowym prawem. Oczywiście teraz wiadomo, że taka konferencja nigdy się nie odbyła. A prywatne decyzje trójki przywódców nie zostały po wojnie zmienione. Kraje, które trafiły pod dominację ZSRR, odniosły więc wrażenie, że sytuacja, w której się znalazły, to efekt jakichś „prawomocnych" uzgodnień. Nic podobnego. Jałta nie była żadną „konferencją pokojową" i nie zawierano tam żadnych oficjalnych traktatów. Oczywiście osobną kwestią jest pytanie, dlaczego później nikt na Zachodzie nie próbował nawet dyskutować na ten temat, nie mówiąc już o jakichś zmianach, nawet gdy trwała już zimna wojna i ZSRR nie był sprzymierzeńcem Zachodu. To bardzo ciekawa sprawa" - sądzi znany historyk Norman Davis (Wiedza i Życie, 05/2005).

Takim sposobem niedawny żołnierz z Wileńszczyzny przemierzywszy szlak bojowy II Armii przybył do Objazdy, by na nowo budować swoje życie po stracie brata i przyjaciół, bez domu - bo pozostał za nową wschodnią zamkniętą granicą.

Dokument zatytułowany „Formularz spisowy" wydał się nam interesujący również ze względu na adres: wieś Objazd, gmina Wytrowno, powiat słupski, województwo szczecińskie. W tej samej pożółkłej kopercie na dnie szuflady ponad sześćdziesiąt lat przeleżał „Wniosek o przyznanie prawa własności nieruchomości ziemskiej (rolnej) na Ziemiach Odzyskanych", opieczętowany okrągłą pieczęcią o treści: „Biuro Ewidencji Ludności Wytrowno pow. słupski"

1973

W dniu 3 stycznia 1973 r. w Czytelni Biblioteki odbyła się I - Sesja Gminnej Rady Narodowej.

Pierwsze sesje gminnych rad

Pierwsze sesje gminnych rad narodowych miały charakter uroczysty. W trakcie obrad odczytano akty erekcyjne o utworzeniu gmin. Wybrano też nowych przewodniczących i zastępców gminnych rad narodowych oraz przewodniczących poszczególnych komisji. Przewodniczącymi zostali:

Jerzy Barłóg — Bruskowo Wielkie, **Lubomir Dobrzyński** — Damnica, **Henryk Osiński** — Dębnica Kaszubska, **Stanisław Reczkowski** — Duninowo, **Józef Pawelczyk** — Główczyce, **Jan Grzybowski** — Kobylnica, **Władysław Rzeźnik** — Łupawa, **Zdzisław Gruszczyński** — Objazda, **Zygmunt Albrecht** — Pobłocie, **Zdzisław Bobrowski** — Potęgowo, **Kazimierz Zieńko** — Smołdzino i jedyna kobieta **Zofia Zaremba** — Słupsk:

69 radnych zabierało głos na różne tematy. Mówiono o stanie dróg, zaopatrzeniu, usprawnieniu komunikacji i nowej rejonizacji geesów. Ten ostatni temat był bardzo wnikliwie omawiany podczas sesji w Objeździe. Sołtys z Machowina **Roman Dąbrowski** — sekretarz KR z Objazdy — **Jan Lesiecki**, rolnik z Objazdy — **Józef Gruszczyński**, najstarszy radny (70 lat) z Przewłoki — **Ignacy Dziadek**, rolnik z Gąbina — **Tadeusz Maj** i inni, krytycznie ustosunkowali się do zmian rejonizacji geesów.

Trudno odmówić słuszności argumentowi, że Przewłoka oddalona ledwie 3 km od Ustki, będzie w rejonie działalności GS Smołdzino, a Gać Leśna przejdzie do Ustki.

— Pominięto nas, nikt nie zapytał o zdanie, kto powinien u nas świadczyć usługi handlowe — powiedział naczelnik gminy Objazda — **Stanisław Maciejczyk.**

Zresztą dyskusyjny jest w niektórych przypadkach projekt nowej rejonizacji. Wynika z niego m. in. to, że wsie Charnowo i Redęcin mają należeć do GS Słupsk. Właśnie dzisiaj na posiedzeniu Prezydium PRN, z udziałem przedstawicieli PZGS i naczelników gmin, analizowane będą postulaty radnych.

Trudno pominąć milczeniem opóźnienia w tworzeniu filii geesów i SOP w nowych gminach. Doszło do takich paradoksów, że w siedzibie nowej gminy działają przedstawiciele 2 geesów i 2 SOP. Te wszystkie sprawy należało załatwić wcześniej. Głos Słupski 12.1.73 (mef)

NACZELNIK GMINY
Stanisław Maciejczyk

Kartka z „Kroniki Objazdy" Romana Zuba.

Tuż po wojnie, kiedy tylko na nadmorskie ziemie zaczęli przybywać repatrianci zza Buga, osadnicy wojskowi i ciekawi nowego życia z innych rejonów Polski, Wytowno (niem. Weitenhagen) zostało siedzibą gminy. Było to 25 września 1945 roku w tzw. III okręgu administracyjnym Ziem Odzyskanych obejmującym Pomorze Zachodnie. Gmina Wytowno jako jednostka administracyjna powiatu słupskiego najpierw - do 28 czerwca 1946 roku podlegała wojewodzie gdańskiemu, później wojewodzie szczecińskiemu. Zdemobilizowany w 1946 roku żołnierz II Armii przybył do Objazdy w listopadzie, więc podlegał administracji wojewody w Szczecinie, ale na szczęście podstawowe sprawy załatwił w Wytownie lub w starostwie w Słupsku.

Można by się spodziewać, że siedzibą gminy we wsi Wytowno został okazały budynek poniemieckiego majątku ziemskiego.

W czasie wojny mieścił się w nim niemiecki obóz dla robotników przymusowych, a pod koniec wojny w pałacu, dawnej siedzibie Bandemerów, stacjonowali radzieccy oficerowie. Powojenne dzieje budynków mogłyby być same w sobie ciekawą historią. W pałacu przez wiele lat funkcjonował ośrodek kolonijny. Obecnie wiekowy budynek, będący własnością prywatną, popada w ruinę, bo jego właściciel wyjechał za granicę, pozostawiając dobytek na pastwę losu. Tymczasem dowiadujemy się, że władze gminne urzędowały w budynku z obecnym numerem 49, gdzie mieszka Romek Rogoziński, urodzony w Objeździe jako jej pierwszy powojenny obywatel. W pałacu natomiast zamieszkał kierownik organizującego się Państwowego Gospodarstwa Rolnego, tworząc jego administracyjne podstawy. Inaczej rzecz się miała z siedzibą parafii i szkoły. Budynki w końcu zamieniono, bo dzieci przybywało, uczyły się w kilku salach w różnych miejscach wsi, a obszerny budynek parafii na cele szkolne nadawał się jak najbardziej. Rozumiał to ówczesny proboszcz ks. Edmund Radtke. Nie wszystkim zamiana się podobała, ale czas pokazał, że decyzja była słuszna.

Usytuowanie władz gminnych i siedziba parafii znalazły się w Wytownie, gdzie zachował się kościół ryglowy z II połowy XVII wieku z dwiema neogotyckimi murowanymi przybudówkami. Początkowo jednak, w roku 1945, tuż po zakończeniu działań wojennych, ks. Zieja, który przybył na ziemię słupską w maju 1945 roku, przemierzał na rowerze cały powiat, docierając także do Rowów. „W Rowach nad samym morzem, był kościół, do którego jeździłem. Proszę Pana, to była wieś uważana przez dawny rząd niemiecki za idealnie słowiańską, wszystkie domy zbudowane w historycznym stylu zachowały się dobrze. (...)", opowiada w wywiadzie dla Jacka Moskwy. Proboszczował w Wytownie krótko, od kwietnia 1946 do 1948 roku, ale zyskał sympatię i wdzięczną pamięć parafian. Losy księdza Ziei, zahartowanego trudnym proboszczowaniem w Łohiszynie pod Pińskiem, splotły się na chwilę z życiem przygnanych stamtąd wiatrem historii na ziemię słupską młodych parafian. Chrzcił ich dzieci na nowej ziemi z parafią w Wytownie. Przemierzyli drogi wojennej i powojennej tułaczki, w bagażu zabrali obrazy utraconych domów, łąk i lasów i wspomnienia z krótkiej beztroskiej młodości, by rozpoznać się przy chrzcielnicy po śpiewnej intonacji modlitw. Wrastanie w nowe życie rozpoczynali chrztem, jak niegdyś. Ksiądz Zieja w Wytownie już 17 sierpnia zorganizował pierwsze zebranie koła Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici", na którym został wybrany prezesem. Aktywność proboszcza zaowocowała również uruchomieniem 15 listopada 1946 roku Uniwersytetu

Niedzielnego w szkole w Objeździe. Wszystko działo się wówczas szybko. Zbytni niekontrolowany entuzjazm gasiły władze, by utrzymać „właściwą linię". W lipcu 1948 roku zlikwidowano „Wici", padł Uniwersytet Ludowy w Orzechowie, który został już zupełnie zorganizowany. Ks. Zieja wyjechał do Warszawy.

Objazdę z Wytownem łączy droga powiatowa DP1115G/39./129, prowadząca z Bydlina do Rowów. Z Wytowna do Objazdy przez Machowinko to jakieś siedem kilometrów, które kiedyś nawet dla piechurów nie stanowiły problemu. Częściej jednak podróżowano konno bądź rowerem. Komunikacja samochodowa była, ale korzystano z niej rzadko, autobus kursował raz albo dwa razy dziennie. Dawniej szutrowa szosa choć kręta, może była wystarczająco szeroka. Dziś wylana asfaltem, z nieutwardzonymi poboczami,

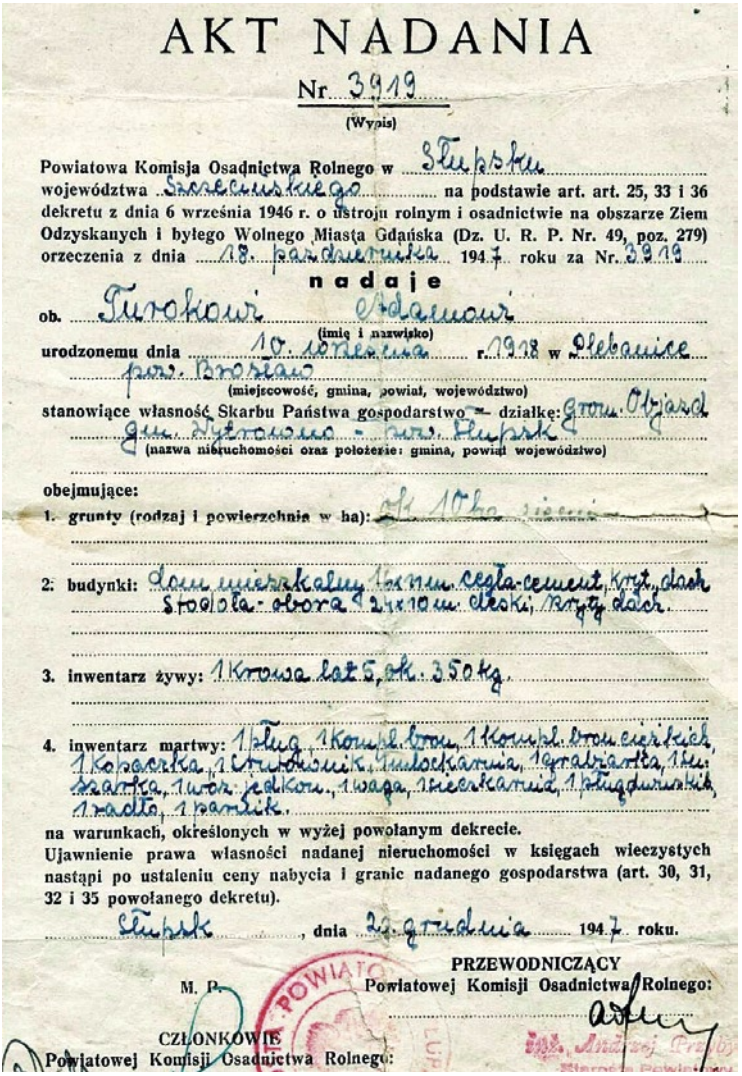

AKT NADANIA

Nr 3919

(Wypis)

Powiatowa Komisja Osadnictwa Rolnego w Słupsku
województwa Szczecińskiego na podstawie art. art. 25, 33 i 36 dekretu z dnia 6 września 1946 r. o ustroju rolnym i osadnictwie na obszarze Ziem Odzyskanych i byłego Wolnego Miasta Gdańska (Dz. U. R. P. Nr. 49, poz. 279) orzeczenia z dnia 18. października 1947 roku za Nr. 3919

nadaje

ob. Turokowi Adamowi
(imię i nazwisko)
urodzonemu dnia 10. listopada r. 1918 w Olszanicy
pow. Brodnica
(miejscowość, gmina, powiat, województwo)
stanowiące własność Skarbu Państwa gospodarstwo — działkę: gmina Objazd
gm. Dębnowo - pow. Słupsk
(nazwa nieruchomości oraz położenie: gmina, powiat województwo)
obejmujące:
1. grunty (rodzaj i powierzchnia w ha): 10 ha
2. budynki: dom mieszkalny 1 kondygnacyjny cegła-cement, kryty dachówką
stodoła - obora 2 x 10 m. drewniana, kryta dach.
3. inwentarz żywy: 1 krowa lat 5, ok. 350 kg.
4. inwentarz martwy: 1 pług, 1 kompl. bron, 1 kompl. bron ciężkich, 1 kosiarka, 1 grabiarka, 1 siewnik, 1 opryskiwarka, 1 siewnik, 1 wóz. jednokonny, 1 waga, 1 niecka na pomyje, 1 młynek do kawy, 1 radło, 1 pomiar.

na warunkach, określonych w wyżej powołanym dekrecie.
Ujawnienie prawa własności nadanej nieruchomości w księgach wieczystych nastąpi po ustaleniu ceny nabycia i granic nadanego gospodarstwa (art. 30, 31, 32 i 35 powołanego dekretu).

Słupsk, dnia 22. grudnia 1947 roku.

PRZEWODNICZĄCY
Powiatowej Komisji Osadnictwa Rolnego:

M. P.

CZŁONKOWIE
Powiatowej Komisji Osadnictwa Rolnego:

Państwowa Komisja Osadnictwa Rolnego w Słupsku nadawała osadnikom „Akt Nadania" opatrzony kolejnym numerem. Taki dokument znajduje się w wielu domach na wsiach.

bez podziału na pasy przy natężonym wakacyjnym ruchu staje się niebezpieczna. Nadał pozostaje kręta, jak administracyjne dzieje związku Objazdy z Wytownem. Przybyli tu po wojnie nowi mieszkańcy nieodległych od siebie miejscowości nie zdążyli się dobrze poznać, a już okazywało się, że to może i dobrze, bo wspólnych interesów z uwagi na coraz to nowe koncepcje podziałów administracyjnych będzie niewiele. Życie społeczne rządzi się jednak swoimi prawami i na nic administracyjne sztuczki.

Nie wiemy, czy konieczna była wyprawa osadnika wojskowego do Szczecina, może po prostu odłożył ją w czasie. Być może, by załatwić 16 listopada 1946 roku formalności z przydziałem konia z UNRRA *(UNRRA United Nations Relief and Rehabilitation Administration- Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy - organizacja międzynarodowa powstała w Stamach Zjednoczonych Ameryki Płnocnej w 1943 r. dla niesienia natychmiastowej pomocy krajom alianckim zniszczonym w wyniku II wojny światowej; rozwiązana w 1947 r.),* po opłaceniu na kwitariusz „Kasa przyjmie" sumy 4500 zł, musiał wybrać się w podróż. Pewne jest, że kiedy 14 sierpnia 1953 roku musiał mieć poświadczenie obywatelstwa, choć nigdy innego niż polskie nie miał, a to okupił w czas wojny, otrzymał je w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Słupsku. Poświadczenie obejmowało także żonę i dwie córki urodzone już w Objeździe.

To i dobrze, bo od 6 lipca 1950 roku mieszkańcy gminy Wytowno województwo mieli w Koszalinie (gminy Wytowno do 29 września 1954 roku, kiedy w miejsce gmin wprowadzono gromady) Do Koszalina było znacznie bliżej. Osadnik wojskowy, którego powojenne wrastanie w ziemię słupską próbujemy przedstawić, by uzyskać pozwolenie na sprowadzenie głuchoniemej siostry, która pozostała w dawnym domu w Plebańcach, sama po śmierci matki, musiał jechać do Warszawy, do konsulatu. W Koszalinie tej sprawy załatwić nie mógł. Odmówiono mu rok wcześniej zgody na wyjazd na pogrzeb matki, ale teraz w 1957 roku było już inaczej. Odebrał siostrę z granicy w Brześciu, bo znów nie uzyskał pozwolenia, by wjechać na teren ZSRR.

Związki Wytowna z Objazdą, od 1954 roku wsią gromadzką, odnotowuje kronikarz ówczesnego życia kulturalnego Roman Zub. Pod datą 1959 roku pisze: „Po rozpopularyzowaniu zespołu artystycznego z Objazdy, (...) koło ZMW w Wytownie grom. Objazda uchwaliło zorganizowanie podobnego zespołu, którego kierownikiem został ob. Dziurski Kazimierz - nauczyciel szk. z Wytowna." Oba zespoły w tym samym roku 1959 w eliminacjach powiatowych

zajęły miejsca kwalifikujące do występów w województwie. Podróż do Koszalina była konieczna. Niestety, kronikarz nie odnotował sposobu podróżowania. Przypuszczamy, że była to podróż koleją. Zespoły działały aktywnie, prezentując swoje dokonania w okolicznych miejscowościach. Cytowany wcześniej kronikarz zapisał: „W dniu 15.II.59 r. zespół artystyczny z Objazdy wystawia swój program w sali w Wytownie."

Słupsk był dla okolicznych miejscowości ważnym ośrodkiem. Miasto podobne wielkością do Koszalina pozostawało powiatem, choć rozwijało się i tętniło życiem młodzieży z liceów i techników i pierwszej szkoły pomaturalnej, SN-u. Przy kolejnej reformie administracyjnej w roku 1975 Słupsk został miastem wojewódzkim. Do roku 1998 i w Objeździe, i w Wytownie cieszyliśmy się województwem słupskim, choć zmiana ta nie miała wyraźnego wpływu na codzienne życie mieszkańców. Być może w rozmowach z koszalinianami wyzbyliśmy się kompleksów Polski powiatowej.

Zmieniano nie tylko granice województw. Podziały obejmowały również wprowadzone w 1954 roku gromady. W tym czasie Objazda została wsią gromadzką, a od 1 stycznia 1973 roku do 1976 wsią gminną. Wytowno, choć utraciło status wsi gminnej, pozostało jednak siedzibą parafii obejmującej wsie z kościołami w Machowinie, Objeździe, Rowach - do 1989 roku. Jak jest teraz, każdy wie: gmina Ustka, powiat słupski, województwo pomorskie z dawną tęsknotą na środkowopomorskie oraz dwie diecezje: koszalińsko - kołobrzeska dla Wytowna i Machowina i pelplińska dla Objazdy i Rowów.

Powojenna administracja - sama niestabilna - czuła się w obowiązku stabilizować życie przybyłej na te ziemie ludności. Komu służyły częste zmiany administracyjne, czy sprzyjały powstawaniu więzi społecznych i obywatelskich ludzi na nowo organizujących swoje życie? Czy zmieniające się podziały i kompetencje przyniosły oczekiwane efekty administracyjne? Wszystko działo się ponad głowami zwykłych ludzi, ich życie biegło swoim torem, tylko wyjazdy do urzędów miały coraz to inny kierunek. Nie dziwmy się zatem, że i teraz frekwencja w wyborach oraz udział mieszkańców w inicjatywach rządowych, a często i samorządowych pozostawia niedosyt.

Przez wiele powojennych lat probierzem stabilizacji i integracji społecznej był Kościół. Ksiądz Zieja w cytowanym już wywiadzie wspomina: „Ja sam uczyłem w szkole nie tylko religii, ale i łaciny. Centralna Szkoła Milicyjna, która w tamtych latach została założona w Słupsku, maszerowała regularnie co niedziela do kościoła na nabożeństwa. Powstało Towarzystwo Naukowe Słupskie. Wszystko

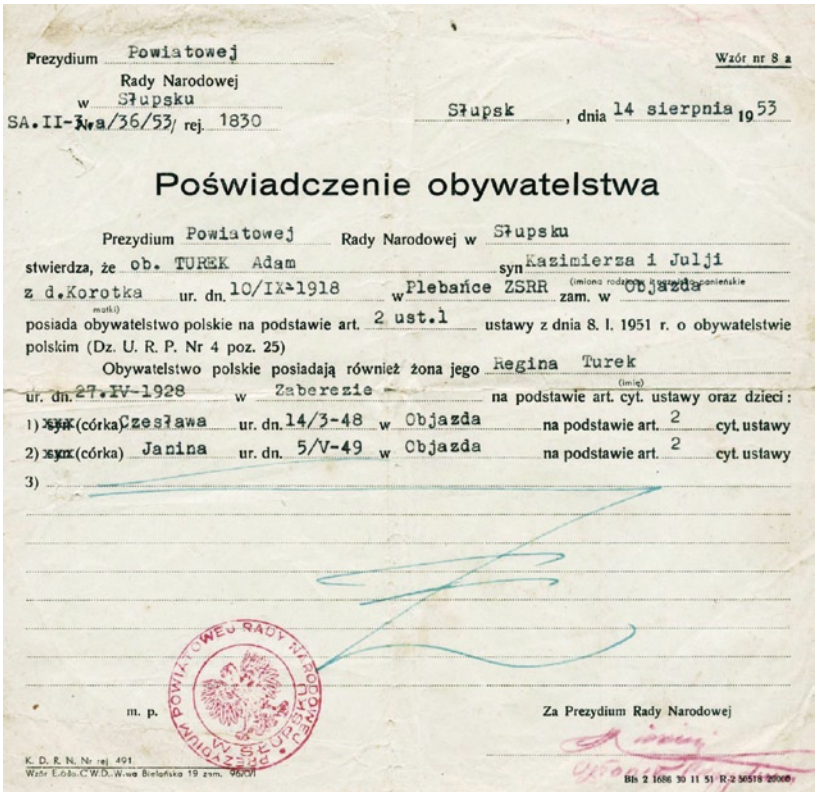

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Słupsku

Wzór nr 8 a

SA.II-3-a/36/53/ rej. 1830

Słupsk, dnia 14 sierpnia 1953

Poświadczenie obywatelstwa

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Słupsku

stwierdza, że ob. TUREK Adam syn Kazimierza i Julji (imiona rodziców i nazwisko panieńskie)

z d. Korotka (matki) ur. dn. 10/IX-1918 w Plebańce ZSRR zam. w Objazda

posiada obywatelstwo polskie na podstawie art. 2 ust. 1 ustawy z dnia 8. I. 1951 r. o obywatelstwie polskim (Dz. U. R. P. Nr 4 poz. 25)

Obywatelstwo polskie posiadają również żona jego Regina Turek (imię)

ur. dn. 27.IV-1928 w Zaberezie – na podstawie art. cyt. ustawy oraz dzieci:

1) ~~syn~~ (córka) Czesława ur. dn. 14/3-48 w Objazda na podstawie art. 2 cyt. ustawy

2) ~~syn~~ (córka) Janina ur. dn. 5/V-49 w Objazda na podstawie art. 2 cyt. ustawy

3)

m. p.

Za Prezydium Rady Narodowej

K. D. R. N. Nr rej. 491

Wzór E.-ób.-C.W.D.-W.-wa Bielańska 19 zam. 96/01

Bls 2 1686 30 11 51 R-2 50518 20000

Osadnik wojskowy, niedawny żołnierz Wojska Polskiego urodzony na Kresach musiał mieć „Poświadczenie obywatelstwa" dla siebie i rodziny.

jakoś skupiało się wokół życia kościelnego (...)". Niewielkie i niebogate budynki kościelne w Machowinie, Wytownie, Objeździe i Rowach świadczyły o skromnym życiu na pomorskiej ziemi dawniej i obecnie. Organizację życia religijnego rozpoczął ks. Jan Zieja, ale w pamięci parafian zapisali się również ksiądz Suliński i ksiądz Edmund Radke.

Ksiądz Henryk Suliński proboszczował w latach 1952-1957. Był rolnikiem, oczywiście z umiłowania. Rozumiał istotę pracy na roli, miał z rolnikami wspólny język, dlatego był przez nich ceniony i szanowany. Uprawił sam kawałek ziemi, ale nie zaniedbywał obowiązków duszpasterskich. Po kolędzie jeździł konną podwodą wystawianą przez kolejne wsie, a na nauki przedkomunijne dzieci chodziły do kościoła w Wytownie. W kościele tym odbywały się ważniejsze parafialne uroczystości: Pierwsza Komunia Św., uroczystości Bożego Ciała, na które furmankami, pieszo, rowerami zjeżdżali się wierni ze wszystkich wsi. Procesja szła przez wieś i pola wokół, była ważnym wydarzeniem nie tylko religijnym, ale i towarzyskim. Była to okazja do spotkań, rozmów, obejrzenia dokonań sąsiadów.

Lekcje religii odbywały się w różnym okresie to w szkole, to w kościele, a ksiądz miał na wszystko czas. Z pewnością lekcje religii odbywały się w szkole w Objeździe w roku szkolnym 1956/1957, co zostało odnotowane odpowiednią oceną na świadectwie szkolnym autorki.

Wśród mężczyzn w środku, w płaszczu na sutannie, z teczką stoi ks. Henryk Suliński. Od lewej drugi - Adam Turek, następnie Witold Kraśnik z dzieckiem na ręku i jego brat, piąty - Mieczysław Zamościk, Antoni Szubert z synem Kaziem, Wilhelm Wieliczko, ks. Henryk Suliński, Sawicki ze Szczecina, Józef Zamościk z synem Heniem, nieznany, Albin Wojciechowicz z synkiem Franciszkiem, Stanisław Zamościk.

Na probostwie w Wytownie w latach 1959-1972 był ksiądz Edmund Radke. To właśnie on zrozumiał konieczność oddania obszernej plebanii na cele szkolne. Sam zamieszkał w niewielkim budynku z czerwonej cegły w pobliżu kościoła. Rozumiał znaczenie wykształcenia dzieci wiejskich, toteż gdy tylko mógł i widział sens, protegował swoich młodych parafian wśród przyjaciół z czasu nauki w liceum i studiowania na KUL-u. Jeździł motocyklem, co było nie tylko wygodne, ale świadczyło o wyczuciu ducha czasów. Przyjeżdżał czasami na niedzielną mszę przemoczony do nitki, ale nie narzekał. W końcu parafianie podjęli zbiórkę datków i ksiądz jeździł już „syrenką". Z parafii w Wytownie ks. Radke wyjechał do Zakrzewa, tam otrzymał godność prałata. Kiedy 31 października 1990 roku przyszła wiadomość o jego przedwczesnej śmierci, dawni parafianie z Wytowna, Objazdy, Machowina i Rowów pojechali tłumnie, by towarzyszyć mu w ostatniej drodze na cmentarzu w Zakrzewie 3 listopada 1990 roku.

Dlaczego podzielono dawną parafię, pozostawiając Machowino i Wytowno w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, a Objazdę i Rowy włączając do diecezji pelplińskiej, tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że ustały religijne więzi, nie ma spotkań z okazji ważnych świąt kościelnych.

Odchodzą na zawsze pionierzy osadnictwa, zaciera się pamięć dawnych drobnych codziennych zdarzeń tworzących misterną tkankę życia. Pozostają pożółkłe dokumenty, czasem śmieszne jak „Świadectwo moralności", czasem niepotrzebne, jak wspomniany „Formularz spisowy" czy kwit z zapłatą za konia z „Unry", wyrzucane ze starymi sprzętami. Zapisana w nich historia jest dowodem wspólnego doświadczenia ludzi, którzy budowali małą ojczyznę dla swych dzieci. Warto się im raz jeszcze przyjrzeć i zebrać, by nie przepadły w niepamięci. Cóż wtedy byśmy o sobie wiedzieli?

Dom

gdzie plamka na mapie
zapisanej grażdanką
kiedyś był nasz dom

czas wymiótł kąty
a krzyże zmurszały

raj dzieciństwa
przecięliśmy wysokim płotem
nieodpuszczonych win

podparliśmy dla świętego spokoju
jako i my odpuszczamy

nasz dom dzisiejszy
kilka znaków niepewnych
z kartonu i styropianu

klejonych nadzieją
bandażowanych pragnieniem

i sterta książek
przeciw nietrwałości zasad
znaków pojęć i map

Urok starych dokumentów: „Dowód tożsamości konia”

Baba z wozu, koniu lżej; konia kują, żaba nogę podnosi; koń by się uśmiał; łaska pańska na pstrym koniu jeździ; kombinuje jak koń pod górę, i wiele innych przysłów i powiedzeń z koniem w roli głównej powstało przez stulecia. To świadectwo, że koń był pierwszym wśród zwierząt w wiejskim gospodarstwie. Pamiętam z dzieciństwa troskę ojca o konie. Dla nich, nie dla siebie, schodził z pola podczas upału; one, zanim sam siadł do stołu, dostawały wodę i obrok. Zanim zrobiłyśmy codzienny porządek w domu, najpierw konie... Zawsze były dwa. Pamiętam ich imiona: Igan, Kizia, Szymel, Siwek. Ten ostatni był piękny. Siwek z UNRY.

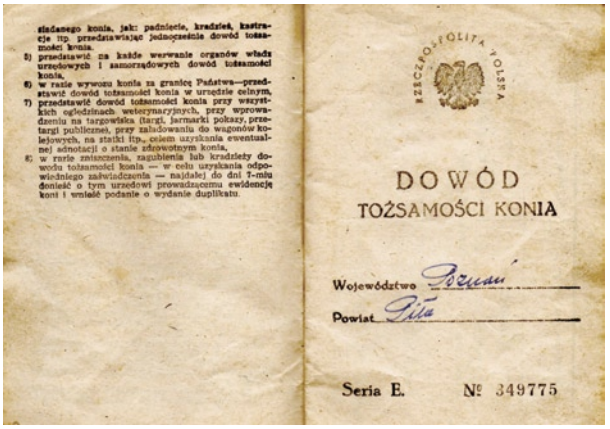
zindanego konia, jak: padnięcie, kradzież, kastracje itp. przedstawiając jednocześnie dowód tożsamości konia.
5) przedstawić na każde wezwanie organów władz urzędowych i samorządowych dowód tożsamości konia,
6) w razie wywozu konia za granicę Państwa—przedstawić dowód tożsamości konia w urzędzie celnym,
7) przedstawić dowód tożsamości konia przy wszystkich ogledzinach weterynaryjnych, przy wprowadzeniu na targowiska (targi, jarmarki pokazy, przetargi publiczne), przy załadowaniu do wagonów kolejowych, na stacji itp., celem uzyskania ewentualnej adnotacji o stanie zdrowotnym konia,
8) w razie zniszczenia, zagubienia lub kradzieży dowodu tożsamości konia — w celu uzyskania odpowiedniego zaświadczenia — najdalej do dni 7-miu donieść o tym urzędowi prowadzącemu ewidencję koni i wnieść podanie o wydanie duplikatu.

RZECZPOSPOLITA POLSKA

DOWÓD
TOŻSAMOŚCI KONIA

Województwo Poznań
Powiat Pita

Seria E. № 349775

Na mocy rozporządzenia Ministra Spraw Wojskowych i Ministra Spraw Wewnętrznych z 23 marca 1928 roku właściciel musiał mieć „Dowód tożsamości konia”.

Kiedy Siwek trafił do nas, był dziki, trzeba było go okiełznać. To było tak dawno, ale pamiętam go na długiej lonży, jak staje dęba, szarpie, do zmęczenia. Wtedy tato podchodził z chlebem albo marchewką, a on jadł z ręki. Poznawał zapach. Był z nami przez długie lata, pracował razem z gospodarzem, był jego chlubą i dowodem zamożności. Ubożsi rolnicy mieli zwykle jednego konia, a do cięższych prac stosowano zasadę sprzężaju, która przeszła do lamusa razem z określającym je pojęciem - z chwilą pojawienia się na polach traktorów. Sąsiedzi sprzęgający konie traktowali się jak rodzina, tak było i w Objeździe. Pani Kazimiera Szubertowa wspomina ten czas, kiedy w kumy i na chrzciny proszono sąsiadów od sprzężaju.

W czasie studiów, w połowie lat sześćdziesiątych, zapraszałam na wakacje koleżanki. Często zaprzęgałyśmy konia i jechałyśmy tzw. ślepą, czyli platformą na płozach po koniczynę lub kartofle do parowania dla świń. Jednego roku urządzałyśmy sylwestra. W planie

była wyprawa konno nad morze, do Poddąbia. Większość gości usadowiła się w saniach, ale jedna z koleżanek postanowiła jechać wierzchem. Na uprzęży! Zapamiętała przejażdżkę na długo: poszarpane spodnie, pokaleczone uda! Zapewniam, już nigdy nie siadła w ten sposób na konia.

Kupiliśmy konia bez paszportu - trzeba było go zwrócić.

Końmi jeździliśmy „do bani", czyli jak powiedzielibyśmy dziś do sauny u kuzynów w Objeździe, gdzie czekały gorące kamienie, zimna woda i brzozowe witki. My, dzieci, wchodziłyśmy na króciutko, potem ciotka Janka Wieliczkowa zabierała nas na zbożową kawę i drożdżowe bułki do kuchni. Konie czekały przy „kobyłkach" z sianem.

Konno jeździliśmy nad morze i do Wytowna, do parafii na procesje Bożego Ciała. Ojciec zaprzęgał kastę, czyli coś w rodzaju przyczepy i we wsi dosiadali inni. Najgorzej było z powrotem, bo trzeba było zjechać z machowińskiej górki. Całe szczęście, przy kole był hamulec na lince, który ojciec trzymał razem z lejcami. Konno, bryczką, do ślubu jechała moja siostra. Bardzo jej zazdrościłam. Dlatego, kiedy zbudowaliśmy dom, zapragnęłam mieć konia. Właściwie konika polskiego, klaczkę izabelowatej maści, beżową z jasną grzywą i ogonem. Okazało się jednak, że musiałabym ją oswoić, jak niegdyś ojciec Siwka. A szopa, w której chcieliśmy ją trzymać i wybieg, zrobiły się naraz takie małe. Nie, Mała wróciła do domu u Bożeny Smorawskiej w Gardnie Wielkiej. Była bardzo zadowolona, radosnym rżeniem z daleka witała pasące się na pastwisku stado. Miała tylko dziewięć miesięcy i nigdy nie była odłączona od matki - klaczy. Nie miała nawet własnego paszportu.

Stare siedliska kryją pamiątki o jakich nie śniło się ich właścicielom. Są wróżbą szczęścia i znakiem przeszłości. Jej symbolem jest podkowa. Trzeba jedynie pamiętać, by otwartą stroną skierować do góry. Przy pracach wokół starej stodoły przy dawnym budynku szkolnym znajdowaliśmy podkowy, znak, że w stajni nauczyciela też były konie. Każda podkowa jest inna. Różnią się wielkością, kształtem, grubością. Widać, że robione były pod indywidualne zamówienie, a kowal brał miarę jak szewc. Mało kto wie, że jako pierwsi podkową zabezpieczali końskie kopyta Celtowie i Galowie przed dziesięcioma wiekami.

Przez wieki kowal i kuźnia były w każdej wsi. Kowal nie narzekał na brak roboty ani biedę, często zatrudniał pomocników. „Świadczą o tym literackie przykłady - od motywu kowala w baśniach i podaniach, nowelach, jak choćby „Antku" Bolesława Prusa czy „Pieśni o ziemi naszej", gdzie Wincenty Pol pisze:

„Kędy wioska, tam i woda,
Kowal pijak i gospoda"

Dobry gospodarz pamiętał, że konia trzeba przekuć co najmniej raz na dwa miesiące, by nadać kopytu odpowiedni kształt. Od tego zależało zdrowie konia, a jego nóg na pewno. Większość prac polowych, takich jak orka, bronowanie, wykopki, żniwa i sianokosy czy zrywka drewna wykonywano konno. W niemal każdym gospodarstwie był koń, najczęściej para, o które gospodarz dbał bardziej niż o siebie. Stały w stajni, dobrze karmione, by miały siłę i ochotę pracować. Dlatego parobek Kuba z „Chłopów" wcale nie miał gospodarzowi za złe, że wyznaczył mu miejsce przy koniach.

Konie były dumą i pierwszą troską dobrego gospodarza. Większość maszyn przystosowana była do pracy w zaprzęgu konnym. Drobny sprzęt rolniczy wymagał napraw, konie trzeba było podkuć, a zimą podkowy zaopatrzyć w hacele, by konie się nie ślizgały.

Stare podkowy kryją wspomnienia. Rarytasem są dawne dokumenty, takie jak: „Dowód tożsamości konia".

Wszystko rozpoczęło się od Rozporządzenia Ministra Spraw Wojskowych i Ministra Spraw Wewnętrznych z 23 marca 1928 roku w sprawie ewidencji koni. W pkt. 19 i 20 określono obowiązki właścicieli koni. Nakazywało ono właścicielowi wyrobić dowód tożsamości konia.

W tym celu wszystkie jednoroczniaki z gminy określonego dnia zbierano w jednym miejscu, gdzie poddane były oględzinom weterynaryjnym, po czym otrzymywały dowód tożsamości oraz orzeczenie o zdatności do służby wojskowej. Obowiązek ewidencji koni przetrwał do dziś w - z oczywistych względów - zmienionej formie i ma postać paszportu.

Dziadek, Adolf Matulis, Poleszuk z Wielkopolski, poddał się obowiązkowi i zgodnie z rozporządzeniem przechowywał dokument, który okazał się trwalszy niż żywot konia i lata życia dziadka. Od dawna we wsi nie ma koni, widzę kilka na pastwisku w Bałamątku u pana Ryszarda Blocha, raczej do rekreacji, i u Tomka Garsta na Zydlągu. Nikt z koniem nie wychodzi w pole do pracy, a młodzież nie wie, co znaczyło słowo „sprzężaj".

Plebańce pod Brasławiem. Historia sentymentalna

Opisy dawnej wsi Plebańce dokumentują stare fotografie, pokoleniowa pamięć jej mieszkańców a nawet onomastyczna forma służebna nazwy miejscowej, potwierdzona kościelnymi dokumentami dekanatu brasławskiego, w skład którego wieś wchodziła.

Współczesne techniki udostępniania zbiorów przychodzą z pomocą wścibskim poszukiwaczom rodzinnych historii. Niemal powszechnie budujemy drzewa genealogiczne, szukamy korzeni, poznajemy rodzinną i krajową historię. Chwała zatem Internetowi i zdigitalizowanym zbiorom bibliotecznym. Upowszechnia się dostęp do kultury, a prowincja przestaje być pustym miejscem.

Dotarłam do akt „Wizytacji dekanatu brasławskiego 1782-1783 przeprowadzonej na polecenie biskupa wileńskiego Ignacego Jakuba Massalskiego" w opracowaniu Romualdasa Firkovičiusa z Litewskiej Katolickiej Akademii Nauk (Wilno 2008). Oryginał akt wizytacji kanonicznych parafii dekanatu Brasław w formie manuskryptu znajduje się w Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym Litwy pod sygnaturą f.694 opis 1, nr 2305 - w zbiorze dokumentów biskupów wileńskich z lat 1468-1940. Akta te zapisane zostały pięknym kaligraficznym pismem w języku polskim przez jednego skrybę. Każdy protokół wizytacyjny kończy się podpisem: „Ks. Andrzej Lenartowicz, dziekan brasławski, pleban taurogiński i tauropilski, wizytator generalny."

Plebańce oraz wsie Karolina i Raczuny, a także zaścianki Rubieża, Przewozki i Czekalowszczyzna należały do plebanii brasławskiej wraz z folwarkami Muraż i Wisiaty, ponadto jeziorami Nawiato, Cno, Pieremierce, Wojedko, Conko, Zagnojko i Snuda. We władaniu plebanii była też rybna rzeczka Drujka i Wojetycza. O uprawie roli tak napisano: „Na ziemiach wysiewa się do 15 beczek wileńskich, to jest 90 pudów jarzynnego zboża alterum tantum. Żyto się najlepiej udaje, jarzyna mizerna bywa." Wymieniam nazwy dla ich śpiewnego brzmienia i skrywanego uroku przeszłości.

Wizytacja z roku 1782-1783 odbyła się według nowego porządku, to jest na podstawie formularza z zestawem 27 pytań - nazwanego modeluszem. Wizytację generalną większości dekanatów

przeprowadzali ich dziekani jako wizytatorzy, a od stopnia uszczegółowienia odpowiedzi zależał całościowy obraz parafii. Gotowość i chęć współpracy plebana z wizytatorem zależała od wielu czynników - stwierdza ks. Tadeusz Kasabuła.

Mnie zauroczył język starych dokumentów, a z ogromnym wzruszeniem odczytałam na starej kartce odręcznie zapisane nazwisko mojego dziadka, którego nigdy nie widziałam. To chyba jedyny ślad istnienia, rodzaj nagrobka, bo fizycznego nie ma. Zarósł gdzieś na wiejskim cmentarzyku w Plebańcach, jak zarastają stare cmentarze w naszych wsiach na Pomorzu, i pewnie nikt go nie odwiedza. Tyle na tych starych kartach znajomych nazwisk, tych z rodzinnych wspomnień, ludzi którzy odeszli w niepamięć.

* * *

Obok kościelnej kreśliła się linia historii świeckiej, barwnej, mimo kresowo - prowincjonalnego położenia miasteczka z liczbą tysiąca mieszkańców w połowie XVII wieku. W 1787 roku po raz ostatni odbył się tu sejmik powiatowy z udziałem 360 deputowanych, z których wybrano marszałka powiatowego. Później sejmiki zbierały się w domu Michała Ogińskiego. W 1792 król Stanisław Poniatowski odnowił prawa miejskie i nadał miastu herb Oko Opatrzności. Po II rozbiorze (1793) Brasław był siedzibą województwa brasławskiego utworzonego na terenach północnej części dawnego województwa wileńskiego.

W powstaniu kościuszkowskim zginęło stu brasławian - powstańców, a wójt brasławski Wincenty Aleksandrowicz trafił do niewoli. Rosjanie spalili miasto. Rok później, po III rozbiorze, województwo brasławskie przestało istnieć, miasteczko popadało w ruinę, licząc w połowie XIX wieku tylko 200 mieszkańców.

W 1920 roku Brasław został zdobyty przez wojsko polskie i w 1922 został stolicą powiatu w województwie wileńskim w granicach Rzeczpospolitej Polskiej. Zmiany na lepsze zachodziły bardzo szybko, pod koniec lat 30. miasto liczyło blisko 5 tysięcy mieszkańców. Starosta brasławski Żelisław Januszkiewicz okazał się sprawnym i rozsądnym gospodarzem. Powstawały spółdzielnie rolniczo - handlowe, kółka rolnicze, koła gospodyń wiejskich, mleczarnie spółdzielcze, kasy Stefczyka. Miasto kwitło, stanowiąc centrum kulturalne i edukacyjne dla mieszkańców i okolicznych wsi.

Do powszechnej siedmioklasowej szkoły w Brasławiu dzieciaki z Plebańców chodziły pieszo - 4 km, latem i zimą. Do głównej drogi miały kilometr, a tam już był szlak przetarty. Zimą bliżej było na

skróty, przez jezioro Cno. Niektóre w zimowy czas pomieszkiwały u rodziny lub znajomych w miasteczku. Przy temperaturze poniżej minus 20 stopni nie puszczano dzieci do szkoły. W czasie zadymki, ojcowie przyjeżdżali do Brasławia po dzieci saniami. Młodsze uczyły się w budyneczku w miejscu zwanym Wzgórzem Tatarskim w Jackowszczyznie. Nie ma już małej szkółki ani wzgórza, które zniknęło jako miejsce wydobycia żwiru. Od Józefa Chodźki dostałam plik zdjęć szkolnych z Brasławia przekazanych mu przez jego ciotkę. To również ciekawy dokument minionego czasu.

* * *

Wracam do kościelnych dokumentów, jakbym odbywała podróż na Kresy, dawne Kresy. Tyle tu szczegółów zwykłego życia, od opisów domostw, upraw, wzajemnych zależności. Dzięki barwie języka, odnalezieniu zapomnianych słów odkrywam dawny świat.

Wieś Plebańce należała do dekanatu brasławskiego, ustanowionego w 1669 roku, (akta biskupa Aleksandra Sapiehy), i parafii brasławskiej z kościołami filialnymi w Opszy, Pohoszczy, Plusach i Belmoncie.

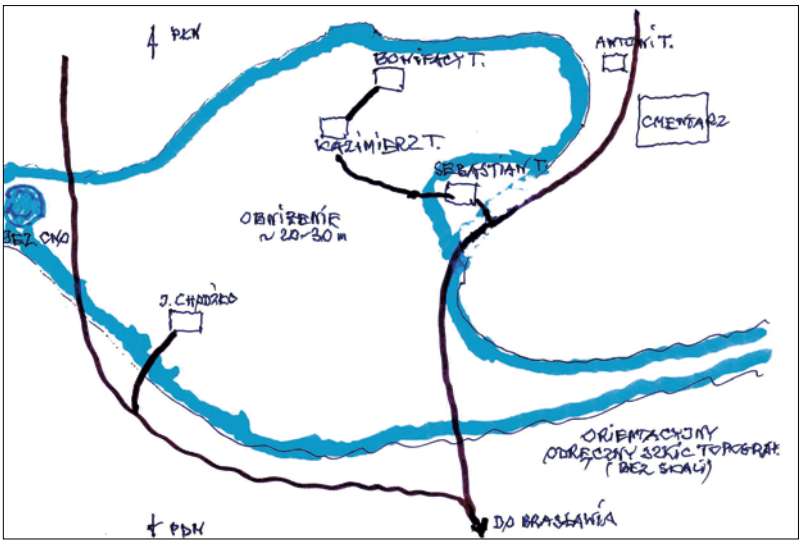

Odręczny szkic wsi Plebańce wykonany przez Leonarda Turka z Sopotu.

W czas wizytacji proboszczem brasławskim był ks. Piotr Samson Toczyłowski, kantor prałat i „oficjał generalny wileński; wikaryjuszów z filijalistami pięciu utrzymuje" - jak zapisano w protokole wizytacji.

Parafia brasławska liczyła 62 poddanych, oraz „dysunitów Moskałów do 700 osób" [SJP: (*dyzunita* «prawosławny, który nie

uznał unii Kościoła prawosławnego z rzymskokatolickim, zawartej w Brześciu w 1596 r.»)], Żydów do 300 osób, ze szkołami w Brasławiu i Ospie.

Docieram wreszcie do „Tabeli do plebanii brasławskiej należących poddanych z wyrażeniem ich majątku i powinności", gdzie odnajduję najbardziej interesujące mnie ciekawostki. Są tu znajome nazwiska: we wsi Plebańce Michał Turok na jednej włóce siedziebnego z czynszem rocznym 24 zł, zobowiązany do opłaty podymnego 6 złp i 2 gr oraz podrożczyzny ryskiej w wysokości 16 złp. W Plebańcach mieszkał również Łazar Turok, z jedną włóką siedziebnego, czynszem 24-zlotowym i podymnym takim jak sąsiad. Obaj byli tzw. „ciągłymi" zobowiązanym do czterech dni pańszczyzny w tygodniu i dwunastu „gwałtów" rocznie.

Długo szukam wyjaśnienia zobowiązania zwanego podrożczyzną ryską. W tej sprawie konsultuję się z Józefem Chodźką, internetowym znajomym o wspólnych korzeniach z Plebańców. Razem szukamy wyjaśnienia, które, okazuje się, jest w tekście dokumentu. Otóż poddani zobowiązani byli do wystawienia podwody do Wilna (podrożczyzna wileńska) lub Rygi. Zamiast fizycznego odbycia podróży, zobowiązanie miało charakter podatku, tak zwanej podrożczyzny ryskiej. Jest w tym świadectwo stałych kontaktów z łotewską Rygą, ze względu na przygraniczne położenie. Kontakty gospodarcze i handlowe przetrwały stulecia, skoro pamiętam opowiadania ojca o jego wyprawach handlowych na Łotwę podczas wojny.

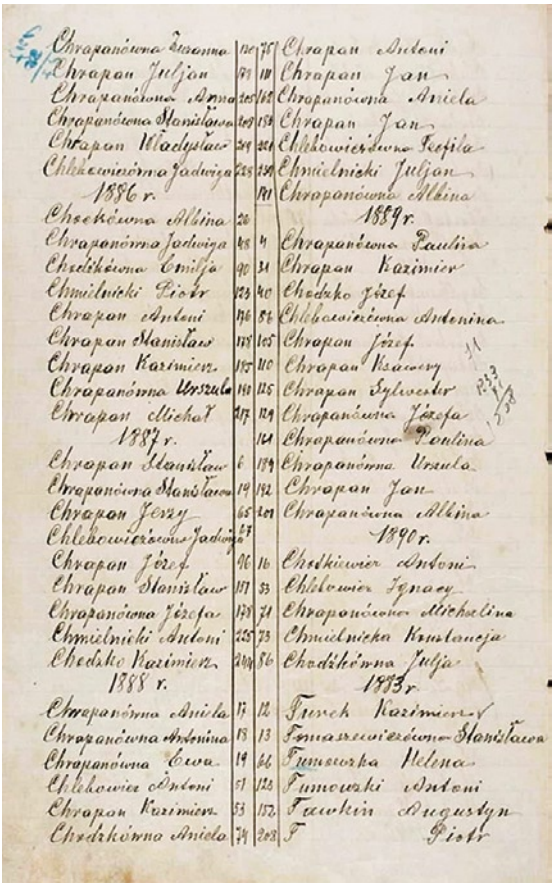

Zdigitalizowana „Alfabetyczna lista wiernych 1883-1933" dokument kościoła NMP Królowej Jezior w Brasławiu.

Który z przedstawionych był pra-pra mego ojca? Że byli jakoś spokrewnieni, zakładam z góry.

Cztery siedliska Turków (lub Turoków) były tu jeszcze w przed 1945 rokiem, kiedy bliźniaczy synowie Kazimierza Turka, mojego dziadka, oraz innych

dziewięciu chłopców poszło na wojnę. Orientacyjny szkic z tego okresu określający położenie czterech gospodarstw: Sebastiana, Kazimierza, Bonifacego i Antoniego przesłał mi pamiętający ówczesny układ Plebańców krewny z Sopotu.

Współczesne Plebańce opisuje nieoceniony Józef Chodźko: „Jest rok 1989. Siedzę nad brzegiem przeuroczej rzeczki Drujki, której powolny nurt łączy dwa jeziora: Drywiaty i Cno. Zapatrzyłem się w kołyszące wodorośla i ławice przepływającego narybku. Siedzący obok syn po raz kolejny celuje wędką aż pod drugi brzeg, gdzie wśród szumiącego sitowia od czasu do czasu słychać plusk wyskakujących z wody krasnopiórek. Za moimi plecami pole kukurydzy - jeszcze niewysokiej, koloru soczystej zieleni, migocące odbitymi promieniami południowego słońca. Wśród tej kukurydzy mały kurhan porośnięty krzewami. Z tej odległości, około dwustu metrów, dostrzegłem małe drzewko wiśni, może dziczki, rosnącej samotnie pośród morza falującej zieleni. Ten wzgórek, to miejsce dla mnie magiczne, do którego powracam bez przerwy w myślach, to samotne opuszczone gniazdo, tętniące kiedyś życiem, śmiechem i modlitwą po polsku. To Plebańce - gniazdo Chodźków."

Chodźkowie w Plebańcach zamieszkali później, natomiast z pewnością jest to miejsce, gdzie powinnam szukać własnych korzeni. W czasie wizytacji dekanatu brasławskiego w latach 1782-1783 dokonano spisu inwentarza i ludności. W owym czasie w Plebańcach Chodźków jeszcze nie było. W pobliskiej wsi Ruczuny mieszkał Jan Chodźko.

Do powinowactwa Turków z Chodźkami musiało dojść w zgodzie z dawną niepisaną zasadą: „przygód szukaj w świecie, a żony w powiecie".

W dociekaniu sedna tej prawdy znów nieoceniony okazał się Józef Chodźko, który przez pięć lat rozszyfrowywał rosyjskojęzyczne, w części pisane odręcznym, niezbyt starannym pismem „Księgi egzaminów przedślubnych kościoła NMP Królowej Jezior w Brasławiu". Tam zapisano: „dnia 30 sierpnia 1858 roku w Brasławiu odbył się ślub Adama Chodźki - syna Jana i Agaty Suwikówny - z panną Heleną Turkówną z Plebańców, ur. w 1823 r." Do powinowactwa Turków z Chodźkami prowadzi następny wpis w księgach przedślubnych: „dnia 24 października 1882 r. w Brasławiu odbył się ślub Izabeli Chodźkówny, ur. w 1857 roku w Plebańcach z Antonim Turkiem ur. w 1849 r. też w tej samej wsi - oboje „stanu pracowitego".

Moje powinowactwo z Józefem Chodźką jest zatem bezsporne, choć określić je można jako „wodę po kisielu".

W dokumentach kościoła NMP Królowej Jezior w Brasławiu odnajduję spisaną po polsku „Alfabetyczną listę wiernych 1883-1933, gdzie w roku 1883 roku widnieje nazwisko Kazimierza Turka, mojego nieznanego dziadka. Odnajduję nazwiska znajome, „plemieńców", jak nazywał ich mój ojciec, którzy po wojnie zamieszkali na słupskiej ziemi: Girsa, Buko, Ziemiec, Woronecki, Wieliczko, Ragiel.

Mój ojciec nie żyje od dwudziestu lat, odeszli jego rówieśnicy, a my, ich dzieci, się nie znamy, choć w domowych opowieściach wracamy do tego samego miejsca, Plebańców pod Brasławiem.

Młynarz Wilhelm Wieliczko.

Chleb powszedni

Obcą ziemię przenicował skibą,
przewiązał się zgrzebną płachtą,
napełnił ją siewnym ziarnem,
potem szedł z wiatrem, rzucając.

Czekał. Grabiami rozgarniał chmury,
końskim ogonem omiatał miedze,
zapachem obory ogrzewał nadzieję.

Kiedy złotem się stała zieleń oziminy,
wszedł w pole, roztarł ciężki kłos.
Na bruzdach dłoni zajaśniało ziarno:

to chleb nasz powszedni - powiedział.
Wnuk przyniósł w plastikowej reklamówce
bułki z wiejskiego sklepu i jadł,
nic nie wiedział o zapachu zboża.

Ballada o pieczeniu chleba

Krzyż i dzieża wyznaczały dwa obszary świętości w chłopskim domu. W bochnie chleba spotykały się przestrzenie sacrum i profanum, czyli mówiąc mniej uczenie to co jest święte i świąteczne z tym co codzienne, powszednie. Miejsce wspólne - bochen chleba znaczony znakiem krzyża przed spożyciem powstawał w dzieży jak w kolebce. Stała w spiżarni przykryta lnianą białą płachtą, wyprowadzana stamtąd raz w tygodniu. Po każdym pieczeniu z jej ścianek trzeba było dokładnie zeskrobać resztki ciasta chlebowego, które stanowiły zakwas do następnego rozczynu. Dzieża zostawała czyściutka, lśniąca barwą drewna z podłużnym rysunkiem słojów. Na Podlasiu i Polesiu w dzieży sosnowej musiały być choć dwie klepki dębowe. W niektórych domach dzieżę przykrywano wiekiem ze słomy. Nasza babcia i mama wolały lniane przykrycie, uznając je za bardziej higieniczne. Dzieża była duża, w bocznych dębowych ściankach miała ucha, za które łatwo było ją uchwycić. Tę w moim domu rodzinnym wykonał miejscowy stolarz i młynarz zarazem, według kresowych przepisów. Rosło w niej ciasto na siedem dużych bochnów chleba, na cały tydzień. Na Polesiu w domu Julii Matulisowej, a później i w moim domu rodzinnym dzieżę myto tylko w Wielki Czwartek. Dzień ten nazywano Czystym Czwartkiem i dobrze było, gdy również dzieci i w ogóle domownicy rozpoczynali go od kąpieli przed świtem, czyściutko. Teraz wiem, że zwyczaj to raczej prawosławny, ale na pograniczu kultur zrozumiały. Często w Wielki Czwartek dziewczęta wróżyły sobie urodę. Przed wschodem słońca zbierały się na brzegach rzek i jezior i tam czekały na świt. Jak tylko słońce wzeszło, rozplatały warkocze

Nieistniejący młyn z Objazdy.

i zanurzały włosy mówiąc: Wodo, oddaję tobie moje warkocze, a ty daj mi swoją urodę!

Nawet pieśń powiada: „nie z każdej maki będzie chleb", więc dbano, by zboże na chleb było urodzajne, a ziarno suche i pachnące. Sprawą gospodarza była troska o mąkę na chleb, on wiedział najlepiej, które ziarno i który młyn wybrać.

Do lat 60. ubiegłego wieku istniał w Objeździe czynny młyn drewniany typu holenderskiego. Ostatnim młynarzem i właścicielem był repatriant spod Brasławia w dawnym województwie wileńskim Wilhelm Wieliczko. Skrzydła (śmigi) potężnego holendra napędzane były siłą wiatru. Ruchoma kopuła umożliwiała ustawienie ich odpowiednio do kierunku wiatru. Drugi wiatrak typu „paltrak" (obracał się cały młyn osadzony na fundamencie) funkcjonował krótko po wojnie przy linii kolejowej w Bałamątku, gdzie młynarstwem i wypiekiem chleba zajmował się Tomasz Zaczek przybyły z Podgórza w powiecie łomżyńskim. Po żniwach i omłotach rolnicy jechali do młyna z żytem i pszenicą, przywozili do domu wory mąki. Ciekawy znajdzie wśród żarnowców na wzniesieniu za wsią kamienie z dawnych fundamentów młynów i piekarni.

Niewielu pamięta dawną niemiecką nazwę Alte Mühle, co oznacza stary młyn i wiążącą się z tym legendą. Działo się to w 1847 roku. Młyn wodny w Bałamątku (Alte Mühle) zamienił się w rumowisko leżących w strudze kamieni z powodu bezduszności skąpego młynarza. Pewnego razu stanęła przed nim uboga wdowa, prosząc o wsparcie. Młynarz brutalnie wypędził kobiecinę, a ona w rozpaczy rzuciła przekleństwo, które spełniło się do joty. Tak fakt interpretuje legenda; w rzeczywistości młyn przestał pracować ze względu na niski poziom wody w rzeczce, a 75 hektarową działkę młynarza rozparcelowano między chłopów.

Młyny wiatraczne powstawały masowo w XIX wieku, kiedy zastępowano nimi młyny wodne. Pod koniec wieku było ich około 6 tys., najwięcej w Wielkopolsce i na Pomorzu. Niemal każda wieś pomorska miała co najmniej jeden wiatrak. Były oznaką postępu i dumą wsi. W Bukowie w obszarze ekologicznego gospodarstwa rolnego pana Kazimierza Tura istnieje młyn wodny, który gospodarz chce przywrócić do dawnej świetności. Życzymy powodzenia.

Do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku każda gospodyni za punkt honoru stawiała umiejętność pieczenia chleba. Któż by chleb kupował!? W piątek pod wieczór mama rozczyniała chleb. Do zakwasu w dzieży wlewała wodę w takiej ilości, by już więcej nie dolewać. Rozprowadzała w niej zaczyn, dosypując nieco mąki.

Kilka razy przemieszała, a rano zaczyniała chleb, dodając odpowiednią ilość mąki, drożdże, gotowane przetarte kartofle i jeśli ciasto było za gęste, nieco zsiadłego mleka lub maślanki. Długo wyrabiała ciasto. Kiedy podrosło, jeszcze raz miesiła. Patrzyliśmy jak zaczarowani, z jakim trudem w ciąga ręce z gęstego ciasta, jak ono staje się lśniące i odchodzi od ręki. Wtedy brzegiem dłoni odciskała znak krzyża, przykrywała ciasto i zostawiała do wyrośnięcia. Po południu wyrośnięte wkładała na blachy, a kiedy ich było mało na liście chrzanu, żeby znów wyrosło.

W wielu domach zasada ta przetrwała do dziś przy wypieku świątecznych ciast, chociaż nawet małe wiejskie sklepiki i piekarnie oferują najrozmaitsze. Domowe ciasto na święta to po prostu konieczność. Zamożniejsze gospodynie miały własne piece chlebowe, inne korzystały z pieców wiejskich, stawianych zwykle w wygodnym miejscu. W Objeździe taki piec stał w centrum wsi, na wysokości dzisiejszej posesji państwa Duszyńskich, Gertrudy i Ryszarda. W gospodarstwie moich rodziców w tak zwanym parniku, pomieszczeniu między częścią mieszkalną i gospodarczą budynku, stał duży ceglany piec chlebowy, w którym raz w tygodniu mama wypiekała siedem bochnów chleba. Piec opalało się drewnem tak długo, aż wewnątrz cegły zbielały. Po włożeniu chleba, piec zamykano drewnianym deklem. W sobotę wieczorem po całym domu rozchodził się zapach, czekaliśmy na chrupiące kromki, ale jeść można było dopiero po ostygnięciu. Rozkrawanie rozpoczynało się od znaku krzyża na bochnie i zjadaliśmy chleb do ostatniej skibki. Wyrzucenie chleba traktowane było jak świętokradztwo.

Przez jakiś czas w gospodarstwie był pastuch, nazywał się Pacek. Rano zabierał na odległe pastwisko kilka pajd chleba i butelkę czarnej kawy. Kiedy wieczorem zganiał bydło, czekaliśmy na niego z niecierpliwością, bo przynosił nam skórki od zajączka. Dzieliliśmy się nimi sprawiedliwie jak każdym rarytasem. Dziś wiem, że starszy człowiek okrawał skórki, których nie mógł zgryźć. Nie wyrzucał ich, a rodzice dobrze wiedzieli, jaka jest prawda o zajęczym chlebie.

Jak to się działo, że nasze matki miały czas chleb upiec, z dziećmi rozmawiać, w polu i w obejściu zdążyć z robotą, prząść, na drutach narobić swetrów, skarpet, rękawic? Pójść do kościoła na majowe, sąsiadce pomóc, gdy była w połogu. Doba była dłuższa, czy jak?

Miała matka trzech synów

Pani Krysia Szybicka przekazała mi dziewięć szkolnych zeszytów z zapiskami jej wujka, Romana Zuba. Pozostawił je w domu, gdy wyjeżdżał do Krasnobrodu. Zapisywał w nich dawne młodzieńcze wspomnienia i bieżące wypadki, przepisy cukiernicze i informacje o ślubach i pogrzebach w Objeździe. Tych zapisków, mających osobisty charakter, nie przekazał do biblioteki. Ale też ich nie zniszczył. Część zawartych w nich informacji zapisał w „Pamiętniku" i „Kronice Objazdy". Inne pozostawił „na lepsze czasy". Orientował się przecież w meandrach politycznych sympatii.

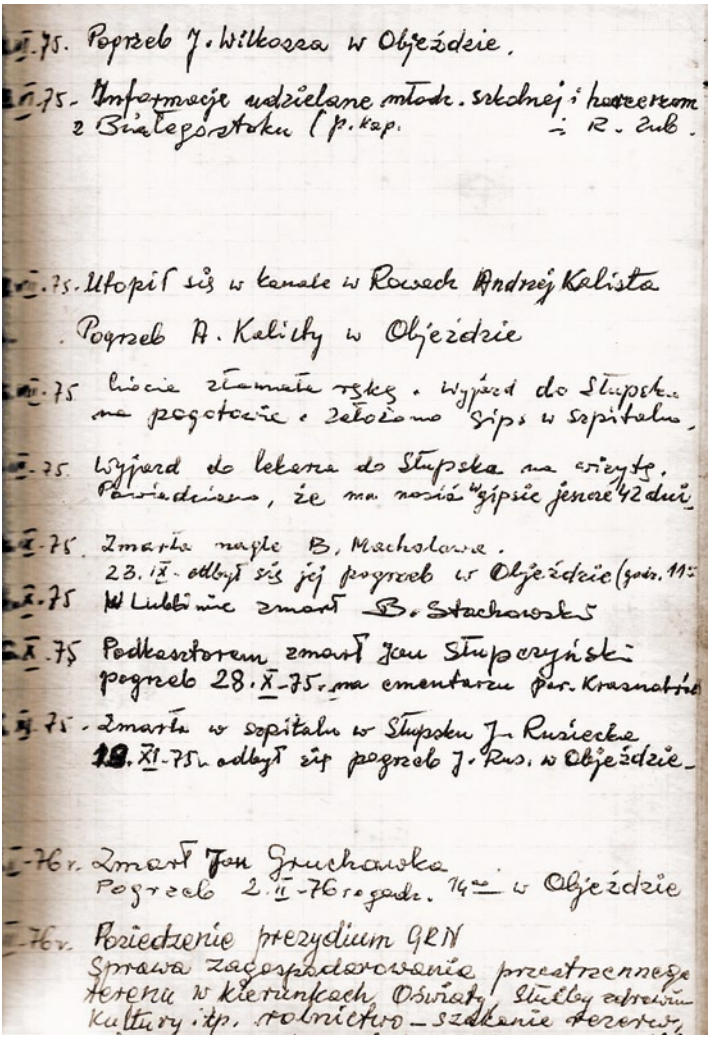
.75. Pogrzeb J. Wilkosza w Objeździe.
.75. Informacje udzielane młodz. szkolnej i harcerzom z Białegostoku (p. kap. i R. Zub.
.75. Utopił się w kanale w Rowach Andrzej Kalista
Pogrzeb A. Kalisty w Objeździe
.75 Ciocia złamała rękę. Wyjazd do Słupska na pogotowie. Założono gips w szpitalu.
.75. Wyjazd do lekarza do Słupska na wizytę. Powiedziano, że ma nosić gipsie jeszcze 42 dni.
.75. Zmarła nagle B. Machalowa.
23.IX. odbył się jej pogrzeb w Objeździe (godz. 11
.75 W Lublinie zmarł B. Stachowski
.75 Podkasztorem zmarł Jan Słupczyński
pogrzeb 28.X-75. na cmentarzu par. Krasnobród
.75. Zmarła w szpitalu w Słupsku J. Rusiecka
19.XI-75. odbył się pogrzeb J. Rus. w Objeździe.
-76 r. Zmarł Jan Gruchawka
Pogrzeb 2.II-76 r. godz. 14 w Objeździe
-76 r. Posiedzenie prezydium GRN
Sprawa zagospodarowania przestrzennego terenu w kierunkach Oświaty, Służby zdrowia, kultury itp. rolnictwo – szukanie rezerw

Kartka z zeszytu z zapiskami Romana Zuba.

To skarbnica wiedzy o człowieku i jego czasach. O tym, jak łatwo sądzić, gdy historię mierzy się ilością zapisanych stron, a jak trudno dokonywać wyborów, gdy stawką jest życie, rodzina, honor, wartości przekazywane od pokoleń.

Takich wyborów dokonywało pokolenie 1920, rocznik Romana Zuba. W jego zeszycie przeczytałam taką historię: „Na przełomie miesiąca września i października 1944 roku ukazało się obwieszczenie o powołaniu mężczyzn na komisję i zgłaszaniu się do II Armii Wojska Polskiego. W tym przypadku zgłosiłem się na komisję w Zamościu, na której zostałem przyjęty, ale odroczony na trzy miesiące ze względu na owrzodzoną bardzo prawą kończynę. W tym wypadku powziąłem leczenie tej nogi, a w dalszym ciągu pomagałem w pracy w piekarni kolegi. Jednak w tym okresie nie wszyscy koledzy, którzy byli związani z org. AK, zgłaszali się do II Armii, byli ścigani i likwidowani bardzo brutalnie i ci, którzy zajmowali się już odbudową powojennych zniszczeń i zagospodarowaniem.

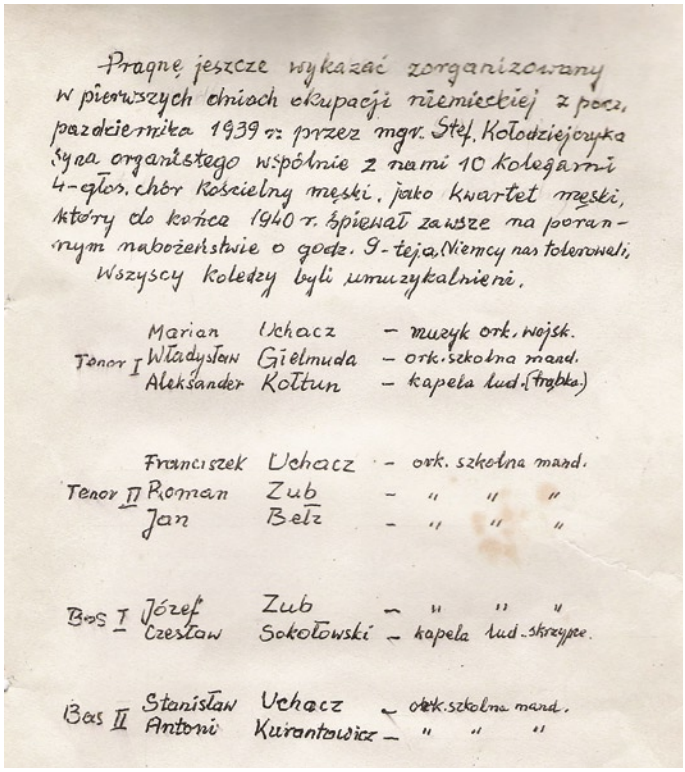

Pragnę jeszcze wykazać zorganizowany w pierwszych chwilach okupacji niemieckiej z pocz. października 1939 r. przez mgr. Stef. Kołodziejczyka syna organistego wspólnie z nami 10 kolegami 4-głos. chór Kościelny męski, jako kwartet męski, który do końca 1940 r. śpiewał zawsze na porannym nabożeństwie o godz. 9-tej. (Niemcy nas tolerowali). Wszyscy koledzy byli umuzykalnieni.

Tenor I
Marian Uchacz – muzyk ork. wojsk.
Władysław Gielmuda – ork. szkolna mand.
Aleksander Kołtun – kapela lud. (trębka)

Tenor II
Franciszek Uchacz – ork. szkolna mand.
Roman Zub – " " "
Jan Belz – " " "

Bas I
Józef Zub – " " "
Czesław Sokołowski – kapela lud. skrzypce

Bas II
Stanisław Uchacz – ork. szkolna mand.
Antoni Kwiatkowicz – " " "

Kartka z „Pamiętnika" Romana Zuba.

O jednym tylko fakcie pragnę napisać. Marian Uchacz, ur. 1920 we wsi Podklasztor. Miał jeszcze dwóch braci: Franciszka (ur. 1921) i Stanisława (1923) oraz siostrę Bogumiłę (1925). Ojciec ich przez kilka lat prowadził mały sklepik spożywczy, z czego utrzymywał żonę i czwórkę dzieci. Wreszcie zbankrutował, dzieci rosły, wychowywane przez matkę na porządnych obywateli. Z braku środków do życia ojciec rodziny Władysław Uchacz wystarał się i wyemigrował do Francji, podejmując pracę w kopalni węgla i przesyłał swoje zarobki żonie na utrzymanie rodziny. A już wszystkie dzieci chodziły do szkoły powszechnej. Dodam też, że kolegowałem się ze wszystkimi,

bo byliśmy sąsiadami, razem chodziliśmy do siedmioklasowej szkoły powszechnej, również do szkolnej orkiestry mandolinistów, a to nas łączyło, bo byli bardzo uzdolnieni w tym kierunku.

Z młodszym bratem (Mariana), Franciszkiem chodziłem najdłużej do jednej klasy. Po ukończeniu siódmej klasy, ukończył szkołę cywilną szybowcową, a później pilotaż, i był ze mną w kontakcie. Dostał trzy „mewki" - czyli „Odznakę szybowcową kat. C", trzy mewki na niebieskim tle. Otrzymywano ją po uzyskaniu kat. B i po ukończeniu szkolenia - i był dość sprawnym pilotem, mając zaledwie siedemnaście lat.

Najmłodszy z braci, Stanisław, w roku 1939 ukończył szkołę średnią z językiem obcym niemieckim, a ich siostra Bogusia chodziła do gimnazjum.

Wszyscy trzej byli muzykalni, a najbardziej w tym kierunku miał kwalifikacje Marian, którego matka już po klasie siódmej szkoły powszechnej oddała do wojskowej szkoły muzycznej, gdzie zdobył specjalności: trąbka i inne instrumenty dęte i smyczkowe, w tym skrzypce, kontrabas. Miał zamiar ukończyć konserwatorium, tylko zaskoczyła wojna 1939.

Brał udział z bronią w różnych oddziałach, dołączał się do różnych grup w swojej miejscowości przez cały wrzesień, aż do upadku.

W październiku i listopadzie, a dokładnie 13. XI. 1939 roku, kiedy to powstała organizacja ZWZ, większość kolegów i on z braćmi należeli do tej organizacji, która w roku 1942 przekształciła się w Armię Krajową. Inni koledzy i Marian Uchacz z braćmi zmuszeni byli pójść do lasu, a Marian miał pewien oddział.

Ja natomiast byłem wątły, a miałem kwalifikacje piekarza, więc zdecydowano, żeby się zgłosić do piekarni wojskowej w Zamościu i być w kontakcie.

Jesienią 1941 roku zostałem ujęty z łapanki przez Niemców i przeznaczony na wywóz do Niemiec, ale ponieważ miałem kwalifikacje piekarskie, a był nabór fachowców do piekarni wojskowej w Zamościu, wiec zgłosiłem się w arbeitsamcie w Zamościu, a znałem się ze znajomymi, którzy tam pracowali i radzili, żeby mnie nie wywieźli gdzieś dalej, a tu będę potrzebny w swojej miejscowości. I tak pracowałem do wyzwolenia.

Krasnobród, jak i inne miejscowości z powiatu zamojskiego, tomaszowskiego, biłgorajskiego były spacyfikowane przez Niemców i wysiedlone. Moja cała rodzina również. Obie siostry z rodzinami wywiezieni do Niemiec, ojciec był w obozie w Zwierzyńcu. Był to obóz przejściowy dla robotników przymusowych, następnie

obóz przesiedleńczy, tzw. Umsiedlungslager, założony w końcu 1940 roku. Mieścił się w kilkunastu barakach. Początkowo więziono w nim ludność cywilną, którą następnie wywożono na roboty przymusowe do III Rzeszy. W obozie tym przebywali też mężczyźni podejrzani o przynależność do ruchu oporu. Tato przebywał tam około roku, a miał już siedemdziesiąt pięć lat, a się nie wykończył, więc takich staruszków wywieźli na wsie w okolice Puław. Polacy przyjęli ich i byli prawie do wyzwolenia na tych ziemiach. Nasze miejscowości były zasiedlone ludnością pochodzenia niemieckiego, albo tymi, którzy podpisali listy folksdojcza.

Inni szli do lasu, a Marian Uchacz z dwoma braćmi również musieli się ukrywać w lasach koło Bondyrza i tam brali udział w różnych akcjach organizacji AK, a często wspólnie z BCh. Na naszym terenie działały te dwie organizacje, ale większość była w AK. Były różne akcje, jak: uszkadzanie pociągów jadących z bronią na front wschodni, nękanie nasiedleńcow niemieckich, na wsiach spacyfikowanych, tak że byli jedną zimę, likwidowanie konfidentów, chociaż stacjonowało wiele placówek żandarmerii.

Było wiele akcji na zgrupowania partyzanckie, na przykład pod Łuszczarzem albo pod Wojdą oraz pod Zaborecznem (BCh) zwycięska bitwa partyzancka stoczona 1 lutego 1943. W jej wyniku Niemcy na pół roku zaprzestali wysiedleń na Zamojszczyźnie. Przez to Polacy na tych terenach nie pozwolili się opanować, chociaż przedtem wiele rodzin wywieźli stąd do Niemiec. Dopiero po wyzwoleniu 1945/1946 wszyscy, którzy przeżyli ten okres, powracali do swoich miejscowości. Niektórzy wyemigrowali na Ziemie Zachodnie, jak jedna moja siostra z rodziną, do której się dołączyłem.

Wcześniej jednak brat Mariana Uchacza, Franciszek, zginął w akcji partyzanckiej.

Później, już po częściowym wyzwoleniu, ci, co przeżyli w lesie, powracali do domu i zajmowali pewne stanowiska w różnych zakładach pracy: we młynie, w tartaku.

Kierownikiem w tartaku został Marian Uchacz. Po kilku miesiącach został aresztowany i na razie wzięty na przesłuchania i nakłaniany do zapisania się do PPR-u. Kiedy odmawiał, zmuszany był siłą, męczony różnymi sadystycznymi sposobami, między innymi wpinaniem szpilek za paznokcie, ale kiedy nie dawał się złamać, kazano go podstępnie wykończyć.

Dawny kolega Z., który został klawiszem w służbie więziennej, miał polecenie wykończyć go na środku miasta w Zamościu. Kazał (Marianowi) uciekać w czasie przeprowadzania do innego

więzienia. Strzelił jednak bardzo celnie i leżał Marian specjalnie na pokaz przez trzy doby, aż go później pochowano.

Został tylko trzeci brat, Stanisław. Ukrywał się, bo po niego często przychodzili i oględnie pytali (o niego) matkę. Ale wtedy był okres, kiedy w RKU przyjmowali do szkoły oficerskiej II Armii WP. Staszek przychodził do matki, żeby wziąć trochę żywności. Zawsze wstępował do mnie, żeby się naradzić, co zrobić ma. Już październik, idzie zima. Koledzy niektórzy nie radzą mu iść do wojska, a ja jednak widzę, najlepsze wyjście. Bo pobyt na szkole oficerskiej planowany na pięć miesięcy, to od listopada do końca kwietnia, a do tego czasu wojna się skończy, Niemcy dłużej nie wytrzymają.

- Już tyle wytrzymasz, abyś tylko nie wpadł im w ręce, idąc do RKU.

Kazałem mu zatrzymać się u mnie, a sam poszedłem do jego matki i tak rozmawiałem. Matka mówi: - Właśnie byli u mnie i dopiero co wyszli.

- O co pytali? - pytam.

- A nic takiego, jak ja żyję, czy mam trudności, czy coś brakuje i czy córka pracuje i gdzie.

Powiedziałem, że Stasiek jest u mnie.

Wróciłem i powiedziałem, że przed chwilą byli u matki. Dziękował i śmiało poszedł do matki wziąć sobie coś do jedzenia, powiadomić dobrych kolegów, co zdecydował i nazajutrz miał ścieżkami dostać się do Zamościa do RKU, a prosiłem go, żeby mnie powiadomił, że szczęśliwie dostał się do RKU i został przyjęty, jak mówiliśmy. Za dwa dni dostałem wiadomość od jego matki, że szczęśliwie dotarł i został przyjęty i wszystko dobrze.

Po pewnym czasie na Boże Narodzenie przysłał wiadomość ze szkoły. Niektórzy koledzy byli rozżaleni, że zdradził. Ja im tłumaczyłem: niech spojrzą realnie na niego. W tym czasie to było dla niego najlepsze wyjście, bo nie chcielibyście, jako dobrzy koledzy, żeby ostatni syn matki niechybnie zginął, a tak ma szansę na przeżycie. Przecież Franek zginął w partyzantce, matka jeszcze nie wie gdzie on jest, czy żyje. Tylko się domyśla. Maniek podstępnie zginął, którego widziała i nie może tego przeżyć, chyba już ma dosyć. Niech chociaż ma nadzieję. A znacie go dobrze, że Polski nigdy nie zdradzi. Powiedziałem im, że zanim ukończy szkołę, wojna powinna się zakończyć, a wtedy wróci do domu i zaopiekuje się matką chociaż on. Wszyscy mi przyznali rację. Jeden z nich nie mógł się z tym pogodzić.

Osobiście wszyscy z kolegami zobaczyliśmy się wiosną i ze Staszkiem, kiedy dostał urlop przed zakończeniem szkoły

oficerskiej, a kiedy miał już awans sierżanta. Było to już na święta, na Wielkanoc.

Kiedy tak rozmawialiśmy z nim i z kolegami, jeden z kolegów nie mógł się pogodzić z tym i podburzał innych, żeby go zlikwidować, że zdradził ich i Polskę. Widziałem, że za daleko się posuwają i może się to źle skończyć, wszedłem w środek i jak przedtem przetłumaczyłem im, że się uspokoili i pogodzili.

Po świętach Staszek wyjechał na końcowe egzaminy, awansował na podporucznika i w końcu kwietnia dostał oddział w II Armii, ale już wojna się kończyła, że 8 maja była kapitulacja i w połowie maja wrócił do domu na urlop. Przed powrotem do domu ze względu na pamięć Franka, który był przed wojną lotnikiem, w końcu wojny zginął w partyzantce AK, dlatego też zgłosił się na szkołę lotniczą. Pragnął upamiętnić brata, został przyjęty. Następnie po ukończeniu szkoły lotniczej w Poznaniu, powrócił do domu i do cywila, do matki. Po pewnym czasie odwiedził Ziemie Odzyskane w okolicy Wałbrzycha, i tam znalazł wolną pracę w charakterze naczelnika poczty, zapoznał się z dziewczyną, ożenił się. Miał trzech synów.

Po pewnym czasie po zakończeniu wojny ojciec jego wrócił z Francji do matki, już jako emeryt. Nie miał zdrowia.

Siostra Bogusia wyszła za mąż i znalazła się w Puławach, a rodzice jej chwilowo do niej wyjechali. Budynek ich zajęli przyjezdni, którzy zapewniali uzgodnioną kwotę pieniędzy zapłacić za chwilowe zamieszkanie, czego nie uczynili. W późniejszym czasie do budynków staruszków nie wpuszczono. Rodzice Bogusi zmuszeni byli do niej powrócić, u niej dożyli do końca i zostali tam pochowani."

Przepisałam tę poruszającą opowieść bez poprawek. W kilku miejscach wstawiłam wyjaśnienie, posługując się wiadomościami z Internetu. W zasobach sieci znalazłam również artykuł zamieszczony w „Gazecie Zamojskiej" nr 48 (126) z 13-19 grudnia 2011 roku zatytułowany „Zabójstwo Ursusa. Miłość do Ojczyzny." Dla porządku przedstawię główne ustalenia „Gazety Zamojskiej": „12 grudnia 1944 roku funkcjonariusze UB i NKWD zastrzelili w Zamościu żołnierza Armii Krajowej Mariana Uchacza, ps. Ursus. Zastrzelono go podczas przeprowadzania go do więzienia przy ulicy Okrzei."

Jest kilka wersji zabójstwa i postępowania z ciałem zabitego. Szczegóły we wskazanym artykule. Roman Zub wymienia z nazwiska zabójcę Ursusa. W „Gazecie Zamojskiej" wymienione są trzy nazwiska prawdopodobnych zabójców.

Kronikarz z Objazdy

Milenijny rok 1966 obchodzony był hucznie i powszechnie. Najpierw urzeczywistniano hasło Władysława Gomółki z 24 września 1958 roku „Tysiąc szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego." Akcja trwała do września 1965 troku, w jej ramach wybudowano ponad 1400 szkół, głównie podstawowych.

W 1965 roku arcybiskup wrocławski Bolesław Kominek w czasie Soboru Watykańskiego II zredagował list biskupów polskich do biskupów niemieckich, który podpisali polscy biskupi, w tym Stefan Wyszyński i Karol Wojtyła. List był propozycją pojednania i zaproszeniem na obchody tysiąclecia chrztu Polski. Najważniejsze zdanie listu brzmiało: „W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu wyciągamy do Was, siedzących tu na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie."

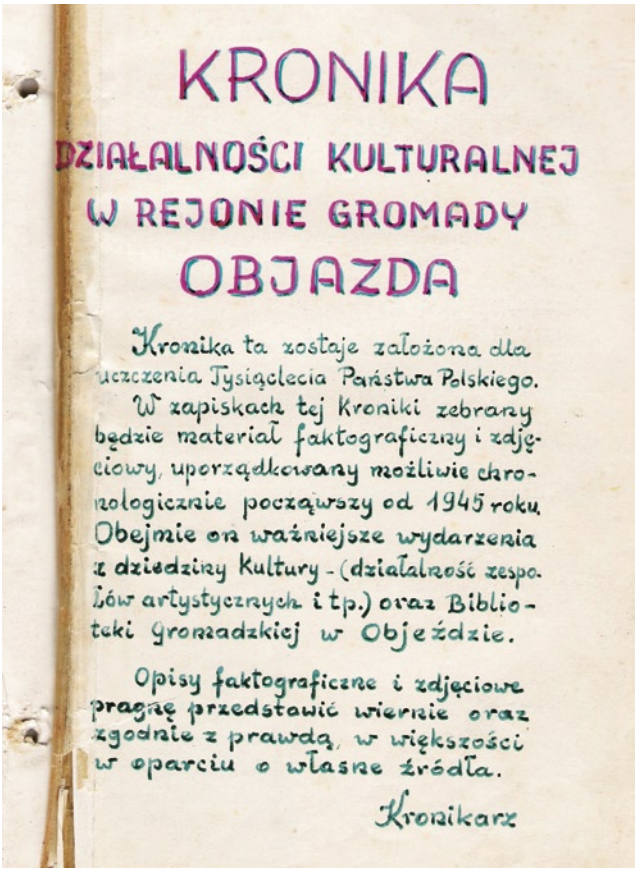

KRONIKA

DZIAŁALNOŚCI KULTURALNEJ

W REJONIE GROMADY

OBJAZDA

Kronika ta zostaje założona dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego.

W zapiskach tej Kroniki zebrany będzie materiał faktograficzny i zdjęciowy, uporządkowany możliwie chronologicznie począwszy od 1945 roku. Obejmie on ważniejsze wydarzenia z dziedziny kultury - (działalność zespołów artystycznych i tp.) oraz Biblioteki Gromadzkiej w Objeździe.

Opisy faktograficzne i zdjęciowe pragnę przedstawić wiernie oraz zgodnie z prawdą, w większości w oparciu o własne źródła.

Kronikarz

Pierwsza strona „Kroniki Objazdy" Romana Zuba zdigitalizowana przez Emila Raczyńskiego.

List zaostrzył konflikt między państwem i Kościołem i przyczynił się do rozbicia obchodów milenijnych. Kościół obchodził Tysiąclecie Chrztu Polski, uroczystości państwowe miały świecki charakter i nosiły nazwę Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Wśród tematów maturalnych w roku milenijnym 1966 zaproponowano młodzieży analizę problemu zbrodni niemieckich w świetle orędzia polskich biskupów. Temat był formułowany w zależności od rodzaju szkoły, ale pojawił się obowiązkowo.

Tymczasem Objazda, od 1954 roku wieś gromadzka w województwie koszalińskim, z siedzibą odpowiednich władz i biblioteką nie otrzymała tysiąclatki, chociaż byłaby tu potrzebna ze względu na ilość dzieci i stan budynków, w których odbywały się lekcje. Tysiąclatkę, ku radości i dumie mieszkańców, otrzymało nieodległe Machowino, z tej samej wówczas parafii, ale odrębnej gromady Strzelinko. Niestety, szkoła funkcjonowała krótko, a w budynku upamiętniającym tysiąclecie zorganizowano świetlicę wiejską. Dobre i to.

ROK 1948

W dniu 11 stycznia 1948 r. zespół teatralny Dębina - Objazda wystawił w sali w Objeździe sztukę J. Gregorowicza „Werbel domowy".

W dniu 1. IV. 1948 r. rozpoczęto pracę z 4-głosowym chórem męskim w Objeździe.

Chór męski w Objeździe przed gmachem szkolnym. Zdjęcie z dnia 11. IV. 1948 r.

W dniu 11. IV. 1948 r. zespół teatralny Dębina - Objazda wystawił w sali w Objeździe premierę sztuki (4-akt.) H. Choińskiej pt. „Znajdziesz w polu mój grób."

Grupa artystów amatorów przed występem 11. IV. 1948. W parku dworskim PHZ.

W dniu 2. V. 1948 r. zespół teatralny oraz zespół chóralny 3-głosowy miesz. wystawił swój program artystyczny w świetlicy wsi Charnowo. Na program złożyły się pieśni masowe i ludowe oraz sztuka H. Choińskiej pt. „Znajdziesz w polu mój grób."

8

Kartka z „Kroniki Objazdy" Romana Zuba.

Nie znaczy to wcale, że w Objeździe milenijne obchody były obce wiejskiej społeczności. Trudno dziś ustalić czy zadecydowała osobista inicjatywa bibliotekarza, czy sugestia odgórna, ale od pamiętnego roku 1966 Objazda szczyci się własną „Kroniką". Strona wstępna brzmi tak: „Kronika ta zostaje założona dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego. W zapiskach tej Kroniki zebrany będzie materiał faktograficzny i zdjęciowy uporządkowany możliwie chronologicznie począwszy od 1945 roku. Obejmie on ważniejsze wydarzenia z dziedziny kultury - (działalność zespołów artystycznych itp.) oraz biblioteki Gromadzkiej w Objeździe. Opisy faktograficzne i zdjęciowe pragnę przedstawić wiernie oraz zgodnie z prawdą w większości w oparciu o własne źródła. Kronikarz"

W ten sposób powstała „Kronika Objazdy" spisana odręcznym pismem, ilustrowana przez kronikarza osobiście wykonanymi fotografiami, wycinkami z prasy, wpisami Gości odwiedzających bibliotekę. „Kronika" składa się z dwóch ponadstustronicowych

zeszytów formatu A4. Pierwszy obejmuje lata 1945-1966, drugi jest zapisem zdarzeń z lat 1967-1975.

Ostatnie wpisy w „Kronice" należą do dr Mieczysława Pietrusiewicza, wykładowcy Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku, poetki Marty Aluchny - Emelianow oraz Wacława Włodarczyka. Każda z postaci wnosi fakty i emocje, do których, jak i do treści całej „Kroniki" warto wrócić. Tymczasem dla informacji dodam, że obie części zostały zdigitalizowane w grudniu 2006 roku przez Emila Raczyńskiego z Objazdy i przekazane przez niego w takiej formie Bałtyckiej Bibliotece Cyfrowej.

Poza „Kroniką" istnieje „Pamiętnik", również w wersji elektronicznej, w którym autor „Kroniki Objazdy" opowiada własne dzieje.

1952

Z dniem 1.X-1952 r. rozpoczyna pracę na stanowisku kier. Biblioteki Gminnej ob. Roman Zub.

Należy też nadmienić, że księgozbiór biblioteki wraz ze sprzętem został przejęty i przewieziony z Grabna do Objazdy już w dniu 18.IX-1952 r. i zarazem uporządkowany.

Wyciąg z protokołów z pierwych dni pracy w Bibliotece Gminnej Wytowno w Objeździe oraz z lustracji punktów bibliot.

Księgozbiór wraz ze sprzętem przewiózł z Grabna do Objazdy ob. Grabowski Henryk z Batamątku - Objazdy w ilości ok. 1000 książek oraz 3 regały, 1 biurko, 1 stolik : 1 krzesło. W Grabnie pozostawiono

Kartka z „Kroniki Objazdy" ze zdjęciem autora.

Nie wymieniłam dotychczas nazwiska kronikarza z przekonaniem, że również w ten sposób opiszę część jego osobowości, człowieka drugiego planu, skromnego, wyciszonego, pozornie niewidocznego, a mimo to prawdziwego animatora wiejskiej kultury.

Roman Zub, kronikarz Objazdy, urodził się w roku 1920 w kilkutysięcznym wielokulturowym Krasnobrodzie, dokładnie w dzielnicy Podklasztor, w małym domu na wprost klasztoru dominikanów i kościoła pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej

Marii Panny, ufundowanego przez Marysieńkę Sobieską za cudowne uzdrowienie w Krasnobrodzie. Dziecko było słabiutkie, więc rodzice, ufni w ozdrowieńczą moc słynnego sanktuarium, ochrzcili je następnego dnia. Malec wzrastał wśród rodziny, a historia pisała scenariusz ciekawego, acz trudnego życia.

Miasteczko Krasnobród słynęło charakterystycznymi drewnianymi domkami z podcieniami, posadowionymi przy wąskich uliczkach oraz pamięcią zdarzeń i bohaterów czasu powstania styczniowego, za co Krasnobród pozbawiony został praw miejskich. Przez wieki współistniały tu obok siebie religie: katolicka, żydowska, unicka ze skomplikowaną historią, oraz prawosławna. Obraz tamtego czasu w rodzinnym Krasnobrodzie Roman Zub odnotował w „Pamiętniku" w bardzo oszczędnych słowach: „(...) w Krasnobrodzie w latach międzywojennych istniały tu 3 piekarnie polskie i 18 narodowości żydowskiej." Współcześnie nie ma nawet śladu wspólnej historii. Nikt nie pamięta zapachu koszernego chleba ani nazwisk właścicieli maleńkich piekarni. Żydów okupanci wymordowali w masowych egzekucjach w 1942 roku, „szczęśliwcom" udało się uciec na sowiety, spłonęły 54 żydowskie gospodarstwa, wskutek dewastacji począwszy od wojny przepadły kirkuty, a ich blisko trzyhektarowy teren porósł las, kryjąc kilka fragmentów macew.

Ale wtedy, kiedy istniał stary świat, historia miała inny smak, a Roman Zub poznał ją w najprostszy sposób: słuchając opowieści jej uczestników, również opowieści niewidomego ojca Ludwika. Na jedynej zachowanej fotografii ojciec, szczupły starszy mężczyzna siedzi na krzesełku przed domem, niczym Wernyhora, z długą siwą brodą i rozpuszczonymi siwymi włosami w towarzystwie córki i wnuczki.

„W długie zimowe wieczory często przysłuchiwałem się opowiadaniom niektórych sąsiadów o przeżytych wojnach, a ich rodziców o powstaniach, o podróżach po obcych krajach w poszukiwaniu pracy i chleba. (...) Miałem wtedy może 6-7 lat" - pisał r. Zub.

Kiedy miał dziewięć lat, zmarł jego niewidomy ojciec Ludwik. Dlatego z oddaniem przywiązywał się do nauczycieli. Kiedy po latach sięgał po szkolne pamiątki, z szacunkiem i wdzięcznością wspominał dawnych nauczycieli: „Jedyne moje zdjęcie z tego okresu z grupą kolegów tak ważnej drużyny ZHP i nauczycielem J. Mazurkiem, drużynowym, nauczycielem matematyki, który był bardzo dokładny i wychowywał nas na dobrych patriotów Polaków. Każdy z nas miał w sercu hasło „Bóg - Honor - Ojczyzna".

Szukałam informacji o tamtym czasie. Jak zawsze niezawodny okazał się internet. Na stronie domowej Zespołu Szkół

Fotografia z „Pamiętnika" Romana Zuba.

Podstawowych im. 25. Pułku Ułanów Wielkopolskich w Krasnobrodzie zapisano: „Trudno ustalić datę założenia szkoły. Jeden z żyjących mieszkańców wspomina, że było to w roku 1937, gdy prezydentem RP był Ignacy Mościcki. Szkoła nosiła imię Stanisława Kostki a kierownikiem był pan Ostrowski. W czasie II wojny światowej szkoły jako takiej nie było. Budynek został spalony już na początku działań wojennych w 1939 r."

Tymczasem znajdujące się fotografia i opisy z 1933 roku w „Pamiętniku" Romana Zuba dowodzą, że szkoła powszechna w Krasnobrodzie miała dobrych, wykształconych nauczycieli, wychowywała młodzież przez różnorakie formy zajęć nadobowiązkowych, oraz że w szkole działała organizacja harcerska.

Na fotografii wklejonej do „Pamiętnika" wśród licznej grupy uczniów w harcerskich mundurkach i czapkach siedzi młody mężczyzna, w garniturze, białej koszuli, krawacie, bez nakrycia głowy. To według opisu autora „Pamiętnika" J. Mazurek, nauczyciel matematyki, drużynowy. Trzyma tablicę z napisem: „I KDH Tomaszów Lub. 21-V-1933 r." Prawdopodobnie skrót oznacza Pierwszą Krasnobrodzką Drużynę Harcerską na obozie lub biwaku w Tomaszowie Lubelskim w maju 1933 roku. Trzynastoletni Romek Zub wspomnienie i fotografię przechowywał z pietyzmem, a wyniesione ze szkoły ideały i zobowiązania realizował przez całe życie. „W szkole należeliśmy do orkiestry szkolnej mandolinistów w Krasnobrodzie. Orkiestra mandolinistów liczyła ok. 35 osób, prowadził ją

kier. szkoły Powszechnej w Krasnobrodzie muzyk T. Ostrowski. (...) Prosiłem (koleżankę Bogumiłę Uchacz - przyp. cdl) o przekazanie ode mnie wdzięczności i zobowiązania cichego, że będę starał się też przekazywać wiadomości muzyczne innym bezinteresownie" - pisał kronikarz.

Po wojnie pan Ostrowski został inspektorem oświaty w powiecie biłgorajskim. Nie wiem natomiast, jaki los spotkał młodego matematyka.

W lipcu 1936 roku szesnastolatek Romek Zub z Krasnobrodu zgłosił się do piekarni Antoniego Rycaka, gdzie podjął pracę w zamian za naukę, wyżywienie, prawo do zaopatrzenia raz w tygodniu w pieczywo własnej rodziny oraz skromne kieszonkowe. Po kilku miesiącach nauki potrafił upiec kilka gatunków chleba: jasny, razowy, ciemny, nie miały przed nim tajemnic poznańskie chałki, obwarzanki, rogaliki, kajzerki ręcznie formowane, drożdżówki. W zasadzie czuł się przygotowany do zawodu piekarza i mógł podjąć pracę w jednej z trzech polskich piekarni: u pana Rycaka, u którego pobierał naukę albo u pana Stachowskiego, albo u pana Klejny. Zdecydował się pozostać w dotychczasowym miejscu, pracował, a w wolnym czasie spotykał się z kolegami na rower albo muzykowanie.

Młodzieńcze wyprawy rowerem z Pawłem Ulanowskim, kąpiele w Wieprzu w pobliżu Majdanu Wielkiego z kolegami S. Uchaczem, Tadziem Gugałą, Zbyszkiem Chruściewiczem wydawały się beztroską zabawą. Chłopcy uczyli się języków (niemieckiego,

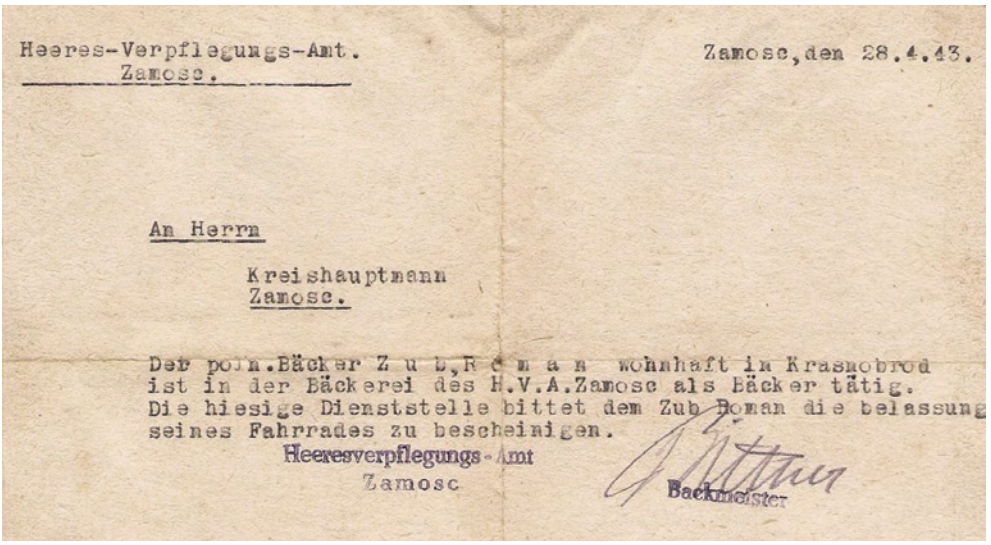

Heeres-Verpflegungs-Amt.
Zamosc.

Zamosc, den 28.4.43.

An Herrn

Kreishauptmann
Zamosc.

Der poln. Bäcker Z u b, R o m a n wohnhaft in Krasnobrod ist in der Bäckerei des H.V.A. Zamosc als Bäcker tätig. Die hiesige Dienststelle bittet dem Zub Roman die belassung seines Fahrrades zu bescheinigen.

Heeresverpflegungs-Amt
Zamosc

Backmeister

„Polski piekarz Zub Roman mieszkający w Krasnobrodzie pracuje w piekarni w Zamościu. Lokalny dyżurny prosi o pozostawienie jego roweru".
Takim pismem legitymował się w drodze do pracy Roman Zub.

francuskiego, angielskiego), w domu Uchaczów organizowali wieczory muzyczne, grając w kwartecie. Coraz częściej w beztroski świat wkradały się raz po raz groźne informacje: „Sięgając do wydarzeń i komunikatów z sierpnia 1939 roku, próbowałem sobie po swojemu uświadomić, że faktycznie wojna jest nieunikniona. (...) Jedno zjawisko, które było widziane w Krasnobrodzie w końcu czerwca lub w początku lipca (nie zanotowałem tego) - wyglądało w ten sposób: w piękny słoneczny dzień, ok. godz. 11:00 do ok. godz. 12:00 oprócz normalnego „Słońca" pojawiły się jeszcze jakby 4 punkty słoneczne, które były widziane przez wielu ludzi w mej miejscowości rodzinnej. Do dziś nie starałem się dochodzić do tego naukowo, ale wtedy 1939 roku przypisywano to pewnym proroctwom (...). *(Oczywiste były realne symptomy zwiastujące wojnę: mobilizacja, pobór rezerwy, komunikaty radiowe.)* A 1 września usłyszeliśmy, że wojna jest faktem. (...) Śledziliśmy codzienne komunikaty radiowe. (...) A tu już nadchodziły wieści ze źródeł nieoficjalnych, że Niemcy wdarli się już daleko w głąb naszego kraju, a już 5, 6, 7 zobaczyliśmy uciekinierów, którzy szli na wschód, myśląc że tam bezpieczniej?"

Trudno dziś jednoznacznie orzec, co było bezpośrednim doświadczeniem chłopaka z Podklasztoru, pracującego w piekarni pana Rycaka, a co wiedzą powszechną, przyswojoną później. Nie znalazłam w „Pamiętniku" oficjalnych informacji o ostatniej szarży ułanów, czym chlubi się współczesny Krasnobród.

23 września 1939 miała tu miejsce szarża 25. Pułku Ułanów Wielkopolskich podpułkownika Stachlewskiego: „o świcie pułk otrzymał rozkaz natarcia na Krasnobród po osi Krynice - Suchowola. Generał Anders przekazał płk. Stachlewskiemu decyzję: działać w szyku konnym na wioskę i klasztor; zejść po stoku na dół i po przejściu Wieprza rozwinąć pułk do natarcia. Do zdobycia Krasnobrodu dowódca pułku wyznaczył pierwszy szwadron por. T. Gerleckiego, drugi rtm. H. Roycewicza i szwadron kolarzy ppor. Śrutki" - znajdujemy zapis w internetowej historii miejscowej szkoły.

Bitwa była zwycięska, ale okupiona śmiercią wielu żołnierzy. Na cmentarzu w Krasnobrodzie spoczywa ich pięciuset. Ostatecznie 25. Pułk Ułanów Wielkopolskich ogniem artyleryjskim rozbili sowieci 27 września 1939 roku. Refleksja o tragicznych zdarzeniach Września z pewnością rodziła się później. To zrozumiałe, gdy każdy dzień przynosił nowe niespodziewane zdarzenia, a stawką było życie.

W październiku 1939 roku, kiedy okupacja niemiecka stała się faktem, mgr Stefan Kołodziejczyk, syn organisty zorganizował

w Krasnobrodzie dziesięcioosobowy czterogłosowy chór męski, który śpiewał zawsze na porannym nabożeństwie o godzinie 9-ej. Roman Zub wszedł w skład chóru, o czym pisze w „Pamiętniku".

Wciąż pracował w piekarni, do pracy jechał rowerem przez las. Dla własnego bezpieczeństwa postarał się o stosowne zaświadczenie władz okupacyjnych, umożliwiające bezpieczny przejazd. W okresie od 20 października 1941 roku do 15 lipca 1944 roku podlegał obowiązkowi koszarowemu władz okupacyjnych.

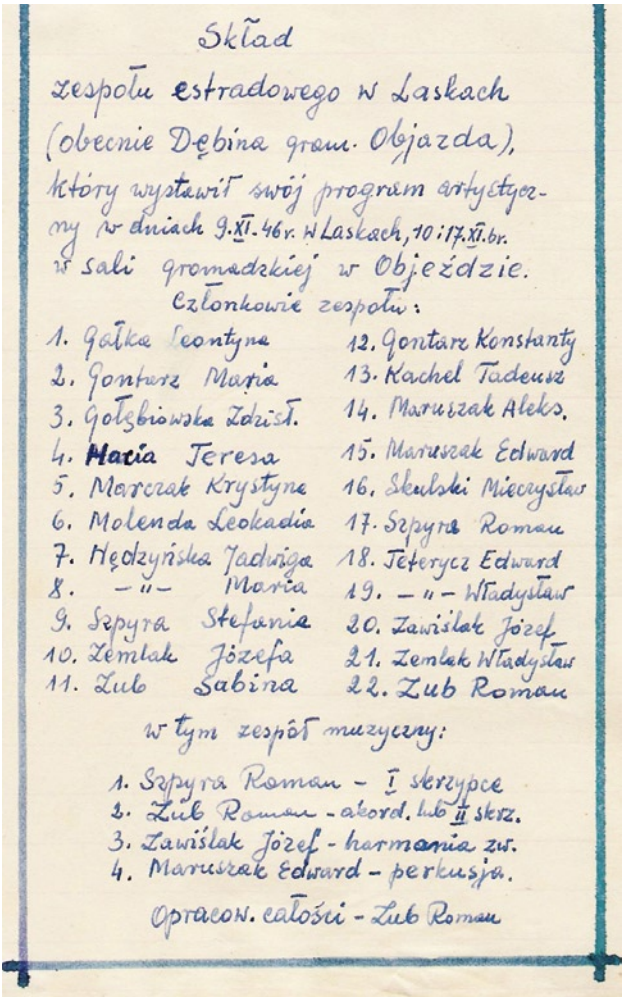

Skład
zespołu estradowego w Laskach
(obecnie Dębina gram. Objazda),
który wystawił swój program artystyczny w dniach 9.XI.-46 r. w Laskach, 10:17.XI.br.
w sali gromadzkiej w Objeździe.
Członkowie zespołu:

1. Gałka Leontyna
2. Gontarz Maria
3. Gołębiowska Zdzisł.
4. Maria Teresa
5. Marczak Krystyna
6. Molenda Leokadia
7. Hędzyńska Jadwiga
8. — " — Maria
9. Szpyra Stefania
10. Zemlak Józefa
11. Zub Sabina
12. Gontarz Konstanty
13. Kachel Tadeusz
14. Maruszak Aleks.
15. Maruszak Edward
16. Skulski Mieczysław
17. Szpyra Roman
18. Teterycz Edward
19. — " — Władysław
20. Zawiślak Józef
21. Zemlak Władysław
22. Zub Roman

w tym zespół muzyczny:

1. Szpyra Roman - I skrzypce
2. Zub Roman - akord. lub II skrz.
3. Zawiślak Józef - harmonia zw.
4. Maruszak Edward - perkusja.

Opracow. całości - Zub Roman

Kartka z „Pamiętnika" Romana Zuba.

Wspomnienia jak żywe powróciły, kiedy dzięki programowi „Pegaz" TVP odnalazł kolegę Jerzego Pawłowskiego. Pracowali w piekarni razem, wspólne były ich przeżycia z okresu skoszarowania w Zamościu w czasie pacyfikacji. Spotkali się po latach w 1988 roku w domu Romana Zuba i Stanisławy Janus w Objeździe. Wspominali kolegów, wspólne przeżycia i grane wówczas melodie. Nie, nie zapomnieli ich, ale teraz brzmiały inaczej.

Wtedy w smutnych latach czterdziestych poznał chłopaków z pacyfikowanych powiatów: zamojskiego, biłgorajskiego, tomaszowskiego. Byli wśród nich chłopcy ze Zgierza (Janek Łatecki), z Wągrowca, Tyszowca. Fotograficzna opowieść Romana Zuba skupia się na opisaniu kolegów i ich pasji muzycznych. W koszarach spotkał nieznanego kuzyna Stanisława Adamczyka, ale tym, co najbardziej zainteresowało piekarza Romka, była sześciorzędowa harmonia chromatyczna kuzyna.

„Zaprzyjaźniliśmy się i często w czwórkę graliśmy z innymi kolegami" - napisze w „Pamiętniku". Wspólne muzykowanie

ułatwiało przetrwanie trudnego czasu. „Gdy nadszedł rok 1944 w kręgu piekarzy w koszarach w Zamościu rozmawiano i rozmyślano, co będzie, jeśli front wojenny będzie zbliżał się. Jak będzie z nami? Już w tym czasie pracując, rozmawialiśmy między sobą, z tutejszymi miejscowymi piekarzami oraz tymi, którzy byli skoszarowani. Wszyscy uzgodniliśmy, że będziemy sobie wspólnie pomagać. I kiedy Niemcy mieli nas w koszarach zatrzymać, a później przewieźć w kierunku Częstochowy, nie wypuszczano nas od 15 lipca 1944 roku. Tylko miejscowych wypuszczano do domu. Porozumieliśmy się z nimi i przy ich pomocy przeprawiliśmy się przez parkan, ogrodzenia drutami i inne dziury, a też i wartę, która koszar pilnowała. Wszystkim skoszarowanym udało się przeprawić, do kogo kto mógł. Później już na swoją rękę każdy się lokował. Pozostał tylko jeden starszy piekarz dziadek Kotyński z Poznania."

Po ucieczce z koszar w Zamościu Roman Zub schronił się u rodziny Ciosów. Po kilku dniach spotkał się z Jurkiem Bełzem. Młodość ma swoje prawa, a muzyka była dobrym pretekstem do spotkań. Pisał: „Grupa artystyczna amatorów, która pod koniec 1944 i cały 1945 rok pod kier(ownictwem) Antoniego i Feliksy Kurnatowicz organizuje się w zespół folklorystyczny i estradowy, który opracowuje inscenizacje, skecze i piosenki, a później tworzy 2-godz. rewię z kupletami itp. W tym okresie grupa występuje na terenie pacyfikowanych powiatów: zamojskiego, tomaszowskiego, biłgorajskiego ożywiając naszą skromną kulturę, której wszyscy byli tak spragnieni. Z opłat za bilety grupa korzysta tylko na drobne rekwizyty, na wyjeździe na herbatkę i kanapkę. Resztę przeznacza na remont zniszczonego przez wojnę klasztoru w Krasnobrodzie. (...) Należy tez dodać, że większość z tej grupy to grający na różnych instrumentach, samorodni poeci i malarze."

Doświadczenia nabyte w Krasnobrodzie zaowocują w przyszłości. Pod koniec 1946 roku Roman Zub z, jak napisał: „liczną grupą rolników z pow. zamojskiego wraz z młodzieżą w wieku 16-20 lat", przyjechał do wsi Laski, czyli Dębiny w gromadzie Objazda. „Po kilkudniowym pobycie i częściowym poznaniu terenów cała młodzież uchwaliła zorganizowanie zespołu artystycznego (...). Na trzeci dzień zabrano się do pracy i za 7 dni program był już opracowany, którego premierę wystawiono u siebie w Laskach. (...) Z kolei proszono zespół o wystąpienie ze swym programem artystycznym w dużej sali w Objeździe i w dniu następnym 10 listopada 1946 roku wystawiono program w dużej sali i na dobrej scenie. (...) Od tej pory zespół opracowywał nowe programy artystyczne, włączając

część młodzieży miejscowej z Objazdy i współpracował aktywnie do 1950 roku."

W taki sposób, śpiewem, muzyką, działaniem wśród młodzieży Roman Zub wpisywał się w nowy czas i nowe miejsce, przyjmując od 1949 roku obowiązki bibliotekarza. Dziś wiejska biblioteka w Objeździe nosi jego imię, a we wsi nie ma osoby, która nie wiedziałaby, kim był Roman Zub.

„Latem 1952 roku Urząd Gminy przeniesiono do budynku po właścicielu tartaku, należącego obecnie do Lasów Państwowych. Bibliotekę Gminną przeniesiono i uruchomiono dopiero 1 X 1952 roku. Ulokowano bibliotekę przy posesji Antoniego Idzikowskiego. Na kierownika biblioteki zatrudniono ob. R. Zuba. Biblioteka liczyła wtedy ok. 1500 książek" - zanotował kronikarz.

Przez wszystkie powojenne lata był bibliotekarzem, organistą, akordeonistą na wiejskich weselach, zabawach i młodzieżowych potańcówkach, założycielem i kierownikiem dziecięcych zespołów mandolinistów, wiejskim fotografem, zapalonym pszczelarzem, nawet zegarmistrzem. Przez całe życie pisał pamiętnik, a jako bibliotekarz prowadził wiejską kronikę. Dziś to nieoceniony dokument wiejskiego życia, które splatało się z wielką historią i polityką. „Kronika Objazdy" jest unikalnym dokumentem minionego czasu.

Kogoś razić mogą fotografie dekoracji z okazji świat państwowych, wycinki prasowe, relacje i akcje. Roman Zub z Objazdy nigdy nie pełnił żadnej funkcji politycznej. Rejestrował zdarzenia swego czasu - bez retuszu oddawał klimat tamtych lat. Zobowiązanie podjęte z okazji milenium wykonał z nawiązką. Wcześniejsze lata rekonstruował na podstawie własnych zapisków i fotografii, bez fabularyzacji.

Martwił się, gdy zabrakło kalikanta do ręcznej dźwigni starych organów, bo jak miał odpowiadać celebransowi w czasie mszy. Cieszył się, gdy dziecięcy zespół mandolinistów, w którym pobierałam podstawową edukację muzyczną, zdobywał laury na powiatowych przeglądach zespołów dziecięcych. Był dumny, gdy amatorskie przedstawienia teatralne, które reżyserował, publiczność nagradzała brawami. W bibliotece organizował konkursy czytelnicze i potańcówki.

Nie używaliśmy wówczas tego pojęcia, ale wiem teraz na pewno, że Roman Zub był animatorem życia kulturalnego w Objeździe. Ale pozostanie przede wszystkim Kronikarzem.

Pod koniec życia wrócił do Krasnobrodu, gdzie pozostali jego najbliżsi, by wśród nich spocząć na krasnobrodzkim cmentarzu. Zmarł w 2004 roku.

Dwa zdania o księdzu Janie Ziei w Kronice Objazdy

Nie wierzę w sens tworzenia historii alternatywnej. Dlatego najpierw fakty. Wszystkie niemal powszechnie znane, ponieważ działalność i poglądy księdza Jana Ziei zostały dokładnie opisane przez profesjonalnych historyków i dziennikarzy. Najobszerniejsza i ceniona jest monografia „Życie Ewangelią" w formie zapisu rozmów Jacka Moskwy z ks. Janem Zieją, która została wydana w 1991 roku w Paryżu w cyklu „Świadkowie XX wieku".

Słupski historyk Zdzisław Machura w publikacjach „Cztery słupskie lata" (Słupsk 2006) i „Był tu wśród nas na słupskiej ziemi" (Słupsk 2007) opowiedział o posłudze ks. Jana Ziei w parafiach w Słupskiem w latach 1945-1949. Są to rzetelnie opracowane dokumenty uzupełnione szczegółowym kalendarium. W ostatnim

Zdjęcie ze strony internetowej „Moja Alma Mater" Tadeusza Widnego.

czasie w regionalnej prasie ukazał się kolejny ciekawy artykuł pana Machury: „Dom Matki i Dziecka w Słupsku", w którym autor przedstawia starania ks. Ziei o utworzenie potrzebnej miastu placówki. Dzieło pobłogosławił ks. kardynał August Hlond, a Józef Cyrankiewicz, znajomy Anieli Urbanowicz z czasów okupacji, wsparł Dom finansowo i chociaż nigdy i nigdzie tego nie ujawniał, objął ochroną przed zakusami władz politycznych.

W tym samym numerze „Naszego Miasta" Andrzej Obecny pisze o mało znanej ulotce ks. Jana Ziei z czasów pińskich. Na podstawie analizy jej treści wskazuje na podobieństwo postaw ks. Ziei i papieża Franciszka.

Kolejna publikacja to „Stoję na rynku nienajęty" - reportaż historyczny o księdzu Janie Ziei, otwierający książkę Magdaleny Grochowskiej „Ćwiczenia z niemożliwego" (Warszawa 2012). Charakterystyczny dla autorki jest sposób przedstawienia postaci - dynamiczny i polemiczny. Mniej uwagi Grochowska przywiązuje do chronologii, a zainteresowanie czytelnika kieruje na poglądy i sposób sprawowania posługi duszpasterskiej przez księdza Jana Zieję.

W ostatnim czasie powstaje kolejna publikacja na zamówienie Instytutu Pamięci Narodowej, a autorka, Joanna Kuciel-Frydryszak (m.in. „Słonimski. Heretyk na ambonie") zbiera materiały do nowej książki. Publikacje o ks. Janie Ziei są poszukiwane i oczekiwane.

Skąd takie zainteresowanie ubogim księdzem, który na próżno przez lata czekał na własną parafię? I nie doczekał. W liście do znajomej z czasów poleskich, współpracownicy okresu słupskiego, nauczycielki religii, zakonnicy z Lasek, Gabrieli Hołyńskiej pisał w 1965 roku: „Ja - stoję na rynku nienajęty" - stąd tytuł reportażu Magdaleny Grochowskiej. Może to dlatego, że przyjaźń ofiarowana prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu w momencie jego uwięzienia nie przetrwała zasadniczego sporu o kształt Kościoła w Polsce, ponieważ ksiądz Zieja złamał kanon bezwzględnego posłuszeństwa, otwarcie wypowiadając swoje poglądy.

W liście z 19 czerwca 1957 roku prosił, by w centrum Nowenny był Chrystus: „Niech biskupi ofiarują naród Bożemu Sercu - niech ten akt trwa lata i niech zaowocuje miłością społeczną, wtedy będzie prawdziwy." Uważał, że błędem będzie rozwijanie ludycznej pobożności. Podobnie z rezerwą odnosił się do sakralizacji polskości, co prymas Wyszyński akcentował w kazaniu z lata 1957 roku wygłoszonym w Zakopanem.

Magdalena Grochowska przytacza opinię dr Marii Wosiek, członkini KOR, KIK, współautorki „Słownika biograficznego teatru

polskiego": „Wątek maryjny rodził napięcia miedzy KIK-iem, „Więzią", „Tygodnikiem Powszechnym" a Wyszyńskim. Maryjność miała mobilizować ruch ludowy w oporze przeciwko komunizmowi. To było wojsko kierujące się emocjami i tradycyjną religijnością. Za tego typu populistyczną politykę płacimy koszty do tej pory." Autorka wypowiedzi uważa, że Radio Maryja jest naturalną ludyczną spuścizną kultu maryjnego.

Miał odwagę, wynikającą z przekonania, wypowiedzieć swoje racje. Także wobec papieża. W liście do papieża Piusa XII, który ziemie przyłączone do Polski nazywa niemieckim Wschodem (marzec 1948), pisze: „Ale jeżeli jest w dziejach ludzkości ślad Bożej sprawiedliwości, to granica polsko-niemiecka stać będzie na Odrze i Nysie. I to będzie jedna z podstawowych skutecznych gwarancji pokoju miedzy narodami europejskimi." Jaka byłaby historia alternatywna, gdyby...? Gdyby ks. Jan Zieja 29 maja 1945 roku nie przyjechał do Słupska, gdyby 11 września 1945 roku Administrator Apostolski w Gorzowie ks. prałat Edmund Nowicki nie mianował ks. Ziei proboszczem parafii miasta Słupsk i powiatu? Gdyby 1 stycznia 1946 roku ks. Zieja nie został zwolniony z funkcji proboszcza przez ks. Nowickiego, a na jego miejsce Administrator Apostolski nie naznaczył ks. Karola Chmielewskiego? Gdyby nie objął parafii w Wytownie?...

Ale wcześniej, w sierpniu 1944 roku kapelan mjr ks. Jan Zieja, ps. Rybak z pułku Baszta z Mokotowa był powstańcem. W siódmym dniu powstania został ranny w nogę, ale mimo to sprawował duszpasterskie obowiązki. „Na stanowisko dowodzenia przyszedł ksiądz Jan Zieja, dał żołnierzom wiatyk. Żołnierze otrzymali rozgrzeszenie. Tam, gdzie stali, przyklękali i przyjmowali komunię świętą. To była szczególna okazja dla walczących o Warszawę, by znajdować się w stanie łaski uświęcającej. Z grupą żołnierzy przebiegali przez podwórko ogrodzone murem i zamknięte metalową bramą, gdy usłyszeli wybuch bomby lotniczej, której odłamki podziurawiły bramę jak sito. W momencie wybuchu Paweł dał rozkaz: - Padnij! I w tym momencie poczuł szarpnięcie w lewej nodze. Noga zdrętwiała natychmiast, a but był przecięty kawałkiem rwanego metalu pochodzącego z bomby. Krwi nie było widać, więc Paweł ostrożnie ruszył palcami u zdrętwiałej nogi. Po przecięciu skarpety okazało się, że odłamek nie uszkodził nogi, skóra była nienaruszona. Skończyło się na siniaku. Soli Deo gloria!" - pisze Janusz Kolasiński w publikacji „Powstaniec Warszawy".

Trudno nie wierzyć, że wówczas ks. Zieja poznał Pawła Kolasińskiego, ps. Rom, żołnierza pułku Baszta na Mokotowie.

Znajomość będzie miała ciąg dalszy. Tymczasem powstanie dogorywało, a powstańcy opuszczali zniszczone miasto. Ksiądz Jan Zieja w porozumieniu z władzami AK udał się na Pomorze Zachodnie, aby tutaj od 13 listopada 1944 do 3 maja 1945 roku służyć posługą duszpasterską Polakom wywiezionym na przymusowe roboty. Jego kapłańska droga wiodła przez: Braunsberg (Braniewo), Frombork, Bromberg (Bydgoszcz), Gotenhafen (Gdynia), Martensdorf. Stralsund i Barth oder Ostsee. W grudniu 1944 roku, będąc na robotach przymusowych w Niemczech w okolicach Barth (na południe od wyspy Rugii) pod wpływem bolesnych obserwacji, nakreślał zarys swej pracy duszpasterskiej. Po przybyciu do Słupska w końcu maja 1945 roku i utworzeniu przy kościele św. Ottona wzorowej parafii katolickiej, z determinacją rozpoczął tworzenie domu świętego macierzyństwa, czyli Domu Matki i Dziecka.

Przybywali nowi mieszkańcy do miasta i okolic. Z PUR-u dostawali adresy, bywało, wychodzili rano, wracali wieczorem i przynosili torby owoców. Opowiadali, że niektóre drogi obsadzone są drzewami owocowymi i o tym, że okolica jest piękna, ale niebogata. „- Mamusia pilnowała bagaży, a ja chodziłam po Słupsku. Byłam świadkiem ekshumacji grobów w parku przy ulicy Partyzantów" - wspomina mieszkanka Objazdy, słuchaczka Uniwersytetu Niedzielnego ks. Ziei, Henryka Maria Cieślik, wówczas Grabowska.

Wielu słupszczan przybyło z Warszawy po upadku powstania. 15 września 1946 roku w Słupsku odsłonięto pierwszy w Polsce pomnik Powstańców Warszawy, którego autorem był znany rzeźbiarz Jan Małeta. Przewodniczącym szesnastoosobowego Komitetu Budowy Pomnika został Edward Łada-Cybulski, ale jednym z inicjatorów powstania pomnika był ks. Jan Zieja. „Wprawdzie Zdzisław Stankiewicz w publikacji „Był taki ksiądz" stwierdza, że nie ma dokumentu potwierdzającego tę wersję, natomiast uznaje zaangażowanie ks. Ziei w lokalizację pomnika" - pisze Tadeusz Rogowski w publikacji „Pierwszy powstańczy".

W styczniu 1946 roku proboszczem w Słupsku z dwoma wikariuszami został ks. Karol Chmielewski, a ks. Zieja posłusznie przyjął decyzję Administratora, opuścił słupską parafię, chociaż prosił o wikarych do pomocy, a nie zmianę parafii. Aby ocalić Dom Dziecka, zgodził się na jego upaństwowienie, natomiast idea Uniwersytetu Ludowego pozostała w realizacji. 3 kwietnia 1946 roku ks. Jan Zieja został proboszczem w Wytownie. „Na początku października tego roku ks. Zieja ze swym zespołem wykładowców zaczął przygotowywać jesienny kurs Uniwersytetu Ludowego, tym razem w Wytownie" - pisze Zdzisław Machura.

Z Podgórza spod Łomży przyjechali Zaczkowie i Kalistowie. W Objeździe Stanisława Zaczkówna spotkała Olka Kalistę, sąsiada z Podgórza. Niedawno przez lasy Syberii, Uzbekistan, Kazachstan, wreszcie szlakiem bojowym II Armii wrócił z zesłania. Mieli za sobą podobne doświadczenia przymusowej pracy w nieludzkich warunkach. Dobrze się rozumieli. Pobrali się 7 września 1947 roku, a małżeństwo pobłogosławił ks. Jan Zieja.

W tym samym czasie przez punkt repatriacyjny w Łodzi do Objazdy (wówczas Wobesde) w okolicach Słupska przybyli Jadwiga i Albin, niedawni przymusowi robotnicy rolni spod Stralsund, bo nie było Polski tam, gdzie zostały ich rodzinne domy. Kiedy w domku na końcu wsi na świat przyszła ich piękna, zdrowa córeczka, ks. Jan Zieja objął parafię w Wytownie. Kapłan idący jak oni wojennym szlakiem, ochrzcił i obdarował katechizmem z dedykacją ich dziecko. W Objeździe osiedlili się na stałe, ks. Jan Zieja nie zatrzymał się na długo, powędrował dalej, tak widać musiało być.

Roman Zub w Kronice Objazdy zanotował właściwie na ten temat dwa zdania, które stały się pretekstem tej opowieści: „W tym okresie do wsi Wytowno przybył ks. Jan Zieja - pierwszy proboszcz parafii Wytowno i opiekun kościołów filialnych w Objeździe, Gąbinie Machowinie i w Rowach. Był on też inicjatorem założenia Uniwersytetu Ludowego w Wytownie oraz wykładowcą nauk ścisłych wg programu Wiedzy Powszechnej. Kierownikiem Uniwersytetu była pani dr Anna Minkowska, a wykład(owcami) P. i A. Kolasińscy. W Objeździe była filia, tzw. Uniwersytet Niedzielny, który cieszył się frekwencją."

Niedzielny Uniwersytet w Objeździe działał od listopada 1946 roku do maja 1947, w każdą niedzielę po mszy w szkolnym budynku tuż obok kościoła. Z Wytowna z wykładami - saniami bądź furmanką - przyjeżdżali Anna Minkowska i Paweł Kolasiński, rzadziej Aleksandra Kolasińska ze względu na odmienny stan. W prace Uniwersytetu Niedzielnego zaangażował się również nauczyciel szkoły w Objeździe Wiesław Bobrowski.

Czas wrócić do powstańczego wątku, w którym wielka historia pisała losy konkretnych osób. Właściwie od Powstania splatają się losy ks. Ziei oraz Pawła Kolasińskiego i jego żony Aleksandry. Powstańczy epizod ukształtował życie całej rodziny: rodziców i pięciorga dzieci. Pisze o tym uczeń szkoły w Wytownie Tadeusz Widny oraz syn Aleksandry i Pawła Kolasińskich - Janusz. „W roku 1946 powstaniec warszawski z Mokotowa, podchorąży Paweł Kolasiński „Rom" z krakowianką - żoną Aleksandrą (Rybianką) Kolasińską przyjechali do Wytowna (wtedy jeszcze niemieckiej wsi

Weitenhagen. Przyjazd ten był na życzenie księdza Ziei.” - pisze Tadeusz Widny w internetowej oublikacji „Wytowno. Moja Alma-mater.” Paweł Kolasiński zaangażował się w sprawy kościelne, pozostając przez lata organistą, także wtedy, gdy ks. Zieja wyjechał z parafii. Osobistą jego znajomość z ks. Janem Zieją, syn Janusz we wspomnieniu o ojcu potwierdza „Zaświadczeniem” z 1990 roku.

O zaangażowaniu państwa Kolasińskich w sprawy Uniwersytetu Ludowego pisze Roman Zub w „Kronice Objazdy” oraz Zdzisław Machura w publikacji „Był tu wśród nas na słupskiej ziemi”. Państwo Kolasińscy, oboje utalentowani muzycznie, uczyli młodzież śpiewu, w tym hymnu wiciowego ze słowami Stanisława Młodożeńca:

Do niebieskich pował, od grud czarnej ziemi
Niech się sztandar nasz wiciowy kolorami mieni
Na sztandarze naszym skrzy się piękno świata
Wyszedł swymi kolorami chłopskie dusze bratać.

Koło „Wici” w Wytownie powstało z inicjatywy ks. Jana Ziei, który został jego członkiem i przewodniczącym. To zaniepokoiło ks. prałata Nowickiego, ale uznał racje księdza, natomiast wiciowcy, między innymi wystąpieniem Stefana Ignara na swym zjeździe, odnosili się do księdza Ziei nieufnie, czasem wrogo.

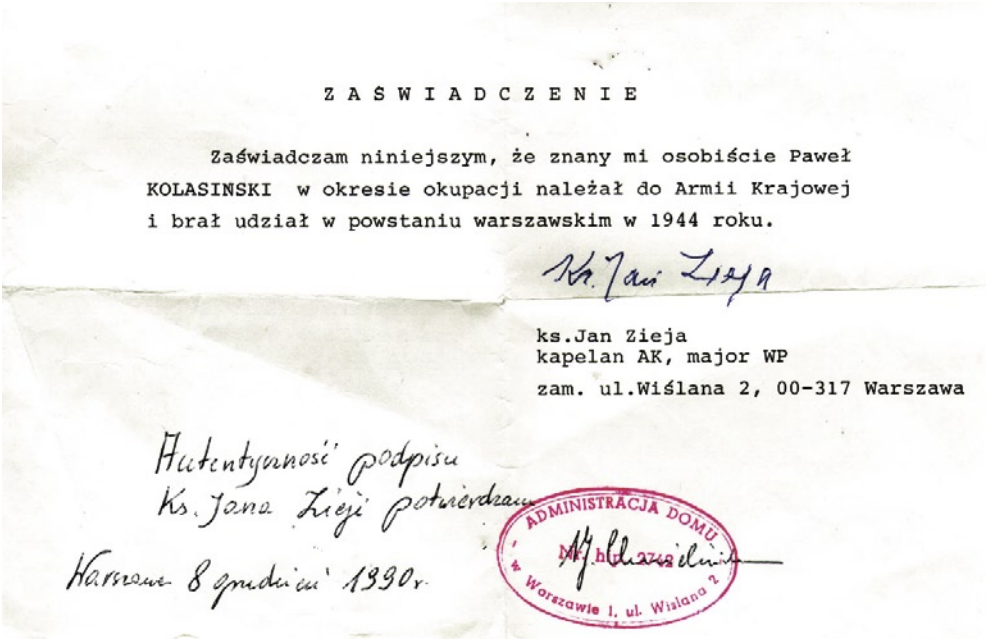

Z A S W I A D C Z E N I E

Zaświadczam niniejszym, że znany mi osobiście Paweł KOLASINSKI w okresie okupacji należał do Armii Krajowej i brał udział w powstaniu warszawskim w 1944 roku.

Ks. Jan Zieja

ks.Jan Zieja
kapelan AK, major WP
zam. ul.Wiślana 2, 00-317 Warszawa

Autentyczność podpisu
Ks. Jana Zieji potwierdzam

Warszawa 8 grudnia 1990r.

ADMINISTRACJA DOMU
w Warszawie I, ul. Wiślana 2

Dokument ze strony internetowej Tadeusza Widnego.

Prócz państwa Kolasińskich uczących poza śpiewem geografii, astronomii, literatury, wykłady z historii prowadziła dr Anna Minkowska, pozostając z Pawłem i Aleksandrą Kolasińskimi w zażyłości, o czym świadczyć może jej obecność na uroczystości I Komunii św. syna Janusza.

Kiedy wiosną 1947 roku coraz wyraźniej rysowała się konieczność opuszczenia Wytowna, ks. Jan Zieja zorganizował zebranie, by przedstawić problem. Na stałe we wsi mieli pozostać państwo Kolasińscy, im ks. Zieja powierzył opiekę nad uniwersytecką młodzieżą. Przyszłość wiązali ze szkołą, ponieważ oczywista stała się możliwość objęcia szkoły przez pana Kolasińskiego po odchodzącym ze stanowiska kierownika Turzyńskim.

Państwo Kolasińscy zamieszkali w Wytownie. Jakie byłyby losy rodziny, gdyby nie odpowiedź obecnością na wezwanie ks. Jana Ziei? Na pewno na końcu swej drogi nie czuli się spełnieni, mimo zaangażowania w pracę w szkole, uczestnictwo w życiu religijnym, pomoc mieszkańcom wsi. Byli ludźmi dawnego świata, wierni wartościom i zasadom. Na pewno na karierze Pawła Kolasińskiego zaważył AK-owski epizod i nieprzynależność. Do tego doszły nieporozumienia z kolejnym proboszczem, związane z zamianą budynków szkoły i plebanii. W pewnym momencie czuli się opuszczeni i osaczeni.

A pamiętali jeszcze czas, kiedy przyjeżdżali do ks. Ziei do Wytowna goście z wielkiego świata: Anna Iwaszkiewiczowa, żona Jarosława, przyjeżdżał Jerzy Zawieyski, Bolesław Piasecki. Wydawało się, że idea egalitaryzmu chrześcijańskiego staje się rzeczywistością. Przed wyborami do sejmu w 1947 roku ks. Zieja uczestniczył w wiejskim zebraniu w Wytownie. Już wtedy stało się jasne, że zwycięży blok partii z PPR.

W połowie 1949 roku chory na płuca ks. Zieja wrócił do Warszawy, opuścił Wytowno, Objazdę, Orzechowo. Wszystkie plany trzeba było zweryfikować, poddać przymusowi kompromisu. Entuzjazm pierwszych powojennych lat gasł. Ludzi pochłonęła codzienność. Mimo to umieli znaleźć czas i sposoby, by się poznawać w zabawie, tworzeniu, pracy. Opisy odnajdziemy w „Kronice" wiejskiego bibliotekarza Romana Zuba.

Małe jest piękne. Kościół w Objeździe

Wpisany do rejestru zabytków województwa koszalińskiego pod nr 317

W Objeździe w środku wsi na wzgórku stoi malowniczy szachulcowy kościółek zbudowany w 1606r., a następnie rozbudowany w XIX w. Pierwotną jednonawową bryłę zamyka dwuspadowy dach kryty karpiówką. Od strony północno - zachodniej dach wieńczy ośmioboczna drewniana wieża (latarnia) pokryta cebulastym dachem z blachy. Na szczycie „powiewa" barokowa chorągiewka z kutego żelaza, prostokątna z wywiniętym dolnym wąsem i wyciętym napisem „Anno 1606". Przez lata wieża kościoła stanowiła ważny punkt nawigacyjny dla rybaków, ponieważ widoczna jest z morza i jeziora Gardno.

Podświetlony nocą kościół w Objeździe.

W 1617 roku właścicielem Objazdy był Antonius von Natzmer, wzmianki o związkach Natzmerów z Objazdą pojawiają się na początku XVII wieku. Prawdopodobnie był fundatorem ołtarza i ambony. Ludwig Böttger w 1894 roku pisał, że ołtarz łączył się z amboną tuż przy murze (w takim kształcie przetrwał do okresu powojennego). Ołtarz z centralnym obrazem przedstawiającym ukrzyżowanie na Kalwarii miał po bokach herby fundatorów: Antoniusa

Natzmera i jego żony z domu Weyers, oraz datę, rok 1631. Na odwrocie konstrukcji ołtarza widnieje numer 1793, wskazuje rok odbudowy, która stała się konieczna.

W XVIII wieku kościół wyposażono w elementy w stylu barokowo-ludowym, między innymi blisko dwumetrowej długości ławy z malowanego drewna w oddzielnym zamykanym ozdobnym segmencie tuż przy ołtarzu, w nawie bocznej. Z tego miejsca w liturgii uczestniczyli właściciele majątku mieszkający w pałacu sąsiadującym z kościołem.

Po 1945 roku siadali w nich miejscowy młynarz z rodziną, naczelnik poczty i inni z wiejskiej elity. Ławeczki przepadły, nie wiadomo gdzie. Natomiast w Sanktuarium Św. Jakuba Apostoła w Lęborku, na Drodze św. Jakuba (Pomorska Droga św. Jakuba) znajduje się płyta nagrobna z 1629 roku z napisem: „Płyta nagrobna synów Antoniego Natzmera, starosty słupskiego i sławieńskiego, obecnie starosty lęborskiego, dziedzica Gutzmin (Chocimino) i Wobesd (Objazda) zrodzeni z Nikolainy z Wejherów".

W kościele w Objeździe nawę boczną, dobudowaną w wieku XVIII, wyposażono w skromny, ale piękny instrument organowy z jednym manuałem, registrami pedałowymi i klinowym miechem jednoczęściowym. Do lat siedemdziesiątych XX wieku organy były w użyciu dzięki umiejętnościom i wytrwałości miejscowego muzyka, bibliotekarza i organisty, nieodżałowanego Romana Zuba. Uczestniczył w każdej mszy grając na organach, a pod chórem stawali młodzieńcy gotowi do kalikowania. Poczytywali sobie za zaszczyt takie uczestnictwo we mszy. Niekonserwowany i nieremontowany instrument niszczał. Od dawna organy milczą, a kalikanci nie są potrzebni w czasie mszy. W ewidencji zabytków wpisane zostały jako wyposażenie kościoła, ale bez określenia miejsca pochodzenia i warsztatu. Nie są objęte opieką konserwatorską. Ich dalszy los zależy od wrażliwości proboszcza i parafian. Zubożało wnętrze kościołka. Cynowe lichtarze wymieniane w informatorach jako stanowiące wyposażenie kościoła zostały przeniesione do Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Weszły w skład muzealnej kolekcji wyrobów cynowych, wśród nich wymienione przez Ludwiga Böttgera w „Die Bau-und Kunstdenkmäler des Regierungs-Bezirks Köslin. Herausgegeben und Alterthumskunde. Bearbeitet von Ludwig Böttger und Baurath im Ministerium der öffentlichen Arbeitn. Band II. Heft 4. Kreis Stolp. Stettin. Commissions-Verlag von Leon Saunier's Buchhandlung 1894", który pisząc o fundacji ołtarza i ambony dodaje: „W tym czasie wylano dwa proste świeczniki ołtarzowe z cyny". Przepadły też dwa siedmioświecowe

posrebrzane kandelabry na wysokim tralkowym stojaku z czarno lakierowanego drewna oraz przywiezione z okolic Siedlec barokowe lichtarze z XVIII wieku z literami L.S. oraz herbem o trójpolowej tarczy pod książęcą koroną, przepadły przed 1973 rokiem. Wtedy w czasie przeprowadzonego spisu stwierdzono ich brak i odnotowano ten fakt w kartach ewidencyjnych zabytków.

Ludwig Böttger pisze ponadto, że podobnie jak w wielu innych kościołach w tym rejonie w kościele został zawieszony model statku, który przypominał o zawodzie większości członków społeczności religijnej, a niebieski pas pod sklepieniem zachowany w zagłębieniu staromodnego budynku symbolicznie łączył położone nad jeziorem Gardno pomorskie wioski.

Tylko karty ewidencyjne zabytków ruchomych i fotografie są dowodem, że istniały, że zdobiły maleńki kościółek filialny należący w latach powojennych - do 1989 roku do parafii Wytowno. Znak czasów, kiedy do zabytków sztuki sakralnej w małych miejscowościach podchodzono bez należytej pieczołowitości, pozostawiając troskę o nie przypadkowym osobom. Zapewne działały w dobrej wierze. Ktoś przykrył szachulcowe ściany boazerią, a drewniane słupy podpierające strop pomalował olejną farbą. Wtedy zastąpiono drewniany trzymetrowej wysokości barokowo - ludowy ołtarz z XIX wieku innym, zrobionym na kształt kielicha przez miejscowego stolarza pana Kazimierza Krawca, który zamieniono podczas remontu generalnego kościoła na duży prosty ołtarz z piaskowca.

Die Kirche in Wobesde

Kościół w Objeździe na przedwojennej fotografii.

Zabytkiem jest dzwon z 1655 r. oraz barokowo - ludowa empora zaprojektowana jako pilaster z malowanego drewna nad wejściem, tworząca kruchtę. Było to miejsce dla chóru muzycznego, jak wskazuje karta zabytku. Po renowacji starto farbę, pozostawiając zagruntowane drewno.

Przed wojną w Objeździe odprawiano nabożeństwa w porządku ewangelickim.

Pierwszym powojennym proboszczem był ks. Jan Zieja, który objął parafię w Wytownie we wrześniu 1946 roku. W książce

„Życie Ewangelią" ks. Jan Zieja wspomina: „Poprosiłem wtedy biskupa, aby mnie mianował proboszczem nadmorskiej części mojej dawnej parafii, gdzie była wieś Wytowno, a w niej kościółek katolicki. Do niego należał kościółek w Objeździe i jeszcze trzeci w Rowach nad samym morzem. Będziemy wszystkie trzy obsługiwać i zarazem mieć Uniwersytet Ludowy w Orzechowie Morskim pod ręką. Biskup się zgodził i mnie do Wytowna posłał."

Do dziś mieszkańcy wsi wspominają epizod z działalności ks. Ziei. Miał się odbyć ślub dwojga młodych przybyłych na ziemie odzyskane z nadzieją na nowy lepszy los. Był to pierwszy powojenny ślub w tym kościele. Pan młody - sybirak, żołnierz obozu w Sielcach i panna młoda spod Łomży przybyli do Objazdy z grupą młodzieży i tu postanowili się pobrać. Ślubu miał udzielić ks. Jan Zieja. Przyjaciele chcieli uhonorować młodych. Rozwinęli czerwony dywan, po którym młodzi mieli wejść do kościoła. Kiedy ks. Zieja zobaczył wystrój, poprosił o zwinięcie dywanu.

- Wszyscy jesteśmy równi wobec Boga - tłumaczył swoją decyzję.

- Nie wszystkim mogę okazać tyle honorów, więc i w tym wypadku nie mogę się zgodzić na taki luksus - dodał.

Ślub odbył się, a małżonkowie dożyli w Objeździe sędziwego wieku, ciesząc się dziećmi i wnukami. Oboje po latach spoczęli na miejscowym cmentarzu.

Z kolei pani Dorota przypomina zdarzenie, o którym opowiedziała jej ciotka Sadowska z Bałamątka. Ujęci ubóstwem kapłana parafianie ofiarowali księdzu nową jesionkę, by nie marzł w czasie wędrówek po parafii. Ksiądz Zieja prezent przyjął i podziękował, ale jesionkę podarował bardziej potrzebującemu.

Początkowo jednak, w roku 1945, tuż po zakończeniu działań wojennych, ks. Zieja, który przybył na ziemię słupską w maju 1945 roku, przemierzał na rowerze cały powiat, docierając także do Rowów.

„W Rowach nad samym morzem, był kościół, do którego jeździłem. Proszę Pana, to była wieś uważana przez dawny rząd niemiecki za idealnie słowiańską, wszystkie domy zbudowane w historycznym stylu zachowały się dobrze.(...)" - opowiada w wywiadzie dla Jacka Moskwy. Proboszczował w Wytownie krótko, od kwietnia1946 roku do 1948 roku, ale zyskał sympatię i wdzięczną pamięć parafian.

Przez lata dzieci chodziły do kościoła w Wytownie, by przygotować się do Pierwszej Komunii Św. Tam też odbywały się ważniejsze parafialne uroczystości: Pierwsza Komunia Św., uroczystości

Latem 2006 roku z inicjatywy ks. Stanisława Fortuńskiego rozpoczął się remont kapitalny kościoła w Objeździe.

Bożego Ciała, na które furmankami, pieszo, rowerami zjeżdżali się wierni ze wszystkich wsi. Procesja szła przez wieś i pola wokół. Parafia należała do diecezji koszalińsko - kołobrzeskiej i obejmowała cztery filialne kościoły: w Machowinie, Wytownie, Objeździe i Rowach.

W lutym 1989 roku dokonano podziału parafii: kościoły w Objeździe i Rowach weszły w skład parafii w Objeździe z przynależnością do dekanatu główczyckiego i diecezji pelplińskiej.

Wiosną 2006 roku rozpoczęto z inicjatywy ks. Stanisława Fortuńskiego remont kościoła. Prace wykonywał rekomendowany przez proboszcza, zaakceptowany przez konserwatora zabytków fachowiec z okolicy. Był on i dwóch pomocników. Opatrzność czuwała nad kościołem, bo ani razu nie spadł deszcz, a upały dokuczały robotnikom, którzy zaczynali prace wcześnie rano, odpoczywali w porze południowej i znów pracowali pod wieczór. Prace nadzorowane przez konserwatora zabytków postępowały bardzo powoli. Dopiero kiedy zaniepokojeni mieszkańcy Objazdy włączyli się w prace remontowe, Pasterka 2006 roku mogła odbyć się w kościele. Przed Wielkanocą we wnętrzu kościoła pojawiły się nowe ławki. Latem 2007 roku wymieniono okna, a kopułę wieży pokryła miedziana

blacha. Tę pracę wykonał bardzo sprawnie miejscowy rzemieślnik, Henryk Dehmel. Niestety, zakres prac przewidzianych przez konserwatora nie został wyczerpany. Dotyczy to między innymi prac tynkarskich, do których zostały przygotowane szachulcowe pola. Bele wystają poza mur o grubość przewidzianego tynku i w czasie deszczu zbierają wodę.

Jeszcze w latach 60. ubiegłego wieku na przykościelnym cmentarzu znajdowały się grobowce i okazałe marmurowe krzyże. Nie ma po nich śladu, poza amatorskimi fotografiami. Kiedy pod koniec lat 90. cmentarz restaurowano, jeden z ocalałych krzyży żeliwnych ustawiono na kamiennym murze, który obecnie oddziela teren kościelny od cmentarnego. Urządzono tu małe lapidarium poświęcone rodzinie Kutscher - ostatnim przedwojennym właścicielom majątku. Ostatni zapis o pochówku pochodzi z 2004 roku.

Marmurowy krzyż na przykościelnym cmentarzu w Objeździe na amatorskiej fotografii z lat 60.

O związkach właścicieli majątku z wiarą opowiadają pojawiające się tu i ówdzie historie. Kręte ścieżki wiary w rodzie Kutscherów, którzy byli dziedzicami wsi od 1838 roku do 1945, urosły do rangi legendy.

Na początku XIX wieku w państwie pruskim, zatem także w prowincji pomorskiej wyznanie ewangelickie było w zasadzie powszechne. Jednak obowiązująca od połowy stulecia pruska konstytucja przyznawała innym wyznaniom, podobnie jak ewangelikom prawo do organizowania i posiadania własnych fundacji i funduszy na nauczanie i szerzenie kultu. Już od 1841 roku słupscy katolicy czynili starania o utworzenie własnej gminy wyznaniowej, jednak dwukrotnie spotkali się z odmową biskupów z Pelplina i Poznania. Dopiero w 1851 roku kapłan misyjny Aleksander Pfeiffer, który między innymi działał w Słupsku, uzyskał postanowienie w dokumencie erekcyjnym parafii misyjnej w Koszalinie, że parafia słupska należeć będzie do diecezji (sic!) wrocławskiej. Parafianie rozpoczęli starania o budowę kościoła parafialnego. W końcu dzięki dotacjom możnych i pracowitości parafian ze Słupska

i okolicznych wsi, w latach 1872-1873 wybudowano świątynię przy dzisiejszej ulicy Henryka Pobożnego. Kościół otrzymał wezwanie św. Ottona, co było powszechnie zrozumiałe. 25 maja 1889 roku powstała w Słupsku pierwsza i jedyna do 1945 roku parafia katolicka. W 1947 roku kościół został przekazany siostrom klaryskom.

W 1900 roku spośród 769 katolików w Słupsku 36 było Polakami, w większości o nazwisku Marczak. W 1910 roku Objazda liczyła 771 mieszkańców, a w 1939 już 991. Marczakowie mieszkali także w Objeździe i w 1915 roku chrzcili w kościele św. Ottona syna Kazimierza. W tym czasie było aż 29 urodzeń rocznie w rodzinach katolickich.

Tymczasem właścicielem majątku w Objeździe w 1903 roku był 27-letni Erich Kutscher, nieuleczalnie chory ekscentryczny szlachcic. W nadziei na uzdrowienie sprowadził do wsi mistyka, Szwajcara Toberera, który otumanił mieszkańców wsi tak, że przestali chodzić do kościoła. Ewangelicki pastor - według miejscowych przekazów zapisanych w niemieckich kronikach - w karczmie opowiadał obrazowo o mękach piekielnych, na które narażają się odszczepieńcy od wiary. Przerażeni wierni wrócili do kościoła, a oszusta przepędzono ze wsi. Dziedzic Kutscher zmarł w 1911 r.

Pod koniec lat 20. XX w. w Objeździe pojawili się natomiast mormoni, członkowie amerykańskiej sekty, która kierowała się surowymi zasadami obyczajowymi, ale dopuszczała poligamię. W niemieckojęzycznej kronice Objazdy zapisano, że ruch mormoński w latach 1929-1945 za sprawą sprzyjającego sekcie pastora Kypke był imponujacy. Tuż przed wybuchem II wojny światowej we wsi mieszkało 16 mormonów, których opiekunką stała się arystokratka - Katherine Kutscher. To ona prawdopodobnie uratowała ich przed hitlerowskim obozem koncentracyjnym. Po wojnie wszyscy mormoni wyemigrowali do Salt Lake City w Stanach Zjednoczonych. Na przykościelnym cmentarzu zostały jedynie nagrobki przedwojennych protektorów, przedstawicieli rodu Kutscherów.

Przed kościołem po lewej stronie znajduje się wymagająca pilnie renowacji ława wotywna z zatartą już niemal inskrypcją umieszczoną na wysokim oparciu krytym półkolistym daszkiem z blachy. Nad inskrypcją umieszczono wizerunek św. Jerzego (jeździec z dzidą przebijający smoka). Po bokach niżej wizerunki orła i gryfa. Powszechnie uznaje się, że jest to pomnik poświęcony pamięci poległych w I wojnie światowej żołnierzy pochodzących z Objazdy. Sprawę mogłoby wyjaśnić odczytanie inskrypcji. Nie przeprowadzono dotychczas takich badań, a charakter pomnika określa się na zasadzie prawdopodobieństwa.

Pomnik żołnierzy I wojny światowej przed kościołem w Objeździe.

Po prawej stoi wysoki kamień w kształcie siedziska. Można na nim jeszcze częściowo odczytać wykute w kamieniu nazwiska. Komu i kto postawił ów obelisk? Jakie wydarzenie upamiętnia?

Na wzniesieniu obok głównego wejścia do kościoła znajduje się kamienna kapliczka z odkrytą wnęką na figurkę. Kamień był dostępnym materiałem budowlanym, więc chętnie i umiejętnie z niego korzystano. Bronisława Zawadowa z domu Ludwiczuk, rocznik 1942, wówczas kilkuletnia dziewczynka wspomina, że ksiądz Zieja zachodził do ich domu, ponieważ jej ojciec Władysław Ludwiczuk podjął się obowiązków kościelnego. Dbał o kościół, wykonywał drobne naprawy, kiedy było trzeba wykopał grób, a potem postawił cementowy nagrobek. Ksiądz Zieja po przebyciu pieszo lub rowerem drogi z Wytowna, odpoczywał w ich domu pełnym dzieci. Nie chciał korzystać z łóżka, prosił o wiązkę słomy, która wystarczała za posłanie. Wtedy właśnie powstała idea

Wiosna 2016. Ks. Mariusz Drogosz z parafianami porządkuje przykościelny teren.

budowy przykościelnej kapliczki, świadectwa katolickiego charakteru maleńkiego kościółka. W rodzinie Ludwiczuków urodziło się siódme dziecko, mała Franciszka. Był rok 1947. Z kamieni, przy pomocy starszych dzieci, Władysław Ludwiczuk budował kamienną grotę dla Niepokalanej Matki Bożej. Przetrwała do dziś i niewiele osób pamięta, kto i kiedy ją postawił. Historię kapliczki opowiedzianą przez Bronisławę Zawdową potwierdza ochrzczona przez ks. Jana Zieję Wiktoria urodzona w Objeździe.

Kapliczka nie została wpisana do ewidencji zabytków, ale stoi na terenie objętym opieką konserwatora i na jej remont trzeba było uzyskać stosowne pozwolenia.

Rodzina Władysława Ludwiczuka: żona Franciszka i córki: od prawej Bronisława, Genowefa i Franciszka. Na drugim planie dawny budynek szkolny z zabudowaniami towarzyszącymi.

W okresie wakacji zatrzymują się przy kościele turyści z aparatami fotograficznymi. Bramę łatwo otworzyć, więc zwiedzają cały przykościelny teren. Niestety, do wnętrza kościoła nie można zajrzeć. Między Swołowem a Klukami w obszarze Krainy w Kratę kościół pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej w Objeździe jest jedynym zabytkiem sakralnym z czterystuletnią historią.

20 listopada 2014 roku między pierwszą i drugą turą wyborów samorządowych kościół p.w. Matki Bożej Częstochowskiej w Objeździe otrzymał iluminację. Potrzebne jeszcze: dokończenie prac

konserwatorskich, uporządkowanie terenu przykościelnego pod kierunkiem konserwatora zieleni, podjęcie decyzji o remoncie lub dalszym losie organów.

W sierpniu 2015 roku parafię w Objeździe objął ks. Mariusz Drogosz, „odwołany z urzędu proboszcza parafii pw. św. Maksymiliana Marii Kolbego w Osowie i z dniem 1 sierpnia 2015 r. mianowany proboszczem parafii pw. MB Częstochowskiej w Objeździe" - taka była decyzja w związku ze zmianami personalnymi w parafiach Diecezji Pelplińskiej, które wprowadził bp Ryszard Kasyna dekretami z 27 czerwca 2015 roku.

Rozpoczęło się porządkowanie kościoła i terenu przykościelnego. W porozumieniu i ze zgodą konserwatora zieleni usunięto grożące wywrotką spróchniałe wewnątrz drzewa. Uporządkowano teren za kościołem, upiększając go nowymi nasadzeniami. We wszystkich pracach uczestniczył ksiądz Mariusz Drogosz.

Kolejni proboszczowie parafii Wytowno, do której należał filialny kościół pw. Matki Bożej Częstochowskiej w Objeździe: Jan Zieja (1946-1948), ks. Wincenty Matłowski (1948-1949), ks. Paweł Aleksa (1949-1951), o. Adolf Waluk OFM-Conv. (1951-1952), ks. Henryk Suliński (1952-1957), ks. Roman Zięba (1957-1959), ks. Edmund Radtke (1959-1972), ks. Ryszard Pawlukowski (1972-1985), ks. Józef Pietras (1985-1986), ks. Wojciech Przybylski (1986-1989).

W 1989 roku kościół pw. Matki Bożej Częstochowskiej w Objeździe podniesiono do godności kościoła parafialnego z kościołem filialnym pw. Św. Apostołów Piotra i Pawła w Rowach. Pierwszym proboszczem nowej parafii Objazda był ks. Stanisław Fortuński.

Ks. Stanisław Fortuński (1950-2017) został pochowany w rodzinnym Siemczynie. W pogrzebie uczestniczyli parafianie z pocztem sztandarowym OSP z Objazdy.

O ludowych artystach, kościele w Objeździe i Antonim Krohu

Zwalone pnie lip leżały pod płotem i czas nastał najwyższy, żeby zrobić porządek wokół kościoła i w kościele. Ks. Mariusz Drogosz od tej sprawy rozpoczął proboszczowanie w Objeździe. Czasu było niewiele, obowiązki duszpasterskie objął z dniem 1 sierpnia 2015 roku, a uroczystość związana z osadzeniem w nowej parafii miała się odbyć 26 sierpnia, w dniu patronki kościoła, Matki Bożej Częstochowskiej.

Kłody, chaszcze trzeba było usunąć, przywrócić porządek, jednak żal wrzucić do ognia snycerski materiał. Dla poczatkującego rzeźbiarza zdecydowanie najlepsze jest drewno lipowe: miękkie, łatwo poddające się obróbce.

Madonna Czesława Kowalczyka ze Słupska i fragment obrazu Caravaggia „Madonna z Dzieciątkiem i św. Anną".

Pan Czesław Kowalczyk ze Słupska zgłosił się jako pierwszy po lipowe pnie i doszło do transakcji. W zamian wyrzeźbi figurkę do przykościelnej kapliczki, a potem, może latem przyszłego roku, jeszcze figurę z pozostawionego przy kościele pnia. Jak obiecał, wywiązał się z umowy. Jednak figurka nie mieściła się we wnęce kapliczki i nie bardzo się nadawała. Wierni na pewno nie dostrzegliby w niej wizerunku Matki Bożej. Pan Czesław zabrał rzeźbę i obiecał zrobić następną.

Ks. proboszcz znał zarys sprawy, ale nie brał udziału w pertraktacjach i przyznam się jak na spowiedzi, wcale go nie wtajemniczałam w zmianę planów.

Podobna historia zdarzyła się w dalekim Paszynie koło Nowego Sącza w czasach znacznie trudniejszych, a przez to będących wyzwaniem. Podczas peregrynacji po Polsce kopii obrazu Matki Bożej Częstochowskiej proboszcz tamtejszej parafii ks. Edward Nitka na podeście poniżej obrazu „ustawił kilka rzeźb Oleksego. Symbolizowały uczucia religijne prostych ludzi. Nie udało mi się dowiedzieć, jakie wrażenie na mieszkańcach Paszyna zrobiło to bardzo śmiałe, szokujące zestawienie otoczonego kultem obrazu z paprakami głuchoniemego

Wojtka" - pisze w jednej z gawęd Antoni Kroh. Książka nosi tytuł „Wesołego Alleluja Polsko Ludowa, czyli o pogmatwanych dziejach kultury plastycznej na ziemiach polskich", na rynku księgarskim pojawiła się w listopadzie 2014 roku, a autor otrzymał za nią Nagrodę Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera w kategorii publicystyki lub eseistyki na tematy społeczne. Książka ta przyszła do mnie w samą porę i skłoniła mnie do zmiany stanowiska w sprawie artystycznej oceny figurki Czesława Kowalczyka. Pocieszam się myślą, że i ksiądz Edward Nitka, bohater Antoniego Kroha, miał artystyczne wątpliwości, o których tak opowiada: „W samo milenium, podczas pielgrzymki głuchoniemych do sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia w Nowym Sączu Wojciech Oleksy wręczył ks. Biskupowi Ordynariuszowi prowadzącemu to nabożeństwo swoją pracę: Jezusa Ukrzyżowanego. (...) wtedy zaniosłem osobiście do muzeum w Nowym Sączu dla oceny artystycznej woja Lechitę i bodajże Chrystusa Ukrzyżowanego i otrzymałem odpowiedź zupełnie negatywną, o której twórca Wojciech nie wiedział, a ucieszony, że Ks. Biskup przyjął jego rzeźbę, dłubał w drewnie wytrwale i coraz śmielej brał się za świątki, polichromując je kredkami."

W krótkim czasie Wojciech Oleksy zyskał sławę i uznanie, zachęcany przez ks. Edwarda Nitkę do artystycznej roboty. „Początkowo miejscowa ludność podchodziła do rzeźb Wojtka z uśmiechem lekceważenia, bo „to przecież takie brzydkie". Później zaczęły pojawiać się głosy: „ja też bym tak potrafił", co ks. Nitka kwitował słowami: „to nie gadaj, tylko zrób". Podobno zachęcał też do rzeźbienia słowami: „kto rzeźbi, trzy razy się modli". Tak powstawał zaczyn wielkiej sprawy: Muzeum Sztuki Ludowej im. ks. E. Nitki w Paszynie, historia prawdziwej, autentycznej kotwicy kulturowej.

Muzeum Sztuki Ludowej im. ks. Edwarda Nitki znajduje się przy parafii pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i zostało założone przez następcę księdza Edwarda Nitki, ks. Stanisława Janasa. Muzeum zostało uroczyście otwarte i poświęcone przez ordynariusza diecezji tarnowskiej bp Józefa Życińskiego we wrześniu 1994 roku. Zbiory obejmują trzy tysiące eksponatów ludowego rękodzieła. Podobnie kościół zdobią artystyczne wyroby miejscowych rzeźbiarzy i malarzy. Takim sposobem, to co nazywamy kotwicą kulturową, staje się nie tylko materialnym znakiem tożsamości, ale tworzy duchowość mieszkańców wsi.

Jej istota, jak każdej kotwicy kulturowej, zasadza się na wyjątkowości łączącej tradycję wpisaną w konkretną przestrzeń geograficzną z działaniami mieszkańców i instytucji. Nie lada wyzwaniem jest złamanie stereotypowego krajobrazu polskich wsi, gdzie najczęściej jedyną wspólną aktywnością kulturową są takie same dożynki i festyny. Paszyn jest wyjątkiem? A gdyby u nas połączyć idee odtworzenia

szlaku Jakubowego z aktywizacją artystyczną mieszkańców okolicy? Plener malarski w Rowach, Galeria Sztuki Ludowej Powiatu Słupskiego pod opieką artystyczną Zenona Frąckiewicza, zbiory etnograficzne, pieczołowicie gromadzone przez panią Zorzę Sędzicką w Zespole Szkół Samorządowych w Objeździe, które wciąż czekają na odkrycie i opracowanie są wyrazem działań konkretnych i ambitnych, jednak wciąż czekających na popularyzację, nawet wśród lokalnej społeczności. Szkoda również, że poza czyimkolwiek zainteresowaniem pozostają wyroby koronkarskie i dziewiarskie kobiet z kół gospodyń wiejskich.

Pan Czesław Kowalczyk jest znanym czytelnikom „Powiatu Słupskiego" autorem ciekawych artykułów, a snycerstwo jest jego nowo odkrytą pasją. Nie śmiałabym zestawiać jego koncepcji artystycznych z próbami rzeźbiarskimi brata organisty z Paszyna, Wojciecha Oleksego. Zdaniem jury Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera w kategorii publicystyki lub eseistyki na tematy społeczne autor, czyli Antoni Kroh, „z humorem i czułością kreśli sylwetki swoich ukochanych twórców, ale przypomina też o propagandowym uwikłaniu „sztuki ludowej" oraz „jest najbardziej elokwentnym i wiarygodnym kronikarzem tego odchodzącego świata. Potrafi ze swej gawędy stworzyć przypowieść o najczystszych źródłach kultury ludowej, tym samym przedłużając jej życie". Postać to niezwykła, choć mało znana. Przyznam, odkrywam jego twórczość i rośnie moje dla niego uczucie podziwu. W twórczości jak nikt łączy mistrzostwo gawędy z wiedzą etnografa i historyka kultury. Od lat jest współpracownikiem kwartalnika „Polska Sztuka Ludowa - Konteksty". Debiutował natomiast opracowaniem „Współczesna rzeźba ludowa Karpat Polskich" (1979). Pracował w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem i Muzeum Okręgowym w Nowym Sączu.

Świadomość znaczenia kultury ludowej jako składnika tożsamości społecznej i narodowej nie zawsze towarzyszyła głównemu nurtowi przemian. Po II wojnie światowej kultura ludowa w tradycyjnym kształcie szybko traciła znaczenie, regionalną przynależność, naturalnych opiekunów i twórców. Migracje, powszechność oświaty, zmiany sposobów życia i pracy sprawiły, że dawne tradycje zachowało starsze pokolenie w lokalnych środowiskach. Rozpadła się spójna ludowa kultura, ale jej części, atrakcyjne elementy, weszły w nurt folklorystyki, którym między innymi patronowała „Cepelia".

Antoni Kroh zapisuje w gawędach zawartych w tomie „ Wesołego Alleluja Polsko Ludowa" zjawiska okresu przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku na Sądecczyźnie. Szczególną urodą urzeka opowieść „Wade buda Otu pana". By rozszyfrować jej tytuł wróćmy znów do postaci ludowego twórcy

Czesław Kowalczyk, „Ukrzyżowany". Płaskorzeźba znajduje się w domu parafialnym w Objeździe.

Wojciecha Oleksego i księdza Edwarda Nitki, dzięki któremu Wojciech przestał być li tylko wiejskim pastuszkiem. Anegdotę opowiedzianą przez księdza Nitkę zapisał Antoni Kroh: „(...) zobaczyłem Wojciecha w garniturze, pod krawatem. Jakby mniej się garbił (...). Po odebraniu kolejnej nagrody oświadczył Księdzu: „Wade buba, Otu pana", co znaczyło, że Władek (brat) będzie odtąd pasać krowy, bo Wojtek jest panem. Ksiądz z wielką radością i dumą odnotował te słowa w kronice, a potem dziennikarze jeden po drugim przepisywali to zdanie (...)."

Dzięki ks. Edwardowi Nitce talenty odkryli i pomnożyli (jak w ewangelicznej przypowieści) Franciszek Palka, Michał Jasiński i jego córka Maria Jasińska, Mieczysław Piwko, Stasicek, czyli Stanisław Mika i inni. Antoni Kroh w narrację o paszyńskich ludowych twórcach włącza opowieść o roli „mecenatu", duchowych i materialnych opiekunach, przede wszystkim o wielkości ks. Edwarda Nitki, który wokół zwykłej lokalnej sprawy gromadził ludzi, a ludową rzeźbą swoich parafian potrafił zainteresować świat: Ludwika Zimmermana, który „był przyjacielem i dobrodziejem Paszyna, włożył tam wiele serca i niemało grosza", Barbarę i Jerzego Wesołowskich z Warszawy, którzy zebrali ponad trzysta figurek Chrystusa Frasobliwego, a swoją kolekcję przekazali Muzeum Mazowieckiemu w Płocku.

Zasługą Antoniego Kroha niech będzie i to, że pokazuje mechanizmy, uwarunkowania socjologiczne i psychologiczne, jakie towarzyszą tworzeniu. Podpowiada, jaka siłą może być mecenat, wsparcie lokalnych autorytetów, bo przecież dzieła sztuki ludowej, podobnie jak każda działalność artystyczna nie po to jest, „by pod korcem stała". Czas kompozycyjnie zamknąć całość.

Pan Czesław Kowalczyk pracuje nad nowym dziełem dla kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej w Objeździe. Ksiądz Mariusz Drogosz podjął się trudnego, kosztownego dzieła dokończenia prac remontowych zabytkowego kościółka i renowacji okalającego go terenu, we współpracy z konserwatorem zabytków (Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Gdańsku Delegatura w Słupsku). To początek, może zaczyn spraw jednoczących lokalną społeczność?

W Paszynie znajduje się Muzeum Sztuki Ludowej im. ks. Edwarda Nitki, założone przez ks. Stanisława Janasa, działające przy parafii pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Uroczystego

poświęcenia i otwarcia muzeum dokonał ówczesny ordynariusz diecezji tarnowskiej bp Józef Życiński 10 września 1994 roku. Obecnie w jego zbiorach znajduje się ponad 3000 eksponatów (rzeźb w drewnie i kamieniu, w postaci obrazów malowanych na szkle, wyrobów ze słomy, papieru i innych materiałów). Również budynek kościoła (powstałego w latach 30. XX w.) wypełniony jest wyrobami artystycznymi miejscowych rzeźbiarzy i malarzy.

W sobotę, 10 września 1994 roku w parafii Paszyn odbyła się podniosła uroczystość poświęcenia i otwarcia Muzeum Sztuki Ludowej im. ks. Edwarda Nitki. Paszyn to wieś położona w kotlinie malowniczego Beskidu Sądeckiego, oddalona o kilka kilometrów na wschód od Nowego Sącza, leżąca przy starym, średniowiecznym szlaku, łączącym podkarpackie miasteczka. Na początku lat siedemdziesiątych wieś ta rozsławiła się w Polsce i Europie samorodną plastyką ludową swych mieszkańców. Stało się to głównie dzięki ks. kanonikowi Edwardowi Nitce, który w 1957 roku został proboszczem w Paszynie. Działalność księdza, niezwykle sprawnego animatora twórczości swoich parafian, sprawiła, że Paszyn w stosunkowo krótkim czasie, ze wsi zaniedbanej pod każdym względem, stał się głośnym ośrodkiem kultury ludowej w skali europejskiej. Do Paszyna zaczęli przyjeżdżać coraz częściej i coraz liczniej miłośnicy sztuki ludowej, przedstawiciele muzeów etnograficznych i środków masowego przekazu także spoza granic kraju. Byli tu nawet wysłannicy japońskiej telewizji! Dziś Paszyn uchodzi w Polsce za największy ośrodek rzeźby ludowej i malarstwa na szkle. Dzieło poprzednika podjął jego następca ks. Stanisław Janas, który umieścił muzeum w wyremontowanej starej plebanii i części nowej.

Ks. bp Ordynariusz Józef Życiński podczas uroczystości otwarcia Muzeum: „Tak jest w życiu, że to, co proste, niepozorne, niezauważone, kryje w sobie wielkość. To, co rozreklamowane, wyniesione na piedestał, bardzo często demonstruje swój prymitywizm. Więc wierzcie w siebie. Czujcie się zespoleni z tą tradycją, która tutaj już została stworzona. Budujcie na fundamencie Chrystusa. W kościele, w modlitwie szukajcie inspiracji dla bezinteresownej służby pięknu. Pamiętajcie o tym Artyście Boskim, który jest w głębi waszej duszy; który jest w każdym człowieku. Nieraz jest to artysta uśpiony. Ksiądz Nitka obudził go. On zaczął działać i cały świat zachwycił się pięknem tego działania. Nie pozwólcie więc, by wasz artysta popadł w drzemkę. Niech te dobre cechy i talenty, które Chrystus wam przekazał, nie będą zakopane. Niech będą ustawicznie rozwijane. Niech to będzie najpiękniejsze epitafium, jakie możemy ufundować czcząc pamięć tego, który wyzwolił z was duszę artysty. Amen".

Legenda o kościele w Rowach

Kościół w Rowach.

Kościelne dzwony prześcigały się w głoszeniu radości niedzielnego poranka. Zielone ławeczki przed kruchtą na wprost prezbiterium zapraszały wiernych na mszę. Ojcowie redemptoryści, wypoczywający latem w Rowach, na czas kanikuły przejmowali duchową pieczę nad ludem Bożym. Miejscowy proboszcz, Stanisław Fortuński, oddawał im rząd dusz, a oni w podzięce za gościnność gorliwie wypełniali duszpasterskie obowiązki, służąc gościom i miejscowym.

Ojciec Grzegorz czynił ostatnie przygotowania w zakrystii. Ministranci w komeżkach sposobili się do posługi celebrantowi. Poranek był piękny. Od morza pachniało lekką bryzą. Wczasowicze i miejscowi tłumnie szli ulicą Kościelną. Nie spieszyli się, by nie spłoszyć świątecznego nastroju.

- Mały nasz kościółek, za mały na tyle luda - troszczyła się Irena Łepkowa.

- Ale stary, inny, powiedzieć można legendarny - uspokajała sąsiadkę Janina Dukielowa. I letnikom się podoba. A mszy słuchać można i przed kościołem. Ławeczki są, pogoda latem zawsze u nas ładna, więc niech jest jak było.

- A jak było? -zainteresowała się pięcioletnia Karolinka, wnuczka Łepkowej.

- A było, było. Może tam i lepiej byłoby nie wspominać Złego, bo gotów wrócić i tłuc ogonem o kamienie - przestrzegała Dukielowa.

* * *

Dawno to było. Tych, co tu mieszkali, nazywano Słowińcami. Lud to był bogobojny, pracowity, ojcowiznę miłujący. Głowy wysoko rowianie nosili, bo ich przodkowie króla Anglii Henryka IV gościli, gdy ten, jeszcze jako rycerz Henryk Derby z Lankasteru, w drodze do Gdańska do Rowów zawinął. Różni goście tu bywali. Na krótko i dłużej. A na miejscowym cmentarzu wieczny odpoczynek znaleźli marynarze ze Szwecji, Francji Hiszpanii, Holandii, Norwegii. Ziemia tu gościnna, chociaż pszenicy nie rodziła. I tak zostało. Nawet wtedy, gdy w wielkim tyglu historii wszystko się wymieszało, dając początek nowemu porządkowi.

Ale wiosną 1816 roku rowianie mieli wielkie zmartwienie. Stary drewniany kościółek, postawiony w połowie osiemnastego wieku trzeba było rozebrać, bo począł się pochylać ku jezioru. Byle szkwał, a nieszczęście gotowe. Wody Gardna zabiorą wszystko. Gdzie chwałę Boga będą głosić i dziękować za obronę przed żywiołami i głodem? Prawie dwadzieścia lat zastanawiali się czy stać ich na budowę nowego. Kiedy jednak w 1843 roku protestancką parafię objął pastor Horn Karl Fredrich Jonathan, sprawy potoczyły się szybko. Kościół być musi, tylko kto go postawi i z czego? Radzono, radzono, a czas mijał.

Najzupełniej niespodziewanie rozwiązanie przyszło samo i to w czarnych wysokich butach ze spiczastymi noskami. Stary Kluk, kiedy wracał przez las ze Smołdzina, spotkał wędrowca. Młody to był człowiek, silny, postawny. I chociaż z maleńkich czarnych oczu dziwnie mu jakoś patrzyło, to pięknie po kaszubsku mówił, a gdy się uśmiechnął, serce tajało. Zabrał Kluk wędrowca na wóz, bo żal mu się zrobiło biedaka dźwigającego ciężki tobół. Konie szły stępa, dyszel skrzypiał, a oni pogadywali se wesoło, żeby raźniej było w mrocznym lesie. Od słowa do słowa i rybak wyjawił obcemu strapienie rowian. A ten się tylko uśmiechnął i powiada:

- Widzicie, staruszku, jakie to szczęście. Tak chyba miało być, skoro los postawił mnie na waszej drodze. Majstrem jestem, za robotą idę. Pomogliście wy mnie, to i ja wam usłużę Dalej iść nie muszę. Dogadali się szybko. Przyjechawszy na miejsce, zostawił Kluk gościa w checzy. Klukowa z synową zajęły się przybyszem,

częstowały chlebem i wędzonym śledziem. Dzieciaki patrzyły na obcego zza matczynej zapaski, a ten jadł i uśmiechał się do nich. Kluk tymczasem, obrządziwszy konie, ruszył do sołtysa, by co rychlej przekazać nowinę.

- No niby majster potrzebny, ale, Kluku, z czego on ma kościół stawiać? Drewniany jak ten łacno zmurszeje. Trzeba by myśleć o cegle, a ta nie na naszą kieszeń. Nie stać nas. Podumał chwilę sołtys Renk, po karku się podrapał i zakończył:

- Zresztą, noc przyniesie radę. Nie spieszmy się, może coś jutro uradzimy. No i pastora trza pytać o zdanie.

Rankiem rybacy poszli w morze stawiać sieci. Kiedy wrócili koło południa, rozmawiali przy łódkach o wczorajszym zdarzeniu. Na to nadszedł nieznajomy. Słuchał, głową potakiwał, potrząsając czarnymi kędziorami. A gdy umilkli, rzecze:

- Kamienia, widziałem, w okolicy sporo. Budulec to dobry i trwały. Wystarczy nie tylko na kościół, ale i na karczmę. Bo dobrze będzie po nabożeństwie spotkać się, o wioskowych sprawach pogwarzyć, a nawet pastora na kufelek zaprosić, boć to też człek ziemski.

Przypadła do serca rybakom ta rada. Tym bardziej, że niejeden o niesprawiedliwości z powodu braku karczmy myślał, chociaż żaden o tym głośno nie mówił. Głównie z obawy przed własną żonką, która za coś takiego z domu gotowa wygnać albo jeszcze gorzej. Teraz była to uchwała gromady, toteż szanować ją trzeba i nikt do nikogo złości mieć nie może.

Stanęło na tym, że robota rozpocznie się we czwartek. Nie w sobotę po południu, bo to dziwactwo, przesąd i czas z tym skończyć. I żadnych święceń nie będzie, dopiero na koniec, kiedy wszyscy dzieło zobaczą. Dlatego i pastorowi nie ma co głowy zawracać, co uradziwszy, poszli do swoich zajęć.

Zabrał się majster do roboty. Najskorzej szło mu pod wieczór, gdy szarość na ziemię spływała. Rano widać było, że się nie oszczędza, bo ściany rosły. Chociaż dni nastały chmurne, wietrzne, on nie narzekał, robił ochoczo swoje. Kładł kamień na kamieniu z taką łatwością, że niejednemu dziwne się to zdawało.

Tymczasem po wsi gruchnęła wieść, że Kluk zachorzał. Rozpalony od gorączki i gada jakoś dziwnie. Opędza się od kostuchy, ale bardziej od złego, co na jego duszę czeka jak na swoje. Wezwała Klukowa pastora. Ten pogadał ze starym, pomodlił się z dziećmi o zdrowie dziadka, psalm jeden i drugi zaśpiewał. A kiedy z izby chorego wyszedł, powiada:

- Majstra odprawić precz trzeba. Dziwny on jakoś. Sam robi, nikogo do pomocy nie woła. Nie tak my pracujemy. My zawsze

razem, w morzu i na roli, na weselu i pogrzebie. Zapłaćmy mu, co się należy i odprawmy. To prośba Kluka, a wolę umierającego mus wypełnić.

Tak zrobili. Poszli gromadą. Poczekali, aż majster, ogromny głaz, który sam podniósł, na murze położy. Wtedy Renk wystąpił i oznajmił wolę gromady. A majster tak się zdenerwował, że ze złości aż mu rogi z czarnych kędziorów wyszły i ogon z portek wysunął. Machnął nim tak, że kamienie pofrunęły aż na jezioro. Zaszumiało, zahuczało i rybacy z Rowów zostali sami. Na ścianie od południa ujrzeli głaz osmalony niby ogniem piekielnym. Teraz dopiero odkryli, że Kluk pomiarkował, kogo do wsi przywiózł. Chłop niebawem wydobrzał ku radości domowników, ale na długo markotny został.

Rowianie sami postawili kościółek, pastora szanowali i o zdanie pytali w każdej sprawie dotyczącej spraw Bożych. O karczmie nikt nie wspominał, jakoś wstyd było. Za to w czas jakiś później urządzili świetlicę, by było gdzie się spotykać i wspólnie bawić.

⁂

- Ale historia! - ucieszyła się Karolinka. A że zadźwięczały sygnaturki, oznajmiając początek liturgii, kobiety usiadły na zielonej ławeczce. Słuchały dźwięcznego głosu ojca Grzegorza, który niósł się od kościoła na całe Rowy.

Kościół w Rowach został zbudowany w latach 1842-1849 przez arch. Fredricha Augusta Stülera.

Rybacy z Rowów

W Rowach kapliczka stoi w środku wsi, jak dawniej. Przesunięto ją o kilka metrów, żeby nie przeszkadzała przy wjeździe do portu. Wszędzie zaczyna być ciasno, takie czasy. Wcześniej czworoboczna Gwiazda Morza wypisanymi suplikacjami modliła się dzień i noc. Od zawsze stała w sercu wsi, przy porcie, gdzie toczyło się życie rybackiej osady. Wczesnym świtem małe łodzie z Rowów wypływały na przybrzeżne wody Bałtyku, niedaleko, między Ustką i Łebą, jakieś pięć do siedmiu mil, bo gdzieżby dalej na takich łupinkach. Dwóch, trzech rybaków, najczęściej spokrewnionych, stawiało sieci i wracali do domów. Następnego dnia, jeśli pogoda pozwoliła, wyjeżdżali po połów. Kobiety i dzieci oprzątały żywinę i pole, a potem do portu. Czekały na powracające łodzie od wczesnych godzin, by wybrać rybę, wypatroszyć, rozplątać i oczyścić sieci. Początkowo rybacy sami musieli ją sprzedać. Starsi mieszkańcy z okolicznych wsi pamiętają postać rybaka w kożuchu, który wozem konnym podskakującym na „kocich łbach" wąskiej drogi wiózł rybę na sprzedaż. Najczęściej była to flądra lub śledzie, rzadziej dorsz. Sprzedawał za grosze. Nie ceniono ryby, nie znano jej smaku i zdrowotnych właściwości.

Przystań rybacka w Rowach.

Nie zawsze połów był udany. Czasem wracali z porwanymi, splątanymi sieciami, w których pełno było patyków, wodorostów i śmieci. Wtedy była złość. Zdarzało się też, że sieci ukradli kłusownicy, jak całkiem niedawno, w 2002 roku. Wówczas zaciskali zęby, bo była złość i wstyd, że nie upilnowali swojego. Przechodząc obok kapliczki, zdejmowali czapki, oddając swe troski Wspomożycielce Wiernych. Teraz kapliczka, jak i całe Rowy, jest cool. Nowiuteńka, z klinkierowej cegły, z nową figurką i sztucznymi kwiatami. Trochę z boku, żeby nie przeszkadzała.

Kilku starych rybaków, którzy nie chcą nawet mówić o dawnym skromnym życiu, pochylają głowy w ukłonie, dziękując za odmianę losu, nie swojego, ale swoich dzieci. Ciężka była ich praca, niebezpieczna, niepewna zysku, ale kto był na morzu, ten brał jego siłę, dumę, godność. Tacy byli rybacy z Rowów. I tacy są, chociaż zostało ich kilkunastu na kilku kutrach. Żyją dumnie i mocno bez kłaniania się komukolwiek. Pan Kazimierz Łepek mówi, że rybacy mają sumienie. Sumiennie pracują, sumiennie się rozliczają i sumienie mają za życiowy drogowskaz. Dawne trudy i troski nauczyły ich przezorności i ostrożności, nawet w słowach. A morze zawsze jest obok - wymagające, sprawiedliwe i niezależne. Ci, którzy je lekceważyli, zapłacili cenę najwyższą.

Dom rybaka Fritza Kempa, Rówek / Haus von Fischer Fritz Kemp, Klein Rowe, ołówek / Bleistift, 1934, 29,3 × 48,3 cm; Pomorskie Muzeum Krajowe w Greifswaldzie / Pommersches Landesmuseum Greifswald, Sign. Gr 97/74, fot. K. Kornow

Skan: Edda Gutche, Malarze... cz. 2, Gottfried Brockmann.

Przedwojenne Rowy i pracę rybaków udokumentował w artystycznej formie malarz Max Pechstein. Od 1927 roku rokrocznie spędzał w Rowach lato, organizował plenery i malował. Powstało

wiele obrazów przedstawiających ówczesne życie wsi: „Rybacy w łodzi", "Po połowie", „Jesienne chmury nad Rowami". Rowy jako temat malarski obecne były w twórczości wielu ówczesnych malarzy ze Słupska i Pomorza. Gottfried Brockmann namalował „Połów w Rowach", Paul Kuhfuss - „U ujścia Łupawy w Rowach", „Rybacy naprawiający sieci", Willi Hardt namalował „Wydmy w Rowach", „Cmentarz w Rowach". Osada rybacka zyskała popularność, a mieszkańcy dodatkowy dochód. Profesor Andrzej Czarnik, badacz historii ziemi słupskiej, opowiada w monografii „Gardna Wielka" anegdotę o Maxie Pechsteinie. Malarz przypłynął do Rowów z Gardny przez jezioro. Wstąpił do chaty rybaka z pytaniem o kwaterę. Kiedy uzgodnili już wszystko, ciekawy rybak zapytał:

- A co będzie pan w Rowach robił?

- Będę malował - odpowiedział Pechstein.

- Nic z tego nie będzie, u nas każdy sam maluje, kiedy trzeba.

Ci, którzy po wojnie znaleźli w Rowach miejsce dla siebie, nie widzieli malarskich pejzaży. Chaty rybaków kryte strzechą, małe łodzie wiosłowe, postacie rybaków, piękno krajobrazu - to wszystko zobaczyli, kiedy zamieszkali we wsi po wojennej zawierusze. Pan Józef Kuskowski pamięta dokładnie datę, kiedy jego ojczym Zygmunt Kłosowski zawitał do Rowów. Było to 25 listopada 1945 roku. Zaraz potem spod Lidy przybyła rodzina Kraśników. Przybywali po nowe życie Wołkowie i Torończakowie. Później i inni. Wieś się zaludniała. Każdy miał kawałek lichej nadmorskiej ziemi i możliwości, jakie dawało morze. Byli jeszcze niemieccy rybacy, których połowy przejmowała radziecka władza na potrzeby wojska. Nie trwało to długo, Rosjanie odeszli, odchodzili dawni mieszkańcy. Nowi przybysze nie byli rybakami, tu na miejscu sami uczyli się nowego rzemiosła, bo administracja w Gdyni dopiero się organizowała. Chętnie korzystali z rad doświadczonych rybaków, którzy wyrokiem historii opuszczali Rowy. Łodzie były wiosłowe, razem wypływali i pracowali. Pan Paweł Kraśnik wspomina Otto Bartza, który udzielił mu kilku cennych rad. Nie było przecież radarów, sond, a trzeba było wiedzieć, gdzie postawić sieci. Pracowici, wytrwali, sumienni przez następne lata pozostali wierni morzu. Zmieniali łodzie na kutry, sieci bawełniane na żyłkowe, ale zasady pozostały niezmienne. Nie zazdrościli sąsiadom, lecz nie pozostawali w tyle. Tak jest i teraz, kiedy na polach, gdzie wtedy uprawiali kartofle i żyto, wyrosły gęsto dorodne domy wczasowe, a łodzie, głównie drewniane, trzeba było rozebrać. Takie były wymogi Unii, z których niektórzy skorzystali. Nie wszystkim jednak podobają się nowe ustalenia. Ci którzy mają następców i dobre łodzie, chcieliby łowić jak dawniej.

Próbują pozostać w zgodzie z zawodem i z nowym prawem. Syn Pawła Kraśnika, Mirosław, który od ojca uczył się rybactwa, skrócił swą łódź do ośmiu metrów, bo według nowych norm takie nie podlegały restrykcyjnym normom unijnym. Teraz sam nie wie, czy postąpił słusznie, bo przepisy zmieniają się szybciej niż wiatr nad Bałtykiem. Może lepiej było czekać na rekompensaty? Przy pogodzie wychodzi w morze, ale pożytku z tego niewiele. Jednego dnia złowi sto kilogramów dorsza, drugiego - trzydzieści, tyle by opłacić paliwo do silnika. Jak długo wytrwa, sam nie wie. Może w portowym kanale na kutrach będą smażalnie, w których królować będzie panga? Czas pokaże, kto miał rację, ale rowianie dadzą sobie radę. Trudne decyzje podejmowali ojcowie wiążąc swe życie z morzem, teraz czas na synów. Wrośli w rybackie życie całymi rodzinami, więc jak odwrócić się od własnej przeszłości? Odmieniona rzeczywistość stawia trudne wyzwania. Miniony czas zostawia po sobie pamiątki: drobne narzędzia rolnicze, sprzęt domowy i rybacki z małych łodzi, fotografie, obrazy dawne i dzisiejsze. Czekają na strychu, w kącie podwórka, zapomniane, niepotrzebne. Czekają by dać świadectwo czasu odchodzącego w niepamięć. W Rowach niezmiennie pozostają urok morza, pomysłowość i pracowitość ludzi jako gwarancja dostatku. Uczciwie pracują i pięknie się bawią, kiedy czas po temu.

„Babiniec"- zespół śpiewaczy z Rowów. Iwona Kuleta, Alicja Mieliwodzka (Ostrowska), Aleksandra Kuczun, Zorza Sędzicka - instruktor prowadząca, Joanna Płatwa, Justyna Wietrak (Czerwonka), Roksana Białek, Bożena Kraśnik (Lempek), Aldona Michalec (Kraśnik), Małgorzata Wysogrocka (Dukiel).

Posplatały się losy, przemieszały jak piasek na złotej plaży. Rzadko powracają wspomnienia, odchodzą na zawsze ci, którzy własne życie potrafili dyskretnie włączyć w powstającą rybacką wspólnotę. Tak rodziła się mała ojczyzna ich dzieci i wnuków, które nie znają innej. Wspomnienia dziadków i rodziców, pamiątki przywiezione i zastane, legendy i codzienne zdarzenia to misterna materia ich świadomości, o którą warto zadbać.

Zmieniają się Rowy. Rozrastają. Przybywa domów, ale nie przybywa mieszkańców, jest ich około czterystu. Wieś zaludnia się latem, gdy ożywają ośrodki wczasowe, prywatne kwatery, ulice. Rowy żyją od sezonu do sezonu. Od września do maja cisza i spokój. Słychać tylko stukanie młotków, kielni, maszyn budowlanych. Powstają nowe domy, które poza sezonem będą stać puste. Najbardziej tajemniczą, największą i niewątpliwie najdroższą jest budowla przy ulicy Nadmorskiej, należąca do zakonu redemptorystów. Tablica informacyjna oznajmiała, że powstaje dom zakonny, ale nikt z mieszkańców nie wie, jaki wpływ na ich życie będzie miała okazała posesja, której strzeże wyrzeźbiony w pniu ściętego drzewa rybak, ufundowany przez mieszkańców. Duże ośrodki żyją własnym życiem. Rowy są dla nich miejscem lokalizacji wczasowego interesu. Dają dochód gminie, pracę mieszkańcom okolicznych miejscowości, ale nie włączają się w życie wiejskiej wspólnoty. Czasem, jak na przykład ekskluzywny „Kormoran", sponsorują kwiaty do kościoła.

Pękają stare więzi. Bieżące życie rozsadza kruchą materię małej rybackiej społeczności. Dzieci jadą do szkoły do Objazdy, kościół poza sezonem zapełnia się tylko na chwilę we czwartek i niedzielę. We wsi jest pusto i cicho. Tylko jak kiedyś w porcie życie pulsuje powolnym rytmem. Pracuje pogłębiarka, przychodzą starzy rybacy, by popatrzeć jak kutry wracają z morza, powspominać, omówić zmiany jakie wprowadza rząd powołując się na zalecenia Unii Europejskiej. Paweł Kraśnik i Józef Kuskowski mają na ten temat swoje zdanie, tylko kto ich wysłucha? Obok kutrów na kanale miejsca zajmują wędkarze. Może oni będą mogli złowić więcej niż kutry? - żartują rybacy.

Tymczasem młode kobiety z Koła Gospodyń Wiejskich wierzą, że warto zrobić coś dla siebie. Spotykają się w wiejskiej świetlicy. To nic, że wciśnięto ją w kąt po dawnym schronisku PTTK. Pięknie śpiewają, koncertują, nagrywają płyty, urządzają zabawy dla siebie i innych. Póki jest czas, czyli jesienią i zimą. Kiedy nadchodzi sezon, nikt na to nie ma głowy, bo to okres ciężkiej pracy, która zapewnia podstawy bytu na cały rok. Jednak o kapliczkę dbają jak o własny

dom i rodzinę przez cały rok. Mimo zmian, a może właśnie dlatego. Pędzący czas trzeba jakoś zacumować, jak łódź porcie.

Jest też nadzieja na obudzenie ducha dawnych plenerów malarskich. Tegoroczna majówka z okazji święta Konstytucji dzięki wójtowi gminy Ustka, pani Annie Sobczuk-Jodłowskiej, zaowocowała malarskim wernisażem pod tytułem „Wiatr od morza". Efekt pięciodniowego pleneru w formie wystawy w wiejskiej świetlicy zaprezentowali malarze: Wanda Botter z Zimowisk, Barbara Broda z Ustki, Krystyna Czucha z Machowina, Józef Dzieran z Ustki, Michał Gielar z Wodnicy, Ewa Grużewska ze Starkowa, Jolanta Kostka z Wodnicy, Kazimierz Kostka z Wodnicy, Teresa Kościuczuk z Ustki i Jadwiga Ziomek ze Słupska. Pani wójt obiecuje, że to nie ostatni plener. Mamy nadzieję, że efekty działań artystycznych dadzą początek - na początek - wakacyjnej galerii sztuki regionalnej. Odchodzący świat przybrzeżnych rybaków warto udokumentować.

***

słowa modlitwy
wznoszę jak żagiel
barkasa
zawieszonego u sklepienia
kościoła w Rowach
niech płyną
niech niosą
niech wrócą z tymi co w morzu
zarzucali sieci
czekam na brzegu
na piasku
kładę bursztynowe zaklęcia
morze śpiewa odwieczny hymn
I tak upłynął wieczór i poranek -
dzień trzeci

Taka sobie anegdota

Zagroda chłopska pod drzewami (Rowy) / Bauerngehöft unter Bäumen
1930, kredki, 25 x 33,2 cm

Skan: Max Pechstein, w: A Czarnik, Pomorskie plenery...

Kiedy latem 1927 roku rybacką łodzią przez jezioro Gardno ze wsi Gardna Wielka do Rowów przypłynął Max Pechstein, znany twórca, członek malarskiej grupy Die Brücke (Most), miejscowy oberżysta ze zdziwieniem zapytał, czym też będzie się przybysz zajmować.

- Będę malować - odpowiedział Pechstein.

- Nic z tego, u nas każdy sam sobie radzi - stwierdził oberżysta.

I była to prawda. Rowianie byli biedni, a rybacka wieś wydawała się zapomniana od świata. Rybacy rankiem wypływali maleńkimi łodziami na połów, który kobiety z liszkami (koszami) na plecach roznosiły po okolicznych wsiach, przynosząc do domu lichy grosz.

Taką wieś, biedną, ale malarsko inspirującą z pochylonymi płotami przy chatach krytych strzechą zastał znany malarz z Berlina.

Wcześniej, bo już w 1921 roku rozkochał się w Łebie, rozkochał metaforycznie i dosłownie. Pokochał nadmorskie pejzaże i córkę miejscowego restauratora, Martę Möller, dla której rozwiódł się z Charlotte Kaprolat. Z Martą, żoną od 1923 roku, i synem Maxem Konradem od 1927 roku przez sześć kolejnych lat kanikułę spędzał w Rowach. W tym czasie z pewnością bywał w Objeździe, skąd wysyłał bogato ilustrowaną korespondencję do przyjaciół Ede i Micy Plietschów, od których otrzymywał towary, jakich w żaden sposób na miejscu dostać nie mógł. Takich trunków nie było w gospodzie Kempa ani Döhringa w Rowach. Jednak nie z tego powodu zrezygnował z wakacji u ujścia Łupawy, jak nazwał jedną ze swoich prac (Ujście Łupawy). Rozstanie z Rowami spowodowane było zmianami w osadzie, między innymi elektryfikacją, budową kładki do Rówka, wzrastającą popularnością wsi, do której docierały już motorowe łodzie, a także, jak podaje badacz twórczości Pechsteina, prof. Andrzej Czarnik (1935-2005), popularnością narodowo-socjalistycznych haseł w biednej społeczności. Penetracje pomorskiego wybrzeża przyniosły olbrzymi dorobek, który przedstawił na urządzonej wspólnie z miejscowym środowiskiem artystycznym w 1933 roku w Słupsku wystawie. Do najpiękniejszych prac należy między innymi „Dziki, żółty irys" (1930). O genezie pracy opowiada w zapiskach, jak to w czasie spaceru nad wschodni podmokły brzeg Gardna narwal całe naręcze dzikich irysów, przyniósł je do domu i w uniesieniu malował. Na słupskiej wystawie zaprezentowali się także Otto Priebe (Wystawa w Słupsku także w 1996), Margarita Neuss-Staube, Willi Hardt oraz Paul Kuhfuss obrazami: „Rybacy naprawiający sieci" i „U ujścia Łupawy". Niektóre prace spopularyzowały wydania pocztówkowe.

W 1937 roku wskutek hitlerowskiego programu i czystek Pechsteina usunięto z profesury na berlińskiej uczelni. Wojnę przeżył w Łebie, gdzie dla chleba namalował jedyny obraz religijny - „Madonna Orędowniczka", pozostający w tamtejszym kościele.

Do pomysłu urządzania plenerów malarskich w ostatnim czasie powróciły usteckie władze samorządowe, ale niewielka poplenerowa prezentacja w miejscowej świetlicy to za mało, by ożywić artystyczne aspiracje ambitnego wczasowiska.

Zdarzyło się w Rowach?

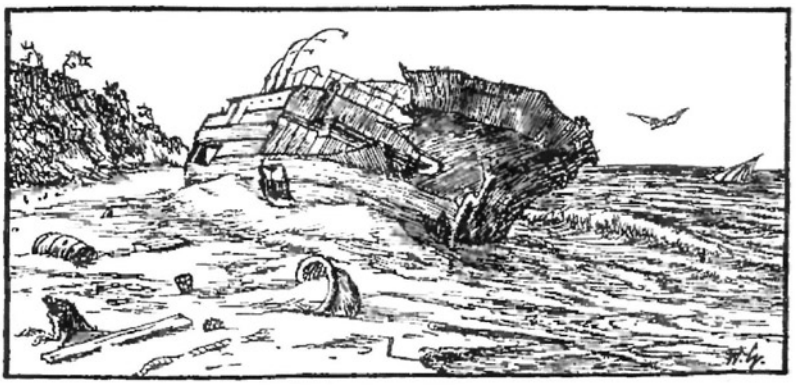

Parowiec wyrzucony na brzeg k. Rowów, pow. słupski / Gestrandeter Dampfer b. Rowe, Kr. Stolp; H. Kasten, K. Müller Pommerland. Ein Heimatbuch, Leipzig, 1926, s. / S. 135

Skan: Edda Gutsche, Malarze..., cz. 2. Willi Grube.

„Malarze, miejscowości i widoki Pomorza Zachodniego w pierwszej połowie XX wieku. Część 2." Eddy Gutsche, książka wydana przez Wydawnictwo „Jasne" w 2012 roku - po raz kolejny stawia mnie przed zagadką dotyczącą najbliższej okolicy. Zamieszczony w publikacji rysunek Willego Grube, kreślarza urodzonego w 1890 roku w Szczecinie, który w czasie licznych wędrówek rowerowych po Pomorzu badał i dokumentował regionalne osobliwości, stawia mnie przed tajemnicą. Czy to tylko artystyczna wizja, czy graficzny dokument prawdziwego zdarzenia?

Słupski dziennikarz Marcin Barnowski w wydanej w 2010 roku książce „Żeglarze i rybacy. Historie usteckiego portu" pisze, że jeszcze w XIX wieku w okolicy Ustki co roku miało miejsce co najmniej sześć morskich zdarzeń. Późniejsze pozostały w pamięci najstarszych rybaków lub zostały opisane w regionalnych gazetach.

W 1924 podczas surowej zimy na morzu w okolicy Ustki potężny mróz uwięził w lodzie na blisko miesiąc holenderski parowiec. Na początku roku 1926 „Stolper Post" informował, że kutrowi rybacy widzieli na morzu skrzynie z pomarańczami, niestety, już zepsutymi. Zastanawiano się, czy zostały zmyte przez sztorm, czy pochodzą z rozbitego statku.

Dziewiątego lutego 1945 roku na wysokości usteckiego portu zatonął, storpedowany przez radziecki okręt podwodny, podobnie jak dziesięć dni wcześniej w okolicy Łeby „Wilhelm Gustloff",

transportowiec „Steuben" z trzema tysiącami uciekinierów z Prus Wschodnich przyjętych na pokład w Bałtijsku, czyli dawnej Pilawie.

W okolicy Poddąbia przy głównym zejściu na plażę do dziś morze co jakiś czas odsłania resztki - prawdopodobnie duńskiego trałowca, który osiadł tu na mieliźnie. Prawdopodobnie, bo są i inne wersje zdarzenia. Pod koniec wojny, na początku lutego 1945 roku, utkwił tu jeden z duńskich torpedowców przejęty przez Niemców do poławiania torped, uszkodzony w czasie bombardowania przez radzieckie lotnictwo portu w Pilawie. Podczas holowania uszkodzonego poławiacza do którejś ze stoczni w zachodniej części Bałtyku zaskoczone jednostki sztorm zepchnął na mieliznę, gdzie pozostały, oddane morzu.

Również do małego portu w Rowach przez wieki przed sztormem uciekali żeglarze z całego świata. Często była to dla nich ostatnia przystań, z której najbliżej było na miejscowy cmentarz, niemal już całkowicie zapomniany. W latach 30. XX wieku obraz pod tytułem „Cmentarz w Rowach" namalował techniką gwaszu Gotffried Brockmann (1903-1983). Przedstawił niemal idylliczną zieloną krainę z widnokręgiem łączącym wodę (jezioro Gardno) z niebem, poprzecinaną czarnymi żeliwnymi krzyżami na pierwszym planie. Były tu groby marynarzy wielu narodowości: Szwedów, Holendrów, Hiszpanów, Norwegów, Francuzów, a nawet Maurów.

Natomiast rysunek Willego Grube, który zainspirował mnie do poszukiwań, ma wszystkie walory artystycznej wizji. Spienione morze, statek przechylony na burtę niemal pod klifem, rozrzucone na falach sprzęty, pustka z jedyną mewą na topielą - świadczą o zapomnianym zdarzeniu. Nikt nie ratuje porzuconego parowca, ludzie dawno odeszli, tylko artysta, którego sygnatura znajduje się w prawym dolnym rogu daje świadectwo. Myślę, że to artystyczna synteza morskich opowieści o uwięzionych przez Bałtyk statkach.

Morze jako temat malarski obecne jest w dorobku prezentowanych w dwutomowej publikacji artystów malujących w różnych stylach i technikach - od znanego i uznanego Maxa Pechsteina do Richarda Zenke (ogółem 38 twórców). Jedna wartość jest mimo to wspólna,

Cmentarz w Rowach / Friedhof von Rowe, gwasz / Gouache, 16,8 × 20,9 cm; Pomorskie Muzeum Krajowe w Greifswaldzie / Pommersches Landesmuseum Greifswald, Sign. Gr 55/74, fot. K. Kornow

Skan: Edda Gutsche, Malarze... cz. 2, Gottfried Brockmann.

to dokument życia artystycznego tamtego czasu i, dla badacza historii, dokument życia nadmorskich miejscowości i ludzi związanych z morzem, wówczas, gdy morze, podobnie jak ziemia, dawało obfity rybacki plon, uczyło respektu wobec praw natury, wyznaczało rytm zajęć.

W XIX wieku, kiedy rybactwo stało się zawodem, okazało się, że w Rowach jest więcej rybaków niż w Ustce. Od niepamiętnych czasów Rowy były osadą rybacką. W latach 60. ubiegłego wieku w maleńkim porcie cumowało ponad dwadzieścia łodzi. Wychodziły w morze latem dwa razy dziennie, zimą raz, gdy tylko pogoda sprzyjała. Ryby z sieci wyjmowały całe rodziny, przystań była oczkiem w głowie liczącej około trzystu mieszkańców wsi.

Dziś tamtych Rowów już nie ma. Dziś to typowa wieś letniskowa zapełniająca się latem do granic możliwości i zabudowana pensjonatami aż pod wydmy i granice SPN - gwarna latem, opustoszała zimą. Na wieczną wachtę odeszli starzy doświadczeni rybacy, młodzi „żyją" z letników. Kilka kutrów bardziej jako atrakcja niż sposób na życie, wypływa w morze. Kupić latem flądrę z kutra to wielkie szczęście, z perspektywą niepowtarzalnego smaku.

Letnią atrakcją Rowów są w ostatnich latach czerwcowe plenery malarskie. Od dziewiętnastu lat ideę spotkań malarskich na ziemi pomorskiej podjął Słupski Ośrodek Kultury oraz Klub Plastyka im. Stefana Morawskiego. Ich pierwszy plener odbył się w Smołdzińskim Lesie, następne w Rowach, Poddąbiu, Jasieniu, Ustce i Słupsku. Natomiast Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach organizuje od kilku lat Międzynarodowy Plener Malarski Artystów Nieprofesjonalnych „Śladami Maxa Pechsteina".

W Rowach nad kanałem suszą się sieci. Dziś już takich widoków nie ma, choć minęło tylko dziesięć lat.

Orędowniczka z Łeby

„Madonna Orędowniczka" z Łeby zwana też „Madonną z Morza" i „Orędowniczką Rybaków" otrzymała marinę w Łebie, w świątyni zbudowanej z inicjatywy protestantów pod koniec XVII wieku i gruntownie wyremontowanej w 1860 roku, obecnie kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Kiedy w sierpniu 1945 roku do miasta przybył oblata o. Mieczysław Cieślik, mieszkańcy przyjęli go z radością, a w 1946 powstała parafia katolicka z proboszczem ojcem Mieczysławem Cieślikiem. To on zlecił przebywającemu w miasteczku artyście namalowanie obrazu Madonny. Max Pechstein, znany ekspresjonista, profesor z Berlina na czas wojny i hitlerowskich prześladowań skrył się w Łebie, gdzie jego teść, pieszczotliwie zwany papą Möllerem, był restauratorem. Wprawdzie w dorobku artysty nie było dotychczas dzieł religijnych, jednak podjął się zlecenia ojca Cieślika, dla chleba. W zapiskach, które prowadził przez całe twórcze życie malarz zwierza się, że praca sprawiała mu wiele radości i dawała wewnętrzną siłę. Obraz o wymiarach dwa metry wysokości i metr szerokości malował na prześcieradle farbami, jakich rybacy używają do konserwacji łodzi. Później wrócił do profesury na zachodnioberlińskiej uczelni. Miejscowi, modląc się przed obrazem „Orędowniczki" w świątyni, która po 425 latach, 19 maja 1946 roku, po nieznacznych przeróbkach dawnego zboru protestanckiego, zyskawszy miano Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny stała się kościołem katolickim, zapomnieli historię obrazu. Mimo to już wtedy „Madonna z Morza" łączyła dwa brzegi - wojny i pokoju i dwie historie, jakże odległe - tak jak morze i ziemię na obrazie Pechsteina.

Max Pechstein, Matka Boża Orędowniczka rybaków. Łeba. Scan: A. Czarnik, Plenery...

Dopiero w 1994 roku odkryto zapomnianą legendę obrazu, która zaciekawiła historyków i na nowo poruszyła serca łebian. Odpust „Madonny z Morza" odbywa się w Kapitanacie Portu w Łebie, dokąd obraz peregrynuje z kościoła, by stanąć, gdzie morze styka się z lądem, na ołtarzu pod gołym niebem. Tak jest każdego roku. W 2012 „Madonna Orędowniczka" pojechała do Berlina na wystawę „Obok. Polska i Niemcy - 1000 lat historii w sztuce". Kuratorem wystawy przewidzianej na czas między wrześniem 2011 i styczniem 2012 roku, na której „Madonna z Łeby" została wystawiona wśród 700 innych obiektów, była Anda Rottenberg. Przedsięwzięciem artystycznym opiekowała się polsko-niemiecka Rada Programowo-Naukowa z Władysławem Bartoszewskim.

Tymczasem miejscowe gazety informowały, że 31 maja Łebę odwiedziła wnuczka słynnego malarza, Julia Pechstein, która opowiadała o żywej w rodzinnej legendzie tęsknocie dziadka za dawną Łebą i rozmowami z rybakami przy fajeczce. Wdzięczni łebianie ustawili wtedy przed kościołem ławeczkę w kształcie palety wyrażając w ten sposób swą pamięć o artyście.

„Orędowniczka", malowana z radością, ale i z myślą o codziennym chlebie, idzie własną drogą, jak każde dzieło. Misja artystyczna i być może religijna, zyskała szerszy, historyczny wymiar. Otworzyła berlińczykom perspektywę na wspólną z racji sąsiedztwa historię - taką nadzieję mieli organizatorzy wystawy.

Max Pechstein (w białym swetrze) z rybakami z Rowów - rok 1930. Scan: A. Czarnik, Pomorskie plenery.., Słupsk 2012.

Grzech pierworodny „Wilhelma Gustloffa”

Datę 30 stycznia Heinz Schön traktuje jak fatum. W tym dniu urodził się Wilhelm Gustloff (1895), Hitler przejął władzę (1933), wreszcie to data zatonięcia w 1945 roku „Wilhelma Gustloffa” na wodach Bałtyku między Ustką i Łebą w okolicy Ławicy Słupskiej. Według ostatnich danych na pokładzie były 10582 osoby, z których ocalało 1200 (stan na 31.01.1950 r.) rozbitków, w tym Heinz Schön, członek załogi. To właśnie on przez całe późniejsze życie zbierał, badał, publikował artykuły, relacje wreszcie książki o tragedii zaginionych i ocalałych. Publikacja (271 stron) „Tragedia Gustloffa” została wydana w Polsce w 2006 roku ze słowem wstępnym autora do wydania polskiego w Wydawnictwie „Replika” z Zakrzewa należącym do Aleksandra Szablińskiego.

Okładka książki Heinza Schöna pt.: „Tragedia Gustloffa”, Wydawnictwo „Replika” 2006 r.

Kraft durch Freude (siła przez radość), nazistowska organizacja zajmująca się organizowaniem masowych imprez turystycznych i sportowych dla obywateli III Rzeszy potrzebowała pasażerskiego statku motorowego. Zamówienie zostało zrealizowane w stoczni Bohma & Voss w Hamburgu za 25 mln marek. Na wniosek Hitlera nadano mu imię Wilhelma Gustloffa. Wodowanie i chrzest odbyły się 5 maja 1937 roku. Matką chrzestną była Hedwig Gustloff, wdowa po wiernym przyjacielu Hitlera, członku NSDAP zastrzelonym przez Dawida Frankfurtera, studenta żydowskiego pochodzenia. Dawid podjął decyzję o zastrzeleniu Gustloffa 30 stycznia 1936 roku w Davos w Szwajcarii. Kierowały nim pobudki ideowe. Nie mógł dłużej znosić prześladowań przez NSDAP Żydów, w tym osobistych tragedii wyrządzonych przez rosnący w siłę nazizm. Decyzja podjęta, wszystko przygotowane. We wtorek

2 lutego 1936 roku przed 20-tą poszedł do domu landesgruppenleitera i w jego gabinecie oddał pięć strzałów. Potem zgłosił się na policję i oświadczył: „Nie mogłem postąpić inaczej. Kule powinny właściwie trafić Hitlera". W ten sposób Wilhelm Gustloff stał się bohaterem narodowym, męczennikiem. Upamiętnienie jego imienia wpisywało się w propagandowy scenariusz Hitlera. Cała załoga „Gustloffa" od kapitana do pomocnika kucharza należała do NSDAP.

Dziewiczy rejs rozpoczął się we środę 23 marca 1938 roku. Pasażerów dobierała KdF, DAF (Niemiecki Front Pracy) i NSDAP. Ta zasada obowiązywała we wszystkich rejsach, a po aneksji Austrii i stamtąd zabierano zasłużonych działaczy. W sierpniu 1939 WG odbył ostatni rejs wycieczkowy do Norwegii, skąd został wezwany do Hamburga, gdzie 1 września wcielono go do Krigsmarine jako okręt pomocniczy mający status statku szpitalnego na Bałtyku i w Norwegii. Tak było do 21 listopada 1940 roku, kiedy przeprowadzono go do Gdyni Oksywia i po zacumowaniu pełnił funkcję statku koszarowego 2. Dywizjonu Szkolnego U-Botów.

21 stycznia 1945 roku wydano rozkaz rozpoczęcia operacji przerzucenia załóg szkolonych z 2. Dywizjonu Szkolnego Okrętów Podwodnych. Wyszkolone nowe załogi były na wagę złota, admirał Karl Donitz planował na początku marca 1945 nową ofensywę łodziami podwodnymi najnowszego typu 21, miał nadzieję odwrócić losy wojny. Tymczasem wobec zdecydowanej i okrutnej ofensywy Armii Czerwonej w Prusach Wschodnich wśród ludności cywilnej wybuchła panika. Opowieści o masakrze w Nemmersdorf (obecnie Majakowskoje w obwodzie kaliningradzkim) 21 października 1944 roku sprawiły, że porzucano masowo domy. Ramy organizacyjne totalnej ucieczce miała nadać opracowana pospiesznie „Operacja Hanibal". Akcję przerzutu załóg szkolnych połączono z ewakuacją uchodźców z Prus Wschodnich drogą morską.

Zapełniły się porty w Piławie, Gdańsku i Gdyni. Pierwszymi przyjętymi na „Gustloffa" uciekinierkami były żona i dwie córki oficera Alfreda Voigta, który jako jeden z pierwszych poznał zasady „Operacji Hanibal". W ciągu kilku dni przyjęto na pokład „Wilhelma Gustloffa", jakkolwiek dziwnie brzmi to określenie wobec rzeczywistości, 8956 uciekinierów. Takie są ostatnie ustalenia Heinza Schöna na podstawie relacji Waldemara Terresa i Evy Rotschyld-Dorn. Twierdzą, że do późnego bardzo mroźnego popołudnia 29 stycznia 1945 roku rejestrowano uciekinierów. Spis zakończono na pozycji 7956, później zabrakło brulionów, ale przyjęto jeszcze około 500 osób. Przybywali na statek jak do arki

Noego, a przecież podstawowym celem było ocalenie żołnierzy. Załoga 2. Dywizjonu liczyła 918 osób, ponadto na statku były 373 junaczki, 172 członków załogi i 162 rannych żołnierzy. Każde miejsce na statku łącznie z mostkiem kapitańskim było zapełnione do granic możliwości. Pomieszczono ponad dziesięć i pół tysiąca osób. Zabezpieczenie w środki ratunkowe obejmowało tylko połowę pasażerów. Na dwunastu łodziach ratunkowych były miejsca dla ok. 700 osób, osiemnaście kutrów mogło zabrać 540 osoby, trzysta osiemdziesiąt tratew pomieściłoby 3800 rozbitków, do dyspozycji było pięć tysięcy kapoków. Teoretycznie mogło wystarczyć. Zdawano sobie sprawę z niebezpieczeństwa. „Gustloff" (25484 BRT) miał wypłynąć razem z „Hansą" (23130 BRT). Czekano na eskortę. Okazało się, że „Hansa" ma awarię, a konwój eskortować będą tylko dwa okręty: torpedowiec „Löwe" i poławiacz torped TF1.Tymczasem nadeszły wiadomości o nalotach i ataku na Półwyspie Helskim. Kapitan Friedrich Petersen w porozumieniu z odpowiedzialnym za „wojskową" część ewakuacji Wilhelmem Zahnem podjął decyzję o wypłynięciu. „Wilhelm Gustloff" opuścił port w Gdyni o godzinie 12:30 30 stycznia 1945 roku. Podróż morska wydawała się wybawieniem dla tysięcy uciekinierów, a oficerowie stacjonujący w Gdyni w ostatniej chwili wprowadzali na „Gustloffa" swoje rodziny. Wszystko jednak działo się nie tak, nawet natura sprzysięgła się przeciw. Mróz powodując oblodzenia unieruchomił radiostacje. Przestała działać stacja radiolokacyjna na „Löwe", okręt eskortujący okazał się bezużyteczny. „Gustloff" był bezbronny.

O godzinie 21:16 w statek uderzyły trzy torpedy z rosyjskiego okrętu podwodnego S-13 dowodzonego przez kapitana Aleksandra Marinesko. Zadziałały prawa wojny. Był przekonany, w dużej części nie bez racji, że to statek transportowy z żołnierzami. Jerzy Janczukowicz, który jak nikt inny zna historię „Gustloffa" i kilkadziesiąt razy penetrował wrak, twierdzi, że gdyby załogi U-botów dotarły do portów przeznaczenia, wojna trwałaby o kilka miesięcy dłużej.

Sygnały SOS dotarły do dowództwa w Gdyni, ale zarządzono zatrzymanie wiadomości w tajemnicy ze względów bezpieczeństwa. Tymczasem w miejscu katastrofy działy się dantejskie sceny. Ci, którzy przeżyli bezpośredni atak i którym nie udało się dotrzeć do łodzi ratunkowych, skakali wprost do wody lub po prostu spadali. Nie wszyscy wiedzieli jak założyć kapoki, dlatego spadali głową pod wodę. Dochodziło do użycia broni, zabójstw i samobójstw. O godzinie 22:18 „Gustloff" wywrócił się. Utonęły niektóre kutry

wypełnione rozbitkami. Akcja ratownicza w ciemnościach, przy siarczystym mrozie, obawach ponownego ataku przyniosła mizerne rezultaty. Dramat rozbitków trwał siedem godzin. Wielu zmarło w lodowatej wodzie. Odnalezione ofiary chowano potajemnie w zbiorowych mogiłach. Katastrofę przeżyły 1252 osoby (ostatnie ustalenia).

Szwedzka agencja prasowa opublikowała dziesięciowersowy artykuł. Na terenie Niemiec nie podano oficjalnej wiadomości o katastrofie. Jednak po 24 godzinach we wszystkich portach o niczym innym nie mówiono. W 1945 roku na dno poszły także okrety SS „Generał von Steuben" i „Goya" wypełnione uciekinierami.

Po latach „Wilhelm Gustloff" budzi emocje nie ze względu na rozmiar tragedii, u której praprzyczyny znalazły się obłędne nazistowskie idee znajdujące wielu wyznawców, ale jako atrakcja turystyczna, miejsce „męskiej przygody". Pamiątki z wraku „Gustloffa" traktowane są jak wyjątkowe trofea, mimo że w roku 1994 Polska przychyliła się do prośby Niemiec, uznając spoczywający w polskiej morskiej strefie ekonomicznej wrak „Gustloffa" za grobowiec wojenny. Wydaje się, że legenda bursztynowej komnaty działa na wyobraźnię, mimo że jest tylko legendą. Natomiast historia zamknięta we wraku jest ważnym memento. Dlatego podzielam zadanie Nurkowej Polski, że potrzebna jest ekspozycja poświęcona historii tragedii „Wilhelma Gustloffa". Tylko czy na pewno w muzeum organizowanym przez stowarzyszenie „Przyjaciele Helu" w Helu? GKP „Rekin", którego członkiem jest Jerzy Janczukowicz, proponuje Oliwę. Inni uważają, że Łeba lub Ustka byłyby naturalnym, wskazanym przez historię miejscem. Internetowa dyskusja trwa. Tymczasem GKP „Rekin" na swojej stronie internetowej zamieszcza wyjaśnienie: „Płetwonurkowie chcą i będą nurkować na wrakach i to na takich jak „Wilhelm Gustloff" z powodów najrozmaitszych, ale ci prawdziwi z powodu jakiegoś bliżej nieokreślonego magnetyzmu takich miejsc". Nie wiem, czy tak powinno być.

Jezioro Gardno

Nad jeziorem Gardno

Jerzy ma święto. Siedzi na ławce w długiej płaskodennej łodzi pożyczonej od rybaka z Gardny Wielkiej niemal na środku jeziora i moczy kij. Wybrał się na Gardno z letnikiem z Wrocławia, to jego alibi na popołudniową wyprawę z wędką. Kiedy nastała moda na agroturystykę, wczasowiczom odpoczywającym w gospodarstwie trzeba zapewnić atrakcje. Domownicy wiedzą, że to tylko dobry pretekst, ale niech się cieszy. To nic, że nie będzie taaakiej ryby! Przywiozą płotki, okonie, może leszcza, a może małego węgorza? Zawodowi rybacy, których w Gardnie zostało zaledwie kilku, łowią niewodami rybę, także smaczne wysoko cenione węgorze. Trafiają one do wędzarni, później do smakoszy rarytasu. Coraz częściej jednak wędzi się ryby spoza Gardna. Dawno przebrzmiały wielkie zimowe niewody, dawno jezioro straciło

znaczenie gospodarcze, jednak do dziś dostarcza innego surowca - trzcinę. Wykasza się jej niewiele, jedynie przy brzegu w okolicy Rowów, ale w Gardnie Wielkiej z powodzeniem prosperuje zakład zajmujący się jej wykorzystaniem. Przeważa surowiec spoza rejonu Słowińskiego Parku Narodowego. Trzcina umiejętnie koszona i obrobiona jest dobrym, przywróconym do łask, modnym poszyciem dachów. Przybywa w okolicy trzcinowych strzech. Były oznaką ubóstwa, dziś są oznaką wyrafinowanego gustu. Częściej jednak trzcina z Gardny trafia do zamożniejszych, zagranicznych budowniczych.

Pogoda dziś ładna, tafla jeziora gładka i czysta jak szyby w oknach żony. Trzciny wyznaczają linię brzegu - około 23 km, a kępy sitowia wskazują płytsze miejsca. Maksymalna głębokość wody to niewiele ponad dwa metry. Przeważają płycizny. Gdzieś w pobliżu łodzi, na której siedzą, do Rowów płynie swym korytem Łupawa, ale dno jest niejednorodne, a przez to niebezpieczne. Są miejsca, gdzie nie można zakotwić łodzi, tak pod wodą jest twardo albo kotwicę wciąga mulista ponaddumetrowa głębia. Jerzy próbował wpłynąć na jezioro kilka dni wcześniej, jednak rozkołysane wiatrem cofało łódź, a on z Krzysztofem próżno prężyli mięśnie przy wiosłach. Jezioro jak panna ma swoje humory, w przeszłości i teraz uczy śmiałków respektu, dobrze to wiedzą okoliczni mieszkańcy i przestrzegają letników. Pamiętają tragedię sprzed sześćdziesięciu lat, kiedy na oczach wypoczywających na brzegu mieszkańców utonęły dwadzieścia cztery dziewczyny z Łodzi. Na łodziach było ich czterdzieści, nie wszystkim mimo wysiłków tych, którzy popłynęli wpław na ratunek, można było pomóc. Płynęły na takich samych płaskodennych łodziach podczepionych do motorówki prowadzonej przez rdzennego rybaka na przejażdżkę do Rowów. Na pewno nie było to rozsądne, dziś nikt by takiej wyprawy nie wymyślił. Czasy były powojenne, urazy świeże, oskarżeń i win nie wyjaśniono do dziś. Jako przestroga została przy kościele w Gardnie Wielkiej symboliczna mogiła, a imię jednej z dziewcząt, Joasi Skwarczyńskiej, nadano miejscowej szkole.

Siedzą obaj w milczeniu, wsłuchują się w szept jeziora i ptasie swary. Na Gardnie i okalających je podmokłych łąkach gniazdują wszystkie gatunki kaczek, trzcinniczki, brzęczki i wiele innych rzadkich ptaków. Nie widać stąd Kamiennej Wyspy, gdzie, przepędziwszy mewy, zadomowiły się kormorany. Nie dochodzą tu odgłosy ich powarkiwań i gdakań, bo poza gniazdem ptak jest cichy. Czasem tylko widać przelatujące w szyku stado z wygiętymi ku górze szyjami.

Spławik drgnął raz i drugi i zniknął pod wodą. Obaj naprężyli mięśnie, gotowi do pojedynku z rybą. To wędka Krzysztofa. Podciął energicznie, uniósł wędzisko, na haczyku umocowanym na niedługiej żyłce zobaczyli sporego okonia. Piękna rybka, ale żeby ją sprawić, trzeba zręcznych rąk. Szybko przynęta, ponowny rzut i znów - jest! Krzysiu ma szczęście!

Do jeziora z domu Jerzy ma trzy kilometry. Często chodzi tam na niedzielne spacery lub jedzie rowerem tzw. płytówką. Droga prowadzi przez Objejskie Łąki i została wyłożona betonowymi płytami jumbo w czasach, gdy w Objeździe PGR utrzymywał stado blisko 2 tys. sztuk bydła. Zwożono tędy siano i trawę na kiszonki, wypędzano krowy na pastwiska. Teraz sieć rowów melioracyjnych zarosła, utrzymywane są tylko główne kanały, a na łąkach w koplach pasą się pojedyncze sztuki bydła lub chodzące samopas po zrytych przez dziki pastwiskach krowy z Retowa. Ubiegłego roku pojawiło się nowe stado rolnika z Dębiny. Piękne zwierzaki, każdy o innym umaszczeniu i długości sierści. Same byczki. Utrzymanie pewnej ilości bydła na łąkach jest wymogiem programów rolno-środowiskowych. Rolnicy korzystający z dopłat Unii Europejskiej muszą podjąć działania sprzyjające dobrej gospodarce. Wypasanie łąk po pierwszym pokosie jest starą, sprawdzoną metodą ich naturalnego utrzymania. Nawet bociany łatwiej wtedy mogą upolować mysz, żabę lub ślimaka. Natura obejmuje w posiadanie nadgardneńskie łąki. Wczasowicza z Wrocławia interesują rolnicze tematy. Wychował się na wsi, pozostał sentyment do wiejskich uroków, dlatego chętnie korzysta z agrowczasów.

Obrazek z pasącym się bydłem jest prawdziwą atrakcją dla mieszczuchów, teraz także dla miejscowych, którzy piją mleko z kartoników. Niewielu jest rolników we wsiach nad jeziorem Gardno. Ziemia położona w pasie nadmorskim i w pobliżu jeziora większy przynosi dochód, gdy przeznaczona jest pod zabudowę, stąd pensjonaty, domki letniskowe rosną z sezonu na sezon coraz radośniej. Niedawne pastwiska zmieniają się w działki budowlane. Takich, którzy wbrew rozsądkowi wchodzą pod poldery jeziora, jest wielu. Najpierw pojawia się przyczepa kempingowa, ogrodzenie, później domek. Dwa lata temu obserwowaliśmy, jak jezioro przelało się przez wał, a woda podeszła pod domki letniskowe na łąkach na wysokości Dębiny. Ne pomogły wrosłe w krajobraz, nieodległe od siebie budyneczki pomp, które regulują poziom wody w jeziorze. Kanały przy pompach zamarzają rzadko, dlatego chętnie zimują na nich ptaki. Szczególnie pięknie wyglądają łabędzie z wystającymi kuprami, żerujące na roślinach pod wodą.

Płytówka z Objazdy do jeziora Gardno jest dla Jerzego granicą dwóch kultur: kultury jeziora i kultury nadmorskiego letniska. Może skręcić w lewo, na zachód, do Rowów, by odwiedzić starego druha Michała albo w prawo, na wschód do Retowa i dalej do Gardny. Tu też spotkać można letników, są gospodarstwa agroturystyczne, ale tu czas płynie innym rytmem, inaczej ludzie pracują, inaczej wypoczywają. Ta granica wynika nie tylko z obecnego podziału administracyjnego. Gdzieś tu graniczą gmina ustecka i smołdzińska, które w porozumieniu z SPN podjęły się wreszcie odbudowy zniszczonych kładek na Bagienicy, Grabownicy i Brodnie. Wydaje się, że to podział utrwalony historycznie, taki był i wcześniej, jakby topografia wyznaczała istotę ludzkiego gospodarowania i myślenia. Południowy pas między Dębiną a Retowem zajmowały łąki i pastwiska - od zawsze.

Komunikacja odbywała się głównie północnym brzegiem jeziora, duktem przez las z Rowów do Smołdzina, którędy przebiegają szlaki turystyczne SPN. Wędrówki lasem, wizyta w Muzeum SPN w Smołdzinie i Skansenie w Klukach, wspinaczka na latarnię w Czołpinie - to atrakcje wschodniej strony jeziora, obok którego są następne, równie piękne: Dołgie Małe i Wielkie i Łebsko. Od zachodu, w Rowach jest inaczej. Duże domy wczasowe, plaża i krótki sezon. Poza nim - pustka. W okolicy w domowym zaciszu, bez rozgłosu powstają obrazy, rzeźby, piękne hafty i koronki - to wszystko mogłoby świadczyć o bogactwie współczesnej kultury regionu. Ciągle jednak jest to działalność niedoceniana. Również bezpowrotnie znikają drobne maszyny rolnicze i sprzęty domowe oraz sprzęt rybacki z małych kutrów. Nawet jeśli są gdzieś pieczołowicie zebrane, to leżą zamknięte, jak choćby w izbie regionalnej w szkole w Objeździe, o której istnieniu wiedza nieliczni. Tymczasem jako wczasowa atrakcja, nawet na deszczowe dni, pozostają spacery.

Płytowa droga z Dębiny do Retowa wykorzystywana jest jako szlak rowerowy przez prawdziwych miłośników natury. Jazda wymaga umiejętności i odporności na wstrząsy, kto tędy jechał, ten o tym wie, ale dostarcza niezwykłych emocji - można spotkać lisa, wydrę, obserwować ptaki, w kanałach przy kładkach podziwiać grążele i napawać się odurzającym zapachem traw i kwiatów. Do szosy Słupsk - Smołdzino stąd kawałek drogi. Cisza. Piękna cisza z symfonią głosów natury!

Jerzy tu nie wędkuje, choć spotyka czasem kłusowników. Zakaz wędkowania wynika głównie ze względu na ochronę siedlisk ptaków. Musiałby jechać do Retowa, bo od Płyty Retowskiej do miejsca wpływu Łupawy do jeziora za Gardną Wielką wędkować

można. Oczywiście po wykupieniu stosownego pozwolenia w SPN. Jerzy rozumie i szanuje te uregulowania, wyjaśnia ich sens, kiedy odwiedza rolników, a ścieżki gminy Smołdzino zna jak własną kieszeń. Od dwudziestu lat przemierza je rowerem bądź pieszo. Ale teraz pochłania go coś innego.

Jego wędka poruszyła się, żyłka pręży się, coś się dzieje - szybkie podcięcie, wprawiony w ruch kołowrotek, gotowy podbierak i... jest! Bez przesady! Tyle emocji, a to tylko płotka. „Trudno, poczekam - musi przyjść moja wielka" - mówi. Wraca do swych myśli, czasem coś opowie Krzysztofowi ciekawemu nowej okolicy.

Retowo jest najbardziej malowniczą miejscowością nad jeziorem Gardno. Od strony łąk byle jaka szutrowa droga pnie się pod górę, by na wzniesieniu wynagrodzić zmęczonych widokiem jeziora rozłożonego w dole. Widać stąd, gdy się stanie między drzewami, las na przeciwległym brzegu i dalekie domy Rowów, Gardny Małej i Wielkiej i Wysokiej - a wszystkie zasnute leciutką mgiełką. W Retowie zabudowań niewiele, każde w innym charakterze - jedno czy dwa rolnicze i kilka letniskowych. Chętnych, którzy zamarzyli tu o skrawku ziemi było wielu, ale mieszkańcy Retowa znają wartość piękna, więc do transakcji daleko. Pewnie i tu się zmieni, tymczasem ludzie żyją po swojemu. Ostrożni wobec obcych, otwarci i serdeczni dla sąsiadów. Jerzy lubi opowieści i dowcipne uwagi pani Ani Domańskiej, refleksje o życiu pana Kazimierza Gardulskiego i innych mieszkańców Retowa. Żywa pamięć ludzi przechowuje zdarzenia, o których zapomina uczona historia.

W czasie wojny w pobliżu był obóz jeniecki i szpital, niedaleko wyznaczony prostokątem świerków zapomniany wojenny cmentarz, a na Płycie Retowskiej, gdzie latem ćwiczą swe umiejętności wielbiciele wind-surfingu, lądowały i startowały niewielkie samoloty. Z górki do szosy trzeba zjechać po kocich łbach, na wprost urządzonego sztucznie prywatnego łowiska, by zaraz wjechać do Wysokiej. Jerzego nigdy nie kusiło, by tu łowić, cóż to byłaby za frajda? Co innego na jeziorze. Marzy, by mieć własną łódź, byłaby w przystani, a on by przyjeżdżał, żeby na nią popatrzeć lub wypłynąć, choćby dla ukołysania myśli. Może tak zrobi, gdy będzie na emeryturze. Lubi być tutaj dla widoków i dla ludzi - prostych, szczerych, otwartych. Tymczasem moczy kij, dużej ryby nie widać, ale relaks był znakomity.

Za chwilę dobiją do przystani. Popatrzą na jezioro, zatopiony nieopodal, owiany legendami Diabelski Kamień i wrócą samochodem do domu. Wieczorem przy ognisku będą opowiadać gościom o taaaakiej rybie i dowcipy o złotej rybce, która nie chce spełniać marzeń.

⁂

Okolice Rowów, jeziora Gardno, Łeby były w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku miejscem plenerów malarskich ekspresjonistów z Berlina: Maxa Pechseteina, Paula Kuhfussa, Siegfrieda Reich an der Stolpe. Aktywni artystycznie byli również mieszkający na stale w Słupskiem Otto Priebe, Margarete Neuss-Stubbe i inni. Obraz olejny „Nad jeziorem Gardno na Pomorzu" Siegfrieda Reich an der Stolpe powielany był na pocztówkach! Dawne obrazy są dziś dokumentem artystycznym epoki oraz życia rybaków, przyrody, kultury materialnej regionu, w którym żyjemy. Idea wznowienia plenerów odżyła, a dawne, i obecne dzieła są mało znane i czekają na popularyzację - choćby na pocztówkach - w ramach promocji regionu.

⁂

Jezioro Gardno i jego okolice znajdują się w obrębie Słowińskiego Parku Narodowego, utworzonego 1 stycznia 1967 roku, dziesięć lat później SPN uzyskał status Światowego Rezerwatu Biosfery. Szkoła Podstawowa im. Joasi Skwarczyńskiej w Gardnie Wielkiej w 2012 roku stoczyła batalię o przetrwanie. Przez jakiś czas funkcjonowała jako szkoła niepubliczna. Obecnie dzieci i młodzież Gardny Wielkiej dojeżdżają do szkoły w Smołdzinie.

W bocianim gnieździe bywa ciasno...

O boćku z Objazdy

Waluś bocian, przyjaciel zza miedzy
wyemigrował w sierpniu
i gdzieś za granicą siedzi.
Listy na poste restante śle
na płatkach śniegu.
Opłatę za komorne - pisze -
uiszczę w maju, gdy
chrząszcze zacznę łowić na łące
przy ruczaju.
Pan Wiesio, u którego Waluś
gniazdo ma swoje,
przyjmuje zapewnienia boćka
ze spokojem.
Czuł się samotny pan Wiesio,
zażywny jegomość,
choć posiadał dwa psy, kota i żonę
chudą jak kość.

Któregoś dnia, już po omłotach
przyjaciela chciał znaleźć
do marzeń o podniebnych lotach.
Pan Wiesio, kowal z zawodu,
by dojść wysoko marzył za młodu.
Książek nie lubił, za to miał krzepę,
będę kowalem - tak będzie lepiej.
W lutym zaprzeszłego roku
ustawił babkę w sadzie, na boku
i kuć począł zawzięcie, bo każdy -
myślał Wiesio - sobie kuje szczęście.
Buch, buch, buch, pac, pac, pac, bąd, bąd, bąd -
niesie się hałas nie wiadomo skąd.
Kuł trzy dni całe, nie jedząc prawie
i nie śpiąc wcale.
Czwartego dnia o świcie
ustawił obręcz na szczycie
słupa wysokiego.

Teraz poczekam - rzekł -
do wiosny. Jeziora Gardno
napój miłosny
dopełni mej roboty.
Poczekam - mówił - aż boćki
na łąkach pójdą w zaloty.
Przyleciały, skrzydła rozkładały,
jakby obręcz zmierzyć chciały.
I zostały.

Gniazdo tkały pracowicie,
aż któregoś dnia o świcie,
kiedy kłos się kłosił w życie,
kiedy rzepak kwiatem złocił,
rechot żabi się panoszył,
Waluś bocian poruszony
tak w zachwycie rzekł do żony:
dwoje piskląt - ma kochana -
karmię dzisiaj już od rana.
Piękne, duże, zdrowe,
jedzą z wielkim apetytem,
no i rosną szybko przy tym.
Bocianowa pokraśniała,
białe piórka przeczesała
dziobem, pięknie klekotała,
klekotała, klekotała, kle kle, kle
I tak było całe lato!

Wiesio im dziękował za to.
Czuł się ojcem, Walka bratem.
Chwalił się przed całym światem
swym ojcostwem.
A gdy boćki podfruwały
on w podskokach chodził cały.
Nie bądź dzieckiem! - żona na to.

I tak było całe lato!
Aż do sierpnia, kiedy po naradzie lecieć chciały w boćków stadzie, gdzieś na krańce. Tu u was nad Gardnem - mówią - coraz niżej słońce, a przed nami droga. Spakowały, co tam miały, poleciały.
Chodzi Wiesio osowiały, choć mu boćki obiecały pisać, dzwonić i powrócić wczesną wiosną.
Więc czekamy. Pana Wiesia pocieszamy nowym wierszem i czymś, co mamy jeszcze.

Waluś był trzeci i nikt dokładnie nie wie, kiedy i dlaczego wypadł z gniazda na wysokim słupie. A było to tak: najpierw przyleciał pan bociek, obejrzał gniazdo, coś tam poprawiał, mościł i czekał. Wokół krążyły dwie panny bocianówny, obie przysiadły któregoś dnia na gnieździe i stoczyły bój o prawo do własnego domu. Pan bociek nie wdawał się w awanturę i przyjął ze stoickim spokojem zwycięską panią. Co tam mówię, jakim spokojem! Z entuzjazmem przystąpił do - według ludowej terminologii - deptania. No i się zaczęło. Zadowolona pani bocianowa zniosła trzy jaja, po czym oboje przystąpili do wysiadywania.

O wszystkim wiedzieli państwo Janka i Wiesiek Nowakowscy z Objazdy, którzy, korzystając z nowoczesnych urządzeń, podglądali i podsłuchiwali bocianią parę. Pan Wiesio skrzętnie notował terminy przylotów, znoszenia jaj, wylęgu. Pracę habilitacyjną można z tych obserwacji napisać.

Tak minął miesiąc i trzy dni. Jakaż to była radość, gdy po kilkakrotnym pukaniu w skorupkę z jaja wychynęła główka, a zaraz potem całe, wstrętnie wyglądające pisklę. Najpierw rozpadło się jedno jajo, potem drugie i trzecie. Od razu trzeba było zatykać jadłem rozdziawione dzioby, więc oboje bociani rodzice uwijali się, jak mogli.

I nikt dokładnie nie wie, dlaczego któregoś dnia jedno pisklę znalazło się na ziemi pod wysokim słupem z bocianim gniazdem. Bywa tak, że to sprawka rodziców, ale zdarza się również, że rodzeństwo, broniąc własnych konsumpcyjnych interesów, wypycha najsłabsze pisklę z gniazda. Jednym słowem Waluś znalazł się pod gniazdem. Zaraz zbiegły się kury i gołębie, dziwowało się towarzystwo bocianiej niedojdzie.

Wreszcie przyszła pani Janka. Zabrała malca i przede wszystkim zważyła. Mały był jak ćwiartka kurczaka. Ważył 33 dekagramy. To była miara kłopotu. Wsadzić małego do gniazda nie można. Całe szczęście, Waluś miał apetyt. Nie to co inne bocianie pisklęta, które pani Janeczka odchowała. Niektóre karmić trzeba było pincetką wkładając maleńkie porcje mięska do dzióbka. Waluś jadł sam z rozmachem wybierając najpierw z ręki, a po kilku dniach z wiaderka

Waluś, bociek z Objazdy na niedzielne śniadanie upolował... padalca.

porcje karasi, płotek, wątróbki, wołowinki. Rodzice i rodzeństwo patrzyli na niego z góry. Też inaczej niż wcześniej się zdarzało, kiedy na czas karmienia z gniazda zlatywały wszystkie bocianiątka.

Pod koniec sierpnia bociania rodzina ćwiczyła loty i siłę skrzydeł na wpół uschłej robinii przed kościołem, a Waluś spacerował po podwórku lub ulicy. Nawet wtedy, kiedy rodzina odleciała, nic sobie z tego nie robił. Natomiast pani Janka pomyślała o zimie i jego przyszłości. Najpierw zadzwoniła do znanej ornitolog. Rozmowa nie była przyjemna, bo znawczyni ptaków, mówiąc najprościej, wytłumaczyła pani Janeczce, że takich rzeczy się nie robi, to znaczy nie ingeruje się w naturę, a skoro ingerowała, to teraz ma. Koniec kropka. Janka ma bociana.

Cała wieś szukała rozwiązania. Waluś tymczasem lata do szkoły, bo tam poszły dzieci, gdy zaczął się wrzesień. Staje beztrosko na środku ulicy albo podchodzi do ludzi. Panią Jadzię, która w pobliżu zbierała kasztany dla wnuczka, dziabnął kilka razy, myśląc zapewne, że brązowo - złociste kulki to należny jemu smakołyk.

Leszek, syn pani Janki, szukał pomocy w Dolinie Charlotty, gdzie jest mini-zoo. Odmówili, mają dość bocianów. Pozostało jedno wyjście, zadzwonić do szkoły leśnej w Warcinie. Czy tam Waluś znajdzie miejsce na zimę?

A Waluś lata po wsi, nocuje to na tej, to na innej chałupie, a do pani Janki przylatuje kilka razy dziennie na wyżerkę. Potrzebuje

coraz więcej ryb i wątróbki, więc wędkarze służą cateringiem, jeśli coś złowią. Przyjezdni zatrzymują samochody i fotografują Walusia na ulicy, ale jemu nie o sławę celebryty idzie, a o życie.

Wiosną następnego roku planował założenie rodziny, ale najpierw musiał mieć dom.

Jeśli budujesz dom, nie bądź pewny, że dla siebie. Waluś od wczesnej wiosny mościł gniazdo miękkimi kłaczkami mchu, korzonków i traw, i...krach. Przyszli obcy, znaczy wrócili z wojaży zagranicznych ubiegłoroczni mieszkańcy i wysiudali biednego Walusia.

Cóż było robić. Dwa noclegi odbył na poprzeczce huśtawki u sąsiadów, podjął nawet próbę nawiązania przyjaźni z psem Benkiem, a i to się nie powiodło. Gałązki nie dały się przytroczyć, wciąż spadały, a pies, szkoda gadać. Gospodarz podał rękę na zgodę i rozstali się w przyjaźni, obiecując wzajemną pomoc.

Podjął więc desperacką próbę budowy gniazda na słupie energetycznym. Gałązki trzymały się w plątaninie drutów i energetycznych pętli, czasem nawet sypnęło iskrami. Owszem, sąsiedzi zostali pozbawieni prądu, ale tak bywa przy budowie. Tym razem nie zrezygnował. - Niestety! Najpierw przyjechali panowie z energetyki i zdjęli to, co Waluś zbudował. Przyjechali w dzień świąteczny, 1 maja! Energia wróciła do domów, a Waluś... na bruk, czyli sąsiedni dach. Następnego dnia, w poniedziałek, odwiedziliśmy właściwy urząd gminy. Zaskoczona pani urzędniczka, że komuś przyszło do głowy w długi weekend zakłócać jej błogi nastrój, odpowiedziała rezolutnie, że Walusia kojarzy, ale „to dziki zwierz" i zajmować się nim nie będzie. Możemy się udać do Straży Gminnej. - Do widzenia.

To było wczoraj, a dziś znów dzień świąteczny, co Walusia mimo białego upierzenia i czerwonego dzioba, mało obchodzi.

Kosz, jak radziła Jadwiga w dyskusji rodzinnej, jako rozwiązanie problemu odpadł, okazuje się, że gniazda bocianie ważą docelowo kilkaset kilogramów, zatem podstawa musi być stabilna. „Każde gniazdo ma od 1 do 2 m głębokości, od 0,8 do 1,5 m średnicy i waży od 60 do 250 kg." Pan W. obiecał, że gdyby się znalazł mocny słup, zaradziłby kłopotom ptaka, trzeba będzie znów do energetyki z prośbą o jakiś zbędny betonowy. Sprawa w toku, Waluś wciąż na bruku, znaczy się na dachu.

Śniadanie zjadł pod kościołem, bo gdzieżby dostał danie z padalca. Przez całe lato wędrował swoim zwyczajem po wsi, ale był jakby mniej widoczny. Aż któregoś dnia Waluś zniknął i nikt nie wiedział, co się stało. Może ktoś go ukradł z ulicy, bo takie próby się zdarzały, a może odleciał w boćków stadzie. Nikt nie wie co się stało.

Ballada znad jeziora Gardno

Topole trzy, jeziora siostry smukłe,
Wdzięk swój sprawdzają w nieba lustrze.
Z trzciną dnie całe swary wiodą
A liście złote zrzucają w wodę.

Gdy toń stwardnieje mrozem skuta
I ptaków gwar ucichnie wokół,
Niesie się głuchy jęk topieli
Daleko hen, aż pod Rowokół.

Opowieść długą snują wtedy smukłe
Topole trzy przy brzegu. I wspominają
Czas miniony, co się przeglądał w losie
Matki, gdy z przędzy zdarzeń życie tkała.

Ojca w splątanych dziejów sieci. Szczery
Śmiech dzieci. Miłości, zdrady, ludzki grzech.
Ogień wielki tuż nad wodą, gdy domy
Z dymem! Jezu drogi!

Hulaka wiatr, że spać nie może,
Szarpał się w trzcinach nieopodal.
Diabły obudził, co w legendzie
Kamień ogromny upuściły. Spadł.

Wojen się zerwał łańcuch gruby.
Gnała przez wieś okrutna zamieć.
Wędrówki ludzi przez historię
Zapadły w wodę jak w niepamięć.

Nad Gardnem ptaki gniazda wiją
Rybak znad sieci wzrok unosi.
Pieluch obłoki z wiatrem fruną.
Wróży pogodę dym z komina.

W letnie południe druhen grupa
Śmiechem wyprawę swą zaczyna.
Łódź w trumnę czarna toń nicuje
Dziś kamień radość ich przykrywa.

Topole trzy jeziora siostry wierne
Od nowa słońce ponad trzciny wiodą.
Od nowa falą brzeg jeziora woła.
Od nowa wiosła niebo w pajdy krojq.

Jezioro Gardno z widokiem na wieżę kościoła.

Malarka znad jeziora Gardno

Margarete Neuss-Stubbe, Dom pod strzechą z trzcinową piwnicą.
Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.
Scan: Edda Gutche, Malarze..., cz. 1.

Margarete Neuss-Stubbe (1895-1978) nazywana jest malarką znad jeziora Gardno. Była obdarzona talentami plastycznym i muzycznym, które rozwijała w Szkole Rzemiosła Artystycznego w Berlinie oraz u znanych artystów Emila Orlika - czeskiego malarza i grafika, Emila Rudolfa Weissa oraz u pianistki Charlotte Kaufmann. Zaraz po studiach wzięła udział w plenerach malarskich w Rowach i - obok Maxa Pechsteina - w pierwszej wystawie Słupskiego Stowarzyszenia Sztuki. W 1919 wyszła za mąż, a trzy lata później rozstała się z mężem i zamieszkała z córeczką u dziadków w Smołdzinie.

W 1927 przeprowadziła się do małego drewnianego, ale własnego domu na południowym brzegu jeziora Gardno, do Wysokiej. W 1932 domek spłonął, a malarka w tym samym miejscu zbudowała nowy, solidniejszy. Mieszkała w nim do roku 1947.

Malowała pejzaże, martwe natury, kwiaty, rzadziej portrety. Wszystkie, jak stwierdzają ówcześni krytycy, z „cierpką nutą".

Język malarstwa nie uznaje granic etnicznych, terytorialnych, czasowych. Jedyną miarą odbioru jest wrażliwość na barwę, kształt,

światło. W obrazach Margarete Neuss-Stubbe jest jeszcze jeden element - znajomy pejzaż. Utrwalała na obrazach widoki jeziora Gardno, nadbałtyckich wydm, okolicznych domów i piwniczek trzcinowych, zwanych „puppe", jakby ów artystyczny rejestr był zapisem osobistego przywiązania, a jednocześnie smutnej historii.

Mnie zainteresował epizod związany z jej życiem. Na pewno nie bez znaczenia był tu wyrok Jałty, którego doświadczyli również Niemcy z Pomorza po II wojnie światowej. Kiedy wkroczyli Rosjanie - zapewne dla zarobku, a i bezpieczeństwa - Margarete portretowała radzieckich oficerów i ich żony. Również w tym czasie na zlecenie polskiego księdza namalowała wizerunek Matki Bożej oraz świętego Antoniego do kościoła w Gardnie Wielkiej. Obrazy wisiały w kościele do lat sześćdziesiątych.

Podobny epizod artystyczny w Łebie miał Max Pechstein, autor „Madonny Orędowniczki Rybaków". „Matka Boska z Dzieciątkiem" Margarete Neuss-Stubbe z 1947 roku oraz „Św. Antoni" - oba obrazy zaginęły. Wtedy ktoś odkrył, że są w kościele w Gąbinie, czyli kościele filialnym parafii gardneńskiej. Oba obrazy zostały wystawione na wystawie „Margarete Neuss-Stubbe. Malarka znad jeziora Gardno" zorganizowanej najpierw przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku w maju i czerwcu 2004 roku, a następnie przez Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach - Oddział MPŚ w Słupsku na przełomie lutego i marca 2005 roku. Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie w 2004 roku zorganizowało wystawę „Pejzaż pomorski w malarstwie Margarete Neuss-Stubbe i Mariana Mokwy". Po wysiedleniu w 1947 roku malarka mieszkała w Harz, a od 1955 roku w Wiesbaden. W tym czasie wiele podróżowała. Zmarła w 1978 roku w Wiesbaden.

Wieś Dębina, 2009
papier, gwasz
28 x 38 cm
sygn.: pr. d.: A. Dmoch 09
wł. prywatna
poz. kat. 43.

Dębina

Położona nad morzem Debina nigdy nie była osadą rybacką ani popularnym miejscem wypoczynku. Prawdopodobnie dlatego, że oddalony ode wsi o kilkaset metrów brzeg morski zachwyca wprawdzie malowniczym wysokim klifem porośniętym lasem z przewagą dębu, ale zejście na wąską i kamienistą plażę jest strome i często podmyte falą. Mimo to schodzą tu chętnie wtajemniczeni miejscowi wędkarze z nadzieją na pokaźnego leszcza, węgorza lub po prostu flądrę łowioną na wędkę prosto z brzegu. Jakiś czas temu Polska usłyszała o Dębinie jako kurorcie, w którym miejscowy sołtys znalazł blisko kilogramowy bursztyn. Historia przybrała nieoczekiwany obrót, gdy okazało się po telewizyjnej emisji newsa, że znalazca po pierwsze powinien mieć pozwolenie na kopanie bursztynu i po drugie - winien jest państwu podatek od pozyskanej kopaliny. Wyjaśniła się wówczas prawdziwa historia kawałka bursztynu, ale promocja powstającego wczasowiska była na miarę sołtysowego pomysłu.

Dębina ok. 1917 r. - gospoda Ferdynanda Frobela, stary pałac, gorzelnia oraz zabudowania folwarczne.

Przedwojenna pocztówka z Dębiny, z widokiem gospody Ferdynanda Frobela, starego pałacu, gorzelni i zabudowań folwarcznych.

Miejsce to naprawdę zasługuje na rzetelną informację z kilku względów. Zacznijmy od rozwikłania nazwy. Współczesna nie nastręcza trudności. Ot, typowa nazwa topograficzna, bo wokół rosną piękne lasy, a na wysokim kilkumetrowym klifie zachwyt budzą stare dęby i buki, które z trudem opierają się morskiemu żywiołowi i jesiennym wichurom. Nikt nie wie, czy one wiążą klif mocnymi korzeniami, czy wichury tracą impet, rozbijając się o wysoki brzeg. Czasem jednak któreś drzewo polegnie, takie są prawa natury. Późnoletni wczasowicze wiedzą od gospodarzy, że na przełomie sierpnia i września w trawie pod drzewami warto szukać prawdziwków na wysokiej nodze i w dziarskim kapeluszu. Jeszcze kilka lat temu klif podziurawiony bywał niczym wyborny ser. To jaskółki brzegówki budowały w prostopadłej ścianie brzegu swoje nietypowe gniazda. Teraz rzadziej można je spotkać ze względu na obecność wszędobylskich wczasowiczów. Nadmorskiej przyrodzie i letnikom patronuje tu Matka Boża w maleńkiej kapliczce przyczepionej do dębowego pnia tuż przy skraju urwiska. Druga czworoboczna kapliczka z wypisanymi Suplikacjami niesie do nieba błaganie mieszkańców: „Od powietrza, ognia, głodu i wojny wybaw nas, Panie". Stoi w środku wsi przy drodze, jak to jest w zwyczaju. Kościoła w Dębinie nie ma, a wieś należy do parafii w Objeździe.

Wróćmy jednak do historii nazwy miejscowości, którą Kaszubi znali jako Szënodo. Niestety, kaszubszczyzna poległa na tych terenach z dominującym językiem niemieckim. „Proces kurczenia się zasięgu mowy kaszubskiej, odzwierciedlający wypieranie kaszubszczyzny w powiecie słupskim stał się szczególnie widoczny od ostatniej ćwierci XVIII stulecia" - pisze Andrzej Czarnik. Alfons J. Parczewski, historyk, prawnik i etnograf, profesor uniwersytetów w Warszawie i Wilnie wyprawił się na te tereny w 1880 roku. Dotarł do Gardny Wielkiej, odwiedzając pobliskie miejscowości. Ustalenia zawarł w pracy „Szczątki kaszubskie w prowincji pomorskiej", gdzie napisał: „Niektórzy Słowińcy pozostali także w Czystej (Wittbeck) i leżącym na wąskim przesmyku między jeziorem a morzem Rowie (Rowe). Zupełnie niemieckie były osady dalej nieco od jeziora położone, Objazda (Wobezde), Szaneda (Schönwalde) (Dębina) i czysto szarwarczne wsie Kuziowa-Kuhnhof (Komnino, Komnënò),) i Wosieka-Wussecken (Osieki). W RtuRotten (Retowo) szczątkiem gasnącego plemienia pozostał stary szentys Nowka wraz z siostrą." (Cyt. za: Andrzej Czarnik: Gardna Wielka. Słupsk 2001.) Mamy zatem opis zwarcia się nazwy kaszubskiej Szënodo (Szaneda) i niemieckiej Schönwalde, utrwalonej w piśmiennictwie w XVIII wieku. Nietrudno spostrzec, że motyw topograficzny

pięknego lasu był podstawą nazwy miejscowości dawniej i dziś. Tuż po wojnie na krótko pojawia się i inna nazwa: Laski, ale do tej historii powrócimy za chwilę. Dębina ma nietypową dla nadmorskich miejscowości historię. Tu, nad Bałtykiem miejscowa ludność trudniła się głównie rybołówstwem, uzupełniając podstawę bytowania uprawą roli. Dębina była wsią rolniczą, z dobrze przez wiek XIX rozwiniętym przemysłem hutniczym. Wokół niewielkiej wsi rozciągały się po zachodniej stronie rozległe łąki, sporo było pól i lasów. Wioska liczyła siedemnaście zagród, właścicielami byli znani w okolicy Bandemerowie. Nie oni jednak nadali wsi nowoczesny charakter. Rozległe nadgardneńskie łąki wchodzące we współczesny kompleks tzw. Objejskich Łąk do warunków umożliwiających rolnicze użytkowanie doprowadził w latach 1836-1864 Julius Giebe, który powróciwszy z Holandii wyposażony w wiedzę na temat osuszania mokradeł, zabrał się do nowoczesnego gospodarowania tysiąchektarowym obszarem łąk łęgowych. Zmeliorowano mokradła kopiąc sieć rowów co trzydzieści metrów na głównych kierunkach świata - z południa na północ i ze wschodu na zachód. Podstawowe elementy systemu melioracyjnego zachowały się do dziś i mimo że wieś traci rolniczy charakter, znajdują się młodzi zapaleńcy, którzy wierzą w sens rolniczego działania. Arek Lewandowski umiejętnie korzysta z bogactwa rozległych łąk i preferencji, jakie zapewnia Unia Europejska. Hoduje niezwykle urodziwe bydło, co nie jest na wsi tak oczywiste jak kiedyś.

Kapliczka na klifie w Dębinie.

Mniej więcej w tym samym czasie (mówimy o wieku XIX) inny przedsiębiorczy człowiek, Hans Piper, dostrzegł w nadmorskiej wsi dobre miejsce dla swego przedsięwzięcia. W 1872 roku wybudował na skraju wsi hutę szkła, wykorzystując tanie miejscowe surowce: torf i drewno jako źródło energii do produkcji butelek i szkła taflowego, które przez port w Ustce eksportował do Rosji i na Zachód. Huta pracowała do 1906 roku, zatrudniając od ośmiu do szesnastu robotników. Miejsce po hucie do dziś upamiętniają olbrzymie koła młyńskie po prawej stronie szosy przy wjeździe do wsi. Przeprowadzono w tym miejscu badania archeologiczne pod kierunkiem doc. dr Jerzego Olczaka z Torunia, które znaleziskami potwierdziły obecność dawnych hutniczych urządzeń i tworzywa. Później w miejscu dawnej huty powstała olbrzymia stodoła - obora, w której w latach powojennych PGR z Objazdy urządził bukaciarnię, wykorzystując pobliskie łąki jako zaplecze paszowe. Niedawno budynek rozebrano, pozostawiając część mieszkalną. Po przeciwnej stronie drogi prawdopodobnie znajdowały się tartak, produkujący skrzynie na potrzeby huty oraz krochmalnia przerabiająca nadwyżki ziemniaków. W nieodległej Objeździe w tym czasie (1869) powstała gorzelnia.

Niewielka wieś żyła jednak skromnym rolniczym rytmem, ciążąc raczej ku bliższym wsiom - Bałamątkowi i Objeździe niż odległym o pięć kilometrów Rowom. Sprzyjały temu nie tylko odległość, ale charakter zajęć i interesów ludności. Tak pozostało i po wojnie.

„W dniu 28-X-1946 roku do wsi Laski, obecnie Dębina, przybyła grupa rolników z rodzinami i inwentarzem żywym (krowy, konie, itp.). Ponieważ przybyli tu przeważnie z gm. Krasnobród z pow. zamojskiego, m.in. młodzież tych rodzin natychmiast zorganizowała się i rozpoczęła pracę kulturalno-oświatową, organizując występy folklorystyczne i estradowe" - napisał w prywatnej kronice Roman Zub, późniejszy bibliotekarz i organizator zespołów muzycznych z Objazdy. Jedyną wzmianką o urokach położenia nadmorskiej wsi jest umieszczona i podpisana w jego kronice fotografia okrętu niemieckiego osiadłego na mieliźnie między Dębiną a Poddąbiem, który ściągnięto dopiero po 1948 roku.

Jak wspomina Henryka Maria Cieślik, wtedy jeszcze Grabowska, młodzi lgnęli ku sobie, rekompensując smutne wojenne lata. Śpiew, muzyka, teatr amatorski były ich żywiołem, sposobem budowania więzi. Rodzili się do życia w nowych warunkach. Sami tworzyli swój świat, pokonując rozliczne trudności. Pierwszy dwugodzinny występ estradowy dali w Laskach (Dębinie) już 9 listopada 1946 roku. Zaprosili osobistości z Objazdy, między innymi kierownika szkoły pana Bobrowskiego, bo w Laskach szkoły nie było.

Pani Maria pamięta, że estrada była skromna, ale entuzjazm artystów i widowni ogromny. Na eliminacje chórów amatorskich w 1950 roku wyruszyli do Słupska pieszo, zabierając po drodze młodych chórzystów z Bałamątku i Objazdy.

W Dębinie zamieszkali Dziubowie, Molendowie, Gałkowie; odnajduję ich nazwiska zapisane przez kronikarza w pierwszym składzie zespołu. Przybyli do Lasek (Dębiny) z bagażem wspomnień o pozostawionym na Zamojszczyźnie życiu, z bagażem wojennych doświadczeń, o których chcieli zapomnieć. Rozpoczynali wszystko od nowa.

Niebawem codzienność pochłonęła wszystkich, rozproszył się gdzieś entuzjazm pierwszych lat. Nastały czasy wymagające ostrożności, więc dopiero teraz, kiedy na wieczność obejmują tę ziemię, zapisują na kamiennych tablicach prawdę o sobie.

Nieduża jest Dębina, nadmorska wieś przecięta krętą, wznoszącą się miedzy domami drogą. Znana była jako miejsce stacjonowania radarowej jednostki wojskowej, o której istnieniu pamiętają tylko nieliczni. Niedawne pola uprawne podzielono na rekreacyjne działeczki, na których z dnia na dzień wyrastają nowe domki letniskowe. Nawet na podmokłych torfowych łąkach stanęły kempingowe przyczepy, tak kusi mieszczuchów własne letnisko. Zmienia się świat, zmienia się Dębina. Z pewnością zasłynie jako wakacyjny kurort, jeśli powstaną ścieżki rowerowe, jeśli wykorzystane zostaną złoża borowiny, których propagatorem był nieżyjący już doktor Jerzy Żabiński, przyjaciel Stanisława Dziuby, dawnego porucznika AK, ps. „Kornik". Zmiany następują powoli, wszyscy uczymy się, jak wykorzystać nadmorskie położenie naszego regionu z pożytkiem dla siebie i wczasowiczów z Polski i ze świata. Niezmienny jest tylko surowy okoliczny pejzaż najeżony kamieniami, na których cieniem kładą się dęby z wysokiego klifu.

Na klifie w Dębinie

zapomniałam o Bożym świecie
jak Eliasz na pustyni
miałam jedno pragnienie
lecz nie zjawił się anioł ze strawą

obok stanął niosąc troski
w brudnym worze
żebrak
szliśmy tą samą drogą

na klifie w Dębinie
pod drzewem
z kapliczką Ostrobramskiej
kładłam modlitewne kamienie

on po sezonie
sprzedał puszki po piwie
i wszystko zaczęliśmy od początku

Spacerem do Poddąbia

Do Poddębia jeździliśmy furmanką zaprzężoną w dwa konie, którymi powoził tato. Były to późne lata pięćdziesiąte, szosa była szutrowa, a samochodów na niej prawie wcale. Do Poddębia, tak wtedy nazywaliśmy miejscowość, o której Niemcy mówili Neustrand, a teraz oficjalna nazwa brzmi Poddąbie. Nie będziemy rozwijać onomastycznych zawiłości, chociaż z pewnością byłyby ciekawe, na przykład czy była wcześniej słowiańska miejscowość Poddamp lub z niemiecka Altstrand, niektórzy twierdzą, że tak, nawet pokazują gdzie. Neustrand, czyli Nowe Poddąbie jest rówieśnikiem Kluk.

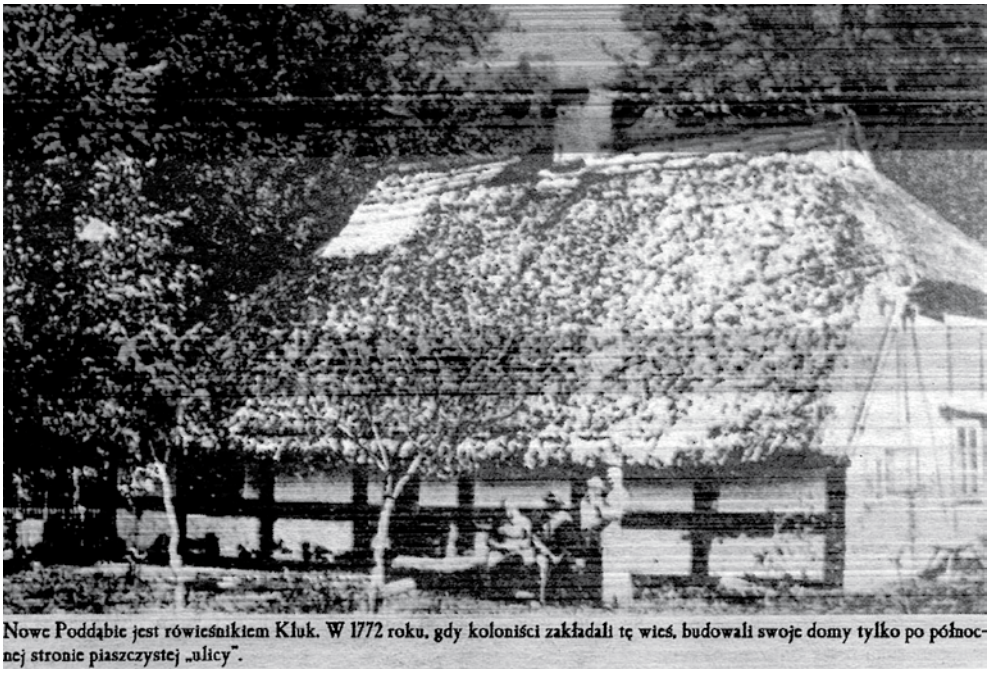

Nowe Poddąbie jest rówieśnikiem Kluk. W 1772 roku, gdy koloniści zakładali tę wieś, budowali swoje domy tylko po północnej stronie piaszczystej „ulicy".

Fotografia prasowa - reprint Sławomir Żabicki, „Głos Pomorza", 25-26 czerwca 2005 r.

Do Poddąbia jeździliśmy w niedzielę, bo przez cały tydzień i konie, i my pracowaliśmy w polu. Latem pracy było co niemiara. Kiedy siano leżało w kopach, nawet w niedzielę trzeba było pilnować pogody. Często po mszy z obawy przed deszczem zwoziliśmy siano lub snopy i o wycieczkach nawet nie było co marzyć. Zdarzało się jednak dwa, trzy razy w ciągu lata, że rodzice organizowali dla nas wyprawę nad morze. Oczyszczaliśmy z grubsza drabiny wozu,

mościliśmy kocami, mamusia pakowała do kosza coś do jedzenia i picia i... jazda! W Objeździe dosiadali do nas kuzyni i znajomi - do ostatniego miejsca. Jechaliśmy do Bałamątku i dalej kawałek dawnym torowiskiem, i przez las, duktem. Śmiechu, żartów i opowieści, a nawet śpiewów nie brakowało. Konie człapały, nikt ich nie popędzał, a nam się nie spieszyło. Jazda przez las też była przeżyciem. W słońcu sosny pachniały żywicą, w poszyciu czerniły się jagody, więc zatrzymywaliśmy się, żeby ich posmakować. Po godzinie, półtorej docieraliśmy na miejsce.

Przez Poddąbie prowadziła piaszczysta droga. Kilka niskich domków po prawej (północnej) stronie zamieszkiwali niezamożni rybacy, dlatego mówiło się, że w Poddąbiu flądry smażą tylko po jednej stronie. Wieś zakładali koloniści w 1772 roku, dlatego uznaje się ją za rówieśniczkę Kluk. Pan Bułgara, który łowił i rozwoził ryby po okolicy i o którym tato opowiadał nam bajki, od dawna żyje tylko w pamięci dzięki niezliczonym przygodom z kotami, które uwijały się wokół jego wozu. Po przeciwnej stronie pasło się kilka krów, były jakieś poletka z kartoflami, żytem i owsem.

Poddąbie to polana zamknięta od wschodu, czyli wjazdu do wsi lasem świerkowo-sosnowym z kępami brzóz, a od zachodu, czyli zejścia na plażę, lasem bukowym. Pięknym starym lasem rosnącym na klifie. Korzenie niektórych drzew są widoczne, bo morze i wiatr wypłukały ziemię, a drzewa stoją z jakimś niesamowitym uporem nie poddając się niszczycielskiej sile żywiołów. Wydawało się wtedy, że to jakiś odrębny świat, tajemniczy, majestatyczny i nieskażony. Czuliśmy się przez moment jak odkrywcy. Cichły rozmowy, wyostrzały się źrenice, tylko konie jak przedtem człapały, od czasu do czasu parskając od pyłu na drodze. Tato stawiał wóz na łączce z kiepską trawą wyschniętą od słońca, konie dostawały worki z obrokiem, lejcami przywiązywał zaprzęg do jakiegoś drzewka i zbiegaliśmy na plażę. Za każdym razem próbowaliśmy czy woda naprawdę jest słona, później chlapaliśmy się w lagunach, bo woda była w nich cieplejsza. Nie umieliśmy pływać, rodzice pilnowali, byśmy nie wchodzili za daleko. Tylko tato miał przywilej pływania. Wychował się wśród jezior brasławszczyzny, więc umiał pływać, ale i on miał respekt przed morzem. Mama rozkładała koc, stawiając na środku kosz, z którego w biegu chwytaliśmy smakołyki. Nie było czasu na celebrowanie, bo wiedzieliśmy, że to szczęście trwa tylko chwilę. Konie na górze nie mogły stać same, droga powrotna przed nami, a w domu czekają wieczorne obrządki. Wracaliśmy jak niepyszni, ale te krótkie wycieczki pamiętam do dziś jako wydarzenia wyjątkowe.

Kiedyś wracała z nami starsza kobieta, której nazwiska nie pamiętam, być może dlatego, że opowiedziana przez nią historia zawładnęła bez reszty naszą wyobraźnią. Byliśmy przed Bałamątkiem w miejscu, gdzie dukt ma postać jaru, a piaszczysta droga rodzi kamienie. Na nic się zda ich usuwanie, po jakimś czasie pojawiają się nowe. A dzieje się tak nie bez przyczyny. Przed laty młodzieńcowi z Objazdy spodobała się dziewczyna z Poddąbia. Nic w tym dziwnego, bo dziewczyny nad morzem piękne są wszystkie, ogorzałe, smukłe i z morskim temperamentem - ciche w spokojne dni, ale groźne w czas burzy. Młodzi postanowili się pobrać i bryczką zaprzężoną w dwa konie jechali do ślubu do kościoła w Objeździe. W tym właśnie miejscu spłoszone konie poniosły i cały zaprzęg razem z młodymi zatopił się w leśnym grząskim jeziorku. Kwitną tam teraz latem leśne dzwonki, które słychać jak ślubne janczary. Tak niedoszłych małżonków ukarała uwiedziona przez chłopaka dziewczyna, która zniknęła tajemniczo, by nikt nie widział jej hańby. Panna młoda domyślała się wszystkiego, bo gadania po okolicznych wsiach było sporo, ale zakochana zlekceważyła cudze nieszczęście.

W ciszy przebyliśmy dalszą drogę, ale pamiętamy to miejsce do dziś. Opowiadam tę historię moim chłopcom ku przestrodze, by pamiętali, że wyrządzona komuś krzywda zawsze będzie ukarana.

Po dziesięciu latach, kiedy byłam już studentką, zaprosiłam na biwak do Poddąbia moich przyjaciół z Gdańska. Wieś wyglądała na wymarłą. Nie było już rybaka Bułgary. Trzy domki przy drodze wyglądały na jeszcze bardziej opuszczone. Tylko drzewa były piękne jak dawniej. Rozbiliśmy duży namiot w miejscu, gdzie dziś jest stacyjka rowerowa. Obok ustawiliśmy kamienne palenisko i czuliśmy się jak na bezludnej wyspie. Tylko wieczorem przed zmierzchem wopiści z pobliskiego posterunku bronowali plażę, a my przyglądaliśmy się temu z klifu, zastanawiając się, jaki śmiałek przekroczy morską granicę. Do sklepu w Objeździe mieliśmy blisko cztery kilometry, słodką wodę czerpaliśmy ze źródła wypływającego z klifu, a wokół żywego ducha - tak nam się wydawało. Któregoś wieczoru odwiedzili nas jacyś ludzie, chyba sprawdzali czy jesteśmy dość odpowiedzialni, by samodzielnie biwakować w takich warunkach. Tak, to był rok 1969, rok lądowania Amerykanów na Księżycu. Dwudziestego 20 lipca na transmisję szliśmy do wsi, do domu rodziców, blisko sześć kilometrów - takiego wydarzenia nie mogliśmy przegapić. Neil Armstrong poza statkiem Apollo 11! Przeżycie było mocniejsze przez kontrast. Zdawaliśmy sobie sprawę, że skoro człowiek dotarł do Księżyca, to i do Poddąbia dotrą ludzie ze swoimi daczami. Zabrakło nam wyobraźni - po czterdziestu latach mogę na YouTube obejrzeć „mały

Na plaży w Poddąbiu w latach 1946-1948 „cumował" wrak okrętu. Zdjęcie pochodzi ze zbiorów Romana Zuba.

krok człowieka, ale wielki krok ludzkości", nie ma strażnicy WOP i ochrony granicy państwa przez bronowanie plaży, a Poddąbie, choć kameralne, zaludnia się latem do granic możliwości. Tylko buki na klifie pozostają niezmiennie piękne.

Właściwie nie pamiętam kiedy zaczęły się pojawiać w Poddąbiu pierwsze ośrodki wczasowe i domki letniskowe, zabudowując ciasno obie strony dawnej piaszczystej uliczki i wchodząc głęboko w las po południowej stronie. Leśną drogę do wsi zastąpiła wąska, kręta asfaltówka ze zjazdem w Machowinku, dlatego teraz nie ma mowy, by latem można było bezpiecznie pójść do Poddąbia na spacer. Tylko jesienią i zimą, kiedy letnisko zamiera, można tam bezpiecznie dotrzeć spacerem czy nawet rowerem. Od strony Bałamątku leśna droga oznaczona jako ścieżka rowerowa coraz częściej jest tak rozjeżdżona przez quady, że ani rowerem, ani pieszo nie da się przejść bez komplikacji. Prawdziwy wzrost przeżyło Poddąbie w pierwszych latach transformacji. Wolność gospodarcza pojawiła się na tarpanie przywożącym letnikom bułki i mleko z gospodarstwa w Objeździe. Później była jakaś drewniana buda, którą podpalono w ramach niszczenia konkurencji, wreszcie Jula porzuciła ostatecznie gospodarstwo, by poprowadzić karczmę „U Julki". Pojawiły się sezonowe sklepy, budki, smażalnie i wszystko co daje zarobek w letnisku. Przez dwa miesiące zmieniają się turnusy, dniem i nocą wieś lśni opalenizną gości, spoconymi twarzami restauratorów i hotelarzy,

aż ostatniego sierpniowego dnia wszystko znika. Poddąbie pustoszeje. Na stałe mieszka tu chyba dziesięcioro ludzi. Po dzieci do szkoły w Objeździe przyjeżdża autobus, mieszkańcy po zakupy jadą swoimi samochodami, tematem rozmów jest miniony i nadchodzący sezon. Weekendowi goście mogą w karczmie pogrzać się przy kominku, popijając herbatkę z gospodynią. Niepowtarzalnego klimatu letniska broni w dalszym ciągu wysoki klif, piękne drzewa i trzy domy jak strażnicy czasu przy dawnej piaszczystej drodze, dziś wyłożonej szeroko polbrukiem i zwanej szumnie Promenadą Słońca. Poza tym ciągle trwa budowa. Poddąbie pozostanie mimo wszystko najpiękniejszym skrawkiem polskiego wybrzeża. Ten kawałek Bałtyku mamy za swój i odwiedzamy go jesienią i zimą, wtedy przyroda odsłania prawdziwe oblicze i nikogo nie mami banałem.

Nad morzem

Ty morską falą, ja brzegiem wysokim,
Plaży wstęgą złotą jak stułą złączeni.
Niebo nas jednym otula błękitem,
Ptak dziki skrzydeł trzepotem unosi.

Swatką nam była jesienna burza, gdy
Nocą biegłem z wiatrem w zawody,
A twoje ciało jak wyspa schronienia,
które, spragniony, brałem jak łyk wody.

Żywioły w nas jak gwiazd wodospady
Podskórny taniec przez noc całą grały.
I wieczność wówczas tylko naszą była,
Lecz trwała chwilę, tak to z burzą bywa.

Teraz w przyjaźni wiernej obok siebie
Ten sam brzeg wysoki i morska fala.
Popiołem czasu zasypane żale,
Na plaży znaki wspomnień, muszle białe.

I wciąż oboje zawsze tuż przy sobie
Jak dwie historie w jednej życia księdze.
Jak skrzydła ptaka, który z wiatrem tańcząc,
To w niebo, to w falę swobodnie szybuje.

W dali, w obręczy złotej widnokręgu,
Światłem prowadzi nas latarni wstęga.
Wspomnienie białym grzbietem fali płynie
I wraca, pragnień dawnych obraz blady.

Resztki wraku na plaży w Poddąbiu.

Bajka-niebajka

- A widzieliście, sąsiadko, Bułgara, dziś jechał?

- Oj, chyba nie, bo mój Mruczek spokojnie śpi w chałupie.

- To i mnie dziwnie bez kociej muzyki. Cisza, aż w uszach dzwoni.

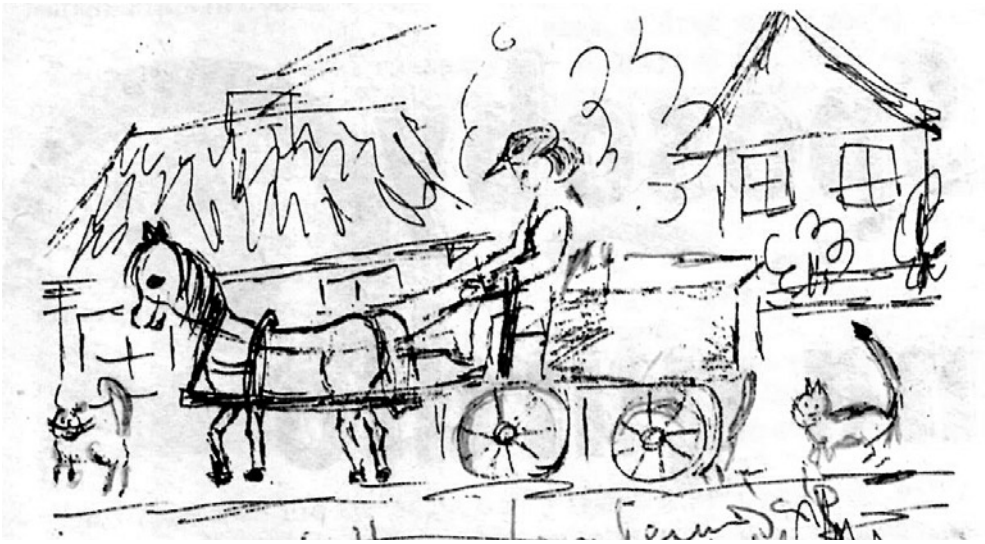

Rys. Cz. Długoszek

Tak przez płot pogadywały Filowa z Jostową. Pogoda była piękna mimo wczesnej wiosny. Dzieciaki w szkole, więc można omówić wszystkie wiejskie sprawy. A to, że u Jaskólskich maciorka przywiodła osiemnaścioro prosiąt i trzeba je butelką dokarmiać. I że pod lasem znów strzały słychać było.

- Kiedy koniec tej wojny będzie? Przecież Niemca już kilka lat nie ma, a ci, co zostali, spokojni i jak swoi.

- Tak, tak, ale strzały między swoimi padają. Na cmentarzu obok żelaznych krzyży niemieckich są już drewniane, polskie.

Rozważania sąsiadek przerwało poruszenie wśród kotów. Pierwszy jak opętany wyskoczył Rademenes Filów. Kocur był czarny, duży, więc tylko świsnęło pod nogami i kot pędził szosą przed siebie. Z zagród wybiegały co chyżej inne koty i pędziły za Rademenesem. Tylko biedny Mruczek miauczał żałośnie pod drzwiami. Jostowej żal się zrobiło kota, więc pożegnawszy sąsiadkę, poszła dać mu wolność.

Niebawem zza zakrętu wyłonił się powód kociego zamieszania. Na przodzie dzwonił podkowami o kamienie zgrabny konik. Ciągnął niewielki wózek. Żelazne obręcze stukały, chrzęściły, ale dobrze chroniły drewniane koła. Między kłonicami była ławka. Siedział na niej mężczyzna postawny, czarniawy, ani stary, ani młody. O ładunku, który wiózł w skrzyni za siedziskiem, zapach zaświadczał - miły kotom. Dlatego jedne pomykały truchtem za wozem, inne wyprzedzały go, tworząc korowód barwny i jazgotliwy. Wozak ładunku bronił batem, boby mu go koty zjadły.

Bułgara to był, rybak z Poddąbia. W obejściu kobieta została z dziećmi. Biednie im się żyło, jak to na przednówku. Ale przecież i na biedę rada była. Pogoda przyszła. Łódką na morze przed świtem wyjeżdżał. Przed południem przesiadał się na wózek i ryby po okolicznych wsiach rozwoził. Wracał do domu wieczorem, przywożąc kartofle, zboże, czasem parę złotych.

Ludzie płacili, czym tam mieli. A mieli niewiele, bo nikt tu bogaty nie był. Jednych przygnała tu wojna na roboty przymusowe, więc jak Polska nastała, zostali. Inni do domu pod Wilnem wrócić nie mogli. Granica rozdzieliła rodzinę. Syn osadnik tu został, a matka tam. Kilkumorgową biedę zwabiła odważnych z „centrali" nadzieja lepszego losu. A byli i tacy, których ochota na szybki zysk ze stron rodzinnych wygnała. Ale ci się zawiedli.

- Dajcie mi ze dwa dorsze, panie Bułgara. Piątek dziś, obiad będzie w sam raz - poprosiła Filowa.

- A dla mnie śledzi do miski. Trochę zasolę, to w Wielkim Tygodniu będzie co jeść - wyjaśniała Jostowa

Rybak rozdawał śledzie, dorsze, szproty. Zapłatę przyjmował, a na odjezdne i kotom coś rzucił. Miał w tym swój interes. Zajęte robotą przy rybie dały mu spokój.

Rybak Bułgara jest postacią autentyczną, mieszkał w Poddąbiu i naprawdę rozwoził ryby, sprzedając je w okolicznych wsiach. Opowieść o nim zapamiętałam z wczesnego dzieciństwa. Opowiastką o rybaku Bułgarze i innych malowniczych postaciach mój ojciec budował rzecz trwalszą niż system polityczny, w którym przyszło mu żyć, budował pojęcie małej ojczyzny.

Zagubiony etos

Oboje pochodzili z Kresów. Ona ze wsi położonej na Pojezierzu Brasławskim, on urodził się i mieszkał w parafii Szemietowo, jakieś sto kilometrów od niej. Nie mieli o swym istnieniu pojęcia i gdyby nie złe wiatry historii tak pozostałoby do końca ich dni. Widocznie jednak Boża Opatrzność niesie nam wśród rozlicznych nieszczęść dary, które pomagają przetrwać zły czas. Stali się dla siebie darem na całe życie, które dopełniło się we wsi Objazda, o której istnieniu wtedy nie wiedzieli.

Kresowe wsie w większości były biedne, własnej ziemi było niewiele, potrzeby duże i żadnej perspektywy. W niedalekiej Łotwie żyło się lepiej i o pracę sezonową było łatwiej. Młodzi wyjeżdżali chętnie, tym bardziej, że emigracyjne opowieści były im znane. W odzyskaną w 1918 roku niepodległość Polska wchodziła z tradycjami emigracji nie tylko politycznej, lecz także zarobkowej, która wyjątkowe rozmiary przybrała w latach 1890-1914. Szczegółową analizę problemu przedstawia Anna Kicinger ze Środkowoeuropejskiego Forum Badań Migracyjnych w Warszawie w pracy „Polityka emigracyjna II Rzeczpospolitej". Podaje szacunkowe badania, z których wynika, że w przełomie wieków ziemie polskie opuściło 3,5 miliona ludzi, emigrując głównie do USA, Brazylii, Argentyny, Kanady. Jeśli do zamorskiej dodamy emigrację kontynentalną, okaże się, że w chwili narodzin Niepodległej na emigracji żyło 4,3 miliona Polaków. Tradycje emigracji zarobkowej kryły bolesne doświadczenia jednostkowe, rodzinne i społeczne. Masowa emigracja świeżo scalonych ziem polskich uzasadniana była „złem koniecznym" wobec biedy i niedorozwoju gospodarczego odradzającej się ojczyzny. Dominującą grupą emigracyjną w dwudziestoleciu byli rolnicy (od 60 do 95 proc.), przyczyniła się do tego ciągle odkładana reforma rolna. Główne kierunki emigracji kontynentalnej to Francja i Niemcy, które sezonowo zatrudniały ponad 300 tys. sezonowych robotników rolnych. Polacy stanowili niemal 80% cudzoziemców pracujących sezonowo w niemieckim rolnictwie - jak podają oficjalne statystyki niemieckie. Ponadto nielegalnie emigrowało zarobkowo ponad 100 tys. zdesperowanych ludzi. Ostatecznie dopiero w roku 1926 osiągnięto wstępne porozumienie polsko-niemieckie, a w 1927 zawarto umowę o sezonowej emigracji polskich pracowników rolnych. (Internetowy spis aktów prawnych (isip.sejm.gov.pl)

O aspektach prawnych regulujących emigrację zarobkową pisze Paweł Fiktus w artykule „Ochrona prawna emigrantów w latach 1918-1927 w II RP" publikowanym w Zeszytach Studenckich Wrocławskich Studiów Erazmiańskich.

Nowym rynkiem dla polskich emigrantów zarobkowych stała się Łotwa, jedyny kraj docelowy, gdzie polska emigracja okresu kryzysu systematycznie rosła, sięgając w 1935 roku ponad 16 tys. osób, a w 1938 już blisko 18 tys. robotników sezonowych. Dziś Polonia na Łotwie liczy ok. 75 tysięcy. Większość, zamieszkałą w Rydze, Dyneburgu, Mitawie i Rzeżycy, stanowią potomkowie sezonowych robotników rolnych oraz drobnej inteligencji miejskiej przyjeżdżających tu w okresie dwudziestolecia.

Przy burakach pracowały kobiety z dziećmi. Na zdjęciu od lewej: Stanisława Janus, w środku stoją Kazimiera Łyszczówna, Janina Wieliczkowa, Regina Turkowa. W środku przykucnięta Jadwiga Wojciechowiczowa, ostatnia po prawej Leokadia Zamościkowa.

Jadwiga i Albin spotkali się na Łotwie, gdzie oboje przybyli do pracy w Ogre nad rzeką tej samej nazwy, będącej dopływem Dźwiny, ponad trzydzieści kilometrów od Rygi. Pracowali jako robotnicy rolni, przyglądając się sobie bez szczególnego powodu. Oboje skromni, solidni w każdej pracy, złączeni emigracyjnym losem wiedzieli o rozniecającej się wojennej zawierusze. Niemcy panoszyli się wszędzie, władze łotewskie mniej przychylnie patrzyły na polskich emigrantów. Gdzieś na szczytach polityki zrywano dawne sojusze, zapominano o niedawnych porozumieniach i przyjaźniach. Mimo to, a może właśnie dlatego w 1940 roku się pobrali. Łatwiej przeżyć emigracyjny los, gdy obok jest ktoś bliski tak samo widzący świat. Tak było i jest, to jakby wpisany w emigrację lek na samotność. Po blisko

Stanisława Zaczkówna

dwóch latach, w 1942 roku, kiedy była brzemienna, jej męża skazano za jakieś drobne przewinienie na obóz przejściowy i zsyłkę na roboty przymusowe. Ze względu na błogosławiony stan nie musiała dzielić jego losu, ale małżeństwo traktowała jako związek nierozerwalny. Poszła z nim. Przez Königsberg i obóz przejściowy, prawdopodobnie Quednau (powstał w 1933 - jako jeden z pierwszych hitlerowskich obozów koncentracyjnych). Później jechali pociągami, głodni i obdarci, pod strażą, przez wiele tygodni. Kiedy dotarli na miejsce do Stralsund, pięknego nadbałtyckiego miasteczka w okolicach Rugii, urodziła martwego synka. Skrywali żałobę. To nie był dobry czas dla dzieci robotników przymusowych. Pracowali ciężko, nieraz ponad siły bez należytej strawy i wypoczynku. Bolesne doświadczenia stały się zaczynem następnych zdarzeń, które łączyły się w przedziwne wątki.

Ksiądz Jan Zieja, którego wtedy nie znali, w porozumieniu z władzami AK udał się na Pomorze, aby tutaj od 13 listopada

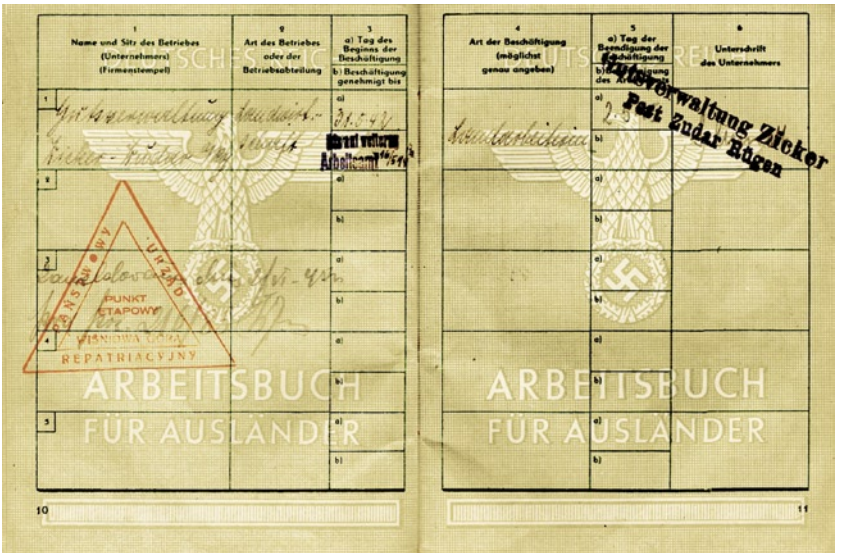

Arbeitsbuch z pieczęcią z Rugii.

1944 roku do 3 maja 1945 roku służyć posługą duszpasterską Polakom wywiezionym na przymusowe roboty. Jego kapłańska droga wiodła przez Braunsberg (Braniewo), Frombork, Bromberg (Bydgoszcz), Gotenhafen (Gdynia), Martensdorf, Stralsund i Barth oder Ostsee. W grudniu 1944 roku będąc na robotach przymusowych w Niemczech w okolicach Barth nakreślał zarys swej pracy

Świadectwo ślubu

Testimonium matrimonii contracti

Nazwisko i zamieszkanie narzeczonego / Cognomen, nomen, domicilium sponsi: Aleksander Kalista zam. w Machowinku (Machowina Małe) gm. Wytrowno (Grabno) pow. Słupskiego

Nazwisko i zamieszkanie narzeczonej / Cognomen, nomen, domicilium sponsae: Stanisława Zaczek, zam. w Machowinku

Gdzie i kiedy małżeństwo zostało zawarte / Matrimonium contractum est loco et die: w r. kat. par. w Wytownie dn. 7 września 1947.

Zgodność z miejscowymi księgami parafialnymi potwierdza / Concordat cum libris metricalibus

Wytowno, dnia / die 15 września 1947

(L. S.)

Urząd Parafialny Rzymsko-Katol. / Officium parochiale

Ks. Jan Zieja

Świadectwo ślubu z podpisem ks. Jana Ziei.

ARBEITSBUCH FÜR AUSLÄNDER

1	Herkunftland	Generalgouvernement
2	Geburtstag	10. Mai 1920
3	Geburtsort	Huszlew
	Kreis	Siedlce
4	a) Staatsangehörigkeit	Staatenlos (Polin)
	b) Volkszugehörigkeit	
5	a) Familienstand led., verh., verw., gesch.	ledig
	b) Anzahl der minderjährigen Kinder	

Arbeitsbuch Józefy Pawłowskiej z Huszlewa.

duszpasterskiej. Po przybyciu do Słupska w końcu maja 1945 roku i utworzeniu przy kościele św. Ottona wzorowej parafii katolickiej, z determinacją rozpoczął tworzenie Domu Matki i Dziecka. W tym samym czasie przez punkt repatriacyjny w Łodzi do Objazdy w okolicach Słupska przybyli niedawni przymusowi robotnicy rolni spod Stralsund, bo nie było Polski tam, gdzie zostały ich rodzinne domy. Kiedy na świat przyszła ich piękna, zdrowa córeczka, ks. Jan Zieja objął parafię w Wytownie. Kapłan idący jak oni wojennym szlakiem ochrzcił i obdarował katechizmem z dedykacją ich dziecko.

Stanisława Zaczkówna miała piętnaście lat i dotychczas sprzyjało jej szczęście. Kiedy 10 lutego 1940 roku z Podgórza wywożono gdzieś w głąb Rosji ponad trzydzieści rodzin, jej dom i rodzina wydawały się bezpieczne. Miała rodziców, dwie siostry i dwóch braci. Mimo wojny i codziennej obawy o kolejny dzień, cieszyła się młodością. Dziesiątego kwietnia 1943 roku sołtys przyniósł nakaz wyjazdu na roboty przymusowe wystawiony przez łomżyński Arbeitsamt. Wywieziono ją do Memel, dzisiejszej litewskiej Kłajpedy, do fabryki haceli. Jechała z nią jeszcze jedna dziewczyna z Podgórza, było łatwiej. Mieszkały na terenie fabryki, jak w obozie. Osiemnastolatka przymuszona do ciężkiej pracy modlitwą dziękowała Bogu za każdy przeżyty dzień i nadzieję, która była codziennym pokarmem krzepiącym bardziej niż głodowe racje żywnościowe. Paczki z domu łagodziły głód i poczucie samotności wobec ogromu zła, pozwalały zachować godność. Dopiero 19 maja 1945 roku była wolna. Wróciła do Podgórza, ale nie było ich domu, wiec znów z rodziną jechała w nieznane. Dotarli do Słupska i dalej Machowinka. Tu spotkała Olka Kalistę, sąsiada z Podgórza. Niedawno przez lasy Syberii, Uzbekistan, Kazachstan, wreszcie szlakiem bojowym II Armii wrócił z zesłania. Mieli za sobą podobne doświadczenia przymusowej pracy w nieludzkich warunkach. Dobrze się rozumieli. Pobrali się 7 września 1947 roku, a małżeństwo pobłogosławił ks. Jan Zieja, jak oni skromny, skołatany latami wojny ale naznaczony kapłańskim etosem. Niósł powracającym słowa otuchy i sakramenty, przywracając wiarę.

Kiedy poznaję losy mieszkańców mojej wsi, wzrasta we mnie przekonanie o konieczności ich dokumentowania. Odchodzą świadkowie bolesnych wojennych doświadczeń, ludzie, których losami rządził przedziwny Demiurg, jakby na owe pięć mrocznych lat Bóg wyszedł z Domu. Zatem losami sąsiadów opisuję małą ojczyznę, za którą zapłacili przetrąconym życiem nasi najbliżsi.

Słowa Jana Pawła II: „Pamięć o przeszłości jest obowiązkiem wobec przyszłości", które przyjęto jako motto wystawy w Zamku

Zdjęcie z wesela Władysławy i Alfonsa Kostków.

Królewskim (2005), towarzyszącej prezentacji pracy pod redakcją Włodzimierza Banasiuka „Polscy robotnicy przymusowi w Trzeciej Rzeszy" oddają stan świadomości odchodzącego pokolenia. Pamięć udokumentowana tysiącami relacji wojennych bohaterów to solidny fundament przyszłości budowanej w pokoju przez wszystkie narody Europy. Wielkim projektom, jak ten sporny powstający w Berlinie pod nazwą muzeum wypędzeń, powinna towarzyszyć znajomość losów naszych najbliższych jako gwarancja regionalnej i narodowej tożsamości.

Józefa Pawłowska z Huszlewa, rocznik 1920, ukończyła siedem klas szkoły powszechnej. W małym gospodarstwie na kilku długich jak oczekiwanie paskach ziemi gospodarzył żonaty brat.

Pomagała w gospodarstwie w oczekiwaniu na posadę. Wojna pokrzyżowała plany, a kiedy w lutym 1943 roku sołtys przyniósł nakaz wyjazdu na roboty dla jej bratowej, zgłosiła się sama, by ratować rodzinę brata. Cóż stałoby się z dziećmi - pomyślała. Pędzono ich pieszo do stacji, stamtąd koleją wieziono do Warszawy, później Berlina i Kerzlin-Neuruppin w Brandenburgii. Podróż trwała blisko trzy tygodnie. Szóstego marca trafiła do bauera Richarda Pritzkow, do pracy w oborze, co wspomina jako dobrodziejstwo, bo wiedziona sprytem umiała z tego korzystać. Mleko chroniło ją przed głodem. Tak przeżyła ponad dwa lata. Po wojnie wróciła do domu. Za ciasno było dla dwóch gospodyń. W Bierkowie pod Słupskiem osiedliła się jej ciotka, przyjechała do niej, na Ziemie Odzyskane, jak wielu młodych. Została sklepową i zaczynała normalne życie. Kazimierz Bednarczyk, którego wkrótce poznała, przypadł jej do serca. Miał te same doświadczenia blisko pięcioletniej przymusowej pracy. Na roboty w Prusach Wschodnich trafił z łapanki w Warszawie. Pobrali się niebawem i zamieszkali w Objeździe.

Początkowo niemieckie władze próbowały pozyskać ludność polską dla niemieckiej gospodarki rolnej poprzez apele, akcje plakatowe i werbowników urzędu pracy. Kiedy nie było widoków na zgromadzenie tym sposobem potrzebnych do pracy miliona robotników, władze okupacyjne zdecydowały się w kwietniu 1940 roku zastosować środki przymusu. Obok aresztowań, łapanek policyjnych, zmuszano wójtów gmin do wyznaczania ludzi na roboty przymusowe. Generalny gubernator Frank polecił administracji pracy na okupowanych terenach przygotowanie i przetransportowanie do Rzeszy co najmniej milion robotników, w tym około 750 tys. robotników rolnych, wśród których musi być co najmniej 50 proc. kobiet, aby zapewnić produkcję rolną w Rzeszy i uzupełnić brakujących w Rzeszy robotników przemysłowych (Herbert: Der Ausländereinsatz).

Władysława Jarnecka z Piotrkowa Trybunalskiego na roboty przymusowe do Seddin-Jeseritz bei Stolp, czyli znajomych nam Jezierzyc, została przywieziona z łapanki w 1941 roku. W międzywojniu przez bazę w Jezierzycach-Żydzinie przewinęło się łącznie 9 sterowców produkcji firmy von Zeppelin i firmy Schytte-Lanz. W czasie ostatniej wojny uwięzieni w obozie robotnicy zmuszeni byli do pracy na stacji kolejowej przy rozładunkach materiałów budowlanych i amunicji. Do pomocy przydzielano więźniarki z obozu dla kobiet. Nim tam trafiła Władysława, przebyła długą podróż i pobyt w tzw. okrąglaku w Stolp, co w jej wspomnieniach było koszmarem. Przydzielono ją do pracy przy produkcji balonów. Czas zatarł wspomnienia i bolesne doświadczenia.

Jej córka Bożena przywołuje fragmenty rzadkich na ten temat rozmów z matką. Próbujemy przy pomocy starszej pani Jarneckiej, bratowej Władysławy, odtworzyć klimat tamtych dni. Paradoksem okazał się fakt, że miejsce, do którego przywieziono ją wbrew woli, okazało się danym na całe życie. W Jezierzycach poznała Alka Kostkę z Gdyni, który podobnie jak ona przybył tu nie z własnej woli. Pracował jako palacz w gorzelni w oddzielnym obozie w Jeseritz. Mieszkał w baraku, gdzie przebywało trzynastu mężczyzn i dziesięć kobiet, ludzi różnej narodowości, wśród nich przyszła bratowa Władysławy. „Przymusowa" miłość, która zrodziła się w nieludzkich warunkach, dawała nadzieję. Dzięki niej łatwiej było żyć, mimo upokorzeń. Pobrali się potajemnie w czasie przepustki, w Gdyni, dzięki przyjaciołom, którzy pomogli wszystko urządzić. Po wojnie długo szukali miejsca na stałe, po kilku przeprowadzkach zamieszkali w Objeździe.

W czasie II wojny światowej na przymusowe roboty do Niemiec deportowano ok. trzech milionów osób, blisko 80 proc. pochodziła z polskich wsi. Najczęściej byli to ludzie młodzi, pełni sił, marzący o własnej drodze życiowej. Marzyli o pracy dla siebie i najbliższych, wolnej i godnej. Pojmowali ją jako wartość bezwzględną jak miłość i dobro. Być może nie znali pojęcia etosu pracy, ale wiedzieli jak godnie żyć wśród swoich. Wojna była okrutną lekcją wczesnej dorosłości i pracy ponad siły na terenach okupowanych przez Rzeszę i na sowieckich zsyłkach. „Arbeit macht frei" nad wejściem do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, praca przymusowa na rzecz totalitarnych systemów, upodlająca i degradująca była zaprzeczeniem wszelkich wartości, nie tylko etosu pracy.

Moi rozmówcy często zasłaniają się niewiedzą lub niepamięcią. Tak rzadko pojawiały się okazje do powrotu w przeszłość. Są powściągliwi, jakby los, który stał się udziałem ich rodziców był defektem życiowym, o którym lepiej milczeć. Rozumiem to i szanuję. Przez lata doświadczenie przymusowej pracy pojmowali jako niesprawiedliwość losu. Przymus pracy w nieludzkich warunkach degradował poczucie własnej wartości i godność. Spóźnione skromne rekompensaty wypłacone po latach nie dawały należnej satysfakcji, nie odbudowały zniszczonego etosu. Czasem myślę, że jesteśmy naznaczeni syndromem pokolenia, które po latach pracy w totalitarnych systemach nie widzi jej sensu i zamiast pracy wybiera... zasiłek dla bezrobotnych lub emigrację.

Problem nie jest prosty. Wojenne pokolenie po latach bolesnych doświadczeń stanęło do ciężkiej pracy odbudowy, tworzenia własnych domów i środowisk w nowych granicach, w nowych

warunkach. Podejmowali wyzwania z entuzjazmem i oddaniem. Niedawny przymusowy robotnik rolny Feliks Kozub, przez pięć lat pracujący u bauera w Wobesde, został pierwszym sołtysem Objazdy. Błażej Łyszcz po pięciu latach przymusowych robót z dala od rodziny sprowadził bliskich do Objazdy, bo tu widział swoją przyszłość. Antoni Szubert wzięty po klęsce wrześniowej do obozu dla polskich jeńców wojennych (z kampanii wrześniowej 1939) w Stalag I-A koło Królewca, pracował u bauera w okolicach Tylży, gdzie znajdował się jego obóz. Po wojnie przez rok był milicjantem w Objeździe. Zrezygnował. Został rolnikiem, dorabiał także poza niewielkim gospodarstwem. Pani Kazimiera nie pamięta szczegółów wojennej drogi męża. Nie wymieniłam wszystkich mieszkańców mojej wsi, którzy doświadczyli przymusu pracy na rzecz Trzeciej Rzeszy lub Sowietów. Przyjechali na Zachód z wiarą, że teraz się uda. Ciężko pracowali.

Później entuzjazm ostygł, gdy okazało się, że pracowity, gospodarny rolnik jest kułakiem, którego trzeba zdyscyplinować dodatkowymi obowiązkowymi dostawami. Rzetelny szewc, krawiec, robotnik uważany jest za naiwniaka, a poklask zyskują bierni ale wierni... Powoli w świadomość wnikało przeświadczenie: czy się stoi, czy się leży... Siermiężny czas ustąpił miejsca kredytowanym sukcesom. Oficjalna propaganda rozmijała się z życiem, prowadząc do katastrofy, której wyrazem był ocet na sklepowych półkach.

Angielską nazwą „oral history" określamy historię opowiadaną. Suchy, rzeczowy przekaz ustępuje miejsca barwnej opowieści ludzi z krwi i kości. Dzięki temu możemy nie tylko ożywić przeszłość, lecz także łatwiej zrozumieć niejedno wydarzenie.

Przechodzę często obok okazałych niegdyś budynków gospodarczych PGR, dziś miejsca zabaw w paintball. Pamiętam lata, gdy to miejsce ożywiała praca przy maszynach, dużym stadzie bydła, gdy latem huczały kombajny i traktory. Wieś żyła z rolnictwa. Rozpadł się w gruz wysiłek i grosz ludzi, którzy z tym miejscem wiązali plany życiowe. Nieliczni z rozpadu pegeerów wyszli obronną ręką. Większość pozostała poza nurtem zmian. Nie mają siły przebicia stoczniowców. Upadły małe gospodarstwa rolne. Wieś zamarła w oczekiwaniu na cud.

Prządka z Objazdy

Filomena Ragiel w 1957 roku z synami Tadeuszem i Franciszkiem przyjechała do Objazdy. Kiedy ze Strusta w powiecie Brasław województwo wileńskie wyjeżdżała w 1946 roku jej siostra Janina z mężem i inni „plemieńcy", ona została, by czekać na powrót męża, zaginionego w czasie wojny. Doświadczyła ciężkiego losu kołchoźnicy, dlatego skromne warunki w Polsce wydały jej się ziemią obiecaną. Przyjazd był możliwy dzięki staraniom siostry, która wobec władz zobowiązała się zapewnić przybywającym utrzymanie i opiekę. Później kupiła kawałek ziemi, dom i obórkę i przede wszystkim miała bliskich wokół siebie. Czuła się szczęśliwa. Dożyła osiemdziesięciu czterech lat. Spoczywa na cmentarzu w Objeździe.

Przy krosnach

Kiedyś tkactwo było nieodłączną częścią każdego gospodarstwa wiejskiego. Dziś — sprzęty używane niegdyś przez wiejskie kobiety znajdują się w muzeach, skansenach, czasami są nadal używane przez artystów plastyków, cenięcych sobie autentyki. W sklepach „Cepelii" pokazują się niekiedy repliki kołowrotków, krosien, ale służące do dekoracji wnętrza.

Jednak ta dziedzina ludowej wytwórczości nie całkiem odeszła w zacisze muzeów. Jest jeszcze wiele ludzi, którzy parają się nim z zamiłowania i z przekonania. W Objeździe mieszka od 40 lat p Filomena Ragiel, która zadziwi niejednego znawcę pięknym chodnikami. Kiedyś jeszcze robiła kapy, obrusy i ręczniki, ale dzisiaj brakuje surowca, przede wszystkim lnu. Tkactwem trudni się od sześćdziesięciu lat! Ile kilometrów włóczki wełnianej i lnianej przeszło przez ten czas przez jej ręce? Ile ubrań prześcieradeł, obrusów, nawet worków wykonała dla własnej rodziny i gospodarstwa! Dziś trudno konkurować z przemysłem. Zawsze to jednak wytwór własnych rąk a rękodzieło to coś nieporównywalnego z jakimkolwiek wyrobem fabrycznym

Fot. JAN MAZIEJUK

Fotoreportaż Jana Maziejuka.

Nie zabrała z dawnego domu kobiecych sprzętów. Nie uprawiano już lnu na potrzeby rodziny, ale chowała owce ze względu na runo. Po strzyżach wełnę wiozła, jak wszyscy zapobiegliwi, do gręplarni w Słupsku, zdaje się w okolicy ulicy Jaracza. Trzeba było stać

przy grępli i podawać rwane drobno kawałki wełny. Z drugiej strony maszyny wychodziła pięknie zgręplowana kądziel, czyli płaty wełny przygotowanej do przędzenia. Od jesieni, gdy kończyły się prace polowe, między obrządkami i wieczorem kobiety siadały do kołowrotów. Na krężel nawijano kądziel, mocowano z przęślicą, zwaną w niektórych regionach kądzielnicą w kołowrotku. Na szpuli założonej na wrzecionie między dwoma skrzydełkami zaopatrzonymi w grzebień mocowano ręcznie wyciągniętą nić i można było zaczynać. Prządka naciskała stopą człapiej, czyli deseczkę pełniąca funkcję pedału napędzającego mechanizm kołowrotka. Od sprawności i wyczucia jej stóp i palców rąk zależała jakość nici. Synchronizacja rytmicznego naciskania pedału i sprawności wyciągania włókien z kądzieli oraz odpowiedniego ich naprężenia decydowały o grubości i jakości skrętu nici na szpuli. Kiedy szpula była pełna, nić należało zwinąć w motek na motowidle. Później, by uzyskać mocną przędzę, skręcano dwie nitki w średni skręt z kłębków zwiniętych z motków założonych na wijadła, czyli obracającą się czteroramienną ramę. Motki wełny skręcone ciasno prano i farbowano. Nie prano wełny przed przędzeniem. Jeśli owce były bardzo brudne po zimie, po prostu kąpano je i dopiero po wyschnięciu strzyżono. Z owczej wełny na dwóch drutach robiono swetry w wymyślne wzory, a na pięciu drutach, krótkich, skarpety. O kunszcie, pracowitości, honorze gospodyni świadczyły jej wyroby. Jeśli mąż i dzieci były pięknie ubrane, to był powód do dumy.

Kiedy wydawało się jasne, że odchodzą do lamusa historii kołowrotki i domowe krosna, słupski fotografik - reportażysta Jan Maziejuk przyjechał do Objazdy, by w domu Filomeny Ragiel sfotografować ją przy pracy. W ten sposób powstał dokument prasowy, który warto przypomnieć.

Filomena Ragiel z synami.

Ręczny warsztat tkacki, czyli krosna

Każda szmatka, każdy kawałek starej tkaniny u skrzętnej gospodyni był zagospodarowany. Krosna w wielu domach był to sprzęt podstawowy. Dziś takie warsztaty stoją na strychach bądź w skansenach. Krosna Filomeny Ragiel z Objazdy stoją bezużytecznie w małym pokoiku „na górce", stoją jako znak jej czasów, bo ona sama odeszła, a teraz któż by miał cierpliwość przekładać wątkiem nitki osnowy. Filomena Ragiel wyrabiała ze szmatek chodniki dla siebie i znajomych. Korzystała z niewielkiego domowego warsztatu tkackiego, takiego, jaki mógł stanąć w wiejskiej izbie.

Korpus, czyli główna rama z ławeczką dla tkaczki wyposażona była w mechanizm tkacki. Z przodu i z tylu są dwa wały - ten z przodu nazywa się wałem tkaninowym - to na nim nawijała się utkana tkanina. Z tylu jest wał osnowowy, a pośrodku nicielnice. Nicielnice to ramy, najczęściej drewniane, na które są nałożone „struny", przez które są przełożone nici wątku. Takie struny najczęściej były z drutu, z oczkiem w środkowej części, przez które przekładano nić. W najprostszych krosnach jest tylko jedna para nicielnic zawieszona na ruchomych bloczkach. Od dołu nicielnice są podwiązane do pedałów (podnóżków) - jest ich tyle, ile nicielnic. To nimi tkacz „sterował" i podnosił osnowę tak, aby między nićmi przesunąć nić wątku. Od strony walu tkaninowego znajduje się bidło, to część ruchoma. Bidło powinno być ciężkie, zbija wprowadzony wątek i przybija do brzegu już utkanej tkaniny. W bidle jest też grzebień metalowy - płocha, od niej zależy gęstość tkaniny. Ta cześć jest wymienna. Od numeru płochy zależy, jak będzie snuta osnowa. Na bidle zamocowana jest też konstrukcja, która pomaga tkaczce przekładać wątek - to urządzenie przerzutowe. Składa się z dwu kieszeni (drewnianych), w których zatrzymuje się czółenko z nicią wątku i systemy sznurków, które pociągnięte odpowiednio mocno wybijają czółenko z kieszeni.

Prosty domowy warsztat tkacki nie ma mechanizmu przerzutowego z kieszeniami dla czółenka i trzeba samemu je przekładać - ale to się czasem sprawdza - kiedy tkamy materiał o fantazyjnych przerzutach, chcemy zrobić materiał obrusowy z tzw. ażurami albo jeśli się poplątało, to można to poprawić przekładając odpowiednio czółenko. Kiedy mamy system przerzutowy, wszelkie błędy praktycznie są nie do naprawienia - ale za to tkanie idzie szybciej.

Urząd sołtysa

Feliks Kozub

Gdyby nie zetlałe kartki, które w przedświąteczny wieczór przyniosła mi Kasia Kozubówna, nie zagłębiałabym się w temat urzędu sołtysa. W wiejskich realiach zawsze był obecny jak zapach siana, dojnych krów, świeżo zoranej ziemi. Tak, wiem, każdy czas ma swoje realia, a te odchodzą do lamusa historii, ale sołtys jest w każdej wsi od dawna. Właściwie powinniśmy wiedzieć to z historii, że urząd to dawny i ważny, ale widocznie nie byliśmy pilnymi uczniami. Kto teraz uczy się historii! Dla porządku zatem przypomnę kilka informacji. Wsie lokowane na prawie niemieckim już od XIII wieku na Śląsku, później w czasach Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły i w innych dzielnicach, otrzymywały urząd dziedzicznego sołtysa, z niemiecka zwanego Schultheiss (łac. scultetus). To on, zasadźca, jako wysłannik przyszłych osadników, organizator wiejskiego życia negocjował z panem dóbr warunki osadnictwa, które zapisywano w dokumencie lokacyjnym. Podstawą uposażenia chłopa był jeden łan, czyli około 15-20 hektarów, od których płacił czynsz w stałej kwocie zależny od tego czy przejmował ziemie uprawne, czy tak zwany surowy korzeń. Mógł być zwolniony z obowiązku czynszowego od dwóch do dwudziestu czterech lat, co nazywano latami wolnizny. Nie mógł jednak opuścić ziemi. Zasadźca natomiast korzystał z uprzywilejowanej pozycji. Otrzymywał co trzeci rozdzielony między osadników łan ziemi i zostawał dziedzicznym sołtysem. Jego obowiązkiem była troska o spokój i bezpieczeństwo wsi oraz konna służba wojskowa w orszaku pana, pobieranie czynszu i kar pieniężnych na rzecz pana, przewodniczenie sądowej ławie wiejskiej, czyli sądowi ławniczemu oraz reprezentowanie społeczności wiejskiej wobec właściciela, którym był monarcha, szlachcic lub instytucja kościelna. Sołectwem, jak nazywano uposażenie sołtysa, była 1/6 czynszu,1/3 kar sadowych, wyłączność na utrzymanie młyna, stawów rybnych i jatek (ubój i sprzedaż mięsa). Urząd można było sprzedać, co było istotne w późniejszych wiekach. Pod koniec XV wieku dzięki wielu przywilejom zapisanym w Statutach

Kazimierza Wielkiego i Statutach wareckich sołectwa w zasadzie zostały wykupione przez szlachtę zazdrosną o dochody. Sołtysa zastąpił zależny od pana i powoływany przez niego wójt. Tak było do rozbiorów, a i przez pewien okres w zaborze pruskim i austriackim. W Królestwie Polskim wprowadzono gminy zbiorowe z mianowanym przez władze wójtem, natomiast we wsi powrócono do funkcji sołtysa. Odbicie takiej sytuacji znajdziemy w „Chłopach" Władysława Reymonta. Maciej Boryna tak opowiada Domninikowej: „Sołtysem byłem bez trzy roki, tom dopłacił gotowym groszem. A com namarnował siebie i konisków! com się nakłyźnił i nabiegał, że i ten pies polowy nie więcej... A upadek w gospodarstwie był i marnacja, że jaże mi moja nie dała dobrego słowa...

- Miała i ona swój rozum. Urzędnikiem być zawżdy to i honor jest i profit.

- Bóg zapłać. Strażnikowi się kłaniaj, pisarza obłapiaj za nogi i bele ciaracha, co z urzędu - też...Wielki mi honor! Nie płacą podatków, most się popsowa, wścieknie się pies, który weźmie kłonicą po łbie - kto winowaty?... Sołtys winowaty, śtrafu sołtysa ciągają! Hale jest profit. Dosyć ja pisarzowi i do powiatu nanosił i kur, i jajków, i gąskę niektórą...

- Prawdę mówicie, ale Pietrkowi wójtostwo do grdyki nie wraca, nie; grontu dokupił i stodółkę dostawił, i konie ma kiej te hetmany!...

- Juści, ino nie wiada, co mu z tego ostanie, kiej się urząd skończy..."

Cytat dobrze ilustruje znaczenie wiejskich urzędów. A i dla nas może być pouczający.

U narodzin Niepodległej nie zmieniano wiele, administracja gminna pozostała w spadku po zaborcach, tyle że spolonizowana. Trzeba było czekać piętnaście lat, tak długo dojrzewała nowa ustawa o samorządzie terytorialnym z 1933 roku, zwana ustawą scaleniową, która weszła w życie rok później. Wprowadzała na całym terytorium II Rzeczypospolitej model gminy zbiorowej z wybieralnym wójtem i sołtysem na wsi, zatwierdzanym przez starostę powiatowego, podporządkowanym administracji państwowej i wynagradzanym z funduszy gminy bądź gromady. Taki kształt pozostał do 1950 roku, kiedy sołtysów podporządkowano prezydiom gromadzkich rad narodowych.

Przeglądałam przyniesione przez Kasię ocalałe kartki z niedowierzaniem. Zapiski urzędowe pierwszego powojennego sołtysa! Żywa historia, której dotykam w materialnej postaci ze wzruszeniem i ostrożnością, by się nie rozsypała w pył. Odnajduję znajome

nazwiska osób, które odeszły na zawsze. Wśród nich Błażej Łyszcz urodzony w 1908 roku w Kieleckiem, który przybył do Objazdy we wrześniu 1939 roku, pracował jako robotnik przymusowy, a po wojnie sprowadził żonę i zamieszkali w drewnianym domku, którego też już nie ma. Tej informacji nie ma w księdze sołtysa, ale w mojej pamięci pozostało wspomnienie, więc składam pieczołowicie drobne fakty, by z nich powstał większy, dokładniejszy rysunek wsi.

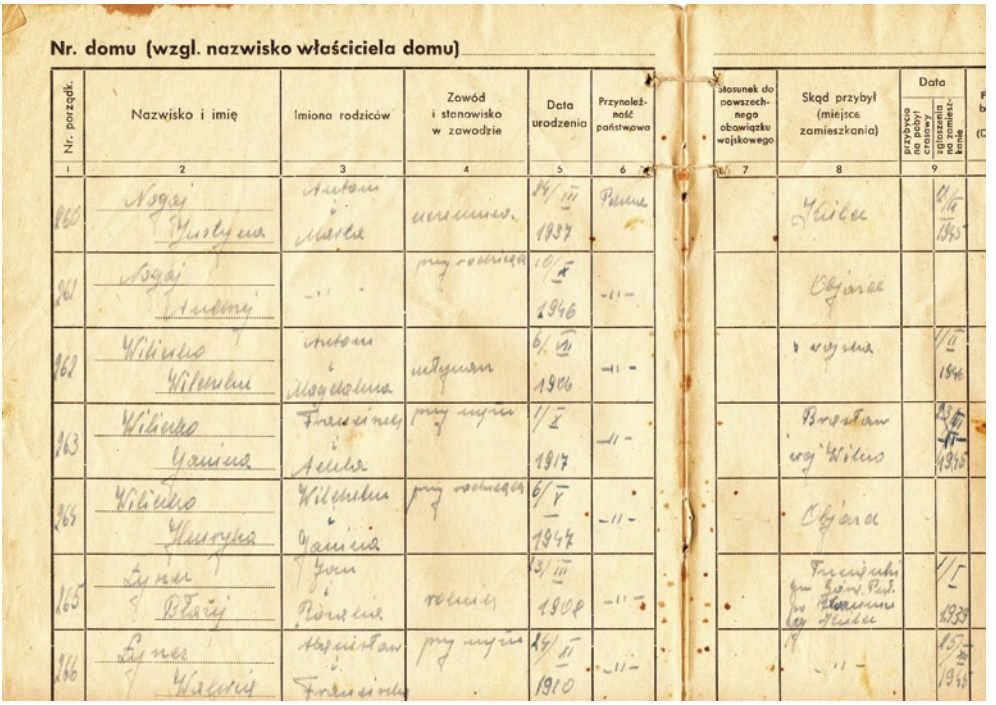

Nr. domu (wzgl. nazwisko właściciela domu)

Nr. porządk.	Nazwisko i imię	Imiona rodziców	Zawód i stanowisko w zawodzie	Data urodzenia	Przynależność państwowa	Stosunek do powszechnego obowiązku wojskowego	Skąd przybył (miejsce zamieszkania)	Data przybycia na pobyt czasowy lub zgłoszenia na zamieszkanie	
1	2	3	4	5	6	7	8	9	
260	Nogaj Bolesław	Antoni Marta	niezamężna	24/III 1937	Polska		Kielce	11/IX 1945	
261	Nogaj Helena	-"-	przy rodzicach	10/X 1946	-"-		Objazda		
262	Wilenko Wiktoria	Antoni Magdalena	urzędnik	6/III 1906	-"-		z wojska	1/II 1946	
263	Wilenko Janina	Franciszek Anna	przy ojcu	1/X 1917	-"-		Brostów woj. Wilno	23/VI 1945	
264	Wilenko Jadwiga	Wiktoria Janina	przy rodzicach	6/V 1947	-"-		Objazda		
265	Łyszcz Błażej	Jan Bronisława	rolnik	31/III 1908	-"-		Przejazdowo gm. Słom. Pod. [illegible] Kielce	1/I 1939	
266	Łyszcz Wacława	Stanisław Franciszka	przy ojcu	14/II 1910	-"-		-"-	15/VI 1945	

Fragment „Księgi sołtysa" z Objazdy.

Dziadek Kasi, Feliks Kozub, był pierwszym powojennym sołtysem Objazdy. Sumiennie wypełniał rubryki sam lub z pomocą osób drugich, rejestrując nowo przybyłych mieszkańców. Prowadził pierwsze biuro meldunkowe, współpracując ze słupskim PUR-em. We wspomnieniach dwunastoletniej wówczas Marysi Grabowskiej zapisał się jako człowiek, który we wrześniu 1945 roku przyjechał konnym wozem do Słupska, by zabrać ją do wsi Wobezde, gdzie miała zamieszkać z rodzicami po sąsiedzku z rodzinami przybyłymi z Podgórza. Pamięta pana Feliksa i jego żonę, pierwszych przyjaciół wśród obcych. Podróż wyładowanym bagażami wozem ze Słupska do Objazdy trwała co najmniej dwie godziny. Był czas na rozmowę. Dowiedziała się, że sołtysem jest od niedawna, ale w Objeździe przeżył wojenne lata. Teraz objął gospodarstwo, w którym pracował jako robotnik przymusowy.

Są wśród zapisanych przez sołtysa nazwiska moich krewnych z datami urodzenia z XIX wieku. Ponadstuletnia historia pisana losami ludzi znanymi mi i bliskimi serdecznie wzbogaca okrągłe zdania o „powrocie do macierzy" z dawnego podręcznika. Kiedy w roku milenijnym 1966 pisałam pracę maturalną, powołując się na dokument „Dagome iudex", wiedziałam, że Mieszko I, powierzając państwo papieskiej opiece, wymienia miejsca pozwalające określić granice jego państwa, poczynając od Szczecina (Schinesghe), (miasta wojewódzkiego dla Objazdy od czerwca 1946 roku do lipca 1950.). Zamknęło się koło czasu. Dziś w Wikipedii czytam: „Dagome iudex" jest [...], bardzo ważnym źródłem geograficznym wczesnych dziejów Polski". Dokumenty przyniesione przez Kasię nie będą przedmiotem badań historycznych, dla mnie jednak są ważnym uzupełnieniem historycznej wiedzy. Świadomość regionalna i narodowa jest wielopłaszczyznowa i dobrze jest, jeśli poczucie tożsamości kulturowej i emocjonalnej wiąże się z przestrzenią geograficzną. Ostygła już dyskusja o naszej przynależności do Unii Europejskiej, zbladły obawy przed unifikacją, jednak nowe zjawiska społeczne i kulturowe weryfikują nasze myślenie o patriotyzmie. Ciągle poczucie więzi kulturowej i świadomość ciągłości historycznej zarówno w wymiarze jednostkowym, jak i zbiorowym decydują o naszym rozumieniu wielu pojęć. Świadomość narodowa w ostatnich latach stała się przedmiotem intensywnych badań naukowych, w których wielkie zasługi ma nieżyjąca już prof. Antonina Kłoskowska („Kultury narodowe u korzeni"). Na podstawie analizy biografii konkretnych ludzi z różnych grup etnicznych (w zakończeniu także emigracyjnych pisarzy: Józefa Czapskiego, Jana Lechonia i Witolda Gombrowicza), stwierdza: „Stwarza on (naród) podstawę poczucia wspólnoty: czasami realizującej się w praktyce jako grupa oparcia i obrony, często jako źródło poczucia symbolicznej więzi szczególnie szerokiej, szczególnie trwałej, dającej świadomość własnego znaczenia choćby przez odbiorcze współuczestnictwo w kulturze." (s. 423)

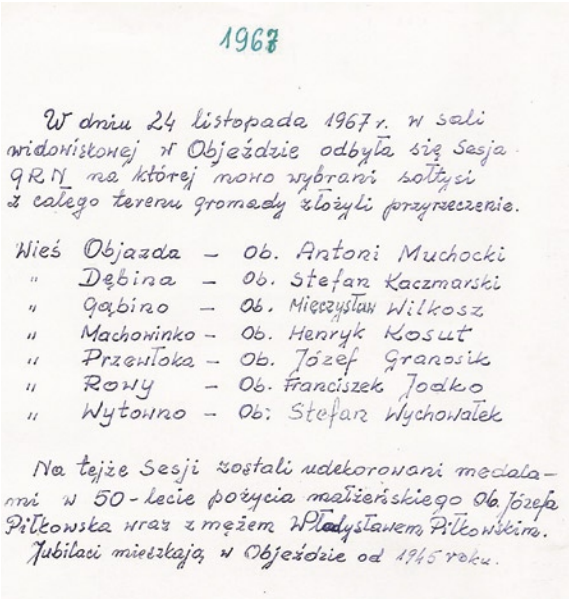

1967

W dniu 24 listopada 1967 r. w sali widowiskowej w Objeździe odbyła się Sesja GRN na której mono wybrani sołtysi z całego terenu gromady złożyli przyrzeczenie.

Wieś Objazda – Ob. Antoni Muchocki
" Dębina – Ob. Stefan Kaczmarski
" Gąbino – Ob. Mieczysław Wilkosz
" Machowinko – Ob. Henryk Kosut
" Przewłoka – Ob. Józef Granosik
" Rowy – Ob. Franciszek Jodko
" Wytowno – Ob. Stefan Wychowałek

Na tejże Sesji zostali udekorowani medalami w 50-lecie pożycia małżeńskiego Ob. Józefa Piłkowska wraz z mężem Władysławem Piłkowskim. Jubilaci mieszkają w Objeździe od 1945 roku.

Kartka z „Kroniki Objazdy".

Zapiski sołtysa Feliksa Kozuba to tylko kilkanaście kartek - od strony siódmej do dwudziestej, z numerami porządkowymi od 40 do 274, dalsze zapisy bez numeracji porządkowej. Dlaczego przeleżały pozostawione same sobie? Są przecież nie tylko cenną pamiątką, mają teraz wartość dokumentu historycznego, kiedyś były dokumentem urzędowym. Nie traktowano widocznie tych dokumentów z należytą powagą. Oczywiście, nie mają takiej wartości, jak te, których nonszalanckie traktowanie dało podstawę Agnes Trawny do ubiegania się o zwrot pozostawionego w 1977 roku majątku w Nartach na Mazurach. Mimo to pozostawały urzędowymi dokumentami pierwszej powojennej administracji na tych ziemiach. Wśród ocalałych dokumentów znajduję kartkę papieru podaniowego w kratkę z odręcznie narysowaną tabelą i spisem pracowników majątku. Dowiaduję się, że pierwszym powojennym zarządcą pozostawionego przez ostatnią z rodu Kutscherów majątku był Jan Wejchert, urodzony w 1903 roku, jego żona była księgową. Widocznie niedługo byli w Objeździe, skoro ich nie pamiętam. Jako znajome odnajduję nazwiska całych rodzin pracowników, łącznie z funkcjami, takimi jak w przedwojennych ziemiańskich majątkach. Jest wśród zatrudnionych fornal, luzak, kowal, karbowy stróż, prac. dn. kat II (prawdopodobnie pracownik dniówkowy kategorii II), ale są też traktorzyści - znak nowego. Urodzeni w roku 1888, jak Ewa Romanko spod Leska i Józef Łabęcki spod Kielc i inni urodzeni po 1945 na Ziemiach Odzyskanych. Przybyli z różnych stron przedwojennej Polski - z Wilna, spod Pińska, Suwałk, Rzeszowa, Włodawy, Sandomierza.

Wielu pozostało na stałe, inni byli we wsi czasowo, co odnotował sołtys. Polska przychodziła do Wobezde, nazwanej Objazdą, by wrastać tu w ziemię losami swych obywateli. Ludzie przynosili z różnych stron swoje nawyki, zwyczaje, tradycje, by tu, w Objeździe tworzyć zintegrowaną społeczność. Sołtys potrzebny był od zaraz, jak wtedy gdy kształtował się jego urząd. Był pierwszą instancją, pewniejszą niż odlegle władze. Jego osobisty autorytet wspierał kształtującą się administrację i był weryfikowany w codziennych kontaktach. O znaczeniu urzędu sołtysa świadczy powojenna historia nieodległych Kluk. W 1947 roku w Klukach wobec 297 pozostałych mieszkańców, w wyniku repatriacji, głównie z Wileńszczyzny, zamieszkały nowe 34 osoby: sześć rodzin i kilku samotnych zdemobilizowanych żołnierzy. Problemem były konflikty między osadnikami a rdzennymi mieszkańcami wsi. Autor informacji zamieszczonej na stronie internetowej SSI Słupsk - Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach, przyjmując punkt widzenia klucczan, winą za nie obarcza przesiedleńców z Kresów, którzy rzekomo sami sobie

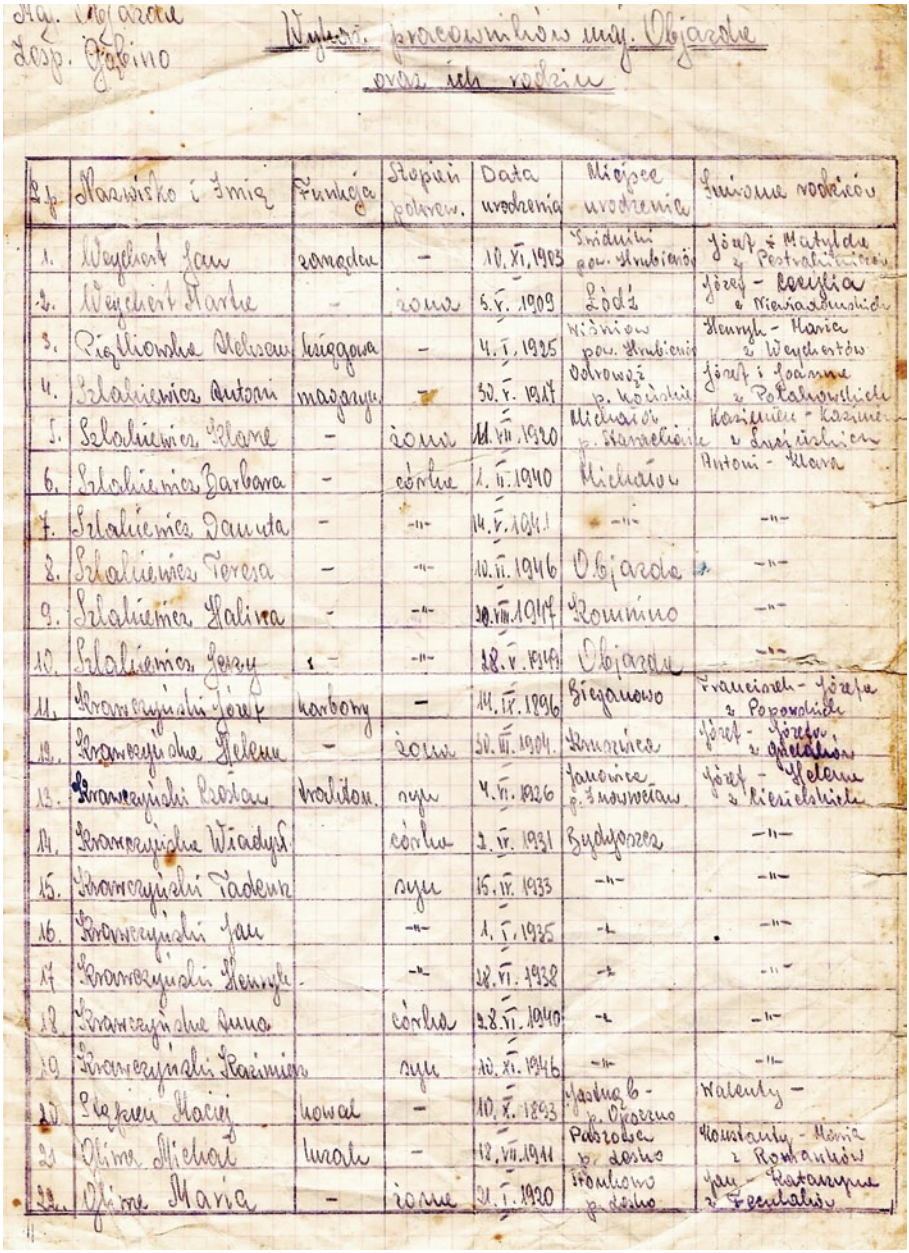

Wykaz pracowników maj. Objazda
oraz ich rodzin

Lp.	Nazwisko i imię	Funkcja	Stopień pokrew.	Data urodzenia	Miejsce urodzenia	Imiona rodziców
1.	Wojciech Jan	zarządca	–	10. XI. 1903	Świdnik pow. Grubieszów	Józef i Matylda z Pestrakiewiczów
2.	Wojciech Marta	–	żona	5. V. 1909	Łódź	Józef – Cecylia z Nowakowskich
3.	Pigłowska Helena	księgowa	–	4. I. 1925	Wiśniów pow. Grubieszów	Henryk – Marta z Wojciechów
4.	Szlaliewicz Antoni	magazyn.	–	30. V. 1917	Odrowąż p. Kozienice	Józef i Joanna z Pokrzywnickich
5.	Szlaliewicz Irena	–	żona	11. VII. 1920	Michałów p. Starzeliska	Kazimierz – Kazimiera z Łuszczyńskich
6.	Szlaliewicz Barbara	–	córka	1. II. 1940	Michałów	Antoni – Irena
7.	Szlaliewicz Danuta	–	–"–	14. V. 1941	–"–	–"–
8.	Szlaliewicz Teresa	–	–"–	10. II. 1946	Objazda	–"–
9.	Szlaliewicz Halina	–	–"–	30. VIII. 1947	Zomino	–"–
10.	Szlaliewicz Jerzy	–	–"–	28. V. 1949	Objazda	–"–
11.	Krawczyński Józef	kierowca	–	14. IX. 1896	Biegunowo	Franciszek – Józefa z Pozowskich
12.	Krawczyńska Helena	–	żona	30. III. 1904	Krasnica	Józef – Józefa z Opalińskich
13.	Krawczyński Roman	traktorzy	syn	4. VI. 1926	Jaworze p. Inowrocław	Józef – Helena z Nieciekskich
14.	Krawczyńska Władysł.		córka	2. IV. 1931	Bydgoszcz	–"–
15.	Krawczyński Tadeusz		syn	15. IX. 1933	–"–	–"–
16.	Krawczyński Jan		–"–	1. I. 1935	–"–	–"–
17.	Krawczyński Henryk		–"–	28. VI. 1938	–"–	–"–
18.	Krawczyńska Anna		córka	28. VI. 1940	–"–	–"–
19.	Krawczyński Kazimierz		syn	30. XI. 1946	–"–	–"–
20.	Pleśnar Maciej	kowal	–	10. X. 1893	Jastkowice p. Opoczno	Walenty –
21.	Olina Michał	kierowca	–	18. VII. 1911	Pasrodzice p. Lasko	Konstanty – Maria z Rowkowskich
22.	Olina Maria	–	żona	21. I. 1920	Trzebiechów p. Lasko	Jan – Katarzyna z Tarczyńskich

Odręczny spis pracowników majątku Objazda, str. 1.

przyznawali prawo do rekompensowania poniesionych w wyniku przesiedlenia strat, nierzadko przywłaszczając sobie mienie rdzennych mieszkańców, których uważali za Niemców. Sporną sprawą był też urząd sołtysa, który powierzono przesiedleńcom, ograniczając hierarchiczną pozycję i samorządność rdzennych mieszkańców. Sytuacja poprawiła się, gdy sołtysem została Rutha Kotsch, później Ewald Barnow. Proces integracji społecznej jest trudny i złożony.

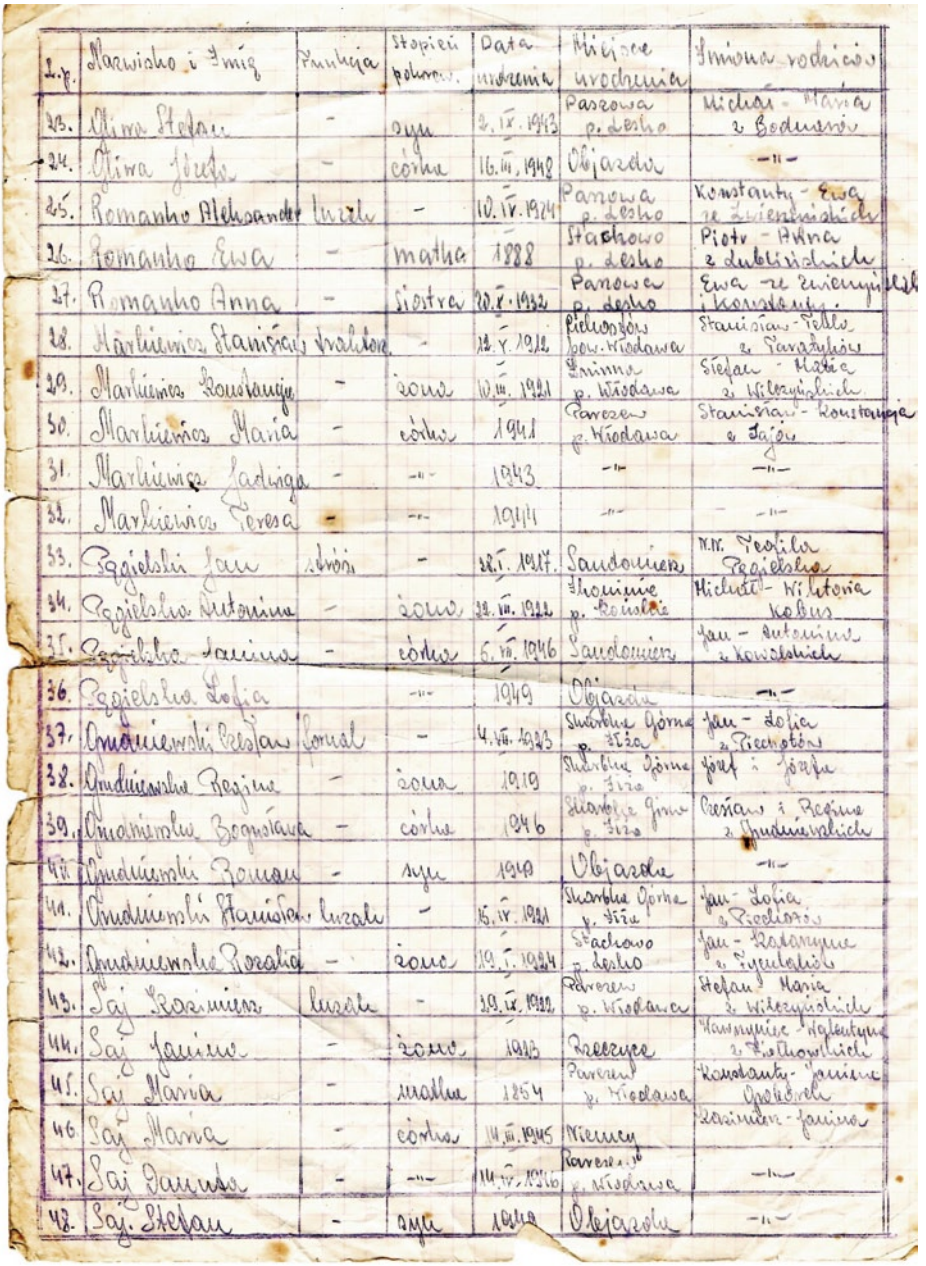

Odręczny spis pracowników majątku Objazda, str. 2.

Jeszcze trudniej o identyfikację kulturową i etniczną. Beztroska, a może po prostu ignorancja powojennej administracji, bagatelizującej problem, skutkowała wyjazdem z Kluk w latach 1971-1976 niemal całej wsi - 122 osób. Być może ulegli urokowi zachodniego dobrobytu i możliwości otrzymania rekompensaty. Być może. Wieś opustoszała, pozostał skansen - świadectwo słowińskiej tożsamości etnicznej dawnych mieszkańców Kluk. Pozostała też dotąd

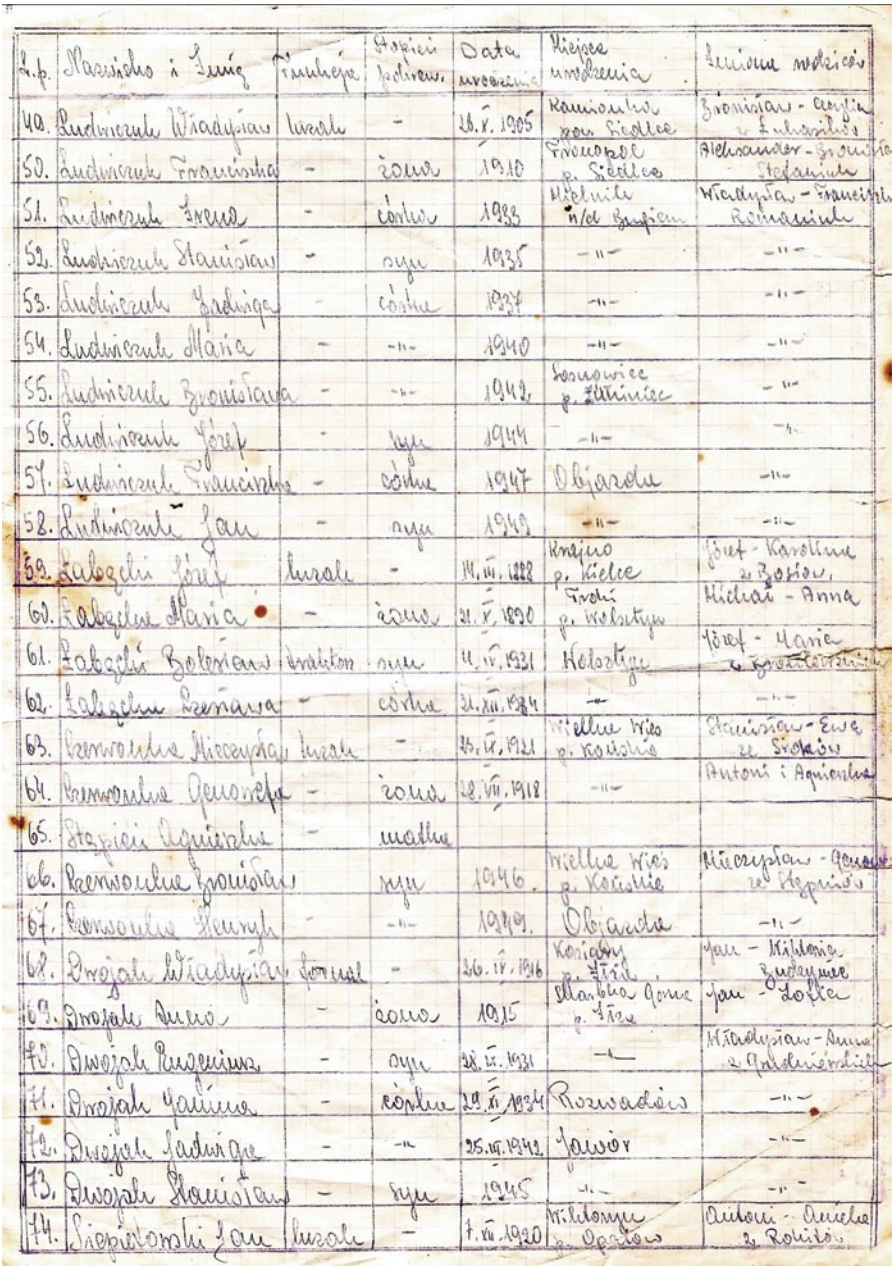

Odręczny spis pracowników majątku Objazda, str. 3.

nierozwiązana nie tylko w Klukach kwestia tak zwanego mienia zabużańskiego. Kresowiacy przybyli na te ziemie nie po cudze, wina nie leży li tylko po ich stronie. Problem klucki wydaje się bardziej złożony, w innych miejscowościach naszego regionu nie odnotowano takich konfliktów. Osobiste urazy i poczucie krzywdy po obu stronach tracą ostrość, ale długo jeszcze będą częścią świadomości powojennego pokolenia.

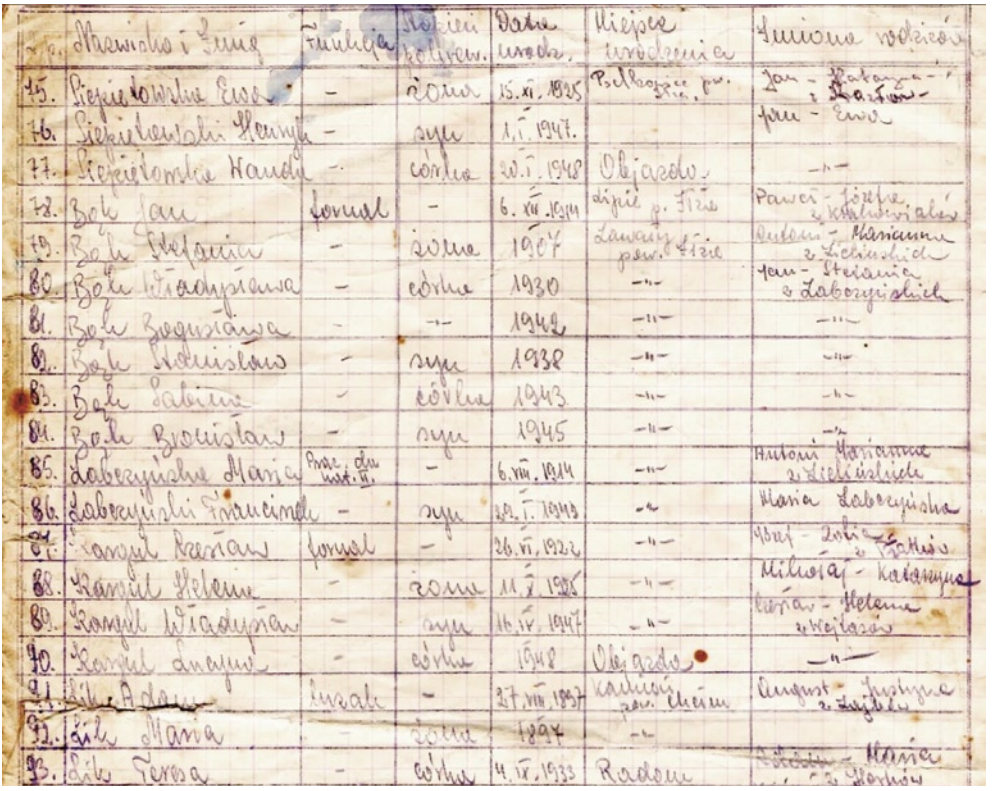

Odręczny spis pracowników majątku Objazda, str. 4, fragment.

Wśród dokumentów pierwszego sołtysa z Objazdy znajduję odręcznym pismem zapisaną kartkę z nazwiskami rolników i ich należnościami podanymi w kilogramach żyta i kwotach na rzecz Państwowego Banku Rolnego Oddział w Koszalinie. Dokument z pieczęcią banku sugeruje, że wpłaty na jego rzecz przyjmował sołtys. To najpóźniejszy dokument, z lat pięćdziesiątych, kiedy Koszalin został województwem dla powiatu słupskiego.

Zmieniali się sołtysi, było ich kilku, na jedną lub kilka kadencji. Nie zmieniała się ich rola na wsi i tak jest do dziś. Sołtysująca od kilku kadencji w Objeździe Halina Lempek najlepiej zna problemy mieszkańców, do niej przychodzą, gdy trzeba pomocy. I jest tak, jak opowiadał Boryna: most się zawalił, chodnik źle położony zawsze winien sołtys. Ale też od sołtysa, jego uporu i inicjatyw zależy obraz wsi. Zadania i uprawnienia sołtysów opisuje Statut Sołectwa, niemniej o randze urzędu decyduje osobisty autorytet sołtysa.

Funkcję sołtysa Objazdy pełnili: Feliks Kozub, Stanisław Korzeb, Stanisław Rogoziński, Antoni Muchocki, Stanisław Gębczynski, Stanisław Kowalewski, Halina Lempek, Regina Brzywcy, Magdalena Labuhn Petryk.

Co po pegeerze?

Życie pegeerowców było wędrówką z jednego gospodarstwa do drugiego i nigdzie pewności, że to już na stałe. Kamień często przetaczany mchem nie obrośnie, powiada ludowe przysłowie. Tak było i z ludźmi. Najpierw powojenne zmiany granic i porządku społecznego wyznaczały nowe nadzieje i pierwsze rozczarowania. Osadnicy, przesiedleńcy, migranci poszukujący swojego miejsca na życie siłą rzeczy wszystko traktowali jako niepewne tym bardziej, że ciągle towarzyszyła im obawa, czy nowy porządek nie obróci się w pył. Traktat jałtański nie dawał żadnych gwarancji, a do roku 1972 granica zachodnia nie była umocowana traktatami ani dwustronnymi, ani międzynarodowymi. Ponadto o braku stabilności świadczyły ciągłe zmiany administracyjne: zamiast gromad tworzono gminy, zmieniając jednocześnie siedziby urzędów; zmieniano granice powiatów, tworzono i znoszono województwa. „Gmina wówczas mieściła się w Wytownie, przeniesiona w pocz. 1947 r. do Grabna, a dopiero w maju 1952 przeniesiona do Objazdy" - odnotuje Roman Zub w Kronice Objazdy. Mieszkańcy Pomorza Środkowego byli pod administracją wojewódzką w Szczecinie, Koszalinie i w Słupsku. Kształtował się typ mentalności ludzi oderwanych od korzeni kultury macierzystego regionu, pierwszych więzi sąsiedzkich i ekonomicznych, a wzrastało poczucie tymczasowości, niepewności, braku bezpieczeństwa. Podsycały go ówczesne władze polityczne brakiem troski o materialne dziedzictwo przeszłości. Budynki mieszkalne, dwory, pałace, maszyny, przedmioty codziennego użytku, oczywiste pamiątki historii ziem nazwanych odzyskanymi nie miały należytego poszanowania. Zabrakło emocjonalnego zainteresowania i pieczołowitości wobec zastanych dobór doczesnych, pamiątek przeszłości najoczywistszych, takich jak cmentarze, i nie dotyczyło to tylko pracowników PGR, choć w tej grupie społecznej ten rys mentalności był najbardziej widoczny.

Objazda dzięki swemu kronikarzowi - Romanowi Zubowi, który przybył do Lasek (dziś Dębina) spod Krasnobrodu - szczyci się spisaną kroniką wydarzeń pierwszych powojennych lat. Kronikarz wymienia osoby i pierwsze urzędy tworzone we wsi już w 1945 roku, a pierwszy sołtys wsi, Feliks Kozub, który jako robotnik przymusowy przeżył w Wobesde wojnę, przechował przez wiele lat pierwsze dokumenty: „Księgę sołtysa" i sporządzony odręcznie „Wykaz pracowników majątku Objazda" oraz ich rodzin.

Pierwszymi mieszkańcami wsi byli ci, którzy zdecydowali się zostać oraz Polacy przebywający tu w czasie wojny na robotach przymusowych. Wkrótce wieś zaludniła się na nowo. Przybywali osadnicy wojskowi, uchodźcy zza Buga i ci, którym ciasno było w rodzinnym domu. Już w lecie 1945 roku przybywali pierwsi: spod Bydgoszczy, z Kielecczyzny i innych stron. Tworzyła się nowa administracja, urzędy, oświata, życie kulturalne, wśród zastanej infrastruktury.

Pojunkierski majątek w Objeździe najpierw przejęli Rosjanie, następnie przekazali w zarząd nowo tworzonym władzom miejscowym. Pałac posadowiony na terenie ponadhektarowego parku z rzadkimi okazami drzew, z rozmieszczonymi obok okazałymi zabudowaniami gospodarczym należało wykorzystać. Ponadto w majątku od 1869 roku funkcjonowała gorzelnia, jej znaczenie pod nową administracją nie uległo zmianie. Nad krajobrazem wsi górował wysoki murowany komin. Majątek połączony z innymi miejscowościami siecią kolei wąskotorowej stanowił prawdziwe centrum gospodarcze okolicy. Niestety, Rosjanom potrzebne były szyny, więc do dyspozycji nowych władz pozostały nasypy i bezużyteczne w tej sytuacji budyneczki stacyjne.

Obecnie nasypem wiedzie trasa rowerowa zwana potocznie „szlakiem zwiniętych torów", wymagająca troski, jeśli ma spełniać współczesne standardy ścieżek rowerowych. Ślady dawnej stacji kolejowej można odnaleźć na wysokości przecięcia drogi Objazda - Rowy i dawnego nasypu kolejowego w Bałamątku. Gorzelniany komin wciąż jest dobrym znakiem orientacyjnym, ale gorzelnia została zamknięta około roku 1989 - w czasie likwidacji PGR. W roku 2005 nowy prywatny właściciel rozpoczął częściową rozbiórkę i przebudowę obiektu. Zapał minął szybko. Rozsypały się drewniane rusztowania. Potężny komin pozostał, ale jaki będzie jego los? Opuszczony budynek z rozetą z datą budowy nikomu nie służy, a nie konserwowany komin stanowi zagrożenie.

W 1945 roku w pałacu urządzono biura i mieszkania pracowników miejscowego PGR. Od lat 60. do 1993 roku miesiła się tu szkoła podstawowa. Obecnie pałac i park są własnością prywatną - od czasów, gdy prywatne ma wyższą rangę niż społeczne. Wielkie zamiary na centrum konferencyjno - wypoczynkowe muszą czekać lepszych czasów z nadzieją na dotacje. Wpisanie budynku pałacowego do rejestru zabytków nie ułatwiło zadania jego odbudowy i przywrócenia do życia. Mieszkańcom zabroniono wstępu do parku ogrodzonego wysokim murem, pałac niszczeje, a w dawnych budynkach gospodarczych urządzono mieszkanie do sprzedaży czy wynajmu i biura.

Wtedy, w 1945 roku, poza mieszkaniami osadnicy potrzebowali pracy. Nie trzeba udawać, że przybywali tu ludzie majętni. Analiza listy pierwszych pracowników majątku, jak przez długie lata nazywano państwowe gospodarstwo rolne, świadczy o włączeniu do pracy całych rodzin oraz przejęciu zawodów znanych z przedwojennych majątków ziemskich. Związek z „majątkiem" dotyczył wszystkich sfer życia: pracy, mieszkania, zaopatrzenia, wypoczynku, rozrywki. Stawał się rodzajem uzależnienia.

Z biegiem lat PGR-y zmieniały twarz. Po komasacji gruntów, nierzadko z krzywdą dla indywidualnych rolników, potrzebne były nowe maszyny i techniki gospodarowania. Zamiast koni na pole wyjechały traktory i kombajny. Ręczną pracę dojarek - kobiet zastąpiły dojarki mechaniczne.

Wreszcie nastał boom lat gierkowskich! Powstawały wiejskie osiedla mieszkaniowe z centralnymi kotłowniami, nieodpłatnie dostarczaną wodą zimną i ciepłą, a obok nowoczesne obory, tak zwane pięćsetki, czyli obiekty mieszczące pięćset sztuk bydła, z nowoczesnymi udojniami. Kombinat PGR Objazda utrzymywał blisko dwa tysiące krów! Podstawą utrzymania były Objejskie Łąki, przez które wiodła droga wyłożona betonowymi płytami jumbo. Zwożono tędy siano, trawę na kiszonki i susz, wypędzano krowy na pastwiska. Teraz sieć rowów melioracyjnych zarosła, utrzymywane są tylko główne kanały, a na łąkach w koplach pasą się pojedyncze sztuki bydła lub chodzą samopas krowy z Retowa po zrytych przez dziki pastwiskach.

Do agrotechniki włączono małe samoloty do rozsypywania nawozów i środków ochrony roślin. Zatrudniano agronomów, zootechników, ekonomistów. Technika rolnicze i rolnicze szkoły zawodowe dawały wykwalifikowanych pracowników. Powstawały stołówki, klubo-kawiarnie, świetlice. Pracownicy otrzymywali mleko, ziemniaki, ogródki działkowe i wysokie „trzynastki". Coraz mniej było „wędrownych" rodzin. Wydawało się, że nadszedł czas stabilizacji.

Wtedy wszystko pękło jak szklana bańka. Pegeery uznano za kwintesencję epoki, która miała odejść. Nikt nie zastanawiał się, co się stanie z ludźmi i substancją materialną: ziemią, budynkami, maszynami. Tym miała się zająć Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa - utworzona w 1991 roku. Głównym zadaniem było gospodarowanie przejętym po PGR-ach majątkiem, a w szczególności prowadzenie prywatyzacji i tworzenie nowych gospodarstw oraz miejsc pracy dla byłych pracowników państwowych gospodarstw rolnych. Wyszło jak zawsze. Wkrótce Agencja została przekształcona w Agencję Nieruchomości Rolnych. W latach 1991-1993

zlikwidowano wszystkie PGR-y, kusząc pracowników pieniędzmi z tzw. „odpraw". Likwidacja PGR-ów była kresem modus vivendi wielu rodzin, ponieważ były one - PGR-y - nie tylko miejscem pracy, przede wszystkim stanowiły środowisko zaspokajające prawie wszystkie potrzeby życiowe pracowników.

Poetka Anna Karwowska pisze:

„kto rzucił kamieniem prosto w twarz
nie ma się komu pożalić
dusza ciężka od wspomnień serce od krzywdy
nikt nawet nie śni aby coś zmienić
pytam Ojczyznę
gdzie jest ten huragan co pegeery rozwalił
skąd zawiał wiatr co ludzi rozwiał po świecie"

Opuszczone wsie, pola porosłe chwastami lub leśnymi samosiejkami, brak perspektyw wypędzający młodych za granicę, dojmujące poczucie krzywdy i powracający syndrom tymczasowości. Koło się zamknęło. Tylko bunt narasta, a wypowiedzi takich jak niżej jest coraz więcej.

„Po przegranej wojnie Niemcy przesiedlili 200 tys. rolników na teren Prus wspieranych finansowo przez rząd Niemiec. Jest kryzys i tworzenie miejsc pracy to priorytet rządów, tylko czyim kosztem. Ziemia po PGR rozgrabiona rękami etosu „Solidarności" prowadzonej przez kapelanów Watykanu, uwłaszczyli się i w nędzę niebytu skazali mieszkańców wiosek. Teraz proszą o poparcie społeczne tych, których okradli, Polaków, chcąc zachować przywileje. Minione 22 lata rządów przejściowych dokonały spustoszenia na wsi, połowa ziemi z ANR w rękach cudzoziemców."

Przechodzę często obok okazałych niegdyś budynków gospodarczych PGR. Ruiny straszą, a kolejni właściciele sprzedanych przez Agencję Nieruchomości Rolnych budynków nie mają pomysłu na sensowne zagospodarowanie nabytych nieruchomości. To miejsca poza decyzjami samorządu gminnego. Znikają olbrzymie betonowe płyty i stalowe konstrukcje. Złomowanie jest najprostszym sposobem akumulacji - stwierdzam z sarkazmem.

Pamiętam lata, gdy to miejsce ożywiała praca przy maszynach, dużym stadzie bydła, gdy latem huczały suszarnie, kombajny i traktory. Wieś żyła z rolnictwa. Rozpadł się wysiłek i grosz ludzi, którzy z tym miejscem wiązali plany życiowe. Pożyczki zaciągnięte przez Gierka na inwestycje zamiast miejsc pracy przyniosły straty. Tylko nieliczni z rozpadu pegeerów wyszli obronną ręką. Większość

pozostała poza nurtem zmian. Nie mają siły przebicia. Poczucie porażki, przegranej szansy staje na przekór prostym rozwiązaniom i wspólnotowemu działaniu. Nawet wspólnotę mieszkaniową trudno powołać. Zamiast funkcjonującej kiedyś centralnej kotłowni dymi kilkadziesiąt indywidualnych kominów. Pstrokate ściany bloku dają świadectwo, że... „wolnoć, Tomku, w swoim domku." Gminny architekt nie wchodzi w uliczki popegeerowskiego osiedla. Wieś zamarła w oczekiwaniu na lidera, który przeprowadzi mieszkańców przez ich Morze Czerwone. Szansą może być, nomen omen, nadmorskie położenie

„Objazda jest największą i zamieszkaną przez największą liczbę mieszkańców miejscowością znajdującą się na terenie gminy Ustka. Ze względu na swoje położenie jest to przede wszystkim wieś agroturystyczna. - (Załącznik Nr 1 do Uchwały Rady Gminy Ustka Nr XV/158/2008) - piszą autorzy Planu Odnowy Miejscowości opracowanego i zawieszonego na stronie internetowej gminy Ustka. Tak napisano.

By słowo nie pozostało tylko na papierze, choćby urzędowym, potrzebne są konkretne działania w sferze infrastruktury - ścieżki rowerowe z dobrze urządzonymi stacyjkami, dobra informacja i dostęp do zabytków świeckich i sakralnych, szkolenia dla prowadzących działalność agroturystyczną oraz akcje promocyjne.

Tymczasem jak jest, każdy widzi.

Pierwsze powojenne dożynki w majątku w Objeździe. Fotografia z „Kroniki Objazdy".

Kartka z „Kroniki Objazdy” Romana Zuba

Kobiety układają dożynkowy wieniec.

Opowiedziana fotografią historia różni się od epickiej narracji. Potrafi zaczarować czas. W niej oba, czas narracji i czas rzeczywisty tworzą jedno. Nie ma czasu przeszłego, wszystko dzieje się teraz, choć owo teraz odległe jest o sześćdziesiąt sześć lat. Zapamiętana fotografią chwila już się nie zmieni. Przywoływana tylekroć wciąż opowiada tę samą historię. Wszystko jest prawdziwe, a rzeczywistość przywołana fotografią skrzy się detalami. Autor fotografii Roman Zub umieścił reporterskie zdjęcie w Kronice Objazdy i starannie opisał. Autora nie ma wśród nas. Odszedł na zawsze, podobnie jak większość bohaterek z jego fotografii. Ale na zdjęciu wciąż są, wciąż plotą dożynkowy wieniec.

Jedenastego września 1949 roku w Charnowie pod Ustką odbędą się rejonowe dożynki. Czas przygotować wieniec dożynkowy, to zajęcie dla zręcznych rąk kobiet. Jest ich sześć. Uśmiechnięte, zajęte pracą, pewnie rozmawiają o czymś zabawnym. A może wspominają wcześniejsze zdarzenia, w innym miejscu, bo każda z nich do Objazdy przyjechała z własną historią. Halina Kowalewska z rodzicami Zofią i Władysławem oraz rodzeństwem znalazła w Objeździe dom na zawsze. Jeszcze niedawno mieszkali we wsi Byczki należącej do nowo utworzonej w 1936 roku parafii w Kopciówce w Dekanacie Grodzieńskim. Niestety, we wrześniu 1944 roku parafia Kopciówka znalazła się dziesięć kilometrów na wschód od nowej linii granicznej. Dlatego Kowalewscy opuścili Byczki i ruszyli w nieznane. Zatrzymali się w Objeździe. Halina, młoda, piękna,

znalazła tu przyjaciół, niebawem męża i własny dom. Odeszła przedwcześnie, stanowczo za wcześnie.

Henryka, właściwie Maria Grabowska, opowiada swoją historię. W maju 1945 roku tyle samo było radości, co rozpaczy. Cmentarz w Łomży zajęli młodzi ludzie, którzy zginęli w bratobójczych walkach, już po zakończeniu wojny. Nikt nie był pewny następnego dnia. Którzy wracali z przymusowej włóczęgi przez Sybir do Kazachstanu, zastali ruiny swoich domów. Wracali osieroceni, ale szczęśliwi, że skończyła się gehenna wywózki. Będą pamiętać. - Szesnastego sierpnia 1945 roku opuściliśmy dom w Podgórzu koło Łomży - opowiada Marysia. W grupie jedenastu rodzin ruszyliśmy na Ziemie Odzyskane. Zatrzymaliśmy się w Słupsku. Kiedy wieczorem kilka dni później do punktu PUR w Słupsku konnym wozem przyjechał Feliks Kozub, sołtys wsi Wobezde, byliśmy spakowani i gotowi do drogi. Załadunku bagaży i podróży do wsi pilnował milicjant Śmietana. Zabrali mnie wozem, bo byłam w tej grupie jedynym, choć wyrośniętym dzieckiem. Miałam prawie dwanaście lat. Nim następnego dnia pieszo dotarli do wsi rodzice, zdążyłam zaprzyjaźnić się z żoną sołtysa, która spodziewała się dziecka, obejść wieś i poznać jeszcze kilku nowych właścicieli gospodarstw.

Kilka lat wystarczyło, by Marysia Grabowska poczuła się w Objeździe jak w domu. Prawo młodości! Poczucie wspólnoty najszybciej rodzi się przez uczestnictwo w tradycji i kulturze. Nie myślała wtedy w ten sposób, była tam, gdzie coś się działo, gdzie byli rówieśnicy. Animatorem działań był Romcio, jak powszechnie nazywali Romana Zuba, który przyjechał z Krasnobrodu.

Każdy z nich był tu z innej części przedwojennej Polski. Teraz wspólnie plotą wieniec - cóż za metafora - wplatają weń swoje życie, historię i marzenia. Tu jest ich dom, innego już nie ma.

Elżbieta Kalistówna i Zosia Zaczkówna przyjechały do Objazdy dużą grupą, z rodzinami, Elżbieta ma za sobą przeżycia z 10 lutego 1940 roku. Obie pochodzą z Podgórza w Łomżyńskiem, a w dalekiej Sołudze pozostali bliscy Elżbiety: dziadek, rodzeństwo. Po nich tylko pamięć. Życie trzeba zacząć od nowa. Młodzi, wrastają w nową społeczność, splatają dawne troski z radościami codziennego dnia.

Wśród młodych kobiet jest Stanisław Jasiński. Nie został w Objeździe, wyjechał, szukał miejsca dla siebie w Kanadzie. Po latach bliscy sprowadzili jego prochy do Polski.

Półokrąg zamykają Irena Kozub i Stanisława Janus, którą prawie wszyscy we wsi tytułowali przez lata ciocią. Nie będziemy dochodzić skomplikowanych losów, jest chyba wśród plotących dożynkowy wieniec najstarsza, rocznik 1912. Nie miała własnych

dzieci, ale w domu zawsze byli siostrzeńcy, bratankowie, krewniacy. U cioci stołowali się nauczyciele, wszystkim była życzliwa i o wszystkich się troszczyła. Roman Zub, z którym dzieliła codzienne troski, zapisał w swoich notatkach pod datą 4 lipca 1989 roku, gdy wypełnił się jej czas: „Z rana przyjechała Fredzia z mężem, później Danusia Świątczak ze Słupska i następnie z Komorowa S. Szyszka, P. Młodawski, ze Starachowic J. Grobarz, W. Sorek, M. Kaczor i Kazik, z Zabrza Józek Marek, Tadek M. z Olą i Teresa M. oraz Heniek z Brygidą, Głowa J. z Gdyni i K. Rybak ze Sztumu, Teresa z Dorotą i Jacek, Zosia z Gienkiem, a poza tymi było wielu sąsiadów z Objazdy, z Ustki i ze Słupska Wojtek Maruszak z żoną, Waszkiewiczowie, Deskowie, Obstowie i wielu innych, również z Dębiny Dziubowie i inni, z Poddąbia H. Misztalowa, wielu z Rowów i z Machowinka. Był pełny kościół i bardzo dużo ludzi na cmentarzu."

Ciocię, Stanisławę Janus żegnano latem 1989 roku. Od tamtego dnia 1949 roku, gdy na klepisku w stodole we wsi Objazda splatała kłosy w dożynkowy wieniec minęło czterdzieści lat. Metafora stała się rzeczywistością. Posplatały się losy ludzi z różnych stron, poczuli się wspólnotą. Dożynki, wesela, pogrzeby, które opisywał w „Kronice Objazdy" Roman Zub potwierdzały wspólnotę tradycji, kultury, przekonań.

***

Minęły czasy, gdy zboże koszono kosą, za kosiarzem szła kobieta podbierająca pokos, często pomagając sobie sierpem. Powrósłem skręconym ze źdźbeł wiązała snopy, później ustawiano je w kopy, po dziesięć snopów. Po kilku dniach, gdy zboże przeschło, zwożono snopy do stodoły, gdzie czekały na młockę. W Objeździe było kilka konnych żniwiarek. Maszynę ciągnęły konie powożone przez woźnicę. Obok na siodełku siedział ktoś, kto kładł pokosy pod noże i zsuwał, gdy nazbierała się garść odpowiednia na snopek. Później kobiety wiązały je i ustawiały w kopy. Minęły czasy snopowiązałek konnych. Żniwa przestały być nawet tematem medialnym, traktuje się je jako zadanie produkcyjne, a dawne obrzędy i zwyczaje są li tylko ciekawostką etnograficzną. Wtedy jednak, jak było we zwyczaju we wszystkich regionach Polski, na dożynki do Charnowa kobiety przygotowały piękny wieniec, zdobiąc go własnymi marzeniami.

Dożynki i obrzędy z nimi związane znane były u Słowian i plemion bałtyckich od czasów najdawniejszych jako wyżynki, obrzynki, wieniec, wieńcowe, okrężne. Wicie wieńca pozostawiano zręcznym żniwiarkom, które z najpiękniejszych kłosów pszenicy

i żyta wyplatały wieniec w kształcie korony. Obrzędowi towarzyszyła wiara w magiczną moc zbóż. Wieńce dekorowano jarzębiną, orzechami, warzywami i owocami, mirtem, bukszpanem, kwiatami i kolorowymi wstążkami.

Gotowy wieniec zazwyczaj niosła najlepsza żniwiarka, za nią szedł odświętnie przystrojony orszak z narzędziami używanymi w czasie żniw. Na fotografii Romana Zuba z Kroniki Objazdy zdobiony wstążkami snop zboża niesie Stanisława Janus. Najpierw wszyscy trafiali do kościoła, gdzie ksiądz święcił wieniec i błogosławił żniwiarzom, a stamtąd wszyscy ruszyli do podworskiego parku, gdzie odbyły się świeckie uroczystości ze wspólną zabawą. Z wieńca wykruszano ziarno i wsypywano je do worków z ziarnem siewnym.

Nie mamy relacji z przebiegu uroczystości dożynkowych w Charnowie, nie wiemy na pewno dlaczego dożynki 1949 roku odbyły się właśnie w Charnowie. W kronice Zuba odnajdujemy informacje o działalności artystycznej inż. Stanisława Perekładowskiego w Charnowie, a w Pomorskim Wehikule Czasu Marcina Barnowskiego znajduje się zapis: „Pod koniec 1951 roku w powiecie działało 19 spółdzielni. Jedną z najstarszych był założony jeszcze w 1949 roku kołchoz w Charnowie koło Ustki. W nagrodę za wysokie wyniki we współzawodnictwie pracy, 22 lipca 1951 roku przekazano jej traktor z przyczepą. Ówczesne władze komunistyczne wysoko oceniały także kołchozy w Grabnie i w Bobrownikach".

Fotografie i zapiski w Kronice Romana Zuba pozostają żywym obrazem historii regionu, zupełnie niedawnej, a jednak nieznanej. Odchodzą ludzie, którzy ją tworzyli drobnymi, z pozoru nieważnymi działaniami, ale przecież w ten sposób powstawały niewidzialne więzi łączące nas z historią i regionem słupskim.

Nikt dziś nie wiąże snopów. Pracę ludzi zastąpiły maszyny.

O dawnych zajęciach i grillowaniu

Zmiany są nieuchronne. Zmienia się otoczenie, sposób życia, zajęcia, zabawy. Jakby czas przyspieszył, a świat zmalał, nie zaskakuje oryginalnością. Jeszcze niedawno w wiejskim pejzażu królowały ogniska z pieczonymi gruszkami (nie zasypiaj gruszek w popiele) i kartoflami, bawiono się na potańcówkach. W miastach popularne były pikniki z tańcami i karuzelą. Inni urządzali polowania zakończone pieczeniem zwierzyny na rożnie. Mamy dość świadectw literackich pozwalających twierdzić, że takie formy wspólnej zabawy były na tyle popularne, by ich opisy i pamięć o nich weszły do kanonu kultury.

Dziś wszyscy grillują. Na wsi i w mieście. Moda dotarła do nas jakieś piętnaście lat temu z Ameryki, gdzie zwyczaj opiekania mięsa na otwartym ogniu rozpowszechnił się na dobre na początku XX wieku. Najpierw powstawały otwarte grille murowane. Niewygodne i poddane kaprysom pogody. Dopiero gdy George Stephen, amator opiekanego na ogniu mięsa, ojciec jedenaściorga dzieci, wykonał i opatentował trójnożny grill z pokrywą, nastąpiło szaleństwo barbecue. Pomysł zrodził się w 1952 roku w czasie morskiej podróży. Spostrzegawczy Amerykanin obserwował boje, one zainspirowały Stephena do prawdziwego biznesu w amerykańskim stylu. Wynalazek uzupełnił współpracownik Henry'ego Forda, wykorzystując do grillowania odpad produkcyjny w postaci węgla drzewnego. W salonach obok samochodów stały grille i węgiel drzewny. Idealne połączenie! Odtąd wystarczył kawałek ogródka i mobilne urządzenie do grillowania, by spotkanie towarzyskie nabrało rumieńców nie tylko od ognia.

Prezydent Słupska i starosta słupski wpisują się w światowy trend. Na 21 lipca zapraszali wszystkich na II Europejski Festiwal Smaków „Słupskie Grillowanie". Imprezę uświetnił pokaz grillowania w wykonaniu Krzysztofa Szulborskiego i Tomasza Kunysza, Mistrzów Świata i Europy w Grillowaniu. Obaj cieszą się sławą znakomitych kucharzy i popularnością nie tylko na Pomorzu. Krzysztof Szulborski zdobył Mistrzostwo Świata w Grillowaniu opiekając ananasa z karmelem i lodami na gorąco. Mistrzowie zawsze mają tajne sposoby! Pan Szulborski poleca dodawanie do węgla drzewnego marynowanych w alkoholu wiórów drewnianych. Gwarantują podobno niezapomniany aromat potraw. Tomasz Kunysz z restauracji

z Bydlina zdobył niedawno tytuł Najlepszego Kucharza Regionu. Uczestnicy słupskiej fety na Placu Zwycięstwa mieli okazję poznać mistrzów i pokazać własne umiejętności. Reprezentacje gmin powiatu słupskiego i miasta Słupska przygotowały własne pomysły smakowe potraw z grilla, za co otrzymały nagrody oraz certyfikaty dla promowanych smaków potraw i nalewek. Piknik handlowy połączony z pokazem grillowania i występami zespołów artystycznych okazał się dobrą formą promocji regionu i integracji lokalnej społeczności. Przy okazji dokonano przeglądu dorobku regionalnej gastronomii. Grill jako urządzenie do przyrządzania potraw okazał się pretekstem. Obok gospodynie z KGW Objazdy, Dębnicy Kaszubskiej i innych gmin sprzedawały ciasta i nalewki. Stoiska pachniały wędzonymi kiełbasami. Wokół rozbrzmiewała muzyka. Dzieciaki i dorośli zasmakowali ludycznego klimatu.

Nie jestem pewna czy w kiermaszu smaków brały udział okoliczne gospodarstwa ekologiczne. W bilansie ekonomicznym nastawione są na zysk z dopłat unijnych, agroturystyki, rzadziej, mimo wysiłków propagatorów dawnego, wracają do dawnych sposobów gospodarowania i gospodarzenia. Po prostu, było, minęło, jednak warto o tym wiedzieć i pamiętać.

Kiedyś w wiejskich gospodarstwach tłoczono na przykład olej. Olejarnie były w zasadzie w każdej wsi, najczęściej prowadzone przez Żydów, rzadziej drewniana prasa do tłoczenia oleju była w gospodarstwie. Wyselekcjonowane nasiona lnu wsypywano powoli do podgrzewanej prasy napędzanej ręcznie kołem zamachowym. Najpierw kołem kręciło dziecko lub kobieta, później, kiedy makuch trzeba było dobrze wycisnąć, przy kole siadał krzepki mężczyzna. Olej spływał do rynny. Był podstawowym tłuszczem, pachnącym i smacznym. Kraszono nim kasze, kluski lub używano do smażenia. Wyciśnięte w prasie odpady nazywane makuchami wyjmowano po wytłoczeniu oleju. Były cenną paszą w odchowie cieląt lub prosiąt.

Domowym sposobem w stępie lub w okolicznych młynach wiatrowych wyrabiano pożywne kasze: gryczaną, jęczmienną i jaglaną z prosa. Uprażone były same w sobie wystarczającym daniem. Spożywano je ze skwarkami, olejem lub mlekiem.

W ciągu naszego życia przeminął czas wiatraków obecnych w wiejskim pejzażu przez wieki. Koźlak czy paltrak najpierw stracił śmigi, później cały popadał w ruinę. Nie ma po nich śladu, a dzieci nie wiedzą, jak były ważne dla wiejskich gospodarstw. Skansen w Klukach przygotowuje weekendowe pieczenie chleba przy regionalnej muzyce, ale inne dawne zajęcia odchodzą w niepamięć.

Wykopki w Objeździe. Na zdjęciu od lewej druga Józefa Bednarczykowa, czwarta Anastazja Brzywcowa, obok Stanisława Janus i Janina Kubałowa, żona kowala.

Każda praca, każde zajęcie odbywało się według obrządku i było okazją do spotkań towarzyskich i kulturalnych. Darcie pierza w zimowe wieczory, przędzenie na kołowrotku organizowano w chłopskich chałupach z radością. Była to okazja do rozmów, śpiewania, opowieści, wspomnień. Spotykali się młodzież i starsi, przekazując umiejętności, opowieści, pieśni. Jednak ponad pół wieku temu bezpowrotnie zniknęły z wiejskiego pejzażu bielące się na majowej trawie długie wstęgi lnianego płótna czy porozwieszane na płotach motki przędzy.

W ogrodach rosły proso i soczewica, len, mak i buraki, kapusta na potrzeby rodziny. Przed domem kwiaty, by cieszyły oczy i duszę. Czas żniw przez wieki był najważniejszym okresem w chłopskim kalendarzu. Pracowały całe rodziny, sąsiedzi pomagali sobie wzajemnie. Żaden kłos nie mógł się zmarnować. Zboże koszono kosą, za kosiarzem szła kobieta podbierająca pokos, często pomagając sobie sierpem. Wiązała snopy, później ustawiano je w kopy. Nazywano je różnie: lalki, panienki, maderki, półkopki lub po prostu kopy czy kopice, jak u Mickiewicza i każdy region miał swoje sposoby kopienia zboża. Po kilku dniach, gdy zboże przeschło, zwożono snopy do stodoły, gdzie czekały na młockę. Na koniec żniw zostawiało się garść dorodnego żyta na brzegu pola, najlepiej przy gościńcu. Związywano kłosy barwną krajką, wplatając w środek kwiaty. Był to dożynek, zwany także na Podlasiu i Mazowszu przepiórką, na wschodnich kresach perepełką, a w Małopolsce kozą bądź brodą. Na Podlasiu znany był zwyczaj chwytania znienacka gospodarza

za nogi i przeciągania dookoła przepiórki. Zdarzało się, że przeciągnięto gospodynię. Kiedy podwinęła się spódnica, najadła się wstydu, bo dla wygody pracowała w polu bez majtek. Na koniec żniw gospodarz zapraszał robotników na poczęstunek i nie żałował napitku. W czasie podorywki przepiórkę okalano, pozostawiając kłosy jako dar dla ptaków i myszy, a przepiórka miała zapewnić ciągłość plonów.

Oj, kto dziś pamięta te piękne zwyczaje jednoczące ludzi w pracy i zabawie. Współczesne dożynki mają zupełnie inny charakter. Przede wszystkim brak im spontaniczności, przybierają w najlepszym wypadku postać rekonstrukcji etnograficznej. Zamiast maszyn rolniczych w wiejskim pejzażu słychać głośne spalinowe podkaszarki. Nie ma zapachu siana, nie słychać rytmicznego klepania kos w czas żniw. Nikt się w polu nie spieszy, gdy nadciągają chmury. Zewsząd w czasie weekendu roznosi się zapach grillowanej karkówki. Takie czasy.

Wieliczkowie żniwują...

Na zakręcie, czyli historia chłopaka z ZMW

Ponadstuletni szary dom stoi na wzniesieniu przy ruchliwej ulicy z wąskim chodnikiem. Na wprost domu rozwidlenie: prosto - do Rowów, w prawo - brukowana uliczka z kilkoma skromnymi domkami, a dalej już tylko pola i łąki, aż pod jezioro Gardno. Kiedyś mieszkał tu dróżnik, pan Jurczak, z którego córką Marysią chodziłam do jednej klasy. Rozpoznaję ją na dawnej szkolnej fotografii. Na zdjęciu, które czas przemalował na kolor sepii, nie ma naszego rówieśnika Stasia. W miejscowej szkole w księdze uczniów nie znalazłam jego nazwiska w okolicy mojego rocznika, a wydawało się, że był tu zawsze, ale tak chyba nie było. Od 2001 roku mieszka w dawnym domu dróżnika na zakręcie i jego życie, jakby przez paralelę, też znalazło się na wirażu. Kiedyś z rodzicami mieszkał po przeciwnej stronie ulicy. Szuwalscy przybyli do Objazdy w 1962 roku ze Skórzyna pod Główczycami. Oboje pochodzili z Lubelszczyzny i długo szukali miejsca na stałe. Liczna rodzina zamieszkała w niewielkim starym domu, na wprost dróżnika. Stamtąd Staś, drugi z sześciorga rodzeństwa, wyruszył w wielki świat, choćby tylko powiatowy. W tym czasie dróżnik Jurczak wyprowadził się do Zalasek (Zaleskich), jak się wówczas mówiło, i w domu na górce zamieszkali Szuwalscy. Trudno było wyżywić, ubrać i wykształcić szóstkę dzieci. Józef Szuwalski pracował jako dróżnik, dzierżawił kawałek ziemi i nie dawał się biedzie. Po ojcu Stasiek odziedziczył chłopski upór i wiele lat później dom, w którym od niedawna zamieszkał, uporawszy się ze sprawami spadkowymi. Jak często bywa, spadkowe działy podzieliły też rodzeństwo. W młodości Stasiek próbował wielu szkół, wreszcie został uczniem nowo utworzonej w Objeździe szkoły przysposobienia rolniczego. I choć czasy były raczej siermiężne, młodym nie brakowało werwy i ochoty na działanie. Miejscem spotkań była biblioteka, w której Roman Zub był nie tylko bibliotekarzem, ale przede wszystkim inicjatorem wielu, jak powiedzielibyśmy dziś, projektów kulturalnych i społecznych. Stasiek przy jego pomocy w połowie lat sześćdziesiątych współorganizował w Objeździe koło ZMW, później, w latach siedemdziesiątych, zajmował się Związkiem w powiecie i własną edukacją. Nie jest pewne czy znał już wtedy patetyczne słowa Stanisława Młodożeńca, przyjęte jako hymn Związku Młodzieży Wiejskiej:

„Do niebieskich pował, od grud czarnej ziemi,
Już sztandar nasz wiciowy kolorami mieni...
Na sztandarze naszym skrzy się piękno świata
Wyszedł swymi kolorami chłopskie dusze bratać."

Nie jest też pewne czy znał dzieje Związku z okresu międzywojennego. W 1928 roku twórca Uniwersytetów Ludowych, Ignacy Solarz, powołał do życia organizację zrzeszającą wiejską młodzież. Historia Związku Młodzieży Wiejskiej zrosła się z dziejami Polski, nie ominęły jej jednak meandry politycznych przetasowań, ale młodzież zawsze od nowa podejmowała próbę wspólnego działania w imię koleżeńskości. ZMW istnieje do dziś, skupia młodych ludzi z małych miasteczek i wsi, kultywuje dawne tradycje i stawia na edukację, przedsiębiorczość, rolnictwo i samorząd. Od 1996 roku Związek Młodzieży Wiejskiej jest pełnoprawnym członkiem Europejskiego Komitetu Młodych Farmerów i Klubów 4H, który skupia 25 organizacji europejskich. Jest również członkiem Polskiej Rady Młodzieży.

Naturalną koleją ówczesnego czasu młodzież z ZWM zasilała szeregi ZSL-u. Tak też potoczyła się kariera młodego aktywisty z Objazdy. Wprawdzie Wikipedia w kategorii „Działacze ZSL" nie wymienia jego nazwiska, Stasiek Szuwalski od 1971 roku był członkiem ZSL, działał prężnie, pisał do „Zarzewia" i „Zielonego Sztandaru" sążniste artykuły, a w1978 roku został skierowany do pracy w NK ZSL w Warszawie, z obowiązkiem studiowania na Wyższej Szkole Nauk Społecznych. Nie przypadła mu do serca Warszawa, nie skorzystał z propozycji rozwijania kariery w Pile. Wrócił do Słupska, bo serce nie sługa. Spodobała mu się panna z Zagórek, choć znał wiele innych. Od ślubu w 1973 roku razem szli pod zielonym sztandarem, później razem droczyli się ze złudnymi mirażami peerelowskiego świata. Kiedy wszystko się sypało, próbowali brać, co podsuwał czas. Powołali firmę dziewiarską, ale padła razem z Cepelią w 1992 roku, podobnie jak wiele prężniejszych i ugruntowanych przedsięwzięć, które nie potrafiły odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Zostały nie spłacone kredyty i drakońskie odsetki. Pracował to na swoim, to na państwowym, ale ostatecznie przegrał z nieoczekiwaną chorobą. Teraz powinna wystarczyć mu - zdaniem ZUS - siedemsetzłotowa renta i emerytura schorowanej żony. Dali się nabrać losowi. Kiedy więc przyszła propozycja wskrzeszenia idei ZMW, Stasiek nie miał już ani siły, ani dawnej wiary w sens wspólnego działania. Pozostał jednak sympatykiem PSL, które powoływali jego dawni koledzy.

Od dawna nie ma w naszej wsi ani w najbliższej okolicy kół ZMW. Nie ma, bo Stasiek ma ponad sześćdziesiąt lat, boryka się

z własnym skomplikowanym losem i niedostatkiem. Pozostał wierny chłopskiej prawdzie: tylko rola odpłaca się za wysiłek jej poświęcony. Na niewielkiej działce próbuje, jak sam mówi, ekologicznej uprawy warzyw dla sezonowych ośrodków wczasowych. Może to dobry sposób, aby uzupełnić skromną rentę, ale i on, i jego schorowana żona nie mają na tyle sił, by sprostać trudnej pracy na ziemi, a skorych do pomocy, nawet za opłatą, nie ma.

Upadła w konkretnym przypadku piękna idea koleżeńskości kultywowana przez ZMW. Koledzy Staśka z dawnych lat wierzą temu co mówi, a mówi o swoich rolniczych dokonaniach i marzeniach, czasem wtrąca słówko o tym, co go boli. Trudno się temu dziwić. Rzadko mówimy tak zwanym otwartym tekstem. Staliśmy się ostrożni, zamykamy za sobą drzwi, uszczelniamy krąg znajomych. Nauczyły nas tego nowe społeczne doświadczenia. Szybko rozpoznajemy, co jest trendy lub jak kto woli jazzy, a co passe, nawet w sferze towarzyskiej. Byliśmy u Stasia w domu i na polu i widzieliśmy jego upór, by wszystkiemu podołać. Opowiadał o swych planach i kłopotach skubiąc raz po raz i rozcierając w dłoniach baldachy dorodnego kopru, z którym nie ma co zrobić. Pójdzie pod kosę i na kompost. Rzodkiewka i kapusta obrodziły, ale są i nieproszeni ich amatorzy. Wszystkiego trzeba pilnować. Czasem nocuje z psem w polu raczej dla przyjemności bycia sam na sam z letnim niebem niż dla odstraszenia nieproszonych gości. Wraca myślami do dawnych doświadczeń z czasu działania w ZMW. Stasiek widzi młodych ze swojej uliczki, jak bez planu spędzają wakacyjne wieczory. Trzeba coś zrobić, nim wszyscy wyjadą do Londynu. Może naprawdę nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki? Jednak organizacja młodzieżowa na wsi byłaby dla wszystkich czymś wyjątkowym. Odżyło w Objeździe Koło Gospodyń Wiejskich, otwarto wiejską świetlicę, widać czasami junaków z Ochotniczej Straży Pożarnej, nie ma jednak idei lub nowocześniej - projektu - popularyzującego w nowoczesny i skuteczny sposób chłopskie i regionalne tradycje wśród młodzieży. Warto zapukać do drzwi Staśka, by porozmawiać o historii ponadstuletniego wiejskiego domu i ciekawych losach jego mieszkańców, o tym, czym we wsi była biblioteka, a przede wszystkim o tym, jak wiele zależało od takich ludzi jak Roman Zub, którego imię nosi dziś biblioteka w Objeździe. Doświadczenie to wartość, którą należy cenić, również po to, by nie popełniać dawnych błędów. Cieszymy się młodą demokracją i możliwościami jakie daje, także mieszkańcom wsi. Potrzeba nam jednak liderów, którzy entuzjazmem i fachowością poderwą pogrążonych w bezwładzie i apatii, zamkniętych w kręgu własnych spraw.

Skrzydlate piękności. Wystawa gołębi

Prawdę mówiąc interesowały mnie dotychczas gołębie Pabla Picassa jako dzieła sztuki oraz te wiejskie hodowane przez sąsiadów jako potencjalni amatorzy młodej sałaty z mojego ogródka. Tymczasem ze wzruszającym zdziwieniem odkryłam świat pasji dorosłych ludzi, w większości mężczyzn, wiążących z ptasią inteligencją i urodą własny honor i dumę, zaś za życiowy drogowskaz przyjmujący dekalog św. Franciszka z Asyżu. Jedyną kobietą była pani Monika Studzińska z Rudna wystawiająca rysia polskiego.

W hali sportowej Zespołu Szkół Samorządowych w Objeździe w dniach 6-7 listopada 2010 roku Środkowopomorski Związek Hodowców Gołębi Rasowych i Drobnego Inwentarza z siedzibą w Koszalinie zorganizował pod patronatem Starosty Słupskiego i Wójta Gminy Ustka wystawę Gołębi Młodych Rocznik 2009 i 2010. W blisko tysiącu klatek trzydziestu siedmiu wystawców z osiemnastu miejscowości północnej Polski - od Trzebiatowa przez Kołobrzeg, Koszalin, Wrzosowo, Słupsk, Gdynię aż do Pelplina przedstawiło osiemdziesiąt pięć ras gołębich piękności. Komisja sędziowska (Ireneusz Rogowski, Kazimierz Jędrzejewski, Dominik Langiewicz, Kazimierz Płaczkowski, Witus Obrusik, Robert Cierpiałowski Bogdan Szmidt) pod przewodnictwem Bogdana Szmidta i sędziego obserwatora Mieczysława Branickiego przyznała nagrody najlepszym hodowcom: Marianowi Jarząbkowi z Bolesławic w czterech rasach, między innymi w kategorii koroniarza końcatego, drobnego gołębia o polskim pochodzeniu oraz mewek orientalnych, gołębi wyhodowanych w Małej Azji, sprowadzonych do Niemiec w 1849 roku, obecnie hodowanych w całej Europie. Nagrodzono Jana Walkiewicza z Pelplina za gołębie w sześciu rasach, między innymi kapucyna staroholenderskiego, garłacza górnośląskiego białogłowego i inne ciekawe rasy. Ponadto nagrody wręczono Patrykowi Witusińskiemu z Kaczkowa, Markowi Żmudzie-Trzebiatowskiemu oraz znanemu hodowcy, mistrzowi Polski, Bogdanowi Niewadziłowi z Ustki. Pamiątkowe puchary wręczali starosta słupski pan Sławomir Ziemianowicz i pani wójt Anna Sobczuk-Jodlowska.

Tadeusz Kasperkiewicz ze Swochowa i Ryszard Andrzej Ryłło ze Słupska wystawili kolekcje gołębi rasy zamojski, odpowiednio 24 i 30 sztuki. Sędzia obserwator stwierdził z uznaniem, że tak liczna kolekcja od jednego hodowcy to prawdziwa rzadkość. Gołębie zamojskie zwane też niekiedy perskimi to kolejna polska rasa o najlepszych

cechach wymaganych od gołębi wysokolotnych. Osiągają bardzo wysoki pułap lotu, są wytrzymałe, mają dobrą orientację przestrzenną. Tradycyjne centrum hodowli to Zamość, Chełm i Lublin. W ostatnich latach rasa ta ze względu na swe walory hodowana jest we wszystkich rejonach. Pochodzenie gołębi zamojskich nie jest dokładnie znane. Według niepotwierdzonej wersji gołębie perskie przywiezione zostały w XVII wieku do Zamościa przez jednego z ordynatów.

Pamiątkowe nagrody w tej kategorii wręczali Andrzej Bury, wicestarosta i Jacek Goreński, dyrektor szkoły.

Wystawę zwiedziło wielu zainteresowanych, w tym mieszkańcy Objazdy. Wraz ze mną wystawę zwiedzały panie z KGW - Regina Brzywcy i Danuta Kryńska. Zwróciły uwagę na gołębie rasy king barw pstrej, białej i czerwonej należącej do kuraków z hodowli Krzysztofa Dobrzańskiego z Koszalina. Piękne, dostojne ptaki, choć raczej wysoko nie polecą. Osiągają masę ciała od 850 do 1050 g. Mają mocne krótkie skrzydła i takiż nieco uniesiony ogon. Stoją na mocnych szeroko rozstawionych nogach.

Naszą uwagę zwrócił także wyhodowany przez Józefa Matejaka z Kołobrzegu należący do gołębi lotnych czarny tippler angielski poddany ocenie sędziego Roberta Cierpiałowskiego. To średniej wielkości ptak, żwawy o spokojnym usposobieniu wyhodowany w Anglii w XX wieku.

Jeśli domeną panów są gołębie, to praktyczne panie z KGW z zainteresowaniem oglądały kury. Piękne miniaturowe czubatki, hamburskie i sebryty z hodowli Jarosława Stando z Charnowa były interesujące na tyle, że panie spisały numer telefonu hodowcy z myślą o zakupie do własnej hodowli.

Ciekawa, dobrze przygotowana wystawa opatrzona katalogiem dostarczyła wystawcom i zwiedzającym satysfakcji. Ignorantom, takim jak ja, zaimponowała rozmachem, urodą ptaków i rzeczowością hodowców. Komisarzem wystawy był Marian Jarząbek. W komitecie organizacyjnym wymienia się Cezarego Muchowskiego, Bogdana Niewadził, Grzegorza Pająka, którzy wymienieni zostali także jako sponsorzy obok Starostwa Powiatowego w Słupsku, Urzędu Gminy w Ustce, Zespołu Szkół Samorządowych w Objeździe i Gminnej Spółdzielni „SCH" w Ustce. Wystawę sponsorował również Henryk Ropel, właściciel sklepu z paszą dla gołębi z Szymbarka.

W katalogu przypomniano cały dekalog św. Franciszka, tu przywołajmy pkt. 4. „Z miłością do siebie samego troszcz się o człowieka, zwierzęta, rośliny, o wody i powietrze, aby ziemia nie została ich pozbawiona". Wystawa gołębi w Objeździe spełnia to zadanie. Ostatnia strona katalogu jest jednocześnie zaproszeniem na kolejną wystawę, za rok.

Z zabawy nauka. O turniejowych potyczkach kół KGW

Któż by zawracał Wisłę kijem? Nawet gdyby tęsknił za obrazem dawnej wsi, gdzie kobiety przy kołowrotkach lub w zagonach kapusty. Albo wspominał przeszłość, tę niedawną, gdy stały w kolejkach po kurczaki i sztuczne kwoki. Nie ma już takiego obrazu! Przekonali się o tym w sobotę 11 lutego 2012 roku uczestnicy i goście VII Powiatowego Turnieju Kół Gospodyń Wiejskich w Jezierzycach. Owszem, jedna z turniejowych konkurencji nosiła tytuł W kolejce - scenka kabaretowa. Realizacje tematu świadczą o refleksie społecznym ekip KGW. Dwie przedstawiły kolejkę do konfesjonału, powodzeniem cieszyły się scenki lekarsko - apteczne. Zauważono nawet kolejkę w monopolowym. W oryginalny sposób zadanie rozwiązało KGW w Objeździe, przedstawiając opartą na pantomimie scenkę kolejki do WC. Realizm dworcowej rzeczywistości, aktorskie umiejętności i humor zostały nagrodzone brawami.

XII Turniej KGW - 2017 rok. O lewej panie: Irena Poniewozik, Alina Waniuga. Danuta Kryńska, Danuta Salwowska, Ewa Kargul z mężem Tadeuszem po lewej i Jerzym Pokorskim po prawej oraz Halina Lempek.

Statutowa działalność KGW zakłada reprezentację interesów kobiet wiejskich oraz ich rodzin, pomoc w wychowaniu, kształceniu i organizacji wypoczynku dzieci, troskę o zdrowie, rozwijanie przedsiębiorczości kobiet, racjonalizowanie gospodarstwa domowego oraz uczestnictwo w kulturze i kultywowanie folkloru. Przed turniejowymi ekipami postawiono zadanie odtańczenia mazura. Różne były pomysły, szczególnie gdy w grupie brakło panów. Ale kobiety z KGW poradzą sobie z każdym problemem. Przecież gdzie diabeł nie może... Niektóre ekipy zrozumiały dosłownie ludowe przysłowie, dlatego widzieliśmy na scenie pary diabelsko - anielskie zgodnie tanecznym paux idące do mazura.

Pięknie i z humorem, wyczerpując w scenicznym skrócie realia mazura, taniec przygotowało koło z Objazdy, które jako jedno z niewielu wśród członków ma panów. Przewrotnie, ale jednocześnie zabawnie wyglądała zamiana ról płci. Dzięki temu ułani w wysokich czakach byli jak malowani, zgrabnie szabelkami władali i odjechali na papierowych konikach. Rosłe, ale nie pozbawione wdzięku panny po zwiewnym tańcu zostały z tamborkami pod ścianą, jak drzewiej bywało.

Latem i jesienią 2010 roku na zlecenie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego zespół kierowany przez znanego kulturoznawcę prof. Wojciecha Bursztę przeprowadził badania w 32 miejscowościach na obszarze całej Polski, by pokazać jak polska prowincja „radzi sobie z rzeczywistością" (por. Polityka.pl 8.04.2011). Wynik badań, choć widać go gołym okiem, został potwierdzony naukowo: Na wsi nie ma wsi. W miejscu dawnej zagrody wiejskiej znajdujemy wyspecjalizowaną fermę, zamiast rolnika spotykamy producenta żywności, a wsie bez względu na miniony status rolniczy czy pegeerowski, mają charakter wiejskich osad nierolniczych. Ich mieszkańcy pracują za granicą albo w nieodległym mieście. Młodzi ubrani zgodnie z trendami mody, sposobem spędzania wolnego czasu, wyborami w ofercie kulturalnej nie różnią się od miejskich rówieśników. Stacja ODR w Strzelinie, której dyrektor Zdzisław Kołodziejski patronował turniejowi, promuje na terenie rejonu swego działania kilka gospodarstw ekologicznych, ale nie jest to zasadniczy kierunek zmian na wsi. Czy kapusta tak malowniczo zdobiąca stoły turniejowych ekip pochodziła z takich gospodarstw? Czy odpowiedź będzie twierdząca?

Dlatego trudno się dziwić, że kolejna konkurencja jezierzyckiego turnieju zaowocowała niezwykłymi wyborami. W prezentacji piosenki usłyszeliśmy Makumbę, w nie pozbawionej uroku

aranżacji. Ponadto wysłuchaliśmy Don't Worry Be Happy, dwu piosenek z repertuaru Boney M, Krzysztofa Krawczyka, Maryli Rodowicz. Jednak może się okazać, że „seksapil to nasza broń kobieca", nowocześnie, odważnie zaprezentowana przez uroczą członkinię KGW... stanie się hymnem wszystkich kół. Była na temat, oddawała ducha statutowych zadań KGW. O, tak!, pomorska wieś korzysta z dorobku kultury świata. Bardziej niż ze skarbca rodzimej kultury ludowej, której wdzięk i piękno poza konkursem przedstawiły „Bierkowianki", zespół z dwudziestopięcioletnim dorobkiem i licznym nagrodami. Ludowe piosenki w ich wykonaniu porwały do tańca publiczność i gości oczekujących na werdykt jury pod przewodnictwem pana Zbigniewa Babiarza Zycha.

Zmienił się sposób życia, relacje społeczne przybierają miejskie formy, rozluźniły się więzi zawodowe, ekonomiczne, kulturowe. W lokalnej przestrzeni tracą kulturotwórcze znaczenie szkoły co chwilę reorganizowane, często zagrożone likwidacją. Wiejskie biblioteki potrzebują zapaleńców, takich jak niegdyś niezapomniany Roman Zub z Objazdy. Alternatywą wobec sieci i TV pozostają koła KGW i OSP działające w większości na zasadzie samodzielnych stowarzyszeń, przy okazjonalnym wsparciu GOK. Oderwane od Kółek Rolniczych nie mają zaplecza finansowego i rzeczywistego związku z rolniczymi problemami.

Znakiem dawnej kultury są kapliczki i krzyże, o które troszczą się starsi mieszkańcy lub panie z KGW, jak jest w Objeździe, Rowach i pewnie wielu miejscowościach. Ich działania są przykładem łączenia w wiejskiej przestrzeni obszarów sacrum i profanum. Obrzędy bożonarodzeniowe i wielkanocne z kaplic wędrują do wiejskich świetlic, a kobiety z KGW uczestniczą w ich organizacji, troszcząc się jednocześnie o zgodny z ludową tradycją świąteczny wystrój kościołów.

Obok powstają orliki i hale gimnastyczne, kluby sportowe i dyskoteki, co znalazło odbicie w kolejnych turniejowych zadaniach. Moja wieś na sportowo i sportowa moda na wesoło były okazją do zaprezentowania na poważnie lub żartobliwie osiągnięć własnej miejscowości. KGW Jezierzyce postawiło na młodość i modę. Raperka w sportowym stroju umiała do zabawy włączyć publiczność, oddając atmosferę sportowego widowiska. W sprawie mody trudno się wypowiadać, o gustach się nie dyskutuje. Natomiast dwuosobowa parytetowa ekipa z Objazdy zaprezentowała kostium retro dla pożal się Boże ciężarowca, którego sztangę z wdziękiem wyniosła niczego sobie czilliderka. Ponadto były na scenie kajaki i wrotki i koń na biegunach z przystojną dżokejką.

Jednym słowem i w tej dziedzinie wygrywa standard kulturowy. Według przywołanych wcześniej badań kulturę ludową kształtują przeniesione z przestrzeni miejskiej festyny, które zastąpiły dawne zabawy odpustowe. Socjolog Tomasz Szlendak wskazuje na znaczenie „kotwic kulturowych" jak określa tereny, obiekty czy symbole będące znakami lokalnej tożsamości, a jednocześnie pełniące funkcję zewnętrznej wizytówki. Kotwicami kulturowymi regionu są niewątpliwie skansen w Klukach czy zagroda w Swołowie. Problem w tym, że nie mają rzeczywistego wpływu na kształtowanie wyborów kulturowych lokalnych społeczności, nie wspominając o współpracy z kołami KGW. Rolę kotwiczenia w tradycji, wiejskiej kulturze mogłyby pełnić szkolne izby regionalne, jak ta z bogatymi zbiorami w Objeździe, o której miejscowi nawet nie wiedzą.

VII Powiatowy Turniej Kół Gospodyń Wiejskich był okazją do dobrej zabawy i wzajemnego poznania się. Uczestniczący w Turnieju na prawach gości minister Kazimierz Plocke, Czesław Elzanowski z Urzędu Marszałkowskiego, poseł Witold Namyślak, starosta Sławomir Ziemianowicz mieli okazję zobaczyć jak się sprawy wiejskie mają oraz czy kapusta, bohaterka kulinarna turniejowych zmagań jest smaczna. Mieli okazję wysłuchać żartem przekazanej, ale poważnej skargi na jakość wiejskich dróg w Podwilczynie. Z każdej zabawy nauka, mówi ludowe przysłowie. Dla wszystkich.

O IX Powiatowym Turnieju KGW w Jezierzycach

Koła Gospodyń Wiejskich potęgą są i basta! - ogłaszam, zmieniając nieco zdanie Stanisława Wyspiańskiego. Do takiej wiedzy dochodzę, obejrzawszy w sobotę 15 lutego 2014 roku IX Powiatowy Turniej Kół Gospodyń Wiejskich w Jezierzycach. Do turniejowych potyczek stanęło dziewięć kół z powiatu słupskiego: KGW Jezierzyce, Kobylnica, Damnica, Dębnica Kaszubska, Objazda, Warcino, Łebień i Stowięcino. Z przyczyn regulaminowych poza konkursem pozostali laureaci poprzednich edycji. Nie znaczy to wcale, że tylko w tych miejscowościach działają KGW. Udział w turnieju jest dobrowolny, ale wymaga podporządkowania się regulaminowi oraz przygotowania prezentacji przewidzianych przez organizatora, czyli Pomorski Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Gdańsku Oddział w Słupsku, Gminę Słupsk i Starostwo Powiatowe w Słupsku. Podjęcie wyzwania wymaga wysiłku, odwagi i determinacji oraz pewnych środków finansowych, mimo że zadania turniejowe służą uczestnictwu w szeroko rozumianej kulturze przez zabawę.

Nagrodę dla KGW w Objeździe odbiera Stanisława Węgierska z rąk dyrektora ODR w Strzelinie Zdzisława Kołodziejskiego i Jana Rozenka.

KGW skupiają najaktywniejsze, najbardziej twórcze i przedsiębiorcze panie wiejskich środowisk. Z pewnością nie brak im domowych i zawodowych obowiązków. Jednak potrzeba społecznej identyfikacji, spełnienia towarzyskiego, aktywności twórczej i przede wszystkim działania w i dla najbliższego środowiska decyduje o wyjściu poza własne opłotki.

Niewielkie pod względem organizacyjnym, liczące kilkanaście pań lub pań i panów (KGW Objazda) koła, zróżnicowane pod względem organizacyjnym i prawnym, są w swoich małych społecznościach ostoją tradycji i rzeczywistą kotwicą kulturową. Otwarte na potrzeby własnych środowisk, które znają jak nikt inny, przejmują często funkcje instytucji kultury, ocalając od zapomnienia tradycyjne sprzęty domowe, sposoby przygotowania żywności, dawne ludowe stroje, zajęcia, obrzędy, pieśni i przyśpiewki. W wielu miejscowościach, gdzie zlikwidowano szkoły i biblioteki, koła gospodyń wiejskich są inicjatorami działań kulturalnych, niemal autentycznymi instytucjami kultury. Przykładem mogą być Rowy, znana miejscowość letniskowa, opustoszała zimą, bo nie ma tu nawet szkoły. Jest natomiast KGW, które działa prężnie, ma własny zespół śpiewaczy „Babiniec", organizuje spotkania z mieszkańcami, takie jak kolędowanie czy ostatki. Takich miejsc na mapie powiatu słupskiego jest kilka, dlatego rola kół KGW jest nie do przecenienia.

Warto w tym miejscu przypomnieć kilka spraw związanych z działalnością KGW. O formach ich działalności decydują ustawy i rozporządzenia, które określają ich podstawy prawne. Tradycyjnie, od początku istnienia, czyli od blisko stu trzydziestu lat istnienia, koła gospodyń wiejskich powstawały przy kółkach rolniczych. Zmiany organizacji gospodarstw rolnych oraz przemiany społeczne na wsi sprawiły, że do kół prócz rolniczek dołączały urzędniczki, nauczycielki, pielęgniarki oraz panie innych zawodów mieszkające na wsi. Miało to wpływ na sposób ich funkcjonowania. Dlatego powstają koła gospodyń wiejskich - kółka rolnicze, podlegające rejestracji w Krajowym Rejestrze Sądowym (KRS). Z chwilą dokonania rejestracji koło nabywa osobowość prawną. Taką formę prawną przyjęło na przykład koło z Objazdy. Ponadto koła gospodyń wiejskich mogą działać w oparciu o ustawę Prawo o stowarzyszeniach z 7 kwietnia 1989 roku. Mają wówczas status organizacji pozarządowej, stowarzyszenia zwykłego lub rejestrowanego. Nie są wówczas społeczno - zawodową organizacją rolników. Takie koła w swojej nazwie na ogół posługują się zwrotem „stowarzyszenie"

Mimo zmian formalnych nie zmieniły się cele działania kobiet. Pierwsze „koła organizowały kursy szycia, gotowania oraz pieczenia, uczyły prowadzenia domu. Kobiety współorganizowały szkoły, ochotnicze straże pożarne, wspomagały ludzi w trudnej sytuacji i uczyły wzajemnej pomocy. Organizowały festiwale i spektakle ludowe, różnego typu biesiady. Promowały sztukę ludową. Na przestrzeni lat KGW pielęgnowały polską tradycję i jednocześnie wywierały silny wpływ na rozwój polskiej wsi."

Wymagania tegorocznej edycji powiatowego turnieju były związane z podstawowymi, tradycyjnymi zadaniami KGW i zobowiązywały uczestników do współzawodnictwa w kilku konkurencjach, między innymi autoprezentacji w formie tablicy informacyjnej, przygotowania wypieku cukierniczego, prezentacji mody letniej z elementami ludowymi, wykonania piosenki reklamującej region oraz odtańczenia polskiego tańca ludowego.

Na scenie nie brakowało żartów, autoironii, przytyczków pod adresem władz samorządowych, a nawet prześmiewczego podejścia do powszechnych w ostatnim czasie przekomarzań się o gender. Panie z Kobylnicy w piosence o regionie nie zapomniały o mandatach z „opcji radarowej", a kartony z wyraźną kwotą mandatu w wersji maxi wręczyły członkom jury i przedstawicielom władz. W kolejnej konkurencji pokazały letnią kreację z... papierowych serwetek stołowych. Tanio i ekologicznie. Jury, któremu przewodniczył Zbigniew Babiarz-Zych za starostwa przyznało paniom z Kobylnicy tytuł zwycięzcy i obowiązek reprezentowania powiatu w turnieju wojewódzkim.

Dziecięcy zespół „Pomorzacy" z Objazdy kierowany przez panie Małgorzatę Karamańską i Elżbietę Rus.

Koło z Objazdy, w którym na równych prawach z paniami uczestniczą panowie, przygotowało znany taniec południowowschodniej słowiańszczyzny - kołomyjkę, jednak w choreografii dalekiej od obrazu „Kołomyjka" Teodora Axentowicza. Panowie z warkoczami, w chustkach wiązanych pod brodą i spódnicach prezentowali się genderowo, pokaz otrzymał brawa, zabrakło jednak animuszu, by konkurencję

wygrać. Koło otrzymało nagrodę za przygotowanie i sposób prezentacji planszy o dokonaniach w ostatnim roku.

Na zakończenie turnieju, w czasie obrad jury, wystąpił dziecięcy chór „Pomorskie Słowiki", obecnie „Pomorzacy" prowadzony przez panie Małgorzatę Karamańską i Elżbietę Rus. Dzieciaki fantastycznie zaśpiewały wiązankę ludowych melodii: równiutko, rytmicznie, melodyjnie. Obie panie prowadzące są etatowymi pracownicami Centrum Kultury Gminy Ustka, a dzieci mieszkają w różnych miejscowościach gminy. Nauka śpiewania odbywa się w miejscu zamieszkania dzieci. Wyćwiczone „po kawałku" piosenki i tańce zebrane w całość dzieci pokazały na scenie. Wartość występu to nie tylko jednorazowy zysk publiczności, to przede wszystkim inwestycja w przyszłych aktywnych uczestników i odbiorców kultury. Dla tych dziewczynek ludowa piosenka i taniec będą uznanymi wartościami kultury. Po prostu, czym skorupka za młodu...

Publiczność dobrze się bawiła, chętni częstowali się pysznym żurkiem, chlebem ze smalcem, ciastami, herbatą i kawą. Spotkanie odbywało się w familiarnej atmosferze, szczególnie gdy do stanowisk kół dołączyli przedstawiciele samorządów: sejmiku pomorskiego, starostwa powiatowego, ośrodka doradztwa rolniczego i gmin. Był czas na swobodne rozmowy i żarty przeplatane poważnymi społecznymi kwestiami. Potem były krótkie wystąpienia gratulacyjne, nagrody, kwiaty, słowa pożegnania i obietnica spotkania za rok. Klimat, autentyczność wystąpień prawdziwych wiejskich artystek, ich przekonanie o pełnoprawności ludowej i wiejskiej kultury były niewątpliwym zyskiem przedsięwzięcia.

W 2009 roku podczas Kongresu Kultury Polskiej w Krakowie nie dyskutowano o kulturotwórczej roli kół gospodyń wiejskich, co nie znaczy, że cele społeczne i założenia strategiczne wówczas wypracowane są poza zainteresowaniem wiejskich środowisk. Formuła powiatowego turnieju KGW realizuje na adekwatnym społecznie poziomie ważne cele pośrednie i założenia strategiczne rozwoju i upowszechniania kultury, czyli dba o uzyskanie poparcia społecznego, w tym również polityków, dla inwestycji kulturalnych realizowanych na szczeblach lokalnym i ogólnopolskim; wzrost uczestnictwa w szeroko rozumianych aktywnościach kulturalnych.

Kultura zaliczana jest często wyłącznie do sfery generującej koszty. Postrzegana jest jako luksus, nadprogramowy bonus. Tymczasem to ona sprzyja rozwojowi społeczno-gospodarczemu, uczestniczy w nim rozwijając kreatywność uczetników. Niemniej ważny jest wpływ pośredni, w postaci podtrzymywanych przez kulturę norm sprzyjających innowacyjności, kreatywności,

Koło Gospodyń Wiejskich w czasie procesji Bożego Ciała w Objeździe.

wspólnemu działaniu, zaufaniu i tworzeniu kapitału społecznego. Pokonkursowe refleksje rodzą pytania o formy, poziom i sposoby upowszechniania kultury na wsi. Odkrywamy jej złożoność i odmienność. Wynika to z historycznie uwarunkowanej wielokulturowości. Mieszają się tu tradycje i wzory wielu regionów, także fizycznie nieobecnych, jak choćby kultur kresowych. Publikacje książkowe ostatniego czasu: „Fotografie chłopów pomorskich" oraz główczycka monografia „Przesiedlona młodość" opisują złożoność kulturową wiejskich środowisk Pomorza. Podobny charakter mają publikacje sponsorowane przez Starostwo Powiatowe w Słupsku, w tym tomiki wierszy i antologie poezji wiejskich poetów. Wymienione działania mają wspólny ludowy, wiejski, chłopski rodowód i wszystkie powstają we wzajemnym zrozumieniu i współdziałaniu mieszkańców: zwykłych, często nieznanych twórców oraz władzy samorządowej wszystkich szczebli. W ten barwny plan wpisuje się również Powiatowy Turniej KGW.

O trzech węgłach domu, czyli co nieco o KGW w Objeździe

Państwo Anastazja i Jan Brzywcowie.

Pani Anastazja Brzywcowa zwykła kwitować rozmowy o kłopotach domowych sąsiadów przysłowiem: „Trzy węgły domu trzyma kobieta, czwarty mężczyzna." I choć to niemodne myślenie w czasie dyskusji o parytetach, zgadzam się z osiemdziesięcioczteroletnią sąsiadką mieszkającą od zawsze na wsi. Zmieniły się wprawdzie warunki życia, zmieniła się wieś, ale dom rozumiany jako rodzina rządzi się od zawsze tymi samymi regułami. Jeśli zostaną zburzone, wszystko się rozpada, bo to budowla krucha i wymagająca codziennych starań. Wiedzą o tym panie z kół gospodyń wiejskich, dlatego przyjmują do swego grona... panów. Dom, tradycje, życie wiejskiej społeczności stają się wówczas wspólną sprawą obu płci, bez dyskusji o parytetach. Dowodzi tego również historia. W Muzeum Tradycji Kółek Rolniczych w Piasecznie w gminie Gniew, tym samym Piasecznie, gdzie znajduje się Sanktuarium Królowej Pomorza, znajdziemy informację, że w 1862 roku Juliusz Bernard Kraziewicz (1829-1895) założył Włościańskie Towarzystwo Rolnicze, pierwowzór późniejszych kółek rolniczych. Cztery lata później z jego inicjatywy powstało Towarzystwo Gospodyń, którego przewodniczącą została Januaria Kalkstejnowa. Sens działania Towarzystwa założyciel widział w sprawach prostych, jak: gospodarność, popularyzacja ogrodnictwa, oszczędzanie oraz sprawach wyższych, jak: ocalenie lokalnego folkloru i zachowanie świadomości narodowej pod zaborem. „Kto kocha swoją ojczyznę, cnoty, obyczaje, niechaj strzeże tej ziemi, nich ją w skiby kraje", tak w sentencję ujął zadanie dla powstałych z jego inicjatywy Towarzystw. Od tego zaczyna się historia kobiecej samorządności na wsi. Wcześniej z potrzeby poczucia wspólnoty kobiety organizowały

się spontanicznie, a to do darcia pierza, a to do kiszenia kapusty, co barwnie opisał Władysław Reymont w „Chłopach". Maria Długoszkowa urodzona w Woli Okrzejskiej, rodzinnej wsi Henryka Sienkiewicza, pamięta z dzieciństwa wierszyk:

Międli matuś len w komorze,
aż paździora lecą.
Pójdę, stanę przy międlicy,
pomogę co nieco.
Będę patrzeć,
jak oczyszcza len żelazna szczotka.
Potem siądę,
gdy prząść będzie, obok kołowrotka.
Przyjdzie do nas prządek kilka
i nie będzie smutno.
Będą śpiewać,
prząść niteczki na to białe płótno.

W 1918 roku organizacje kobiet wiejskich w Polsce przybrały jedną nazwę: Koło Gospodyń Wiejskich. Dziś koła o ponadstuletniej tradycji w swych kronikach dokumentują działalność w okresie zaborów i między wojnami. Po wyzwoleniu życie społeczne na wielu wsiach organizowano na nowo. Zmiany niosła reforma rolna, migracje, na wsie Ziem Odzyskanych zaczęli zjeżdżać ludzie z różnych regionów kraju. Nie od razu, ale z czasem KGW podjęły się nowych zadań. Najważniejszym była ponowna integracja wiejskich społeczności pokiereszowanych wojną, nowymi warunkami społecznymi i ustrojowymi. W różnych regionach kraju inna ich rola wynikała zarówno z tradycji, jaki i z aktualnych potrzeb. Trzeba było uczyć zasad dobrego żywienia, prowadzenia gospodarstwa rolnego, podwyższyć higienę, rozpowszechnić tak zwany postęp, ale i ocalić ludową kulturę i tradycje będące wyrazem tożsamości społecznej i etnicznej.

KGW organizowały kursy pieczenia, pokazy żywieniowe połączone z wykładami, które zawsze cieszyły się zainteresowaniem pań. - To był czas wytchnienia od pracy w gospodarstwie i okazja do spotkania towarzyskiego - wspomina tamten czas uczestniczka kursu gotowania i pieczenia w Objeździe, Regina Turek, członkini Koła Gospodyń Wiejskich od początku, czyli 1964 roku.

Kronikarz życia wiejskiego z Objazdy Roman Zub pod datą 12 marca 1966 roku zanotował: „W sali klubowej odbył się gościnny wieczór członkiń Koła Gospodyń Wiejskich w Objeździe

Spotkanie kółka rolniczego i koła KGW z władzami gminy. W środku Tomasz Wszółkowski - wójt i przewodnicząca KGW Helena Romanów. Na zdjęciu obecni między innymi: sołtys Stanisław Gębczyński, Władysław Puszakowski, Władysława Kostka, Genowefa Gilewska, Roman Zub, Józef Leśko, Tadeusz Jaroszewski, Adam Turek, Józef Zamościk, Wilhelm Wieliczko.

z okazji zakończenia kursu gotowania i pieczenia. Wieczorek, w którym uczestniczyła instruktorka kół gospodyń, pani Rosińska w towarzystwie męża i przewodnicząca koła w Objeździe, pani Anna Waszkiewicz, przebiegał w miłej i serdecznej atmosferze". Był to czas zawiązywania trwałych znajomości. Pani Turkowa z sympatią wspomina nieżyjącą już instruktorkę, opowiada o wspieraniu jej modlitwą w ciężkiej chorobie. Koło powstało równocześnie z kółkiem rolniczym. Takie były zasady działania dawniej i dziś. W 1964 roku Anna Waszkiewicz, żona naczelnika poczty z Objazdy, matka trojga dzieci, znalazła dość czasu i chęci, by zająć się kobiecą organizacją. Przewodniczyła kołu do czasu przeprowadzki do miasta. W tym czasie organizowano kurs haftu kaszubskiego, popularyzując kulturę regionu w zróżnicowanej etnicznie powojennej społeczności. Później krótko przewodniczącą była Stanisława Janus, powszechnie znana, lubiana. Jednak jej temperament i dzielone z życiowym partnerem zainteresowania zabierały zbyt wiele czasu. Co jakiś czas do wsi przyjeżdżała instruktorka zaopatrzona w maszynę do szycia i prowadziła kurs krawiecki. Teraz maszyna do szycia jest w prawie każdym domu, od czasu pamiętnej biedy, gdy w sklepach były tylko kolejki. Zdolne panie z KGW po kursie szycia umiały i naprawić, i przenicować stare szmatki w modne kiecki dla siebie i dzieci. Byle się nie dać biedzie.

Około roku 1974 po dwuletniej żałobie po mężu przewodniczącą KGW w Objeździe została Helena Romanów. Cieszyła się bezspornym autorytetem, kierując Kołem do końca lat osiemdziesiątych. Oboje z mężem Eugeniuszem Romanowem przebyli długą wojenną drogę wraz z Armią Andersa. Pani Helena w Persji urodziła syna Władysława, pracowała też w polskim domu dziecka. Jej mąż Eugeniusz Romanów brał udział w walkach o Monte Cassino, ale zaraz po wojnie nie należało się tym chwalić. Kiedy osiedlili się w Objeździe, a właściwie w Bałamątku, pracował jako leśniczy, był nieoficjalnym pogotowiem ratunkowym, gdy nie było jeszcze ośrodka zdrowia, ekspertem do spraw różnych. Z tego względu reprezentował wieś w różnych gremiach: Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej i Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym, był radnym powiatowym i prezesem gromadzkiej organizacji ZBOWiD. Pani Helena Romanów wówczas „trzymała trzy węgły domu", zajmując się synami, skromnym gospodarstwem i domem. Po śmierci męża i odejściu synów „na swoje" działalnością w KGW wypełniała życie. Stanisława Węgierska miała wtedy dwadzieścia lat i była młodą mężatką na dużym gospodarstwie. Z sympatią i wdzięcznością wspomina panią Helenę, która serdecznie umiała zająć się młodymi gospodyniami. W Objeździe obok siebie funkcjonowały dwa środowiska: chłopskie i pegeerowskie. Zawsze w cichej rywalizacji i głęboko skrywanej niechęci. Do KGW należały w zasadzie gospodynie „na swoim", ale pani Helena umiała pogodzić oba środowiska. Kiedy dzieci z PGR miały zakładową choinkę, KGW organizowało zabawę dla dzieci chłopskich. Ale w kursach, szkoleniach i korzystaniu z wypożyczalni naczyń, wszyscy byli na równych prawach. Organizowano konkursy na najpiękniejszy ogród i na zagospodarowanie otoczenia. Było to bardzo ważne, kiedy Objazda została wsią gminną, chodziło przecież o prestiż. Wiedział o tym ówczesny naczelnik gminy Stanisław Maciejczyk, mieszkańcom wsi zależało, by wykorzystać szansę. Młodzież z ZMW ułożyła chodniki,

Spotkanie członkiń KGW z przewodniczącą panią Heleną Romanów. Zdjęcie z „Kroniki Objazdy" Romana Zuba.

Panie z KGW z Romanem Zubem. Od góry od lewej: pp. Barbara Kierzkowska, Roman Zub, Władysława Kostka, niżej Danuta (Cheda) Kowalewska i Helena Romanów oraz Irena Derkacz, instruktorka KGW.

a naczelnik, jak wspominają mieszkańcy, opierał się o nadwątlone czasem płoty, by skrócić ich żywot. Trzeba było stawiać nowe i dbać o obejście, bo to nie honor być bałaganiarzem w gminnej wsi. Kobiety sadziły egzotyczne krzewy, kwiaty i warzywa. Objazda należała do jej mieszkańców.

Kobiety wiejskie, choć przeciążone obowiązkami, były ciekawe nowego, a przynależność do KGW dawała też pewne profity. Można było zamówić i kupić kurczaki z wylęgarni! Było to

wygodniejsze niż nasadzanie kwok na dwudziestu ośmiu jajach. Pojawiły się „sztuczne kwoki" i gotowe pasze dla kurcząt i prosiąt. Prawdziwa rewolucja! W momencie zlikwidowania Służby Rolnej opiekę nad Kołami przejęły Ośrodki Doradztwa Rolniczego. W Objeździe częstym gościem była Helenka Kopeć z Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Strzelinie. Odwiedzała gospodynie na zebraniach i w ich domach, służąc zawsze radą. Wraz z przyjściem przewrotu w 1989 roku koła zaczęły umierać śmiercią naturalną. Do zamknięcia działalności przyczynił się dodatkowo fakt, że zlikwidowano pegeery, drobny handel dawał większy dochód niż ciężka praca na roli. Pojawiła się moda na „zachód", bycie w Kole stało się śmieszne, było kojarzone z absurdem czasów PRL.

Na szczęście powrót do tradycji kół jest znów na topie. Młode kobiety doceniają atrakcyjność wspólnego działania i jego konkretny wymiar dla środowiska, w którym żyją. Tak jest w Objeździe i w Rowach. Choć koła gospodyń wiejskich są strukturami nieformalnymi, wiele z nich w ostatnich latach rejestruje swoją działalność w formie stowarzyszeń, ze względu na dostęp prawny do zewnętrznych funduszy. Bardzo często działają dla siebie i dla całych społeczności wiejskich - organizują, by pozyskać fundusze, zabawy sylwestrowe, zajęcia dla dzieci, prowadzą zespoły, dokonują drobnych inwestycji w wioskach. Nie wszystkim patronuje Rada Krajowa Kół Gospodyń Wiejskich. Nie zawsze ich działalność powiązana jest z kółkiem rolniczym. Na takiej zasadzie działają Koła Gospodyń Wiejskich w Objeździe i Rowach, gdzie upadły rolnicze tradycje, ale pozostały wiejskie problemy. Być może przez koła gospodyń wiejskich prowadzi droga do ponownej integracji wiejskich środowisk i obywatelskiej edukacji bez względu na parytety. Przysłowie pani Anastazji nabiera nowego sensu mimo ludowej proweniencji

W 2006 roku KGW w Objeździe wznowiło działalność. Pracą Koła kierowała Regina Brzywcy. Obecnie przewodniczącą KGW w Objeździe jest Krystyna Broczek. Panie z KGW obok tradycyjnej działalności tworzą zespół śpiewaczy „Echo Objazdy", którego instruktorką jest Małgorzata Karamańska.

Teatr Trzeci SUTW w wiejskiej świetlicy w Objeździe

„Świat tumani wichrów wrzawa
Hula, kłębi się kurniawa [...]
Blaskiem złoci się świetlica
Miła będzie wieczornica”
(Leopold Staff)

Teatr Trzeci UTW ze Słupska w świetlicy w Objeździe z przedstawieniem „Mój nowy dom”. Wspólna fotografia z mieszkańcami.

Zapomnieliśmy, zapatrzeni w telewizory o sile żywego słowa, międzyludzkich kontaktów, o potrzebie zachowania zbiorowej pamięci jako najważniejszym spoiwie lokalnych społeczności. Oczywiście nie generalizuję, bo w każdym środowisku jest wielu niepokornych, nadwrażliwych, burzących stereotypy. Jednak kto by pomyślał, że można czerpać ciepło i radość z wiejskiej wieczornicy. Samo pojęcie jakby z innej epoki, innego środowiska kulturowego. Tak nam się wydawało, ale nie docenialiśmy tego, co w człowieku twórcze i nieprzeciętne. To co ogólnie nazywamy kulturą, a co wynika z potrzeby tworzenia i uczestnictwa pokonuje

bariery pokoleniowe, środowiskowe, intelektualne. W wiejskiej świetlicy w Objeździe zniknęły różnice wobec poczucia wspólnego doświadczenia historycznego w miejscu, gdzie jeszcze ciągle budujemy nasz nowy dom.

Pomysł wieczornicy zrodził się, gdy obejrzałam w sali SOK widowisko „Mój nowy dom" według projektu Jacka Górawskiego w opracowaniu prof. Daniela Kalinowskiego przygotowane przez Teatr Trzeci Uniwersytetu Trzeciego Wieku ze Słupska. Autorzy scenariusza spożytkowali wspomnienia pierwszych powojennych osadników, nadając im formę wypowiedzi scenicznej, barwnej i dynamicznej. Oglądamy zatem sceny z podróży w nieznane w przepełnionym pociągu, przyjęcie w Urzędzie PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny), w którym obok polskich milicjantów urzędowali radzieccy wojskowi. Scena odebrania lalki niemieckiej dziewczynce niesie zapowiedź konieczności nowego myślenia wyrażone przez dziecko, wbrew ojcu powtarzającemu jak zaklęcie „polski my naród...". Lalka wraca do właścicielki, bo tylko dzieci zdolne są do głębokiej empatii. Rzecz dzieje się w Stolp, gdzie organizuje się w trudzie, z wyczuciem czasów i z poczuciem humoru nowe życie. W Słupsku wielu przesiedleńców z Kresów, z innych terenów Polski znalazło swój nowy dom, o czym opowiada przedstawienie trwające około 30 minut.

Treść sztuki bliska jest mieszkańcom Objazdy i wielu miejscowości naszej okolicy. Wiem o tym, ponieważ od czasu przejścia na emeryturę zbieram stare dokumenty, piszę i publikuję w „Powiecie Słupskim" reportaże o pierwszych mieszkańcach podsłupskich

Spotkanie w świetlicy. Od lewej: Ola Zawada, Danka Kowalewska, znajomy Oli, w głębi prof. Daniel Klinowski, Maciej Zawada, Stanisława Węgierska.

wsi, robotnikach przymusowych, którzy tu zostali, o tworzącej się administracji. Również moje wiersze wpisują się w temat sztuki.

Występ gości połączyliśmy z własnymi prezentacjami. Wystąpiły zatem dzieci ze świetlicy, śpiewały panie Ania Zamościk i Małgosia Szybicka-Kargul oraz Ola Zawadówna. Wiersze czytały panie Dorota Spychał, Wiesia Kuczun i Maryla Teresińska. Również ja odważyłam się wystąpić przed miejscową wymagającą publicznością. Nastrój sprawił, że spektakl „Mój nowy dom" został przyjęty entuzjastycznie i poruszył widownię. Maria Cieślik opowiedziała o swojej długiej podróży spod Łomży do Objazdy w wagonach towarowych bez toalet. Pamięć tamtych dni przywoływały też stare fotografie rozłożone na stolikach wśród jesiennych liści. Nie było mikrofonów ani przemówień, była serdeczna atmosfera, wspomnienia i wzruszenia.

Spotkanie w świetlicy. Od lewej: Czesława Długoszek, Maryla Teresińska, Krystyna Nielepkiewicz, Ola Zawada, Krystyna Kostka, Teresa Pokorska.

Sekcja teatralna Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Słupsku liczy czternaście osób, którymi opiekuje się w charakterze inspicjenta pani Jadwiga Bekier, znana jako pani Jadzia. Kierownikiem zespołu jest Anna Paczkowska. Dzięki życzliwości obu pań i zespołu, któremu towarzyszył prof. Daniel Kalinowski mogliśmy w Objeździe obejrzeć „Mój nowy dom". Ponadto zespól teatralny ma w repertuarze przedstawienia „Moje dni", „Zielona Gęś", Wieczór wigilijny" i „Pogrzeb po polsku". Artyści - seniorzy występowali w Berlinie, Flensburgu, Frankfurcie n/Odrą, Słupsku, Kępicach, Jasieniu, Objeździe. Spektakl „Mój nowy dom" został zarejestrowany jako dokument przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

Poetyckie spotkanie w wiejskiej świetlicy w Objeździe

Poetka Anna Karwowska do Objazdy jechała z przygodami. To, że osobisty kierowca zgubił drogę, było nawet przyjemne, bo majowy dzień był ciepły i słoneczny, a postój w okolicy lasu dał możliwość sprawdzenia, jak „święta Zofija kłosy rozwija". Dla pani Anny, poetki z Dobieszewka, spotkanie z naturą jest prostsze niż z czytelnikami. Miała tremę, mimo że lubi ten dreszczyk, rodzaj niepewności czy trafi swoją szorstką poezją do słuchaczy, czy nie zawiedzie.

Anna Karwowska

Ma za sobą debiut w postaci tomu poezji „Kocie łby" z 2010 roku oraz „Nawet ptakom zabrano nuty" (2014). Oba tomiki odnotowała prasa regionalna, w tym „Dziennik Bałtycki. Rejsy" (2011-06-13) piórem Barbary Szczepuły. Debiut mieszkanki Dobieszewka, byłej dojarki w miejscowym pegeerze, zainteresował dziennikarkę z powodu wyrażanej śmiało i szczerze tęsknoty za dawnym życiem w ostoi peerelu, jakimi były w powszechnej świadomości pegeery. Tomik wierszy Anny Karwowskiej „Kocie łby" zauważyła również Barbara Pietkiewicz w artykule „Poetka, która opiewa PGR. Zgaszono mnie jednym pstryknięciem." (Polityka.pl/20.08.2011) Znana dziennikarka dziwiła się, że „Anna pisze w wierszach, dlaczego było super: stała praca, nie żadne na czarno, co miesiąc wypłata, wycieczki do miasta, dyplomy. (...). I bliskość wśród ludzi, której teraz nie ma, każdy żyje sam sobie."

A Anna Karwowska jest poetką. Jest poetką w sposobie widzenia i przeżywania losu i opisywania własnego świata. Jest poetką świadomą własnej roli, znaczenia poetyckiego słowa i odpowiedzialności za nie. W wierszu „W wielkiej sprawie" pisze:

„Te słowa są w wielkiej sprawie,
W sprawie popegeerowskich ludzi
Którzy obsiewali polne zagony
Ziarnem, wiarą, pełni nadziei."

I choć szczerze wyznała, że o pisaniu wierszy nigdy nie myślała, że spadło to na nią ze łzami żalu po wyjeździe dzieci za pracą za granicę, to teraz bez wierszy żyć nie może. Napisała ich więcej niż noblistka Wisława Szymborska. Właśnie składa, zbiera i wybiera wiersze do trzeciego tomiku „Serce nadgryzione nadzieją". I to spotkanie w Objeździe ma z tym związek. Pani Ania tak się odwdzięcza za przygotowanie wstępu i korekty. No tak, to też przygoda, nikt się takiego obrotu rzeczy nie spodziewał. Ani mieszkańcy Objazdy, ani poetka.

Sołtys wsi Objazda Regina Brzywcy kiedyś była głównym zootechnikiem. Pamięta dobrze, że pegeery były przystanią dla ludzie nieradzących sobie w życiu. Zapomniano o takiej ich roli, o zapobieganiu ubóstwu, niedostosowaniu społecznemu, wykluczeniu. Ważna była produkcja, ale nie mniej ważna była funkcja społeczna i socjalna. Zlikwidowano je bez pomysłu co w zamian. Pozostały puste budynki i pola. I ludzie.

Między innym dlatego pani Małgorzata Budnik - Żabicka, dyrektorka Centrum Kultury w gminie Ustka, propozycję spotkania z regionalną poetką przyjęła ze zrozumieniem. Przygotowała spotkanie, dla którego wybrała motyw: „Słowa w wielkiej sprawie". Były plakaty i zaproszenia, i wystawa wydawnictw sponsorowanych przez Starostwo.

Nie, nie było tłumów, ale sympatyków poezji było tylu, że stoliki i krzesełka trzeba było dostawiać. Wszyscy tu pamiętają tamte czasy, więc przyszli posłuchać, jak brzmią wiersze w ich sprawie.

W kameralnej atmosferze przy herbatce Anna Karwowska mocnym głosem czytała wybrane przez siebie wiersze ze wszystkich tomików. Przywoływała miniony świat, wyrażała tęsknotę za utraconą młodością i poczucie straty, i odczuwanej niesprawiedliwości.

Może pojawić się zarzut, że autorka mitologizuje przeszły czas, rzeczywistość wówczas przeżywana, wcale nie wydawała się rajem, że to tylko poczucie straty nadaje mu ów arkadyjski wymiar. Lecz zarzut pali na panewce, autorka bowiem świadomie stosuje zabieg pozwalający na wyraźne skontrastowanie dwu rzeczywistości, jakich osobiście doświadczyła. „Dawna wieś / to już baśniowy dźwięk, / zmieniono wystrój". Pochwała ciężkiej pracy w polu, w oborach i chlewniach w wierszach poetki z Dobieszewka jest

obroną wartości, w które wierzyli prości ludzie. Rozpad tamtego świata stał się upadkiem - dosłownym i metaforycznym - ogromnej rzeszy ludzi, o których godność upomina się Anna Karwowska.

Bohaterami jej wierszy są „nędzni, zgorzkniali", którzy nie mają „żadnych pytań / do polityków, do władzy". Nowa rzeczywistość dzieli ludzi na biednych i bogatych, na my i oni, wbrew nadziejom. Rozpadł się dawny, stabilny, choć niedoskonały świat, zerwały się więzi sąsiedzkie, społeczne, zdewaluowało się pojęcie ojczyzny, która dzieci wysyła za chlebem w obce kraje, nawet wiara w Boga nie wydaje się pewna.

Opisywany świat, przeniesiony w sferę literackiej fikcji, pozostaje jednak realnym doświadczeniem autorki, jej pokolenia pięćdziesiąt plus z małych wsi i miasteczek, ludzi wykluczonych, pozostawionych samym sobie na marginesie przemian ustrojowych. Nie tylko status społeczny i ekonomiczny, choć i ten problem podejmuje poetka, decyduje o poczuciu wykluczenia. W dotychczasowym systemie wartości praca była źródłem satysfakcji, społecznego uznania i wspólnotowego doświadczenia. Pozostała pustka, tym bardziej dojmująca, że ziemia - dotychczasowy archetyp domu, ojczyzny, dobrobytu - stała się towarem, przedmiotem spekulacji lub leży ugorem.

W dyskusji po spotkaniu z Anną Karwowską pani Anna Bieńkowska ze Szczecina zauważyła, że wiersze poetki z Dobieszewka są jak „Wolny najmita" Marii Konopnickiej:

„Wolny! - Wszak może iść albo spoczywać,
Albo kląć z zgrzytem tłumionej rozpaczy,
Może oszaleć i płakać, i śpiewać
Bóg mu przebaczy..."

No tak, ale kto z młodych wie cokolwiek o Konopnickiej, a „Wolny najmita" dawno wyrzucony z programu nauczania i świadomości społecznej.

- Nie wróci tamten czas i nie o tym w wierszach Anny Karwowskiej sprawa - zauważył Zbigniew Babiarz-Zych ze Starostwa Powiatowego w Słupsku. Anna Karwowska pisze wiersze, sprawdza magię słowa, buduje metafory. Nasze spotkanie jest w sprawie poezji i czytelnictwa. Nie będziemy zawiązywać związku obrony pegeerów. Jej wiersze dotyczą przeżywanej i widzianej przez nas rzeczywistości, ale wszyscy codziennie ją przebudowujemy. Nie ma powrotu. Natomiast rolą literatury jest zachowanie pamięci o naszym czasie, takim, jaki przeżywaliśmy i o tym są wiersze pani Anny.

Warto je czytać, warto czytać książki, bogatą literaturę regionalną. A jeżeli ktoś czuje potrzebę, warto pisać. Dla każdego jest miejsce w dwumiesięczniku „Powiat Słupski". Ponadto Starostwo przyznaje twórcom stypendia na realizację zamierzeń wydawniczych.

Słyszał te zapewnienia wicestarosta Rafał Konon, potwierdzał uśmiechem, a na zakończenie kwiatami dziękował poetce z Dobieszewka za poetyckie majowe popołudnie.

Niemal spontaniczne, nieplanowane wydarzenie dla wszystkich było przygodą. Pani Anna wróciła do domu, a następnego dnia od rana pracowała w ogródku. Jak to poetka.

Roman Suchodolski na traktorze z napisem PGR Zespół Gąbino.

Biblioteka we wsi (Objazda)

Jak cię widzą, tak cię piszą, powiada dawne przysłowie i gdyby kierować się tylko tym kryterium, biblioteka wiejska w Objeździe plasowałaby się w czołówce tego typu placówek w powiecie, a może i województwie. Ładny nowoczesny lokal położony w centrum wsi, estetyczne wyposażenie, bogaty jak na wiejskie warunki księgozbiór liczący ponad dwadzieścia tysięcy wolumenów, z którego korzysta ponad dwustu czytelników. Panie bibliotekarki uprzejme, polecają nowości, ułatwiają korzystanie z trzech stanowisk komputerowych, świadczą usługi kserowania i kopiowania - odpłatanie.

Budynek biblioteki w Objeździe z tablicą upamiętniającą pierwszego bibliotekarza i kronikarza Romana Zuba.

Księgozbiór podręczny z niewielkimi brakami czeka na chętnych. Są wolne stoliki i wygodne krzesełka. Daleko w kąciku księgozbiór regionalny, który mógłby być atutem biblioteki, ale wciąż czeka na właściwą ekspozycję, podobnie jak pamiątki po pierwszym bibliotekarzu, a obecnym patronie biblioteki Romanie Zubie. Na domowej stronie internetowej niestrudzenie wędruje biedronka, poszukując właściwego czasu, który zatrzymał się gdzieś w końcu 2011 roku.

Jak to właściwie jest z wiejskimi bibliotekami pod władzą samorządów? „Dwadzieścia lat temu byliśmy dwa razy biedniejsi, a stać nas było na biblioteki. Przez te dwadzieścia lat kraj bogacił się o kilka procent PKB rocznie. Teraz przy postępującym spadku czytelnictwa i groźbie funkcjonalnego analfabetyzmu okazuje się, że Polski nie stać ani na program walki z tymi zjawiskami, ani na utrzymanie bibliotek" - pisali kilka lat temu sygnatariusze listu

w obronie bibliotek, wystosowanego przez środowisko „Krytyki Politycznej". Była to odpowiedź na propozycje ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego, by umożliwić łączenie bibliotek z innymi placówkami kulturalnymi, i w ten sposób zlikwidować problem ich „nierentowności"- pisze Jan Mencwel w artykule „Biblioteka za miedzą". Autor tekstu przypomina, że wiejskie biblioteki publiczne stanowią dwie trzecie wszystkich funkcjonujących w kraju, mimo że wiele z nich zamknięto z powodu niedostatku w samorządowych budżetach.

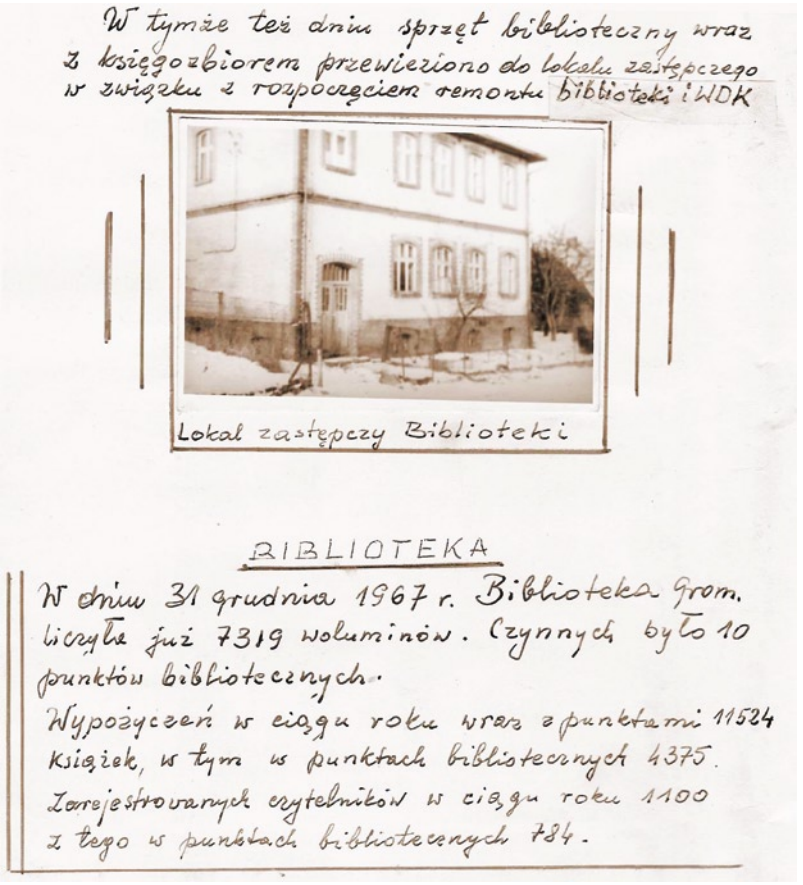
W tymże też dniu sprzęt biblioteczny wraz z księgozbiorem przewieziono do lokalu zastępczego w związku z rozpoczęciem remontu biblioteki i WDK

Lokal zastępczy Biblioteki

BIBLIOTEKA

W dniu 31 grudnia 1967 r. Biblioteka Gром. liczyła już 7319 woluminów. Czynnych było 10 punktów bibliotecznych.
Wypożyczeń w ciągu roku wraz z punktami 11524 książek, w tym w punktach bibliotecznych 4375.
Zarejestrowanych czytelników w ciągu roku 1100 z tego w punktach bibliotecznych 784.

Kartka z „Kroniki Objazdy" Romana Zuba.

Niestety, przyszedł czas na formalną likwidację autonomii biblioteki w Objeździe. „Zgodnie z §2 Uchwały Nr XXII.262.2012 Rady Gminy Ustka z dnia 26 października 2012 roku w sprawie zamiaru połączenia samorządowych instytucji kultury Gminnego Ośrodka Kultury Gminy Ustka z siedzibą w Zaleskich i Gminnej Biblioteki Publicznej w Objeździe z siedzibą w Zaleskich w jedną instytucję kultury o nazwie Centrum Kultury, Promocji i Sportu

Latem 1952 roku Urząd Gminy przeniesiono do budynku po właścicielu Tartaku należącego ~~do~~ obecnie do Lasów Państwowych. Bibliotekę Gminną przeniesiono i uruchomiono dopiero 1.X.1952 r. Ulokowano bibliotekę przy posesji Antoniego Idzikowskiego. Na kier. Biblioteki Gm. zatrudniono ob. R. Zuba. Biblioteka liczyła wtedy ok. 1500 książek.

Czytelnik przy stoliku.

Gminna Biblioteka Publiczna (na zewnątrz)

W dniu 1 Maja 1953 r.

Kościół filialny w Objeździe - 1953 r.

Kartka z „Kroniki Objazdy" Romana Zuba.

w Gminie Ustka informuję, że w celu efektywnego wykonywania zadań gminy w zaspokajaniu potrzeb wspólnoty w zakresie kultury, a także upraszczania struktur zarządzania Rada Gminy Ustka wyraziła zamiar połączenia ww. instytucji z dniem 1 czerwca 2013 roku" - brzmi oficjalny komunikat na stronie internetowej Gminy Ustka. Tymczasem działacze kultury a także kulturoznawcy postulują odwrotny kierunek działania. To biblioteki powinny stanowić centra regionalnej kultury. Wprawdzie uchwała nie przewiduje fizycznej likwidacji bibliotecznej placówki, niemniej jej autonomia, autorytet i prestiż ustąpią na rzecz innych, mniej elitarnych form wiejskiej rozrywki z przewagą autopromocji.

Tym bardziej wiele zależy od ludzi, ich operatywności, kompetencji i pasji. Nie jest to odkrycie czasów najnowszych, tak było zawsze. Jednak nowe czasy dają możliwości poszukiwania funduszy na działalność biblioteczno - kulturalną również poza finansami samorządu. Trwa właśnie nabór aplikacji (listopad 2012 i marzec 2013) do Programów Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na rok 2013, w których do bibliotek publicznych skierowano między innymi programy: „Promocja literatury i czytelnictwa", „Promocja czytelnictwa" czy „Edukacja kulturalna". Regulaminy określają szczegółowe warunki dostępu do ministerialnych funduszy, co wydaje się słuszne, by pieniądze były dobrze wykorzystane.

Biblioteka na wsi zawsze pełniła rolę szczególną, nie zawężając działalności do prostego wypożyczania książek. W „Kronice" Romana Zuba, nieocenionym dokumencie minionego czasu odnajduję ważne informacje. Cierpliwy i skrupulatny kronikarz wiejskiego życia opisywał i dokumentował fotografią ważne zdarzenia z życia wsi. Historia biblioteki w Objeździe zaczyna się następującym zapisem: „Bibliotekę Gminną uruchomiono dopiero 1-X-1952 r. (wcześniej był tu tylko punkt biblioteczny - cdl). Ulokowano bibliotekę przy posesji Antoniego Idzikowskiego. Na kier.(ownika) biblioteki zatrudniono ob. R. Zuba." Dalej dopisek innym kolorem atramentu: „Biblioteka liczyła wtedy ok. 1500 książek". Na dalszych kartkach opisy i dokumentacja działań bibliotekarza i czytelników zaczynając od klubów dyskusyjnych, gazetek, wystaw, po wycieczki rowerowe i zespół mandolinistów. Pamiętam tamten czas osobiście. Do biblioteki chodziliśmy, żeby się spotkać w grupie koleżeńskiej, na próby zespołu, żeby odrobić trudne zadanie. Pan Zub był instytucją, ale niczego nie narzucał. Życzliwie przyglądał się naszym potrzebom, proponował, zachęcał. Wcale nie były to łatwe czasy - prócz siermiężnej rzeczywistości, na śmiałków czyhały pułapki światopoglądowe i polityczne.

Zmieniły się czasy i realia. Małe wiejskie środowiska otrzymały nowe możliwości, z których jednak z różnych przyczyn nie mogą w pełni korzystać. Demokracja daje szansę rozwoju społeczeństwa obywatelskiego, jednak niesie też zagrożenie rozbicia lokalnych społeczności często poróżnionych, uwikłanych w dawne spory, wyizolowanych z powodu niedostatku, niskiej samooceny. Inicjatywa przezwyciężenia podziałów może należeć do biblioteki jako organizatora działań wspólnotowych.

Biblioteka wiejska ma do spełnienia wobec czytelników wiele zadań, jak choćby definiowanie tożsamości, prezentacja kulturalnego dorobku środowiska, ukazywanie wartości i tradycji lokalnych, budowanie więzi międzyludzkich, wreszcie popularyzacja samokształcenia, które w dobie dostępu do internetu nie jest trudne. Regionalia służą temu znakomicie.

Świadomość takiego zadania miał pierwszy bibliotekarz w Objeździe. Nowi mieszkańcy przybywali z różnych regionów, różne były ich doświadczenia i potrzeby. Pierwszym zadaniem była integracja, wzajemne poznanie, tworzenie wspólnoty. W czasie spotkań w bibliotece młodzi uczestniczyli w zajęciach chóru, wystawiali sztuki teatralne dla miejscowych i mieszkańców okolicznych wsi. Dlatego biblioteka w Objeździe szczyci się niebagatelną tradycją. Dysponuje pamiątkami i kroniką tamtego czasu spisaną przez bibliotekarza pasjonata.

Nowa perspektywa ostatniego dwudziestolecia otworzyła możliwość włączenia w obszar regionalnej świadomości dorobku wcześniejszych mieszkańców tych ziem. Coraz więcej mamy publikacji, dzięki którym poznajemy historię przemilczaną i niedocenianą z różnych powodów. Jej znajomość pozwala rozumieć procesy historyczne i społeczne. Na uwagę zasługują prace Warcisława Machury („Dawne miejsca pamięci o żołnierzach na terenie powiatu słupskiego"), publikacje Marcina Barnowskiego i albumowe wydawnictwa Jana Maziejuka sponsorowane przez Starostwo Powiatowe w Słupsku („Pałace i dwory ziemi słupskiej") i inne. Wiele ciekawych regionalnych publikacji przynosi dwumiesięcznik starostwa „Powiat Słupski".

Wiejskie księgozbiory dzięki nieformalnym więziom, indywidualnemu rozpoznaniu potrzeb i talentów twórczych czytelników mają możliwość pełnić rolę centrum regionalnej informacji kulturalnej. Są biblioteki, gdzie gromadzi się pamiątki wiejskiej kultury materialnej, tworzy bazy źródłowe na temat miejscowych zwyczajów, tradycji i historii. Od operatywności bibliotekarza zależy promocja rozwoju sztuki ludowej, prezentacji dorobku lokalnych

twórców. Eksponowana w wiejskiej bibliotece w Objeździe sylwetka jej patrona jest przecież doskonałym drogowskazem działań również we współczesnych okolicznościach kultury.

Bibliotekarka z Objazdy zauważa nową tendencję. Coraz mniej uczniów klas gimnazjalnych korzysta z księgozbioru. Pewnie jest racjonalne wytłumaczenie tego zjawiska, najprościej byłoby podjąć współpracę ze szkołą i wspólnie spróbować postawić diagnozę.

Małe ojczyzny wymuszają niekiedy na bibliotekach konieczność współpracy, poszerzania oferty. Rok temu Biblioteka Publiczna w Objeździe została połączona osobą dyrektora z Gminnym Ośrodkiem Kultury w Zaleskich. Szansa pozostała bez odzewu. Podobno nie ma pieniędzy na dodatkowe inicjatywy - to proste wytłumaczenie powtarzane jest jak mantra. Mimo to na początku nowej kadencji pani dyrektor została zaproszona na wieczór teatralno - poetycki z udziałem aktorów Teatru Uniwersytetu Trzeciego Wieku ze Słupska. Uczestnicy wieczornicy pytali o dalsze propozycje. Niepotrzebne były wielkie fundusze, wystarczyła dobra wola, by wspólnie spędzić czas. Potrzeba nam takich inicjatyw łączących ludzi pamięcią minionego czasu, wspólnym przeżyciem, wzajemnym odkrywaniem. Poza tym lokalne społeczności dostały możliwość w postaci funduszu sołeckiego.

Czy bibliotekarze wnioskują o celowe finansowanie czytelniczych projektów? Kiedy pytam w miejscowej bibliotece o fundusze zewnętrzne, widzę zaskoczenie. Możliwości, przynajmniej teoretycznie, są jednak duże. Wszystko zależy od ludzi, miejscowej społeczności. „Fundusz sołecki idealnie wpisuje się w profil biblioteki wiejskiej jako centrum rozwoju", taką informację znajduję na stronie internetowej www.funduszesoleckie.pl. Tak, wszystko zależy od ludzi. Rola i autorytet wiejskich bibliotek również.

Bibliotekarki z Objazdy: Ala Mieliwodzka i Beata Bednarczyk przy regale z regionaliami.

Biblioteka w Objeździe im. Romana Zuba

Wiejska biblioteka nosi jego imię, a we wsi nie ma osoby, która nie wiedziałaby, kim był. Przez wszystkie powojenne lata był bibliotekarzem, organistą, akordeonistą na wiejskich weselach, zabawach i młodzieżowych potańcówkach, założycielem i kierownikiem dziecięcych zespołów mandolinistów, wiejskim fotografem, pszczelarzem skrupulatnie notującym zajęcia w pasiece. Przez całe życie pisał pamiętnik, a jako bibliotekarz prowadził wiejską kronikę. Dziś to nieoceniony dokument wiejskiego życia, które splatało się z wielką historią i polityką.

Kogoś razić mogą fotografie dekoracji z okazji świąt państwowych, wycinki prasowe, relacje i akcje. Rówieśników, którzy zaczynali w Objeździe i Dębinie nowe życie, umiał porwać zapałem. Wystawiali sztuki teatralne, przedstawienia kabaretowe, występy muzyczne. Jak on to robił, dziś jest tajemnicą. Roman Zub z Objazdy nigdy nie pełnił żadnej funkcji politycznej. Rejestrował zdarzenia swego czasu - bez retuszu oddawał klimat tamtych lat.

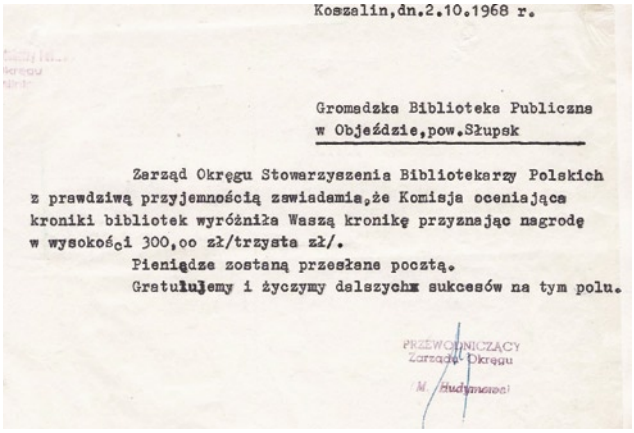

Koszalin,dn.2.10.1968 r.

Gromadzka Biblioteka Publiczna
w Objeździe,pow.Słupsk

Zarząd Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich z prawdziwą przyjemnością zawiadamia,że Komisja oceniająca kroniki bibliotek wyróżniła Waszą kronikę przyznając nagrodę w wysokości 300,oo zł/trzysta zł/.

Pieniądze zostaną przesłane pocztą.

Gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów na tym polu.

PRZEWODNICZĄCY
Zarządu Okręgu

Kartka z „Kroniki Objazdy" Romana Zuba.

Martwił się, gdy zabrakło kalikanta do ręcznej dźwigni starych organów, bo jak miał odpowiadać celebransowi w czasie mszy? Cieszył się, gdy dziecięcy zespół mandolinistów, w którym dzieci z Objazdy zdobywały podstawową wiedzę muzyczną, zdobywał laury na powiatowych przeglądach zespołów dziecięcych. Był dumny, gdy amatorskie przedstawienia teatralne, które reżyserował, publiczność nagradzała brawami. Właściwie to był jedyny profit, innych zysków nie było.

Nie używaliśmy wówczas tego pojęcia, ale wiem teraz na pewno, że Roman Zub był animatorem życia kulturalnego w Objeździe. Dziś takich ludzi już nie ma...?

O tym, że historia zostawia czytelne ślady

Marię Szypowską znałam przede wszystkim jako autorkę cenionej do dziś, wydanej po raz pierwszy w roku 1963, biografii pod tytułem „Konopnicka jakiej nie znamy". Mam w domowych zbiorach egzemplarz trzeciego wydania z roku 1969 z dwiema notami autorki, tą do wydania pierwszego, w której cytowała Konopnicką: „Znana? Kto znał mnie? Chcę widzieć człowieka, co by mi w oczy powtórzył to słowo tak, by mu kłamstwem

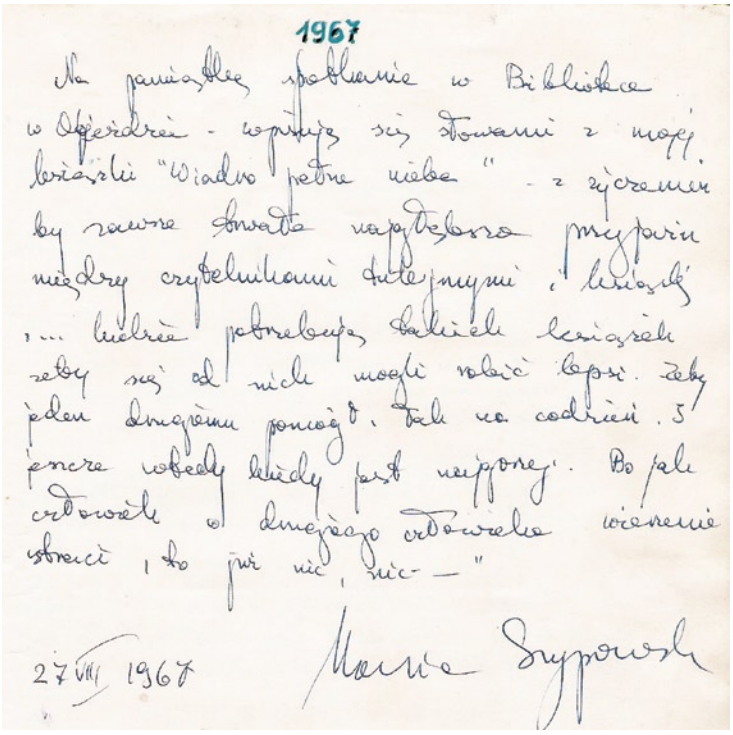
1967

Na pamiątkę spotkanie w Bibliotece w Objeździe - wpisuję się słowami z mojej książki "Wiadro pełne nieba" - z życzeniem by zawsze trwała najgłębsza przyjaźń między czytelnikami tutejszymi i książką ... ludzie potrzebują takich książek żeby się od nich mogli robić lepsi. Żeby jeden drugiemu pomógł. Tak na codzień. I jeszcze wtedy kiedy jest najgorzej. Bo jak człowiek w drugiego człowieka wierzenie straci, to już nic, nic —"

27 VIII 1967

Maria Szypowska

Kartka z autografem Marii Szypowskiej z „Kroniki Objazdy".

nie drgnęła powieka..." Nie jako ozdobnik literacki przytoczyłam te zdania Konopnickiej na pierwszej stronie książki. Chciałam, aby towarzyszyły one czytelnikowi, tak jak mnie brzmiały nieustanną przestrogą..."

Notę do drugiego wydania rozpoczęła cytatem z listu Elizy Orzeszkowej do Marii Konopnickiej, podzielając respekt obydwu przed czytelnikiem i ich uczucia: „trwogę i nadzieję tych, którzy

stają przed sądem tego tysiącgłowego sędziego, który się publicznością nazywa."

Wydań książki było kilkanaście. Ostatnie w 2014 roku. Ich liczba potwierdza czytelniczą wartość książki, ale współcześni domagają się wątków sensacyjnych, współczesnego języka i nowej, niemal dziennikarskiej frazy. Zapominają, że Szypowska podjęła temat ponad pół wieku temu, czyniąc wyłom w spiżowym wizerunku autorki „Roty", poetki ludu. Dyskusja trwa, dla jednych twórczość Konopnickiej jest przykładem grafomanii, innych interesuje tylko jej związek z Marią Dulębianką. Książka Marii Szypowskiej, mimo że dopracowana merytorycznie, może uchodzić za mało efektowną i zbyt taktowną w sprawach osobistych.

Natomiast moje zainteresowanie twórczością Marii Szypowskiej, którą znałam właściwie z „Konopnickiej" ma prawdziwie prowincjonalną genezę. W II tomie „Kroniki Objazdy" Romana Zuba znalazłam wpis Marii Szypowskiej datowany na 27 sierpnia 1967 roku. „Na pamiątkę spotkania w Bibliotece w Objeździe - wpisuję się słowami z mojej książki „Wiadro pełne nieba" - z życzeniami by zawsze trwała najgłębszą przyjaźń między czytelnikami tutejszymi i książką... „ludzie potrzebują takich książek, żeby się od nich mogli robić lepsi, żeby jeden drugiemu pomógł. Tak na co dzień. I jeszcze wtedy, kiedy jest najgorzej. Bo jak człowiek w drugiego człowieka wierzenie stracił, to już nic, nic..." 27 VIII 1967 Maria Szypowska."

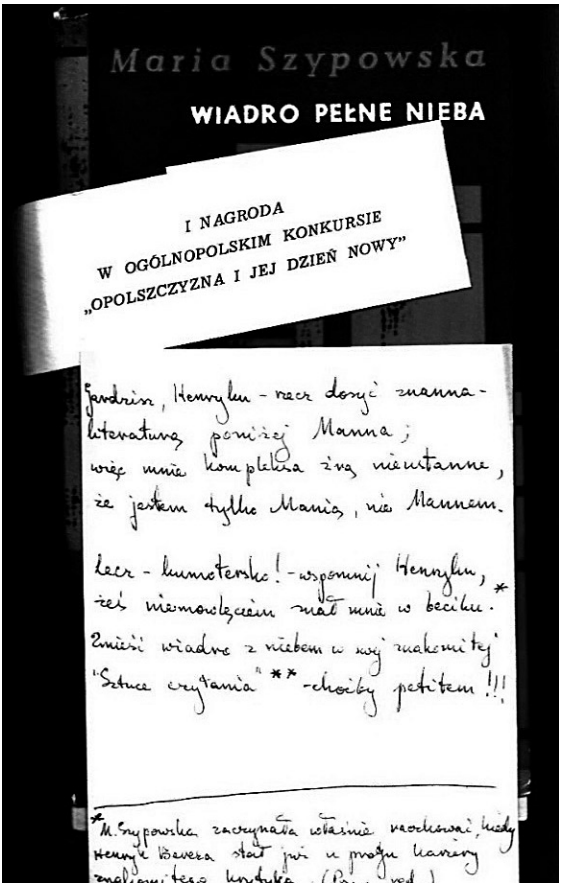

Zakupiona w antykwariacie książka kryła niespodziankę: rękopis wierszowanego listu autorki do Henryka Berezy.

Nie znałam książki. Znalazłam ją w antykwariacie na Wilczej w Warszawie. Zachętą do kupna była informacja, że egzemplarz jest opatrzony dedykacją autorki dla Henryka Berezy i przystępna cena. „Wiadro pełne nieba" dostałam po kilku dniach z dodatkową niespodzianką.

Wewnątrz był liścik autorki do redaktora „Twórczości", Henryka Berezy, wybitnego krytyka literackiego, który w miesięczniku pracował ponad pięćdziesiąt lat, do 2005 roku. W latach 1977-2005 prowadził autorską rubrykę „Czytane w maszynopisie".

Nie wiem, czy Henryk Bereza odpowiedział Szypowskiej, która wierszem pisała:

„Gardzisz, Henryku - rzecz dosyć znana - literaturą poniżej Manna;

Więc mnie kompleksa żrą nieustanne
Że jestem tylko Manią, nie Mannem.
Lecz - kumotersko! - wspomnij Henryku
żeś niemowlęciem znał mnie w beciku
Zamieść wiadro z niebem w swej znakomitej
„Sztuce czytania" - Choćby petitem!!!

M. Szypowska zaczynała właśnie raczkować, kiedy Henryk Bereza stał już u progu kariery znakomitego krytyka. „Sztuka czytania" Henryka Berezy została wydana w 1966 roku, podobnie jak „Wiadro pełne nieba". Niestety, powieść Szypowskiej nie zainteresowała Berezy. Jej nazwiska nie ma wśród trzydziestu prozaików, których utwory krytyk analizuje. Natomiast na zakładce obwoluty znajduje się fotografia Henryka Berezy autorstwa Andrzeja Szypowskiego.

Wizyta w wiejskiej bibliotece w Objeździe promująca „Wiadro pełne nieba", wnoszę z kolejnych penetracji Marii Szypowskiej w Słupskiem, zaowocowała albumem „Słupsk" z jej tekstem i fotografiami Andrzeja Szypowskiego. Album Szypowskich „Słupsk", Wydawnictwo: Sport i Turystyka, 1971, format książki: 245 x 200 mm, ilość stron: 95, ISBN: BRAK, okładka: twarda ukazał się jako dziewiąty w serii, po takich jak: „Brzeg", „Gniezno", „Góra św. Anny", „Jelenia Góra", „Legnica", „Nysa", „Opole" i „Paczków" i nie zamykał serii. Później ukazały się „Bystrzyca Kłodzka", „Wawel", „Woliński Park Narodowy", „Gdańsk", „Zamek Królewski w Warszawie". Imponujący dorobek wymagał mecenatu. Na odwrocie karty tytułowej znajduję wyjaśnienie: „Książka zalecona do bibliotek szkolnych. Pismo Min. Oświaty i Szkolnictwa Wyższego nr PR4-5521 SiT-6/69 z 23 grudnia 1969 roku. Z tego zapewne powodu album „Słupsk" dołączył do wcześniejszego albumu „Brzeg" w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Brzegu, następnie został wycofany z inwentarza z przeznaczeniem do sprzedaży, co dokumentują odpowiednie pieczęcie i sygnatury.

Tekst Marii Szypowskiej opowiada historię Słupska, od założenia i formowania się miasta: „aby osada się powiększyła i przybrała postać miasta", herbem miasta stał się gryf nad trzema falami rzecznymi. Warcisław IV zatwierdził akt lokacyjny i rozszerzył nowymi przywilejami". Autorka rozbudowała wątek Kaźka (syna córki Kazimierza Wielkiego, Elżbiety i Bogusława V), zatem wnuka, którego Kazimierz Wielki adoptował w 1368 roku z myślą o nim jako następcy na tronie. „W owym okresie Polska odzyskała zabrane przez Krzyżaków i Marchię tereny stanowiące bezpośrednią granicę z księstwem słupskim, co mogło ułatwić przeprowadzenie unii personalnej polsko-pomorskiej. Siostrę Kaźka Słupskiego, Elżbietę, również wychowywaną na krakowskim dworze, wydał Kazimierz Wielki za Karola IV, króla czeskiego i cesarza niemieckiego. Właśnie w czasie tych zaślubin słupskiej księżniczki w 1363 r. odbyło się w Krakowie huczne wesele z udziałem pięciu królów, a potem wiele uczt, wśród nich jedna znana dobrze z literatury i malarstwa jako „uczta u Wierzynka".

Plany Kazimierza Wielkiego pokrzyżowała przedwczesna śmierć króla, a adoptowany syn Kaźko okazał się rozrzutny i bez charakteru, co doprowadziło do unieważnienia testamentu Kazimierza Wielkiego w części Kaźka jako jego następcy. Maria Szypowska posługuje się baśniową narracją pisząc tę część historii Słupska, zapewne po to, by trafić do młodego czytelnika. Nie da się natomiast racjonalnie wytłumaczyć sposobu przedstawiania historii najnowszej. Autorka odnotowuje w kilku zdaniach organizowanie się powojennego miasta. Zniszczenia wojenne, przeludnienie „wygłodniałymi i wynędzniałymi dziesiątkami tysięcy uchodźców z Prus Wschodnich, skierowanymi tu wśród najcięższych mrozów" i napływ potężnej fali osadników: „zwłaszcza wielu przybyło z Warszawy i jej okolic". I ani słowa o przyczynie i pamięci, którą właśnie tu, do Słupska, warszawscy wygnańcy przywieźli.

Dlatego warto przypomnieć ten fragment historii miasta opowiedzianej przez Jana Maziejuka w „Krekodaju słupskim": „Pomnik Powstańców Warszawskich odsłonięto w Słupsku 15 września 1945 r. z inicjatywy ponad tysiąca warszawiaków zamieszkałych w mieście. Bezpośrednim impulsem stało się rozstrzelanie przez Niemców w dniu 7 marca 1945 roku dwudziestu dwóch Polaków, głównie byłych powstańców i dwóch Rosjan. Wtedy zawiązała się szesnastoosobowa grupa inicjatywna z Edwardem Ładą - Cybulskim jako przewodniczącym budowy. Pomnik wrastał w historię i tradycję miasta.

- Nie, nie był hołubiony przez władze, ale mieszkańcy o nim pamiętali. Spontanicznie każdego roku w rocznicę Powstania

o godzinie 17. spotykali się na skwerze przy pomniku. Tak było i teraz, 1 sierpnia 1983 roku.

- Oczywiście że tam byłem! Z powodów osobistych i zawodowych. Mój teść, powstaniec, zginął w Dachau, szwagierka była sanitariuszką na Bielanach. Byłem też z powodów zawodowych. Nie wyobrażałem sobie, by jakieś zdarzenie z życia miasta umknęło mojemu obiektywowi. Musiałem tam być. Spontaniczna, niemal rodzinna manifestacja dobiegała końca. Złożono kwiaty, ludzie się rozchodzili. Z zawodowej zasady wychodzę ostatni, dlatego byłem jeszcze na skwerze. Wtedy od strony ulicy Szarych Szeregów w kierunku pomnika kierowało się uformowane czoło pochodu.

- Stefan Korejwo i Janusz Łaździn nieśli wieniec. Za nimi Henryk Grządzielski z synkiem i kimś jeszcze nieśli transparent z napisem: „Famarol", wykonanym liternictwem takim jak nielegalna „Solidarność". Dalej młodzież, ludzie z dziećmi na ręku, starsi. Kiedy złożyli wieniec, Henryk Grządzielski z synkiem i Stefan Korejwo stanęli z transparentem przy pomniku. Zabrzmiały słowa hymnu, wszyscy unieśli prawą rękę z dłonią ułożoną w znak zwycięstwa. Malec także. Było coś niesamowicie podniosłego w postawie pięciolatka i, co tu mówić, wśród wszystkich uczestników zdarzenia. Robiłem zdjęcia bez przeszkód. Natychmiast w redakcyjnym laboratorium wywołałem film i zrobiłem odbitki. Negatyw ukryłem w szafce redaktora (Tadeusza) Martychewicza. Serwis przekazałem naczelnemu, informując, że nic więcej nie mam, a negatyw zniszczyłem.

- Chłopie, zachowaj to w tajemnicy - poradził mi Wiesław. Nie przypuszczaliśmy, by zdjęcia mogły pójść w naszym tygodniku. Jak to się stało, że znów zaproszono mnie do KMMO i wypytano o negatyw? Oświadczyłem stanowczo: - negatyw zniszczyłem, zawsze tak robię.

- Nie wiem, czy uwierzyli.

Czytam na stronie 223. publikacji z 2011 roku Igora Hałagidy „NSZZ „Solidarność" Regionu Słupskiego (1980-1990) tom 2: dokumenty Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Służby Bezpieczeństwa": „O godz. 17.00 w kościele Mariackim odprawiona została msza zamówiona przez kilku pracowników Fabryki Maszyn Rolniczych „Agromet-Famarol" w Słupsku w intencji powstańców Warszawy. Po mszy około 60 osób zebrało się przed kościołem, pomaszerowało na pl. Powstańców pod pomnik Powstańców Warszawy. Ww. grupa w czasie przemarszu rozwinęła transparent z napisem: „Famarol", a pod pomnikiem złożyła dwa wieńce, na których stwierdzono dwie szarfy. Na białej szarfie widniał czerwony

napis: „Solidarność Słupska", a na biało-czerwonej czarny napis: „Solidarność Region Słupski". Szarfy te usunięto i zabezpieczono. Wśród obecnych rozpoznano M[iroslawa] Pająka (...), Stefana Korejwę (...), Henryka Grządzielskiego (...)." Notatka datowana: 1984 sierpień 3.

W 1987 kwiaty pod pomnikiem złożyli Jolanta Joachimiak, Janusz Łaździn, fotografował Edward Müller. Wszyscy zostali aresztowani. Müllerowi zarekwirowano aparat fotograficzny. Pisze o tym Anna Bogucka Skowrońska w „Raporcie o stanie bezprawia". Upłynęły lata. Historycy IPN mozolnie odsłaniają prawdę o wydarzeniach i ludziach. Wiele dokumentów zniszczono, ale te, które ocalały, dają obraz i skalę infiltracji solidarnościowych struktur."

A jak było, gdy album o Słupsku tworzyli Szypowscy? To przemilczenie sprawy pomnika Powstańców Warszawy w Słupsku w tekście wprowadzającym uzupełnia fotografia pomnika zamieszczona na stronie 65. z podpisem: „Już 15 września 1946 roku nastąpiło odsłonięcie - pierwszego w Polsce - pomnika poświęconego Bohaterom Warszawy ufundowanego przez społeczeństwo Słupska, a wykonanego przez J. Małetę i J. Kołodziejczyka."

Wyjaśnienie różnicy dat znajduje się między innymi na stronie internetowej poświęconej ks. Janowi Ziei: „We wrześniu 1945 roku ekshumowano w Lasku Południowym zwłoki zamordowanych przez Niemców w dniu 7 marca 1945 roku polskich robotników przymusowych. W dniu 15 września odbył się uroczysty pogrzeb ofiar tej zbrodni. Pochowano ich na placu Powstańców Warszawskich. Kondukt pogrzebowy prowadził i przemawiał nad trumnami poległych ks. Jan Zieja. On też był inicjatorem nadania temu miejscu nazwy placu Powstańców Warszawskich (...) W miejscu pochówku postawiono prowizoryczny pomnik z desek i dykty, poświęcony powstańcom warszawskim."

Pomnik Powstańców Warszawskich w tym roku (2015) został odrestaurowany i był miejscem tegorocznych uroczystości 11 Listopada zorganizowanych przez Stowarzyszenie Rozwoju Inspiracje w Słupsku. Historia odzyskała mowę.

Niezwykłe są historie starych, nikomu niepotrzebnych książek. Podobne losom ludzi, którzy dożywają swych dni opuszczeni i zapomniani, naznaczeni pieczęcią minionego czasu. Stare książki nawet z białymi plamami mają wartość dokumentu, bo nauczyliśmy się odczytywać to, o czym pisać nie było wolno.

Czerwcowe święto słupskiej kultury

W podsłupskiej Kobylnicy z ruchliwą ulicą Główną mieszkańcy powiatu słupskiego ze starostą Sławomirem Ziemianowiczem oraz z wójtami swych gmin w zgodzie, życzliwości i z radością fetowali VIII Powiatowe Obchody Dni Działacza Kultury. Użyłabym w tym miejscu innego rzeczownika niż działacz, który choć poprawny słowotwórczo, politycznie trąci myszką. Byli wśród nas znani, powszechnie cenieni i szanowani ks. Jan Giriatowicz ze Słupska i ks. kanonik Jerzy Wyrzykowski z Duninowa. Były ludowo-gminne zespoły muzyczne, nieprofesjonalni poeci, malarze i młode wokalistki. Wszyscy „podskórnie" wrażliwi, niezwykli, widzący świat oczyma i duszą.

Najpierw spotkanie przy tablicy poświęconej Kazimierzowi Herdzie. Nad słowami o Nim - zwykłymi, ciepłymi mimo wrzawy ulicy, pisku opon, a może właśnie przez ten ekstrawagancki akompaniament bardziej znaczącymi - warto się pochylić. Pędzimy do kresu, gdzie tylko cisza i pamięć ocalająca. A nam się czasem wydaje, ze mamy już wszystko na wieczność. Mową wiązaną powiedziała o tym Henryka Jurałowicz-Kurzydło, również wierszem piękną chwilę uczciła Emilia Zimnicka.

Przed siedemnastą spotkanie w gościnnej miejscowej szkole. Gospodarze zadbali o zziębniętych mimo czerwca gości. Czekały na nas gorące napoje i gorące barwy obrazów na szkle malowanych Czesława Guita. Autor wśród nich zdawał się być jak cherubin z głową w chmurach... siwych włosów. Nieśmiałym wzrokiem pytał o wrażenia. Wiejskie motywy - niektóre banalne, ale wśród nich perełki: obraz kuźni ze schyloną, kościstą sylwetką kowala na tle infernalnych barw i drugi przedstawiający wiejskie chaty w białoszarej tonacji zbierają pochwały. Jest ich sporo, obrazów i obrazków. W „Liście otwartym" malarza odnajduję pokrewną mi troskę o powszechne zubożenie języka, o wciskające się zewsząd jakieś uogólniające neologizmy znaczeniowe.

Ogólny gwar, rozmowy, okazja do wymiany uprzejmości, uwag i powitań. Mam przyjemność zamienić kilka zdań z panem Klemensem Rudowskim, którego mądre, choć gorzkie w wymowie eseje znam z „Powiatu Słupskiego"; pana Grzegorza Chwieduka z Kępic proszę o przekazanie ukłonów Zosi Derlatce, wspólnej znajomej.

Wreszcie punkt kulminacyjny; wręczenie nagród. Zbigniew Babiarz-Zych z właściwą sobie naturalnością i szczerością rozładowuje napięcie: koperty odebrać będzie można na zakończenie uroczystości. Ten zabieg wynika z troski o frekwencję. Zmienia się atmosfera, czujemy się zwyczajnie, wręcz familiarnie. Nagrodzony „Białym Bocianem" Grzegorz Chwieduk mówi o swojej poezji, czyta wiersz o babci, Klemens Rudowski, kolejny laureat „Białego Bociana" obdarowuje publiczność muzycznym prezentem. Brawurowy popis gry na akordeonie odsłania kolejny talent laureata. Tak wielkimi darami Bóg obdarza wybranych, lecz czy daje silę od ich udźwignięcia? Ten to ma, zaprawdę, szczęście! Ostatniego „Białego Bociana" otrzymuje ks. kanonik Jerzy Wyrzykowski z Duninowa, co przyjmujemy z aplauzem wyrażonym gromkimi brawami. O księdzu z Duninowa wiedzą wszyscy, stał się niemal legendą, z podziwem słuchamy o jego inicjatywach na terenie duninowskiej parafii. A ja nie mogę odżałować, że w mojej rodzinnej Objeździe organy milczą od lat. Drogi księże, najniższy ukłon i wdzięczność!

Kolejne nagrody dla poetów, malarzy, zespołów, animatorów kultury - zapracowane, dające impuls do dalszych działań, utwierdzające w przekonaniu, że dzielenie się sobą, swoim talentem, zapałem ma sens. Dziewczęta z Objazdy: Ola Zawada śpiewająca „Eurydyki" i Ada Kuczun, która wyśpiewała „Czarne perfumy", oczarowały widownię. Zorza Sędziaka, opiekunka artystyczna młodych pieśniarek, troszczy się o nie jak mama, zna je przecież od przedszkola. Umiejętnie wprowadza je w świat kultury, bacząc, by we wszystkim zachować proporcje. Śpiewają pięknie, to fakt bezsporny, a nagrody dla nich zasłużone. Serdecznie wszystkim gratuluję i choć zabrakło mi śmiałości by o tym powiedzieć, mam odwagę, by napisać: Podziwiam was, drodzy przyjaciele, na co dzień schowani w wioskach i miasteczkach naszego regionu jak w przepastnej torbie. Wasza wrażliwość sprawia, że słyszymy, widzimy, czujemy więcej. To tak jak z mgłami nad Tamizą. Ktoś musiał zobaczyć je w zachwycie pierwszy, by inni dostrzegli urok codziennego pejzażu.

Klemensowi

kiedy odejdę szukaj mnie
wołaj mnie ciszą w letnią noc
a odezwę się rechotem żab
w stawie za płotem
dzwoń do mnie fioletowym kwiatem
ja wrócę zapachem sitowia
otulę zapachem zżętych traw
uniesiemy się razem
ponad ogień
w sobótkową noc

kiedy odejdę szukaj mnie
w cudzym notesie na postronku
liter i liczb

Czytelnictwo w mrocznych latach i Internet

Mroczne lata głębokiej „komuny" mają oficjalnie dwie narracje: pierwsza, dominująca, opowiada o tamtym czasie jako zbrodniczym systemie, „a towarzyszą jej takie hasła - klucze, jak: reżim, UB, stalinizm, cenzura, socrealizm, więźniowie polityczni, stan wojenny, ZOMO." Ten schemat narracyjny preferuje Instytut Pamięci Narodowej, wprowadzając jego elementy do polityki i edukacji. Oczywiście, wątki zamknięte w słowach hasłowych pozwalają zrozumieć tamtą, często tragiczną, rzeczywistość. Obok jest drugi sposób opowiadania o szarym, mrocznym czasie. Wciąż do pokolenia PRL-u przemawiają filmy Stanisława Barei z całym bagażem gorzkiego humoru i sarkastycznej kpiny z absurdów ówczesnej rzeczywistości. Wciąż tamten czas jest punktem odniesienia do zmian, których wspólnie i z trudem dokonujemy, często wzajemnie się oskarżając.

Krzysztof Tomasik, w artykule „Trzeci wymiar PRL-u" zauważył, że obok agresywnej ideologii i polityki trwało najbardziej zwyczajne życie milionów ludzi, którzy pracowali, kochali się i kłócili, żenili, chrzcili i wychowywali dzieci, spotykali się i chodzili do kościoła.

Był to również najlepszy czas, biorąc pod uwagę całe półwiecze, rozwoju polskiej sztuki filmowej, teatru, w tym teatru telewizji, oświaty, a przede wszystkim czytelnictwa. Szczególnie popularne były reportaże, powszechnie znano nazwiska ich autorów: Hanny Krall, Ryszarda Kapuścińskiego, Doroty Terakowskiej i młodszych: Joanny Siedleckiej, Teresy Torańskiej, Małgorzaty Szejnert. Pełną parą pracowały wydawnictwa „Czytelnik" i „Iskry", publikując książki najlepszych pisarzy. Po pierwsze polskie wydanie „Ulissesa" Jamesa Joyce'a z 1969 roku (nakład 300 tys. egzemplarzy) przed księgarnią PIW ustawiła się długa kolejka, co odnotowała popularna w tamtym czasie Polska Kronika Filmowa. Na wsi prenumerowane były niemal powszechnie „Gromada Rolnik Polski" i „Przyjaciółka", które do domu przywoził listonosz na rowerze. W każdej wsi była szkoła, biblioteka lub choćby punkt biblioteczny, koło KGW i zlewnia, jeśli ktoś jeszcze pamięta jaka była jej formalna i nieformalna rola.

W maleńkiej Objeździe w powiecie słupskim wiejski bibliotekarz w 1954 roku w osobiście spisywanej pismem odręcznym kronice odnotował wydarzenia tego czasu. Nie do przecenienia jest wartość dokumentarna jego zapisków wzbogaconych fotografiami autora. Nie ma w Kronice Romana Zuba retuszu ani w zapisie, ani w fotografii. Rzeczywistość tamtych lat oglądana z dzisiejszej perspektywy z jednej strony daje obraz przedziwnej scenografii: portretów „wodzów", haseł, gazetek ściennych; na tym nieprawdopodobnym tle autor przedstawia zdarzenia, których i dziś można pozazdrościć: entuzjazmu i uczestnictwa w kulturze. Roman Zub był przede wszystkim bibliotekarzem, dlatego w jego kronice ta działalność jest najlepiej udokumentowana.

1954

Kulminacyjnym punktem prac konkursowych IV etapu Konkursu był Powiatowy Zlot Czytelników Wiejskich zorganizowany na dzień 6.VI.1954 r. w Powiatowym Domu Kultury w Słupsku, w którym wzięli udział czytelnicy bibliotek Gminnych i punktów bibliotecznych pow. słupskiego. W zlocie wzięło udział ok. 130 czytelników. Bibliotekę w Objeździe reprezentowała kilkunastoosobowa grupa czytelników na 104 ogólnie zgłoszonych do konkursu.

Czytelnicy z zespołów czytelniczych z Objazdy i z Dębiny zorganizowali dwie drużyny kolarskie biorące udział jednocześnie w zlocie czytelniczym oraz w Zajeździe kolarskim. Dostali oni nagrody rzeczowe.

Na zajęciu drużyny kolarskie na trasie Objazda - Słupsk

I - miejsce w powiecie w konkursie Czytelniczym zajęła Biblioteka w Objeździe.

Zespół czytelniczy z Dębiny Gm. Wytowno otrzymał w nagrodę 1 komplet Szachów.

Zespół czytelniczy przy Spółdz. Prod. w Przewłoce - gm. Wytowno otrzymał loszkę hodowlaną wartości 500 zł (pod warunkiem, że będzie hodowana).

Uczestnicy zlotu

Ob. Suchodolski Roman - traktorzysta z gmn. Objazda - aktywny członek Zesp. Czytelniczego otrzymał komplet narzędzi.

27

Kartka z „Kroniki Objazdy" Romana Zuba.

Był ponadto animatorem zespołów muzycznych, organistą, wiejskim fotografem, pszczelarzem, czasem zegarmistrzem. W „Kronice" wzruszyła mnie kartka z 1954 roku, wzruszyła, zadziwiła i rozśmieszyła. W kilku zdaniach zawarł historię kraju, powiatu, wsi i bliskich mu ludzi.

Czytelnicy bibliotek wiejskich i gminnych spotkali się w Powiatowym Domu Kultury w Słupsku. Na zjazd do Słupska młodzi miłośnicy książek z Objazdy i Dębiny pojechali rowerami, co Roman Zub uwiecznił na fotografii. Biblioteka z Objazdy zajęła pierwsze miejsce w konkursie czytelniczym, kronikarz nie odnotował, jaka była nagroda. Natomiast zespół czytelniczy z Dębiny w nagrodę dostał szachy, a zespół czytelniczy ze Spółdzielni Produkcyjnej w Przewłoce z gminy Wytowno zdobył jako nagrodę... loszkę hodowlaną wartości 500 zł. Indywidualnie nagrodzony został traktorzysta z Objazdy - Roman Suchodolski - otrzymał komplet narzędzi!

Nie dziwi nic. Wszyscy byli młodzi i w wiejskiej społeczności wszystko było potrzebne, wszystko sprawiało radość. Loszka jako nagroda w konkursie czytelniczym! Rozpadła się „Młodzieżowa" spółdzielnia produkcyjna. Dokumenty przechowuje archiwum w Radzyniu Podlaskim, jak informuje internetowa wyszukiwarka. Czas zatarł pamięć. Pozostał zapis w wiejskiej „Kronice". Albo komplet narzędzi dla traktorzysty! Roman Suchodolski pracował w miejscowym PGR do czasu jego rozwiązania, był ochotnikiem strażakiem, żył skromnie i zawsze lubił czytać. W jego pogrzebie w ubiegłym roku uczestniczyła niemal cała wieś.

Socjolog kultury dr Mirosław Pęczak zauważył, że w „III RP czytamy mniej i w ogóle mniej korzystamy z kultury wysokiej niż w PRL, bo wizja postępu cywilizacyjnego nie kojarzy się z książką, a z rozwojem technologii i Internetem".

Wydawcy prasy liczą na wzrost czytelnictwa wydań cyfrowych, znaczenie zdobywa „mozaikowa kultura cyfrowa z federacją nisz". Wybory internetowych odbiorców kultury niezależnie od miejsca zamieszkania są suwerenne, nie uznają podziału na kulturę masową i wysoką. Współcześnie aktywne uczestnictwo w kulturze wiąże się z przyjmowaniem roli nadawcy. Coraz więcej jest piszących i publikujących w internecie i tych, którzy za własne pieniądze wydają książki.

Myślę, że spory o życiorysy największych pisarzy, w tym noblistów - Czesława Miłosza, o którym Henryk Bereza pisał: „sporadyczny poeta, mierny prozaik, biegły eseista, na Nobla może wystarczyć, na prawdziwą wielkość za mało", i Wisławy Szymborskiej, spory o wizję historii w powieściach dawnych, na przykład Henryka Sienkiewicza, i współczesnych, jak Olgi Tokarczuk i Tomasza Grossa - przyczyniają się do pogłębiania dystansu wobec literackich autorytetów, chociaż powszechnie wiadomo, że spory literackie nie są zjawiskiem naszej epoki, towarzyszyły literaturze niemal zawsze.

Współczesna kultura rozprawia się z mitami, w tym z żywym w powojennej rzeczywistości mitem inteligenckim, deprecjonując ją, znaczy inteligencję, z powodu chłopskiego czy robotniczego pochodzenia. „Współcześnie rolę inteligencji przejmują grupy osób bogatych, co nie znaczy, że wykształconych i kulturalnych. Zresztą poziom edukacji znacznie upadł w porównaniu nie tylko z okresem międzywojennym, lecz także z czasami PRL. Jednym z przejawów tego upadku jest zgoda na czytanie bryków zamiast powieści. Brakuje przywódców duchowych kultywujących wartość ideałów nadających sens życiu poszczególnych pokoleń." - pisze Maria Szyszkowska w felietonie „Upadek polskiej inteligencji."

Rozpada się elitarny model kultury; egalitarność, masowość, powszechność to znaki współczesności.

Anna Bojarska w ankiecie Kultury (Kultura, nr 7-8, 1992) pisała: „Kultura polska schowała się w mysią dziurę. Kilka osób zdobyło rozgłos dzięki życzliwości tak czy inaczej pozyskanych mass mediów (...) Ale jakiekolwiek oceny i hierarchie pojawią się dopiero za kilka lat. Na razie nie ma o czym mówić. Świat wyszedł z wiązań, wszystko się rozleciało".

Czy naprawdę jest aż tak źle? Upada czytelnictwo, wysoka kultura rozwija się w elitarnych niszach, wydziały humanistyczne na wyższych uczelniach tracą popularność, a ich absolwenci nie mają zajęcia. Czy kultura cyfrowa jest w stanie odpowiedzieć na najważniejsze pytania? Nie znam odpowiedzi. Wiem tylko, że internet daje szansę dostępu do wielu bibliotek, a w zdigitalizowanej „Kronice Objazdy" papierowe karty nie rozpadną się, czarno-białe zdjęcia zachowają wartość dokumentu, a zapisy wyjdą poza wiejskie opłotki.

Roman Suchodolski i Marian Fitas na traktorze Lanz Buldog.
W Zakładach Mechanicznych Ursus w Warszawie od 1947 roku produkowano ciągniki Ursus C-45 na licencji Lanz Buldog.

Śladem prasowej notatki sprzed lat

Wydawała mu się ważna, skoro wyciął ją z regionalnej gazety i wkleił do założonej niedawno „Kroniki". Ważna z kilku powodów: dotyczyła sprawy państwowej poruszającej najmniejsze nawet wiejskie środowiska; po drugie, w notatce wymieniona była Objazda, i ten fragment podkreślił czerwonym piórem. Najpierw jednak uważnie przeczytał: „Odbyło się posiedzenie likwidacyjne komitetu organizacyjnego Święta Oświaty. Kierownicy poszczególnych sekcji składali sprawozdania. (...) Uzyskane w okresie Święta Oświaty sumy zostaną przekazane Radzie Społecznej do Walki z Analfabetyzmem. W pracach komitetu ze względu na poniesione zasługi należy wyróżnić: insp. Repełowskiego, p.p. Tyczyńską, Golian, Antończaka, Pokusę, Szymańską, Łacińskiego, ks. Zieję, mec. Maryjańskiego, burmistrza Ustki - Zawadzkiego, kier. szkoły Koskowskiego, uczniów Szkoły Ogrodniczej oraz uczniów Państw Szkoły dla dorosłych. (...) Ustka, licząca 6 tys. mieszkańców dała 75 tys. zł., Słupsk, liczący 36 tys. mieszkańców dał 75 tys. zł, a powiat słupski, 69 tys. złotych.

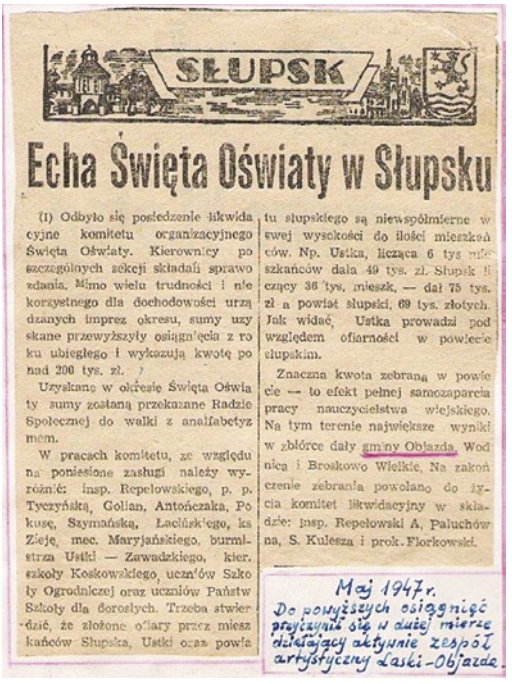
SŁUPSK

Echa Święta Oświaty w Słupsku

(I) Odbyło się posiedzenie likwidacyjne komitetu organizacyjnego Święta Oświaty. Kierownicy poszczególnych sekcji składali sprawozdania. Mimo wielu trudności i niekorzystnego dla dochodowości urządzanych imprez okresu, sumy uzyskane przewyższyły osiągnięcia z roku ubiegłego i wykazują kwotę ponad 200 tys. zł.

Uzyskane w okresie Święta Oświaty sumy zostaną przekazane Radzie Społecznej do walki z analfabetyzmem.

W pracach komitetu, ze względu na poniesione zasługi należy wyróżnić: insp. Repełowskiego, p. p. Tyczyńską, Golian, Antończaka, Pokusę, Szymańską, Łacińskiego, ks. Zieję, mec. Maryjańskiego, burmistrza Ustki — Zawadzkiego, kier. szkoły Koskowskiego, uczniów Szkoły Ogrodniczej oraz uczniów Państw Szkoły dla dorosłych. Trzeba stwierdzić, że złożone ofiary przez mieszkańców Słupska, Ustki oraz powiatu słupskiego są niewspółmierne w swej wysokości do ilości mieszkańców. Np. Ustka, licząca 6 tys mieszkańców dała 49 tys. zł. Słupsk liczący 36 tys. mieszk. — dał 75 tys. zł a powiat słupski, 69 tys. złotych. Jak widać, Ustka prowadzi pod względem ofiarności w powiecie słupskim.

Znaczna kwota zebrana w powiecie — to efekt pełnej samozaparcia pracy nauczycielstwa wiejskiego. Na tym terenie największe wyniki w zbiórce dały gminy Objazda, Wodnica i Broskowo Wielkie. Na zakończenie zebrania powołano do życia komitet likwidacyjny w składzie: insp. Repełowski A, Paluchów na, S. Kulesza i prok. Florkowski.

Maj 1947 r.
Do powyższych osiągnięć przyczynił się w dużej mierze działający aktywnie zespół artystyczny Laski-Objazda.

Kartka z „Kroniki Objazdy".

Jak widać, Ustka prowadzi pod względem ofiarności w powiecie słupskim. Znaczna kwota zebrana w powiecie to efekt pełnej samozaparcia pracy nauczycielstwa wiejskiego. Na tym terenie największe wyniki w zbiórce dały gminy Objazda, Wodnica i Bruskowo Wielkie."

Na dole prasowego wycinka kronikarz Roman Zub dopisał piórem: „Maj 1947 r. Do powyższych osiągnięć przyczynił się w dużej mierze działający aktywnie zespół artystyczny Laski - Objazda."

Nie były to wyniki na miarę państwowych nagród, które otrzymały

Kępno, Pisz, Szczecin, Jawor. Nagrody Ministerstwa Oświaty za najlepsze osiągnięcia w zbiórce pieniężnej przyznano powiatowym komitetom, które uzyskały ponad 6 zł w przeliczeniu na jednego mieszkańca. W ogólnopolskiej zbiórce uzyskano ponad 52 miliony złotych z przeznaczeniem na zakup książek.

Dziś ogólnopolską zbiórkę pieniędzy na inny cel, ale podobnymi metodami, czyli koncertami, aukcjami, ogólnospołeczną fetą prowadzi z powodzeniem Jurek Owsiak, a socjologowie zastanawiają się nad fenomenem popularności jego akcji. Sprawa wydaje się prosta, bez względu na podtekst ideologiczny, który również akcji Owsiaka przypisują zazdrośnicy: ludzie potrzebują wspólnotowego działania, refleksja ideologiczna czy polityczna schodzi na plan dalszy i zajmuje „działaczy". Dlatego krótka prasowa notatka ze słupskiej gazety sprzed lat, daleka od dzisiejszych standardów, która ponad pół wieku temu zainteresowała bibliotekarza z Objazdy i mnie wydała się zapisem ciekawym z różnych powodów. Po pierwsze, w 1946 r. na wniosek Ministra Oświaty Czesława Wycecha i Rady Książki, dwudziestoosobowego zespołu bibliotekarzy, wydawców i księgarzy (m.in. Aleksandra Birkenmajera, Wandy Dąbrowskiej, Jana Muszkowskiego, Adama Łysakowskiego oraz Stanisława Arcta, Stanisława Pazyry, Tomasza Szczechury i Jerzego Borejszy) zostało powołane Święto Oświaty, które przypadało na 1-3 maja. Wykonaniem zadań miał się zająć Obywatelski Komitet Święta Oświaty, który co roku wydawał szczegółową instrukcję w sprawie organizacji uroczystości. Zalecano organizację uroczystości popularyzujących czytelnictwo, oświatę i kulturę, takich jak m.in.: zbiórki pieniężne, zebrania publiczne, prelekcje o książce, kiermasze, zwiedzanie bibliotek czy wieczory literackie - przy zaangażowaniu Inspektoratów Szkolnych i placówek bibliotecznych. W 1949 roku Święto Oświaty przekształcone zostało w Tydzień Oświaty, Książki i Prasy.

„Jednym ze źródeł informacji o Święcie Oświaty są instrukcje i inne materiały pomocnicze wydawane corocznie początkowo z inicjatywy Centralnego Komitetu Obywatelskiego, a w późniejszym okresie przez Radę Czytelnictwa i Książki. (...) W trakcie kwerendy archiwalnej w Archiwum Akt Nowych w Warszawie natrafiono na kilka instrukcji dotyczących tego święta wydanych na początku lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku - pisze dr Wanda A. Ciszewska w publikacji „Święto Oświaty w świetle instrukcji z lat 1946-1949."

Oczywiście, zarówno sama „Uchwała", jak i wydawane corocznie w formie ulotnego druku instrukcje zawierały patetyczne

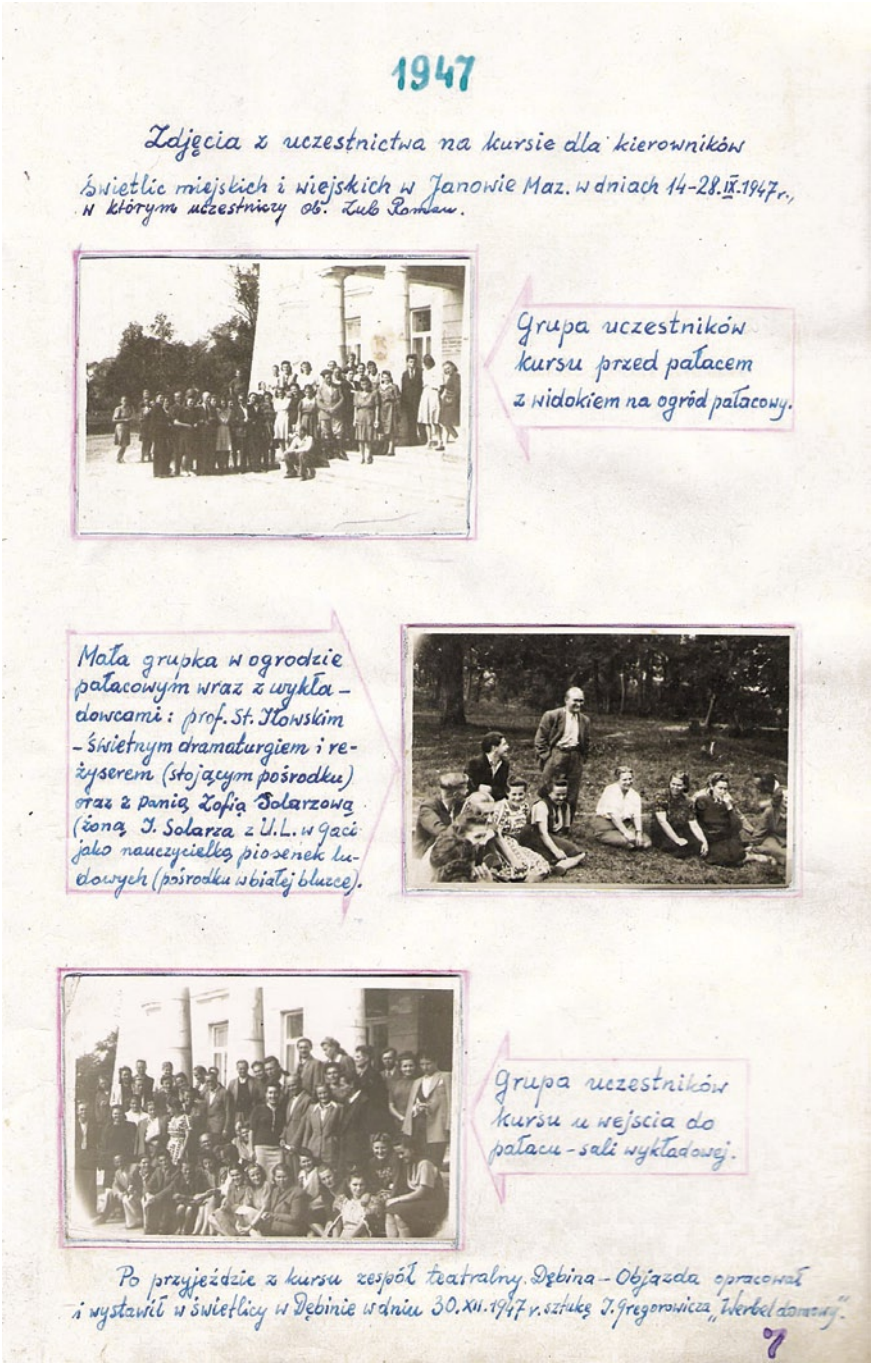

„Kartka z „Kroniki Objazdy". Rok 1947.

sformułowania propagandowe, właściwe dla swego czasu, jak na przykład: „w poczynaniach wszystkich epok budzenia się społeczeństwa do samodzielnego bytu, nawiązując do tradycji walki mas pracujących o narodowe i społeczne wyzwolenie, której symbolem

był dzień 1 maja, walki o pełną demokratyzację życia, o upowszechnienie oświaty i dóbr kulturalnych, uznając w pełni naglącą potrzebę podniesienia poziomu oświaty i kultury przy udziale najszerszych mas narodu."

O organizacji uroczystości w ramach Święta Oświaty odnajduję informacje w kronikach wielu szkół, jak tej ze szkoły w Bierkowie: „W ramach Święta Oświaty w dniu 2 maja 1948 roku dzieci szkolne odegrały sztukę pt. „Anioł polskiej ziemi" i „Przed sądem" Marii Konopnickiej, wykonały również kilka tańców narodowych. Dużo pracy i czasu w przygotowaniu tej uroczystości włożyła nauczycielka Fołdzińska Elżbieta. Widowisko było godne uwagi pod względem estetycznym i wychowawczym."

W Słupsku 3 maja 1948 roku uroczysta akademia odbyła się w Teatrze Miejskim, o czym powiatowy komitet informował plakatem i zaproszeniami.

Kartka z „Kroniki Objazdy".

Zebrane w regionie słupskim pieniądze, jak napisał nieujawniony dziennikarz, zostały przekazane Radzie Społecznej do Walki z Analfabetyzmem. W latach 1946-1948 głównym zadaniem Święta Oświaty była likwidacja analfabetyzmu i rozwój czytelnictwa. Powstały wówczas Rady Społeczne do Zwalczania Analfabetyzmu wszystkich poziomów administracji. Organizacja kształcenia dorosłych w zakresie szkoły podstawowej opierała się na zarządzeniu Ministra Oświaty z 27 maja 1946 roku. W 3-letnich szkołach i na kursach dla dorosłych uczono analfabetów i półanalfabetów.

Zapomnieliśmy, jak się w ciągu lat zmieniliśmy jako społeczeństwo. Wnukowie dziadków zdobywających podstawowe wykształcenie na wieczorowych kursach dla dorosłych odnoszą sukcesy

naukowe i zawodowe, i nie jest to wyjątkiem. Powszechna stała się możliwość i przekonanie o wartości wykształcenia jako gwarancji dobrego zawodu, pozycji, pomyślności. Inna sprawa, jak z tego dobrodziejstwa daje się korzystać.

W Polsce w 1938 roku analfabetyzm szacowano na ok. 20 proc., był niższy niż na początku niepodległości, głównie w wyniku wprowadzenia w okresie międzywojennym obowiązku szkolnego dla dzieci, jak też programu alfabetyzacji w czasie służby wojskowej. Dekret „O obowiązku szkolnym" z 7 lutego 1919 z modyfikacją w roku 1932 stawiał ambitne zadania, ale realizacja nie była prosta z różnych powodów. Dlatego po wojnie było ok. 3,5 - 4 mln analfabetów. Akcję rozpoczęto od rejestracji analfabetów. Wizytacja w Stoczni Gdańskiej (w dniach 4 i 6 października 1949 r.) zaowocowała sprawozdaniem, w którym przedstawiono sposoby odnajdywania analfabetów wśród stoczniowców: „Na terenie Stoczni zarejestrowano w czerwcu br. 386 osób nie umiejących czytać i pisać. Wiele osób uchyliło się od rejestracji. Obecnie liczba zarejestrowanych analfabetów wynosi 736 (350 osób zarejestrowano na dodatkowej rejestracji), dodatkowa rejestracja trwa. Wszyscy robotnicy muszą podpisać listę płacy. Kto nie potrafi podpisać się i napisać słownie kwoty zarobku - rejestrowany jest jako analfabeta lub półanalfabeta."

Na ziemi słupskiej, gdzie koniecznie trzeba było zintegrować i związać z regionem ludzi przybyłych ze wszystkich ziem II Rzeczpospolitej, tworzenie sieci szkół, bibliotek, organizowanie wspólnych działań kulturalnych i edukacyjnych miało ten właśnie dodatkowy cel. Roman Zub, rocznik 1920, prosty chłopak, w czasie wojny pracujący jako piekarz w Zamościu, przyjechał do Lasek (Dębiny) z odległego Krasnobrodu. W Kronice po latach napisał: „dopiero w IV kwartale 1946 roku do wsi Laski (obecnie Dębina grom. Objazda przybyła liczna grupa rolników z powiatu zamojskiego wraz z młodzieżą w wieku 16-20 lat (a m. in. ja też). Po kilkudniowym pobycie i częściowym poznaniu terenu cała młodzież uchwaliła zorganizowanie zespołu estradowego.(...) Na trzeci dzień zabrano się do pracy..."

W „Kronice" bibliotekarza z Objazdy, są zapiski, fotografie wykonane przez autora, wycinki prasowe, dyplomy, jednym słowem jego „Kronika" jest niezwykłym dokumentem, zapisem historii jednej pomorskiej wsi. Okazuje się jednak, że w wycinku z gazety lub zwykłej okolicznościowej fotografii jest zapisana historia pokolenia i regionu.

Odpust w Objeździe, czyli o ludowej religijności

„Sługam Boży, chociaż bez święceń, a przygodziło mi się, iż dzisiejszego rana wyrwał mi się koń, skrzynie ze świętościami niosący. (...) - Wożę i odpusty, i relikwie, które to odpusty są różne: są całkowite i na pięćset lat, i na trzysta, i na dwieście, i na mniej, tańsze, aby i ubodzy ludzie mogli je nabywać i tym sposobem czyśćcowe męki sobie skracać. Mam odpusty na przeszłe grzechy i na przyszłe, ale nie myślcie, panie, abym pieniądze, za które je kupują, sobie chował... Kawałek czarnego chleba i łyk wody - ot, co dla mnie - a resztę, co zbieram, do Rzymu odwożę, aby się z czasem na nową wyprawę krzyżową zebrało. Jeździ ci wprawdzie po świecie wielu wydrwigroszów, którzy wszystko mają fałszywe: i odpusty, i relikwie, i pieczęcie, i świadectwa - i takich słusznie Ojciec Święty listami ściga, ale mnie przeor sieradzki krzywdę i niesprawiedliwość wyrządził - gdyż moje pieczęcie są prawdziwe. Obejrzyjcie, panie, wosk i sami powiecie."

Sanderus, wędrowny sprzedawca odpustów, wprowadza do fabuły powieści Sienkiewicza elementy humoru i koloryt epoki z jej kulturą religijną. Upłynęły wieki, zatem jak daleko odeszliśmy od średniowiecznej religijności? Odpowiedź prosta: wystarczy pojechać do Lichenia, gdzie na sztucznej Golgocie na sztucznym stawie pływają sztuczne łabędzie. Albo posłuchać piosenek z repertuaru „sacro polo", na które oburzała się w kościele w Objeździe muzycznie wykształcona letniczka z Wrocławia. Ale licznym się to podoba, chętnie kupują płyty z nagraniami miejscowego organisty. Odpust w Objeździe odbył się bez towarzyszącego często takim uroczystościom jarmarku, gdzie królują odpustowe koguciki: „trąć waćpanna kogutka w ogonek, a dostaniesz złoty pierścionek"- przypomina pani Jadwiga wierszyk - jaskrawe obrazki, wata na patyku. Przykłady podaje Antoni Kroh, znawca chłopskiej kultury, o której pisze, że zapewne istniała od zawsze, ale nie wiemy o niej nic. Materialna kultura ludowa - zdaniem Kroha - weszła szeroko na wieś w XIX wieku i są na to materialne dowody. Weszła razem z chłopską klasą do miast, gdzie „Konwencje plastyczne się przegryzają, gorące spory wokół nich świadczą mimowiednie, jak te sprawy są ważne, jak silnie nas obchodzą. Dowartościowują albo przeciwnie - jak bywają

obciachowe. W niedawno wzniesionym kościele umieszczono prowizorycznie wyobrażenie Matki Bożej Niepokalanej, wymalowane na styropianie w konwencji słodkiego kiczowatego oleodruku. Potem zamówiono u młodych artystów figurę na wieczne czasy. „Bardzo mi się podobała - pisze Antoni Kroh. - Madonna miała twarz zwyczajnej dziewczyny, skromną szatę w pastelowych barwach, a wokół niej ułożono promieniście zwykłe deski. Wybuchła awantura, oburzone parafianki groziły, że zaczną chodzić do innego kościoła." Jak się to skończyło pisze Antoni Kroh w książce „Wesołego Alleluja Polsko Ludowa, czyli o pogmatwanych dziejach chłopskiej kultury plastycznej na ziemiach polskich".

***

Długa publiczna pokuta nie ominęła grzesznika w pierwszych wiekach Kościoła. Ratunkiem było wstawiennictwo prześladowanego za wiarę chrześcijanina, dzięki któremu wina mogła być darowana, odpuszczona, dlatego ten sposób powrotu do łaski nazywano odpustem. Historia Kościoła podaje, że były czasy, kiedy nienależycie traktowane odpusty były przyczyną teologicznych nadużyć. Tym sposobem chyba Sanderus naraził się przeorowi sieradzkiemu, który nie dowierzał jego świętościom. Henryk Sienkiewicz nie rozstrzyga ani ocenia, opisuje ówczesne obyczaje. Dopiero Sobór Watykański II podjął problem, a Paweł VI ogłosił w Konstytucji Apostolskiej Indulgentiarum doctrina, z 1 stycznia 1967 roku poprawioną naukę w zakresie praktyki odpustów: „To odpuszczenie kary doczesnej należnej za grzechy, zgładzone już co do winy, zostało nazwane właściwym imieniem „odpustu"(37)." Nie moją sprawą są teologiczne rozważania, więc na tym poprzestanę.

***

Odpust w dniu patronki kościoła pw. Matki Bożej Częstochowskiej w Objeździe miał charakter uroczystości religijnej i był doniosłym wydarzeniem dla mieszkańców wsi z kilku powodów. Równo rok temu proboszcz ks. Mariusz Drogosz objął uroczyście parafię. Choć rok to czas niedługi, ale dla chcącego... Współpraca z Wojewódzkim Urzędem Ochrony Zabytków Delegatura w Słupsku, Urzędem Gminy w Ustce i mieszkańcami wsi dała rezultaty. Usunięto spróchniałe, grożące wywrotką drzewa, nowe ogrodzenie zastąpiło stary spróchniały płot, teren wokół kościoła został uporządkowany i fachowo zagospodarowany. Mamy nawet sumiennego organistę,

W odpustowej mszy uczestniczyli koncelebransi: ks. kanonik Henryk Jereczek z Zagórzycy i ks. kanonik Wojciech Węckowski z Pelplina.

chociaż dawne organy stanowią tylko zapis długiej czterystaletniej historii małego kościoła, z typową dla Pomorza szachulcową konstrukcją. Dużo jeszcze pracy dla dobrego gospodarza, potrzeba sporo funduszy, ale ksiądz Mariusz nie wstydzi się prosić o wsparcie, a numer parafialnego konta jest dostępny dla ofiarodawców.

W odpustowej Mszy Świętej uczestniczyli księża z główczyckiego dekanatu z księdzem kanonikiem Henrykiem Jereczkiem, dziekanem, gościem honorowym a zarazem celebransem był kanonik gremialny Kapituły Katedralnej Pelplińskiej ks. Wojciech Węckowski, dr komunikacji społecznej, prezes Zarządu Spółki Wydawnictwo „Bernardinum" Sp. z o.o., redaktor naczelny Miesięcznika Diecezji Pelplińskiej i dwutygodnika „Pielgrzym".

Podczas uroczystości dokonano poświecenia uporządkowanego lapidarium na przykościelnym cmentarzu. Na zdjęciu od lewej: ministrant Bartek Józefko, ks. Mariusz Drogosz, ks. kanonik Wojciech Węckowski, i ks. Andrzej Osowski z Września.

Godności kościelne, tytuły naukowe, dostojeństwa z jednej strony, z drugiej proste, żywe uczestnictwo wiernych, prawdziwie wzruszały. Obraz Czarnej Madonny czczony w Polsce od wieków w Objeździe jednoczy na nowo wiejską wspólnotę. Jeszcze raz przekonujemy się, że każdej społeczności potrzebny jest przewodnik, dobry, życzliwy organizator. Wsie po transformacji, z rozbitą wspólnotą, bez lidera, czekają na kogoś, kto potrafi zjednoczyć ludzi. Wskazać im cel i dać nadzieję. Księdzu Mariuszowi nikt nie odmawia, ostrożnie, bo kilka razy wcześniej ludzie się zawiedli, włączają się we wspólne projekty.

Przez kilka dni przed 26 sierpnia przez Polskę wędrowały grupy pielgrzymów na Jasną Górę. Kościół w Objeździe położony na wzgórzu, z obrazem Matki Bożej Częstochowskiej jako patronki, był miejscem do którego pielgrzymowali parafianie i wypoczywający nad morzem letnicy z całej Polski.

***

„W piętnastowiecznej Polsce - w związku z wzrastającą świadomością religijną - ugruntowuje się kult świętych obrazów, wyraźnie związany z nowo rozbudzonymi potrzebami; obraz jasnogórski, jak wiemy, zajmie w tym stuleciu pierwsze miejsce w kulcie obrazów maryjnych(...). Nie ma w każdym razie wątpliwości, że kult Matki Bożej złączył się w ten sposób bardzo autentycznie i głęboko z utrwalającym się w Polsce typem chrześcijaństwa, zarazem chrystocentrycznego, pełnego życzliwości dla świata i ludzi. Mimo iż rzeczywistość odbiegała na każdym kroku od ideału życia, ważne pozostaje to, że ów ideał został niejako zakodowany wśród naczelnych wartości kultury polskiej, i to w szerokiej skali społecznej." - pisze Jerzy Kłoczowski w „Dziejach chrześcijaństwa polskiego."

***

Historia odpustów zakorzeniona jest w tradycji religijnej od pierwszych wieków. Kult świętych rozwijał się w miejscach ich męczeńskiej śmierci, gdzie czczono ich relikwie. Uroczystość, podczas której czczono patrona, zyskała miano odpustu parafialnego. Współcześnie tego typu święto jest w zasadzie charakterystyczne dla kościoła rzymskokatolickiego w Polsce. Odpust w Objeździe pozbawiony jarmarcznej, festynowej otoczki miał religijny charakter. Biedny Sanderus nie miałby u nas nic do roboty.

Ostatnie wspomnienie o Grzegorzu Axentowiczu

Rok 2009. Przyjechał z żoną Karoliną i synkiem Jasiem. Chciał ich przedstawić, a ja nie byłam przygotowana na wizytę. Szybko jednak wywiązała się prawdziwie domowa atmosfera, której Grzegorz był mistrzem. Nikt tak nie potrafił przełamywać dystansów. Na trawie rozłożyliśmy koc, głównie ze względu na wygodę Jasia i naszego szczeniaka Benka. I już wszystko potoczyło się zwyczajnie. Tylko w oczach Grzegorza była duma z rodziny, nie potrzebował komplementów, był pewien i słusznie, że to jego szczęście obejmuje wszystkich, więc to on komplementował. Jaś pogodnie się bawił, a Benek patrzył na dziecko z zaproszeniem do wspólnej zabawy. Oboje, Karolina i Grześ mieli w sobie tyle ciepła i miłości, że było dla mnie jasne, że są szczęśliwi. Spędzali wakacje w Jaskółkowie, dla Grzegorza - jak co roku od lat. Wydawało się, że życie zostało zakotwiczone na szczęście i na zawsze.

Jaskółkowo powstało w szczerym polu, gdzie Jula jeszcze niedawno sadziła kartofle lub siała zboże. Niewielkie wzniesienie, kawałek ziemi obok istniejących od dawna w Kolonii Objazda, zwanej popularnie Zydlągiem, od niemieckiego Siedlung, chłopskich zabudowań stało się dla rodziny Axentowiczów miejscem wakacyjnego wypoczynku na wiele lat. Najpierw Maria i Marek z dziećmi, uciekając przed letnim tłumem wczasowiczów w nadmorskich miejscowościach, zatrzymali się tylko na nocleg. Gospodyni i goście przypadli sobie do serca i przypadkowa znajomość przerodziła się w przyjacielsko-familiarną zażyłość na lata. W ten sposób i ja zostałam wplątana w tę historię, ponieważ poznawaliśmy się całymi rodzinami na szczególnych letnich uroczystościach u naszej mamy, czyli babci Reni i na imieninach Anny lub u Juli w Karczmie. Tymczasem drewniany domek z jaskółczymi gniazdami i obejście Axsentowiczów obrosło drzewami, drewniany płot pochylił się ze starości, a dzieci nam urosły. Kiedy przyszła wiadomość o tragicznej śmierci Marii, trudno było wierzyć, że następnego lata ptaki znów przylecą do Jaskółkowa. Marek miał jednak dzieci, a one jego. Wspólna miłość, jakkolwiek banalnie to brzmi, jest silniejsza niż śmierć. Maria, choć nieobecna, była wśród nich w rozmowach, wspomnieniach i modlitwach w wiejskim kościele w Objeździe, w których i my uczestniczyliśmy.

Grzegorz Axentowicz z ojcem Markiem i synkiem Jasiem.

Grzegorz był podobny do matki oryginalną urodą, sylwetką i harmonią wewnętrzną. Po jej śmierci stał się dla ojca i sióstr dyskretnym opiekunem. Ale brak matki odczuwał bardzo. Być może dlatego szukał wsparcia, okazji do rozmów o niej i o problemach, którym musiał sprostać. Martwił się bardzo o ojca, jego sposoby radzenia sobie z samotnością były przedmiotem troski syna. Mówił o tym powściągliwie, z szacunkiem i miłością. Nie po to by pytać o radę, raczej by głośno pomyśleć. Zawsze był pogodny i jednocześnie nad wiek poważny. Teraz był po prostu dorosły. Jednak nic nie stracił z młodzieńczego wdzięku i piękna. W tamtym czasie szukał samotności na długich rowerowych wycieczkach bądź w chwilach windsurfingu na jeziorze Gardno, gdzie za przystań obrał Płytę Retowską. Spotykałam go w wiejskim sklepiku albo gdzieś w drodze. Zawsze miał chwilę na pozdrowienie i kilka uprzejmych zdań. Kiedy nas odwiedzał, pamiętał o suwenirze. Tak, był po prostu dobrym i dobrze wychowanym młodym człowiekiem.

Przejmował obowiązki w rodzinnej firmie, co łączyło się ze strategią finansową, wyjazdami i stresem. Oczywiście, nie wiedzieliśmy o tym zbyt wiele, ale pamiętam epizod, gdy Grzegorz myślał o inwestycjach w ziemię pod pole golfowe. Brakuje na naszych terenach turystycznej infrastruktury i ofert sportowych, dlatego kibicowaliśmy z oddaniem jego staraniom. Niestety nie zawsze lokalne interesy cechuje dalekowzroczność i nowatorskie myślenie. Z pomysłu nic nie wyszło, co nie znaczy że Grzegorz nie miał racji. Jestem pewna, że to był dobry pomysł. W sprawach interesów bardzo liczył się ze zdaniem ojca, dlatego potrafił łączyć oryginalność z doświadczeniem, co zapewniało biznesowe powodzenie. Patrzyliśmy na jego poczynania z podziwem i rozumieliśmy potrzebę wypoczynku. Dzięki temu i my mieliśmy chwile miłych spotkań. Szczególnie miło wspominamy czerwcowe wizyty, kiedy dojrzewały czereśnie, którymi Grzegorz się objadał i wszyscy żartowaliśmy ze szpaków z Milanówka.

Wybieraliśmy się na sylwestra do Rowów i telewizyjna informacja o lawinie pod Rysami tylko na chwilę zatrzymała naszą uwagę. Kilka dni później Tomek Garst przyniósł smutną wiadomość, w którą trudno było uwierzyć. Grzegorz Axentowicz zginął w lawinie pod Rysami. Nic się nie dało zrobić w zakopiańskim szpitalu. Przeszukałam internet. Nie, to niemożliwe! Później cały rok okazał się pasmem nieszczęść. Tylu wspaniałych ludzi odeszło od nas. Tego roku Jaskółkowo było puste, na próżno czekało na gości z Milanówka.

Kościół w Objeździe. Rysunek piórkiem. Paweł Chwedczuk. Własność: Czesława Długoszek.

Patrzyliśmy na drogę, jak czynią ludzie smutni i widzieliśmy tylko pustkę, choć niby wszystko toczyło się po staremu. Wierzę, że

Na kamiennym murze przykościelnego cmentarza w Objeździe staraniem Marka Axentowicza w sierpniu 2016 roku zamocowana została pamiątkowa tablica poświęcona Grzegorzowi Axentowiczowi i jego Matce Marii.

Boża Opatrzność nie jest przypadkiem, że przesyła nam bolesne doświadczenia nienadaremnie. Musi być w tym jakaś logika, inaczej wszystko byłoby pozbawione sensu. Grzegorz spieszył się bardzo. Małżeństwo, dzieci, jakby przeczuwał, że ma tak mało czasu. Jego synowie Jaś i Grześ niech obdarują miłością tych, którzy kochali ich ojca, wspaniałego człowieka, którego znaliśmy tak krótko.

Lapidarium rodu Kutscherów na przykościelnym cmentarzu w Objeździe.

Adwent, czyli czas oczekiwania

Pierwsza niedziela Adwentu rozpoczyna nowy rok liturgiczny. Wypada to zazwyczaj między 27 listopada a 3 grudnia. Nie ma to nic wspólnego z fajerwerkami, hucznymi zabawami i całą oprawą rozpoczęcia roku kalendarzowego, czyli popularnym sylwestrem, ale fakt faktem, rozpoczyna się okres ważny w Kościele, wchodzimy w czas przedświąteczny, czas oczekiwania.

Pierwsze wzmianki o Adwencie pojawiły się w 388 roku w dekrecie synodu odbytego w Saragossie. W wieku V i VI czas oczekiwania trwał, podobnie jak Wielki Post, czterdzieści dni, rozpoczynał się 12 lub 14 listopada (tj. po św. Marcinie, obchodzonym 11 listopada) i nazywany był czterdziestnicą, ponieważ trwał aż czterdzieści dni, w czasie których obowiązywała abstynencja małżeńska, zakaz wojen, wesel, hucznych zabaw i post, czyli powstrzymywane się od sytości i uciech podniebienia.

Tak jest w kościele prawosławnym do dnia dzisiejszego, liczącym w Polsce ponad 600 tysięcy wyznawców, wychowanych w cerkiewnej tradycji. „Patriarcha antiocheński Teodor Balsamon pisał: „choć dni postu (Filipowego) nie określono słowem pisanym, potrzebne jest, jednakże wypełnić niepisany przekaz Cerkwi i mamy powinność pościć od 15 dnia listopada". Post Filipowy - ostatni wielodniowy post w roku. Zaczyna się 15 (28) listopada i trwa do 25 grudnia (7 stycznia), liczy czterdzieści dni (stąd podobnie jak Wielki Post, nazwany jest w cerkiewnych ustawach „Czetyredziesiatnicą"). Ponieważ początek postu wypada po dniu pamięci św. apostoła Filipa (14 listopada), nazywany jest Filipowym" - pisze Piotr Chomiuk w „Krótkiej historii postu Filipowego."

Początkowo Adwent był przygotowaniem do święta Epifanii, czyli święta upamiętniającego trzy biblijne wydarzenia: chrzest (Baptesimus), wesele w Kanie Galilejskiej (Matrimonium) i pokłon mędrców (Cogito - poznaję), co zapisywano na drzwiach jako CMB (KMB). Później dopiero, od V wieku czterotygodniowy Adwent stał się czasem oczekiwania na Boże Narodzenie w kościele katolickim.

Na wsi na Podlasiu Adwent chłopcy ogłaszali trąbieniem na ligawach. Granie to nazywane było otrąbianiem, czyli ogłaszaniem Adwentu. Ligawki przypominały trąby Archanioła oznajmiające nadejście Zbawiciela i Sądu Ostatecznego. Był to znak, że mają zamilknąć instrumenty muzyczne:

Święta Katarzyna klucze pogubiła,
Święty Jędrzej znalazł, zamknął skrzypki zaraz.

Rankiem, skoro świt, wszyscy spieszyli na mszę roratną, której nazwa pochodzi od słów: rorate cæli desuper (spuśćcie rosę niebiosa). Msza odprawiana była przy zapalonej roratce, czyli przewiązanej niebieską szarfą świecy symbolizującej Najświętszą Pannę.

Historia mszy roratnej w Polsce nie jest do końca wyjaśniona. Prawdopodobnie w Poznaniu wprowadzono ją na prośbę księcia Przemysła I, a w Krakowie dzięki wstawiennictwu św. Kingi zarządził ją Bolesław Wstydliwy.

Na ołtarzu w kościołach stawiano lichtarz z siedmioma świecami symbolizującymi stany społeczne: króla, prymasa, senatora, szlachcica, żołnierza, kupca i rolnika. Zwyczaj opisał wierszem Władysław Syrokomla:

Od Bolesława, Łokietka, Leszka
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu przed mszą roraty
Siedmio-ramienny lichtarz bogaty.
A stany państwa szły do ołtarza,
I każdy jedną świecę rozżarza:
(…)
Tak siedem stanów z ziemscy całej
Siedmiu płomieńmi jasno gorzały,
Siedem modlitew treści odmiennej
Wyrażał lichtarz siedmioramienny.
Lecz roratnego całość lichtarza
Wspólną modlitwę kraju wyrażą.
A na ten lichtarz - komuż to dziwo,
Że Pan Bóg spuszczał rosę ożywną?
Królowie dobrzy i dobrej mocy,
Pasterze Pańscy duchem wysocy,
Senatorowie w radzi niezłomni,
Ziemianie w sejmach na prawo pomni,
Żołnierz jak olbrzym szedł jeden za stu,
Kupiec przynosił bogactwo miastu,
Swobodny kmiotek, jak las miał zboże -
Gotowi byli na Sądy Boże.

(Władysław Syrokomla: „Staropolskie roraty", fragment XII.)

Współcześnie zamiast świec dzieci niosą elektryczne lampiony, a roraty ze względu na szkolne obowiązki odbywają się po południu lub wieczorem. Szczególną oprawę na czas Adwentu mają kościoły i domy wiernych. W kościołach rezygnuje się z wystroju kwiatami, a jedyną ozdobą jest wieniec adwentowy z czterema świecami, zapalanymi po kolei w następujące po sobie niedziele, aż do Wigilii. Wieniec adwentowy ma ciekawą historię. Jego pomysłodawcą jest ewangelicki pastor Johann Hinrich Wichern. W 1839 roku wraz z wychowankami świetlicy w pierwszą niedzielę Adwentu zapalił, dla uzyskania nastroju do modlitwy, świecę umocowaną na drewnianym kole. W kolejne dni zapalano następną, aż do Wigilii, razem było ich 24. Z czasem koło ozdobiono gałązkami, a ilość świec zmniejszono do czterech. Zwyczaj szybko się upowszechnił, a w latach 20. XX wieku wieniec adwentowy przyjęli katolicy, również w Polsce.

W domach ewangelickich i anglosaskich wieniec adwentowy (bez świec) jako wyraz domowej ludowej pobożności zawiesza się na drzwiach. Na zachodzie, a coraz częściej i u nas w domach gdzie są dzieci, przygotowuje się kalendarze adwentowe z dwudziestoma czterema okienkami, w których każdego kolejnego dnia na milusińskich czekają niespodzianki. Niekiedy kalendarz adwentowy tworzą dwadzieścia cztery świece. Zawsze adwentowym przygotowaniom do świąt Bożego Narodzenia towarzyszyła pamięć o ubogich, potrzebujących wsparcia. W 1840 roku w Warszawie utworzone przy kościele bernardynów na Krakowskim Przedmieściu bractwo roratnie, którego członkiem był poeta i opiekun dzieci Stanisław Jachowicz, za sprzedane roratki (świece) przygotowało upominki dla ubogich dzieci. Zwyczaj przetrwał. Świece rozprowadzają księża i organizacje charytatywne, w tym Caritas. W bogactwie ludowych zwyczajów, szczególnie dotyczących zamążpójścia, są i takie, które mają początek w Adwencie: wracające z kościoła panny pytały napotkanych mężczyzn: „roracie, roracie, jak na imię macie?" Odpowiedź była wskazówką, pod jakim imieniem szukać męża. Zwyczaj znalazł odbicie w przysłowiach:

Kto się zaleca w adwenta, będzie miał żonę na święta.
W Adwencie same zięcie,
w karnawale nie ma wcale.

Rytuały dotyczyły również zajęć gospodarskich, według nich należało zaniechać prac polowych, ponieważ:

Kto ziemię w adwent pruje, ta mu trzy lata choruje.
W Adwenta spoczywa ziemia święta.

Współczesnym uzasadnieniem jest zalecenie agrotechniczne, by ziemię na zimę zostawiać w tzw. ostrej skibie lub obsianą oziminą.

W wymiarze zarówno świeckim, jak i religijnym w czasie Adwentu spotkano się w domach do skubania pierza, przędzenia, łuskania fasoli, robienia ozdób. Był to dobry czas wspólnej modlitwy i religijnego śpiewu, ale również niesamowitych opowieści, sąsiedzkich ploteczek i swatania, kojarzenia par. Pod okna często przybiegali kawalerowie z umazanymi sadzą twarzami, w przebraniu, aby postraszyć panny. W niektórych regionach nazywano ich podłaźnikami, a Adwent na wschodnich rubieżach nazywano czasem swadziebnym. Na Pomorzu i Kaszubach chodzili przebierańcy nazywani gwiôzdkami z gwiżdżem, bębenkami, piszczałkami oraz słomianym batem na niegrzeczne dzieci i workiem łakoci dla grzecznych, dobrze znających pacierz. Gdzie indziej, na przykład w okolicach Pińczowa, trzeba było zebrać, począwszy od św. Łucji do Wigilii 12 nadpalonych szczap. Rozpalano z nich w Wigilię ogień, rozgrzewano na nim cegłę, w którą trzeba było uderzyć nowym sierpem. Kobieta, która przyszła na „wezwanie" pojawiającej się iskry, była uosobieniem czarownicy. Goszczono ją, aby zapewnić zdrowie żywemu dobytkowi. Tam również w dzień św. Łucji wróżono urodzaj na przyszły rok. W tym celu napełniano wodą butelkę, a w dzień Wigilii sprawdzano, ile jej ubyło. Jeśli dużo, było to wróżbą suszy i nieurodzaju. Odliczano również dni od Łucji do Wigilii zapisując pogodę. Kolejne dwanaście dni odpowiadało dwunastu miesiącom.

Wieniec adwentowy przygotowany przez panią Justynę Fryzowską.

We wszystkich regionach w czasie Adwentu obowiązywał post, rezygnowano z tłuszczu zwierzęcego na rzecz olejów roślinnych, w tym popularnego oleju lnianego. Szynki, kumpiaki, kiełbasy i inne rarytasy musiały poczekać do Bożego Narodzenia. Ale wtedy smakowały wybornie. Zaraz po pasterce można było pójść do spiżarni po kawałek kiełbasy i zaczynało się świętowanie.

Jasełka, kolędnicy, turonie

Coraz rzadziej w okresie od św. Szczepana do Trzech Króli, lub jak dawniej do Gromnicznej, spotkać można kolędnicze grupy z gwiazdą, turoniem albo jasełkowym przedstawieniem. Kiedyś wędrujące przez wsie od domu do domu były prawdziwą bożonarodzeniową atrakcją, szczególnie dla dzieci i panien, dla których takie odwiedziny były potwierdzeniem atrakcyjności. Dziś to już rzadkość, a panny w innych miejscach szukają rozrywki. Jednak dzieciaki z wiejskiej świetlicy w Objeździe kolędowały we wsi, a w kościele po mszy z przejęciem przedstawiały swoje role, śpiewały kolędy, a pani świetliczanka razem z nimi. Żałuję, że przedstawienie ze świetlicy nie będzie prezentowane w X Przeglądzie Jasełek Szkół Podstawowych Gminy Ustka. Pojemniejsza formuła przeglądu byłaby urozmaiceniem i okazją do wspólnej zabawy i inspiracji. Zjechały do szkoły w Objeździe dziecięce grupy kolędnicze z Wytowna, Zaleskich, również gospodarze przygotowali się do konkursu. Powołano jury, publiczność zasiadła w obszernym holu, przegląd o formule konkursu rozpoczęty.

Jasełkowa tradycja ma franciszkański rodowód. Uważa się powszechnie, że twórcą pierwszego misteryjnego przedstawienia o narodzeniu Jezusa był św. Franciszek z Asyżu. W klasztorze - pustelni Greccio, na zboczu góry, w roku 1223 po raz pierwszy urządził szopkę z figurami Dzieciątka, Maryi, Józefa. Do Polski zwyczaj urządzania szopki i jasełek dotarł w drugiej połowie XV wieku za sprawą franciszkanów. Świadectwo znajduje się w dziele Filipa Kallimacha „Życie i obyczaje Grzegorza z Sanoka": „kanonicy jego, jakoby jakimiś nowymi a pełnymi zabobonów nabożeństwami ściągali do siebie lud i dowodzili, że właśnie wskutek tego inne kościoły są mało uczęszczane, bo każdy żądny widzenia nowych rzeczy biegnie tam, nie tyle z uczucia religijnego, ile z chęci widowiska, zwłaszcza, gdy oni w dzień Bożego Narodzenia wystawiają w kościele wołu, osła i żłóbek z Dzieciątkiem, rzekł im Grzegorz: „I wy to samo możecie zrobić, a nawet, jeśli wam się podoba, dodajcie pasterzy i owce w radosnych dokoła podskokach. Któż bowiem powstrzymuje albo przynajmniej ma powstrzymać rozbudzanie w ludziach w jakikolwiek sposób pobożności i religijności, którą wy mi każecie ograniczać."

Nazwa jasełek wywodzi się od jasła, a była to „drabinka zbita z desek, służąca do zakładania paszy dla bydła", a jasełka to „widowisko sceniczne lub kukiełkowe, mające za treść narodzenie Chrystusa, szopka", lub „figurki przedstawiające narodzenie Chrystusa, stawiane w kościele w okresie Bożego Narodzenia". Jasło wywodzi się od prasłowiańskiego czasownika jesti, czyli jeść. Według „Nowego słownika etymologicznego języka polskiego" Krystyny Długosz-Kurczabowej nazwa jasełka od XV wieku oznaczała żłóbek, w którym narodził się Pan Jezus. Zwyczaj urządzania jasełek szybko się spopularyzował. Do misteryjnego, o ustalonym schemacie zdarzeń widowiska religijnego poczęto wprowadzać świeckie treści: narodowe, regionalne, wreszcie ludyczne. Jędrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów" w części „Jasełka" pisał: „(...) przeto reformaci, bernardyni i franciszkanie dla większego powabu ludu do swoich kościołów jasełkom przydali ruchawości, (...). Tam Żyd wytrząsał futrem pokazując go z obu stron, jakoby do sprzedania, które nadchodzący znienacka żołnierz Żydowi porywał. (...) Gdy taka scena zniknęła, pokazała się druga, na przykład: chłopów pijanych bijących się pałkami albo szynkarka tańcująca z gachem i potem od diabła razem oboje porwani, albo śmierć z diabłem najprzód tańcująca, a potem się bijące z sobą i w bitwie znikające.(...) Kościoły napełnione bywały spektatorem, podnoszącym się na ławki i na ołtarze włażącym. (...) Takowe reprezentacje ruchomych jasełków bywały, prawda, w godzinach od nabożeństwa wolnych, to jest między obiadem i nieszporami, ale śmiech, rozruch i tumult nigdy w kościele czasu ani miejsca znajdować nie powinien. Dlaczego, gdy takowe reprezentacje coraz bardziej wzmagając się doszły do ostatniego nieprzyzwoitości stopnia, książę Teodor Czartoryski, biskup poznański, zakazał ich, a tylko pozwolił wystawiać nieruchawe, związek z tajemnicą Narodzenia Pańskiego mające. Po którym zakazie jasełka, powszedniejąc coraz bardziej, w jednych kościołach zdrobniały, w drugich wcale zostały zaniechane."

Dlatego od 1736 roku w kościołach pozostały nieruchome szopki, a widowiska jasełkowe urządzano w karczmach, prywatnych domach szlacheckich i chłopskich, wreszcie wyszły na ulice miasteczek i wsi. Stały się elementem regionalnego folkloru, rodzajem teatru ludowego, łącząc treści religijne i regionalne, polityczne, historyczne, społeczne. Różne były sposoby kolędowania, ale zawsze kanwą były sceny biblijne opowiadające o Narodzeniu Pańskim. W wielu regionach w kolędniczej grupie był Herod, turoń, czyli rzeźbiony barani lub capi rogaty łeb z ruszającą się dolną

szczęką. Zawsze był Herod i śmierć. Każda z postaci wnosiła własne symboliczne znaczenia. Kolędnicy wygłaszali swe kwestie, śpiewali kolędy, zachęcając do wspólnego śpiewu, i bawili muzyką, najczęściej skrzypkami. Nie używano akordeonu, ponieważ nie jest to instrument o ludowym pochodzeniu. Na koniec domownikom życzono pomyślności i Bożych łask, a w niektórych regionach obsypywano ziarnem na wróżbę dobrobytu i urodzaju. Zwyczaj kolędowania wszedł na dobre do tradycji i nawet nieszczęścia narodowe go nie wykorzeniły. Jasełka przetrwały, przechowując najdawniejsze zwyczaje i obrzędy, były rodzajem skarbca, do którego niebawem sięgną profesjonalni twórcy.

Zainteresowanie kulturą chłopską w okresie Młodej Polski, często prześmiewczo zwane „chłopomanią", przyniosło literaturze polskiej „Betlejem polskie" - widowisko jasełkowe Lucjana Rydla. Skomponowane zostało ze starych ludowych tekstów, ale autor wprowadził do przedstawienia historyczne postacie królów Polski, przedstawicieli ludu, powstań narodowych, także unitów, bo wówczas ich prześladowania były najsroższe, oraz dzieci. Betlejem w jasełkach Rydla jest znakiem umęczonej rozbiorami Polski, a kolejne postacie opowiadają o cierpieniu narodu. Tekst kończy się prośbą Matki Bożej do Syna:

„Grzeszni są, Panie, lecz w piekielnej pysze,
Stokroć są gorsi ciemiężcę zuchwali,
Ich serce jadem nienawiści dysze
W piersiach ze stali.
Grzeszni są, Panie, lecz sto lat pokuty,
Sto lat niewoli przetrwali za terę,
A duch wynieśli jadem niezatruty
I żywą wiarę!
Grzeszni są, Panie,
Łecz Ty, co przyrzekasz:
„Ja nadłamanej trzciny nie dołamię";
Na prośbą Matki - już ich dłużej nie karz,
Powściągnij ramię!
Na żywot Matki, na piersi matczyne,
Które Cię karmią, na krzyż Twój i mękę
Błagam: Odrodzin przybliż im godzinę! Podaj im rękę!"

Dwudziestego ósmego grudnia 1904 roku zespół warszawskiej „Reduty" wystawił „Betlejem polskie" we Lwowie, a przedstawieniu towarzyszyła patriotyczna atmosfera. Piątego stycznia 1905 roku

odbyła się premiera w Krakowie (w małym Teatrze Ludowym przy ul. Krowoderskiej). Z inspiracji jasełkami powstało wielkie dzieło, wydane drukiem w 1931 roku: „Pastorałka. Misterium ludowe w układzie Leona Schillera" z muzyką Leona Schillera i Jana Maklakiewicza. Widowisko składa się z pieczołowicie zbieranych biblijnych, ludowych i anonimowych tekstów i śpiewów. „Pastorałka" miała premierę w 1922 roku przygotowaną przez teatr „Reduta" w salce na trzysta miejsc Teatru Narodowego. „Dekoracje skromne: gwiazda i kołyska malowana po krakowsku, płoną świece. (...) Ukazuje się barczysty, okryty liśćmi Stefan Jaracz - Adam z raju. Maria z Józefem szukają schronienia. Kolędnicy śpiewają zwyczajnie, bez techniki wokalnej. Schiller gra na fortepianie." Przedstawienie wpisało się w nastrój patriotyczno-religijnego uniesienia po odzyskaniu niepodległości. Przez dwa sezony „Pastorałka" wędruje przez Kresy Wschodnie.

„Z nieufnością poszedłem w grudniu 1922 roku na próbę generalną „Pastorałki" Leona Schillera. - Cóż za niespodzianka! Pomieszanie rozczulenia z podziwem. Do dziś pamiętam przedstawienie. (...) A nade wszystko ten nastrój przejęcia się najgłębszego polskimi ludowymi tradycjami i stworzenie tej wielkiej artystycznej prawdy i prostoty. To było prawdziwe cudo" - pisał Jarosław Iwaszkiewicz. Pastorałka na stałe zagościła na scenach polskich, lecz nowe okoliczności historyczne sprawiły, że do jasełkowych motywów profesjonalny teatr powrócił na nowo piórem Ernesta Brylla, śpiewogrą „Kolęda-Nocka" (z muzyką Wojciecha Trzcińskiego), która powstała po sierpniowych strajkach 1980 na Wybrzeżu. Premiera odbyła się 18 grudnia 1980 roku w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Przedstawienie reżyserował Krzysztof Bukowski.

Równolegle funkcjonował zwyczaj kolędowania i wystawiania jasełek. Z dzieciństwa pamiętam, jak w styczniowy wieczór wędrowaliśmy do Gardny, gdzie w wiejskiej świetlicy artyści amatorzy wystawiali jasełka, włączając śpiewem wszystkich obecnych. Dziś miejscem pielęgnowania ludowych tradycji są szkoły i wiejskie świetlice, rzadziej koła gospodyń wiejskich. Dlatego cenna jest inicjatywa Zespołu Szkół Samorządowych w Objeździe realizowana przez panią Mariolę Krawiec przy wsparciu dyrektora Jacka Goreńskiego. Każde widowisko prezentowane w X Przeglądzie miało inny charakter. Serca jurorów i widowni zdobyła grupa pierwszoklasistów pod opieką pani Teresy Kowalczyk ze szkoły w Wytownie. Forma kukiełkowego przedstawienia była doskonałym wyborem dla dziecięcego zespołu, nawiązywała w naturalny sposób do ożywionej szopki z franciszkańskiej tradycji. Hania Penk,

Zespół jasełkowy ze szkoły w Objeździe pod opieką pań Wiesławy Kuczun i Marioli Krawiec.

Klaudia Żorniak, Ola Borowicz z III klasy, Zuzia Kubicz, Amelka Krawczyk, Weronika Zalewska, Kinga Knap i Nikola Sabina z VI klasy w roli lektora przedstawiły jasełka dobrze skomponowane, osadzone w tradycji, dynamiczne i ślicznie w naturalny sposób zaśpiewane.

Przedstawienie szkolnej grupy teatralnej z Objazdy pod opieką pani Wiesławy Kuczun fabułę jasełek oparło na motywie wędrówki Trzech Króli do Betlejem. Poza wyraźną metaforą drogi przebytej w poszukiwaniu Dzieciątka przez młodzież, na uwagę zasługuje element edukacji bezpieczeństwa na drodze. Królowie otrzymują odblaskowe kamizelki na długą wędrówkę po współczesnych drogach. Przedstawienie było dynamiczne, czasem nadmiar ruchu wydawał się chaosem, ale w interpretacji może się okazać to zabiegiem celowym. W chaosie współczesnego świata znaleźć własną drogę do żłóbka jest nie lada wyzwaniem.

W jasełkowym przedstawieniu szkoły w Zaleskich wykorzystano motyw walki dobra ze złem, aniołów i diabłów. Walka

o zbawienie ludzi przybrała formę dysputy z motywami kolęd, co z założenia dawało przedstawienie statyczne. Żłóbek jako znak Bożego Narodzenia pozostał w sensie dosłownym i metaforycznym na drugim planie, dlatego przedstawienie wydało mi się adwentowym, a brak wyraźnej puenty pogłębił to wrażenie.

Pod koniec stycznia 2017 roku w niedzielne popołudnie z inicjatywy ks. Mariusza Drogosza, przy współudziale Centrum Kultury Gminy Ustka odbył się w kościele w Objeździe koncert kolęd i pastorałek. Przed księdzem proboszczem, wójtem gminy - panią Anna Sobczuk - Jodłowską i wiernymi wypełniającymi po brzegi wiejski kościółek wystąpili: Adaś Przystawski, Roksana Białek, Joanna Płatwa, Małgorzata Kargul, Anna Kuźmińska oraz zespoły: „Babiniec" z Rowów, „Kwiat Paproci" z Machowina, „Retro" z Charnowa, „Ludowy Zespół Pieśni i Tańca „Pomorzacy", „Echo Objazdy" z Objazdy.

Koncert zyskał status „I Przeglądu Kolęd i Pastorałek Gminy Ustka".

Boże Narodzenie

gdzie drogą śniegiem zawianą
świerk zapachem prowadzi
wiejskie dzieciaki w progi
z kolędą i życzeniami

gdzie stół pod białym obrusem
na nim opłatek na sianie
i miejsce dla nieobecnych
ręce z uśmiechem splecione

gdzie wiejski kościół jak szopkę
gwiazda Oriona złoci
i śpiew w niebo uderza
wśród nocnej ciszy

jest nasze Betlejem

Bajstruk

Zupełnie niedawno od potomka „plemieńca" (kto zna znaczenie?) mego ojca dostałam informację dotyczącą rodzinnych zaszłości. „Józia, siostra Julii pracowała jako służąca w Słobódce u jakiegoś wojskowego. Pech chciał, że od tej „pracy" urodziła nieślubne dziecko. Przed wojną był to olbrzymi ciężar na honorze dziewczyny i już nie mogła liczyć na małżeństwo. Julia nawet prosiła babcię Emilię, aby dziewczynkę adoptować i ustrzec od hańby. Stanęło jednak na tym, że do tej „transakcji" nie doszło". Weronika przeżyła życie z piętnem bajstruka, o czym jej rówieśnicy skrzętnie pamiętali i nie omieszkali wykorzystywać. Świadczy o tym otrzymana przeze mnie informacja.

W języku funkcjonowały pogardliwie określenia bękart lub bastard w odniesieniu do dziecka nieślubnego, zwłaszcza potomka królewskiego ze związku pozamałżeńskiego (SJP) albo bajstruk (kresowy regionalizm), ale też bastrzę, pokrzywnik, wylęganiec, podrzutek, najduch, najdus - czyli dziecko z nieprawego łoża. Także bąk lub siubr. Była to rzeczywiście skaza, jeśli dziewczyna była uboga, a jedynym jej posagiem była uroda i dziewictwo, nie wiedzieć czemu cenione jak złoto. Nikomu nawet się nie śniło, by obarczać odpowiedzialnością mężczyznę. Przypadki chodzą po ludziach, a nieślubne dzieci rodziły się nawet królom, lecz honor królewski miał wymierne cechy.

Kazimierz Wielki nie stronił od dam i był miłośnikiem ziemskich uciech, pamiętano go jako kobieciarza. Jednak dopiero Jan Długosz odnotował jedną z jego licznych kochanek, Żydówkę Esterkę. Czasy to odległe, a czy Esterka naprawdę istniała, spierają się historycy. Oswald Balzer twierdził na przykład, że matką nieślubnych dzieci Kazimierza Wielkiego była Cudka, żona Niemierzy z Gołczy, kasztelana sieciechowskiego.

Zygmunt (Jagiellończyk), późniejszy król znany jako Stary, pokochał Katarzynę Ochstat ze wsi Telnice na Morawach. Z tego nieformalnego związku Katarzyna urodziła troje dzieci, syna Jana (późniejszego biskupa wileńskiego -Jana de Ochstat) oraz córki Reginę i Katarzynę. Jedna z najważniejszych postaci renesansu, Erazm z Rotterdamu, urodził się jako nieślubne dziecko księdza i córki lekarza. Przykłady można by mnożyć. Nieślubne dzieci mieli

władcy, duchowni, pisarze, o ich losie i ich matek sporo informacji znajdziemy w literaturze.

Zmiany w sposobie postrzegania nieformalnego macierzyństwa następowały powoli, ale wyraźnie w ciągu stuleci XVI do XIII. Jednak w plebejskiej obyczajowości samotne macierzyństwo piętnowało kobietę jeszcze w połowie XX wieku, a i współcześnie nie jest powodem chwały. Były obszary, gdzie na chrzcie dzieciom z nieprawego łoża nadawano określone, stałe imiona. Stare księgi parafialne dostarczają cennych, acz niechwalebnych informacji. Jan Stanisław Bystroń („Księga imion w Polsce używanych", 1938) podaje, że kiedyś nieślubnym dzieciom nadawano „z urzędu" dziwaczne imiona. W okolicach Starego Sambora nieślubne dzieci nosiły imiona Kassjan, Nicefor (Ancyfor), Tytus (Tyfus), a dziewczynki imię Matrony. Podobnie na Pokuciu księża nadawali „odróżniające" imiona: Karpan, Markian, Fteopumpt, Ksenofont, Onysyfor, Akepsym, Amfyłoch, Aftanazy, Sofron, Kieryło, żeńskie: Fifrona, Jewhenija, Ahaftija, Hłykenia, Orynka, Kieryna, Mokra.

Minął tamten czas. Prawo, ekonomia, kultura wymuszały zmiany obyczajowe, nastawienie społeczne. Współcześnie samotne macierzyństwo jest często świadomym wyborem. Jaki wpływ na rodzaje macierzyństwa i „tacierzyństwa" będą miały nowe przepisy w sprawie urlopów macierzyńskich i wychowawczych? Gazety podają news statystyczny: 20,6 proc. dzieci w Polsce w 2010 roku urodziło się w związkach nieformalnych, a dwadzieścia lat wcześniej było ich 6,2 proc. W tym czasie w krajach Unii Europejskiej liczba nieślubnych dzieci się podwoiła, u nas wzrosła trzykrotnie.

Wracając do rodzinnej sprawy. Czy fakt wykorzystania dziewczyny nie splamił oficerskiego munduru? Nikt o tym nie wspomina. Poza utworami literackimi Zofii Nałkowskiej i może Juliusza Kadena-Bandrowskiego dającymi obraz wojska na „odzyskanym śmietniku".

Kupa radości

Kiedy rodzą się dzieci, radości i świętowaniu nie ma końca. Już przed rozwiązaniem według obcej mody przyjaciółki lub krewne mamy in spe organizują baby shower. Fruną zaproszenia, ustala się menu, przesyła listę prezentów od drobiazgów do większych sprzętów, jak przewijak, nosidełko, nierzadko wózek. Od wielu lat zmienia się wiek mam. Rodząca pierwsze dziecko w 2014 roku według statystyki miała blisko dwadzieścia osiem lat, podczas gdy w 1990 statystyczna Polka rodząca pierwsze dziecko była dwudziestotrzylatką. W Unii Europejskiej w 2013 roku mediana wieku kobiet, które zostały matkami po raz pierwszy, wyniosła prawie dwadzieścia dziewięć lat.

Dzieci chętnie rodzą się latem, 27 procent maluchów w 2014 roku urodziło się w czerwcu, lipcu, sierpniu. Najmniej w miesiącach jesienno-zimowych. Najczęściej przychodzą na świat od wtorku do czwartku, nieliczne są niedzielne dzieci - o czym informuje GUS. Według tych samych badań województwo pomorskie należy do najmłodszych, ponieważ udział młodzieży w ogólnej populacji wynosi ponad 19 procent. W 2013 roku województwo pomorskie miało największe (po mazowieckim) tempo przyrostu rzeczywistego (+ 0, 17 proc.).

Również bez badania i statystyk, w perspektywie własnego życia obserwuję zmiany zachodzące w rodzinach. Jeszcze w połowie

Na chrzcinach Tadeuszka u Wieliczków, lata 50.

ubiegłego wieku w przewadze były wielodzietne - od trojga do kilkanaściorga dzieci, a młode kobiety rodziły w wieku osiemnaście - dwadzieścia pięć lat. Przeciętna trzydziestolatka miała kilkoro dzieci. Minęły te czasy. Minęły czasy, kiedy przesądy nakazywały przyszłej matce ostrożność. Nie przechodziła więc pod linkami z praniem, by dziecko nie owinęło się pępowiną. Kiedy się przestraszyła, w żadnym razie nie mogła dotknąć twarzy, by dziecka nie narażać na szpecące znamię. Nie wolno było wstawić łóżeczka do domu przed szczęśliwym rozwiązaniem. Wraz z przesądami minęły flanelowe kaftaniki, tetrowe pieluchy, ucierane mleczko z niebieskiej torebki.

Współczesna ciężarna przed, w czasie i po połogu cieszy się licznymi przywilejami, włącznie ze szczerym zainteresowaniem polityków, przed wyborami głównie. Jej stanowi, który ongiś zwano błogosławionym, towarzyszy położnik z wyposażonym w nowoczesny sprzęt gabinetem i koleżanki z internetowych forów. Często jest tak, że sama wybiera sposób rozwiązania - przez cięcie lub naturalnie. Piszę o tym, w rodzinie bowiem nastał czas świętowania, którego jestem mimowolnym świadkiem z zacięciem nostalgicznym. Wspominam z moją osiemdziesięciosiedmioletnią mamą czas, kiedy jako dwudziestolatka zza Buga urodziła dziecko w domu przy pomocy wiejskiej akuszerki. Przyniósł ją do domu na własnych plecach brat męża rodzącej. Była sroga śnieżna zima, konie z saniami utknęły na mostku kilkadziesiąt metrów od domu, a czas naglił. Akuszerka wyszła z domu w lekkich butach, najpewniej by odmroziła nogi. Cóż było robić! Dzięki Bogu wszystko zakończyło się szczęśliwie i pierwsze dziecko w repatriancko-osadniczej rodzinie przyszło na świat. Niewiele później młoda matka wybrała się do kościoła, który jeszcze niedawno był ewangelicką świątynią, by omówić z księdzem sprawę chrztu córeczki. Weszła i od razu spotkała się z konfuzją.

- Wróć i czekaj przed zakrystią.

Zrobiła, co nakazał ksiądz, choć poczuła się upokorzona. Nikt jej wcześniej nie powiedział, że nie może wejść do kościoła przed wywodem. Rozpadł się cały świat, ale, okazało się, zwyczaje przetrwały. Wywód był ceremonią rodzinną i kościelną wprowadzającą kobietę po połogu, około 40 dni po porodzie, w zwykły rytm życia. Kobieta wchodziła do kościoła odświętnie ale skromnie ubrana, z głową nakrytą chustką, z zapaloną gromnicą, jeśli było możliwe bocznym wejściem, a ksiądz, po pokropieniu święconą wodą, dawał jej do pocałowania stułę. Potem przechodziła do głównej części kościoła i przed ołtarzem odmawiała z kapłanem oczyszczające ją modlitwy, następnie całowała podany krzyż.

Większość kobiet uczestniczyła w obrzędzie, który miał bardzo stary rodowód. Jego pierwowzorem były prawa przekazane Mojżeszowi, ich treść znajduje się w Starym Testamencie (Kpł. 12, 1-8, Przepisy dotyczące czystości położnic). Nakaz powstrzymania się od pracy, zwolnienie z domowych obowiązków i kontaktów z obcymi były ochroną kobiety i troską o jej zdrowie. Wynikał bardziej ze względu na osłabienie położnicy po ciąży i porodzie niż z „nieczystości". Jednak w wielu religiach poród uznawany był za zdarzenie „nieczyste", a wywód nie był tylko aktem wiary, ale także zwyczajem o podwójnym znaczeniu: oczyszczającym i dziękczynnym. Jednocześnie było to błogosławieństwo dla młodej matki.

W Kościele Katolickim rytuał ten został ustanowiony na pamiątkę oczyszczenia Matki Bożej, stosownie do słów Pisma Świętego: „Gdy upłynęły dni oczyszczenia Maryi według Prawa Mojżeszowego, rodzice przynieśli Jezusa do Jerozolimy, aby Go przedstawić Panu" (Łk 2,22). Liturgiczne wspomnienie tego wydarzenia przypada 2 lutego, kiedy świętujemy dzień Matki Boskiej Gromnicznej, stąd w obrzędzie wywodu młoda matka wchodzi do kościoła ze świecą.

Współcześnie częściej zamiast obrzędu wywodu podczas pełnej ceremonii chrztu kapłan prosi matkę z dzieckiem do ołtarza, by udzielić jej błogosławieństwa. Ojciec Święty Benedykt XVI, ogłaszając w roku 2007 Motu Proprio Summorum Pontificum postanowił, iż „Proboszcz, po uważnym rozpatrzeniu wszystkiego, może także dać pozwolenie na użycie bardziej starożytnego obrzędu w przypadku udzielania sakramentów chrztu, małżeństwa, pokuty i namaszczenia chorych, jeśli doradza to dobro dusz" - pisze Paweł Milcarek - redaktor naczelny kwartalnika „Christianitas", przytaczając artykuł z tzw. chrzestnika. Chrzest może mieć i inną formę, mniej ceremonialną. W takim uczestniczyłam ostatnio w Ustce. Krótka modlitwa, obrzędy chrztu i Szczęść Boże. Jakieś 15-20 minut. Zastanawiałam się do czego potrzebne były karteczki z podpisem księdza spowiednika.

O obrzędzie wywodu wie niewiele współczesnych kobiet, nawet w Objeździe, gdzie przez wiele lat zwyczaj był praktykowany, a szkoda, bo warto znać historię wielkich zdarzeń, ale także codziennego życia w zupełnie niedawnej przeszłości. Pamięć o niej jest wartością samą w sobie.

Wrócę na moment do statystyk i ich suchych faktów. Gmina Ustka należy do najmniej zaludnionych, z liczbą 38 mieszkańców na kilometr kwadratowy. Tymczasem w Polsce na 1 kilometrze kwadratowym powierzchni mieszkają 123 osoby. Pod względem liczby ludności Polska znajduje się na 33. miejscu wśród krajów świata i na 6. w krajach Unii Europejskiej. Tylko latem u nas tłoczno. Cóż, zmieniają się zwyczaje, a dzieci wciąż się rodzą i to się nie zmienia. Chwała Bogu.

Gromniczna

Jeszcze do tej pory są domy, w których gromnica jest niezwykle ważna, towarzyszy rodzinie w chrztach i przy śmierci, przechowuje się ją pieczołowicie i używa w trudnych rodzinnych sytuacjach. O znaczeniu niezwykłej świecy w dawnych wiekach pisał autor „Encyklopedii staropolskiej", Zygmunt Gloger: „W każdym też (domu) polskim, zarówno pańskim jak kmiecym, była gromnica i palma, na krzyż nad łóżkiem związane. W domach magnatów miewano gromnice przez papieża poświęcane i rozdarowywane. Po niektórych rodzinach zachował się dotąd stary obyczaj palenia gromnicy przed obrazem Bogarodzicy w każdy dzień uroczystości poświęconej czci N. M. Panny."

Piotr Stachiewicz: „Matka Boska Gromniczna".

O niesłabnącym znaczeniu gromnicy w późniejszym czasie świadczą liczne zapisy w literaturze i osobistych wspomnieniach prostych ludzi. Pamiętnego 10 lutego 1940 roku w daleką, nieznaną drogę do Soługi na Syberii zabrała ją matka Aleksandra Kalisty. Kilkunastoletni wówczas Aleksander tak o tym opowiadał: „Baraki stały na małym pagórku. Ogólnie było ich, jak się nie mylę, dziesięć albo dwanaście - w różnych rozmiarach. Taka była prawda, to było nasze miejsce zamieszkania prze półtora roku, a dużo zostało tam na zawsze. (...) Wiele godzin trwał ten rozładunek, tego nie pamiętam. Pamiętam, że jak zapadł zmrok, to już znaleźliśmy się w baraku na tej ogólnej sali. Tam każda rodzina zajęła swoje miejsce, na którym dla całej rodziny stały prycze zbite z desek. To był mebel, który służył jako sypialnia, pokój stołowy oraz do wszelkich wygód. Nie pamiętam z jakiego oświetlenia tego wieczoru ci wszyscy ludzie korzystali: czy lamp naftowych, czy to były świece i kto to zorganizował - tamtejsza kadra czy z naszych rodzin. Możliwe, że mieli świece albo może to były gromnice, które przeważnie każda polska rodzina miała."

Powszechnie stawiano gromnicę w oknie podczas burzy, stąd też jej nazwa, bo wierzono, że chroni przed gromem lub jak kto woli

piorunem. Umierającemu wkładano ją do rąk, by jej światło prowadziło w lepszy świat.

„Gdy życie nasze dobiegnie do końca,
Gdy Bóg ostatnie godziny policzy,
Niech nam zaświeci, jak promienie słońca,
Światło gromnicy.
Gdy nasze czoło pot śmiertelny zrosi,
Gdy nasze łoże obstąpią szatani,
Twojej obrony niech każdy uprosi -
Gromniczna Pani!
Kiedy nad nami zawisną czarne chmury,
Gdy na wsze strony lecą błyskawice,
Gdy ciemność straszna od dołu do góry:
Święćmy gromnicę! (...) -"

pisał ludowy poeta z Limanowszczyzny Józef Strug.

Położnice trzymały ją w ręce podczas obrzędu wywodu, na pamiątkę oczyszczenia Matki Bożej, stosownie do słów Pisma Świętego: „Gdy upłynęły dni oczyszczenia Maryi według Prawa Mojżeszowego, rodzice przynieśli Jezusa do Jerozolimy, aby Go przedstawić Panu" (Łk 2,22). Święto, zwane pierwotnie Oczyszczeniem Najświętszej Maryi Panny lub Ofiarowaniem Jezusa prawdopodobnie znane było już w IV wieku. W tradycji polskiej od wieków obchodzone jest 2 lutego i nazywane jest świętem Matki Bożej Gromnicznej.

W Objeździe matki stawały do wywodu trzymając w ręce gromnicę. Pamiętają ten zwyczaj starsze kobiety, opowiadała mi o swoim przeżywaniu wywodu moja matka, Regina Turek. To połowa zimy, okres ciemności, zimna i, dawniej, strachu przed wilkami szukającymi pożywienia w pobliżu ludzkich obejść. Taki zapewne kontekst towarzyszył powstaniu „Legendy o Matce Bożej", która światłem gromnicy przegnała wilki sprzed wiejskiego obejścia. W latach 1892-1893 malarz pochodzący z galicyjskiej wsi - Piotr Stachiewicz podjął malarsko temat „Legendy", i zdobył krakowską Nagrodę im. Barczewskiego przyznawaną przez Akademię Umiejętności. Reprodukcje obrazów Stachiewicza do „Legend" ukazały się na kartach pocztowych tuż przed wojną, teraz są antykwarycznym rarytasem.

Pamiątką dawnych wierzeń ludowych związanych z Gromniczną są też przysłowia meteorologiczne, jak te: Gromnica, zimy połowica; Gdy słońce świeci na Gromnicę, to przyjdą większe mrozy

i śnieżyce; Gdy na Gromniczną mróz, chowaj chłopie sanie, szykuj wóz; Na Gromniczną zima, mróz, do skrzyni kożuch włóż; Znane było również praktyczne przysłowie matrymonialne: W dzień Panny Gromnicznej, bywaj zdrów, mój śliczny!

Przygotowanie wesela i wyprawy panny młodej wymagało czasu i starań, więc na zaloty wobec zbliżającego się postu było stanowczo za późno!

W tradycji ludowej w uroczystość Matki Bożej Gromnicznej kończy się śpiewanie kolęd, ostatecznie znikają żłóbki i choinki, mimo że już wcześniej kończy się liturgiczny okres Bożego Narodzenia, to znaczy w święto chrztu Pana Jezusa, czyli tydzień po Trzech Królach. Tak zatem mimo zimowej aury gromnicę zdobi się asparagusem, rutą, barwinkiem, paprocią lub po prostu świerkiem, przewiązuje pasmem lnu i czerwoną wstążką na znak królewskiej szaty Chrystusa. Współcześnie spotyka się wstążki niebieskie (kolor Maryjny) lub żółte - kolor papieski. Na Podlasiu święcono też błażejki (3 lutego Błażeja) - suszone jabłka i gruszki na małych świeczkach owijanych pasemkami lnu. Susz pomagał na ból gardła, trzeba było zjeść lub przyłożyć pod szczękę.

Zarówno ludowe wierzenia, jak i wymiar liturgiczny święta Gromnicznej w pięknym liryku zamknęła Kazimiera Iłłakowiczówna:

„O Panno prześliczna, gromniczna!
Pod ogień Twój święcony,
wiszący nad woskiem gromnic,
przez las kolący i wyjące wilki,
idę bez wszelkiej obrony:
Nie módl się, ani się przyczyniaj,
ale tylko wspomnij!
Ty, coś rodziła Dziecię bez ognia i dachu,
a przez ucieczkę uszła od zamachu
i potem całe życie wyczekała w lęku
na Syna mękę. (…)
I nie módl się, Najświętsza Panno,
Gwiazdo szczęśliwego, krótkiego konania,
nie módl się, Zorzo łask, nie osłaniaj,
tylko wspomnij."

W dawnym świętowaniu obrzędy i wierzenia ludowe splatały się z liturgicznym przesłaniem, obszar sacrum wnikał w codzienność, zwano go ludową religijnością, ale budował wartości i zasady życia ludzi, wspólnot rodzinnych, wiejskich i społecznych.

Plebania w Objeździe w nowo powstałej parafii została zbudowana staraniem pierwszego proboszcza ks. Stanisława Fortuńskiego.

Nie proponuję przykładania suszonych jabłek, choćby poświęconych, na ból zęba. Lepsza wizyta u dentysty! Żal mi jednak magii dawnego życia, codzienności powtarzalnej, a niecodziennej.

Wieczna zmienność

to tylko wieczna zmienność
cokolwiek się stanie
nie sądź że koniec świata
kwiat lipy odwiedzi pszczoła
miodem lato zapachnie
na chwilę
przysiądziemy na progu
spleceni na wieczność
wpatrzeni w bezkres
który wabi i czeka
na kwiat lipy pszczołę
ciebie i mnie

Fasciculus myrrhae, Snopek mirry, Gorzkie żale...

Zalicza się je do arcydzieł literatury polskiej, ale w powszechnej świadomości funkcjonują jako pasyjny tekst religijny. Dziś już jesteśmy niemal pewni, że autorem jest ks. Wawrzyniec Stanisław Benik, właściwie Bönnig, urodzony w 1674 roku w Reszlu (obecnie powiat kętrzyński) na Warmii, późniejszy proboszcz w Mławie, gdzie zmarł w roku 1720 i został pochowany w krypcie księży misjonarzy w miejscowym kościele cmentarnym. Jednak w 1703 roku był członkiem Zgromadzenia Księży Misjonarzy

Paweł Chwedczuk. Kościółek w Objeździe, 2012. Własność: Czesława Długoszek.

św. Wincentego a' Paulo przy kościele Świętego Krzyża w Warszawie. Zgromadzenie powstało, gdy pierwsza grupa misjonarzy na życzenie Marii Ludwiki Gonzagi przybyła w listopadzie 1651 roku do Warszawy, a królowa ofiarowała im drewniany domek oraz kapliczkę w okolicy dzisiejszego kościoła Świętego Krzyża. Po jakimś czasie przy zbudowanym przez misjonarzy kościele powstał szpital św. Rocha, którym opiekowało się zakonne Bractwo Miłosierdzia św. Rocha pod patronatem ks. Wawrzyńca Stanisława Benika.

Gdy niebawem doszło do nieporozumienia miedzy bractwem różańcowym przy kościele o.o. dominikanów, a bractwem św. Rocha przy kościele Świętego Krzyża o prawo i sposób organizacji procesji pasyjnych, ks. Benik otrzymał ważne zadanie. Przełożony księży misjonarzy - ks. proboszcz kościoła Świętego Krzyża Michał Bartłomiej Tarło ustąpił w sporze, ale zakazał członkom bractwa św. Rocha udziału w procesjach pasyjnych, a jednocześnie poprosił trzydziestotrzyletniego ks. Wawrzyńca Stanisława Benika o stworzenie całkiem nowego nabożeństwa związanego z Męką Pańską. Ks. Benik nie był poetą, widział siebie jako skromnego, posłusznego duszpasterza, dlatego w pierwszym wydaniu „Snopka Mirry z Ogroda Gethsemańskiego albo Żałosnego gorżkiej Męki Syna Bożego, co piątek, a mianowicie podczas Pasyjej w Niedziele Postu Wielkiego po południu, około godzin nieszpornych rospamiętywania. Z przydatkiem krociuchnego nabożeństwa do Najświętszego Sakramentu (...)" z lutego roku 1707. Jedyne znane egzemplarze tego pierwszego wydania z roku 1707 przechowuje biblioteka krakowskiego klasztoru Sióstr Karmelitanek na Wesołej.

Zatem już 13 marca 1707 roku w kościele pod wezwaniem Świętego Krzyża w Warszawie po raz pierwszy zabrzmiały słowa Pobudki: „Gorzkie żale, przybywajcie, / Serca nasze przenikajcie". Nabożeństwu przewodniczył oficjał warszawski ks. Stefan Wierzbowski, w asyście wizytatora Michała Tarło. Rozpoczęły się uroczystości pasyjne, które w okresie Wielkiego Postu rozbrzmiewają w polskich kościołach po dziś. To typowo polskie nabożeństwo, zrodzone z dawnej tradycji i w niej pozostające. Z pewnością już wcześniej znane były modlitwy i pieśni o Męce Pańskiej. Autor, ks. Wawrzyniec Stanisław Benik, czerpał zarówno treść, jak i melodię ze średniowiecznych hymnów gregoriańskich, z łacińskich pasji, brewiarzowych wzorów oraz z polskich XVI-wiecznych pieśni wielkopostnych. Dla przykładu: „Smutna rozmowa" to przeróbka średniowiecznej sekwencji „Stabat Mater Dolorosa" pióra Giacopone da Todi, którą Sarmaci znali już od stulecia z przekładu Stanisława Grochowskiego; ten właśnie przekład uległ przeredagowaniu.

Kończąca Lament inwokacja „Bądź pozdrowiony" także znana była przynajmniej pół wieku wcześniej - zamykała polską „Litanię do Wszystkich Świętych". Podobnie antyfonę „Któryś za nas cierpiał rany" śpiewano na zakończenie bolesnych tajemnic różańca. Znane wcześniej polskie pieśni pasyjne z czasem dołączono do „Gorzkich żalów".

Dotychczas tradycyjnie coroczne nabożeństwo pasyjne zwane Fasciculus myrrhae (Snopek mirry) było przedstawiane przez aktorów i składało się ze śpiewań hymnów łacińskich i niektórych pieśni polskich. Nowa książeczka polska o Męce Pańskiej miała dać możność bezpośredniego śpiewu wiernych. Wśród poszukiwaczy zaginionych, a funkcjonujących w dawnej polszczyźnie wyrażeń, np. „mirrowy snopek" jest Anna Malińska, która napisała „Rzecz o Mirrowym Snopku". W poszukiwaniu znaczenia i popularności użycia w XVIII wieku". Jej praca jest częścią wydawnictwa „Bogactwo polszczyzny w świetle jej historii. T. 5" pod redakcją Joanny Przyklęk. (Wydawnictwo UŚ 2014). Wyrażenie to pojawia się w utworze „Snopek Mirrowy Naysłodszego Drzewa Krzyża Zbawiennego Pana Jezusa, Wdzięcznym y Rozlicznym Nabożeństwem Zakwitający. W Sprawiedliwym Polu, Trybunału Koronnego, Nayiaśnieyszey Rzeczypospolitey Polskiey, w Mieście Lubelskim, w Bazylice Krolewskiey Fundacyi, Wielkiego Kazimierza Króla Polskiego, u WW. OO. Braci Zakonu Kaznodzieyskiego [...] z roku 1744." Pierwowzorem muzycznym mogła być wydana w 1687 roku pasja łacińska „Fasciculus myrrhae" Giovanniego Pierluigi da Palestrina w formie motetu:

„Wiązka mirry jest dla mnie mój miły,
powinien on trwać pomiędzy moimi piersiami.
Klaster cyprys moja miłość jest dla mnie,
w winnicach Engaddi.
Oto ty jesteś uczciwy, o mojej miłości,
oto Ty jesteś sprawiedliwy,
oczy twoje są jak te gołębie."

Polska pasja zastąpiła łacińską Fasciculus myrrhae (Snopek mirry).

Wiedzieć trzeba, że nazwa „Gorzkie żale" pojawi się znacznie później, zatem warto wrócić i wyjaśnić tytuł pierwotny, czyli „Snopek Mirry z Ogrodu Getsemańskiego". Ogród Getsemani, zwany Ogrójcem lub Ogrodem Oliwnym w dosłownym tłumaczeniu oznacza tłocznię oliwek i położony jest w niewielkiej odległości

od Jerozolimy, ponadto prawdopodobnie należał do jednego z uczniów lub przyjaciół Jezusa. Tam po Wieczerzy udał się Nauczyciel i tam został pojmany i tam powiedział: „nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie". „W V wydaniu Biblii Tysiąclecia nazwa Getsemani występuje w Ewangeliach wg św. Mateusza (26, 36: „Wtedy poszedł Jezus z nimi do ogrodu, zwanego Getsemani...") i św. Marka (14, 32: „A kiedy przyszli do ogrodu zwanego Getsemani..."). Nazwa zaś Ogród Oliwny była używana w tradycyjnym polskim języku religijnym, np. ks. Eugeniusz Dąbrowski w swoim tłumaczeniu „Nowego Testamentu" z lat 40. XX w. opowiadanie o pojmaniu w Ewangelii wg św. Mateusza (26, 30 i nast.) opatrzył tytułem „W Ogrodzie Oliwnym", a jedna z pieśni pasyjnych rozpoczyna się wersem: „Ogrodzie Oliwny, widok w tobie dziwny...".

Zapowiedź męczeńskiej męki przynieśli trzej mędrcy w podarunku mirry. Według badaczy roślin biblijnych źródłem mirry wymienionej w kilku miejscach w Biblii był balsamowiec mirra, z którego samoistnie wydziela się wonna żywica zwana mirrą, a po nacięciu kory wyciek żywicy się zwiększa. Dawniej mirra była używana do balsamowania i namaszczania zwłok, jako środek leczniczy i przeciwbólowy i jako składnik kadzidła. „Gorycz mirry symbolizuje trudy ludzkiego życia. Jej lecznicze własności to aluzja do roli Mesjasza jako wielkiego uzdrowiciela, lekarza dusz i ciał ludzkich". Nabożeństwo „Gorzkich żalów" pod koniec wieku XVIII wspominał sędziwy ksiądz Jędrzej Kitowicz: „...ludzie przemiennym chorem, niewiasty z mężczyznami, śpiewają polskim językiem pieśni złożone z tajemnic Męki Chrystusowej (...). Za każdą częścią o Męce Pańskiej przydają cztery strofy z hymnu o Najświętszej Pannie Bolesnej, znajomego z początku swego „Stała Matka boleściwa", potem następuje hymn wyrażający lament duszy pobożnej nad cierpiącym Chrystusem. Po odśpiewaniu tym porządkiem ułożonych trzech lub pięciu części pasyi, śpiewają pięć razy: „Któryś cierpiał za nas rany, Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami". Zatem zaczyna się kazanie, potem procesyja, po której pieśń „Wisi na krzyżu", po pieśni „Święty Boże..."

We wszystkich kościołach w okresie Wielkiego Postu wierni śpiewają „Gorzkie żale". Nabożeństwo może mieć uroczystą formę lub, jak w małym kościółku w Objeździe, wspólnego śpiewu po mszy świetej, nie zawsze z udziałem księdza. Czy znajomość historii nabożeństwa wzbogaca religijne przeżycie? Odkrywałam z zainteresowaniem wątki, które tworzą tę historię. Zastanawiam się, czy ta wiedza powinna być powszechna, skoro „Gorzkie żale" są również tekstem interesującym literaturoznawców?

Boże Ciało na starych fotografiach

Należące do jednej parafii do roku 1989 niewielkie i niebogate budynki kościelne w Machowinie, Wytownie, Objeździe i Rowach świadczyły o skromnym życiu na pomorskiej ziemi dawniej i obecnie. Organizację życia religijnego rozpoczął ks. Jan Zieja, ale w pamięci parafian zapisali się również ksiądz Henryk Suliński i ksiądz Edmund Radtke.

W kościele w Wytownie odbywały się ważniejsze parafialne uroczystości: Pierwsza Komunia Święta, uroczystości Bożego Ciała, na które furmankami, pieszo, rowerami zjeżdżali się wierni ze wszystkich wsi. Procesja szła przez wieś i pola wokół, była ważnym wydarzeniem religijnym i towarzyskim, dawała sposobność do spotkań, rozmów, obejrzenia dokonań sąsiadów.

Dzieci przygotowano do wyjazdu na procesję Bożego Ciała do Wytowna. Poduszka z Sercem Pana Jezusa, pięknie ozdobiona,

Procesję Bożego Ciała w Wytownie prowadzi proboszcz parafii Wytowno w latach 1957-1959 ks. Roman Zięba.

Fotografia ołtarza i jej opis pochodzą z „Kroniki Objazdy" Romana Zuba.

adorowana przez niosące wstążki cztery dziewczynki należała do stałych elementów procesyjnego korowodu. Każda wieś poczytywała za zaszczyt i obowiązek wystawienie kilku poduszek. Dla rodziców było to wyrazem troski o religijne wychowanie dzieci i sprawą honoru, by dobrze się prezentowały. Dzieci sypiące kwiaty, dziewczynki z poduszkami szły przed kapłanem. Procesję prowadził ksiądz Roman Zięba, proboszcz parafii w Wytownie w latach 1957-1959.

Gałązki brzozy, którymi były ozdobione ołtarze, po przejściu procesji łamano i zabierano do domów. Wtykano je w strzechy domów i innych zabudowań, by ochronić je od pożaru i piorunów, a wkładane w narożniki stodoły oraz w zagony kapusty miały ustrzec uprawy i zbiory przed robactwem i szkodnikami. Lekkie uderzenie gałązką po twarzy i powiedzenie: „Żebyś był zdrowy" miało zapewnić zdrowie, a także wpłynąć na uspokojenie rozbrykanych dzieci.

Dziewczynki z poduszką procesyjną przed kościołem w Objeździe. Henia Wieliczkówna, Emilka i Wandzia Zamościkówny, Czesia i Janeczka Turkówny.

Ksiądz Henryk Suliński, proboszcz parafii Wytowno w latach 1952-1957 przed jednym z czterech ołtarzy w Boże Ciało 1956 roku śpiewał suplikacje, odpowiadali wierni zgromadzeni przed ołtarzem. Wspominamy „te okropne czasy", a przecież życie religijne na wsiach naszej okolicy było bogate i obejmowało całe wsie. Duża w tym zasługa kapłanów z charyzmą i radosnej, prostej religijności mieszkańców przybyłych na słupską ziemię z różnych okolic. Uroczystości religijne były okazją do poznania się, pokazania. Dziś powiedzielibyśmy - pełniły funkcje integracyjną.

Wyjazd z Objazdy na procesję Bożego Ciała do Wytowna.

Krzyże i kapliczki przydrożne

„Krzyż, który przede wszystkim jest symbolem Męki Pańskiej, stał się również symbolem polskości" - mówią. Albo: „w Polsce każde miejsce na postawienie krzyża powinno być dobre". W „Zdaniach i uwagach" Adam Mickiewicz pisał: „Krzyż wbity na Golgocie tego nie wybawi, / Kto sam na sercu swoim krzyża nie wystawi". Poeta upatrywał nieszczęść ojczyzny i własnej słabości w powierzchowności życia religijnego i, rozpaczliwie szukając głębi przeżycia religijnego, uległ sekciarskim poglądom Andrzeja Towiańskiego. Odwołanie do nieracjonalnego epizodu z biografii wieszcza przywołuje kontekst społeczny, polityczny i religijny odległej epoki. Rozbiory, klęska powstania 1831 roku, milczenie Watykanu wobec sprawy polskiej, wreszcie emigracyjny los, to wszystko przeżywane w wymiarze społecznym i jednostkowym zdecydowało o kondycji psychicznej poety, który już wtedy umarł dla literatury.

Burzliwa społeczna dyskusja o miejscu „krzyża smoleńskiego", zmusza do refleksji nad przyczynami gwałtownych napięć społecznych i w konsekwencji podziałów i alienacji. Społeczna frustracja, upadek autorytetów, wreszcie nie dające się wyjaśnić w prostych racjonalnych kategoriach tragiczne smoleńskie zdarzenie wywołały religijno-patriotyczną egzaltację wymagającą rozładowania. Towarzyszy temu konieczność nadania sensu tragicznym zdarzeniom i poszukiwanie charyzmatycznego przywódcy jako gwaranta oczekiwanych zmian. Okazuje się, że społeczne i polityczne mity i urazy połowy XIX wieku, utrwalane kolejnymi bolesnymi doświadczeniami tkwią w naszej narodowej świadomości i raz po raz do nich sięgamy. Ponad czterdzieści lat temu pisałam pracę o Mickiewiczu w sekcie Andrzeja Towiańskiego. Kiedy dziś czytam fragmenty ówczesnych rozważań, wydają się wyjaśniać i to, co działo się anno domini 2010: „Grupy (sekciarskie) nawiązując do mesjanistycznego typu myślenia religijnego starały się w tych kategoriach rozwiązywać problemy społeczno-polityczne epoki. Rozciągnięcie świadomości religijno-mesjanistycznej i próby wyjaśnienia zjawisk społecznych i politycznych w jej kategoriach związane były ze stanem powszechnego napięcia emocjonalnego i załamaniem tradycyjnych autorytetów." Wszystkie symptomy opisanego stanu, jak w soczewce, ujawniły się pod prezydenckim

pałacem, nie wyłączając odrzucenia autorytetu instytucjonalnego kościoła i państwa.

Zupełnie odrębną kwestią jest tradycja stawiania krzyży i kapliczek przydrożnych. Od wczesnego chrześcijaństwa w całej Europie pojawiały się kapliczki, figury, krzyże przydrożne o charakterze wotywnym, błagalnym lub pokutnym. Najwięcej zabytków wczesnego okresu zachowało się w Niemczech i Austrii. Niektóre, z trzynastowiecznym rodowodem, wykonane z granitu lub piaskowca dochowały się do naszych czasów. Nazywano je niekiedy kamiennymi świadkami średniowiecznego prawa, bo miały charakter krzyży pokutnych, wznoszonych własnoręcznie przez mordercę, na znak pokuty bądź przez rodzinę winowajcy jako zadośćuczynienie. Przy krzyżu następowało pojednanie winowajcy i rodziny ofiary. Zwyczaj ten trwał do XVII wieku. W Polsce opisano około sześciuset takich obiektów, z tego czterysta na Dolnym Śląsku. W Słupsku w Muzeum Pomorza Środkowego przy wejściu znajduje się jedyny, ocalały na Pomorzu średniowieczny kamień pokutny zabójcy. Na przydrożnych krzyżach Górnego Śląska możemy spotkać wyryte bądź namalowane napisy polskie, niemieckie, łacińskie i morawskie wyrażające modlitwy czy przesłania fundatorów. Każdy z nich niesie konkretne przesłanie religijne lub historyczne. Świadczą materialną pamięcią o wspólnocie dziejów, są dokumentem przenikania się europejskich kultur narodowych wyrastających ze wspólnego chrześcijańskiego podłoża.

Na podobnej zasadzie nie tylko w Hiszpanii znana była karawaka, krzyż ściśle związany z tradycją katolicką, wywodzący się z Hiszpanii, z miasta Caravaca, gdzie pojawił się na przełomie XIII i XIV wieku jako wotum chroniące przed zarazami. Karawaki trafiły do Włoch, a stamtąd z pielgrzymami do Polski. Pierwotnie na ich belkach umieszczano modlitwę św. Benedykta o ochronę przed szatanem i jego jadem. Ponieważ modlitwa nie mieściła się na jednej belce, dlatego dodano drugą. Stąd charakterystyczny dwubelkowy kształt krzyża. W Polsce były bardzo popularne, teraz jest ich niewiele. Kiedyś chroniły przed epidemiami, wyznaczały obszar, poza który nie wolno było wyjść mieszkańcom terenu objętego zarazą. Dziś dokumentują dawne tradycje i wątki europejskiej kultury sakralnej. Dr Marek Kołysko z uniwersytetu toruńskiego odkrywa i opisuje karawaki Pomorza i Kujaw. Piękna karawaka znajduje się między innymi przy kościele w Jastrzębiu w powiecie brodnickim.

Na Polesiu wiejski drewniany krzyż zawsze był obwieszony jaskrawymi różnobarwnymi starannie uszytymi, często haftowanymi małymi fartuszkami, które kobiety zawieszały, aby odpędzić

złe nocne mary, zwiastunki niepowodzeń lub by wyjednać błogosławieństwo. Również na poleskich mogiłkach niewieścich na krzyżu wieszano fartuszek, mężczyźnie natomiast haftowany ręcznik. Miejsca pograniczne dają świadectwa przenikania się kultur także w sferze sakralnej. Polesie było chyba jedynym regionem kresowej Polski, gdzie, wobec braku innych odmienności, wyznanie uznano za wyraźny znak przynależności narodowej.

W Zabereziu, kresowej wsi w parafii Pohost, w 1946 roku wyjeżdżający Polacy trzy razy stawiali krzyż na rozstaju, by wymodlić błogosławieństwo na drogę i za każdym razem znajdowali rankiem krzyż ścięty przez funkcjonariuszy nowej władzy. „Kab ich chwaroba!" - złościła się Julia Matulisowa. Jak tu ruszyć w drogę bez błogosławieństwa?" Jak opowiada mi uczestniczka tamtych zdarzeń cała wieś stanęła do pracy. Przez jedną noc jedni międlili len, ktoś prządł nić cieniutką, inny tkał na krosnach ręcznik ofiarny. Zawiesili go nad ranem na krzyżu. Z daleka widać haftowany napis: „Maryjo, módl się za nami". Katolicy i prawosławni przez wieki modlili się przy jednym krzyżu, bo kościół był daleko, cerkiew jeszcze dalej.

Wiek XIX dostarcza zarówno zabytków, jak i świadectw literackich obecności w polskim krajobrazie pomników kultury sakralnej prostego ludu. Eliza Orzeszkowa w „Tadeuszu" tak opisywała wiejską kapliczkę: „Stali u stóp kapliczki złożonej z wysokiego podmurowania i wznoszącej się na podmurowaniu drewnianej niszy. U brzegu niszy wśród bukietów ze sztucznych i świeżych kwiatków stał posąg Najświętszej Panny z drzewa niezgrabnie wyrzeźbiony, z jaskrawo pomalowaną twarzą, bardzo stary. Nad głową posągu połyskiwała korona z posrebrzanej blachy, a od szyi aż do stóp spływał mu płaszcz z czerwonego aksamitu, pozłocistą taśmą dokoła obszyty. Kapliczka ta była wysoką i w ten sposób zbudowaną, że ku drodze zwracała się profilem, a otworem niszy ku dworowi, nad którym z wysokości swej panowała na każdym niemal punkcie jego widzialną będąc".

Na Podlasiu drewniane krzyże są charakterystyczne dla wsi zamieszkałych przed ludność prawosławną, w katolickich wsiach przeważają kapliczki. We wsiach zamieszkałych wspólnie przez oba wyznania stoją obok siebie krzyż prawosławny i katolicki, a często są to całe grupy krzyży i kapliczek. Wyjątkowym miejscem jest położona niedaleko Białegostoku w kierunku Siemiatycz Grabarka, pokryta lasem prawosławnych krzyży wotywnych.

„Wieś zaczyna się od krzyża. Trzeba się przeżegnać. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen. Jak w kościele, tylko codziennej.

Kościół jest niedzielny, świąteczny, to i żegnanie się kościelne, nie takie zwyczajne. A wieś swoja, powszednia. To tak jakieś bardziej swojskie to żegnanie się pod krzyżem wioskowym, to tak jakoś zwyczajniejsze potem, po żegnaniu się, trochę podejść i nasz dom. To prawie tak wygląda, jakby żegnało się przed naszym domem" - pisze Jan Zalewski poeta i nauczyciel z Hajnówki.

Krzyż stanowił granicę między światem znanym, wioskowym, w którym „był tak jak drzewa i obłoki na niebie" - pisał Tadeusz Seweryn, autor wielu opracowań o ludowej kulturze sakralnej. Dalej był świat obcy, nieznany, w który się szło z błogosławieństwem krzyża lub z którego się wracało. Marcina Borowicza wracającego z matką ze szkolnego wygnania wita kapliczka: „Przede wsią w pustce, na wzgórzu stała drewniana kapliczka, spróchniała już zupełnie od przyciesi aż do żelaznego kogutka na szczycie dachu. Dokoła tej staruszki rosły bujne bzy z ogromnemi kiściami pachnących kwiatów." (Stefan Żeromski: Syzyfowe prace.)

Wystawiona w 1947 roku z inicjatywy ks. Jana Ziei przez Władysława Ludwiczuka, odrestaurowana w sierpniu 2017 roku z inicjatywy ks. Mariusza Drogosza przez pana Witolda Lesieckiego kamienna grota Niepokalanej Matki Bożej przy kościele w Objeździe.

Krzyże, kapliczki, Boże Męki stanowią o charakterze krajobrazu kulturowego Polski i Pomorza, podobnie jak wielu innych zakątków chrześcijańskiej Europy. Świadczą przede wszystkim o naszej tożsamości religijnej i kulturowej, wciąż żyją w codziennych sprawach całych społeczności. Boże Męki, jak nazywa się potocznie na Kaszubach kapliczki i krzyże, są świadectwem ciągłości dziejów, niekiedy trudnych i bolesnych, wpisywanych znakiem krzyża we współczesność niemniej zagmatwaną. „Nieprzypadkowe było miejsce stawiania kapliczek. Dla nas to po prostu: „przy drodze" albo „na rozstajach". Tymczasem krzyże stawiano na początku i na końcu zabudowań wsi - wyznaczały one jej granice. Te, które stały przy rozstaju dróg, miały żegnać odchodzących. Inne wskazywały na centrum wsi, a jeszcze inne oznaczały miejsce znalezienia ludzkich szczątków" - pisze Natalia Budzyńska w „Modlitwach ludu polskiego". Lokalizacja, prosta ludowa forma i intencje fundatorów wynikały z serdecznej religijności, przywiązania do społecznej wspólnoty i tradycji. Wszystkie krzyże przydrożne i kapliczki były formą mementa, wyrazem jedności ludzkich spraw wobec woli Bożej. Zawsze stawiano je z życzliwą myślą o współczesnych i potomnych, nigdy przeciw.

Kapliczka

gliniana figurka
w kamiennej kapliczce
na wprost
kobieta na ślubnej fotografii
obok ojca
nieprzyzwoicie młodzi
w głębi wiejskiego obejścia
sad nocą
czerwonymi ślepiami jabłoni
zagląda do okien
płomyki z kapliczki jak sowie oczy
splecione skrzydła
za oknem
stary kościół przechrzta
wciąż rozwiązuje kwadratowe
równanie wiary
niepojęte to sprawy
na skrawku czasu i ziemi

Jarząbowa kapliczka

Do Pana Boga stąd bliżej niż do ludzi. Jedziemy najpierw asfaltową szosą, później szutrową drogą, wreszcie polną ścieżką. Dobrze, że samochód wytrzymałością przypomina karawan, bo inaczej utknęlibyśmy gdzieś na pewno. Docieramy do rozstajów. Ponad bzowe zarośla wyrasta ciemny krzyż, niżej bryła figurki zwróconej przodem w kierunku zabudowań po prawej. Osadzona na cementowym kręgu, takim, jakim cembrowano studnie, wnękę na figurę też ma z cementowych kolumienek. Nadbudowa w kształcie sześcianu z płaskim dachem, z osadzonym nad nim kutym krzyżem, wydaje się być z innego projektu. Całość pomalowana była kiedyś błękitną farbą. Nie jest to dzieło artysty, wykonano ją z tego, co było w chłopskiej zagrodzie. Kapliczka na rozstaju dróg niczym punkt graniczny stoi na skraju gruntów należących do fundatora, projektanta i wykonawcy, czyli Piotra Jarząba. Po latach przekazał gospodarstwo synowi Leszkowi, razem z kapliczką - biedną, opuszczoną, która trzyma się właściwie dzięki Bożej opiece, bo ludzką troską przez lata było wyżywienie rodziny, praca na ziemi i przy inwentarzu. Czasem ktoś położy przed szkaplerzem zerwany przy drodze kwiat. Gospodarz nawet o swoje zdrowie nie ma czasu zadbać.

Kapliczka wystawiona przez Piotra Jarząba w Witkowie.

Wszędzie stąd było i jest daleko. Teraz wieś leży na granicy gmin Smołdzino i Główczyce. Dzieci chodzą do szkoły w Zelkowie, ale trzeba dojść do oddalonej o półtora kilometra szosy, gdzie

dojeżdża szkolny autobus. Dla Witkowa, maleńkiej i poukładanej w polach wsi parafia jest we Wrześciu, urząd gminy i ośrodek zdrowia w Smołdzinie. Trzeba dobrej orientacji, by pozałatwiać wszystkie ludzkie sprawy. Tylko droga do Pana Boga prosta i jednakowa dla wszystkich. Wystarczy wznieść oczy. Urok witkowskich krajobrazów w sąsiedztwie SPN oczarował niejednego, stąd coraz więcej mieszczuchów zainteresowanych jest działkami w tej okolicy. Pewnie byłoby łatwiej, gdyby wieś miała wodociąg, ale upłynie jeszcze nieco wody w okolicznych rzeczkach nim woda będzie w domu i oborze. Pan Leszek Jarząb ojcowskie gospodarstwo zmienia powoli, z rozwagą i świadomością historycznej wartości starych sprzętów. W drewnianej szachulcowej stodole stoi jeszcze poniemiecka wialnia, młocarnia i inne drobne sprzęty rolnicze. Łatwo byłoby się ich pozbyć, jednak mają wartość sentymentalną. Obok, na zewnątrz, nowoczesny, klimatyzowany kombajn zaświadcza o zachodzących zmianach. Unijne rekompensaty finansowe do trudnej ekologicznej uprawy pozwalają na inwestowanie w maszyny ułatwiające pracę. Wszystkim się to opłaca, bo ochrona środowiska jest ważną sprawą.

Ojciec Piotr Jarząb przybył do Witkowa w 1945 po doświadczeniach pracy przymusowej w winnicy w pobliżu miasteczka Hameln w Niemczech. Najpierw, jak często się zdarzało na Pomorzu, mieszkali razem z szykującą się do wyjazdu niemiecką rodziną. Rolnicze sprzęty zaświadczają o krótkiej wspólnej pracy. Dwudziestoośmioletni Piotr Jarząb w sierpniu 1948 roku pojął za żonę Antoninę, pannę spod Hrubieszowa, którą poznał w Niemczech w czasie wojennych wędrówek. Ślub odbył się w Gardnie Wielkiej, wówczas siedzibie władz gminnych (1945-1954), a związek pobłogosławił ksiądz kanonik Jan Nowak. Przynależność Witkowa do administracji gminnej i wojewódzkiej zmieniała się kilka razy. Tylko powiat zawsze był ten sam - słupski.

Kiedy w 1953 roku zdesperowany Piotr Jarząb podjął decyzję o postawieniu kapliczki, sprawa nie była łatwa. Może gdyby chciał wykonać pracę artysty, szukałby pięknego materiału, choćby drewna lub kamienia. Może zastanawiałby się nad kształtem swego dzieła, szukał artystycznego wyrazu. Jednak jego intencja była prosta, sprawa pilna, więc kleił kapliczkę z tego, co było w gospodarstwie. Jego kapliczka była modlitwą o zdrowie żony, która zapadła na ciężką chorobę. Chłopskie gospodarstwo bez gospodyni, troje dzieci bez matki, jakby dał sobie radę? Nie myślał o konsekwencjach politycznych, choć mogły go spotkać. Rolnik indywidualny w tamtych czasach był z natury osobą podejrzaną, bo nie poddał

się kolektywizacji, choćby w spółdzielni produkcyjnej. Rolnicy i ich rodziny nie mieli bezpłatnej opieki zdrowotnej, chociaż w latach 1945-1989 stworzono w Polsce rozwinięty system ochrony zdrowia, który odrzucił niektóre aspekty modelu radzieckiego. Przykładem mogą być prywatne praktyki lekarskie. Dostęp do opieki zdrowotnej na wsi poprawił się w 1972 r., kiedy ubezpieczenie zostało rozszerzone na rolników. Wtedy jednak, w 1953 roku za pobyt w szpitalu trzeba było płacić, dlatego rolnicy rzadko korzystali z opieki zdrowotnej, nie wspominając o stomatologicznej. Kiedy dziecko skarżyło się na ból zęba, uśmierzano ból wacikiem nasączonym spirytusem lub innymi pożałowania godnymi środkami. Może stąd i obecnie dorośli rzadko odwiedzają gabinety stomatologiczne. Zresztą, teraz też trudno spotkać dentystę w wiejskim ośrodku zdrowia.

W rodzinnej legendzie Jarząbów historia kapliczki wiąże się z cudownym ozdrowieniem pani Antoniny. Oboje rodzice pana Leszka Jarząba odeszli na wieczny odpoczynek. Stara kapliczka jest częścią rodzinnej historii. Czy i ona pozostanie tylko w legendzie jak kapliczki, figury, krzyże przydrożne, które znikają stopniowo z polskiego krajobrazu. Stanowią coraz rzadszy element pejzażu wsi. Budzą ciekawość, ponieważ w sposób oryginalny informują o swoistym folklorze wiejskim, zawsze wpisanym w kulturę ludową, której są znakiem. Bogatsze wsie zmieniają stare kapliczki na nowe, najczęściej z klinkierowej cegły i sztucznymi kwiatami, pozostawiając lokalizację. Wszystkie stają się do siebie podobne jak te w Objeździe, Dębinie, Rowach.

Formę kaplicy spotykamy w architekturze wielu kultur. W tradycji chrześcijańskiej można wyróżnić kaplice kościelne, zamkowe, cmentarne, grobowe, szpitalne, kalwaryjskie, Kapliczki przydrożne, stanowiące często miniatury świątyń, są szczególnym rodzajem obiektów sakralnych. Najczęściej są to podziękowania za przywrócenie do zdrowia oraz za otrzymaną łaskę. Czasem są to wota błagalne. Wszystkie są symbolem głębokiej wiary ich fundatorów i budowniczych.

Wracamy z Witkowa po serdecznej rozmowie z gospodarzami, których życzliwość zjednał nam doradca rolny z ODR w Strzelinie, Jerzy Długoszek, od wielu lat współpracujący z rolnikami i instytucjami gminy Smołdzino. Mijamy okazały krzyż wystawiony na nowej posesji. Przejeżdżamy obok kapliczek w Żelazie, Gardnie Wielkiej, Gardnie Małej, Czystej, Gąbinie. Każda ma swoją historię. Warto je zapisać, bo z takich wiejskich opowieści składa się opis naszego wrastania w pomorską ziemię.

Pokochać kozy

Zuzia pojawiła się u nas wczesną wiosną, przypadkowo, to znaczy wcale jej nie chcieliśmy, ba, nawet nie wyobrażaliśmy sobie, że będziemy kozy hodować! Przygotowany dla wczasowiczów dom, sad, ogród świeżo założony, pielęgnowane trawniczki i koza! Nie, nigdy. Same straty: kozie bobki, poogryzane gałązki, zniszczone kwiaty. Znaliśmy te wszystkie opowieści, że koza to i miotłę zje, że z kozą w parze idzie bieda. Znaliśmy też mit o Amaltei: rogu obfitości, egidzie i całym kozim anturażu i temu w końcu uwierzyliśmy, skoro Zuzię przyjęliśmy. Przyjechała na tylnym siedzeniu granatowego audi. Jula wniosła ją do zagrody, a Zuzia jak szalona, po ścianie parkanu biegała z przerażenia. Dzika była, wychudzona. Przez całą zimę mieszkała sama w olbrzymiej stodole, bo zwierząt Jula już dawno nie miała, nie mieszkała nawet w domu swojego gospodarstwa. Przyjeżdżała swoim audi, przywoziła paszę dla kur, pogłaskała sukę Sonię i jechała do karczmy nad morzem. Zuzię karmiła Anna. Raz, rzadziej dwa razy dziennie wrzucała do stodoły suchy chleb i siano, wlewała do garnka wodę i już. Kiedy więc Zuzia znalazła się w słońcu na wolnej przestrzeni, po prostu zgłupiała. Zostawiliśmy ja samą, żeby mogła się oswoić. Ale wieczorem trzeba było ją zamknąć, by wiejskie psy jej nie przestraszyły lub nie zrobiły czego gorszego. Schowała się w kąt i trudno było do niej podejść. W końcu zmęczona dała za wygraną. Objęłam jej głowę, przytuliłam jak dziecko i szeptałam czułe słowa. Od tego momentu byłam jej przyjaciółką, powiernicą i wszystkim, co w koziej wyobraźni łączyło się z bezpieczeństwem.

Pozwoliła wysypać sobie sierść proszkiem przeciw wszawicy, wkroplić do pyska lekarstwo na odrobaczenie, bylebym była koło niej. Najlepiej żebym została z nią na noc. Kiedy z oczywistych względów zostawiałam ją, podnosiła taki lament, że sąsiedzi byli pewni, że kozę ze skóry odzieramy. Wracałam i tłumaczyłam:

- Zuźka, muszę Jurkowi obiad ugotować.

- Beeeeee, beeeeee - Zuzia na to. I koniec. Nie miała baba kłopotu, wzięła kozę.

Kupiłam w końcu obróżkę i łańcuszek. Rano Zuzia chodziła ze mną. Plewiłam grządki, ona obok, obierałam ziemniaki, ona obok, wchodziłam do domu, ją uwiązywałam pod oknem, ale tak, by mogła mnie słyszeć. Próbowałam ją oszukać, włączałam radio,

ale podnosiła larum i musiało być tak, jak chciała. Nie dało się tak żyć, lada chwila przyjeżdżali pierwsi goście. Wymyśliliśmy, że potrzebne jej kozie towarzystwo, by nie czuła się samotna. Któregoś dnia pan Jan Petryk przyniósł dwoje koźląt. Śliczne, białe, kózka i koziołek, jak z Pacanowa. Zuzia była inna: mała, brązowoszara, z małym pyszczkiem, brodą i rogami. Zajęła się młodzieżą z oddaniem. Od razu wprowadziła porządek - Franek mógł robić co chciał, Mania tylko z pozwoleniem Zuzi. Inaczej brała manto. Stałam się dla niej mniej ważna, ale małym udowadniała, że tylko ona ma do mnie prawa. Kiedy przynosiłam jedzenie, była obok mnie, ocierała się o moje nogi i nie daj Boże, bym pogłaskała Manię. Mania dostawała wtedy rogiem. Zuźka królowała.

Ustawiliśmy w zagrodzie pnie świerkowe różnej wysokości w oddaleniu od siebie, takim na kozi skok, połączyliśmy je kładką. Kozy wieczorem dawały popis. Musiały mieć jednak widownię. Przychodziły dzieci wczasowe, najpierw ostrożnie przez szczeble ogrodzenia karmiły kozy z ręki, później ośmielone wchodziły do środka i ganiały się razem z nimi. Czasem któreś dostało rogiem od Zuźki, ale było to przyjacielskie szturchnięcie. Koźlęta rosły, Zuzia zaokrągliła się, brązowobeżowa sierść z czarną pręgą na grzbiecie lśniła. Zuzia lubiła zabiegi pielęgnacyjne, więc kiedy szlam do niej ze szczotką, stała cicho jak panna u fryzjera. Młode unikały dotknięcia szczotki, myślę, że Zuzia nie pozwoliłaby im na taką ze mną poufałość. Mijało lato. Wszystkie chwasty we wsi były wykoszone, sąsiedzi przyzwyczaili się już do widoku Jurka lub mnie wędrujących z kosą i taczką w poszukiwaniu jakiegoś niewykoszonego nieużytku. Mieliśmy umówione siano na zimę, pani Ania Domańska z Retowa przywiozła dwa wory owsa, kupiliśmy siemię lniane, a wszyscy znajomi zbierali suchy chleb. Zuzia została ulubienicą rodziny, wczasowiczów i przyjaciół.

Kiedy przyjechała Karolina, przywitała się z nami i już była w zagrodzie. Zgrabiała wybieg, czyściła Zuzię, przynosiła po kryjomu gałązki porzeczek i wiśni. Towarzystwo było sobą oczarowane. Franek i Mania w poufałości włączali się nieśmiało, chociaż właśnie Franek zyskiwał coraz większą przychylność Zuzi. Kończyły się wczasowe przyjazdy i wyjazdy. Dni były krótsze, więc zgodnie z prawami natury, zbliżał się okres rui. Musieliśmy coś postanowić, by zapobiec mezaliansowi. Franek nie mógł być partnerem z kilku powodów. Po pierwsze obie kozy powinny mieć szanse na macierzyństwo, tak uważaliśmy. Po drugie, Franek był bratem Mańki, więc musiał odejść, by nie doszło do kazirodztwa. Po trzecie chcieliśmy mieć kózki, a nie kozy. Zaczęły się poszukiwania. Znajomi

znajomych przekazali nam niemal tajną wiadomość, że w Machowinie jest odpowiedni dla Zuzi kawaler. Przyjechał Kuba swoim berlingo, zapakowaliśmy Zuźkę do tyłu, siadłam obok i trzymałam ją za obrożę. Jakby wiedziała, że jedzie na randkę. Była słodziutka, nawet nie nabrudziła. Kawaler był piękny, ale na łańcuchu. Właściciel twierdził, że cap rozniósłby ogrodzenie i wyprowadził stado na manowce. Stadko był pokaźne, chyba pięć kóz i gromadka koźląt. Zdecydowaliśmy, że Zuzia zostanie, by mogło dojść do zbliżenia, a właściciel kozła zawiadomi nas, gdy będzie po. Zadzwonił następnego dnia. Trochę zdziwieni pojechaliśmy i Zuzia wróciła. Zachowywała się wobec Mańki wyniośle, co utwierdzało nas w przekonaniu o jej odmiennym stanie. Była już jesień, Franek pojechał do gospodarza do Czystej, a kozy zostały same. Mańka była biedna, Zuźka się nad nią po prostu znęcała. Doszliśmy do wniosku, że czynnik męski jest konieczny dla unormowania stosunków między kozami. Wypożyczyliśmy biało-czarnego kozła od pani Stasi Węgierskiej - na zimę. Kozom będzie raźniej i cieplej. Zuzia jest pokryta, więc nic się nie stanie. Mańka też ma prawo do macierzyństwa. Kozioł wprowadził porządek. Po raz pierwszy Zuźka czuła mores. Nie atakowała Mańki, razem z nią czekała, aż kozioł dopuści je do koryta. Zimą wychodziły chętnie na wybieg, leżały na kładce w słoneczne dni, do końca zjadły leszczynę i krzewy w płocie. Były obie coraz grubsze, a my oczekiwaliśmy przychówku. Kozia ciąża trwa pięć miesięcy. Czekaliśmy rozwiązania Zuzi pod koniec lutego. Sprawdzałam jej wymię, ale nic nie wskazywało, że będzie poród. Byliśmy zawiedzeni, ale cóż, trzeba się pogodzić. Prawdopodobnie z jakiegoś powodu nic nie wyszło z wyjazdu do Machowina. Nastała wiosna, kozioł wrócił do pani Stasi. Kozy nawet nie zauważyły jego odejścia. Były zajęte innymi sprawami.

Kozie towarzystwo pod „Jedenastką" w Objeździe.

Tymczasem zmieniała się Mańka. Nabierały jej wymiona, była ociężała, nie pozwalała Zuzi na złe traktowanie się. Nie biegała po pieńkach i kładce, chętniej natomiast polegiwała. Pod koniec

maja doszło do rozwiązania. Wezwaliśmy akuszerkę w osobie mojej mamy. Rozłożyliśmy czystą słomę, przygotowaliśmy ręczniki do wytarcia koźląt. Poszło szybko. Mania powiła parkę białych koźląt. Była dumna, gdy małe podchodziły do ssania. Zuzia okazywała sympatię małym, Mańkę obchodziła z daleka. Na wybiegu zapanowała względna zgoda. Wymiona Mańki były duże, sutki długie, więc choć nigdy przedtem nie doiłam kozy, poszło mi nieźle. Letnicy smakowali mleko, ale o więcej nikt nie prosił. Zanosiłam je do sąsiadki, pani Anastazji Brzywcowej, próbowałyśmy nawet robić kozie sery. Zuzia obwąchiwała mnie, kiedy siedziałam na stołku dojąc Mańkę. Stawała obok, przypominając o swojej obecności. Wymiona Zuzi były inne: krągłe, z krótkimi poziomo ułożonymi sutkami. Były widoczne, znacznie się powiększyły. No cóż, stadko się powiększy, choć nie tak jak planowaliśmy.

Wiosna rozkwitała najpierw biało przebiśniegami i krokusami, później na żółto mleczem i forsycjami, wreszcie cały sad zrobił się biały od kwiecia i szumiący od pszczół. Wokół zieleń, bzy i pierwsze truskawki. Trwały przygotowania do kolejnego sezonu, więc zajęć mieliśmy sporo. Przestaliśmy odliczać dni, zdając się na mądrość natury. Zuzia okociła się w czerwcowe południe w naszej obecności, bez komplikacji. Koźlęta były podobne do niej, ale na długich nóżkach. Wyglądały pociesznie. Stadko przyjęło je życzliwie, a koźlęta wylizane przez Zuzię, wyschły szybko. Początkowo chodziły na chwiejnych nogach, ale na drugi dzień już podskakiwały także ku naszej uciesze. Kozy okazały się wspaniałymi matkami. Problem był jeden. Zuzia miała dużo mleka, koźlęta nie spijały wszystkiego i rozwijało się zapalenie wymion. Musiała dostać antybiotyk i trzeba było ją doić, co nie był łatwe przy jej krótkich sutkach. W letnich obowiązkach i przyjemnościach trzeba było zaplanować dojenie Zuzi. Wcale nie była wdzięczna, uznała to za rzecz jej należną i już. Jednak radość z obserwacji koziej rodziny była dostateczną nagrodą za wszystkie trudy. Małe figlowały bez opamiętania. Obie mamy pilnowały swoich koźląt, traktowały się z respektem. Zuzia jednak przy każdej okazji podkreślała swoją wyższość. A Mańka, choć duża i silna, godziła się na to. Zuźka po prostu miała charakter. Darzyła mnie atencją, pozwala się szczotkować i głaskać. Nie dowierzała nikomu, nawet mnie, w sprawie koźląt. Gdy zniknęły jej z oczu, zostawiała wszystko i biegła pobekując, a kiedy znajdowała swoje koźlęta, obwąchiwała je i lizała, sprawdzając, czy nie doznały krzywdy.

Letnicy przy rezerwacji na nowy sezon pytają o Zuzię, jakby była członkiem rodziny. Niemal czekam, kiedy usłyszę: „Proszę pozdrowić Zuzię". Pozdrowię, daję słowo.

Nie mówcie pięknych słów, lecz róbcie... Dzieło Adolfa Koplinga

W niemieckim miasteczku Kerpen położonym między Kolonią a Düren 8 grudnia 1813 urodził się Adolf - syn Piotra i Anny Marii Kolping Zurheiden, ubogich rodziców żyjących z rolnictwa, z trudem wychowujących pięcioro dzieci. W tym czasie świat ekscytował się nowinkami technicznymi, a okres ten nazwano wiekiem pary i elektryczności. W 1800 Włoch Alessandro Volta zbudował ogniwo galwaniczne, w 1803 roku wykorzystano maszynę parową do poruszania statków, dając początek słynnym parostatkom. Powstają pierwsze linie kolei żelaznej, Samuel Morse w 1837 roku skonstruował telegraf, dzięki któremu informacje można było przesyłać na odległość. Cóż za epoka! Po prostu rewolucja techniczna!

Skutki społeczne były oczywiste. Zapotrzebowanie na siłę roboczą w nowych fabrykach powodowało migrację ludzi ze wsi do miast. Rozpadały się tradycyjne więzi społeczne i ekonomiczne, z rolnictwa młodzi ludzie szli do miast, musieli gdzieś mieszkać, od nowa organizować życie. Tymczasem mały Adolf ukończył naukę w szkole powszechnej pod opieką nauczyciela Jakoba Wilhelma Statza i jako trzynastolatek rozpoczął terminowanie u mistrza szewskiego Meuser w Kerpen, na Mähnstraße. Przez dziesięć lat uczył się szewstwa jako czeladnik w zakładach mistrzów w Sindorf, Düren, Lechenich i Kolonii. Nie było to jego marzeniem, praca była koniecznością dla dobra rodziny, ale był to też czas nauki społecznego myślenia, obserwacji zjawisk społecznych, życia młodych ludzi opuszczających rodzinny dom i strony, poddanych miejskim pokusom. Młody rzemieślnik w tym czasie dojrzał społecznie i intelektualnie do przyszłych zadań. Jego pragnieniem było kapłaństwo, dlatego w latach 1836-1837 dzięki pomocy pastora Laufssa i wikariusza Wollersheima przygotowywał się do matury i studiów teologicznych. Marzenie Adolfa Koplinga się spełniło - 13 kwietnia 1845 roku otrzymał święcenia kapłańskie w kościele franciszkanów w Kolonii. Pierwszą parafią dla świeżo wyświęconego wikariusza był kościół w Elberfeld, gdzie spotkał wielu młodych ludzi w trudnej sytuacji. Samotni, zagubieni, pocieszenia szukali w karczmach lub domach schadzek. Kapłan Adolf Kolping, który sam poznał

gorzki smak upokorzeń i pracy za marne grosze, dobrze rozumiał biedę, ubóstwo i ich skutki wśród młodych rzemieślników i robotników. Coś trzeba zrobić, zapobiec nieszczęściom! Dlatego zaangażował się w działalność katolickiego stowarzyszenia młodzieży czeladniczej, zainicjowanego przez nauczyciela Johanna Gregora Breuera, założyciela pierwszego klubu czeladniczego powstałego w 1846 roku. W efekcie tych działań w maju 1849 powstał Koloński Związek Katolickich Czeladników, który stał się zalążkiem Dzieła Kolpinga.

Adolf Kolping tej sprawie poświecił całe życie. Otwierał bursy, świetlice, zakładał związki dające szansę doskonalenia zawodowego, by chronić młodych w czasach rewolucji przemysłowej przed bezdomnością, poczuciem pustki, samotnością. Ideą była rodzinna atmosfera i samopomoc, wzajemne wspieranie się. Założył własny tygodnik, oceniany jako jeden z najbardziej udanych katolickich tytułów prasowych. W krótkim czasie powstały nowe związki na terenie całych Niemiec oraz w Austrii, Belgii, Szwajcarii, na Węgrzech. Działalność powstających organizacji poszerzała się o kasy zapomogowe, kasy chorych, szkoły wieczorowe. Zmarł w Kolonii 4 grudnia 1865 roku. Jego grób znajduje się w Minoritenkirche w Kolonii. W marcu 1934 roku arcybiskup Kolonii kardynał Karl Joseph Schulte formalnie rozpoczął proces beatyfikacyjny kapłana społecznika, którego dzieło i idea pozostały aktualne i ważne. W 1957 powstał nowoczesny sarkofag kryjący szczątki błogosławionego wykonany przez artystę Josefa Höntgesberga. Proces beatyfikacyjny zamknął dopiero po ponad półwieczu papież Jan Paweł II - 27 października 1991 roku, tak charakteryzując dzieło niemieckiego kapłana: „Zadaniem chrześcijan nie jest planowanie nowego, lepszego świata, lecz praca nad uzdrawianiem teraźniejszości. Chrześcijański realizm, którego żywym przykładem jest Adolf Kolping, polega na czynieniu dobra tam, gdzie to jest możliwe."

W Polsce pierwszą Rodzinę Kolpinga założył w roku 1990 w Stanisławiu koło Kalwarii Zebrzydowskiej ks. Kazimierz Hoła. Pięć lat później powstało pierwsze Biuro Dzieła Kolpinga w Krakowie, gdzie znajduje się siedziba Związku Centralnego Dzieła Kolpinga w Polsce. W 1999 Episkopat Polski oficjalnie uznał Dzieło Kolpinga w Polsce jako katolicką wspólnotę samopomocy społecznej.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia w domu parafialnym w Objeździe z inicjatywy proboszcza Mariusza Drogosza odbyło się spotkanie z ks. Zenonem Myszkiem, prezesem Stowarzyszenie Rodzina Kolpinga w Łebie, które działa od 2000 roku przy parafii św. Jakuba Apostoła, podejmując rozliczne działania,

łącznie z uruchomieniem Rybackiego Centrum Kultury i Formacji w Boleńcu. Uczestnicy spotkania założycielskiego wskazywali na potrzebę rozwiązywania lokalnych problemów i potrzeb, na konieczność wyłonienie lokalnego lidera, którym może okazać się miejscowa Rodzina Kolpinga, której idea generalna pozostała niezmienna od czasów założyciela. Pod koniec stycznia, po zarejestrowaniu Stowarzyszenia Rodzina Kolpinga w Objeździe, odbędzie się spotkanie, podczas którego z pewnością zostaną podjęte zadania szczegółowe.

Ks. Mariusz Drogosz, wójt gminy Ustka - pani Anna Sobczuk-Jodłowska i sołtysi: Panie Jadwiga Fudala, Magdalena Labhun-Petryk i pan Ryszard Molenda podczas wręczania nagród laureatom I Przeglądu Pieśni Maryjnych w Rowach zorganizowanego przy współudziale Rodziny Kolpinga w Objeździe.

Pątniczy szlak - Pomorska Droga św. Jakuba

Jakub, syn rybaka Zebedeusza, był jednym z dwunastu uczniów, którzy po śmierci Nauczyciela rozproszyli się po świecie. Poszedł na zachód, dotarł do Andaluzji i dalej na północ przez portugalskie miasta Coimbra i Braga do Iria Flavia w Hiszpanii, gdzie głosił naukę o Jezusie. Efekty pracy misyjnej były znikome, a Jakub postanowił wrócić do Jerozolimy. Tu w roku 44 został uwięziony i ścięty bez sądu przez wnuka Heroda - Agrypę za złamanie zakazu głoszenia religii chrześcijańskiej. Wtedy uczniowie Jakuba Atanazjusz i Teodor wykradli jego ciało, ukryli na łodzi, a prądy morskie w cudowny sposób zaniosły łódź do miasta Padron w Galicji. Stamtąd wozem zaprzęgniętym w parę wołów Atanazjusz i Teodor z ciałem Jakuba wędrowali przez las Libredon. W pewnym momencie woły stanęły. Nie chciały iść dalej. Wędrowcy przyjęli to za znak Boży i w tym miejscu pochowali ciało Jakuba, w ukryciu, z obawy przed przeciwnikami chrześcijan. Zapomniano o grobie męczennika. Minęły wieki, aż po ośmiuset latach pustelnik Pelagiusz doznał objawienia. Jemu przypadnie odkrycie grobu.

Któregoś dnia zobaczył spadające gwiazdy. Kiedy w tym miejscu zaczął kopać, odkrył sarkofag. O odkryciu powiadomił biskupa Iria Flavi - Teodomira. W sarkofagu znaleziono szkielety trzech osób, wierzono, że to miejsce wiecznego spoczynku św. Jakuba i jego uczniów. Nad kamiennym sarkofagiem powstała kaplica, a z czasem wokół niej rozwinęła się osada, którą w roku 824 nazwano oficjalnie Santiago de Compostela. Na początku XII wieku papież Kalist II ogłosił tak zwane „trzy adresy święte", były to: Jerozolima, Rzym i Santiago de Compostela. Postanowił także, że rok, w którym uroczystość św. Jakuba (25 lipca) przypada w niedzielę jest Rokiem Świętym. Sanktuarium św. Jakuba otrzymało prawo udzielenia odpustu zupełnego.

Od najwcześniejszych lat pielgrzymowano do grobu św. Jakuba mimo niebezpieczeństw, trudu, kosztów, prosząc o ustąpienie epidemii, jako pokutę za ciężkie grzechy, którą nakładały sądy lub kapłani. Pielgrzymi wędrowali różnymi szlakami z całej Europy. Jan Wolfgang Goethe uznał, że „Drogi Jakubowe ukształtowały Europę".

Czterej mazowieccy rycerze jako pierwsi Polacy zawędrowali do Composteli już w XIV wieku, a ich szlakiem wędrowali później Stanisław i Jerzy Radziwiłłowie, Jakub Sobieski, ojciec króla Jana. Papież Jan Paweł II był u grobu św. Jakuba dwa razy.

W roku 1982 Rada Europy zatwierdziła Drogę św. Jakuba jako znaczący dla kultury europejskiej i wystosowała apel o troskę o istniejące i odnowę zapomnianych dróg. W październiku 1987 szlak Jakubowy został nazwany Europejskim Szlakiem Kulturowym, a w 1993 został wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Nie ma jednej trasy pielgrzymki, a uczestnicy mogą dotrzeć do celu jednym z wielu szlaków.

Droga oznaczona jest muszlą św. Jakuba, która jest także symbolem pielgrzymów, i żółtymi strzałkami. Kiedyś w rejonie Południowego Bałtyku od Królewca przez Elbląg, Gdańsk, Sianów, Szczecin do Rostoku prowadziła droga łącząca się ze Szlakiem św. Jakuba w Europie Zachodniej. Drogi zamarły wskutek wojen i historycznych zaszłości. Dopiero po roku 1989 możliwa była reaktywacja Pomorskiej Drogi św. Jakuba, a Unia Europejska wsparła finansowo projekt „Rewitalizacja Europejskiego Szlaku Kulturowego na obszarze Południowego Bałtyku - Pomorska Droga św. Jakuba".

Droga św. Jakuba prowadzi z litewskiego miasta Kretinga (krajowy koordynator: Darius Martinkus z Gminy Kretinga) przez obwód kaliningradzki, północną część Polski (koordynator projektu w Lęborku: Elżbieta Rekowska-Klassa i przewodnicząca Grupy Sterującej Alicja Zajączkowska z Urzędu Miejskiego w Lęborku) i dalej przez Greifswald (koordynator krajowy: Ralf Scheibe z Uniwersytetu w Greifswaldzie), Belgię i Francję do Santiago de Compostela w Hiszpanii. Pomorska Droga św. Jakuba rozpoczyna się w Braniewie na granicy z obwodem kaliningradzkim, prowadzi przez miejscowości położone nad Bałtykiem, a kończy w Świnoujściu. Zarówno europejski, jaki i Polski szklak mają wiele odrębnych, powiązanych odcinków dróg, które zazwyczaj powstawały w wyniku lokalnych inicjatyw, o czym informuje strona internetowa projektu: www.re-create.pl.

Tak powstały Elbląska Droga św. Jakuba, Gdańska Droga św. Jakuba, Żukowska (Kaszubska) Droga św. Jakuba, Kartuska Droga św. Jakuba, Lęborska Droga św. Jakuba, (alternatywna) Słupska Droga św. Jakuba (Smołdzino - Gardna Wielka - Czysta - Lubuczewo - Siemianice - Słupsk, razem 28,2 km), Zachodniopomorska Droga św. Jakuba.

Pomorska Droga św. Jakuba ma długość ponad 1133 kilometry, w tym na terenie Polski to ponad 713 kilometrów. Lęborska Droga

św. Jakuba powstała w 2009 roku i prowadzi od Sianowa do Lęborka (Sanktuarium św. Jakuba), przez Wicko i Charbrowo do Łeby, gdzie również warto przystanąć przy nowo powstałej świątyni św. Jakuba, następnie przez Żarnowską do Smołdzina pod Rowokół, tu kończy się Lęborska Droga św. Jakuba.

Znakami Jakubowej muszli oznakowane są również trasy: Smołdzino - Rowy - Ustka - 34,6 km, Ustka - Słupsk - 21,5 km, Słupsk - Pałowo (13,2 km, granica województwa).

Droga Jakubowa południowym brzegiem jeziora Gardno.

Jakubowe Drogi oznaczone są znakiem żółtej muszli na ciemnoniebieskim tle, której główka wskazuje kierunek marszu. Wytyczenie i oznakowanie szlaku pielgrzymkowego symbolem muszli św. Jakuba jest koniecznym, ale niewystarczającym zabiegiem rewitalizacyjnym. Potrzeba jeszcze stworzyć aprobujący dla pielgrzymów klimat społeczny i odpowiedną dla pątników infrastrukturę.

Oczywiście, z Drogi św. Jakuba korzystać będą pielgrzymi, zaspakajając swoje religijno-duchowe oraz turystyczne potrzeby. Jest to jednak także szansa gospodarcza dla miejscowej ludności, związana z obsługą ruchu pielgrzymkowego. Muszą przecież powstać punkty informacyjne, noclegowe, gastronomiczne oraz informacje o atrakcjach przyrodniczych na atrakcyjnych turystycznie trasach, z opisem miejscowych zabytków czy dawnych miejsc kultu, jak na przykład Rowokół.

Jakiś czas temu Włodzimierz Lipczyński podjął temat Drogi Jakubowej zarówno w biuletynie „Powiat Słupski", jak i w lokalnych „Wieściach z Gminy Ustka" w związku z organizowaną przez wójta gminy Ustka Annę Sobczuk Jodłowską i ks. dziekana Jerzego Wyrzykowskiego sesją na temat rewitalizacji szlaku w Duninowie w 2012 roku. „Szlak pątniczy na obszarze gminy Ustka powinien

być wytyczony drogami wiodącymi do Słowińskiego Parku Narodowego przez Gąbino, Objazdę, Wytowno, Przewłokę do Ustki i dalej do Duninowa i Zaleskich, czyli starą drogą hanzeatycką, równolegle do drogi rowerowej „szlakiem zwiniętych torów" od Ustki do Rowów" - pisał pan Włodzimierz Lipczyński.

Chyba niewiele się od tamtego czasu działo. Powstał przystanek Jakubowy przy parafii w Duninowie. Do internetowej bazy gospodarstw leżących na szlaku Pomorskiej Drogi św. Jakuba wpisane zostały dwie kwatery z Ustki i jedna ze Smołdzińskiego Lasu, mimo że na stronie internetowej projektu www.re-create.pl znajduje się do pobrania „Zgłoszenie do internetowej bazy gospodarstw leżących na szlaku Pomorskiej Drogi św. Jakuba."

Newsem jest informacja z 2 marca 2017 roku zamieszczona na stronie: www.re-create.pl/: „Województwo pomorskie przystąpi w charakterze członka do Europejskiej Federacji Dróg św. Jakuba z Composteli z siedzibą w Le Puy-en-Velay (Francja). Tak zdecydowali radni podczas sesji sejmiku 27 lutego 2017 r. Ideę Drogi św. Jakuba podczas sesji przedstawiła Radna Sejmiku oraz doradca burmistrza Lęborka Alicja Zajączkowska. (...)

Członkostwo naszego regionu w stowarzyszeniu wiąże się z możliwością szerszej współpracy na polu turystyki z regionami oraz zwiększa szansę na wspólne ubieganie się o dotacje z programów Unii Europejskiej i Rady Europy. Członkostwo w stowarzyszeniu to także szansa wpisania Pomorskiej Drogi św. Jakuba do szlaków kulturowych Rady Europy, jak również zwiększenie wpływu na sposób przedstawiania polskiej drogi św. Jakuba w zagranicznych centrach turystycznych dzięki powiązaniu stowarzyszenia z UNESCO."

Małe miejscowości po transformacji 1989 roku wciąż poszukują własnych dróg rozwoju, metaforycznie można by powiedzieć są na pątniczym szlaku. Idea polskiej drogi św. Jakuba nie rozwiąże wszystkich problemów, ale może aktywizować mieszkańców, motywować do poznania historii i tradycji własnego regionu, wspólnotowego działania w porozumieniu z lokalnym samorządem, kościołem, lokalnymi firmami. Założenia mogą wydać się idealistyczne. Wszystko jednak rozpoczyna się od wizji.

W 2013 roku przez Słupsk peregrynowała I Międzynarodowa Pielgrzymka Jakubowa. Trasę wytyczył i oznakował słupski PTTK. Sposób oznakowania nie spodobał się niektórym mieszkańcom miasta, o czy donosił dziennik gp24: „Niewielkie tabliczki z charakterystyczną żółtą muszlą na ciemnoniebieskim tle pojawiły się w kilkudziesięciu miejscach w różnych częściach miasta. Oznaczają

tzw. Pomorską Drogę św. Jakuba. Tabliczki wiszą głównie na znakach drogowych i drzewach. I to właśnie nie spodobało się części naszych czytelników." Po przejściu pielgrzymki oznakowanie zostało usunięte.

Powstałe w 2017 roku w Objeździe Stowarzyszenie Rodzina Kolpinga, obejmujące zasięgiem miejscowości parafii Objazda, podjęło inicjatywę organizacji cyklicznych letnich rodzinnych festynów „W Rowach na Drodze św. Jakuba." Jedną z propozycji w ramach festynu będzie piesza lub rowerowa pielgrzymka na trasie Rowy - Smołdzino (Rowokół) - wzdłuż południowego brzegu jeziora Gardno i trasami SPN. Z Objazdy i Dębiny możliwe dojście przez Objejskie Łąki i spotkanie grup przy wieży widokowej nad jeziorem.

Na drodze Jakubowej południowym brzegiem Jeziora Gardno - wieża widokowa na terenie SPN.

Spór o bohaterów

Nie z GPS, jak radzi Marcin Barnowski, słupski dziennikarz, autor przewodnika „Twierdza Ustka. Bunkry i ciekawostki militarne" (Ustka 2011), ale z internetem idę śladem autora, poszukując informacji o Franciszku Dąbrowskim, o którym Barnowski, przychylając się do nowych opinii, pisze na stronach 134-135 swojego przewodnika.

Kapitan Franciszek Dąbrowski (rocznik 1904) w 1937 roku został zastępcą Komendanta Wojskowej Składnicy Transportowej na Westerplatte w obrębie portu w Wolnym Mieście Gdańsku. Postawiono przed nim zadanie przygotowania obrony placówki na wypadek wojny. Kiedy Schleswig-Holstein hukiem rozdarł świt 1 września 1939 roku, załoga dowodzona przez majora Henryka Sucharskiego podjęła nierówną walkę. Jednak po nalocie niemieckich sztukasów ze słupskiego lotniska wieczorem 2 września major Sucharski, jak pisze Barnowski, „podobno załamał się psychicznie", a obroną dowodził kapitan Dąbrowski i to on nie dopuścił do przedwczesnej kapitulacji, zapisując się w „panteonie takich bohaterów jak Kozietulski, Skorupka, Raginis..." (str. 33). Po kapitulacji Westerplatte Franciszek Dąbrowski przebywał w obozach jenieckich w Klein Dexen (Stablack, dziś Dołgorukowo), w Prabutach, w oflagu XVIII B w Lienzu oraz w oflagu II C Woldenberg (Dobiegniew k. Krzyża), by po wojnie na nowo wstąpić do wojska. Awansowany (1946) do stopnia komandora porucznika w marcu 1947 roku został przeniesiony razem z jednostką Kadry Marynarki Polskiej do Ustki, gdzie szefował usteckiemu garnizonowi i, pamiętajmy o czasie zimnej wojny, Usteckiemu Obszarowi Wojennemu, który Marcin Barnowski doskonale opisuje w „Twierdzy". O osobistym autorytecie komandora i legendzie westerplatczyków niech świadczy taki fakt. Oficerowie 18. Odcinka WOP kpt. kpt. Cieślak i Maksymczuk w czasie akcji żniwnej odnaleźli zakopaną szablę marynarską z napisem: „Honor i Ojczyzna". Przekazali ją wraz z laudacją „Komandorowi Dąbrowskiemu bohaterowi z Westerplatte" w Ustce w dniu 1 maja 1947 roku.

Córka Franciszka Dąbrowskiego Elżbieta Hojko-Dąbrowska pamięta, że w grudniu 1949 jej ojca uznano za niepewnego politycznie (mimo że był członkiem PPR) i wydalono ze służby. Wyjechali do Krakowa. Nie otrzymał wojskowej emerytury. W kiosku

sprzedawał bilety. Zmarł w niedostatku na gruźlicę w wieku 58 lat w 1962 roku. Został pochowany w Krakowie. Dziesięć lat później ustecka szkoła podstawowa nr 2 otrzymała imię Franciszka Dąbrowskiego jako pierwsza w Polsce. W 2010 gmach szkoły został zburzony, a tablica upamiętniająca bohatera z Westerplatte przepadła. Tyle w „Przewodniku Marcina Barnowskiego".

Szukam informacji, które podzieliły opinie o dwóch bohaterach z Westerplatte. Pierwszą i najważniejszą jest ta, że Franciszek Dąbrowski dwukrotnie publikował informacje o obronie Westerplatte. Po raz pierwszy wspólnie ze Stefanem Grodeckim „Dziennik Bojowy Westerplatte" (1945 Wydawnictwo Zarządu Polityczno-Wychowawczego Marynarki Wojennej) i w roku 1957 „Wspomnienia z obrony Westerplatte". Publikacja wydana przez Gdańskie Towarzystwo Naukowe z przedmową Mariana Pelczera stała się przedmiotem ostrej krytyki. Najogólniej mówiąc, zarzucano Dąbrowskiemu podważanie autorytetu dowódcy. Natomiast zwolennicy narracji Franciszka Dąbrowskiego byli przekonani, że fałszywy obraz historii obrony Westerplatte utrwaliły pełne błędów faktograficznych książka „Wrzesień żagwiący" i reportaże Melchiora Wańkowicza oraz film „Westerplatte" Stanisława Różewicza, niesłusznie przypisując Sucharskiemu miano dowódcy obrony. Przekonanie wyrażało się w twierdzeniu, że oparte na przekłamaniach relacje Sucharskiego i „prostych żołnierzy" z Westerplatte nie uwzględniały szczegółów, które wydarzyły się w koszarach w ciągu pamiętnych siedmiu dni.

W sporze jasna jest informacja o konflikcie między „prostymi żołnierzami" i grupą oficerów skupionych wokół dzielnego i bardzo ambitnego oficera Franciszka Dąbrowskiego, świetnie przygotowanego do służby wojskowej, który miał ambicje dowodzenia obroną Westerplatte, choćby z powodu dłuższej służby na placówce. Ponadto był młodszy o sześc lat od Sucharskiego, którego „przywieziono w teczce", miał szlacheckie pochodzenie i był wychowany w tradycji wojskowej jako syn przedwojennego generała Romualda Dąbrowskiego

Mjr Henryk Sucharski (1898) był synem szewca, chłopa ze wsi Gręboszów pod Tarnowem. Został przeniesiony na stanowisko komendanta polskiej składnicy amunicji w grudniu 1938. „Myślę, że jako uczestnik I wojny światowej, walk o niepodległość, wojny 1920 roku, mając także doświadczenie dowodzenia w czasie pokoju (w tym w 35 pp.), major posiadał niezbędną wiedzę do dowodzenia składnicą Westerplatte i uważam, że te jego umiejętności oraz walory osobiste (kawaler) zdecydowały o powierzeniu mu tego

stanowiska. Gdyby Sucharski nie miał potrzebnej wiedzy, nigdy nie zostałby dowódcą tak ważnej placówki, tym bardziej, że pewne było, iż w razie wojny dojdzie tu do nieuniknionego starcia zbrojnego. (...) Czy zastępca Sucharskiego kpt. Dąbrowski miał też jakikolwiek powód, aby pomniejszyć zasługi majora?" - pyta major Andrzej Szutowicz na portalu www.westerplatte.pl. Za bezwzględnie niedopuszczalne mjr Szutowicz uważa dyskredytowanie mjr Sucharskiego ze względu na plebejskie pochodzenie.

Żołnierze Wojskowej Składnicy Tranzytowej skapitulowali 7 września. Kapitulację przyjął generał major Friedrich Eberhardt, wyrażając uznanie załodze. Zwrócił Sucharskiemu szablę, którą ten przekazał z honorami Dąbrowskiemu. Spośród 182 obrońców piętnastu poległo, pięćdziesięciu było rannych (Jarosław Tuliszka, „Zanim padły pierwsze strzały", w: Polityka 33/2008). Niemcy stracili 300 żołnierzy, 700 zostało rannych. Sucharskiego przesłuchiwano w Hotelu Centralnym w Gdańsku. Później był więziony w obozach Stablack, Reisenburg, w Oflagu IV A Hohenstein, Oflagu II B Arnswalde i Oflagu II D Gross-Born, po wyzwoleniu którego w 1945 roku znalazł się w II Korpusie Polskim we Włoszech, został dowódcą 6. Batalionu Strzelców Karpackich. 30 sierpnia 1946 roku zmarł w brytyjskim szpitalu wojskowym w Neapolu. Pogrzeb odbył się na Polskim Cmentarzu Wojskowym w Casamassima. W 1971 roku ekshumowano jego szczątki i przeniesiono na Westerplatte.

W roku 1956 Dąbrowskiemu wypłacono odszkodowanie, otrzymał wygodniejsze mieszkanie. Aktywnie podjął działalność na rzecz Związku Obrońców Westerplatte jako jego główny założyciel. Jego imię noszą w Polsce trzy szkoły. Odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem za Odrę - Nysę i Bałtyk, Odznaką Grunwaldzką i Virtutti Militari V klasy. Czy oficerski honor, legenda obrońców Westerplatte nie mają żadnej wartości? Co znaczą małostkowe swary wobec patriotycznej legendy obu postaci? Sucharski stchórzył czy, wiedząc, że nie będzie wsparcia, literalnie wykonał rozkaz Rydza Śmigłego przekazany 31 sierpnia przez pułkownika Sobocińskiego? Trwająca w prasie i w Sieci dyskusja wpisuje się w odwieczny kanon o sens działań między rozwagą a zuchwalstwem, czyli o polskich bohaterach.

Natomiast w książce Marcina Barnowskiego jest wiele tropów, którymi warto podążyć, również z GPS.

Post scriptum

POMNIK PRZESZŁOŚCI: ŁAWA WOTYWNA

Nie pamiętam kto i kiedy zamazał betonową zaprawą niemieckie napisy na ustawionej przodem do ulicy na kościelnym wzgórzu ławie wotywnej. Nie wiem też, czy nazwa „ława wotywna" jest prawidłowa, może lepiej byłoby pomnik nazwać stallą? Wprawdzie częściej używana jest liczba mnoga, czyli stalle, ale Sienkiewicz użył w „Potopie" liczby pojedynczej

i nic się nie stało: „Tu ksiądz przestał czytać i spojrzał ku ławce, w której pan Andrzej siedział, on zaś powstał na chwilę i wnet usiadł znowu, głowę swą wynędzniałą wsparł o stallę i przymknął powieki jakoby w omdleniu." W obu wypadkach nazwa wskazuje na ławę, mającą charakter wotum lub kamienną ławę zdobioną religijnymi i państwowymi symbolami, będącą pomnikiem wdzięczności. Stalle znane były w budownictwie sakralnym od wieków średnich do baroku, stawiano je w świątyniach, najczęściej w prezbiterium, ta stoi na kościelnym wzgórzu, w pobliżu kościoła, na jednej z nim wysokości.

Przez lata zatarta inskrypcja umieszczona na wysoko umieszczonej steli zwieńczonej półkolistym daszkiem z blachy kryła tajemnicę dawnych mieszkańców Wobesde. Wizerunek św. Jerzego, czyli jeźdźca z dzidą przebijającego smoka, był zrozumiałym symbolem, wiadomo bowiem, że św. Jerzy jest patronem wielu państw, w tym Niemiec i patronem wielu zawodów, w tym żołnierzy. Po bokach, niżej, na podłokietnikach ławy budowniczy umieścił wizerunki orła pruskiego i gryfa pomorskiego, dwa godła - dużej i małej ojczyzny - Prus i Pomorza. Cesarstwo Niemieckie założone w 1871 roku przez Bismarcka właśnie się w 1918 roku rozpadło i było dla mieszkańców Pomorza daleką ideą.

Nietypowy pomnik obok maleńkiego kościółka z pruskiego muru, mającego status kościoła filialnego, został poświęcony pamięci poległych w I wojnie światowej żołnierzy pochodzących z Wobesde i okolic. Wieś była wówczas prawdziwym centrum gospodarczym okolicy, noszono się z zamysłem przeniesienia parafii z Rowów do Objazdy, stąd prawdopodobnie decyzja o lokalizacji pomnika. Wykonano go z kilku tafli piaskowca przywiezionego z Dolomitów - które połączono i zmontowano według koncepcji i zamysłu artystycznego profesora (Karla?) Sandtrocka z Hildesheim. Przez wiele lat po wojnie niemożliwe było odczytanie inskrypcji ze steli umieszczonej w centralnej części pomnika. Nowi mieszkańcy wsi Objazda pracowicie zacierali niemieckie ślady, co wydaje się zrozumiałe z psychologicznego punktu widzenia, zamazano też niemieckie napisy. Pomnika nie zniszczono.

Pozostał również nienaruszony kamienny obelisk w kształcie siedziska po prawej stronie schodów na kościelne wzgórze. Na steli widać ślady wykutych płytko liter. Niestety, znikają pod wpływem naturalnej erozji. Intencja ustawienia olbrzymiego polnego granitu nie jest znana i tylko na zasadzie prawdopodobieństwa można sądzić, jak sugeruje Warcisław Machura, że najprostszą formą pomnika stosowaną przez najuboższe wsie było wykorzystanie kamieni polnych, na których miejscowy rzemieślnik wykuwał płytko napisy upamiętniające nazwiska poległych. Być może to pomnik wcześniejszego okresu?

Badacze lokalnej historii na zasadzie prawdopodobieństwa zakładali, że inskrypcja składa się z inwokacji, jak ta z Ewangelii

św. Jana: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich" i zamieszczonych niżej nazwisk poległych. Na pomniku w Objeździe powinno ich być około trzydzieści.

W ostatnich dniach września 2017 roku z inicjatywy proboszcza parafii Objazda miejscowy rzemieślnik oczyścił częściowo pomnik, odsłaniając inskrypcję na steli. Odczytanie gotyckich liter będzie gratką dla badaczy.

W publikacji „Dawne miejsca pamięci o żołnierzach na terenie powiatu słupskiego" Warcisław Machura napisał: „Poszukiwanie dawnych pomników to przygoda, która nie ma końca. Niestety, odwieczna i niezależna od czasu i przestrzeni zasada opisująca stosunek człowieka do pamiątek przeszłości głosi, iż najpierw trzeba zniszczyć większość takich obiektów, aby pozostałości otaczać opieką i żałować, że tak wiele z nich przepadło na zawsze. Tak jest też i w tym przypadku"

Mieszkańcy Objazdy nie zniszczyli pomnika, ale by przyjąć świadectwo dawnych mieszkańców, czekali ponad 70 lat.

TAM BYŁA SOŁUGA

Pan Maciej Jastrzębski, korespondent Polskiego Radia z Moskwy, odwiedził w czasie reporterskich wędrówek miejsca kaźni Polaków na Syberii. Dotarł do miejscowości Buraczycha, gdzie wysadzono pierwsze transporty Polaków oraz do miejscowości Soliuga (Soługa), gdzie między innymi rodziny Kalistów i Cieślików

z Podgórza zostały osadzone w barakach i zmuszone do katorżniczej pracy.

Zwróciłam się do pana Macieja Jastrzębskiego z prośbą o zgodę na wykorzystanie zdjęcia dawnego miejsca pochówku. W odpowiedzi otrzymałam kilka zdjęć tamtego miejsca, dla których komentarzem niech będzie reporterska relacja autora.

„Najbliższa zamieszkała wieś nazywa się Buraczycha. To tam na przełomie marca i lutego 1940 r. dotarł pierwszy transport z okupowanej Polski. Rosjanie z Buraczychy niewiele wiedzą o wydarzeniach sprzed 73 lat. Nieliczni pamiętają, że w okolicznych lasach mieszkali zesłańcy z Polski. Baraki polskich zesłańców stały w pobliżu leśnej osady Soliuga. Na skraju wsi znajdował się niewielki cmentarz. To tam grzebano naszych rodaków, którzy umierali z wycieczenia i z powodu chorób. Po zakończeniu II wojny światowej obóz dla zesłańców zlikwidowano. Później wyprowadzili się też ostatni mieszkańcy Soliugi. Tajga pochłonęła drewniane baraki i cmentarz. O istnieniu takich miejsc wiedzą już tylko myśliwi na co dzień żyjący w lesie."

Autorowi, Panu Maciejowi Jastrzębskiemu, bardzo dziękuję za zdjęcia.

Posłowie

OBJAZDA JAKO FORMA ŻYCIA DUCHOWEGO*

Wśród wielu sposobów patrzenia na życie literackie po roku 1989 pojawiły się w humanistyce nowe tendencje geopoetyki akcentującej przekraczanie granic między tym, co lokalne i globalne. Współczesne analizy wydobywają literaturoznawczy potencjał regionu, którego istotnymi czynnikami są miejsce, przestrzeń geograficzna i historyczna, subiektywnie odczuwany krajobraz, tło socjologiczne, kultura materialna i niematerialna obecna w tradycji i kształtująca współczesność. Tak rozumiane miejsca, nierozerwalnie związane z określonymi dziełami literackimi i ich twórcami, od dawna pobudzają masową wyobraźnię czytelników. Na literackiej mapie świata Dublin ma swój drogowskaz w „Ulissesie" Joyce`a, Paryż możemy poznawać z bohaterami „Łuku tryumfalnego" Remarque`a, ulice Moskwy przemierzamy ze świtą Wolanda, a Orhan Pamuk nieustannie oprowadza nas po ulicach dawnego i współczesnego Stambułu. Skoro już przy stolicach jesteśmy, nie może zabraknąć Warszawy Prusa czy bardziej współczesnej w „Małej apokalipsie" Konwickiego. To jednak byłaby niezbyt dokładna mapa, ponieważ brakuje na niej ogromnych przestrzeni peryferyjnych, prowincjonalnych czy też regionalnych, które również doczekały się literackich przewodników. W atmosferę Gdańska wprowadzi nas chociażby Paweł Huelle, koloryt Wrocławia odnajdują pasjonaci kryminałów Krajewskiego, a uliczkami przedwojennego Lublina przemykają czytelnicy wraz z przestępcami i śledczymi w powieściach Wrońskiego. Lublin jest także co roku podczas Festiwalu „Miasto Poezji" odczytywany i poznawany na różne sposoby przez pryzmat wierszy niewątpliwie jednego z najwybitniejszych lubelskich twórców - Józefa Czechowicza. Czytelnicy mając przed oczami „Poemat o mieście Lublinie" przemierzają ulice opisywane w kolejnych utworach, porównują ich klimat z lat międzywojennych i współczesny, szukają analogii, próbują w wyobraźni wskrzesić dawne miasto i jego niepowtarzalną wielokulturową atmosferę.

Poza obszarami urbanistycznymi rozciągają się ponadto ogromne terytoria literackich pejzaży, którym Rada Europy czasami nadaje tytuł Europejskich Szlaków Kulturowych jak hiszpańskiemu pejzażowi La Mancha prowadzącemu śladami Don Kichota. Czy musimy jednak sięgać tak daleko? W polskiej kulturze funkcjonuje przecież wciąż żywy, o czym świadczą liczne publikacje,

---

* „Lubeka jako forma życia duchowego", tytuł odczytu Tomasza Manna wygłoszonego 5 czerwca 1926 roku w Lubece z okazji 700-lecia tego miasta.

mit Kresów, raju utraconego, po którego drogach, lasach, stepach i rzekach prowadzili dawni pisarze, od romantyków poczynając, przez Miłosza, Vincenza, Konwickiego, Kuśniewicza, Stryjkowskiego, po „Opowieści galicyjskie" Stasiuka czy reminiscencje wołyńskie w poezji chełmianina Krzysztofa Kołtuna. Literackie pejzaże kresowe w wielu swoich książkach przypomina Katarzyna Węglicka, a „Kresy, czyli obszary tęsknot" Tadeusza Chrzanowskiego w sposób historyczny i kulturowy nakreśliły genezę kresowego mitu, zarazem żegnając się z samymi Kresami jako terytorium niegdyś geograficzno-politycznym, a dzisiaj obecnym już tylko w sferze kulturowej i psychicznej. Na samych Kresach zaś badacze kulturowych i literackich map wyodrębniają osobne regiony, jak Wołyń, Podole, Wileńszczyzna czy Huculszczyzna.

Już z tego zestawienia widać, że można mówić o dwóch rodzajach obecności konkretnego miejsca geograficznego w literaturze, a mianowicie obecność miejscowości (miasta, czasem wielkiej aglomeracji, ale i mniejszych prowincjonalnych miasteczek) i obecność mniejszej lub większej okolicy, regionu, identyfikowanego jako „mała ojczyzna". Zjawisko policentryzacji życia kulturalnego po okresie transformacji ustrojowej przybrało na sile, a za sprawą gwałtownego rozwoju technologicznego wszelkie działania najmniejszych środowisk społecznych znajdują swoje miejsce w internetowej przestrzeni publicznej, docierając do szerokiego grona odbiorców. Współczesna mapa kulturalna czy wręcz ściśle literacka składa się z tysięcy małych punktów, ośrodków, stron internetowych, profili twórczych i blogów prowadzonych przez amatorów i profesjonalistów, indywidualnych pasjonatów, stowarzyszenia i instytucje kulturalne. Czasami znajdują one swój wymiar materialny w formie wydawnictwa książkowego bądź czasopisma. Znamienne, że całkiem małe miejscowości stają się centrum dla inicjatyw o zasięgu ogólnopolskim. W sześciotysięcznym Wołczynie w województwie opolskim ukazuje się nieregularne czasopismo literackie „Ulotna Przestrzeń", w którym publikować mogą poeci z całego kraju. Wydawnictwo Czarne założone przez Andrzeja Stasiuka ma siedzibę w małopolskiej wiosce Wołowiec. Okazuje się bowiem, że to, co w kulturze ważne i cenne niekoniecznie musi zaistnieć w oficjalnym centrum o charakterze administracyjno-państwowym.

Za sprawą książki Czesławy Długoszek „Jeśli będziemy jak kamienie" na kulturowej mapie kraju pojawiła się Objazda - niewielka miejscowość w powiecie słupskim województwa pomorskiego. Wcześniej zaistniała już jako wirtualny punkt na platformie internetowej, ponieważ autorka prowadzi blog „Słowa na wiatr" pod adresem objazdowy.bloog.pl. Książka ściśle wyrasta z blogowej twórczości, gdyż większość rozdziałów miała swój pierwodruk w formie blogowych wpisów na żywo komentowanych przez czytelników oraz twórczości publikowanej przez kilka lat na łamach biuletynu „Powiat Słupski". Podtytuł „Reportaże z Objazdy i okolic" sugeruje autentyczność opisywanych osób i zdarzeń, jak bowiem zauważa Zbigniew Chojnowski, „ten typ pisarstwa ma nade

wszystko znaczenie antropologiczne, odnosi się do człowieka z imienia i nazwiska" („Punkty wyjścia, punkty dojścia", 2002). Czesława Długoszek udziela głosu bohaterom swoich reportaży, a nawet prowadząc narrację w trzeciej osobie, opisuje losy maksymalnie usuwając w cień siebie, eksponując zaś punkt widzenia i emocje postaci. Książka w przeważającej części jest owocem wnikliwej, żmudnej pracy badawczej, historycznych dociekań, porównań i analiz opatrzonych poetyckim dopełnieniem autorki. Fragmenty „Kroniki Objazdy" spisywanej przez Romana Zuba, jego też „Pamiętnik", obok zaś sybirskie wspomnienia Józefa Cieślika spisane przez jego żonę są przykładami wprowadzenia narracji pierwszoosobowej, nadającej relacji walor autentyzmu przeżyć, postrzegania biegu zdarzeń, własnych losów zanurzonych w historii oraz indywidualizacji języka bohaterów. Wyznaczniki reportażu są jednak w mojej ocenie absolutnie niewystarczające dla uchwycenia charakteru i rangi obszernej książki. Już samo wprowadzenie poezji jako lirycznego dopełnienia poruszanych tematów wykracza poza ramy ściśle pojętego reporterskiego spojrzenia. Rozdziały takie jak „Lipowe łapcie", „Jak opowiedzieć Kresy?", „Rówieśnicy Niepodległej" czy „Anna" penetrując losy rodziny autorki, dziadków, rodziców, krewnych, wpisują się w pewien rodzaj kroniki rodzinnej, opartej na wspomnieniach, ale i udokumentowanej źródłami historycznymi, listami, fotografiami.

Wobec różnorodności form, bogactwa tematyki i punktów widzenia czy narracyjnych odmian jednoznaczne określenie gatunkowe książki Czesławy Długoszek nastręcza trudności i wydaje się wręcz niemożliwe. Być może jednak zastanawianie się nad tą kwestią nie ma racji bytu, a istota rzeczy kryje się zgoła gdzie indziej. Mianowicie w konsekwentnej jednostkowej, indywidualnej perspektywie zastosowanej do opisywania dawnych i współczesnych wycinków rzeczywistości Objazdy i jej mieszkańców. Punktem wyjścia dziejów społeczności, dziejów miejscowości jest konkret: legenda o budowie kościoła w Rowach, historyczne zdjęcia, powstanie pierwszego sklepu, szkoły, parafii, fragment listu Józefa Turka, lipowe łapcie repatriantów z Polesia m.in. Wielka historia uobecnia się w losach pojedynczych nieznanych podręcznikom ludzi, jak w exodusie Julii Matulisowej, z domu Pawłowskiej, żegnającej na zawsze poleską ojczyznę, gdyż „wszystko trzeba było zostawić, tak zdecydowali Franklin Delano Roosevelt, Winston Churchill i Józef Stalin w dniach 4 - 11 lutego 1945 roku na konferencji w pałacu Potockich w Liwadii pod Jałtą na Krymie". Jeśli bowiem uznać, że dzieło Czesławy Długoszek jest w dużym stopniu ściśle związane z zanurzeniem się w dziejach niewielkiego w gruncie rzeczy wycinka domowej ojczyzny, to realizuje ono najpełniej przekonanie Tadeusza Łopalewskiego „odczuwania świata zmysłami własnego regionu" („Regionalizm a literatura", 1931).

Oczywiście samo zjawisko regionalizmu wywodzi się z epok wcześniejszych, jego źródła wskazuje się w myśli francuskiej sformułowanej przez Jeana Charlesa-Bruna i działalności grupy siedmiu poetów, którzy organizując się w les félibres za cel postawili sobie utrwalać i zachować w literaturze język,

charakter, ducha i inteligencję Prowansji. Duchem ożywczym środowiska był przede wszystkim Frédéric Mistral, tworzący w prowansalskim dialekcie oksytańskim. Z tego punktu wyjścia idea regionalizmu związana jest przede wszystkim z językiem, dialektem, ludowością, obyczajowością i obrzędowością. Pojęcie i idea regionalizmu szybko znalazły zainteresowanie i szeroki oddźwięk w polskiej humanistyce oraz badaniach etnograficznych, w okresie dwudziestolecia międzywojennego doprowadzając do wielu dyskusji na łamach prasy. Głos zabierali nie tylko badacze, ale i pisarze, jak Stefan Żeromski („Snobizm i postęp", 1923), Władysław Orkan („Regionalizm u obcych i u nas", 1925), Czesław Miłosz („Sens regionalizmu", 1932). Aleksander Patkowski dopatrywał się genezy idei regionalistycznych w epoce romantyzmu, w działalności filomatów, a najstarsze regiony wyraziście obecne w literaturze wskazuje Nowogródczyznę w twórczości Mickiewicza, Podhale u Tetmajera oraz Sandomierszczyznę u Żeromskiego (A. Patkowski, „Regionalizm", 1928). W nowo odradzającym się państwie postulował natomiast otoczenie opieką regionalnej prasy i podjęcie działań zmierzających do rozwoju intelektualnego w regionach poprzez zakładanie bibliotek, muzeów, organizowanie wycieczek naukowych, zjazdów i konferencji. Przykładem działań tych ostatnich były Wakacyjne Kursy Ziemi Sandomierskiej w latach 1922-1927 oraz powstanie w 1924 roku Sekcji Powszechnych Uniwersytetów Regionalnych Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, której Rada Naukowa opublikowała w 1928 roku pierwszy tom „Biblioteki Regionalnej" pod tytułem „Muzea regionalne, ich cele i zadania". Tom drugi poświęcony został obrzędom ludowym: „Kalendarz obrzędowy ludu polskiego". Z kolei Powszechne Uniwersytety Regionalne zainicjowały powstanie wielu tytułów prasy regionalnej, m.in. w Wilnie, Lublinie, Zamościu, Radomiu, na Kujawach.

Etnograficzny punkt widzenia w rozumieniu zjawiska regionalizmu prezentuje Bożena Stelmachowska, która przedmiotem oceny badawczej czyni nie tylko literaturę stricte ludową, ale i publikacje krajoznawcze („Regionalizm etnograficzny na tle przykładów z współczesnej twórczości literackiej Polski Zachodniej (przyczynek do teorii regionalizmu)", 1936). Postawa regionalistyczna według badaczki łączy elementy językowe danego regionu, opis etnograficzny, znajomość historii i zachodzących przemian, prowadząc do „scalenia własnych obserwacji i impresji z teraźniejszością". Wszystkie te elementy przenikają się jak kolorowe nici w dywanie utkanym przez Czesławę Długoszek z portretów rybaka Bułgary, prządki Filomeny Ragiel i jej warsztatu tkackiego, rybaków z Rowów, ludowych artystów inspirowanych do artystycznej ekspresji, Objazdowego kronikarza i pań z Koła Gospodyń Wiejskich. Czytając o ginących zawodach, o zajęciach mieszkańców Objazdy i okolicznych miejscowości, poprzez archaizmy językowe poznajemy tamten świat zamknięty w przeszłości. Autorka świadomie nawiązuje do ludowej i archaicznej frazeologii, przywołując dawne znaczenia, z których jak archeolog z pokruszonych

skorupek odczytuje życie codzienne coraz mniej rozumiane przez młode pokolenia. Opis cotygodniowego misterium pieczenia chleba w domu rodzinnym autorki wprowadza czytelnika starszego w sentymentalny tok wspomnień, a młodym uświadamia obrzędowo-sakralną wartość chleba w wiejskiej kulturze, z której wywodzą się być może ich dziadkowie, a często nawet jeszcze i rodzice. Etnograficzną wartość przedstawia rozdział „Ręczny warsztat tkacki, czyli krosna", będący dopełnieniem wcześniejszego Filomenie Ragiel, prządce z Objazdy. Szereg czynności i nazewnictwo mają charakter obyczajowego i językowego dokumentu.

W relikty przeszłości przenikają nowe zjawiska, obyczaje i sposoby przeżywania sacrum, co obrazuje autorka w cyklu rozdziałów poświęconych wydarzeniom tak zwanego roku liturgicznego, który nadal wyznacza rytm życia mieszkańców wsi: „Odpust w Objeździe, czyli o ludowej religijności", „Adwent, czyli czas oczekiwania", „Jasełka, kolędnicy, turonie", „Gromniczna", Fasciculus myrrhae, Snopek mirry, Gorzkie żale", „Boże Ciało na starych fotografiach". Etnograficzny charakter mają też fragmenty będące zapisem miejscowych legend, w których autorka stosuje stylizację ludowo-archaizującą, jak w „Legendzie o kościele w Rowach". „Ale przecież kultura jest czymś żywym i nie zamyka się w folklorze" - pisze Grzegorz Pac na marginesie rozważań o kaszubskim rocku i współczesnych formach muzyki mniejszości żydowskiej, łemkowskiej i ukraińskiej („Tu nie skansen", „Więź", nr 43/2007). Przykłady sztuki tzw. wysokiej, zwłaszcza z kręgu malarstwa, ilustrowane kolorowymi fotografiami, przełamują stereotyp odcięcia, zamknięcia krwiobiegu regionalnego na dopływy ze świata zewnętrznego. Na kartach książki „Jeśli będziemy jak kamienie" w kilku rozdziałach spotykamy się z malarstwem Maxa Pechsteina, artysty z Berlina, który upodobał sobie tutejsze strony do tego stopnia, że co roku spędzał wakacje w Rowach. Z kolei Margarete Neuss-Stubbe stąd pochodziła i tu malowała aż do czasów wysiedlenia w 1947 roku („Malarka znad jeziora Gardno"). Kontynuacją tradycji malarskich były w czasach powojennych i są współcześnie reaktywowane plenery malarskie dla artystów z Pomorza.

Częścią tradycji okolic opisywanych przez Czesławę Długoszek jest oczywista niemieckość tutejszej kultury obecna chociażby w nazewnictwie miejscowości. Autorka analizuje genezę nazw miejscowych, począwszy od tytułowej Objazdy (Obesda, Wobasdo, Wobezde) oraz nazw okolicznych miejscowości, jak Dębina, w historii której ścierały się dwie nazwy: kaszubska - Szënodo (Szaneda) i niemieckiej Schönwalde. W historii Objazdy przedstawionej w początkowych rozdziałach książki znaczącą rolę odgrywają kolejni niemieccy właściciele posiadłości: von Natzmer, von Bandemer, Ernest Kutscher. Jałtańskie ustalenia doprowadziły do niemal całkowitej wymiany ludności, a co za tym idzie, także wymieszania przywiezionej przez repatriantów odrębnych obyczajów, kultury, języka, tradycji rodzinnych. Powojenne osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych wprowadziło wiele problemów związanych z procesem dezintegracji tożsamości

zbiorowej, destabilizując fundamenty kulturowej tożsamości (Stanisław Pietraszko, „O temacie regionalnym w literaturze", 1970). Repatrianci zza Buga przywieźli ze sobą mit Kresów jako ojczyzny utraconej, a mieszkańcy autochtoniczni wypracowali własny mit oporu przeciw wieloletniej germanizacji. Jacek Kolbuszewski uważa, że regionalizm Ziem Odzyskanych jest nadużyciem, ponieważ powojenni osadnicy, nie tylko kresowi zresztą, zostali pozbawieni swoich kulturowych korzeni („Literackie oblicza regionalizmu", 1993). Jednak wcześniejsze propozycje Stanisława Pietraszki zdają się podważać dość wąskie potraktowanie problemu przez Kolbuszewskiego, postulując zjawisko nowej regionalizacji, będącej wolnym wyborem pisarza, twórcy, artysty. I właśnie tutaj, na Ziemiach Odzyskanych problemy migracyjne, docieranie do źródeł nowego regionu, nowego domu stały się „składnikiem genealogii teraźniejszości", poprzez którą „pisarz nadaje strukturę poznawanej rzeczywistości" (S. Pietraszko, „O temacie regionalnym literaturze", 1970).

Bez wątpienia bogactwo tematów stanowi złożoną sieć poznawczą historii budowanej z indywidualnych losów bohaterów książki Czesławy Długoszek. Drogi życiowe osadników, kresowych repatriantów i przymusowych wojennych robotników, którzy postanowili pozostać tutaj na stałe, krzyżują się w powolnym procesie zmian społecznych, gospodarczych, politycznych i kulturowych. Nurt wspomnieniowy powojennych osadników jest silnie obecny za sprawą rodzinnych powiązań autorki, której dziadkowie przybyli do Objazdy z Polesia. Podobne historie przynieśli ze sobą inni bohaterowie książki: Filomena Ragiel ze Strusta, Adam Turek z Plebańców, Józef Cieślik i Aleksander Kalista z Podgórza, Roman Zub z Krasnobrodu. Równolegle toczyły się dramatyczne nieraz losy przymusowych robotników zsyłanych przez okupanta w czasie wojny, jak Feliks Kozub, który został pierwszym powojennym sołtysem Objazdy, oraz mieszkańców i pracowników PGR-ów, po których dzisiaj straszą ruiny i nieużytki. Znajdziemy w książce Długoszek bolesne nierozwiązane problemy przeobrażeń społecznych ostatnich lat, jak i zderzenie tradycji z nowoczesnością, cywilizacyjne aspiracje mieszkańców Poddąbia, oglądających lądowanie na Księżycu i marzących po cichu o przekształceniu ich miejscowości w ośrodek wczasowy i letniskowy. Jeśli nawet w postawie mieszkańców Objazdy i okolicznych miejscowości pojawiały się czy pojawiają ślady kompleksu prowincji, z którym rozprawia się Edward Balcerzan („Regiony słowa. O własną osobowość", 1972), to książka „Jeśli będziemy jak kamienie" cierpliwie, pracowicie i krok po kroku, rozdział po rozdziale ten kompleks zwalcza, to, co miejscowe, tutejsze, regionalne i lokalne sytuując w przestrzeni geograficznej znacznie szerszej i wymiarze ponadczasowym jako „szczególny przypadek czegoś ogólniejszego" (Siemiński, „Sztuka związana z Kazimierzem", „Literatura", nr 36/1979). Można liczyć, że pozostawi ona trwały ślad w czytelnikach, zwłaszcza środowiska lokalnego zainteresowanego tym, aby publikacja doszła do skutku zaprzeczając przysłowiu nemo propheta in sua patria.

Współczesne szlaki kulturowe mają za zadanie łączyć regiony i prowadzić do dialogu. Podkreślanie różnic, odrębności czasami wręcz interpretowanej jako dążenia separatystyczne, widoczne w pracach regionalistycznych minionych lat, ustępuje projektom wielokulturowości, która nikogo nie wyklucza. Na ile idea ta ma szansę realizacji, czas pokaże, ale mały świat okołoobjazdowy już znalazł swoje miejsce w kulturowym świecie Europy za sprawą odnowienia Europejskiego Szlaku Kulturowego Drogi św. Jakuba, którego Droga Pomorska została niedawno włączona w część europejską. Kulturowe dziedzictwo Drogi św. Jakuba, o której reaktywacji pisze Długoszek w jednym z końcowych rozdziałów książki, jest bowiem znacznie starsze od współczesnych dróg dojazdu turystów do letniskowych domków nad morzem. Na kształt życia tu i teraz wpływ mają minione wieki, nie tylko lata naszej indywidualnej egzystencji. Także rejestrowanie i opisywanie zmian życia społecznego nie jest całkowicie oderwane od przeszłości, lecz jest jej kontynuacją, bowiem zadaniem każdej sztuki, także reportażowo-wspomnieniowo-poetyckiej, jest „odtwarzanie na nowo, na innej płaszczyźnie odziedziczonych ze krwi form egzystencji" (Tomasz Mann, „Lubeka jako forma życia duchowego", odczyt, 1926).

Iwona Danuta Startek, Biłgoraj

Indeks nazwisk

KAMIEŃ MILOWY I INNE ZWIĄZKI

Kamiński Aleksander
Myśliwski Wiesław
Purtak Iza
Startek Iwona Danuta
Szymborska Wisława
Turner Wiliam
Zub Roman

NAJDAWNIEJSZE DZIEJE OBJAZDY

Aleksa Paweł, ks.
Bandemer Jakob
Bobrowski Wiesław
Borysiewicz Krzysztof
Bötger Ludwig
Bogusław XIV
Braunschweig Eberhard, von
Brüggemann Ludwig Wilhelm
Brzywca Jan
Brzywcy Regina
Chedowa Leokadia
Czarnik Andrzej, prof.
Czarnow Bartłomiej, von
Damaschke Heinrich
Długoszek Czesława
Drogosz Mariusz, ks.
Duszyńska Gertruda
Ernest Bogusław Croy, de
Fortuński Stanisław, ks.
Gomułka Władysław
Goreński Jacek
Gruszczyński Zdzisław
Huczyński Bogusław
Jaroszewska Irena,
Jaroszewski Władysław
Kasyna Ryszard, ks.
Kolasińscy Aleksandra, Paweł
Konieczna Krystyna
Kotz Paweł Sexston
Korzeb Stanisław
Kozub Feliks
Kubała Józef
Kubicz Stefan
Kutscher Ernst
Kutscher Käte
Kuźmiński Jerzy
Kuźmińska Wiesława
Kypke, pastor
Lesiecki Zdzisław
Leśkowie Julia, Józef
Lewicki M.
Lietzke Witwe
Łyszcz Błażej
Marczak Kazimierz
Matłowski Wincenty, ks.
Maska Carl
Marz Carl
Maziejuk Jan
Minkowska Anna, dr
Miodek Jan, prof.
Moj Zofia
Moskwa Jacek
Mściwój II
Natzmer Antonius, von
Nielepkiewicz Henryk
Pagel Karl-Heinz, von
Pawelke Carl
Pawlukowski Ryszard, ks.
Pechstein Max
Pfeiffer Alexander, ks.
Pietras Józef, ks.
Pokorska Teresa
Przybylski Wojciech, ks.
Radtke Edmund, ks.
Sandtrock Carl, prof.

Scharnofske Paweł
Scharnowske Theodor
Schulz Gustaw
Sędzicka Zorza
Steinke Heinrich
Spychał Dorota
Suliński Henryk, ks.
Szczasiuk Barbara
Szpilewski Stanisław
Szubert Antoni
Toberer, Szwajcar
Tokarska Maria
Tomaszewski Bronisław
Turner Wiliam
Waluk Adolf, ks.
Waszkiewicz Anna, Jan
Wąwoźniak Czesław
Weiwer Maria
Welke Carl
Wieliczko Wilhelm
Wołkowicz Cz.
Wszółkowski Tomasz
Zaczek Tomasz
Zalewska Anna
Zamościk Stanisław
Zarzycka Cecylia
Zieja Jan, ks.
Zięba Roman, ks.

LIPOWE ŁAPCIE

Kałłaur, nauczyciel
Matulisowie Adolf, Julia
Matulis Michał
Piotrowska Maria z domu Kuncewicz
Zawadzki Wacław, hr.

JAK OPOWIEDZIEĆ KRESY?

Bieńkowska Barbara
Chęciński Sylwester
Churchill Winston
Czapliński Przemysław
Gauda Alfred
Kolberg Oskar
Koźlarek Aneta
Kuncewiczowa Aginia (Agnieszka)
Matulis Antoni
Matulis Maciej
Mościcki Ignacy
Pawłowscy Emilia, Józef
Piłsudski Józef
Ptakówna Rozalia
Roosevelt Franklin Delano
Skirmunttowie
Stalin Józef
Zawadzki Wacław, hr.

Z PODGÓRZA DO OBJAZDY

Archaccy z Podgórza
Bąkowski Janek
Bobrowski Wiesław
Burchard Irma, Fredi, Urzula
Cieślik Maria Henryka z domu Grabowska
Cieślik Mieczyslaw
Cieślik Zygmunt
Dąbrowski z Pniewa
Geszterowiczowie
Grabowski Henryk
Grabowska Kazimiera z domu Ciszewska
Hitler Adolf
Jabłoński Jerzy
Jarota, kowal
Jarotowie Jadwiga, Kazimierz
Kalista Aleksander
Kalistowie Aleksander, Elżbieta
Kamińska, sąsiadka
Kłosiński Stanisław
Kłosińska
Kołodziejscy Czesław, Stefania, Anna
Kotarowie Izydor, Edward
Kowalewska Helena
Kozub Feliks
Kuczewski, gajowy
Kujel Janina
Łyszcz Błażej
Mazguła Jan

Obrocki Józef
Podgórska Janina
Pryżyńscy, Pryżyński Bogdan
Rakowscy, Rakowski Wacław
Radke, żandarm
Rawa Waldemar
Rogowska z Podgórza
Sawiccy
Schulz Gustaw
Sokołowskie z Podgórza: Zosia, Gienia, Irena
Sosańscy, leśniczy
Strzemiński, nauczyciel z Pniewa
Śmietana, milicjant
Świtalska Julia
Tomaszewski Bronisław
Tomaszewski Marian
Welk Hans
Wiśniewska Lodzia
Wiśniewski Czesław
Wittenbergowie Gerda, Jerych
Wyrzykowski z Wyrzysk
Zaczek Stanisława
Zaczek Piotr
Zaczek Tomasz
Zieja Jan, ks.

SYBIRIADA. WSPOMNIENIA MĘŻA, JÓZEFA CIEŚLIKA, SPISAŁA HENRYKA MARIA CIEŚLIK

Anders Władysław, generał
Cieślik Henryka Maria
Cieślik Józef
Cieślik Zygmunt
Jasińska Jasia
Jasiński Stasiek
Kalista Olek
Kalistowa Julianna
Kołodziejscy
Makowska Regina
Seroczyńscy
Sikorski Władysław, generał
Stalin (Józef)

ALEKSANDER KALISTA: PRZYSZEDŁ CZAS NIEPRZEWIDZIANY

Anders Anna Maria
Anders Władysław, gen.
Berling Zygmunt, gen.
Borygin, komendant obozu
Cieślik Piotr
Galanek Olek
Gałązka Genowefa
Gorajski, porucznik
Jastrzębski Maciej
Kalista Aleksander
Kalista Julianna
Kalista Roman
Kostka Krystyna
Kotara Izydor
Kot Stanisław
Ludmiła, pani Luda
Nagel Przemysław
Nowosielski Kazimierz, prof.
Sikorski Władysław, gen.
Sokołowska - Satanowska Stefania
Srebrakowski Aleksander
Stalin (Józef)
Wasilewska (Wanda)
Żymierski Rola Michał, gen.

RÓWIEŚNICY NIEPODLEGŁEJ

Januszkiewicz Zelisław
Turek Adam
Turek Grzegorz
Turek Józef
Turek Julia z domu Korotko
Wieliczko Janina, Wilhelm
Zamościk Stanisław

ANNA

Chodźko Konstanty
Korotko Julia
Turok (Turek) Anna
Turek Antoni
Turek Bonifacy
Turek Kazimierz
Turek Sebastian

16 KWIETNIA NAD NYSĄ. GRZEGORZ TUREK

Borodzicz Marian
Dubienko Dymitr, płk
Komorowski Bronisław, Prezydent
Lesiewicz Witold,
Pawłoś Mirosław
Schetyna Grzegorz,
Schulz Franz
Struc Aleksander, płk
Turek Grzegorz
Turek Leonard

CO NAS ŁĄCZY, A CO DZIELI?

Bandemerowie
Churchill Winston
Davis Norman
Dziurski Kazimierz
Kraśnik Witold
Moskwa Jacek
Radtke Edmund, ks.
Rogoziński Romek
Roosevelt (Franklin Delano)
Suliński Henryk, ks.
Szubert Antoni
Turek Adam
Wieliczko Wilhelm
Wiśniewski Janusz L.
Wojciechowicz Albin
Zamościk Józef
Zamościk Mieczysław
Zamościk Stanisław
Zieja Jan, ks.
Zub Roman

UROK STARYCH DOKUMENTÓW. „DOWÓD TOŻSAMOŚCI KONIA"

Bloch Ryszard
Garst Tomek
Matulis Adolf
Pol Wincenty
Prus Bolesław
Smorawska Bożena
Szubertowa Kazimiera
Wieliczkowa Janka

PLEBAŃCE POD BRASŁAWIEM. HISTORIA SENTYMENTALNA

Aleksandrowicz Wincenty
Chodźko Adam
Chodźko Jan
Chodźko Józef
Chodźkówna Izabela
Firkovičius Romualdus
Girsa (Małgorzata)
Januszkiewicz Żelisław
Kasabuła Tadeusz, ks.
Massalski Ignacy Jakub
Muszanka, nauczycielka
Ogiński Michał
Poniatowski Stanisław
Ragiel (Filomena)
Suwikówna Agata
Turek Antoni
Turkówna Helena
Wieliczko (Wilhelm)
Woronecki (-)
Ziemiec (Kazimierz

BALLADA O PIECZENIU CHLEBA

Duszyńscy Gertruda, Ryszard
Matulisowa Julia
Pacek (?)
Tur Kazimierz
Wieliczko Wilhelm
Zaczek Tomasz

MIAŁA MATKA TRZECH SYNÓW. Z ZAPISKÓW ROMANA ZUBA O MARIANIE, FRANCISZKU I STANISŁAWIE UCHACZACH

Uchacz Bogumiła
Uchacz Franciszek

Uchacz Marian
Uchacz Stanisław
Szybicka Krysia
Zub Roman

KRONIKARZ Z OBJAZDY

Adamczyk Stanisław
Aluchna - Emelianow Marta
Anders (Władysław), gen.
Bełz Jurek
Chruściweicz Zbyszek
Gerlecki T., por.
Gomółka Władysław
Gugała Tadzio
Idzikowski Antoni
Janus Stanisława
Klejna, piekarz
Kominek Bolesław, ks.
Kotyński (-)
Kurnatowicz Antoni, Feliksa
Łatecki Janek
Mazurek J., nauczyciel
Mościcki Ignacy
Ostrowski (-)
Pawłowski Jerzy
Pietrusiewicz Mieczysław
Raczyński Emil
Roycewicz H. rtm.
Rycak Antoni
Stachlewski, płk.
Śrutka, ppor.
Stachowski, piekarz
Wojtyła Karol, ks.
Wyszyński Stefan, ks.

O OBJEŹDZIE, WYTOWNIE I LUDZIACH, CZYLI DWA ZDANIA O KSIĘDZU JANIE ZIEI W KRONICE OBJAZDY

Bobrowski Wiesław
Chmielewski Karol, ks.
Cieślik Henryka Maria
Cyrankiewicz Józef
Grochowska Magdalena
Hlond August, ks. kardynał
Hołyńska Gabriela
Ignar Stefan
Iwaszkiewiczowa Anna
Kalistowie Aleksander, Michał
Kolasińska Aleksandra
Kolasiński Janusz
Kolasiński Paweł
Kuciel Frydryszak Joanna
Łada Cybulski Edward
Machura Zdzisław
Małeta Jan
Minkowska Anna, dr
Młodożeniec Sławomir
Moskwa Jacek
Nowicki Edmund, ks.
Obecny Andrzej
Rogowski Tadeusz
Piasecki Bolesław
Stankiewicz Zdzisław
Turzyński (?)
Urbanowicz Aniela
Widny Tadeusz
Wosiek Maria
Wyszyński (Stefan), prymas
Zaczkowie Piotr, Stanisława, Tomasz
Zawieyski Jerzy
Zieja Jan, ks.
Zub Roman

MAŁE JEST PIĘKNE. KOŚCIÓŁ W OBJEŹDZIE

Aleksa Paweł, ks.
Böttger Ludwig,
Drogosz Mariusz, ks.
Dehmel Henryk
Fortuński Stanisław, ks.
Krawiec Kazimierz
Kutscher Erich
Kutscher Katherine
Kypke, pastor
Ludwiczuk Władysław

Marczakowie, Kazimierz
Matłowski Wincenty, ks.
Natzmer Antonius, von
Nikolajna z Wejcherów
Pawlukowski Ryszard, ks.
Pietras Józef, ks.
Przybylski Wojciech, ks.
Pfeiffer Alexander, ks.
Radtke Edmund, ks.
Suliński Henryk, ks.
Wojtas Marek
Zawada Bronisława
Zieja Jan, ks.
Zub Roman

O LUDOWYCH ARTYSTACH, KOŚCIELE W OBJEŹDZIE I ANTONIM KROHU

Drogosz Mariusz, ks.
Frąckiewicz Zenon
Janas Stanisław, ks.
Kowalczyk Czesław
Kroh Antoni
Nitka Edward, ks.
Oleksy Wojciech
Sędzicka Zorza
Tischner Józef
Wesołowscy Barbara, Jerzy
Zimmermann Ludwik
Życiński Józef, ks.

LEGENDA O KOŚCIELE W ROWACH

Derby Henryk
Dukielowa Janina
Horn Karl Frederich Jonathan
Łepkowa Irena
Stüler Fredrich August

RYBACY Z ROWÓW

Bartz Otto
Białek Roksana
Broockmann Gottfried
Broda Barbara
Botter Wanda
Czarnik Andrzej, prof.
Czucha Krystyna
Dzieran Józef
Gielar Jozef
Grużewska Ewa
Hardt Willi
Kłosowski Zygmunt
Kostka Jolanta
Kostka Kazimierz
Kościuczuk Teresa
Kraśnik Lempek Bożena
Kraśnik Mirosław
Kraśnik Paweł
Kuczun Aleksandra
Kuhfus Paul
Kuleta Iwona
Kuskowski Józef
Łepek Kazimierz
Michalec Kraśnik Aldona
Mieliwodzka Ostrowska Alicja
Pechstein Max
Płatwa Joanna
Sędzicka Zorza
Sobczuk Jodłowska Anna
Torończakowie
Wietrak Czerwonka Justyna
Wołkowie
Wysogrocka Dukiel Małgorzata
Ziomek Jadwiga

TAKA SOBIE ANEGDOTA

Czarnik Andrzej, prof.
Döhring, karczmarz
Hardt Willi
Kaprolot Charlotte
Kemp, karczmarz
Möller Marta
Neuss Staube Margarite
Pechstein Max
Pliestschowie Ede, Micy
Priebe Otto

ZDARZYŁO SIĘ W ROWACH

Barnowski Marcin
Brockman Gotffried
Grube Willi
Gutsche Edda
Morawski Stefan
Pechstein Max
Zenke Richard

ORĘDOWNICZKA Z ŁEBY

Bartoszewski Władysław
Cieslik Mieczysław, o. oblata
Möller, papa
Pechstein Julia
Pechstein Max
Rottenberg Anda

GRZECH PIERWORODNY „WILHELMA GUSTLOFFA"

Donitz Karl, adm.
Frankfurter Dawid,
Gustloff Hedwig
Gustloff Wilhelm
Hitler (Adolf)
Janczukowicz Jerzy
Marinesko Aleksander
Petersen Friedrich
Rotschyld Dorn Ewa
Schön Heinz
Szabliński Aleksander
Terres Waldemar
Zahnem Wilhelm

JEZIORO GARDNO

Domańska Anna
Gardulski Kazimierz
Kuhfuss Paul
Neuss Stubbe Margarete
Pechstein Max
Reich an der Stolpe Siegfried
Skwarczyńska Joasia

O BOĆKU Z OBJAZDY

Nowakowscy Janka, Wiesiek

MALARKA ZNAD JEZIORA GARDNO

Kaufmann Charlotte
Mokwa Marian
Neuss Stubbe Margarete
Orlik Emil
Pechstein Max
Weiss Emil Rudolf

DĘBINA

Bobrowski Wiesław
Czarnik Andrzej, prof.
Cieslik Henryka Maria
Dziubowie, Dziuba Stanisław - „Kornik"
Dmoch Antoni
Gałkowie
Giebe Julius
Lewandowski Arek
Molendowie
Olczak Jerzy, doc. dr
Parczewski Alfons, J.
Piper Hans
Żabiński Jerzy, lek. med.

SPACEREM DO PODDĄBIA

Armstrong Neil
Bułgara, rybak
Zub Roman

BAJKA NIEBAJKA

Bułgara, rybak

ZAGUBIONY ETOS

Banasiuk Włodzimierz,
Bednarczyk Kazimierz
Fitkus Paweł
Janus Stanisława
Jarnecka Władysława
Łyszczówna Kazimiera
Kalista Olek
Kicinger Anna

Kostka Alek
Kozub Feliks
Łyszcz Błażej
Pawłowska (Bednarczyk) Józefa
Pritzkow Richard
Szubert Antoni
Turek Regina
Wieliczkowa Janina
Wojciechowiczowa Jadwiga
Zaczkówna Stanisława
Zamościkowa Leokadia
Zieja Jan, ks.

PRZĄDKA Z OBJAZDY

Maziejuk Jan
Ragiel Filomena

RĘCZNY WARSZTAT TKACKI, CZYLI KROSNA

Filomena Ragiel

URZĄD SOŁTYSA

Barnow Ewald
Boryna Maciej
Brzywcy Regina
Czapski Józef
Gębczyński Stanisław
Gombrowicz Witold
Grabowska Marysia
Granosik Józef
Jagiełło Władysław, król
Jodko Franciszek
Kaczmarski Stefan
Kazimierz Wielki, król
Kłoskowska Antonina, prof.
Kosut Henryk
Kotsch Rutha
Kowalewski Stanisław
Kozub Feliks,
Kozub Kasia
Labun Petryk Magdalena
Lechoń Jan
Lempek Halina
Łabęcki Józef
Łyszcz Błażej
Mieszko I
Muchocki Antoni
Piłkowska Józefa
Piłkowski Władysław
Rogoziński Stanisław
Romanko Ewa
Trawny Agnes
Wilkosz Mieczysław
Wejchert Jan
Wychowałek Stefan

CO PO PEGEERZE?

Gierek (Edward)
Karwowska Anna
Kozub Feliks
Zub Roman

KARTKA Z „KRONIKI OBJAZDY" ROMANA ZUBA

Barnowski Marcin
Deskowie
Dziubowie
Grabowska Maria Henryka
Grobarz J.
Janus Stanisława
Jasiński Stanisław
Kalistówna Elżbieta
Kowalewska Halina
Kowalewscy Władysław Zofia
Kozub Feliks
Kozub Irena
Kaczor M.
Maruszak Wojtek
Misztalowa Halina
Mołdawski P.
Obstowie Krystyna, Zbyszek
Rybak Kazimierz
Sorek W.
Szyszka S.
Śmietana, milicjant
Waszkiewiczowie Anna Jan
Zaczkówna Elżbieta
Zub Roman

O DAWNYCH ZAJĘCIACH I GRILLOWANIU

Bednarczykowa Józefa
Brzywcowa Anastazja
Ford Henry
Janus Stanisława
Kubałowa Janina
Kunysz Tomasz
Stephen George
Szulborski Krzysztof

NA ZAKRĘCIE, CZYLI HISTORIA CHŁOPAKA Z ZMW

Jurczak, dróżnik
Jurczak Marysia
Młodożeniec Stanisław
Solarz Ignacy
Szuwalski Józef
Szuwalski Stanisław
Zub Roman

SKRZYDLATE PIĘKNOŚCI. WYSTAWA GOŁĘBI, OBJAZDA

Branicki Mieczysław
Brzywcy Regina
Bury Andrzej
Cierpiałowski Robert
Dobrzański Krzysztof
Goreński Jacek
Jarząbek Marian
Jędrzejewski Kazimierz
Kasperkiewicz Tadeusz
Kryńska Danuta
Langiewicz Dominik
Matejak Józef
Muchowski Cezary
Niewadził Bogdan
Obrusik Witus
Pająk Grzegorz
Płaczkowski Kazimierz
Picasso Pablo
Rogowski Ireneusz
Ropel Henryk
Ryłko Andrzej
Sobczuk Jodłowska Anna
Stando Jaroslaw
Studzińska Monika
Szmidt Bogdan
Witusiński Patryk
Ziemianowicz Sławomir

Z ZABAWY NAUKA. O TURNIEJOWYCH POTYCZKACH KÓŁ KGW

Babiarz-Zych Zbigniew
Burszta Wojciech
Elzanowski Czesław
Kargul Ewa
Kargul Tadeusz
Kołodziejski Zdzisław
Krawczyk Krzysztof
Kryńska Danuta
Lempek Halina
Plocke Kazimierz
Pokorski Jerzy
Poniewozik Irena
Rodowicz Maryla
Salwowska Danuta
Szlendak Tomasz
Tyburski Wiktor
Waniuga Alina
Ziemianowicz Sławomir
Zub Roman

NA WESOŁO I POWAŻNIE. O IX POWIATOWYM TURNIEJU KGW W JEZIERZYCACH

Axentowicz Teodor
Babiarz-Zych Zbigniew
Karamańska Małgorzata
Kołodziejski Zdzisław
Rozenek Jan
Rus Elżbieta
Węgierska Satanisława
Wyspiański Stanisław

O TRZECH WĘGŁACH DOMU, CZYLI CO NIECO O KGW W OBJEŹDZIE

Broczek Krystyna
Brzywca Anastazja
Brzywcy Regina
Derkacz Irena
Długoszkowa Maria
Gębczyński Stanisław
Gilewska Genowefa
Janus Stanisława
Jaroszewski Tadeusz
Kalkstejnowa Januaria
Kopeć Helena
Kostka Władysława
Kraziewicz Juliusz Bernard
Leśko Józef
Maciejczyk Stanisław
Reymont Władysław
Romanów Eugeniusz
Romanów Helena
Sienkiewicz Henryk
Turek Adam
Turek Regina
Waszkiewicz Anna
Węgierska Stanisława
Wieliczko Wilhelm
Wszółkowski Tomasz
Zamościk Józef
Zub Roman

TEATR TRZECI SUTW W WIEJSKIEJ ŚWIETLICY W OBJEŹDZIE

Bekier Jadwiga
Budnik-Żabicka Małgorzata
Cieślik Maria
Górawski Jacek
Kalinowski Daniel, prof.
Kuczun Wiesia
Paczkowska Anna
Spychał Dorota
Staff Leopold
Szybicka- Kargul Małgorzata
Teresińska Maryla
Zamościk Anna
Zawadówna Ola

POETYCKIE SPOTKANIE W WIEJSKIEJ ŚWIETLICY W OBJEŹDZIE

Babiarz-Zych Zbigniew
Brzywcy Regina
Bieńkowska Anna
Budnik-Żabicka Małgorzata
Karwowska Anna
Konopnicka Maria
Konon Rafał
Pietkiewicz Barbara
Szczeptuła Barbara
Szymborska Wisława

BIBLIOTEKA WE WSI (OBJAZDA)

Barnowski Marcin
Idzikowski Antoni
Machura Warcisław
Maziejuk Jan
Mencwel Jan
Zdrojewski Bogdan
Zub Roman

BIBLIOTEKA W OBJEŹDZIE IM. ROMANA ZUBA

Zub Roman

O TYM, ŻE HISTORIA ZOSTAWIA CZYTELNE ŚLADY

Bereza Henryk
Bogucka-Skowrońska Anna
Bogusław V
Dulębianka Maria
Elżbieta, księżna
Grządzielski Henryk
Hałagida Igor
Joachimiak Jolanta
Kazimierz Wielki

Kaźko Słupski
Kołodziejczyk J.
Konopnicka Maria
Korejwo Stefan
Łada-Cybulski Edward
Łaździn Stefan
Małeta Jan
Martchewicz (Tadeusz)
Maziejuk Jan
Müller Edward
Orzeszkowa Eliza
Pająk (Mirosław)
Szypowski Andrzej
Szypowska Maria
Warcisław IV
Zieja Jan
Zub Roman

CZERWCOWE ŚWIĘTO SŁUPSKIEJ KULTURY

Babiarz-Zych Zbigniew
Chwieduk Grzegorz
Derlatka Zosia
Giriatowicz Jan, ks.
Guit Czesław
Herda Kazimierz
Jurałowicz-Kurzydło Henryka
Kuczun Ada
Rudowski Klemens
Sędzicka Zorza
Szymborska Wisława
Wyrzykowski Jerzy, ks.
Zawada Ola
Ziemianowicz Sławomir
Zimnicka Emilia

CZYTELNICTWO W MROCZNYCH LATACH I INTERNET

Bereza Henryk
Bojarska Anna
Gross Tomasz
Joyce James
Kapuściński Ryszard
Krall Hanna
Miłosz Czesław
Pęczak Mirosław
Szejnert Małgorzata
Siedlecka Joanna
Suchodolski Roman
Szymborska Wisława
Terakowska Dorota
Tokarczuk Olga
Torańska Teresa
Tomasik Krzysztof
Zub Roman

ŚLADEM PRASOWEJ NOTATKI SPRZED LAT

Antończak (-)
Arct Stanisław
Borejsza Jerzy
Brikenmajer Aleksander
Dąbrowska Wanda
Fołdzińska Elżbieta
Golian (-)
Konopnicka Maria
Koskowski (-)
Łaciński (-)
Łysakowski Adam
Maryjański (-), mec.
Muszkowski Jan
Owsiak Jerzy
Pazyra Stanisław
Pokusa (-)
Repełowski (-)
Szczechura Tomasz
Szymańska (-)
Tyczyńska (-)
Wycech Czesław
Zub Roman

ODPUST W OBJEŹDZIE, CZYLI O LUDOWEJ RELIGIJNOŚCI

Drogosz Mariusz, ks.
Jereczek Henryk, ks.
Kłoczkowski Jerzy

Kroh Antoni
Paweł VI
Węckowski Henryk, ks.

OSTATNIE WSPOMNIENIE O GRZEGORZU AXENTOWICZU

Aksentowiczowie Maria, Marek
Axentowicz Grzegorz
Garst Tomek

ADWENT, CZYLI CZAS OCZEKIWANIA

Balsamon Teodor
Bolesław Wstydliwy
Chwedczuk Paweł
Chomiuk Piotr
Długoszek Czeslawa
Jachowicz Stanisław
Kinga św.
Syrokomla Władysław
Wichren Johann Hinrich

JASEŁKA, KOLĘDNICY, TURONIE

Białek Roksana
Bryll Ernest
Bukowski Krzysztof
Długosz-Kurczabowa Krystyna
Drogosz Mariusz
Franciszek z Asyżu, św.
Goreński Jacek
Grzegorz z Sanoka
Kargl-Szybicka Małgorzata
Krawiec Mariola
Kuczun Wieslawa
Kuźmińska Anna
Płatwa Joanna
Rydel Lucjan
Sobczuk-Jodłowska Anna
Schiller Leon
Przystawski Adaś

BAJSTRUK

Balzer Oswald
Bystroń Jan
Długosz Jan
Erazm z Rotterrdamu
Kaden-Bandrowski Juliusz
Kazimierz Wielki
Ochstat Jan, de
Ochstat Katarzyna
Zygmunt Stary

KUPA RADOŚCI

Benedykt XVI
Milcarek Paweł

GROMNICZNA

Gloger Zygmunt
Iłłakowiczówna Kazimiera
Kalista Aleksander
Stachiewicz Piotr
Strug Józef
Turek Regina

FASCICULUS MYRRHAE, SNOPEK MIRRY, GORZKIE ŻALE...

Benik (Bönnig) Wawrzyniec Stanisław, ks.
Chwedczuk Paweł
Dąbrowski Eugeniusz, ks.
Długoszek Czesława
Gonzaga Ludwika Maria
Grochowski Stanisław
Kitowicz Jędrzej
Malińska Anna
Pierluigi Palestrina, da
Przyłęk Joanna
Tarło Michał Bartłomiej, ks.
Todi Giacapone, da
Wierzbowski Stefan

BOŻE CIAŁO NA STARYCH FOTOGRAFIACH

Radtke Edmund, ks.
Suliński Henryk, ks.
Turkówny Czesia i Janeczka

Wieliczkówna Henia
Zamościkówny Emilka i Wandzia
Zieja Jan, ks.
Zięba Roman, ks.

KRZYŻE I KAPLICZKI PRZYDROŻNE

Budzyńska Natalia
Kołysko Marek, dr
Matulisowa Julia
Mickiewicz Adam
Orzeszkowa Eliza
Seweryn Tadeusz
Towiański Andrzej
Zalewski Jan
Żeromski Stefan

JARZĄBOWA KAPLICZKA

Długoszek Jerzy
Jarząb Antonina
Jarząb Leszek
Jarząb Piotr
Nowak Jan, ks.

POKOCHAĆ KOZY

Brzywcowa Anastazja
Domańska Anna
Petryk Jan
Węgierska Stanislawa

NIE MÓWCIE PIĘKNYCH SŁÓW, LECZ RÓBCIE... DZIEŁO ADOLFA KOPLINGA

Breuer Johann Gregor
Hoła Kazimierz, ks.
Höntgesberg Josef
Jan Paweł II
Kolping Adolf
Kolping Piotr
Kolping Zurheiden Anna Maria
Laufss, pastor
Morse Samuel
Myszk Zenon, ks.
Volta Alessanro
Wollersheim, wikariusz

PĄTNICZY SZLAK - POMORSKA DROGA ŚW. JAKUBA

Atanazjusz, uczeń Jakuba
Goethe Jan Wolfgang
Jakub, syn Zebedeusza
Lipczyński Włodzimierz
Martinkus Darius
Radziwiłłowie Stanisław i Jerzy
Rekowska Klassa Elżbieta
Scheibe Ralf
Sobczuk Jodłowska Anna
Sobieski Jakub
Teodomir, biskup
Teodor, uczeń Jakuba
Wyrzykowski Jerzy, ks.
Zajączkowska Alicja

SPÓR O BOHATERÓW

Barnowski Marcin
Cieślak, kpt.
Dąbrowski Franciszek
Dąbrowski Romuald, gen.
Grodecki Stefan
Hojko Dąbrowska Elżbieta
Maksymczuk, kpt.
Pelczer Marian
Różewicz Stanisław
Rydz Śmigły (Edward)
Sobociński, płk
Sucharski Henryk, mjr
Szutowicz Andrzej, mjr
Tuliszka Jarosław

Indeks miejscowości

KAMIEŃ MILOWY I INNE ZWIĄZKI

Biłgoraj, Dębina, Gardna Wielka, Objazda, Poddąbie, Rowy, Ustka, Wytowno

NAJDAWNIEJSZE DZIEJE OBJAZDY

Bałamątek, Białoboki - Trzebiatów, Brasław, Chocimino, Darłowo, Dębina, Gąbino, Gdańsk, Grabno, Koszalin, Kowalewiczki, Lębork, Lubuczewo, Łupawa, Machowino, Machowinko, Masłowo-folwark, Objazda (Wobesde, Wobasdo), Orzechowo Morskie, Pelplin, Rowy, Salt Lake City, Słupsk, Smołdzino, Sulęczyno, Ujazdek, Ujazdowo, Ujazdówek, Ujeździec, Ustka, Warcino, Wytowno, Zdrzewno

LIPOWE ŁAPCIE

Bobryk, Biernatowo, Brześć, Czamla, Kocień Wielki, Mała Płotnica, Pińsk, Pohost, Ustka, Usypisko, Zaberezie

JAK OPOWIEDZIEĆ KRESY?

Belgrad, Brześć, Budapeszt, Dobrosławka, Hancewicze, Jałta, Kocień Wielki, Kraków, Liwadia, Lublana, Lwów, Łohiszyn, Łuck, Mała Płotnica, Małkowicze, Objazda, Pińsk, Terebeń, Trzcianka, Turyn, Usypisko, Warszawa, Wiedeń, Zaberezie, Zielona Góra

Z PODGÓRZA DO OBJAZDY

Alte Mühle (Bałąmatek), Berlin, Białystok, Brzeźnica, Czerwony Bór, Gąbino, Gdańsk, Gdynia, Giełczyn, Jednaczewo, Kobylnica, Konarzyce, Łomża, Łódź, Objazda (Wobesde), Pniewo, Podgórze, Puchały, Schonenwalde (Dębina) Słupsk, Strąkowa Góra, Śniadowo, Ustka, Warszawa, Weitenhagen (Wytowno), Zambrów

SYBIRIADA. WSPOMNIENIA MĘŻA, JÓZEFA CIEŚLIKA, SPISAŁA HENRYKA MARIA CIEŚLIK

Buraczycha, Łomża, Niandoma, Słupsk, Soługa, Taszkient, Wobesde (Objazda)

ALEKSANDER KALISTA: PRZYSZEDŁ CZAS NIEPRZEWIDZIANY

Aralsk, Archangielsk, Bałamątek, Białystok, Budziszyn, Buraczycha, Buzułuk, Chełm, Czardzou, Drezno, Gryfino, Gurlen, Kalisz, Kamień Pomorski, Kozielsk, Kupiski, Kymiele, Leśniczówka, Łomża, Modlin, Mołodeczno, Moskwa, Niandoma, Niemcze, Nukus, Objazda, Ostaszków, Podgórze, Samara (Kujbyszew), Soługa, Śniadowo, Stalingrad, Starobielsk, Sumy, Taszkient, Urbań, Urgencz, Zambrów

RÓWIEŚNICY NIEPODLEGŁEJ

Biedrusko, Brasław, Brześć, Commerau, Góra Kalwaria, Kocień Wielki, Łódź, Objazda, Plebańce, Pińsk, Poznań, Strusto, Trzcianka, Ustka, Warszawa

ANNA

Brasław, Commerau, Jackowszczyzna, Objazda, Plebańce

16 KWIETNIA NAD NYSĄ. GRZEGORZ TUREK

Arnhem, Berlin, Bolesławiec, Bucze, Budziszyn, Dęblin, Dojlidy - Białystok, Drezno, Görlitz-Ost, Katowice, Kielce, Kołobrzeg, Kostrzyn, Kraków, Lenino, Lubań, Melnik, Młoty, Monte Cassino, Nelkenberg, Nowa Wilejka, Oświęcim, Rzeszów, Sanice, Siekierki, Spreefurt, Sommerfeld, Szczecin, Toporowo, Westerplatte, Wilno, Władymir, Zgorzelec, Złotoryja, Żory

CO NAS ŁĄCZY, A CO DZIELI?

Brześć, Bydlino, Koszalin, Łohiszyn, Machowino, Machowinko, Objazd (Objazda), Orzechowo, Pińsk, Rowy, Słupsk, Warszawa, Wytrowno (Wytowno, Weitenhagen), Zakrzewo

UROK STARYCH DOKUMENTÓW: „DOWÓD TOŻSAMOŚCI KONIA"

Bałamątek, Gardna Wielka, Objazda, Poddąbie, Szczecin, Waszyngton, Wytowno, Zydląg

PLEBAŃCE POD BRASŁAWIEM. HISTORIA SENTYMENTALNA

Brasław, Czekalowszczyzna, Jackowszczyzna, Karolina, Muraż, Plebańce, Przewozki, Rubieża, Ruczany, Wisiaty

BALLADA O PIECZENIU CHLEBA

Bałamątek (Alte Mühle), Bukowa, Kowalewiczki, Objazda, Podgórze, Zdrzewno

MIAŁA MATKA TRZECH SYNÓW. Z ZAPISKÓW ROMANA ZUBA O MARIANIE, FRANCISZKU I STANISŁAWIE UCHACZACH

Bondyrz, Krasnobród, Łuszczacz, Objazda, Poznań, Puławy, Wałbrzych. Wojda, Zamość, Zwierzyniec

KRONIKARZ Z OBJAZDY

Krasnobród, Krynice, Machowino, Majdan Wielki, Objazda, Słupsk, Strzelinko, Suchowola, Poznań, Tomaszów Lubelski, Tyszowiec, Wągrowiec

O OBJEŹDZIE, WYTOWNIE I LUDZIACH, CZYLI DWA ZDANIA O KSIĘDZU JANIE ZIEI W „KRONICE OBJAZDY"

Barth oder Ostsee, Braunsberg (Braniewo), Bromberg, Fromborg, Gąbino, Gotenhafen (Gdynia), Gorzów, Laski, Łódź, Machowino, Martensdorf, Mokotów, Objazda, Rowy, Słupsk, Stralsund, Warszawa, Wytowno, Zakopane

MAŁE JEST PIĘKNE. KOŚCIÓŁ W OBJEŹDZIE

Gutzmin (Chocimino), Kluki, Łomża, Machowino, Objazda, Osowo, Orzechowo Morskie, Pelplin, Poznań, Rowy, Salt Lake City, Siedlce, Lębork, Łomża, Słupsk, Swołowo, Wytowno

O LUDOWYCH ARTYSTACH, KOŚCIELE W OBJEŹDZIE I ANTONIM KROHU

Nowy Sącz, Objazda, Paszyn, Płock, Rowy, Słupsk, Warszawa

LEGENDA O KOŚCIELE W ROWACH

Rowy, Smołdzino

RYBACY Z ROWÓW

Gardna Wielka, Lida, Machowino, Objazda, Słupsk, Starkowo, Ustka, Zimowiska

TAKA SOBIE ANEGDOTA

Berlin, Gardna Wielka, Łeba, Objazda, Rowy, Rówek, Słupsk

ZDARZYŁO SIĘ W ROWACH

Bałtijsk (Pilawa), Jasień, Kluki, Łeba, Poddąbie, Rowy, Smołdziński Las, Szczecin, Ustka

ORĘDOWNICZKA Z ŁEBY

Berlin, Łeba

GRZECH PIERWORODNY „WILHELMA GUSTLOFFA"

Davos, Gdańsk, Gdynia, Łeba, Nemmensdorf (Majakowskoje), Oliwa, Oksywie, Piława (Bałtyjsk), Ustka, Zakrzewo

JEZIORO GARDNO

Czołpino, Dębina, Gardna Mała, Gardna Wielka, Kluki, Łódź, Objazda, Retowo, Rowy, Słupsk, Wrocław, Wysoka

O BOĆKU Z OBJAZDY

Objazda

MALARKA ZNAD JEZIORA GARDNO

Berlin, Gąbino, Gardna Wielka, Harz, Jałta, Kluki, Smołdzino, Weisbaden, Wejherowo, Wysoka

DĘBINA

Bałamatek, Czysta, Dębina (Szënodo, Schonwalde, Laski), Gardna Wielka, Komnino (Kuziowa, Kuhnhof Komnënò), Objazda (Wobesde), Osieki (Wosieka, Wussecken), Retowo (Rtu Rotten), Rowe, Słupsk, Warszawa, Wilno

SPACEREM DO PODDĄBIA

Altsrand, Bałamątek, Gdańsk, Machowinko, Objazda, Poddąbie (Poddębie, Poddamp, Neustrand)

BAJKA NIEBAJKA

Poddąbie, Objazda

ZAGUBIONY ETOS

Auschwitz, Barth oder Ostsee, Berlin, Bierkowo, Braunsberg (Braniewo), Bromberg (Bydgoszcz), Dyneburg, Gotenhafen (Gdynia), Kerzlin-Neuruppin, Königsberg (Królewiec), Machowinko, Martensdorf, Memel (Kłajpeda), Mitawa (Jełgawa), Objazda, Ogre, Podgórze, Quednau (dzielnica Królewca), Ryga, Rzeżyca, Seddin-Jeseritz bei Stolp (Jezierzyce-Osiedle), Słupsk, Stralsund, Szemietowo, Tylża, Warszawa, Wytowno,

PRZĄDKA Z OBJAZDY

Objazda, Strusto

RĘCZNY WARSZTAT TKACKI, CZYLI KROSNA

Objazda

URZĄD SOŁTYSA

Kluki, Koszalin, Lesko, Narty, Objazda, Pińsk, Rzeszów, Sandomierz, Słupsk, Suwałki, Szczecin, Wilno, Włodawa

CO PO PEGEERZE?

Bałamątek, Grabno, Koszalin, Objazda (Wobesde), Rowy, Słupsk, Szczecin, Ustka, Wytowno

KARTKA Z „KRONIKI OBJAZDY" ROMANA ZUBA

Bobrowniki, Byczki, Charnowo, Dębina, Gdynia, Komorowo, Kopciówka, Łomża, Machowinko, Objazda, Podgórze, Rowy, Słupsk, Soługa, Starachowice

O DAWNYCH ZAJĘCIACH I GRILLOWANIU

Bydlino, Dębnica Kaszubska, Kluki, Objazda, Słupsk

NA ZAKRĘCIE, CZYLI HISTORIA CHŁOPAKA Z ZMW

Główczyce, Londyn, Objazda, Rowy, Skórzno, Słupsk, Warszawa, Zagórki

SKRZYDLATE PIĘKNOŚCI. WYSTAWA GOŁĘBI, OBJAZDA 7-11-2010

Bolesławice, Chełm, Gdynia, Kaczkowo, Kołobrzeg, Koszalin, Lublin, Objazda, Pelplin, Rudno, Słupsk, Swochowo, Trzebiatów, Ustka, Wrzosowo, Zamość

Z ZABAWY NAUKA. O TURNIEJOWYCH POTYCZKACH KÓŁ KGW

Jezierzyce, Kluki, Objazda, Rowy, Podwilczyn, Strzelino, Swołowo

NA WESOŁO I POWAŻNIE. O IX POWIATOWYM TURNIEJU KGW W JEZIERZYCACH

Damnica, Dębnica Kaszubska, Gdańsk, Główczyce, Jezierzyce, Kobylnica, Kraków, Łebień, Objazda, Rowy, Słupsk, Stowięcino, Ustka, Warcino

O TRZECH WĘGŁACH DOMU, CZYLI CO NIECO O KGW

Bałamątek, Gniew, Monte Cassino, Objazda, Piaseczno, Rowy, Strzelino, Wola Okrzejska

TEATR TRZECI SUTW W WIEJSKIEJ ŚWIETLICY W OBJEŹDZIE

Berlin, Flensburg, Frankfurt n/Odrą, Jasień, Kępice, Łomża, Objazda, Słupsk, Ustka

POETYCKIE SPOTKANIE W WIEJSKIEJ ŚWIETLICY W OBJEŹDZIE

Dobieszewko, Objazda, Słupsk, Szczecin

BIBLIOTEKA WE WSI (OBJAZDA)

Objazda, Słupsk, Ustka, Zaleskie

BIBLIOTEKA W OBJEŹDZIE IM. ROMANA ZUBA

Objazda

O TYM, ŻE HISTORIA ZOSTAWIA CZYTELNE ŚLADY

Brzeg, Bystrzyca Kłodzka, Kraków, Dachau, Gdańsk, Gniezno, Jelenia Góra, Legnica, Nysa, Objazda, Opole, Paczków, Słupsk, Warszawa

CZERWCOWE ŚWIĘTO SŁUPSKIEJ KULTURY

Duninowo, Kępice, Kobylnica, Objazda, Słupsk

CZYTELNICTWO W MROCZNYCH LATACH I INTERNET

Dębina, Objazda, Przewłoka, Słupsk, Wytowno

ŚLADEM PRASOWEJ NOTATKI SPRZED LAT

Bierkowo, Gdańsk, Jawor, Kępno, Krasnobród, Laski (Dębina), Objazda, Pisz, Słupsk, Szczecin

ODPUST W OBJEŹDZIE, CZYLI O LUDOWEJ RELIGIJNOŚCI

Licheń, Objazda, Pelplin, Słupsk, Ustka, Wrocław

OSTATNIE WSPOMNIENIE O GRZEGORZU AXENTOWICZU

Milanówek, Objazda, Rowy, Rysy

ADWENT, CZYLI CZAS OCZEKIWANIA

Objazda, Pińczów, Poznań, Warszawa

JASEŁKA, KOLĘDNICY, TURONIE

Betlejem, Charnowo, Gdynia, Greccio, Kraków, Machowino, Objazda, Rowy, Ustka, Wytowno, Zaleskie

BAJSTRUK

Gołcza, Słobódka, Telnice

KUPA RADOŚCI

Jerozolima, Objazda, Ustka

GROMNICZNA

Jerozolima, Objazda, Soługa

FASCICULUS MYRRHAE, SNOPEK MIRRY, GORZKIE ŻALE...

Jerozolima, Mława, Objazda, Reszel, Warszawa

BOŻE CIAŁO NA STARYCH FOTOGRAFIACH

Machowino, Objazda, Rowy, Wytowno

KRZYŻE I KAPLICZKI PRZYDROŻNE

Białystok, Caravaca, Grabarka, Hajnówka, Jastrzębie Pohost, Siemiatycze, Słupsk, Zaberezie

JARZĄBOWA KAPLICZKA

Czysta, Dębina, Gardna Mała, Gardna Wielka, Gąbino, Główczyce, Hrubieszów, Objazda, Rowy, Smołdzino, Strzelino, Witkowo, Zelkowo, Żelazo

POKOCHAĆ KOZY

Czysta, Machowino, Objazda, Retowo, Zydląg (Objazda-Kolonia)

NIE MÓWCIE PIĘKNYCH SŁÓW, LECZ RÓBCIE... DZIEŁO ADOLFA KOPLINGA

Boleniec, Düren, Elberfeld, Kalwaria Zebrzydowska, Kerpen, Kolonia, Kraków, Łeba, Lechenich, Objazda, Sindorf, Stanisław Dolny

PĄTNICZY SZLAK - POMORSKA DROGA ŚW. JAKUBA

Braga, Coimbra, Czysta, Duninowo, Elbląg, Gardna Wielka, Gąbino, Gdańsk, Greifswald, Iria Flawia, Jerozolima, Kretinga, Królewiec, Lębork, Lubuczewo, Padron, Przewłoka, Rostok, Rzym, Santiago de Compostela, Sianów, Siemianice, Słupsk, Smołdziński Las, Szczecin, Świnoujście, Ustka, Zaleskie

SPÓR O BOHATERÓW

Arnswalde, Casamassima, Gdańsk, Gręboszów k/Tarnowa, Gross-Born, Hihstein, Klein Dexen (Długorukowo), Kraków, Lienz, Ustka, Westerplatte

Źródła i inspiracje

1. Wspomnienia, rękopiśmienne zapiski Józefy Bednarczyk, Marii Henryki Cieślik, Aleksandra Kalisty, Romana Zuba, mieszkańców Objazdy i Rowów.
2. Stare dokumenty podarowane przez Katarzynę Kozub, Krystynę Szybicką i z domowego archiwum autorki.
3. Fotografie udostępnione lub podarowane przez Krystynę Kostkę, panią Suchodolską, Katarzynę Tokarską Kozub, Tadeusza Ragla, Kazimierę Szubertową oraz z domowego archiwum autorki.

Lektury

1. Marcin Barnowski, „Twierdza Ustka. Bunkry i ciekawostki militarne", Ustka 2011.
2. Marcin Barnowski, „Poddąbie, czyli piknik pod bukami". „Głos Pomorza", 25-26 czerwca 2005 r.
3. Andrzej Czarnik, „Gardna Wielka", Słupsk 2001.
4. Andrzej Czarnik, „Pomorskie plenery Maxa Pechsteina", Słupsk 2003 r.
5. Andrzej Czarnik, „Rowy w twórczości Maxa Pechsteina" [w:] VII Konferencja Kaszubsko - Pomorska. Słupsk 2003 r.
6. Bernard Czerwiński, Stefan Rudnik, „Województwo słupskie", Szczecin 1980.
7. „Gmina Ustka jakiej nie znacie. Album Fotograficzny Gminy Ustka", Ustka 2001.
8. Edda Gutche, „Malarze, miejscowości i widoki Pomorza Zachodniego w pierwszej połowie XX wieku". Część I, Pruszcz Gdański 2010 r.
9. Edda Gutche, „Malarze, miejscowości i widoki Pomorza Zachodniego w pierwszej połowie XX wieku". Część II, Pruszcz Gdański 2012 r.
10. Dmoch Antoni, „Radość obrazowania", Słupsk 2011 r. (Katalog wystawy MPŚ).
11. Hejke Krzysztof, „Polesie", Poznań 2009 r.
12. Informator, Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, Słupsk 2000.
13. Beata Jankowska, „Jak umierały wiatraki" [w:] „ Głos Pomorza", 14-15 listopada 1998 r.
14. Jerzy Kłoczowski, „Dzieje chrześcijaństwa polskiego". Świat Książki 2007 r.
15. „Kresy Rzeczpospolitej. Wielki mit Polaków. Dzieje wschodnich rubieży, okoliczności ich utraty i narodzin narodowej legendy", Praca zbiorowa, „Biblioteka „Polityki" 2016 r.

16. Antoni Kroh, „Wesołego Alleluja, Polsko Ludowa, czyli o pogmatwanych dziejach chłopskiej kultury plastycznej na ziemiach polskich", Warszawa 2014 r.
17. Lech Krzyżanowski, Czesław Piskorski: „Polskie wybrzeże Bałtyku", Warszawa 1981 r.
18. Warcisław Machura, „Dawne miejsca pamięci o żołnierzach na terenie powiatu słupskiego", Słupsk 2011 r.
19. Zdzisław Machura, „Dom Matki i Dziecka w Słupsku", „Moje Miasto", 17 stycznia 2014 r.
20. Zdzisław Machura, „Ludność wyznania katolickiego w powiecie słupskim w latach 1866-1945" [w:] VII Konferencja Kaszubsko - Pomorska. Słupsk 2003 r.
21. Zdzisław Machura, „Był tu wśród nas na słupskiej ziemi", Słupsk 2007 r.
22. Jan Maziejuk, „Pałace i dwory ziemi słupskiej", Słupsk 2011 r.
23. Marzenna Mazur, Henryk Soja, „Ziemia słupska - dzieje i kultura", Słupsk 2003 r.
24. Jan Miodek, „Od Bożej Góry do Ujazdowa, czyli o nazwach miejscowych kulturowych" [w:] „Wiedza i Życie" nr 3/1996.
25. Andrzej Obecny, „Papież Franciszek uczeń ks. Jana Ziei", „Moje Miasto", 17 stycznia 2014 r.
26. „Pomorska Droga św. Jakuba - podręcznik dla interesariuszy, Sopot 2014 r.
27. Heinz Schön, „Tragedia Gustloffa", Zakrzew 2006 r.
28. Stefania Sokołowska - Satanowska, „Mroźny smak głodu", Łomża, 1999.
29. Alicja Świetlicka, Elżbieta Wisławska, „Słownik historyczny miast i wsi województwa słupskiego", Słupsk 1998 r.
30. Jan Zieja, „Życie ewangelią". Spisane przez Jacka Moskwę. Kraków 2010 r.
31. Roman Zub, „Kronika Objazdy", zdigitalizowany rękopis.

Źródła internetowe

1. http://epitafiapomorskie.lo2.slupsk.pl/index.htm
2. http://herbypomorskie.lo2.slupsk.pl
3. http://www.zieja.ovh.org/
4. Karl-Heinz Pagel, "Der Landkreis Stolp in Pommern: Zeugnisse seiner deutschen Vergangenheit" http://bibliotekacyfrowa.eu/dlibra/docmetadata?id=296&from=publication
5. www.re-create.pl
6. Wytowno, moja Alma Mater, http://www.reocities.com/Athens/Bridge/2268/w120399.html

Spis treści

Na zachód od Edenu *(Grzegorz Łyś, Warszawa)* 5

Od Autorki 7

Kamień milowy i inne związki 9
To i owo z miejscowej historii 13
Lipowe łapcie 34
Jak opowiedzieć Kresy? 39

Z Podgórza do Objazdy 45
Sybiriada 70
Aleksander Kalista: Przyszedł czas nieprzewidziany 76
Rówieśnicy Niepodległej 100
Anna 107

16 kwietnia nad Nysą. Grzegorz Turek 111
Co nas łączy, a co dzieli? 116
Urok starych dokumentów: „Dowód tożsamości konia" 126
Plebańce pod Brasławiem. Historia sentymentalna 129
Ballada o pieczeniu chleba 135
Miała matka trzech synów 138
Kronikarz z Objazdy 144
Dwa zdania o księdzu Janie Ziei w Kronice Objazdy 154
Małe jest piękne. Kościół w Objeździe 161
O ludowych artystach, kościele w Objeździe i Antonim Krohu 171

Legenda o kościele w Rowach 176
Rybacy z Rowów 180
Taka sobie anegdota 186
Zdarzyło się w Rowach? 188
Orędowniczka z Łeby 191
Grzech pierworodny „Wilhelma Gustloffa" 193
Jezioro Gardno 197

O boćku z Objazdy 203
Malarka znad jeziora Gardno 208
Dębina 210

Spacerem do Poddąbia 215
Bajka-niebajka 220
Zagubiony etos 222
Prządka z Objazdy 231
Ręczny warsztat tkacki, czyli krosna 233
Urząd sołtysa 234
Co po pegeerze? 243
Kartka z „Kroniki Objazdy" Romana Zuba 248
O dawnych zajęciach i grillowaniu 252
Na zakręcie, czyli historia chłopaka z ZMW 256

Skrzydlate piękności. Wystawa gołębi 259
Z zabawy nauka. O turniejowych potyczkach kół KGW 261
O IX Powiatowym Turnieju KGW w Jezierzycach 265
O trzech węgłach domu, czyli co nieco o KGW w Objeździe 270
Teatr Trzeci SUTW w wiejskiej świetlicy w Objeździe 276
Poetyckie spotkanie w wiejskiej świetlicy w Objeździe 279
Biblioteka we wsi (Objazda) 283
Biblioteka w Objeździe im. Romana Zuba 289
O tym, że historia zostawia czytelne ślady 290
Czerwcowe święto słupskiej kultury 296

Czytelnictwo w mrocznych latach i Internet 298
Śladem prasowej notatki sprzed lat 302
Odpust w Objeździe, czyli o ludowej religijności 307
Ostatnie wspomnienie o Grzegorzu Axentowiczu 311
Adwent, czyli czas oczekiwania 315
Jasełka, kolędnicy, turonie 319
Bajstruk 325
Kupa radości 327
Gromniczna 330
Fasciculus myrrhae, Snopek mirry, Gorzkie żale... 334
Boże Ciało na starych fotografiach 338

Krzyże i kapliczki przydrożne 341
Jarząbowa kapliczka 346
Pokochać kozy 349
Nie mówcie pięknych słów, lecz róbcie... Dzieło Adolfa Koplinga 353
Pątniczy szlak - Pomorska Droga św. Jakuba 356
Spór o bohaterów 361

Post scriptum 364
Posłowie *(Iwona Danuta Startek, Biłgoraj)* 369

Indeks nazwisk 376
Indeks miejscowości 389

Źródła i inspiracje 394
Lektury 394
Źródła internetowe 395

Spis treści 396

Poetka, polonistka, miłośniczka historii, długoletnia nauczycielka i dyrektorka miejscowej szkoły podjęła się trudu przywrócenia Objeździe zbiorowej pamięci i osadzenia jej we współczesności. „Jeśli będziemy jak kamienie. Reportaże z Objazdy i okolic" jest owocem wielkiej pracy i pasji, ogromnej, encyklopedycznej wiedzy o lokalnych faktach i sprawach, erudycji i talentu literackiego. To zbiór poruszających dokumentów - spisanych przez pierwszych osadników wspomnień, opracowanych przez autorkę lub relacje z rozmów z nimi przeprowadzonych - oraz kilkadziesiąt niewielkich reportaży, łączących poetyckie impresje z publicystyką i faktograficzną sumiennością.

Grzegorz Łyś, Warszawa

ISBN 978-83-60228-80-7